

**Douglas Preston, Lincoln Child**

# **RELIKWIARZ**

**Reliquary**

**Tłumaczył: Robert P. Lipski**

**Wydanie oryginalne: 1996**

**Wydanie polskie: 2002**

**TMN**

*Lincoln Child dedykuje tą książkę swojej córce, Weronice*

*Douglas Preston dedykuje tą książkę*

*dr. med. Jamesowi M. Gibbonowi*

## PODZIĘKOWANIA

Autorzy pragną podziękować następującym osobom za pomoc przy pisaniu tej książki: Bobowi Gleasonowi, Matthew Snyderowi, Denisowi Kelly'emu, Stephenowi de las Heras, Jimowi Cushowi, Lindzie Quinton, Tomowi Espensheidowi, Danowi Rabinowitzowi, Calebowi Rabenowitzowi, Karen Lovell, Markowi Gallagherowi, Bobowi Winottowi, Lee Sucknowi i Georgette Piligian.

Specjalne podziękowania dla Toma Doherty'ego i Harveya Klingera, bez których wsparcia i wysiłku *Relikwiarz* nigdy by nie powstał.

Dziękujemy również wszystkim osobom z działu sprzedaży Tor/Forge za ich ciężką pracę i poświęcenie.

Chcielibyśmy w tym miejscu wyrazić swoją wdzięczność tym wszystkim czytelnikom, którzy wspierali nas czy to telefonicznie podczas radiowych lub telewizyjnych wywiadów, czy osobiście podczas spotkań literackich, czy też za pośrednictwem poczty, zarówno konwencjonalnej, jak i elektronicznej, oraz tym wszystkim, którzy po prostu dobrze się bawili podczas lektury naszych książek. Wasz entuzjazm i gorące przyjęcie *Reliktu* stało się dla nas silną motywacją do napisania jego kontynuacji.

Wam wszystkim i tym, o których powinniśmy tu byli wspomnieć, ale z różnych względów tego nie uczyniliśmy, gorąco i z całego serca dziękujemy.

Słuchamy tego, co nie wypowiedziane,  
patrzemy na to, czego nie widać.

Kakuzo Okakura, *Księga herbaty*

## Część pierwsza

# STARE KOŚCI

Relikwiarz – sanktuarium, świątynia lub kasetka, gdzie wystawiony jest obiekt kultu, kość lub jakaś część ciała świętego albo bóstwa.

### 1

Snow sprawdził regulator oraz oba zawory powietrza i przesunął dłońmi po śliskim neoprenie kombinezonu. Wszystko było w porządku, jak podczas poprzedniej kontroli minutę temu.

– Jeszcze pięć minut – rzekł sierżant, zmniejszając prędkość łodzi o połowę.

– Świetnie – padła sarkastyczna odpowiedź Fernanda, zagłuszana wyciem potężnego diesla. – Po prostu świetnie.

Nikt więcej się nie odezwał. Snow zauważył, że w miarę jak zbliżali się do punktu docelowego, cała drużyna zrobiła się dziwnie milcząca.

Obejrzał się przez rufę, lustrując spienioną smugę pozostawianą przez śrubę w brunatnej toni rzeki Harlem. W tym miejscu rzeka była szeroka, toczyła leniwie swe wody w gorącej, szarawej mgielce sierpniowego poranka. Skierował wzrok ku brzegowi i lekko się skrzywił, gdy gumowany kaptur wpił mu się w szyję. Wielkie kamienice czynszowe z powybijanymi szybami. Upiorne ruiny fabryk i magazynów. Opustoszały plac zabaw. Nie, nie całkiem opustoszały, jakiś dzieciak bujał się na zardzewiałej huśtawce.

– Hej, mistrzu latania! – zawołał do niego Fernandez. – Przed startem sprawdź, czy masz w gatkach dostatecznie grubą pieluchę!

Snow obciągnął rękawice i wciąż obserwował brzeg.

– Ostatnio pozwoliliśmy nurkować tutaj prawiczkowi – ciągnął Fernandez. – Szczeniak sfajdał się w kombinezon. Ależ był smród. Kazaliśmy mu przez całą drogę powrotną do bazy siedzieć na dźwigarce. A to było daleko od Liberty Island. Pestka w porównaniu z Kloaką.

– Stul dziób, Fernandez – łagodnie uciszył go sierżant.

Snow wciąż gapił się za rufę. Kiedy przeszedł z regularnej jednostki policji do pletwonurków, popełnił podstawowy i największy błąd w swoim życiu – przyznał się, że nurkował kiedyś na Morzu Corteza. Poniewczasie zorientował się, że członkami tej jednostki byli zwykli nurkowie wykonujący tak prozaiczne czynności, jak zakładanie kabli, naprawa rurociągów i praca na platformach wiertniczych. W ich mniemaniu mistrzowie nurkowania, tacy jak on, byli mięczakami, wypiełgnowanymi gogusiami lubiącymi czystą wodę i czysty piasek. Zwłaszcza Fernandez starał się dać mu to wyraźnie do zrozumienia.

Łódź wzięła ostry przechył na sterburtę, gdy sierżant skierował ją gwałtownie ku brzegowi. Jeszcze bardziej zredukował prędkość, gdyż tuż przed nimi pojawiły się gęste skupiska znajdujących się na nabrzeżu instalacji.

Ich oczom ukazał się nieduży, murowany tunel przełamujący monotonię szarych betonowych fasad. Sierżant skierował łódź w głąb tunelu i wyprowadził ją w półmrok, po drugiej stronie. Snow poczuł niemożliwą do opisania woń bijącą ze zmaczonej wody. Łzy same napłynęły mu do oczu, zaczął kasłać. Siedzący na dziobie Fernandez odwrócił się i zachichotał drwiąco. Pod rozpiętym kombinezonem Fernandez Snow dostrzegł podkoszulek z nieoficjalnym mottem policyjnego zespołu nurków: Pławimy się w gównie i szukamy martwych stworzeń. Tym razem jednak nie chodziło o nic martwego, lecz o pakiet heroiny zrzucony z mostu kolejowego Humboldta podczas strzelaniny z policją ubiegłej nocy.

Wąski kanał był z obu stron otoczony betonowymi obramowaniami. W oddali, pod mostem kolejowym, czekała policyjna łódź motorowa; stała na wodzie z wyłączonym silnikiem, kołysząc się lekko w splachciach światłocieni. Snow dostrzegł dwie osoby na pokładzie: pilota i łysiejącego krępego, dobrze zbudowanego mężczyznę w kiepsko dopasowanym garniturze z poliestru. Z jego ust wystawało wilgotne od śliny cygaro. Podciągnął spodnie, splunął do wody i uniósł dłoń w powitalnym geście.

Sierżant skinął w stronę łodzi.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy.

– Porucznik D’Agosta – odparł jeden z nurków na dziobie. – Sprawa musi być naprawdę poważna.

– Zawsze jest poważna, gdy zostaje postrzelony policjant – mruknął sierżant. Zgasił silnik i zakręcił kołem sterowym, aby jego łódź, dryfując, mogła zbliżyć się do sąsiedniej.

D’Agosta przeszedł na rufę, by zamienić kilka słów z drużyną nurków. Gdy się poruszył, policyjna łódź zakotłosała się lekko pod jego ciężarem, a Snow zauważył, że opływająca burty woda pozostawiała na nich oleisty, zielonkawy osad.

– Dobry – powiedział D’Agosta. Choć miał rumianą cerę, w ciemnościach pod mostem porucznik wydawał się bladej niczym wampir unikający światła dziennego.

– Jeżeli chce pan porozmawiać, to ze mną – odezwał się sierżant, przypinając do nadgarstka głębokościomierz. – O co chodzi?

– Skopano całą akcję – rzekł D’Agosta. – Okazuje się, że facet był tylko posłańcem. Zrzucił paczkę z mostu do rzeki. – Skinał głową na wielką, toporną konstrukcję powyżej. – Potem poczęstował gliniarza kulką i sam też nałykał się ołowiu. Gdybyśmy znaleźli towar, moglibyśmy przynajmniej zamknąć całą tę zaszraną sprawę.

Sierżant westchnął.

– Skoro facet nie żyje, czemu nas wezwaliście?

– A co, mieliśmy zostawić w rzece pakiet heroiny za sześćset patoli? – zdziwił się D’Agosta.

Snow podniósł wzrok. Pomiędzy poczerniałymi wspornikami mostu widział wypalone fasady budynków. Tysiąc brudnych okien gapiących się na martwą rzekę. Szkoda, że posłaniec musiał wrzucić swój pakunek akurat do Humboldt Kill, znanej też jako Cloaca Maxima, na cześć wielkiego kanału ściekowego w starożytnym Rzymie. Nazywano ją Kloaką z uwagi na gromadzące się tu od stuleci fekalia, odpady toksyczne, martwe zwierzęta i ścieki.

W górze przetoczyły się z głośnym turkotem wagoniki metra.

Pod stopami Snowa łódź zakołysała się, a powierzchnia gęstej, oleistej wody zafalowała lekko jak żelatyna tuż przed ścięciem.

– Dobra, chłopcy – rozległ się głos sierżanta. – Czas się zamoczyć.

Snow raz jeszcze sprawdził kombinezon. Był wytrawnym nurkiem i znał swoją wartość. Dorastał w Portsmouth, niemal nie wychodził z Piscataqua, tamtejszej rzeki, a w ciągu swojej długoletniej kariery ocalił życie kilku osobom. Później, na Morzu Corteza, polował na rekiny i zanurzał się na głębokość ponad dwustu stóp, prowadząc prace głębinowe. Mimo to dzisiejsze zejście pod wodę ani trochę mu się nie uśmiechało.

Choć Snow nigdy dotąd tu nie był, zespół często rozmawiał w bazie na temat Kloaki. Spośród wszystkich paskudnych miejsc do nurkowania w Nowym Jorku Kloaka była najgorsza, gorsza nawet niż Arthur Kill, Hell Gate czy Gowanus Canal. Niegdyś, jak mówiono, była to odnoga Hudsonu, przecinająca Manhattan na południe od Sugar Hill w Harlemie. Jednakże gromadzące się od stuleci ścieki, odpady przemysłowe i ogólne zaniedbanie zmieniły ją w stojący, bezodpływowy zbiornik nieczystości, płynny śmietnik pełen najgorszych odpadów, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Snow poczekał na swoją kolej po odbiór butli z tlenem, zdejmowanych ze specjalnego stalowego stojaka, po czym, zakładając paski uprząży na ramiona, powoli przeszedł na rufę łodzi. Wciąż nie przywykł do ciężkiego, krępującego ruchy, suchego kombinezonu. Kątem oka dostrzegł podchodzącego sierżanta.

– Wszystko w porządku? Gotów? – rozległ się cichy baryton.

– Chyba tak, sir – odparł Snow. – A co z lampami-czołówkami?

Sierżant rzucił mu zdziwione spojrzenie.

– Te budynki całkowicie blokują dostęp światła. Przydałyby się lampy, jeżeli mamy tam coś wypatrzeć, no nie?

Sierżant uśmiechnął się.

– To bez znaczenia. Kloaka ma około dwudziestu stóp głębokości. Poniżej zalega warstwa od dziesięciu do piętnastu stóp rzadkiego mułu. Gdy tylko musnąć go płetwami, wzbija się w górę jak przy wybuchu bomby. Nie będziecie widzieć niczego, choćby nawet znalazło się tuż przed waszym nosem. Pod rzadkim osadem jest jeszcze trzydzieści stóp gęstego mułu. Pakunek spoczywa gdzieś w tym właśnie mule. Tam na dole ważniejsze od oczu będą dla was ręce.

Spojrzał badawczo na Snowa i zawahał się przez chwilę.

– Posłuchaj – rzekł półgłosem. – To coś całkiem innego niż ćwiczebne nurkowanie w Hudsonie. Zabrałem cię z nami tylko dlatego, że Cooney i Schultz są nadal w szpitalu.

Snow skinął głową. Obaj nurkowie złapali „blasta”, czyli blastomykozę – zakażenie grzybicze atakujące organy wewnętrzne – gdy zaledwie przed tygodniem poszukiwali podziurawionych kulami zwłok leżących wraz z limuzyną na dnie North River. Mimo cotygodniowych badań mających na celu wczesne wykrycie w ciele potencjalnych pasożytów, każdego roku zdrowie nurków rujnowały rozliczne wyniszczające choroby.

– Jeśli zechcesz przesiedzieć tę akcję w łodzi, zrozumiem – ciągnął sierżant. – Możesz zostać na pokładzie i pomóc przy linach prowadzących.

Snow spojrzął na pozostałych nurków, zapinających pasy obciążeniowe, dociągających suwaki suchych kombinezonów, przerzucających za burtę liny. Przypomniał sobie pierwszą zasadę zespołu nurków: Wszyscy schodzą pod wodę. Fernandez sprawnie przymocował linę do kołka, zerknął na kolegów i uśmiechnął się znacząco.

– Schodzę, sir – rzekł Snow.

Sierżant przyglądał mu się przez długą chwilę.

– Pamiętaj o podstawowych zasadach. Nie spiesz się. Nie trać głowy. Zdarza się, że po dotarciu do mułu nurkowie wstrzymują oddech. Nie rób tego, to najszybsza droga do embolii. Nie przepompuj kombinezonu. I, na miłość boską, nie puszczaj liny. W tym mule zapominasz, gdzie góra, gdzie dół. Zgubisz linę i następnym ciałem, którego przyjdzie nam szukać, będzie twoje.

Wskazał najdalszą z lin, zamocowaną na rufie.

– Tam będzie twoja pozycja.

Snow odczekał chwilę, spowalniając oddech, podczas gdy na głowę włożono mu maskę i podcepiono do niego linę. Następnie, po ostatniej kontroli, znalazł się za burtą.

Mimo krępującego ruchu, obcisłego kombinezonu, woda dookoła wydała mu się jakaś dziwna. Lepka i gęsta jak syrop nie przepływała obok niego ani nie przelewała się między palcami. Przebijanie się przez nią wymagało wysiłku, jak pływanie w ropie lub kleju.

Zaciskając palce na linie prowadzącej, zanurzył się kilka stóp pod powierzchnię. Kilu łodzi płynącej powyżej nie było już widać, pochłonął go miazmat drobin, które wypełniły płynną przestrzeń wokół niego. Rozejrzał się dookoła w słabym, zielonkawym świetle. Niemal natychmiast tuż przed swoją twarzą dostrzegł własną, urękawiczoną dłoń zaciśniętą na linie. Nieco dalej zobaczył swoją drugą rękę, wyciągniętą jak struna i sondującą wodę. W przestrzeni pomiędzy jedną a drugą unosiło się mrowie wirujących drobin. Nie widział swoich stóp, poniżej była tylko czern. Dwadzieścia stóp niżej, pośród tej czerni, rozciągało się sklepienie całkiem innego świata – świata gęstego, lepkiego, wszechogarniającego mułu.

Nagle kątem oka dostrzegł – lub tylko wydawało mu się, że zobaczył – pośród słabych, mętnych prądów rozciągającą się poniżej warstwę falującej mgły, kołyszącą się leniwie, pofałdowaną powierzchnię. Była to warstwa osadów dennych. Podpłynął wolno w tę stronę, czując, jak w żołądku rośnie mu gula strachu. Sierżant mówił, że nurkom często wydawało się, że widzą w tych wodach rozmaite dziwne rzeczy. Niekiedy trudno odróżnić, co z nich istnieje naprawdę, a co jest tylko wytworem wyobraźni.

Jego stopa dotknęła dziwnej, falującej powierzchni, przebiła ją – i w okamgnieniu otoczyła go chmura wzburzonych osadów, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek. Snow przez chwilę walczył ze wzbierającą w nim paniką, zaciskając dłonie na linie prowadzącej. Już zaczął pięć się po niej, lecz w końcu opanował się na myśl o drwiącym uśmiešku i uszczypliwych komentarzach Fernandeza. Opuścił się z powrotem. Każdy ruch sprawiał, że jego maskę atakowały kolejne fale szerniałej, gęstej od mułu wody. Snow instynktownie wstrzymał oddech, lecz gdy tylko uświadomił sobie, co robi, zmusił się, by ponownie oddychać normalnie i głęboko. Ale kanał, pomyślał. Moje pierwsze prawdziwe zanurzenie w zespole, a jestem o krok od zamknięcia u czubków. Znieruchomiał na chwilę, wyrównując oddech i odzyskując poprzedni regularny rytm.

Opuszczał się po linie, pokonując etapy po kilka stóp naraz, poruszał się wolno, spokojnie, usiłując się odprężyć i uspokoić. Trochę się zdziwił, stwierdziwszy, że nie ma już dlań znaczenia, czy ma otwarte czy zamknięte oczy. Powrócił myślami do czekającej poniżej warstwy gęstego mułu. Tkwiły w nim najróżniejsze rzeczy, uwięzione jak owady w bursztynie...

Nagle odniósł wrażenie, że dotknął stopami dna. Nie było to jednak podłoże, z jakim wcześniej miewał do czynienia. To podłoże zdawało się rozkładać, uginać pod jego ciężarem z odrażającym, gnilno-elastycznym oporem, pochłaniając jego nogi do kostek, do kolan, aż w końcu zanurzył się w mule po pas, jak w żarłocznej otchłani lotnych piasków. Jeszcze chwila i pogrążył się w mule cały, lecz mimo to wciąż opadał, osuwał się coraz niżej, choć teraz już znacznie wolniej, otoczony ze wszystkich stron szlamem, którego nie widział, lecz czuł, jak



napiera na neoprenowy pancerz jego kombinezonu. Słyszał, jak bąble wydychanego przezeń powietrza opływają jego ciało, unosząc się. Nie wzbijały się szybko, gęstą chmurą, jak zawsze, lecz leniwie dźwigały się coraz wyżej i wyżej w mrok. W miarę jak schodził niżej, szlam zdawał się stawiać coraz większy opór. Jak daleko powinien się zagłębić w to gówno?

Tak jak go nauczono, jedną ręką zatoczył przed sobą półokrąg, usiłując rozeznaczyć się w otoczeniu. Jego dłoń natrafiła na coś. Po ciemku i w grubych rękawicach trudno było powiedzieć, co napotkał – gałęzie drzew, jakieś rury, płataniny drutów, nagromadzone przez stulecia śmieci uwięzione w błotnistym cementarzysku.

Jeszcze dziesięć stóp i wraca. Po czymś takim nawet Fernandez nie zechce się z niego nabijać.

Wtem jego ręka badająca otoczenie uderzyła w coś twardego. Kiedy Snow szarpnął, znalezisko wolno podплыnęło w jego stronę, stawiając opór, co mogło świadczyć, iż było dość ciężkie.

Snow oplótł jedną ręką linę prowadzącą i zaczął badać przedmiot.

Cokolwiek znalazł, na pewno nie był to pakunek z heroiną. Wypuścił przedmiot, pozwalając mu odpłynąć w czerń. Znaleziona rzecz zafalowała pod wpływem prądów wznieconych ruchami jego płetw i uderzyła go pośród mroku, strącając mu z oczu maskę i na krótką chwilę wytrącając ustnik. Odzyskawszy równowagę, Snow zaczął wodzić dłonią po odnalezionym obiekcie i szukał sposobu, by odepchnąć go jak najdalej od siebie.

Zupełnie jakby miał do czynienia z czymś mocno spletanym i złożonym, jak na przykład gruby konar drzewa lub coś w tym rodzaju. Miejscami to coś wydawało się jednak dość miękkie. Zaczął macać obiema dłońmi, odnajdując gładkie powierzchnie, zaokrąglone wyrostki i miękkie wypukłości. Nagle Snow zdał sobie sprawę, że dotyka kości. Niejednej, lecz kilku, połączonych cienkimi pasmami ścięgien. Były to na wpół rozłożone szczątki jakiegoś stworzenia, być może konia, lecz w trakcie badań Snow uświadomił sobie, że tak naprawdę dotyka człowieka. A raczej tego, co kiedyś nim było.

Ludzkiego szkieletu. Znow spróbował spowolnić oddech, zmusić umysł, aby pracował jak należy. Zdrowy rozsądek i doświadczenie mówiły mu, że nie może zostawić tych szczątków na dnie. Musiał wydobyć je na powierzchnię.

Przewłócił linę przez staw biodrowy i oplótł nią, najlepiej jak mógł, długie kości, tkwiące jeszcze w mule. Uznał, że na kościach było jeszcze dość chrząstek, by utrzymały szkielet w całości, dopóki nie znajdzie się na powierzchni. Snow nigdy dotąd nie robił węzła, gdy jest ciemno choć oko wykol, a dłonie otulone są grubymi rękawicami. Sierżant nie kazał im wykonywać takich zadań podczas morderczych treningów.

Nie odnalazł heroiny. Mimo to odkrył coś, być może równie ważnego. Kto wie, może była to ofiara jakiegoś nie rozwikłanego dotąd morderstwa. Ten mięśniak, Fernandez, sfajda się w gacie, kiedy się o tym dowie.

To dziwne, lecz Snow nie czuł wewnętrznej radości. Chciał jedynie jak najszybciej wydostać się z tego paskudnego blocka.

Oddychał szybko, spazmatycznie i nie próbował już tego kontrolować. Kombinezon był teraz lodowaty, ale nie zatrzymał się, by go podpompować. Lina wyslizgnęła mu się, spróbował więc ponownie, trzymając szkielet blisko siebie, by go nie zgubić. Wciąż myślał o całych jardach blocka powyżej, o wirze osadów dennych ponad szlamem i gęstej, oleistej wodzie, której nie przenikały promienie słońca...

Lina wreszcie się naprężyła, a on odmówił w myślach krótką modlitwę dziękczynną. Upewniwszy się, że lina jest dobrze zabezpieczona, szarpnął trzy razy, dając znać, że coś znalazł.

Zaraz potem zaczął piąć się po linie, aby wydostać się z tego mrocznego koszmaru, znaleźć się na pokładzie łodzi i zejść na ląd, gdzie przez pół godziny, a może i dłużej będzie moczyć się pod prysznicem, zaleje pałę i zastanowi się nad powrotem do dawnej roboty. Za miesiąc zaczynał się sezon nurkowań. Sprawdził linę, upewnił się, że zawiązał ją mocno wokół długich kości trupa. Jego dłonie przesunęły się wyżej, dotykając żeber, mostka, przewlekając linę pomiędzy kolejnymi kośćmi, aby nie ześlizgnęła się, gdy będą go wciągać na łódź. Jego palce wciąż wędrowały ku górze, lecz w pewnym miejscu kręgosłup kończył się i dalej nie było już nic, tylko czarna pustka.

Nie ma głowy. Snow instynktownie cofnął dłoń i w panice uświadomił sobie, że puścił linę prowadzącą.

Zaczął młócić rękoma i uderzył w coś – znowu szkielet. Schwycił go rozpaczliwie, z ulgą, niemal obejmując go. Szybko sięgnął w dół, usiłując namacać linę. Wodził dłońmi po długich kościach, próbując przypomnieć sobie, jak je obwiązał.

Ale liny nie było. Czyżby się obluzowała? Nie, to niemożliwe. Próbował przesunąć i obrócić ciało w poszukiwaniu liny, gdy nagle jego przewód tlenowy zahaczył o coś niewidocznego. Snow, zdezorientowany, cofnął się gwałtownie i poczuł, że zaczyna mu spadać maska. Coś ciepłego i gęstego wpłynęło pod spód. Usiłował się uwolnić, szarpnął głową i maska się zsunęła. Płynne blocko zalało mu oczy, wpłynęło do nosa, zaczęło wdzierać się do lewego ucha. Z narastającą zgrozą uświadomił sobie, że tkwił spleciony w makabrycznym uścisku z drugim szkieletem. A potem pochłonęła go ślepa, odbierająca zmysły panika. Zaczął wrzeszczeć.

Z pokładu policyjnej łodzi motorowej porucznik D'Agosta bez większego zaciekawienia obserwował operację wydobywania na powierzchnię młodego nurka. Widok robił wrażenie: mężczyzna miotał się i wił, jego bulgoczące wrzaski tłumilo wypełniające usta błoto, strugi substancji w kolorze ochry spływały z kombinezonu, barwiąc wodę na czekoladowo. W którymś momencie nurek musiał stracić kontakt z liną; miał szczęście, ogromne szczęście, że udało mu się odnaleźć drogę na powierzchnię. D'Agosta czekał cierpliwie, aż

rozhisteryzowany nurek zostanie wciągnięty na pokład, rozebrany z kombinezonu, umyty i uspokojony. Patrzył, jak mężczyzna wymiotuje za burtę – dobrze, że nie na pokład, zauważył z uznaniem D’Agosta. Nurek odnalazł szkielet. A raczej dwa. Nie po to go, co prawda, wysłano, ale całkiem nieźle jak na dziewicze zanurzenie. Napisze pochwałę dla tego biedaka. Chłopakowi pewno nic nie będzie, jeśli tylko nie nałykał się tego świństwa, które oblepiło mu usta i nos. A gdyby nawet... cóż, w tych czasach antybiotyki czynią cuda. Pierwszy szkielet, gdy wyłonił się ze wzburzonej wody, wciąż był pokryty szlamem. Płynący stylem bocznym nurek podholował zwłoki do łodzi D’Agosty, zebrał szczątki w sieć i wciągnął na pokład. Ociekające wodą ułożono je na brezencie u stóp D’Agosty niczym upiorny połów.

– Jezu, mogliście to choć trochę opłukać – rzekł D’Agosta, krzywiąc się, gdy doszła go dusząca woń amoniaku. Powyżej tafli wody to on przejmował jurysdykcję nad szczątkami i z całego serca miał ochotę wrzucić je z powrotem tam, skąd je wydobyto. Zauważył, że szkielety pozbawione były czerepów.

– Mam je opłukać, sir? – spytał nurek, sięgając po szlauch.

– Najpierw siebie. – Nurek wyglądał idiotycznie, z boku do głowy przylepił mu się zużyty kondom, po nogach ściekały strużki brudnej wody. Dwóch innych nurków wspięło się na pokład i pospiesznie zaczęło wciągać kolejną linę, podczas gdy trzeci podholował w górę następny szkielet. Gdy szczątki trafiły na policyjną łódź i okazało się, że i one nie mają głowy, na pokładzie zapadła grobowa cisza. D’Agosta przeniósł wzrok na gruby pakiet heroiny, również odnaleziony i spoczywający bezpiecznie w podgumowanej torbie na dowody. Nagle przestał mu się wydawać interesujący.

Żując w zamyśleniu koniuszek cygara, D’Agosta odwrócił wzrok i zaczął lustrować Kloakę. Jego spojrzenie padło na stary wylot bocznego kanału z West Side. Ze sklepienia zwieszało się kilka przypominających zęby stalaktytów. West Side Lateral był jednym z największych w tym mieście, stanowił ujście dla prawie całego Upper West Side. Za każdym razem gdy Manhattan nawiedzała sroga ulewa, woda deszczowa odprowadzana była do przetworni odpadów w dolnym biegu Hudsonu, a wylewane stamtąd ścieki trafiały do West Side Lateral. I do Kloaki.

Wyrzucił niedopałek cygara za burtę.

– Będziecie musieli znowu się zamoczyć, chłopcy – rzekł, wypuszczając ustami wielki kłęb dymu. – Chcę dostać czaszki.

## 2

Louie Padelsky, zastępca koronera na miasto Nowy Jork, spojrzął na zegarek, czując, że kiszki grają mu marsza. Konał z głodu. Od trzech dni żył tylko na chipsach, dopiero dziś miał szansę zjeść obiad z prawdziwego zdarzenia. Pieczony kurczak á la Popeye. Przesunął dłonią

po opasłym brzuszku, macając go i szturchając leciutko. Jakby go trochę ubyło. Tak, zdecydowanie go ubyło.

Pociągnął łyk z piątego już kubka czarnej kawy i spojrzął na grafik. No, nareszcie coś ciekawego. Żadnych ofiar strzelaniny, przedawkowania, żadnych ran od noża.

Stalowe drzwi na końcu sali autopsyjnej otwarły się z hukiem i weszła pielęgniarzka, Sheila Rocco, wtaczając nosze z brązowymi zwłokami, po czym przeniosła je na wózek sekcyjny. Padelsky spojrzął na ciało, odwrócił wzrok i zerknął raz jeszcze. Trup to niewłaściwe określenie, skonstatował. To, co leżało na stole, wyglądało raczej jak szkielet pokryty strzępami tkanek. Padelsky zmarszczył nos.

Rocco przetoczyła wózek pod lampy i zaczęła podłączać rurę odsączającą.

– Odpuść sobie – rzekł Padelsky. Jedyne, co można tu było wysączyć, to jego kubek kawy. Wypił spory łyk, wrzucił kubek do kosza, sprawdził plakietkę przy ciele, porównał z zapisem w grafiku, potwierdził zgodność i nałożył lateksowe rękawiczki.

– Co mi tu przywiozłaś, Sheilo? – zapytał. – Człowieka z Piltdown?

Rocco zmarszczyła brwi i poprawiła zawieszenie lamp nad wózkiem.

– Te zwłoki musiały być pogrzebane od dobrych paru stuleci. Na dodatek chyba w gnojówce, bo śmierdzą jak wszyscy diabli. Może to faraon Szajsenhamon we własnej osobie.

Rocco wyduła wargi i czekała, podczas gdy Padelsky zaśmiewał się do rozpuku. Kiedy skończył, bez słowa podała mu podkładkę z przypiętymi kartkami.

Padelsky szybko je przejrzał, czytając bezgłośnie treść załączonych wydruków. Nagle się wyprostował.

– Wydobyte z Humboldt Kill – wymamrotał. – Chryste Panie. – Zerknął na pojemnik z rękawicami, zastanawiając się, czy włożyć dodatkową parę, ale w końcu zmienił zamiar. – Hmm. Zdekapitowane, głowy wciąż nie mamy... brak ubrania, ale gdy je znaleziono, zwłoki miały na sobie metalowy pasek.

Przeniósł wzrok nad zwłokami i dostrzegł przywieszony do wózka woreczek z rzeczami osobistymi.

– Obejrzyjmy je sobie – powiedział, sięgając po worek. Wewnątrz znajdował się cienki, złoty pasek ze sprzączką Uffizi i osadzonym w niej topazem.

Koroner wiedział, że pasek został już zbadany, ale mimo to nie wolno mu było go dotknąć. Zauważył, że po wewnętrznej stronie paska znajdował się numer.

– Drogi – rzekł Padelsky, wskazując na pasek. – Może to kobieta z Piltdown. Albo transwestyta. – Znów się roześmiał.

Rocco zmarszczyła czoło.

– Doktorze Padelsky, czy moglibyśmy okazać temu ciału nieco więcej szacunku?

– Oczywiście, oczywiście. – Odwiesił podkładkę na haczyk i poprawił mikrofon wiszący nad wózkiem. – Sheila, kochanie, włącz, proszę, magnetofon.

Gdy włączyła urządzenie, głos lekarza stał się nagle surowy, oschły i zawodowo konkretny.

– Mówi doktor Louis Padelsky. Jest drugi sierpnia, godzina dwunasta pięć. Wraz z moją asystentką, Sheilą Rocco, przeprowadzamy teraz sekcję... – spojrzał na plakietkę – numeru A-1430. Mamy tu bezgłowe zwłoki, właściwie niemal sam szkielet – Sheila, zechcesz go wyprostować? – długości około czterech stóp i ośmiu cali. Dodając brakującą czaszkę, możemy oszacować pełną długość ciała na pięć stóp i sześć, maksimum siedem cali. Określimy płęć szkieletu. Miednica dość szeroka. Sądząc po jej wyglądzie, mamy tu kobietę. Brak odkształceń kręgu lędźwiowego, więc nie miała jeszcze czterdziestki. Trudno orzec, jak długo przebywała w zanurzeniu. Czuć wyraźnie silny odór... ścieków. Kości są brunatnopomarańczowe i wyglądają, jakby od dłuższego czasu leżały w mule. Mamy jednak wciąż dostatecznie dużo zachowanych tkanek łącznych, by utrzymywały zwłoki w całości, natomiast wokół środkowych i bocznych kłykci kości udowej dostrzec można postrzępione końce tkanek mięśniowych. Zachowały się one także przy kości kulszowej i kości krzyżowej. Sporo materii, by można przeprowadzić analizę DNA i określić grupę krwi. Poproszę o nożyczki. – Odciął fragment tkanki i włożył do torebki. – Sheila, czy mogłabyś odwrócić miednicę na bok? O tak, przyjrzyjmy się... szkielet jest prawie cały, oczywiście jeśli nie liczyć brakującego czerepu. Wygląda na to, że brak również wyrostka osiowego... pozostało sześć kręgów szyjnych... nie ma dwóch wolnych żeber i całej lewej stopy.

Kontynuował opisywanie szkieletu. W końcu odsunął się od mikrofonu.

– Sheila, podaj mi rongeur.

Sheila podała mu nieduży przedmiot, za pomocą którego Padelsky oddzielił kość barkową od kości łokciowej.

– Dźwigacz okostnej. – Zagłębił go w kręgu, pobierając tuż przy kości próbki tkanki łącznej. Następnie założył jednorazowe okulary ochronne.

– Proszę o piłę.

Podawała mu małą piłę o napędzie azotowym; uruchomił ją, odczekując chwilę i sprawdzając na tachometrze, aż urządzenie osiągnie odpowiednią liczbę obrotów na minutę. Kiedy diamentowe ostrze dotknęło kości, pomieszczenie wypełniło się wysokim, piskliwym brzęczeniem, jakby wpuszczono tu stado rozjuszonych komarów. Równocześnie pojawiła się drażniąca woń pyłu kostnego, ścieków, gnijącego szpiku i śmierci.

Padelsky pobrał kilka próbek, a Rocco umieściła je w plastikowych torbach.

– Chcę pełnego skanu pod mikroskopem elektronowym i stereozoomowych zdjęć każdej z tych mikropróbek – rzekł Padelsky, odstepując od wózka i wyłączając magnetofon.

Rocco czarnym flamastrem napisała na każdej z plastikowych torebek, jakim analizom ma zostać poddana ich zawartość.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sheila podeszła, by otworzyć, na chwilę zniknęła za drzwiami, po czym wychyliła się i zawołała:

– Doktorze, mają już wstępną identyfikację zwłok na podstawie tego paska – oznajmiła. – To Pamela Wisher.

– Pamela Wisher, ta dziewczyna z towarzystwa? – spytał Padelsky, zdejmując gogle i cofając się o kilka kroków. – O Jezu.

– Jest jeszcze drugi szkielet – ciągnęła Sheila. – Z tego samego miejsca.

Padelsky podszedł do głębokiego, metalowego zlewu, gdzie zamierzał zdjąć rękawice i umyć ręce.

– Drugi? – burknął z irytacją. – Czemu, u diabła, nie przysłali go tu od razu? Mógłbym przeprowadzić równocześnie dwie sekcje. – Spojrzał na zegarek. Już kwadrans po pierwszej. Niech to szlag, obiad zje najwcześniej o trzeciej. Był tak głodny, że niemal padał z nóg.

Drzwi otwały się na oścież i pod lampy wwieziono drugi szkielet. Padelsky ponownie włączył magnetofon i zaparzył sobie kolejną kawę, podczas gdy pielęgniarka wykonywała czynności przygotowawcze.

– Ten też nie ma głowy – rzekła Rocco.

– Żartujesz, prawda? – odparł Padelsky. Podszedł bliżej, spojrzał na szkielet i zastygł w bezruchu, z kubkiem tuż przy ustach.

– Co, do... – Opuścił kubek i patrzył przez chwilę z rozdziawionymi ustami.

Następnie odstawił kawę, podszedł do wózka i nachyliwszy się nad szkieletem, wolno przesunął urękawiczonymi palcami po jednym z żeber.

– Doktorze? – odezwała się Rocco.

Padelsky wyprostował się, wrócił do magnetofonu i wyłączył go, naciskając klawisz stop.

– Zakryj ciało prześcieradłem i sprowadź doktora Brambella. I ani słowa na ten temat... – Skinął w stronę zwłok. – Nikomu.

Zawahała się, spoglądając z zakłopotaniem na okaleczony szkielet. Jej oczy z wolna przepełniło niewytłumaczalne przerażenie.

– Rusz się, kochanie. Wydałem ci polecenie i masz je wykonać natychmiast!

### 3

Telefon rozdzwonił się nagle, rozdzierając ciszę małego muzealnego gabinetu. Margo Green, ze wzrokiem wlepionym w ekran monitora, poderwała się jak oparzona, a kosmyki krótkich kasztanowych włosów wpadły jej do oczu.

Telefon zadzwonił ponownie i już wstała, aby go odebrać, gdy nagle się zawahała. To na pewno jedna z osób wpisujących dane, skarżąca się na kłopoty z jej czasochłonnym programem.

Usiadła z powrotem w fotelu i czekała, aż telefon przestanie dzwonić; mięśnie pleców i nóg bolały ją po wczorajszym treningu, niemniej było to całkiem przyjemne doznanie.

Sięgnęła po leżące na biurku urządzenie do ćwiczeń dłoni i zaczęła je ścisnąć w zwyczajnym rytmie, który stał się dla niej tak rutynowy, że robiła to prawie instynktownie. Jeszcze pięć minut i jej program zostanie zakończony. Potem będzie mogła przyjmować skargi od wszystkich, którzy czuli się zawiedzeni.

Wiedziała, że z powodu przyjętej w muzeum polityki cięć budżetowych wszystkie ważniejsze projekty musiały być zatwierdzane odgórnie. Oznaczałoby to jednak długotrwałą wymianę e-maili, zanim mogłaby wprowadzić swój program w życie. A ona potrzebowała rezultatów już teraz.

Przynajmniej na Uniwersytecie Columbia, gdzie pełniła funkcję instruktora dopóty, dopóki nie przyjęła stanowiska zastępcy kuratora w nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej, nie miała tylu problemów z cięciami budżetowymi. Ostatnimi czasy stało się niemal regułą, że z przyczyn finansowych w muzeum bardziej stawiano na formę niż na treść ekspozycji. Margo widziała już reklamy zapowiadające na przyszły rok wielką wystawę pod nazwą „Plagi XXI wieku”.

Spojrzała na ekran, aby sprawdzić, co z jej programem, po czym odłożyła przyrząd do ćwiczeń, sięgnęła do torebki i wyjęła „New York Post”. Gazeta i kubek mocnej, czarnej kawy stanowiły jej poranny rytuał. Było coś odświeżającego w agresywnym stylu artykułów „Post”, co przywodziło jej na myśl dawne dzieje i początki dziennikarstwa. Poza tym wiedziała, że jej stary przyjaciel, Bill Smithback, zrugałby ją na czym świat stoi, gdyby dowiedział się, iż przeczyła choćby jeden artykuł jego autorstwa, nieodmiennie traktujący o zbrodniach, gwałtach i przemocy.

Rozłożyła gazetę na kolanach, a ujrzawszy nagłówek, mimo woli się uśmiechnęła. Na pierwszej stronie widniał wielki, typowy dla „Post” krzykliwy nagłówek:

## CIAŁO W KANALE ZIDENTYFIKOWANE JAKO NALEŻĄCE DO ZAGINIONEJ DZIEDZICZKI

Przeczytała początek artykułu. Tak, to było dzieło Smithbacka. To już drugi jego artykuł na pierwszej stronie w tym miesiącu, pomyślała. Bez wątpienia polechce to jego próżność do tego stopnia, że dziennikarz zacznie się puszyć, nadymać i stanie się nie do wytrzymania. W kilku pierwszych zdaniach sprawnie opisał fakty znane dziś już chyba każdemu nowojorczykowi. „Piękna dziedziczka”, Pamela Wisher, znana z dość hulaszczego trybu życia, zniknęła przed dwoma miesiącami z podziemnego klubu przy Central Park South. Od tej pory wizerunki jej „uśmiechniętej twarzy o śnieżnobiałych zębach, nieobecnych niebieskich oczach i blond włosach ułożonych w wykwinną koafiurę” zdobiły rogi wszystkich ulic od Pięćdziesiątej Siódmej po Dziewięćdziesiątą Szóstą. Margo często widziała kolorowe kserokopie zdjęć Pameli, gdy biegła do muzeum ze swego mieszkania przy West End Avenue.

Obecnie jednak – jak głosił surowy artykuł, stwierdzono, że szczątki odkryte dzień wcześniej, zagrzebane w mule i nieczystościach na dnie Humboldt Kill i pozostające w kościstym uścisku z innym szkieletem, zostały zidentyfikowane jako należące do Pameli Wisher. Drugi szkielet pozostaje nie rozpoznany. Dołączone zdjęcie przedstawiało bliskiego przyjaciela Wisher, młodego wicehrabiego Adaira siedzącego na chodniku przed Platypus Lounge, z twarzą ukrytą w dłoniach; zdjęcie to zrobiono kilka minut po tym, jak dowiedział się on o jej tragicznej śmierci. Policja, rzecz jasna, „prowadziła szeroko zakrojone działania”. Artykuł Smithbacka zamykało kilka cytatów zaczerpniętych od przypadkowych przechodniów, w rodzaju: „Takich, co to zrobili, powinno się usmażyć na krześle”.

Odłożyła gazetę, myśląc o ziarnistej twarzy Pameli Wisher, patrzącej na nią z licznych plakatów. Zasłużyła na lepszy los. Cóż z tego, że była teraz główną atrakcją w gazecie i zapewne stanie się przebojem lata?

Przenikliwy dźwięk telefonu ponownie wyrwał Margo z zamyślenia. Spojrzała na komputer. Ucieszyła się, widząc, że program wreszcie został zakończony. W sumie czemu miałabym nie odebrać?, pomyślała. Prędzej czy później i tak będzie musiała rozmówić się z tymi ludźmi.

– Margo Green – powiedziała.

– Doktor Green? – rozległ się głos. – W samą porę.

Silny akcent z Queens wydał się jej dziwnie znajomy, jak na wpół zapomniany sen. Szorstki, apodyktyczny. Margo poszukała w myślach wspomnienia twarzy przynależnej do głosu na drugim końcu łącza.

...Możemy jedynie stwierdzić, że odnaleźliśmy ciało. Co do okoliczności zgonu prowadzone jest intensywne śledztwo...

Wyprostowała się w fotelu, kompletnie zdezorientowana.

– Porucznik D’Agosta? – spytała.

– Jesteś nam potrzebna w laboratorium medycyny sądowej – rzekł D’Agosta. – I to natychmiast, bardzo proszę.

– Czy mogę spytać...?

– Nie możesz. Przykro mi. Cokolwiek robisz, rzuć to i przyjdź na dół. – Rozległ się głośny szcęk i na linii zapanowała cisza.

Margo odsunęła słuchawkę od twarzy, wpatrując się w nią, jakby oczekiwała dalszych wyjaśnień. Następnie otworzyła swoją torebkę i włożywszy do środka egzemplarz „Post” w taki sposób, by zasłonił znajdujący się wewnątrz mały, półautomatyczny pistolet, wstała od komputera i opuściła gabinet.



Bill Smithback nonszalanckim krokiem minął wielką fasadę Nine Central Park South, wytworny gmach Mc Kima, Meada & White'a z cegły i rzeźbionego piaskowca. Pod lamowaną złotem markizą sięgającą aż po sam chodnik stało dwóch odźwiernych. Dziennikarz widział też innych pracowników obsługi czekających „na bacność” w rozległym holu. Tak jak się tego obawiał, był to jeden z tych kretyńskich apartamentów, gdzie aż się roi od służby. Będzie ciężko. Bardzo ciężko.

Skręcił za róg Szóstej Alei i przystanął, obmyślając możliwie najlepszy plan działania. Pomacał zewnętrzne kieszenie wiatrówki, odnajdując klawisz nagrywania w dyktafonie. Mógł nacisnąć go niepostrzeżenie, gdy nadejdzie właściwa pora. Spojrzał na swoje odbicie wśród niezliczonych par włoskich butów na wystawie. Jak na niego, prezentował się niezgorzej. Wziął głęboki oddech i wrócił za róg, po czym zdecydowanym krokiem skierował się ku kremowej markizie. Bliższy z mundurowych odźwiernych łypnął nań zuchwale, kładąc urękawiczoną dłoń na wielkiej mosiężnej klamce drzwi.

– Mam się spotkać z panią Wisher – rzekł Smithbach.

– Pańska godność? – rzucił monotonicznie cerber.

– Byłem przyjacielem Pameli.

– Przykro mi – mruknął tamten, nieporuszony – ale pani Wisher nie przyjmuje żadnych gości.

Smithback myślał intensywnie. Zanim odźwierny spróbował go splawić, zapytał go o nazwisko. Zatem pani Wisher spodziewała się kogoś.

– Skoro już musi pan wiedzieć, byłem dziś rano umówiony na spotkanie – rzekł Smithbach. – Niestety, ten termin musiał zostać przesunięty. Zechce pan powiadomić panią Wisher, że już jestem?

Odźwierny zawahał się chwilę, po czym otworzył drzwi i przeprowadził Smithbacka przez marmurowy hol. Dziennikarz rozejrzał się dokoła. Konsjerż, bardzo stary i potwornie wymizerowany mężczyzna, stał za spiżową konstrukcją, która bardziej niż kontuar recepcji przypominała starożytną fortecę. Na drugim końcu holu, za biurkiem w stylu Ludwika XVI siedział funkcjonariusz ochrony. Obok, na lekko rozstawionych nogach, z kciukami zatkniętymi za szeroki pas, stał windziarz.

– Ten pan twierdzi, że jest umówiony z panią Wisher – rzekł do konsjerża odźwierny.

Staruszek po raz pierwszy spojrzął nań z za swego szańca.

– Tak?

Smithback wziął głęboki oddech. Przynajmniej udało mu się wejść do holu.

– Byłem umówiony na spotkanie. Dziś rano, ale ten termin został przesunięty. Pani Wisher oczekuje mnie.

Konsjerż znieruchomiał na chwilę, lustrując zmęczonymi oczami buty Smithbacka, jego wiatrówkę oraz fryzurę. Smithback czekał w milczeniu, poddając się tej inspekcji w nadziei, że udatnie naśladował pełnego werwy i zapału młodzieńca z dobrej i zamożnej rodziny.

– Kogo mam zapowiedzieć? – wychrypiął starsuszek.

– Przyjaciela rodziny. To powinno wystarczyć.

Konsjerż czekał, nie odrywając od niego wzroku.

– Bill Smithback – dodał pospiesznie. Był pewien, że pani Wisher nie czytywała „New York Post”.

Konsjerż spojrzał na coś, co miał rozłożone przed sobą na biurku.

– A co ze spotkaniem umówionym na jedenastą? – zapytał.

– W zastępstwie przysłali mnie – odparł Smithback z zadowoleniem. Była 10.32.

Konsjerż odwrócił się i zniknął w małym gabinecie. Wyszedł stamtąd minutę później.

– Proszę podnieść słuchawkę stojącego obok pana telefonu – oznajmił.

Smithback uniósł słuchawkę do ucha.

– Co? Czy George odwołał spotkanie? – rozległ się cichy, oschły, dystyngowany głos.

– Pani Wisher, czy mogę wjechać na górę? Chciałbym pomówić z panią o Pameli.

Zapadła cisza.

– Kto mówi? – zapytał głos.

– Bill Smithback.

Znów zapadła cisza, tym razem dłuższa. Smithback kontynuował.

– Mam coś bardzo ważnego, informacje na temat śmierci pani córki, których z pewnością nie otrzymała pani od policji. Sądzę, że chciałyby pani wiedzieć...

– Tak, tak, nie wątpię, że je pan posiada.

– Chwileczkę... – rzucił Smithback. Jego umysł pracował jak szalony.

Po drugiej stronie łącza cisza.

– Pani Wisher?

Trzask. Kobieta odłożyła słuchawkę.

Cóż, pomyślał Smithback, przynajmniej próbowałem. Może mógłby zaczekać na zewnątrz, na ławce po drugiej stronie ulicy, aż pani Wisher opuści domowe pielesze. Okazja z pewnością się nadarzy. Coś mówiło mu jednak, że w najbliższej przyszłości pani Wisher nie zechce opuszczać murów swej eleganckiej samotni.

Stojący przy ramieniu konsjerż telefonu zadzwonił piskliwie. Bez wątpienia pani Wisher. Nie chcąc, by potraktowano go jak włóczęgę i siłą wyrzucono za drzwi, Smithback odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem skierował ku wyjściu.

– Panie Smithback! – zawołał za nim konsjerż.

Smithback odwrócił się. Nie znosił takich sytuacji.

Konsjerż spojrzał nań bez wyrazu, słuchawkę wciąż trzymał przy uchu.

– Winda jest tam.

– Winda? – spytał Smithback.

Staruszek skinął głową.

– Siedemnaste piętro.

Windziarz otworzył najpierw mosiężną kratę, a następnie ciężkie, dębowe odrzwia, wpuszczając Smithbacka do holu utrzymanego w brzoskwińowej tonacji, pełnego rozmaitych aranżacji kwiatowych. Na stoliku opodal leżały nadesłane kartki z wyrazami współczucia, w tym cała sterta nie wyjętych jeszcze z kopert. Na drugim końcu cichego pomieszczenia widać było uchylone francuskie drzwi. Smithback podszedł do nich powoli.

Za drzwiami znajdował się spory salon. Kanapy w stylu empire oraz szeszlongi stały rozmieszczone niemal symetrycznie na grubym dywanie. Na przeciwległej ścianie ciągnął się rząd wysokich okien. Smithback wiedział, że po ich otwarciu można cieszyć oczy przepiękną panoramą Central Parku. Teraz jednak były one zamknięte i przesłonięte żaluzjami, nadającymi całemu pomieszczeniu wrażenie mrocznej pośpności.

Z boku coś się poruszyło. Odwracając się, Smithback ujrzał niską, elegancką kobietę o starannie ułożonych kasztanowych włosach, siedzącą na skraju kanapy. Miała na sobie prostą, ciemną sukienkę. Bez słowa skinęła, aby usiadł.

Smithback wybrał fotel klubowy, dokładnie naprzeciw pani Wisher. Na niskim stoliku pomiędzy nimi stał serwis do herbaty; dziennikarz zlustrował wzrokiem rzędy talerzyków pełnych małych trójkątnych placuszków, marmolady, miodu i śmietany. Kobieta nic mu nie zaproponowała, toteż Smithback domyślił się, że zestaw ten przygotowano na umówione spotkanie. Oganął go lekki niepokój na myśl, że George – gość spodziewany o jecie nastej – może zjawić się w każdej chwili. Smithback chrząknął.

– Pani Wisher, bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało pani córkę – powiedział.

W głębi duszy czuł, że mówi szczerze. Widok tego wytwornego pokoju i niezmiernych bogactw, które w obliczu bezlitosnej tragedii znaczyły tyle, co nic, wstrząsnął nim do głębi.

Pani Wisher wciąż patrzyła w dal, z dłońmi złożonymi na podolku. Wydawało mu się, że kobieta prawie niedostrzegalnie skinęła głową, lecz ze względu na słabe oświetlenie nie mógł mieć pewności. Pora przejść do rzeczy, pomyślał, sięgając do kieszeni i powoli wciskając klawisz nagrywania.

– Niech pan wyłączy magnetofon – rzekła pani Wisher. Mówiła niezbyt głośno i z pewnym wysiłkiem, ale tonem zdecydowanym i władczym.

Smithback wyszarpnął dłoń z kieszeni.

– Słucham?

– Proszę wyjąć magnetofon z kieszeni i położyć go tutaj, żebym zobaczyła, że na pewno jest wyłączony.

– Tak, tak, oczywiście – rzucił Smithback, wyłączając urządzenie.

– Nie ma pan za grosz przyzwoitości? – wyszeptwała kobieta.

Smithback położył dyktafon na niskim stoliku i poczuł, że zaczęły go piec uszy.

– Mówi pan, że współczuje mi śmierci córki – ciągnęła kobieta – a jednocześnie uruchamia to plugawe urządzenie. Po tym jak zaprosiłam pana do mego domu.

Smithback poruszył się niespokojnie w fotelu, unikając wzroku pani Wisher.

– N-no tak – wykrztusił. – Przykro mi. Ale... ja tylko... to przecież moja praca... – Zabrzmiało to żałościwie i nieprzekonująco.

– Tak. Właśnie straciłam jedyne dziecko, córkę, która była całą moją rodziną. Jak pan sądzi, panie Smithback, czyje uczucia są w tej sytuacji ważniejsze?

Smithback zamilkł i zmusił się, by spojrzeć na kobietę.

Siedziała bez ruchu, wpatrując się weń w półmroku, dłonie wciąż miała złożone na podolku.

Nagle stało się z nim coś dziwnego, coś tak osobliwego i obcego jego naturze, że w pierwszej chwili nie rozpoznał charakteru tych odczuć.

Poczuł się zażenowany. Zakłopotany. Nie, raczej zawstydzony. Może gdyby walczył o wielki temat i sam wpadł na jego trop, byłoby inaczej. Kiedy jednak znalazł się tutaj i na własne oczy widział smutek pograżonej w żałobie kobiety... To nowe odczucie odsunęło w cień podniecenie i ekscytację, wywołane podążaniem za kolejną sensacją.

Pani Wisher uniosła jedną rękę i wykonała drobny gest, wskazując na coś, co leżało na stoliku obok niej.

– Zakładam, że jest pan tym samym Smithbackiem, który pisuje do tej gazety?

Smithback podążył za jej gestem i z niejaką konsternacją dostrzegł leżący na blacie egzemplarz „Post”.

– Tak – odparł.

Znów splotła dłonie.

– Chciałam mieć pewność. No więc, jakie ma pan ważne informacje dotyczące śmierci mojej córki? Nie, proszę nie mówić, zapewne to kolejny humbug, jak cała reszta.

Raz jeszcze pomieszczenie wypełniła cisza. Smithback po raz pierwszy życzył sobie, aby wreszcie pojawił się gość umówiony na spotkanie o jedenastej. Cokolwiek, byle tylko mógł opuścić to miejsce.

– Jak pan to robi? – zapytała w końcu.

– Co takiego?

– Jak pan wymyśla te brednie? Nie wystarczy, że moja córka została okrutnie zamordowana? Jeszcze na dodatek ludzie tacy jak pan muszą szargać jej dobre imię.

Smithback przełknął ślinę.

– Pani Wisher, ja tylko...

– Czytając te pomyje – ciągnęła – ktoś mógłby pomyśleć, że Pamela była zepsutą dziewczyną z towarzystwa, opływającą w dostatki snobką i egoistką, która dostała to, co jej

się należało. Po lekturze pańskiego artykułu czytelnicy cieszą się, że moja córka została zamordowana. Tak więc nurtuje mnie tylko jedno pytanie: Jak pan to robi?

– Pani Wisher, ludzie w tym mieście zwracają uwagę tylko na to, co krzykliwe i bije po oczach – zaczął Smithback i nagle urwał.

Pani Wisher nie dawała się przekonać, podobnie zresztą jak on sam.

Kobieta wychyliła się lekko do przodu.

– Panie Smithback, nic pan o niej nie wie. Zupełnie nic. Dostrzega pan tylko to, co widać na zewnątrz. I tylko to pana interesuje. Ocenia pan książki po okładkach.

– To nieprawda! – wybuchnął Smithback, zdumiewając tym samego siebie. – To znaczy, nie tylko to mnie interesuje. Chciałbym poznać prawdziwą Pamelę Wisher. Dowiedzieć się, jaka była naprawdę.

Kobieta przyglądała mu się dłuższą chwilę. W końcu wyprostowała się i wyszła z pokoju, by wrócić z niedużą, oprawioną w ramkę fotografią. Podała ją Smithbackowi. Zdjęcie ukazywało sześćioletnią mniej więcej dziewczynkę, bujającą się na linie zawieszanej na konarze rosnącego dębu. Dziewczynka uśmiechała się szeroko, brakowało jej dwóch przednich zębów, mysie ogonki unosiły się za nią na wietrze.

– Taką ją zapamiętam na zawsze, panie Smithback – rzuciła ostro pani Wisher. – Jeśli naprawdę jest pan zainteresowany, niech pan wydrukuje to zdjęcie. Nie tamto, na którym wygląda jak pustogłowa aktoreczka. – Ponownie usiadła i wygładziła sukienkę na kolanach. – Jej ojciec zmarł pół roku temu. Od tego czasu w ogóle się nie uśmiechała. Dopiero zaczynała dochodzić do siebie po tej tragedii. Na nowo uczyła się uśmiechać. Chciała się trochę zabawić przed podjęciem pracy na jesieni. Czy to taka wielka zbrodnia?

– Chciała podjąć pracę? – zapytał Smithback.

Cisza trwała krótko. Smithback w grobowym półmroku poczuł na sobie bezlitosny wzrok pani Wisher.

– Zgadza się. Miała zacząć pracę w hospicjum dla chorych na AIDS. Wiedziałby pan o tym, gdyby tylko trochę się pan przyłożył.

Smithback przełknął ślinę.

– Oto prawdziwa Pamela – rzekła kobieta, a głos nagle zaczął się jej łamać. – Życzliwa, wielkoduszna, pełna życia. Chcę, aby napisał pan o prawdziwej Pamelii.

– Zrobię, co w mojej mocy – wymamrotał Smithback.

Magiczna chwila przysła, pani Wisher znów stała się opanowana, zimna, zdystansowana. Uniosła głowę, wykonała lekki ruch ręką, a Smithback zorientował się, że ich spotkanie dobiegło właśnie końca.

Wykrztusił kilka słów podziękowania, schował dyktafon do kieszeni i szybkim krokiem skierował się ku windzie.

– Jeszcze jedno – powiedziała pani Wisher; jej głos stał się nagle oschły i lodowaty. Smithback przystanął przed francuskimi drzwiami. – Nie powiedzieli mi, kiedy, dlaczego ani

nawet w jaki sposób umarła. Ale zapewniam pana, że nie umarła na próżno. – Mówiła z nowym ożywieniem i intensywnością, Smithback odwrócił się do niej. – Przed chwilą powiedział pan coś bardzo ważnego – ciągnęła. – Pańskim zdaniem ludzie w tym mieście zwracają uwagę tylko na to, co krzykliwe i bije po oczach. Tak właśnie zamierzam się zachowywać.

– Jak? – zapytał Smithback.

Pani Wisher wróciła już jednak na kanapę, jej oblicze skryły mroczne cienie. Smithback przeszedł przez hol i przywołał windę. Czuł się kompletnie wypluty. Dopiero gdy wyszedł na ulicę, mrugając powiekami w ostrym słonecznym świetle, zorientował się, że wciąż trzyma w dłoni zdjęcie Pameli Wisher z dzieciństwa. I zaczął uświadamiać sobie, jak niesamowitą kobietą jest jej matka.

## 5

Metalowe drzwi na końcu szarego korytarza oznaczone były nie rzucającym się w oczy napisem LABORATORIUM ANTROPOLOGII SĄDOWEJ. W tej części muzeum badano ludzkie szczątki. Margo nacisnęła klamkę i zdumiała się, stwierdziwszy, że drzwi są zamknięte.

To dziwne. Była tu niezliczoną ilość razy, asystując przy badaniach szczątków, od peruwiańskich mumii po żyjących w skałach Indian Anasazi, i nigdy dotąd te drzwi nie były zamykane. Uniosła dłoń, aby zapukać. Ktoś jednak otworzył drzwi od środka i jej ręka uderzyła w pustkę.

Weszła do środka i stanęła jak wryta. Laboratorium, zwykle jasno oświetlone i pełne absolwentów szkół wyższych oraz asystentów kustoszy, wyglądało dziwnie mroczno. Pokażnych rozmiarów mikroskopy elektronowe, aparaty rentgenowskie i urządzenia do elektroforezy stały pod ścianami, milczące, nie wykorzystywane.

Okno, z którego zwykle rozciągał się piękny widok na Central Park, przesłonięto grubą, ciemną zasłoną. Oświetlona była jedynie centralna część pomieszczenia. Na jej obrzeżach, wśród cieni, stojące postaci tworzyły półokrąg.

Światło padało na duży stół sekcyjny. Leżało na nim coś brązowego i węzlastego, a na spłachciu niebieskiego plastyku jakiś inny, długi i niski obiekt. Przyjrzawszy się uważnie, Margo stwierdziła, że ową gruzłowatą rzeczą był ludzki szkielet, pokryty gnijącymi strzępami mięśni i tkanek. Czuć było słaby, lecz charakterystyczny fetor rozkładu.

Drzwi zamknęły się za nią, ktoś przekreślił zasuwę. Porucznik Vincent D'Agosta, noszący na sobie chyba ten sam garnitur co podczas śledztwa w sprawie Bestii z Muzeum przed osiemnastoma miesiącami, podszedł do grupy, a mijając Margo, lekko się uklonił. Wyglądało

na to, że odkąd widziała go po raz ostatni, zrzucił parę funtów. Zauważyła, że barwa jego garnituru była niemal identyczna jak kolor szkieletu.

Margo odczekała, aż jej oczy przywykną do półmroku, i zlustrowała twarze osób obecnych w pomieszczeniu. Po lewej stronie D'Agosty stał nerwowy mężczyzna w kitlu, ściskający w pulchnej dłoni kubek z kawą. Obok niego dostrzec można było chudą jak tyka Olivię Merriam, nową dyrektorkę muzeum. Osoba znajdująca się za nią stała w tak głębokim cieniu, że nie sposób było dostrzec rysów jej twarzy, a jedynie rozmazany, szary owal.

Dyrektor uśmiechnęła się chłodno do Margo.

– Dziękuję, że się pani zjawiła, doktor Green. Ci panowie – wskazała na D'Agostę i pozostałych – poprosili o pani pomoc.

Zapadła cisza. Wreszcie D'Agosta westchnął z irytacją.

– Nie możemy dłużej na niego czekać. Mieszka kawał drogi stąd, aż w Mendham, i gdy zadzwoniłem do niego wczoraj wieczorem, nie wydał się zbyt zachwycony perspektywą przyjazdu tutaj.

Powiódł wzrokiem wokoło.

– Czytała pani dzisiejszy numer „Post”, prawda?

Dyrektor spojrzała nań z niesmakiem.

– Nie.

– Wobec tego pozwolę sobie na krótki wstęp. – D'Agosta skinął w stronę szkieletu spoczywającego na stalowym stole opodal. – Oto Pamela Wisher. Córką Anette i śp. Horacego Wishera. Bez wątplenia musiała pani ją widzieć, jej zdjęcia rozwieszane były w całym mieście. Zniknęła około trzeciej nad ranem dwudziestego trzeciego maja. Wieczór spędziła w Whine Cellar, jednym z podziemnych klubów przy Central Park South. Wyszła, aby zadzwonić, i już nie wróciła. W każdym razie, do wczoraj nikt nie wiedział, co się z nią stało; jej ciało, bez głowy, odnaleźliśmy w Humboldt Kill. Najwyraźniej wypłynęło ono z kanału w West Side po jednej z większych ulew w ostatnich dniach.

Margo znów spojrzała na szczątki leżące na stole. W swoim życiu widziała wiele szkieletów, nigdy jednak żadnego, który należałby do znanej jej osoby lub kogoś, o kim choćby słyszała. Trudno uwierzyć, że ta ponura platanina kości była niegdyś piękną blondynką, o której czytała zaledwie przed kwadransem.

– Wraz ze szczątkami Pameli Wisher znaleźliśmy również to. – D'Agosta wskazał na coś, co leżało przykryte niebieskim plastykiem. – Jak dotąd, prasa wie tylko o odkryciu drugiego szkieletu, i dzięki Bogu. – Spojrzał na postać ukrytą w cieniu. – Przekazuję teraz głos głównemu koronerowi, doktorowi Simonowi Brambellowi.

Gdy stanął w świetle, Margo ujrzała szczupłego mężczyznę, mniej więcej sześćdziesięcioletniego. Skóra gładko i ciasno opinała jego łysą czaszkę, a zza okularów w rogowej oprawie błyskały małe, czarne paciorki oczu. Jego pociągłe, szczupłe oblicze było równie pozbawione wyrazu jak czaszka włosów.

Powiódł palcem po górnej wardze.

– Podejdźcie państwo bliżej – rzekł z lekkim dublińskim akcentem – aby lepiej widzieć.

Rozległo się powolne, jakby przepelnione wahaniem szuranie stóp. Doktor Brambell wziął do ręki koniec niebieskiej płachty, przez chwilę rozglądał się beznamiętnie dokoła, po czym zręcznym ruchem zdjął plastik ze stołu.

Margo ujrzała leżące na blacie drugie bezgłowe zwłoki, równie zbrązowiałe i przegniłe jak pierwsze. Kiedy jednak przyjrzała się im uważniej, jej wzrok przykuło coś dziwnego. Wzięła głęboki oddech i w jednej chwili uświadomiła sobie, co ją zaintrygowało: osobliwe zgrubienie kości nóg, dziwaczne zakrzywienie kilku głównych łączy stawowych. To wszystko nie wyglądało tak, jak powinno.

Co, u diabła?, pomyślała.

Rozległo się głośnie pukanie.

– Chryste. – D’Agosta czym prędzej ruszył w stronę drzwi. – Nareszcie.

Gdy otworzył je na oścież, oczom wszystkich ukazał się Whitney Cadwalader Frock, sławny biolog, specjalista w dziedzinie ewolucji, a obecnie niechętny gość porucznika D’Agosty. Jego wózek zaskrzypiał, podjeżdżając do stołu sekcyjnego. Mężczyzna, nie przywitawszy się z zebranymi, obejrzał oba szkielety; przez dłuższą chwilę przyglądał się drugim zwłokom. Wreszcie odchylił się do tyłu, odgarniając kosmyk włosów, który opadł mu na szerokie różowe czoło.

Skinał głową do D’Agosty i pani dyrektor muzeum. Nagle spostrzegł Margo i na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, który rychło przerodził się w szeroki uśmiech.

Margo także uśmiechnęła się i ukloniła. Choć Frock był jej promotorem podczas stażu w muzeum, nie widziała się z nim, odkąd odszedł na emeryturę. Opuścił muzeum, by zająć się wyłącznie pisaniem, choć jak dotąd kontynuacja jego wiekopomnego dzieła *Ewolucja fraktalna* wciąż jeszcze nie ukazała się na rynku księgarskim.

Koroner, który prawie nie zwrócił na Frocka uwagi, podjął przerwany wywód.

– Zaprosiłem tu państwa – rzekł łagodnym tonem – abyście mogli ujrzeć i zbadać osobiście prążkowania kości długich oraz kolce i wyrośle kostne wzdłuż kręgosłupa i u łączy stawowych. A także dwudziestoprocentową rotację zewnętrzną krętarzy. Zauważcie, iż zebra nie mają typowego, pryzmatowego przekroju, lecz trapezoidalny. Na koniec pragnę zwrócić waszą uwagę na zgrubienie kości udowych. Ogólnie rzecz biorąc, był to raczej szpetny osobnik. Rzecz jasna, są to tylko niektóre spośród jego licznych i osobliwych cech natury fizycznej. Odkrycie innych pozostawiam waszej spostrzegawczości.

– No jasne – mruknął pod nosem D’Agosta.

Frock chrząknął.

– Naturalnie nie miałem możliwości gruntownego zbadania szkieletu, zastanawiam się jednak, czy brał pan pod uwagę możliwość wystąpienia DISH?

Koroner znów spojrzał na Frocka, tym razem przenikliwiej.



– Bardzo ciekawe spostrzeżenie – zauważył. – Niestety, błędne. Doktor Frock ma na myśli wystąpienie rozsianej samoistnej hiperostozy szkieletu, jednej z odmian silnego i przewlekłego artretyzmu zwyrodnieniowego. – Pokręcił głową autorytatywnie. – Nie jest to także zmiękczenie kości, czyli osteomalacja, choć gdyby to nie był dwudziesty wiek, powiedziałbym, że mamy do czynienia z najkoszmarniejszym przypadkiem skorbutu, jaki zdarzyło mi się oglądać. Przeszukaliśmy wiele medycznych baz danych, ale nie odnaleźliśmy niczego, co mogłoby być przyczyną tak rozległych zwyrodnień i zmian w wyglądzie kości.

Brambell lekko, niemal czule powiódł palcami po kręgosłupie.

– Jest jeszcze jedna osobliwa anomalia występująca u obu szkieletów, którą zauważyliśmy zaledwie wczoraj wieczorem. Doktorze Padelsky, zechciałby pan podtoczyć tu stereozoom?

Otyły mężczyzna w kitlu znikł w mroku, ale zaraz wrócił, pchając przed sobą spory mikroskop na kółkach. Ustawił go nad kośćmi szyjnymi zdeformowanego szkieletu, zajrzał przez okular, dokonał kilku korekt i cofnął się.

Brambell wykonał przywołujący gest dłonią.

– Doktorze Frock?

Mężczyzna na wózku podjechał i z trudem uniósł się, by spojrzeć przez okular. Wydawało się, że trwał w bezruchu kilka minut, nachylając się nad kościstymi zwłokami. Wreszcie odjechał do tyłu, nie mówiąc ani słowa.

– Doktor Green? – koroner zwrócił się do Margo. Podeszła do mikroskopu i świadoma, że wzrok wszystkich spoczywa teraz na niej, nachyliła się nad okulem.

W pierwszej chwili nie wiedziała, na co patrzy. I nagle zorientowała się, że stereozoom ustawiony był na coś, co przypominało krąg karkowy. Na jego krawędzi widniało kilka płytkich, regularnych wgłębień. Do kości przywarła jakaś obca, brązowa substancja, fragmenty chrząstek, pasma tkanki mięśniowej i mała grudka tłuszczowosku.

Wyprostowała się powoli, czując nawrót starego, znajomego lęku; wołała nie zastanawiać się, co przypominały jej owe ślady na kości.

Koroner uniósł brwi.

– Pani opinia, doktor Green?

Margo odetchnęła głęboko.

– Gdybym miała wyrazić swoje przypuszczenie, powiedziałabym, że wygląda to na ślady zębów.

Oboje z Frockiem wymienili krótkie spojrzenia.

Teraz wiedziała już – oboje wiedzieli – dlaczego Frock został wezwany na dzisiejsze spotkanie.

Brambell czekał, podczas gdy inni po kolei oglądali obraz pod mikroskopem. Następnie bez słowa przetoczył stereozoom nad zwłoki Pamelii Wisser, tym razem koncentrując urządzenie na kości miednicy. I znów Frock spojrział przez okular pierwszy, a zaraz po nim

Margo. Tym razem nie było najmniejszych wątpliwości: Margo zauważyła, że w kilku miejscach ślady były tak głębokie, że sięgały aż do warstwy szpiku.

Frock zamrugał w zimnym, białym świetle.

– Porucznik D’Agosta powiedział mi, że te szkielety wydobyto z bocznego kanału w West Side.

– Zgadza się – potwierdził D’Agosta.

– Wypłynęły po jednej z ulew, gdy kanały wypełniły się wodą.

– Tak przypuszczamy.

– Może bezpieczne psy zajęły się naszą parą, gdy ich ciała spoczywały jeszcze w kanałach.

– To jedna z możliwości – przytaknął Brambell. – Na podstawie najgłębszych z tych śladów oszacowałem, że nacisk szczęk musiał wynosić około tysiąca dwustu funtów na cal kwadratowy. Trochę sporo jak na psa, nie sądzi pan?

– Wcale nie, jeżeli weźmiemy na przykład rodezyjskiego ridgebacka – zaproponował Frock.

Brambell pochylił głowę.

– Albo psa Baskerwilów, czyż nie, profesorze?

Słyszając ten sarkastyczny komentarz, Frock aż się skrzywił.

– Nie jestem przekonany, że te ślady są faktycznie tak głębokie i że w grę wchodzi tak duża siła nacisku.

– Aligator – odezwał się D’Agosta.

Głowy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

– Aligator – powtórzył nieomal bojaźliwie. – No, wiecie. Splukano je w toalecie, gdy były jeszcze małe, ale w tunelach ściekowych urosły do monstrualnych rozmiarów. – Rozejrzał się dokoła. – Gdzieś o tym czytałem.

Brambell zachichotał ochryple.

– Aligatory, jak wszystkie gady, mają zęby o stożkowym kształcie. Te ślady zostały zrobione przez małe, trójkątne zęby ssaka, najprawdopodobniej z rodziny psowatych.

– Psowaty, ale nie pies? – wtrącił Frock. – Nie zapominajmy o brzytwie Ockhama. Najprostsze wyjaśnienie jest zazwyczaj słuszne.

Brambell przekrzywił głowę w stronę Frocka.

– Wiem, że w pańskiej profesji, doktorze Frock, brzytwa Ockhama cieszy się wielką estymą. W mojej wszelako bardziej sprawdza się powiedzenie Sherlocka Holmesa: kiedy wyeliminujemy to, co niemożliwe, to, co pozostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdziwe.

– Jak zatem brzmi pańska opinia, doktorze Brambell? – uciął Frock.

– W chwili obecnej nie potrafię tego w żaden sposób wytłumaczyć.

Frock usiadł wygodniej w swoim fotelu na kółkach.

– Ten drugi szkielet wydaje się interesujący. Może warto było przyjechać tutaj aż z Mendham. Niemniej zapominacie chyba, że jestem już na emeryturze.

Margo przyglądała mu się z marsową miną. Zazwyczaj podobne sytuacje i nie rozwikłane zagadki wprawiały profesora w stan ożywienia, bliski niemal euforii. Zastanawiała się, czy może on również, podobnie jak i ona, powracał teraz myślami do wydarzeń sprzed osiemnastu miesięcy. A jeżeli tak, może próbował się hamować. Tego typu wspomnienia nie gwarantowały spokojnej emerytury.

Głos zabrała Olivia Merriam.

– Doktorze Frock – powiedziała – liczyliśmy, że zechce pan asystować przy analizie tych szkieletów. Z uwagi na niezwykle okoliczności muzeum zgodziło się udostępnić swoje laboratorium policji. Będziemy radzi, oddając do pańskiej dyspozycji gabinet na czwartym piętrze wraz z sekretarką na tak długo, jak to będzie konieczne.

Frock uniósł brwi.

– Z pewnością w kostnicy miejskiej mają cały niezbędny sprzęt. Nie wspominając o rozlicznych talentach medycznych obecnego tu doktora Brambella.

– Jeżeli chodzi o moje rozliczne talenty, nie zaprzeczę, doktorze Frock – odezwał się Brambell – jednakże myli się pan w kwestii sprzętu. Cięcia budżetowe w ostatnich latach sprawiły, że raczej nie jesteśmy na czasie. Poza tym kostnica miejska nie jest odpowiednim miejscem do prowadzenia tego typu analiz. Nie chcemy przecież, aby dowiedział się o nich ktoś niepowołany. Zbyt wiele tam ostatnimi czasy telewizji i dziennikarzy. – Przerwał. – Poza tym w kostnicy miejskiej nie moglibyśmy liczyć na pańską wnikliwą ekspertyzę.

– Dziękuję – rzekł Frock. Wskazał na drugi szkielet. – Ale jaką trudność może sprawić identyfikacja kogoś, kto za życia wyglądał jak... ee... zaginione ogniwo ewolucji?

– Niech mi pan wierzy, staraliśmy się – powiedział D'Agosta. – Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny sprawdziliśmy wszystkie zgłoszenia o zaginionych z trzech stanów. I nic. Zupełnie jakby ten dziwolak nigdy nie istniał, a co dopiero ktoś, kto zaginął i dał się pożreć w kanałach Wielkiego Jabłka.

Frock zdawał się nie słyszeć odpowiedzi na swe pytanie. Wolno opuścił głowę i przez kilka minut pozostawał w bezruchu. Jeżeli nie liczyć niecierpliwego cmokania doktora Brambella, w laboratorium panowała grobowa cisza. Wreszcie Frock ożywił się, westchnął głęboko i skinął do Margo z, jak się jej wydawało, zmęczeniem i rezygnacją.

– No dobrze. Mogę poświęcić wam tydzień. Mam w mieście parę innych spraw do załatwienia. Podejrzewam, że panna Green ma być moją osobistą asystentką?

Margo ponieważ zorientowała się, że, jak dotąd, ani przez moment nie zastanawiała się, czemu zaproszono ją na to sekretne spotkanie. Teraz wszystko już było jasne. Wiedziała, że Frock ufał jej bezgranicznie. Wspólnie rozwikłali zagadkę Bestii z Muzeum. Ktoś musiał dojść do wniosku, rozważała, że Frock zechce współpracować ze mną i tylko ze mną.

– Chwileczkę! – wybuchnęła. – Nie mogę się w to pakować! – Spojrzenia wszystkich skupiły się na niej, a Margo uświadomiła sobie, że użyła ostrzejszych słów, niż zamierzała. – To znaczy... nie mam teraz czasu... jestem bardzo zajęta... i w ogóle... – wykrztusiła.

Frock spojrział na nią z niepokojem w oczach. Bardziej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę, że ten przydział wiązał się nieodwołalnie z ożywieniem przerażających wspomnień.

Pociągle oblicze dyrektor Merriam wykrzywił grymas z troskania.

– Pomówię z doktorem Hawthornem – rzekła. – Będzie pani miała tyle wolnego czasu, ile potrzeba, aby dopomóc policji w śledztwie.

Margo już chciała zaprotestować, ale zmiętkowała się. Zbyt krótko pracowała na nowym stanowisku, aby mogła teraz odmówić, i szczerze tego żałowała.

– Doskonale – rzekł Brambell, a jego oblicze rozjaśnił słaby uśmiech. – Ja naturalnie będę współpracował z wami obojgiem. Zanim się rozejdziemy, chciałbym poprosić o zachowanie całkowitej dyskrecji w tej sprawie. Źle się stało, że informacje o odnalezieniu bezgłowych zwłok Pameli Wisher w ogóle przedostały się do prasy. Gdyby wyszło na jaw, że nasza panienka z dobrego domu została po śmierci... a może nawet przed, lekko nadgryziona... – Nie dokończył i powiódł dłonią po łysinie.

Frock uniósł wzrok.

– Ślady zębów nie zostały poddane ekspertyzie? Nie ma pewności, że ukąszeń dokonano już po śmierci ofiary?

– To pytanie dnia, doktorze Frock. A raczej najbliższej godziny. Burmistrz i szef policji niecierpliwie czekają na wyniki badań.

Frock nie powiedział więcej ani słowa i nikt nie miał wątpliwości, że spotkanie dobiegło końca. Wszyscy zgodnie odwrócili się, aby wyjść, omijając możliwie najszerszym łukiem wychudzone, brązowe szczątki spoczywające na stołach sekcyjnych.

Mijając Margo, dyrektor muzeum odwróciła się do niej i rzuciła:

– Daj mi znać, gdybym mogła w jakiś sposób pomóc.

Doktor Brambell obrzucił Frocka i Margo ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem i za Merriam opuścił pomieszczenie.

Ostatni z laboratorium wyszedł porucznik D'Agosta. W drzwiach przystanął na chwilę.

– Jeśli musicie z kimkolwiek rozmawiać, proponuję, byście podyskutowali ze mną.

Otworzył usta, jakby chciał powiedzieć więcej, ale zaraz je zamknął, skinął głową i odwrócił się energicznie. Drzwi zatrzasnęły się za nim i Margo pozostała sam na sam z Frockiem, Pamelą Wisher i dziwnym, nie nazwanym, zdeformowanym szkieletem.

Frock wyprostował się w fotelu.

– Margo, zamknij, proszę, drzwi – powiedział – i zapal wszystkie światła. – Podjechał do stołu sekcyjnego. – Proponuję, abyś umyła ręce i włożyła rękawice.

Margo omiotła spojrzeniem oba szkielety. Następnie przeniosła wzrok na starego profesora.

– Doktorze Frock? – zaczęła. – Chyba nie sądzi pan, że może to być dzieło...

Odwrócił się nagle, a jego rumiane oblicze wykrzywił dziwny grymas. Ich spojrzenia spotkały się. Frock pokręcił głową.

– Nie mów tego – wyszeptał gniewnie. – Nie mów tego, dopóki nie będziemy mieli całkowitej pewności.

Margo jeszcze przez chwilę patrzyła mu w oczy. Wreszcie pokiwała głową i ruszyła w stronę włączników światła. To, co pozostało pomiędzy nimi nie wypowiedziane, budziło znacznie większy niepokój, aniżeli dwa upiorne szkielety.

## 6

W zadymionym wnętrzu baru Kocia Łapka Smithback wcisnął się do ciasnej, wąskiej budki telefonicznej. Balansując trzymanym w jednej ręce drinkiem i odnajdując w słabym świetle kolejne klawisze, drugą wybrał numer swego biura i zastanawiał się, ile wiadomości będzie nań czekać tym razem.

Smithback nie wątpił nigdy, że był jednym z największych nowojorskich dziennikarzy. Może nawet największym. Półtora roku temu przekazał światu historię Bestii z Muzeum. I bynajmniej nie w typowy dla siebie, beznamiętnie cyniczny sposób. Był tam z D'Agostą i innymi, walcząc o życie pośród ciemności, owej pamiętnej, kwietniowej nocy. Dzięki napisanej wkrótce po tym książce zdobył mocną pozycję korespondenta „Post”, zajmującego się głównie zbrodniami oraz innymi pomniejszych przestępstwami. A teraz pojawiła się jeszcze sprawa tej Wisher. W samą porę. Jakby spadła mu z nieba. Wielkie historie wbrew pozorom nie przytrafiały się często, a przecież stale musiał rywalizować z innymi, choćby z tym „wrzodem na tyłku”, Bryce'em Harrimanem, dziennikarzem z „Timesa”, aby utrzymać swój prymat w środowisku. Cóż, jeśli rozegra to właściwie, sprawa może okazać się równie wielka i atrakcyjna jak afera z Mbwunem. A może nawet większa.

Wielki dziennikarz, dumając, wsłuchując się w sygnał w słuchawce, przystosowuje się do warunków, w jakich musi pracować. Weźmy tę sprawę Wisher. Był całkiem nie przygotowany na spotkanie z jej matką. Zrobiła na nim wrażenie. Smithback poczuł się zażenowany i głęboko poruszony. Pod wpływem tych jakże obcych mu emocji wysmażył nowy artykuł do porannego wydania, przedstawiając Pamelę Wisher jako anioła Central Park South i odmalowując jej śmierć w czarnych barwach. Wszelako genialnym posunięciem było ogłoszenie nagrody w wysokości stu tysięcy dolarów w zamian za informację mającą doprowadzić do ujęcia zabójcy. Pomysł ten wpadł mu do głowy, kiedy był w połowie swego artykułu; zaniósł go jeszcze nie dokończony i przedstawił propozycję dotyczącą nagrody nowemu naczelnemu „Post”, Arnoldowi Murrayowi. Szefowi bardzo się ona spodobała i autoryzował ją, nawet bez uprzedniego porozumienia z wydawcą.

W słuchawce rozległ się pełen podniecenia głos Ginny, sekretarki. Dwadzieścia telefonów w sprawie nagrody, ale wszystkie lipne.

– To wszystko? – spytał Smithback przygnębiony.

– No, był jeszcze ten dziwaczny gość do pana – dorzuciła niepewnie sekretarka. Była niska i chuda, mieszkała w Ronkonkoma i czuła do Smithbacka silną miętę.

– Taaa?

– Był w łachmanach i strasznie cuchnął. Chyba był też naćpany czy jak.

To może być coś, pomyślał z ożywieniem Smithback.

– Czego chciał?

– Twierdził, że ma informację na temat zabójstwa Wisner. Chciał, aby spotkał się pan z nim w męskiej toalecie na Penn Station...

Smithback omal nie upuścił drinka.

– W toalecie? To chyba jakiś żart?

– Tak powiedział. Sądzi pan, że to zboczeniec? – dorzuciła z nie skrywanym zadowoleniem.

– W której toalecie?

Usłyszał szelest kartek papieru.

– Zapisałam, zaraz znajdę. Północny kraniec, dolny poziom, na lewo od windy przy torze dwunastym. Dziś wieczorem o dwudziestej.

– Co to za informacja?

– Nic więcej nie powiedział.

– Dzięki. – Odwiesił słuchawkę i spojrzął na zegarek. Była 19.45.

Toaleta męska na Penn Station? Chyba musiałbym być niespełna rozumu albo mocno zdesperowany, pomyślał, aby podążać takim tropem.

\*

Smithback nigdy dotąd nie był w toalecie męskiej na Penn Station. Nie był tam zresztą nikt, kogo znał. Gdy otworzył drzwi do rozległego, nagrzanego pomieszczenia, przesiąkniętego wonią moczu i fekaliiów, uznał, że wolałby raczej sfajdać się w spodnie, niż skorzystać z wątpliwych dobrodziejstw tego miejsca.

Spóźnił się pięć minut. Facet pewnie już się ulotnił, pomyślał z ulgą Smithback. Już miał wyjść na korytarz, gdy dobiegł go oschły, surowy głos:

– William Smithback?

– Co? – Smithback rozejrzał się szybko wokoło, lustrując opustoszałe pomieszczenie. Nagle dostrzegł parę nóg opuszczających się w ostatniej z kabin. Drzwi otworzyły się. Z kabiny wyszedł niski, szczupły mężczyzna i zbliżył się niepewnym krokiem do dziennikarza;

jego pociągła twarz była okropnie umorusana, ubranie aż czarne od brudu i pokryte tłustymi plamami, a włosy zmierzwione i pozlepiane w dziwaczne strąki.

Nieokreślonej barwy broda zwieszała mu się prawie do pępka, widocznego przez długą, szarpaną dziurę ziejącą w koszuli.

– William Smithback? – powtórzył mężczyzna, przyglądając mu się zamglonymi oczyma.

– Któż by inny?

Mężczyzna bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę kabiny. Przy otwartych drzwiczkach przystanął i obrócił się na pięcie, czekając.

– Ma pan dla mnie informację? – zapytał Smithback.

– Proszę ze mną – skinął w stronę kabiny.

– Nic z tego – uciał Smithback. – Jeśli mamy rozmawiać, to tutaj, nie wejdę tam z tobą, kolego.

Mężczyzna powtórzył gest.

– Ale droga prowadzi właśnie tędy.

– Dokąd?

– Na dół.

Smithback ostrożnie podszedł do kabiny. Mężczyzna wszedł do środka i stanął za sedesem, po czym zdjął okazałych rozmiarów malowaną, metalową płytę przesłaniającą, jak się okazało, wielką dziurę w brudnej, wyłożonej kafelkami ścianie.

– Tam? – spytał Smithback.

Mężczyzna skinął głową.

– Dokąd to prowadzi?

– Na dół – powtórzył mężczyzna.

– Zapomnij – uciał Smithback.

Zaczął się cofać. Mężczyzna odnalazł jego wzrok.

– Mam zaprowadzić cię do Mephista – powiedział. – On ma pomówić z tobą o zabójstwie tej dziewczyny. Ma ważne informacje.

– Daj spokój.

Tamten wciąż patrzył na niego.

– Możesz mi zaufać – rzekł krótko.

Nie wiedzieć czemu, pomimo brudu i mętnego wzroku narkomana, mężczyzna wydał się Smithbackowi wiarygodny.

– Jakie informacje?

– Musisz pomówić z Mephistem.

– Kim on jest?

– Naszym przywódcą. – Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby dalsze wyjaśnienia były zbędne.

– Naszym?

Tamten skinął głową.

– Społeczności Szosy 666.

Mimo trawiącej go niepewności Smithback poczuł dreszcz emocji i ożywił się.

Zorganizowana społeczność podziemna? Już samo to stanowiło materiał na bombowy artykuł. A jeśli jeszcze ten Mephisto wiedział coś na temat zabójstwa Pameli Wisher...

– Gdzie właściwie żyje ta społeczność?

– Nie mogę powiedzieć. Ale cię poprowadzę.

– Jak ci na imię?

– Nazywają mnie Strzelec Pokładowy – odparł mężczyzna, a w jego oczach zabłyśły iskierki dumy.

– Posłuchaj – rzekł Smithback. – Poszedłbym za tobą, ale chyba nie spodziewasz się, że wleżę w tę dziurę. Mogliby mnie tam napaść, pobić i Bóg wie, co jeszcze.

Mężczyzna zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Będę cię ochraniał. Wszyscy wiedzą, że jestem pierwszym posłańcem Mephista. Nic ci się nie stanie.

Smithback spojrział na tamtego: na wpół widzące oczy, ciekący nos, broda brudna jak u starego czarodzieja. A jednak udało mu się dotrzeć do jego gabinetu w redakcji „Post”. Zadał sobie sporo trudu, jak na faceta, który wygląda, jakby nie miał grosza przy duszy ani własnego kąta.

I nagle oczyma duszy ujrzał przepełnione zadowoleniem oblicze Bryce’a Harrimana. Wyobraził sobie szefa Bryce’a z „Timesa” pytającego po raz nie wiadomo już który, jakim cudem ten dupek Smithback sprzątnął sprzed nosa jego najlepszemu specowi od sensacji taki bombowy materiał.

Ta wizja bardzo mu się spodobała.

Mężczyzna zwany Strzelcem Pokładowym odsunął płat blachy, podczas gdy Smithback przełaził przez otwór w ścianie. Gdy obaj znaleźli się po drugiej stronie, starannie umieścił płytę na poprzednim miejscu i unieruchomił ją kilkoma podniesionymi z ziemi ceglami.

Rozglądając się wokoło, Smithback stwierdził, że znalazł się w długim, wąskim tunelu. U góry niczym grube, szare żyły biegły rury doprowadzające wodę i parę. Sufit był nisko, nie na tyle jednak, by Smithback, mężczyzna bądź co bądź wysoki, nie mógł się swobodnie wyprostować. Światło wieczoru wpływało przez kratownice w suficie, rozmieszczone równo co sto jardów.

Reporter podążał za pochyloną, niską postacią sunącą przed nim w słabym świetle. Co pewien czas wilgotny tunel wypełniał turkot przejeżdżającego gdzieś blisko pociągu. Smithback bardziej czuł ten dźwięk w kościach, aniżeli go słyszał.

Szli na północ. Tunel zdawał się nie mieć końca. Po dziesięciu, piętnastu minutach Smithback zaczął się denerwować.

– Przepraszam bardzo – powiedział – ale czemu zawdzięczam ten długi spacer?



– Mephisto nie chce nikomu zdradzać położenia najbliższych wejść do siedziby naszej społeczności.

Smithback skinął głową, szerokim łukiem omijając napuchnięte truchło zdechłego psa. Nie dziwiło go, że mieszkańcy tuneli przejawiają pewne skłonności paranoidalne, jednak to wszystko coraz bardziej działało mu na nerwy.

Szli w kierunku północnym na tyle długo, że musieli już chyba znajdować się pod Central Parkiem.

Niebawem tunel zaczął łagodnie zakręcać w prawo. Smithback dostrzegł liczne stalowe drzwi osadzone w grubym betonowym murze. Pod sufitem biegła potężna rura, a z owijającej ją izolacji kapiała woda. Na izolacji widniały napisy: UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO: ZAWIERA WŁÓKNA AZBESTOWE. UNIKAĆ WZBIJANIA KURZU. MOŻE POWODOWAĆ RAKA I CHOROBY PŁUC.

Zatrzymawszy się przed kolejnymi drzwiami, Strzelec Pokładowy wygrzebał spod łachmanów klucz i włożył do zamka.

– Skąd masz ten klucz? – zapytał Smithback.

– W naszej społeczności są ludzie o wielu różnorodnych talentach – odrzekł tamten, otwierając drzwi i przepuszczając dziennikarza.

Gdy tylko za Smithbackem zamknęły się drzwi, w jednej chwili otoczyła go nieprzenikniona czerń nocy. Uświadomiwszy sobie, że instynktownie – i nadmiernie – polegał na świetle płynącym przez kraty w sklepieniu, Smithback poczuł gwałtowny przypływ paniki.

– Nie masz latarki? – wykrztusił niepewnie.

Coś zaskrobało cichutko i pojawił się maleńki płomyk. Zapałka. W jej migoczącym świetle Smithback spostrzegł betonowe schody wiodące w dół, dalej niż sięgał nikły blask.

Strzelec machnął ręką i zapałka zgasła.

– Zadowolony? – zapytał monotonnym, beznamiętnym głosem.

– Nie – odparł szybko Smithback. – Zapal jeszcze jedną.

– Gdy będzie to konieczne.

Smithback zaczął schodzić po stopniach, dla równowagi dotykając dłońmi chłodnych, wilgotnych ścian. Wydawało mu się, że schodzenie trwa całą wieczność. Nagle zapłonęła kolejna zapałka, a Smithback stwierdził, że zejście prowadziło do wielkiego tunelu kolejowego; srebrne szyny lśniły mętnawo w pomarańczowym świetle.

– Dokąd teraz? – zapytał Smithback.

– Tor setny – odrzekł tamten. – Dwa poziomy niżej.

– Jeszcze niżej?

Zapałka zgasła, znów zapadła ciemność.

– Chodź za mną – rzekł głos. – Jak powiem stój, zatrzymaj się. Natychmiast.

Wyszli na tory. Przeszując szyny, Smithback znów poczuł silny lęk.

– Stój – dobiegł głos.

Smithback przystanął. Zapłonęła trzecia zapalka.

– Widzisz? – Strzelec wskazał błyszczącą metalową szynę oznaczoną obok jasnożółtą linią. – Trzecia szyna. Jest pod prądem. Nie nastap na nią.

Zapalka zgasła. Smithback usłyszał kroki mężczyzny odchodzącego w klaustrofobiczną, wilgotną ciemność.

– Zapal następną! – zawołał.

Znowu zgrzyt. Smithback przestąpił trzecią szynę.

– Jest ich więcej? – zapytał z niepokojem.

– Tak – odparł mężczyzna. – Pokażę ci.

– Jezu – jęknął Smithback, gdy znów zrobiło się ciemno. – A jeśli stanę na którejś?

– Porazi cię prąd i usmaży na skwarę – odparł bezosobowy głos. – A potem twoje ciało eksploduje we wszystkie strony.

Zapadła cisza.

– Więc lepiej je omijaj.

Zapłonęła kolejna zapalka, oświetlając następną żółto oznaczoną szynę. Smithback przestąpił ją czym prędzej, a Strzelec wskazał mu niewielki otwór w przeciwległej ścianie, mierzący około dwóch stóp wysokości i czterech stóp szerokości, wybity w starym przejściu, zamurowanym żuźłowymi brykietami.

– Tędy zejdziemy – oznajmił Strzelec.

Smithback poczuł bijący z dołu podmuch ciepłego powietrza, przesyconego tak odrażającym smrodem, że żołądek podszedł mu do gardła. Dziennikarzowi wydawało się, że przez chwilę poczuł również woń palonego drewna.

– Na dół? – zapytał z niedowierzaniem, odwracając głowę. – Znowu? Ale jak? Mam tam zjechać na brzuchu?

Jego towarzysz jednak już przeciskał się przez otwór.

– Nic z tego – zawołał Smithback, kucając obok otworu. – Posłuchaj, nie zamierzam tam schodzić. Jeśli ten Mephisto chce pogadać, musi przyjść tu do mnie, na górę.

Zapadła cisza, po czym z ciemności po drugiej stronie żuźłowej ściany doszedł go głos Strzelca.

– Mephisto nigdy nie wychodzi powyżej trzeciego poziomu.

– Wobec tego będzie musiał zrobić wyjątek. – Smithback starał się sprawiać wrażenie opanowanego, choć wcale nie czuł się pewnie.

Zdał sobie sprawę, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, polegając całkowicie na tym niesamowitym, niepewnym mężczyźnie. Znowu było ciemno choć oko wykol, nie miał szans, aby w tych warunkach odnaleźć drogę powrotną.

Cisza się przedłużała.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytał Smithback.

– Zaczekaj tu – rozległ się nagle władczy głos.

– Odchodzisz? Zostaw mi kilka zapalek – poprosił dziennikarz.

Coś szturchnęło go w kolano. Smithback krzyknął, zaskoczony. Okazało się, że to Strzelec dotknął go brudną ręką, podając mu coś przez otwór.

– To wszystko? – zapytał Smithback, namacawszy trzy zapalki.

– Tylko tyle mogę ci zostawić – rozległ się słaby, oddalający się z każdą chwilą głos. Kolejnych słów Smithback już nie dosłyszał.

Zapadła cisza. Smithback oparł się o ścianę, ściskając w dłoni zapalki. Bał się usiąść na ziemi. Przeklinał w myślach samego siebie, że dał się namówić i przyszedł tu z tym mężczyzną. To było głupie. Żadna historia nie jest tego warta. Czy miał szansę wrócić na górę, tylko z trzema zapalkami? Zamknął oczy i skupił się, usiłując przypomnieć sobie każdy pokonany po drodze zakręt i załom muru. W końcu zrezygnował: trzy zapalki pomogłyby mu jedynie przy przechodzeniu przez szyny pod napięciem.

Kiedy zaczęły go boleć kolana, wstał i oparł się o mur. Wbił wzrok w ciemny tunel, wyteżając wzrok i słuch. Mrok był tak gęsty, że zaczął wyobrażać sobie coś, co mogło się w nim czaić – jakieś poruszenia i kształty. Stał w bezruchu, usiłując oddychać w spokojnym, regularnym rytmie, czekając, zdawało się, w nieskończoność.

To było szaleństwo. Gdyby tylko...

– Pismaku! – Z otworu w jego stronę dobiegł upiorny, bezcielesny głos.

– Co? – krzyknął Smithback, obracając się gwałtownie.

– Mówię do Williama Smithbacka, pismaka, czyż nie? – Głos był cichy, złowieszczy, jak syk rannego węża.

– Tak, tak. Jestem Smithback. Bill Smithback. A ty kim jesteś? – zawołał.

Czuł się niepewnie, rozmawiając z kimś, kogo nie widział. Tamten był dlań tylko bezcielesnym głosem pośród czerni.

– Mephisto – rozległo się w odpowiedzi, a „s” w imieniu przedłużyło się w przeciągły syk.

– Czemu tak długo? – burknął nerwowo Smithback, ponownie pochylając się ku otworowi w żuźlowej ścianie.

– Miałem do przejścia spory kawałek, aby dotrzeć do ciebie na górę.

Smithback odczekał chwilę, zastanawiając się, jaką naprawdę drogę musiał przebyć ten człowiek, stojący teraz kilka stóp pod nim, aby pokonać kilka poziomów i dotrzeć aż tutaj.

– Wyjdiesz? – zapytał.

– Nie! I tak możesz czuć się zaszczycony, pismaku. Od pięciu lat nie byłem równie blisko powierzchni.

– A to czemu? – zapytał Smithback, sięgając w ciemnościach po swój dyktafon.

– Bo to moja domena. Jestem panem tego wszystkiego, co widzisz dookoła.

– Ale ja nic tu nie widzę.

Z otworu w żuźlowej ścianie popłynął oschły śmiech.

– Błąd. Widzisz czern. A czern jest moją domeną. Powyżej przetaczają się pociągi i powierzchniowcy uwijają się jak w ukropie, załatwiając swoje małe, banalne sprawy. To terytorium natomiast, poniżej Central Parku, Szosa 666, Szlak Ho Szi Mina, blokhauz, należy do mnie.

Smithback zamyślił się przez chwilę. Nazwa, choć ironiczna, miała swój ukryty sens. Szosa 666. Tak, to pasowało. Gorzej z innymi.

– Szlak Ho Szi Mina – powtórzył. – Co to takiego?

– Społeczność, tak jak pozostałe – zasyczał głos. – Przyłączyła się do mojej, dla ochrony. Kiedyś dobrze znaliśmy ten szlak. Wielu z nas, tu żyjących, brało udział w cynicznej walce przeciwko niewinnemu, zacofanemu narodowi. I w nagrodę stało się wyrzutkami, ofiarami społecznego ostracyzmu. Teraz jesteśmy tu, na dole, niczym wygnańcy z wyboru, tu osiedliśmy, tu żyjemy i tutaj wyzionemy ducha. Naszym największym pragnieniem jest, by pozostawiono nas w spokoju.

Smithback ponownie musnął palcem dyktafon, miał nadzieję, że wszystko dobrze się nagrało. Słyszał o włóczęgach, którzy od czasu do czasu szukali schronienia w tunelach metra, ale żeby zamieszkiwały tu zorganizowane grupy ludzi...

– A więc wy wszyscy, którzy tu mieszkacie, jesteście bezdomni? – zapytał.

Zapadła cisza.

– Nie lubimy tego słowa, pismaku. Mamy dom i gdybyś tak bardzo nie trząś portkami, mógłbym ci go pokazać. Mamy wszystko, czego nam trzeba. Rury doprowadzają wodę do gotowania i higieny osobistej, a przewody elektryczny prąd. O niektóre rzeczy z powierzchni troszczą się nasi posłańcy. W blokhauzie mamy nawet pielęgniarkę i nauczycielkę. Inne strefy podziemi, jak torowisko przy West Side, są nie opanowane i niebezpieczne. Tu wszelako żyjemy z godnością.

– Nauczycielka? Macie tu dzieci?

– Jesteś naiwny. Wiele osób znalazło się tu, ponieważ mają dzieci, a bezduszny aparat państwa próbował im je odebrać i umieścić w placówkach opiekuńczych. Wybrali zatem mój świat, domenę ciepła i mroku, rezygnując z twojego, pismaku, gdzie królują rozpacz i zło.

– Czemu tak mnie nazywasz?

Z otworu w żuźlowej ścianie znów dobiegł oschły chichot.

– Przecież jesteś nim, czyż nie? Jesteś William Smithback, pismaku?

– Tak, ale...

– Jak na dziennikarza, nie jesteś zbyt odcytany. Zanim odbędziemy kolejną rozmowę, przeczytaj *The Dunciad* Pope'a.

Smithback zaczął sobie uświadamiać, że nie docenił niewidzialnego rozmówcy.

– Kim pan właściwie jest? – zapytał. – To znaczy, jak pan się naprawdę nazywa?

Znów zapadła cisza.

– Pozostawiłem moje nazwisko, wraz ze wszystkim innym, na górze – zasyczał głos. – Teraz jestem Mephisto. Nigdy więcej nie zadawaj tego pytania mnie ani nikomu innemu.

Smithback przełknął ślinę.

– Przepraszam – wykrztusił.

Mephisto wyraźnie się rozgniewał. Jego ton stał się ostrzejszy, surowy, ciął mrok niczym nóż.

– Sprowadzono cię tutaj w konkretnej sprawie – powiedział.

– Morderstwa Pameli Wisher? – zapytał z ożywieniem Smithback.

– W swoim artykule napisałeś, że jej ciało, podobnie jak to drugie, zostało znalezione bez głowy. Jestem tu, by ci powiedzieć, że brak głów to w ich przypadku drobnostka – roześmiał się ponuro.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Smithback. – Wiesz, kto to zrobił?

– To ci sami, którzy polują na moich ludzi – wysyczał Mephisto. – Pomarszczeni.

– Pomarszczeni? – mruknął Smithback. – Nie rozumiem...

– Milcz więc i słuchaj, co mówię, pismaku! Powiedziałem, że moja społeczność znalazła bezpieczną przystań. Faktycznie, tak było aż do zeszłego roku. Teraz staliśmy się obiektem ataków. Ci, którzy wypuszczają się poza bezpieczne rejony, znikają albo są zabijani. Giną mordowani w potworny sposób. Nasi ludzie są przerażeni. Boją się z każdym dniem coraz bardziej. Moi posłańcy niejednokrotnie próbowali zgłaszać nasze problemy policji. Policja! – Rozległo się głośnie splunięcie, a potem bezosobowy głos przybrał na sile. – Te skorumpowane pieski pokojowe społeczeństwa przeżartego zgnilizną moralną i nie wyznającego dziś żadnych zasad. Jesteśmy dla nich utrapieniem, wrzodem na tyłku, który należałoby usunąć! Nasze życie znaczy tyle co nic! Ilu naszych ludzi zginęło lub przepadło bez śladu? Grubas, Hektor, Sierżant i wielu innych. Ale wystarczy, że jedna zepsuta, bogata dziewczyna straci głowę, i całe miasto ogarnia prawdziwy amok!

Smithback oblizał wargi. Zaczynał się zastanawiać, jaką informację chciał przekazać Mephisto.

– O co ci chodziło, gdy mówiłeś, że jesteście atakowani?

Znów cisza.

– Z zewnątrz – dobiegł cichy szept.

– Z zewnątrz? – zapytał Smithback. – To znaczy? Z zewnątrz, to znaczy stąd? Z tego miejsca? – Rozejrzał się dziko wokoło, lustrując wzrokiem ciemność.

– Nie. Spoza Szosy 666. Spoza blokhauzu – padła odpowiedź. – Jest jeszcze inne miejsce. Miejsce powszechnie omijane. Dwanaście miesięcy temu pojawiły się plotki, że miejsce to jest zamieszkane. A potem zaczęły się zabójstwa. I zaginięcia naszych ludzi. Z początku wysyłaliśmy drużyny poszukiwawcze. Większości ofiar nigdy jednak nie znaleziono. Te zaś, które odnaleźliśmy, był częściowo pożarte i pozbawione głów.

– Chwileczkę – wtrącił Smithback. – Powiadasz, że ich ciała były nadjedzone? To znaczy, że gdzieś tam, na dole żyje gromada kanibali mordujących ludzi i urywających im głowy? – Może ten Mephisto był jednak szurnięty. Smithback znów zaczął się zastanawiać, jak wróci na powierzchnię.

– Nie podoba mi się twój powątpiewający ton, pismaku – odparł Mephisto. – Powiedziałem dokładnie to, co chciałem powiedzieć. Strzelcu?

– Tak? – rozległo się tuż przy uchu Smithbacka. Dziennikarz odskoczył przerażony.

– Jak on się tu znalazł? – wysapał Smithback. – Nie dość, że tu wrócił, to jeszcze podkraść się tak niepostrzeżenie...

– Przez moje królestwo wiedzie wiele dróg – rozległ się głos Mephista. – A gdy żyjesz pośród precudownej ciemności, z czasem wyostrza ci się wzrok.

Smithback przełknął ślinę.

– Posłuchaj – powiedział – nie chodzi o to, że ci nie wierzę, tyle tylko, że...

– Zamilcz! – uciał Mephisto. – Rozmawialiśmy dostatecznie długo. Strzelcu Pokładowy, wyprowadź go na powierzchnię.

– A co z nagrodą? – zapytał Smithback ze zdziwieniem. – Czy nie po to mnie tu sprowadziłeś?

– Czy w ogóle nie słuchałeś tego, co do ciebie mówiłem? – zasyczał głos. – Twoje pieniądze są dla mnie bezużyteczne. Chodzi mi tylko o bezpieczeństwo moich ludzi. Wróc do swego świata i napisz artykuł. Przekaż tym na powierzchni moje słowa. Powiedz im, że to, co zabiło Pamelę Wisher, morduje również moich ludzi. I trzeba położyć kres temu zabijaniu. To się musi skończyć. – Bezosobowy głos wydawał się coraz bardziej odległy, jego echo dobiegło z głębi mrocznych tuneli pod stopami Smithbacka. – W przeciwnym razie – dodał upiorny głos z przeraźliwą intensywnością – znajdziemy inne sposoby, aby tam, na górze, usłyszano nasz głos.

– Ale ja muszę mieć... – zaczął Smithback.

Dłoń ścisnęła go za łokieć.

– Mephisto odszedł. – Tuż obok niego zabrzmiał głos Strzelca Pokładowego. – Wyprowadzę cię na górę.

## 7

Porucznik D'Agosta siedział w swoim ciasnym, przeszklonym gabinecie, bawiąc się tkwiącym w kieszonce na piersi cygarem i spoglądając na plik raportów w sprawie nurkowania w Humboldt Kill. Zamiast jednej zamkniętej miał teraz dwie otwarte sprawy. Jak zwykle nikt nie wiedział ani nie widział. Chłopak Pameli był pogrążony w żałobie i nieprzydatny jako świadek. Matka, wroga i pełna dystansu, przypominała Królową Śniegu.

Zmrużył powieki; ta cała sprawa z Pamelą Wisher przypominała igranie z ogniem. Albo żonglowanie fiolkami z nitrogliceryną.

Powiódł wzrokiem od pliku raportów w stronę wiszącej nad drzwiami tabliczki z napisem: „Zakaz palenia” i skrzywił się.

Wyjął z kieszonki cygaro i odwinął celofan. Nie było mowy o zakazie żucia cygar. Z czułością obracał je przez chwilę między kciukiem a palcem wskazującym i krytycznym okiem przyjrzał się opakowaniu. Następnie włożył cygaro do ust.

Przez chwilę siedział bez ruchu. Naraz, głośno zakławszy, szarpnięciem wysunął górną szufladę biurka i po chwili wyciągnął duże pudełko zapalek. Wyjął jedną i zapalił, pocierając o podeszwę buta. Przytknął ją do koniuszka cygara i usiadł wygodniej z głośnym westchnieniem; wsłuchując się w cichy trzask tytoniu, zaciągnął się dymem i wypuścił go nosem.

Rozległ się przenikliwy sygnał telefonu. Wewnętrzna linia.

– Tak? – D’Agosta podniósł słuchawkę. To chyba jeszcze nie skarga. Zapalił dopiero przed chwilą.

– Poruczniku? – usłyszał głos sekretarki. – Sierżant Hayward chce się z panem widzieć.

D’Agosta chrząknął i podniósł się w fotelu.

– Kto?

– Sierżant Hayward. Mówi, że sam pan o nią prosił.

– Nic podobnego.

W otwartych drzwiach pojawiła się kobieta w mundurze. D’Agosta niemal odruchowo otaksował ją wzrokiem: drobna, szczupła, duże krągłe piersi, kruczoczarne włosy i blada cera.

– Porucznik D’Agosta? – zapytała.

D’Agosta nie mógł uwierzyć, że z tak drobnej osobki mógł dobywać się tak silny kontrakt.

– Proszę usiąść – powiedział i patrzył, jak policjantka usadawia się na krześle. Sprawiała wrażenie, jakby nie uczyniła nic niestosownego, a wejście bez pukania do gabinetu przełożonego było czymś zupełnie normalnym. Najwyraźniej nie zdawała sobie nawet sprawy z popełnionego faux pas.

– Nie prosiłem o spotkanie z panią – rzucił D’Agosta.

– Nie osobiście – odrzekła Hayward. – Ale wiem, że i tak chciał się pan ze mną zobaczyć.

D’Agosta usiadł wygodnie, powoli ćmiąc cygaro. Pozwoli tej małej powiedzieć swoje, a potem rozprawi się z nią jak należy. D’Agosta nie był formalistą, ale takie traktowanie przełożonych uważał za karygodne. Zastanawiał się, o co chodziło. Może któryś z wyższych rangą funkcjonariuszy zachował się wobec niej niestosownie. Tylko tego było mu trzeba, sprawy o molestowanie seksualne.

– Chodzi o te ciała, które znalazł pan w Kloace – zaczęła Hayward.

– To znaczy? – uciął D’Agosta. Nagle stał się podejrzliwy. Ta sprawa miała być utrzymana w ścisłej tajemnicy.

– Przed przyłączeniem tutaj służyłam w Transit Police. – Hayward skinęła głową, jakby to wszystko tłumaczyło. – Wciąż odbywam służbę w West Side, przepędzając bezdomnych z Penn Station, Hell’s Kitchen, bocznic kolejowych i spod...

– Chwileczkę – przerwał jej D’Agosta. – Pani? Krawężnikiem?

Natychmiast zorientował się, że popełnił błąd. Hayward wyprężyła się, jej brwi połączyły się w jedną długą kreskę. Ton niedowierzania w jego głosie nie przypadł jej do gustu. Nastąpiła nieprzyjemna chwila ciszy.

– Nie lubimy tego określenia, poruczniku – odezwała się w końcu.

D’Agosta uznał, że ma dość zmartwień, więc nie musi dbać jeszcze o dobre samopoczucie swego gościa.

– Jestem u siebie – odparł, wzruszając ramionami.

Hayward patrzyła na niego przez chwilę. Z wyrazu jej brązowych oczu D’Agosta wyczytał, że jeśli nawet miała wcześniej o nim dobre mniemanie, do reszty je utraciła.

– W porządku – rzekła. – Skoro tak chce pan zagrywać, to proszę bardzo. – Wzięła głęboki oddech. – Gdy dowiedziałam się o tych pańskich szkieletach, coś mi zaświtało. Przypomniało mi to niedawne zabójstwa wśród kretów.

– Kretów?

– Mieszkańców tuneli, ma się rozumieć – odparła, poirytowana protekcjonalnym tonem D’Agosty. – Bezdomnych, żyjących pod ziemią. A dziś przeczytałam artykuł w „Post”. Ten o Mephiście.

D’Agosta skrzywił się. Nie ufał temu zawziętemu łowcy sensacji, Billowi Smithbackowi, grającemu na czułych strunach emocji czytelników szmatławca, dla którego pisywał. Nie mógł sobie pozwolić, aby było inaczej. To pogorszyłoby tę i tak już skomplikowaną sytuację. On i Smithback byli przyjaciółmi – w pewnym sensie, odkąd jednak Bill zaczął pisywać reportaże dotyczące zbrodni, zrobił się nieznośny. D’Agosta zbyt dobrze go znał, by dać mu choć ciekawych informacji, o które Smithback wciąż go nagabywał.

– Szacunkowa długość życia bezdomnego wynosi bardzo niewiele – powiedziała Hayward. – Jeszcze gorzej jest z kretami. Niemniej ten dziennikarz miał rację. Ostatnio wśród nich wydarzyło się wiele okrutnych morderstw. Brakujące głowy, ciała rozszarpane na strzępy. Sądziłam, że najlepiej będzie, jeżeli przyjdę z tym do pana. – Poruszyła się na krześle i spojrzała na D’Agostę przenikliwymi, ciemnobrązowymi oczami. – Może jednak niepotrzebnie strzępię język.

D’Agosta pominął jej ostatnie słowa milczeniem.

– O ilu niedawnych zbrodniach właściwie tu mówimy, Hayward? O dwóch? Trzech?

Hayward przerwała.

– O półtuzinie, a może nawet więcej – odezwała się w końcu.



D'Agosta spojrział na nią, dłoń z cygarem zastygła w bezruchu, w pół drogi do ust.

– Póltuzinie?

– Dokładnie tak. Zanim tutaj przyszedłam, przejrzałam akta. Siedmiu zbrodniom dokonanych wśród kretów w ciągu ostatnich czterech miesięcy odpowiada ten sam *modus operandi*.

D'Agosta opuścił dłoń z cygarem.

– Pani pozwoli, sierzancie, że trochę to sobie uporządkuję. Mamy w mieście kolejnego Kubę Rozpruwacza i nikt z naszych ludzi nie zajmuje się tą sprawą?

– Ja tylko próbuję panu uświadomić, że dzieje się coś niedobrego – zaproponowała Hayward. – Nie mój cyrk, nie moje małpy. Nie moja sprawa, nie zajmuję się tymi zabójstwami.

– Czemu nie skorzystała pani z normalnej drogi służbowej, aby powiadomić o tym swoich przełożonych? Dlaczego przychodzi pani z tym do mnie?

– Rozmawiałam z moim szefem. Z kapitanem Waxiem. Zna go pan?

Wszyscy znali Jacka Waxiego, najgrubszego, najbardziej leniwego komendanta posterunku w całym mieście. Ten człowiek zdobył swój stołek, nie robiąc zupełnie nic i nie wadząc nikomu.

Rok wcześniej D'Agosta miał otrzymać awans na kapitana, jako swego rodzaju dowód wdzięczności od burmistrza za ocalenie mu życia i bohaterską postawę w sytuacji zagrożenia. Potem jednak nadeszły wybory i burmistrz Harper stracił urząd, nowy zaś wygrał kampanię, obiecując obniżenie podatków i ogólne ograniczenie wydatków. Skutkiem tego na komendzie głównej nieźle się zakotłowało: Waxie dostał awans na kapitana i objął funkcję komendanta posterunku, D'Agosta zaś poszedł w odstawkę. Tak to już bywa.

Hayward założyła nogę na nogę.

– Zbrodnie wśród bezdomnych to coś całkiem innego niż morderstwa na powierzchni. Większości zwłok w ogóle nie odnajdujemy, a jeśli nawet, zazwyczaj wcześniej dobierają się do nich psy oraz szczury. Ofiary pozostają zwykle nie rozpoznane, zresztą nawet gdyby były w lepszym stanie, i tak pewnie nie udałoby się ich zidentyfikować. Poza tym inne krety w takich sytuacjach nie chcą nic mówić.

– A Jack Waxie odkłada kolejne zabójstwa ad acta.

Hayward znów zmarszczyła brwi.

– Ci ludzie w ogóle go nie obchodzą.

D'Agosta przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego tak zagorzały szowinista jak Waxie chciał mieć w swoim zespole tę mierzającą pięć stóp i trzy cale, twardą jak podeszwa kamasza policjantkę. Zaraz jednak jego wzrok padł ponownie na jej wąską kibić, pełne, jędrne piersi, bladą twarz i ciemne oczy i odpowiedź nasunęła się sama.

– W porządku, sierzancie – mruknął jakby od niechcenia. – Zainteresowało mnie to. Ma pani spis miejsc, gdzie znaleziono ciała?

– To wszystko, co mam.

D’Agoście zgasło cygaro, zaczął szperać w szufladzie w poszukiwaniu kolejnej zapalki.

– No dobrze. Gdzie je znaleziono? – zapytał.

– Tu i tutaj. – Hayward wyjęła z kieszeni wydruk komputerowy, rozłożyła go i przesunęła po blacie biurka.

D’Agosta zapalił cygaro i spojrzął na wydruk.

– Pierwsze ciało odkryto trzydziestego kwietnia, przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy pod numerem sześćset dwadzieścia cztery.

– Kotłownia w piwnicy. Jest tam stare przejście do tuneli kolejowych i dlatego sprawa znalazła się w jurysdykcji kolei.

D’Agosta skinął głową i zerknął na wydruk.

– Następne ciało odnaleziono siódmego maja pod stacją IRT przy Columbus Circle. Trzecie odkryto dwudziestego maja w tunelach kolejki RR, przy torze dwudziestym drugim, w okolicy znacznika 1.2, w obszarze B4. Gdzie to jest, u diabła?

– To zamknięty tunel transportowy łączący się z bocznicą na West Side. Krety przebiły się przez mury, aby mieć dostęp do niektórych spośród tych tuneli.

D’Agosta słuchał, z lubością paląc cygaro. Rok wcześniej, po otrzymaniu zapowiedzi awansu, przerzucił się z Garcia y Vegas na dunhille. Choć ostatecznie z awansu wyszły nici, D’Agosta nie potrafił już powrócić do dawnej marki. Znów spojrzął na Hayward, przyglądającą mu się beznamiętnie. Nie umiała odnosić się z szacunkiem do przełożonych. Chociaż drobna i szczupła, roztaczała wokoło aureę niezłomnej pewności siebie i zdecydowania. Umiała wykazać inicjatywę, nie zawahała się przed przyjściem do niego. I miała ikrę. Przez chwilę żałował, że ich pierwsze spotkanie zaczęło się od drobnego spięcia.

– Pani postępowanie nie jest w pełni zgodne z obowiązującą procedurą – rzekł D’Agosta.  
– Mimo to doceniam włożony w tę sprawę wysiłek i dobre chęci.

Hayward niemal niedostrzegalnie pokiwała głową, jakby dawała mu do zrozumienia, że choć nie przyjmuje komplementu, został on przez nią wychwycony.

– Nie chcę wchodzić w paradę komendantowi Waxiemu – powiedział D’Agosta. – W sumie ta sprawa należy do jego kompetencji. Mimo to nie mogę mu jej oddać, na wypadek gdyby faktycznie istniał jakiś związek. Zresztą pani chyba już o tym wie. W tej sytuacji proponuję, abyśmy zapomnieli o pani wizycie u mnie.

Hayward ponownie skinęła głową.

– Zadzwoń do Waxiego, jakbym sam, własnymi drogami dotarł do tych raportów, a potem trochę sobie wspólnie pospacerujemy.

– On na to nie pójdzie. Jedyne spacerzy, jakie lubi, to przejście od biurka do okna i z powrotem.

– Och, jestem pewien, że mimo wszystko się zdecyduje. Nie wyglądałoby to zbyt dobrze, gdyby się okazało, że całą brudną robotę odwalił za komendanta porucznik, podczas gdy on

sam siedział na tyłku w swoim gabinecie. Zwłaszcza gdyby się okazało, że to naprawdę duża sprawa. Seryjny morderca wśród bezdomnych – to może być polityczna bomba. I właśnie dlatego wybierzemy się na spacer we troje. Nie ma potrzeby niepokoić innych szyszek z wydziału.

Hayward w jednej chwili zmarkotniała.

– To nierozsądne – uznała. – Tam, na dole, jest niebezpiecznie, panie poruczniku. Wchodzimy na ich teren. Tam nasza władza nie sięga. Nie wyobraża pan sobie nawet, jak tam jest. Nie będziemy mieli do czynienia z garstką zapijaczonych włóczęgów. W tunelach istnieją zorganizowane, rządzące się własnymi prawami społeczności. Należą do nich ludzie o nader radykalnych poglądach, weterani z Wietnamu, kryminaliści, zbiegowie, szaleńcy, narkomani. Wszystkich tych ludzi łączy jednakowo głęboka nienawiść do policji. Będzie nam potrzebna brygada specjalna.

D'Agosta był oburzony jej szorstkim, obcesowym tonem.

– Posłuchajcie, Hayward, nie szykujemy tu inwazji na Normandię. Rozmawiamy tylko o krótkim wypadzie zwiadowczym. Póki co, pozostanę przy obecnych ustaleniach. Gdyby coś się zmieniło, nie omieszkam poprosić o oficjalne wsparcie.

Hayward milczała.

– Hayward? Jeszcze jedno. Jeżeli usłyszę choć słowo na temat naszego planowanego małego spaceru, będę wiedział, kto puścił parę.

Hayward wstała, wygładziła granatowe spodnie i poprawiła szeroki pas.

– Tak jest.

– Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. – D'Agosta wstał, wydmuchując dym w stronę tabliczki nad drzwiami. Zauważył, że Hayward patrzyła na cygaro z dezaprobatą lub może pogardą, nie potrafił tego sprecyzować. – Może cygarko? – zapytał sarkastycznie, wyjmując z kieszeni drugie i podsuwając w jej stronę.

Po raz pierwszy usta Hayward wykrzywił grymas przypominający uśmiech.

– Nie. Dziękuję, ale nie. Zwłaszcza po tym, co się stało z moim wujkiem.

– To znaczy?

– Rak ust. Musieli mu amputować wargi.

D'Agosta patrzył, jak Hayward obraca się na pięcie i szybkim krokiem wychodzi z gabinetu. Nawet się nie pożegnała, zauważył D'Agosta. I równocześnie stwierdził, że cygaro nie smakuje mu już tak jak kiedyś.

Siedział w ciemnościach, w bezruchu, nasłuchując.

Choć do pomieszczenia nie dochodziło światło, wodził wzrokiem od jednej powierzchni do drugiej, z czułością zatrzymując spojrzenie na każdym napotkanym obiekcie. To wciąż było dla niego nowe; mógł siedzieć w bezruchu całymi godzinami, radując się cudowną ostrością własnych zmysłów.

Teraz zamknął oczy i wsłuchał się w odległe odgłosy miasta. Powoli z cichych dźwięków w tle wyłowił strzępy rozmów, oddzielając te najgłośniejsze i najbliższe od tych toczących się dalej, wiele pomieszczeń, a nawet poziomów stąd. Wreszcie one również rozmyły się w mgiełce jego skupienia, a koncentrując się jeszcze bardziej, zdołał usłyszeć ciche skrobania i popiskiwanie myszy w ścianach. W takich chwilach miał wrażenie, że jest w stanie usłyszeć odgłosy samej ziemi, obracającej się leniwie w otoczce atmosfery.

Później – nie był pewien, ile właściwie czasu upłynęło – znów zaczął mu dokuczać głód. Właściwie nie głód, lecz uczucie braku, dojmujące pragnienie, nieumiejscowione i przez pewien czas tak delikatne i subtelne, że prawie niewyczuwalne. Nigdy nie pozwalał, by to pragnienie długo pozostawało nie zaspokojone.

Wstał szybko, przeszedł przez laboratorium, poruszając się pewnie w ciemności. Odkręciwszy jeden z palników pod ścianą, zapalił gaz i umieścił nad palnikiem retortę z destylowaną wodą. Gdy woda się zagrzała, sięgnął do sekretnej kieszonki wszytej w podszewkę płaszcza i wyjął wąską metalową tulejkę. Odkręcił jej koniec i wysypał odrobinę proszku na powierzchnię wody. Gdyby pomieszczenie było oświetlone, można by było zobaczyć, że proszek miał jaskrawozielonkawą barwę. Temperatura wody rosła, a cienka warstewka proszku zaczęła opadać i rozpuszczać się. Wkrótce wnętrze retorty wypełnił miniaturowy sztorm kipiącego wściekłego roztworu.

Zakręcił gaz i przelał zawartość retorty do zlewki. Następnie powinien ująć naczynie oburącz, opróżnić umysł i wykonać kolejne czynności rytuału, powoli wchłaniając przez nos unoszącą się z roztworu parę. On jednak był niecierpliwy, nie znosił czekać; ponownie poczuł palący żar na podniebieniu i łąpczywie wypił sporządzony wywar. Zaśmiał się do siebie, rozbawiony własną niemożnością postępowania zgodnie z zasadami, które tak surowo egzekwował od innych.

Jeszcze zanim ponownie usiadł, uczucie pustki zniknęło i zaczął się długi, powolny haj, fala brała swój początek w kończynach i spływała w głąb ciała, wywołując złudzenie, jakby cała jego jaźń, cała dusza płonęła żywym ogniem.

Przepelnio go nieopisane wrażenie potęgi i szczęśliwości. Jego zmysły, już i tak nadwrażliwe, stawały się tak czułe, że słyszał, jak wirują drobiny kurzu unoszące się w otaczającej go nieprzeniknionej czerni, słyszał całym sobą wszystkie rozmowy toczące się jak Manhattan długi i szeroki, od koktajlowych pogawędek w Rainbow Room na

siedemdziesiątym piętrze Rockefeller Center po piękne zawodzenie jego własnych, wygłodniałych dzieci, daleko pod ziemią, w sekretnych, zapomnianych miejscach.

Stawały się coraz bardziej głodne i żarłoczne. Wkrótce nawet rytuał nie będzie w stanie ich wszystkich kontrolować.

Ale do tej pory nie będzie już konieczny.

Nawet ciemność wydawała mu się teraz boleśnie jaskrawa, zamknął więc oczy, nasłuchując szumu krwi, płynącej wartko w jego żyłach. Nie otworzy oczu, dopóki odlot nie osiągnie apogeum i ta dziwna, srebrzysta poświata, która chwilowo pokrywała jego oczy, nie zniknie zupełnie. Ktokolwiek nadał temu nazwę szkliwo, pomyślał z rozbawieniem, trafił w dziesiątkę.

Niebawem, zdecydowanie zbyt szybko, odlot zaczął mijać. Jednakże wrażenie mocy i potęgi pozostało, żywe świadectwo obecne w jego stawach i ścięgnach, bez przerwy przypominające mu, czym się stał. Gdyby tylko mogli go teraz ujrzeć jego dawni koledzy. Na pewno by zrozumieli.

Nieomal z żalem podniósł się ponownie, nie chciał jeszcze opuszczać tego miejsca, gdzie przeżył tyle wspaniałych chwil pełnych rozkoszy i uniesień. Mimo to nie miał wyboru. Pozostało tyle do zrobienia.

To będzie długa noc.

## 9

Margo podeszła do drzwi, by stwierdzić z niesmakiem, że były one, jak zawsze, brudne. Nawet w muzeum, gdzie tolerancja na kurz jest w znacznym stopniu podwyższona, drzwi do laboratorium antropologii albo pokoju szkieletów, jak go nazywano wśród personelu, były potwornie uświnione.

Chyba nie myto ich od początku tego stulecia, pomyślała. Na klamce była patyna potu i olejków pokrywających niezliczone, dotykające jej dłonie, a obszar wokół niej lśnił jak pociągnięty werniksem. Zastanawiała się, czy wyjąć z torebki chusteczkę higieniczną, lecz ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu, mocno chwyciła za klamkę i przekręciła ją zdecydowanym ruchem.

Jak zwykle pomieszczenie było słabo oświetlone i musiała przymrużyć oczy, by ujrzeć sięgające od podłogi po sufit rzędy metalowych szuflad, przypominające regały w jakiejś starej, zapomnianej przez wszystkich bibliotece. Każda z dwunastu tysięcy szuflad zawierała ludzki szkielet, w całości lub w częściach. Choć były to głównie szkielety rdzennych mieszkańców Afryki oraz obu Ameryk, Margo bardziej interesowały okazy sprowadzone tu z uwagi na anomalie fizyczne, mogące zaciekać raczej lekarza aniżeli antropologa.

Doktor Frock zasugerował, że w pierwszym rzędzie powinni zbadać szczątki osób przejawiających widoczne zmiany zwyrodnieniowe w układzie oraz wyglądzie kości. Wysunął on hipotezę, że być może ofiary takich schorzeń jak akromegalia czy syndrom Proteusza mogłyby rzucić choć odrobinę światła na rozwiązanie zagadki dziwnego szkieletu, czekającego na nich pod płachtą niebieskiego plastyku w laboratorium antropologii.

Przechodząc pomiędzy wielkimi regałami, Margo aż westchnęła. Wiedziała, że czeka ją ciężka przeprawa. Sy Hagedorn, administrator laboratorium antropofizyki, był niemal równie stary i wysuszony na wiór jak szkielety, nad którymi sprawował pieczę. Wraz z personalnym Curleyem, Emmaline Spragg z wydziału biologii bezkręgowców oraz kilkoma innymi Sy stanowił ostatni bastion muzealnej starej gwardii. Mimo iż muzeum posiadało skatalogowaną, komputerową bazę danych i świetnie wyposażone laboratorium, znajdujące się tuż za pokojem szkieletów, administrator uparcie odmawiał unowocześnienia swoich metod katalogowania, wywodzących się jeszcze z czasów króla Ćwieczka. Gdy jej były kolega, Greg Kawakita, urządził tu swoje laboratorium, za każdym razem gdy otwierał swego laptopa, musiał znosić drwiące komentarze i krzywe spojrzenia Hagedorna. Za jego plecami Kawakita nazywał Hagedorna „Dytek”. Jedynie Margo i paru podopiecznych Frocka wiedziało, że przydomek ten wywodził się od nazwy *Stumpiniceps troglodytes*, nadanej szczególnie prymitywnemu gatunkowi istot dennych, żyjących w oceanach w okresie karbonu.

Na myśl o Kawakicie Margo poczuła wyrzuty sumienia. Jakies pół roku temu zostawił jej na sekretarce wiadomość, przepaszając, że tak długo się nie odzywał, mówił, że chciałby z nią porozmawiać i że zadzwoni ponownie następnego wieczoru. Gdy telefon odezwał się prawie dokładnie dwadzieścia cztery godziny później, Margo automatycznie sięgnęła po słuchawkę, ale jej nie podniosła; dłoń zastygła w bezruchu kilka cali nad aparatem. Gdy włączyła się sekretarka, połączenie natychmiast zostało przerwane. Margo zastanawiała się, dlaczego nie odebrała tego telefonu, jaki zadziałał w niej instynkt. W gruncie rzeczy знаła odpowiedź na to pytanie. Kawakita był jednym z elementów tej historii, podobnie jak Pendergast, Smithback, porucznik D’Agosta, a nawet doktor Frock. To jego ekstrapolator okazał się kluczem do rozwikłania zagadki Mbwuna, istoty grasującej w muzeum i po dziś dzień nawiedzającej ją w snach. Choć mogło to zabrzmieć egoistycznie, nie miała ochoty rozmawiać z nikim, kto nawet przypadkiem mógł jej przypomnieć owe przerażające chwile. Teraz mogło się to wydawać głupie, zwłaszcza że właśnie wpakowała się po uszy w śledztwo dotyczące...

Głośne chrząknięcie wyrwało Margo z zamyślenia. Uniosła wzrok, by ujrzeć stojącego przed nią niskiego mężczyznę w znoszonym tweedowym garniturze; jego twarz pobrużdżona była siateczką głębokich zmarszczek.

– Wydawało mi się, że ktoś spaceruje wśród moich szkieletów – odezwał się Hagedorn, marszcząc czoło i splatając ręce na piersiach. – O co chodzi?

Margo poczuła narastające rozdrażnienie, które sprawiło, że w mig zapomniała o niedawnych rozważaniach. Jego szkielety, dobre sobie. Tłumiąc irytację, wyjęła z torebki złożoną we czworo kartkę papieru.

– Doktor Frock chciałby, aby te okazy przesłano do laboratorium antropologii – wyjaśniła, podając kartkę Hagedornowi.

Mężczyzna przejrzał zamówienie i jeszcze bardziej zmarsowił.

– Trzy szkielety? – zapytał. – To dość nietypowe zlecenie.

Całuj psa w nos, Dytku.

– Istotne jest, abyśmy otrzymali je natychmiast – powiedziała. – Jeżeli jest z tym jakiś problem, jestem pewna, że doktor Merriam udzieli panu niezbędnej autoryzacji.

Nazwisko nowej pani dyrektor wywołało pożądaną skutek.

– No dobrze. Ale mimo wszystko jest to dość nietypowe zlecenie. Proszę ze mną.

Poprowadził ją do starego drewnianego biurka, którego blat zdobiły liczne rysy, wgłębienia i złobienia. Za biurkiem, w niedużych szufladach znajdowała się kartoteka Hagedorna. Sprawdził pierwszą pozycję na liście Frocka i powiódł wąskim, żółtym palcem w dół szuflad. Nagle jego dłoń znieruchomiała. Mężczyzna wysunął szufladę, przejrzał znajdujące się wewnątrz fiszki i wydobył jedną z nich, sarkając w głos.

– 1930-262 – przeczytał. – Ja to mam szczęście. Najwyższy rząd. Nie jestem już najmłodszy. Trudno mi się wspinać.

Wtem zamilkł, skonsternowany.

– To szkielet medyczny – zauważył, wskazując na czerwoną kropkę w górnym prawym rogu fiszki.

– Jak wszystkie spośród tych zamówień – odrzekła Margo.

Choć Hagedorn wyraźnie oczekiwał dalszych wyjaśnień, Margo nabrała wody w usta. Wreszcie administrator chrząknął ponownie, a jego brwi połączyły się w jedną kreskę.

– Skoro pani nalega – mruknął, poruszony niezwykłością zlecenia. – Proszę tu podpisać, wpisać swój numer, nazwę wydziału oraz nazwisko Frocka, w tej kolumnie, o, tutaj.

Margo spojrzała na brudną fiszkę, jej rogi były pozaginane i wydawały się kruche ze starości. To karta biblioteczna, pomyślała. Ciekawe. U góry starannie wykaligrafowana była tożsamość szkieletu: Homer Maclean. Tak, to z pewnością o niego chodziło Frockowi – ofiara neurofibromatozy, o ile dobrze pamiętała. To był jeden ze szkieletów, o którym wspominał profesor.

Nachyliła się, aby złożyć swój podpis w pierwszej pustej kratce, i nagle znieruchomiała. Na karcie trzy lub cztery podpisy wyżej ujrzała znajomy podpis – G.S. Kawakita, wydz. antropologii. Pięć lat wcześniej on również pobrał ten szkielet do badań. Nie dostrzegła w tym niczego dziwnego, Grega zawsze fascynowało to, co niezwykle, niesamowite i anormalne; wyjątki od reguły stanowiły jego wielką pasję. Być może właśnie dlatego tak bardzo interesował go doktor Frock z jego ewolucją fraktalną.

Przypomniała sobie, jak Greg lubił ćwiczyć w tym pomieszczeniu ze swoją starą wędką. Naturalnie, kiedy Hagedorna nie było w pobliżu. Stłumiła cisnący jej się na usta uśmiešek.

No dobra, pomyślała, niech będzie. Dziś wieczorem poszukam w książce numeru telefonu Grega. Lepiej późno niż wcale.

Rozległo się wysokie, przeciągłe kaszlnięcie, a gdy uniosła wzrok, ujrzała wpatrujące się w nią niecierpliwie małe oczka Hagedorna.

– Chciałem tylko, aby wpisała pani swoje imię i nazwisko – burknął kąśliwie. – Nie oczekuję poematu lirycznego. Może przestanie pani dumać i weźmiemy się wreszcie do roboty? Czas ucieka.

## 10

Szeroki, ozdobny fronton klubu Polihymnia, mieszczącego się przy Czterdziestej Piątej Zachodniej, wabił swą marmurowo-piaskowcową fasadą, przypominającą rufę hiszpańskiego galeonu. Nad markizą unosił się złocony posąg imienniczki klubu, muzy retoryki, stojącej na jednej nodze, jakby miała zaraz wzbic się w powietrze. Poniżej, za obrotowymi drzwiami panował typowy dla sobotniego wieczoru gwar; choć klientelę stanowili głównie przedstawiciele nowojorskiej prasy, jak poskarżył się któregoś razu Horacy Greeley – wciąż wpuszczano tam połowę nie zatrudnionych szczeniaków, wałęsających się na południe od Czternastej Ulicy.

Bill Smithback, znalazłszy się wśród ścian wyłożonych dębową boazerią, podszedł do baru i zamówił Caol Ila bez lodu. Choć nie przepadał za większością tutejszej klienteli, uwielbiał podawaną w tym klubie importowaną szkocką whisky. Przedni trunek na jęczmiennym słodzie wypełnił mu usta osobliwą mieszaniną dymu torfowego i wody z Loch nam Ban. Smakował go z lubością przez dłuższą chwilę, po czym rozejrzał się dokoła, gotów wznieść toast pośród pozdrawiających skinień i pełnych podziwu spojrzeń kolegów po fachu.

Zlecenie od pani Wisher okazało się jednym z przełomowych wydarzeń w jego życiu. Już teraz zyskał dzięki niemu trzy artykuły na pierwszą stronę w ciągu jednego tygodnia. Udało mu się nawet przełożyć niespójny, szaleńczy bełkot i niejasne pogroźki przywódcy bezdomnych, Mephista, na bardziej zrozumiały język i przedstawić je rzeszom swoich czytelników. Dziś po południu, gdy Smithback wychodził z redakcji, Murray serdecznie poklepał go po plecach. Murray, naczelny, który nigdy nikogo nie pochwalił.

Jako że lustracja tłumu klientów okazała się nieskuteczna, Smithback odwrócił się do kontuaru i pociągnął kolejny łyk. To niesamowite, pomyślał, jak wielką mocą dysponuje dziennikarz. Z jego powodu zawrzało w całym mieście. Ginny, sekretarka w redakcji, nie nadążała z odbieraniem telefonów w sprawie nagrody i trzeba było zatrudnić renomowaną dyspozytorkę. Nawet burmistrz uległ tej gorączce.



Pani Wisher musiała być zadowolona z jego osiągnięć. To było inspirujące. Niejasne przecucie, że pani Wisher celowo nim manipulowała, przemknęło mu, co prawda, przez myśl, ale zaraz zostało zepchnięte na dalszy plan. Wypił kolejny łyk szkockiej, a gdy spłynęła mu do przelyku, zmrużył powieki, jakby w tej krótkiej chwili przeniósł się do świata marzeń.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Odwrócił się szybko. Stał przed nim Bryce Harriman, redaktor rubryki kryminalnej z „Timesa”, który także zajmował się sprawą Wisher.

– Och – jęknął Smithback, krzywiąc się.

– Kopę lat, Bill – rzekł Bryce; nie odrywając dłoni od ramienia Smithbacka, przebił się do baru i postukał monetą w kontuar. – Killians – rzucił do barmana.

Smithback skinął głową. Chryste, pomyślał, akurat on musiał się napatoczyć.

– Taaa – mruknął Harriman. – Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Postarałeś się. Sprytnie pomyslane. W „Post” na pewno musiało się to spodobać. – Przerwał na chwilę, jakby czekał na reakcję Smithbacka.

– Rzeczywiście, bardzo się spodobało – przytaknął Bill.

– Właściwie powinienem ci podziękować – Harriman sięgnął po kufel i pociągnął spory łyk. – Twoje artykuły pomogły wypracować odpowiednie tło dla mojej historii.

– Naprawdę? – mruknął obojętnie Smithback.

– Naprawdę. Choćby kwestię śledztwa, które utknęło w martwym punkcie. Nikt nie przejął się tym, że sprawa stanęła w miejscu.

Smithback uniósł wzrok, a reporter „Timesa” energicznie pokiwał głową.

– Ta nagroda sprawiła, że napływa cała masa idiotycznych zgłoszeń. Policja nie ma wyboru, musi każdy z nich traktować jednakowo poważnie. Skutkiem tego sprawdzają teraz tysiące domniemań, marnując czas. Dam ci przyjacielską radę, Bill. Nie pokazuj się w komendzie głównej przez, dajmy na to, następane dziesięć lat.

– Oduść sobie – uciał Smithback. – Wyświadczyliśmy policji wielką przysługę.

– Nie o tym mówiłem.

Smithback odwrócił się i pociągnął kolejny łyk drinka. Przywykł do przytyków Harrimana. Bryce Harriman, absolwent wydziału dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia, uważał się za bożego pomazańca w tym fachu.

Tak czy inaczej, Smithback wciąż pozostawał w dobrej komitywie z porucznikiem D’Agostą. I tylko to się liczyło. Harriman był skończonym idiotą.

– Powiedz no, Bryce, jak sprzedawał się dzisiejszy numer „Timesa”? – zapytał. – Sprzedaż „Post” w ciągu ostatniego tygodnia podskoczyła o czterdzieści procent.

– Nie wiem i niezbyt mnie to obchodzi. Dziennikarz z prawdziwego zdarzenia nie powinien zwracać sobie głowy sprzedażą gazety.

Smithback poszedł za ciosem.

– Bryce, pogódź się z tym. Dałem ci mata. Udało mi się zrobić wywiad z panią Wisher, a ty tylko pocałowałeś klamkę.

Oblicze Harrimana pociemniało; a więc jednak udało mu się trącić czułą strunę. Naczelnny „Timesa” musiał nieźle obsobaczyć swego najlepszego dziennikarza.

– Tak – przyznał Harriman. – Spotkała się z tobą, to fakt. I owinęła sobie ciebie wokół palca. A tymczasem prawdziwa bomba kryje się gdzie indziej.

– To znaczy?

– Choćby sprawa tożsamości drugiego szkieletu. Albo tego, dokąd przewieziono ciała. – Harriman przyglądał się Smithbackowi, nonszalancko sącąc piwo. – Chcesz powiedzieć, że o tym nie wiesz? Ty? Chyba poświęcasz zbyt wiele czasu na rozmowy ze świrami w tunelach kolejowych.

Smithback odnalazł spojrzenie tamtego, usiłując ukryć swoje zakłopotanie. Co to miało być? Fałszywy trop? Nie, raczej nie, zimne oczy za grubymi jak denka butelek szklami okularów patrzyły nań pogardliwie, lecz z powagą.

– Nie zdążyłem się jeszcze temu przyjrzeć.

– Co ty nie powiesz. – Harriman poklepał go po plecach. – Sto tysięcy dolców nagrody, zgadza się? To mniej więcej równowartość twoich dwuletnich poborów. Oczywiście, jeżeli „Post” znów nie zacznie robić bokami.

Roześmiał się, upuścił na kontuar pięciodolarowy banknot i odwrócił się, by odejść.

Smithback, mocno poirytowany, odprowadził Harrimana wzrokiem. A więc ciała zostały wywiezione z biura koronera. Powinien był sam się tego dowiedzieć. Ale dokąd je przetransportowano? Nie było żadnych przygotowań do pochówku, nie urządzono również pogrzebu. Musiały być w jakimś laboratorium, wyposażonym lepiej niż biuro koronera przy komendzie głównej policji. To musiało być naprawdę bezpieczne miejsce, nie żaden z uniwersytetów w rodzaju Columbi czy Rockefellera, gdzie zawsze kręci się mnóstwo studentów. Bądź co bądź, sprawę prowadził porucznik D’Agosta. Facet zimny jak lód. Tacy jak on nie robią nic na pół gwizdka. Dlaczego D’Agosta polecił przeniesienie ciał...

D’Agosta.

I nagle Smithback domyślił się, dokąd musiały zostać przewiezione ciała. Przypuszczenie rychło przerodziło się w pewność.

Dopił drinka, wstał od kontuaru i podszedł do jednego z aparatów telefonicznych wiszących w holu. Wrzucił ćwierćdolarówkę do otworu w aparacie i wybrał numer.

– Tu Curley – rozległ się oschły głos starszego mężczyzny.

– Curley! – rzekł Smithback. – To ja, Bill Smithback. Co u ciebie?

– Świetnie, doktorze Smithback. Dawno pana nie widziałem.

Curley, który sprawdzał identyfikatory przy wejściu dla pracowników do Muzeum Historii Naturalnej, do wszystkich zwracał się per doktorze. Książęta rodzili się i umierali, dynastie rosły w siłę i obracały się w proch, ale Curley, o czym Smithback wiedział doskonale, pozostanie w swojej ozdobnej, spiżowej budce strażniczej po wsze czasy, sprawdzając identyfikatory wchodzących.

– Curley, o której w środę wieczorem przyjechały te karetki? No wiesz, te dwie, które przyjechały razem? – Smithback mówił szybko, modląc się w duchu, aby stary cerber nie zorientował się, że po zerwaniu kontraktu z muzeum Bill został dziennikarzem.

– Zaraz sprawdzę – rzekł Curley w typowy dla siebie, powolny sposób. – Chyba nic takiego sobie nie przypominam, doktorze.

– Naprawdę? – zapytał Smithback, wyraźnie zbity z tropu.

Był pewien, że jego przypuszczenia są słuszne.

– No, chyba że ma pan na myśli tę jedną, co zjawiała się u nas bez włączonych świateł i syreny. Ale to nie było w środę, tylko w czwartek. – Smithback usłyszał, jak Curley kartkuje swój kajet. – Taaa, przyjechała parę minut po siedemnastej.

– A, tak, we czwartek, racja. Gdzie ja mam głowę? Wszystko mi się pokiełbało. – Podziękował strażnikowi i rozłączył się.

Z uśmiechem powrócił do baru. Jeden telefon wystarczył mu do potwierdzenia tego, czego Harriman bez wątpienia poszukiwał bezskutecznie od wielu dni.

Tak, to miało sens. Jak najbardziej. Wiedział, że D’Agosta korzystał z usług muzealnego laboratorium przy rozwiązywaniu innych zagadek kryminalnych, w tym także słynnej sprawy Bestii z Muzeum. Muzeum dysponowało nowoczesnym, świetnie wyposażonym laboratorium i było miejscem dostępnym jedynie dla nielicznych.

Z pewnością D’Agosta poprosił o pomoc tego nadętego bufona, doktora Frocka. I może również jego była asystentką, Margo Green, przyjaciółkę Smithbacka z okresu jego pracy w muzeum.

Margo Green, pomyślał Smithback. Ta sprawa prezentowała się coraz ciekawiej.

Przywołał barmana.

– Paddy, zostanę przy ajriszach, ale zmienię gorzelnię. Podaj mi, proszę, Laphroaig. Piętnastoletnią.

Upił łyk wybornej whisky. Dziesięć dolców za lufkę, ale była ona warta każdego centa. Sto tysięcy to mniej więcej równowartość twoich dwuletnich poborów, drażnił się z nim Harriman.

Smithback uznał, że po kolejnym artykule na pierwszą stronę będzie musiał zażądać od Murraya podwyżki. Należało kuć żelazo, póki gorące.

## 11

Sierzant Hayward zeszła po długich metalowych schodach, otworzyła wąskie drzwi pokryte warstewką rdzy i wyszła na opuszczoną boczną koleją.

Tuż za nią w drzwiach pojawił się D’Agosta, z rękoma w kieszeniach. Słabe światło słoneczne przesączało się przez kratownice, wysoko ponad nimi, rozświetlając drobiny kurzu

unoszące się w powietrzu. D'Agosta spojrzał najpierw w lewo, potem w prawo. Z obu stron tory niknęły w mrocznych czeluściach tunelu. Porucznik zauważył, że Hayward potrafiła poruszać się pod ziemią w dość niezwykle sposób, stąpając bezszelestnie i ostrożnie zarazem.

– Gdzie kapitan? – zapytała.

– Idzie – odparł D'Agosta, szorując butem o jedną z szyn, aby usunąć coś, co przykleiło mu się do podeszwy. – Ruszaj. – Patrzył, jak Hayward miękko niczym kocica wchodzi do tunelu; promień jej latarki rozproszył ciemność. Wszelkie opory i wahania, jakie miał do tej pory względem tej kobiety, prysły z chwilą, gdy spostrzegł, jak potrafiła radzić sobie pod ziemią.

Waxie tymczasem znacznie zwolnił tempo w ciągu dwóch godzin, odkąd opuścili piwnicę apartamentowca, gdzie ponad trzy miesiące temu odkryto pierwsze ciało. Było to wilgotne pomieszczenie, pełne wielkich, starych bojlerów. Z sufitu zwisały się przegniłe przewody. Hayward wskazała materac, upchnięty za poczerniałym kotłem, zasłany pustymi plastikowymi butelkami po wodzie i podartymi gazetami: tu mieszkał denat. Na materacu widniała stara plama zbrązowiałej już krwi o średnicy trzech stóp, którą mocno nadgryzły już szczury. Powyżej, na rurze, wisiały stare, postrzępione skarpety frotte, pokryte warstwą zielonkawej pleśni.

Denatem okazał się niejaki Hank Jasper – wyjaśniła Hayward. Żadnych świadków zbrodni, zero znanych krewnych czy przyjaciół. Akta policyjne na nic się nie zdały, żadnych zdjęć ani raportów z miejsca zbrodni, a jedynie krótkie sprawozdanie o licznych ranach szarpanych, poważnych uszkodzeniach czaszki i notka o szybkim pogrzebie na cmentarzu na Hart Island.

Niczego nie znaleziono też w nieczynnej toalecie na stacji Columbus Circle, gdzie odkryto drugie zwłoki: mnóstwo śmieci i pozostałości nieudolnego zmywania śladów krwi, która poplamiała stare kafelki, popękane umywalki i potrząskane lustro. Tej ofiary nie udało się zidentyfikować; nie miała głowy.

Z tyłu, za nimi, rozległo się siarczyste przekleństwo. D'Agosta odwrócił się i ujrzał korpulentną sylwetkę kapitana Waxiego, wyłaniającą się zza pordezwiątych drzwi. Rozejrzał się dokoła z obrzydzeniem, a jego blada twarz lśniła nienaturalnie w słabym świetle.

– O Jezu, Vinnie – rzekł, podchodząc wzdłuż torów do D'Agosty. – Co my, u licha, wyprawiamy? Mówiłem ci, to nie robota dla komendanta policji. Zwłaszcza w niedzielne popołudnie. – Skinął głową w stronę czarnego tunelu. – Ta mała cię do tego namówiła, prawda? Ma niezłe cycki. Wiesz, zaproponowałem jej posadę mojej osobistej asystentki, ale ona woli łażikować po tunelach i wywlekać bezdomnych z ich nor. Są różne zboczenia.

Co ty powiesz, pomyślał D'Agosta, wyobrażając sobie, co miał na myśli Waxie, proponując tej atrakcyjnej dziewczynie posadę osobistej asystentki.

– I jeszcze na dodatek zaczęło mi szwankować radio – warknął z irytacją Waxie.

D'Agosta wskazał na górę.

– Hayward mówiła, że tu na dole krótkofalówki nie działają. A w każdym razie często zawodzą.

– Świetnie. To jak wezwiemy wsparcie?

– Nie wezwiemy. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

– Świetnie – powtórzył Waxie.

D'Agosta spojrział na niego. Górną wargę komendanta pokrywały kropelki potu, a jego rumiane, zwykle mocno naprężone policzki obwisły.

– To nie moja, lecz twoja jurysdykcja – rzekł D'Agosta. – Pomyśl lepiej, ile zyskasz, jeśli okaże się, że to naprawdę duża sprawa: natychmiastowa reakcja, przejęcie dowodzenia nad zespołem, wizyta na miejscu przestępstwa. Niezła odmiana. – Sięgnął do kieszeni po cygaro, lecz ostatecznie go nie wyjął. – I pomyśl jeszcze, co by było, gdyby okazało się, że te zbrodnie mimo wszystko są ze sobą powiązane, a prasa ogłosiłaby, że nic w tej sprawie nie zrobiłeś, a wręcz przeciwnie – próbowałeś ją nawet zatuszować.

Waxie łypnął nań spode łba.

– Vinnie, ja się nie ubiegam o fotel burmistrza.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Tak czy owak, wiem jedno: gdy tym razem łąjno walnie w wentylator, ty będziesz kryty.

Waxie chrząknął, choć wydawał się nieco ułagodzony.

D'Agosta widział promień latarki Hayward, przesuwaną się po torach w ich stronę. Wkrótce ujrzał także ją samą, wyłaniającą się z mroku.

– Prawie jesteśmy na miejscu – powiedziała. – Jeszcze tylko jeden poziom.

– Jeszcze jeden? – burknął Waxie. – Sądziłem, że jesteśmy już na najniższym.

Hayward milczała.

– Jak mamy tam dotrzeć? – zapytał policjantkę D'Agosta.

Hayward wskazała tam, skąd przyszła.

– Idąc wzdłuż torów na północ. O jakieś czterysta jardów stąd po prawej stronie są kolejne schody.

– A jeśli nadjedzie pociąg? – wtrącił Waxie.

– To nieczynny odcinek – odparła Hayward. – Od dłuższego czasu pociągi już tędy nie jeżdżą.

– Skąd wiecie?

Hayward omiotła promieniem latarki tory pod ich stopami, ukazując szyny pokryte grubą warstwą pomarańczowej rdzy.

D'Agosta uniósł wzrok i spojrział na Hayward. Policjantka nie wyglądała na uszczęśliwioną.

– Coś nie tak z tym dolnym poziomem? – zapytał półgłosem.

Hayward milczała przez chwilę.

– Zwykle przeczesujemy tylko górne rejony. Ale słyszał pan te historie. Im niżej się schodzi, tym tunele stają się okropniejsze. – Przerwała. – Właśnie dlatego tak zależało mi na wsparciu – dokończyła.

– Tam na dole żyją ludzie? – zapytał Waxie, uwalniając D’Agostę od niezręcznej odpowiedzi.

– Oczywiście. – Hayward skrzywiła się, jakby zdziwiona, że Waxie o tym nie wiedział. – W zimie jest tam ciepło, nie ma wiatru, nie pada na głowę. Jedyne, czym muszą przejmować się ci, co tam mieszkają, są inne krety.

– Kiedy ostatni raz oczyszczano ten poziom?

– Tych poziomów się nie oczyszcza, panie kapitanie.

– A to dlaczego?

Cisza.

– Cóż, po pierwsze dlatego, że kretów żyjących na dolnych poziomach nie sposób znaleźć. Oni, żyjąc w wiecznych ciemnościach, doskonale widzą po ciemku. Usłyszysz jakiś szelest i nim się odwrócisz, już ich nie ma. Rokrocznie przeprowadza się zaledwie kilka rutynowych inspekcji ze specjalnie szkolonymi psami, w celu odnalezienia ciał. I nawet wtedy nie zapuszczamy się za daleko. Poza tym to bardzo niebezpieczne. Nie wszystkie krety schodzą tam w poszukiwaniu schronienia. Niektórzy chcą się tu ukryć. Inni przed czymś uciekają, zazwyczaj przed policją. Jeszcze inni są z natury drapieżcami.

– A co z tym artykułem z „Post”’? – zapytał D’Agosta. – Było w nim napisane, że powstało tu coś w rodzaju podziemnej społeczności. To raczej nie brzmi złowrogo.

– Mówi pan o mieszkańcach podziemi Central Parku, poruczniku, a nie tuneli kolejowych pod West Side – poprawiła Hayward. – Niektóre obszary są bezpieczniejsze od innych. Poza tym pragnę panu przypomnieć, że w tym samym artykule była także wzmianka o kanibalach. – Uśmiechnęła się promiennie.

Waxie chciał coś powiedzieć, ale zmiygotował się i tylko głośno przełknął ślinę.

W ciszy ruszyli wzdłuż torów. D’Agosta w pewnej chwili uświadomił sobie, że mimowolnie muska palcami swego Smith and Wessona 4946 double-action. W roku dziewięćdziesiątym trzecim na komendzie powstały kontrowersje co do uzbrojenia personelu w półautomaty kaliber 9. Obecnie D’Agosta cieszył się, że ma przy sobie taką właśnie broń.

Schody, kiedy do nich dotarli, okazały się zablokowane stalowymi drzwiami nieomal wyrwanymi z zawiasów i zwieszającymi się pod dziwnym kątem. Hayward otworzyła je, po czym odstepiła na bok. D’Agosta przestąpił próg i w jednej chwili łzy poleciały mu z oczu. Jego nozdrza podrażniła silna woń amoniaku.

– Pójdę przodem, poruczniku – rzekła Hayward.

D’Agosta przepuścił ją. Nie zamierzał sprzeczać się z profesjonalistką.

Omszałymi, pokrytymi wapiennym nalotem schodami dotarli do rozległego podestu i skręcili. D'Agosta poczuł, że łzawiące oczy zaczynają go piec. Woń była paląca, nie do opisanania.

– Co to za smród? – zapytał.

– Mocz – odparła beznamiętnie Hayward. – Głównie, ale nie tylko. Także paru innych rzeczy, o których chyba wolałby pan nie wiedzieć.

Z tyłu za nimi Waxie coraz głośniejszy posapywał.

Przeszli przez postrzępiony otwór i znaleźli się w jakimś mrocznym, przestronnym miejscu. Gdy Hayward poświeciła latarką dokoła, D'Agosta stwierdził, że dotarli do wylotu jakiegoś olbrzymiego tunelu. Nie było tu jednak torów, a jedynie ziemiste podłoże z widocznymi tu i ówdzie kałużami wody i oleju oraz poczerniałymi pozostałościami niedużych ognisk. Wszędzie walały się śmieci, stare gazety, podarte spodnie, stary but, brudna jednorazowa pielucha.

D'Agosta słyszał za sobą ziajanie Waxiego. Zastanawiał się, czemu kapitan tak nagle przestał narzekać. Może to przez ten smród, pomyślał.

Hayward skierowała się w stronę przejścia odchodzącego od wylotu tunelu.

– Tutaj – powiedziała. – Ciało znaleziono w niszy, w głębi tego chodnika. Lepiej trzymajmy się razem. Uważajcie, żeby nikt nie popieścił was gazrurką.

– Gazrurką? – powtórzył D'Agosta.

– Rozglądajcie się, bo ktoś może nagle wychynąć z ciemności i dać wam po głowie kawałkiem rury.

– Nikogo nie widzę – mruknął D'Agosta.

– Są tutaj – odrzekła Hayward.

Oddech Waxiego stał się bardziej urywany.

Ruszyli wzdłuż przejścia, lecz już znacznie wolniej. Hayward regularnie omiatała promieniem latarki boczne ściany tunelu. Co dwadzieścia stóp w ścianie wycięta była sporych rozmiarów nisza.

To przestrzenie roboczo-maszynowe pracowników kolei sprzed stu lat, wyjaśniła Hayward. W wielu niszach zalegały brudne sienniki. Spłoszone światłem wielkie, brunatne szczury, buszujące wśród śmieci z zuchwałą powolnością, odwracały się, by zniknąć w mroku. Nigdzie jednak nie zdołali dostrzec ludzi.

Hayward przystanęła, zdjęła czapkę i założyła za ucho kosmyk wilgotnych od potu włosów.

– W raporcie wyczytałam, że była to nisza znajdująca się dokładnie naprzeciw zwalonego metalowego chodnika – powiedziała.

D'Agosta usiłował oddychać przez przytkniętą do ust dłoń, a gdy to nic nie dało, poluzował krawat i przesłonił usta postawionym kołnierzykiem koszuli jak maską.

– O, jest. – Hayward oświetliła latarką porzewiałą masę żelastwa, starych wsporników i zwalonej metalowej kładki. Następnie odnalazła znajdującą się naprzeciw kładki niszę. Z zewnątrz wyglądała jak wszystkie inne: pięć stóp średnicy, trzy stopy głębokości, wycięta w skale jakieś dwie stopy nad ziemią.

D’Agosta podszedł i zajrzał do środka. Leżał tam przekrzywiony stary siennik, pokryty grubą skorupą zaschniętej krwi. Posoka poplamiała też ściany; przemieszana była ze strzępkami czegoś jeszcze, o czym D’Agosta wołał nawet nie myśleć. W niszy znajdował się karton, był przewrócony i na wpół zmiążdżony. Podłogę w niszy zaścielały gazety. Smród był nie do wytrzymania.

– Tego faceta też znaleziono bez głowy – wyszeptała Hayward. – Zidentyfikowano go na podstawie odcisków palców. Shasheen Walker, lat trzydzieści dwa. Rejestr długi jak pańskie ramię, ćpun.

W każdej innej sytuacji D’Agosta uznałby za rzecz niezwykłą, że jakiś funkcjonariusz policji mówi do niego szeptem. Teraz jednak przyjmował to nieomal z zadowoleniem. Nastąpiła długa cisza, podczas gdy D’Agosta rozglądał się wokoło, przyświecając sobie własną latarką.

– Znaleziono głowę? – zapytał w końcu.

– Nie – odrzekła Hayward.

Obskurna nora nie wyglądała, jakby ją dokładnie przeszukano. D’Agosta, który z całego serca pragnął znaleźć się teraz gdzie indziej i robić co innego, ujął róg brudnego koca i silnym szarpnięciem zerwał go z posłania.

Z barłogu wytoczyło się coś brązowego i poturlało pod ścianę. To, co pozostało z ust, wykrzywione było w grymasie niemego krzyku.

– Chyba nie szukali zbyt uważnie – uznał D’Agosta.

Waxie jęknął cichutko.

– Wszystko w porządku, Jack? – zapytał porucznik, odwracając się.

Waxie nie odpowiedział. Jego twarz pośród mroku była blada jak księżyc w pełni.

D’Agosta ponownie skierował promień latarki na głowę.

– Będziemy musieli przysłać tu ekipę techników, aby zrobili zdjęcia.

Sięgnął po krótkofalówkę, ale zaraz przypomniał sobie, że radio nie działało.

Hayward postąpiła naprzód.

– Poruczniku?

– Tak? – mruknął D’Agosta.

– Krety nie zbliżają się do tego miejsca, ponieważ ktoś tu umarł. Niektórzy z nich są bardzo przesądni. Kiedy jednak stąd pójdziemy, uprzątą cały ten bałagan, sami pozbędą się głowy i już nigdy jej nie odnajdziemy. Oni bardziej niż cegokolwiek innego nie chcą mieć na swoim terenie glin.

– Skąd będą wiedzieli, że tu byliśmy?



– Już mówiłam, poruczniku, oni tu są. Naokoło nas. Nasłuchują.

D’Agosta poświecił latarką na prawo i lewo. Korytarz był pusty.

– Do czego pani zmierza?

– Jeśli chce pan tę głowę, będzie pan musiał zabrać ją ze sobą.

– Cholera – burknął D’Agosta. – No dobra, sierżancie, będziemy musieli improwizować.

Proszę zdjąć ten ręcznik.

Omijając stojącego jak posąg Waxiego, sierżant Hayward zdjęła wiszący na rurze mokry ręcznik i rozłożyła go na wilgotnym betonie obok czerepu. Następnie, osłaniając dłoń mankietem koszuli, przetoczyła głowę na materiał.

D’Agosta patrzył z odrazą i podziwem jednocześnie, jak Hayward związała końce ręcznika, tworząc poręczny tobołek. Zamrugał, aby pozbyć się łez, które wycisnął mu z oczu dławiący odór zgnilizny.

– Ruszajmy, sierżancie, czyńcie honory.

– Nie ma sprawy. – Hayward podniosła zawiniątko, trzymając je z dala od ciała.

Gdy D’Agosta zrobił kilka kroków, świecąc latarką w głąb korytarza, z mroku ze świstem wyleciała butelka, o włos chybiając głowy Waxiego. Butelka uderzyła w ścianę i rozprysła się w drobny mak. Z głębi tunelu dobiegły podejrzane odgłosy.

– Jest tam kto? – zawołał D’Agosta. – Stać! Policja!

Z ciemności wystrzeliła kolejna butelka. D’Agosta, któremu nagle zaczęły pełzać po plecach lodowate ciarki, stwierdził z konsternacją, że choć w mroku nie widział nikogo, czuł, że zbliżają się do nich jakieś widmowe postacie.

– Poruczniku, jest nas tylko troje – powiedziała Hayward głosem pełnym napięcia i powagi. – Czy mogę zasugerować, abyśmy wynieśli się stąd czym prędzej?

Z czerni przed nimi dobiegł nagle ochryply krzyk, donośny zew i odgłos biegnących stóp. Tuż obok dał się słyszeć ochryply wrzask przerażenia. D’Agosta, odwróciwszy się, ujrzał Waxiego, który wciąż stał jak wryty.

– Na Boga, kapitanie, proszę wziąć się w garść! – ryknął D’Agosta.

Waxie zaskomlał cichutko. Z drugiej strony dobiegł głośny syk. D’Agosta obrócił się na pięcie, by spostrzec drobną sylwetkę Hayward, wyprężoną i wyczekującą w napięciu. Ręce miała opuszczone wzdłuż boków, dłonie zaciśnięte w pięści, w jednej wciąż trzymała tobołek. Wzięła jeszcze jeden głęboki, syczący oddech, jakby szykowała się do konfrontacji. Następnie pospiesznie rozejrzała się wokoło i odwróciła w stronę schodów, odsuwając głowę na odległość wyciągniętej ręki od ciała.

– Jezu, nie zostawiajcie mnie tu! – zawył Waxie.

D’Agosta z całej siły pociągnął go za ramię. Waxie stęknął i ruszył, zrazu wolno, potem coraz szybciej, wymijając idącą przodem Hayward.

– Jazda! – krzyknął D’Agosta, jedną ręką popychając policjantkę przed sobą. Coś świsnęło mu koło ucha. Porucznik przystanął, odwrócił się i wypalił w sufit. W błysku

wystrzału dostrzegł tuzin, a może nawet więcej osób wyłaniających się z mroku tunelu, rozdzielających na grupy i przygotowujących się, by go okrążyć; byli przygarbieni, szli niemal na czworakach i mimo ciemności poruszali się z przeraźliwą szybkością.

D'Agosta odwrócił się i pomknął ku schodom.

Poziom wyżej, po drugiej stronie obwisłych ukośnie drzwi, przystanął w końcu i łapczywie chłonąc powietrze, nasłuchiwał. Hayward czekała obok niego z pistoletem w dłoni. Słychać było tylko kroki Waxiego, który sporo ich wyprzedził i biegł co sił wzdłuż torów, ku światłu.

Po chwili D'Agosta cofnął się od drzwi.

– Sierżancie, jeśli w przyszłości zasugeruje pani, byśmy postarali się o wsparcie – czy o cokolwiek innego – nie omieszkałam wziąć pani zdania pod uwagę.

Hayward schowała broń do kabury.

– Obawiałam się, że tam, na dole, podda się pan panice, jak kapitan – powiedziała. – Ale jak na prawiczka, spisał się pan całkiem nieźle, panie poruczniku.

D'Agosta spojrzał na nią i stwierdził, że po raz pierwszy zwróciła się doń jak do swego przełożonego. Chciał zapytać, co właściwie miało oznaczać to jej głośnie oddychanie i towarzyszące mu syki, lecz ostatecznie odłożył to na później.

– Masz ją jeszcze? – zapytał krótko.

Hayward uniosła dłoń z zawiniątkiem.

– Wobec tego wynośmy się stąd. Pozostałe miejsca obejrzymy kiedy indziej.

W drodze na powierzchnię myśli D'Agosty nie zaprzętały obrazy usiłujących go okrążyć widmowych postaci czy nie mającego końca, wilgotnego tunelu. Spokoju nie dawał mu natomiast widok świeżo zabrudzonej, niemowlęcej pieluchy.

## 12

Margo umyła ręce w głębokim metalowym zlewie w laboratorium antropologii, po czym osuszyła je grubym szpitalnym ręcznikiem. Spojrzała na wózek, gdzie pod przykryciem spoczywały zwłoki Pameli Wisher. Pobrano próbki i przeprowadzono obserwacje, nieco później tego ranka ciało zostanie oddane rodzinie.

Po drugiej stronie pokoju Brambell i Frock pracowali przy nie zidentyfikowanym szkielecie, badając groteskowo powiększone biodra i dokonując skomplikowanych pomiarów.

– Czy mogę wyrazić swoje spostrzeżenia? – spytał doktor Brambell, odkładając na bok wibrującą piłę Strykera.

– Proszę bardzo – odburknął Frock, wielkodusznie machając ręką.

Obaj nie znosili się nawzajem.

Margo włożyła dwie pary lateksowych rękawic, po dwie na każdą dłoń. Z trudem tłumiała uśmiech cisnący się jej na usta. Chyba po raz pierwszy widziała, jak Frock toczy pojedynek z kimś równym sobie, naukowcem o równie wysokim jak on poczuciu własnej wartości i przerośniętym ego. Aż cud, że w ogóle cokolwiek osiągnęli. A jednak przez ostatnie kilka dni wykonali testy na przeciwciała, analizę osteologiczną, badania na obecność toksyn i teratogenów oraz wiele innych. Pozostało tylko sekwencjonowanie DNA i analiza śladów zębów. Mimo to nieznane zwłoki wciąż pozostawały zagadką, uparcie strzegącą swych sekretów. Margo wiedziała, że to jeszcze bardziej psuło i tak mocno już napiętą atmosferę w laboratorium.

– To powinno być oczywiste, nawet dla byle tępaka – rzekł Brambell, a jego wysoki głos z silnym irlandzkim akcentem drżał z rozdrażnienia – że otwór nie mógł powstać po stronie grzbietowej. W przeciwnym razie wyrostek poprzeczny byłby skrócony.

– Nie pojmuję, co ma jedno do drugiego – rzucił Frock.

Margo wyłączyła się z tej rozmowy, a raczej sprzeczki, której treść ani trochę jej nie interesowała. Jej specjalnością była etnofarmakologia i genetyka, a nie anatomia. Miała inne sprawy na głowie. Nachyliła się nad urządzeniem do elektroforezy, gdzie dokonywała się ostatnia z analiz tkanek nie zidentyfikowanego ciała, a gdy wyciągnęła rękę, poczuła silny ból przenikający jej mięśnie. Pięć serii po dziesięć powtórzeń zamiast, jak zawsze, trzy. Przetrenowała się na nautilusie, przez ostatnie kilka dni znacznie podwyższając sobie poprzeczkę; musiała uważać, aby nie przesadzić, bądź co bądź chodziło o jej zdrowie.

Dziesięć minut wnikliwej obserwacji potwierdziło jej przypuszczenia: ciemne pręgi rozmaitych pierwiastków proteinowych nie powiedziały wiele, prócz tego, iż były to pospolite u ludzi proteiny mięśniowe.

Wyprostowała się z głośnym westchnieniem. Szczegółowe dane uzyska dzięki maszynie do sekwencjonowania DNA. Niestety, na wyniki tej analizy przyjdzie jej poczekać kilka dni.

Odłożyła na bok paski z żelem i kiedy pocierała z zamyśleniem bark, zauważyła szarą kopertę leżącą obok komputera STARC-10.

Zdjęcia rentgenowskie, pomyślała. Musiano przynieść je dziś z samego rana. Najwidoczniej Brambell i Frock byli tak zajęci sporami, że nawet ich nie zauważyli. To całkiem zrozumiałe: ponieważ ciało było niemal całkiem pozbawione tkanek, wątpliwe, aby zdjęcia rentgenowskie mogły im dostarczyć jakichś rewelacji.

– Margo? – rzucił Frock.

Podeszła do stołu sekcyjnego.

– Moja droga – rzekł Frock, odjeżdżając z wózkiem do tyłu i wskazując na mikroskop. – Obejrzyj, proszę, bruzdę biegnącą w dół prawego femura.

Stereozoom był ustawiony na najniższą moc, a mimo to spojrzenie w okular było niczym przeniesienie się w całkiem inny świat. Brązowa kość pojawiła się w jej polu widzenia, ukazując pagórki i kotliny miniaturowego pustynnego pejzażu.

– Co o tym sądzisz? – zapytał.

Margo nie po raz pierwszy została poproszona o wyrażenie swojego zdania w sporze i bynajmniej za tym nie przepadała.

– Wygląda jak naturalny otwór w kości – orzekła, zachowując spokojny ton. – Jeden z elementów jej zewnętrznej budowy. Nie sądzę, aby mógł on powstać wskutek ugryzienia.

Frock rozsiadł się wygodniej na wózku, nawet nie próbował ukrywać malującego się na jego twarzy triumfalnego uśmiechu. Brambell zamrugał.

– Że co, proszę? – zapytał z niedowierzaniem. – Doktor Green, nie chcę się spierać, ale moim zdaniem to ewidentny ślad zęba, tak wyraźny, że nie można chyba wyobrazić sobie bardziej przekonującego.

– To ja nie chcę spierać się z panem, doktorze Brambell. – Podkreśliła stereozoom, a nieduży otwór zmienił się w rozległy wąwóz. – Jednakże teraz z pewnością dostrzeże pan widoczne wewnątrz otworu naturalne pory.

Brambell podszedł i zerknął w okular, trzymając swoje grube okulary w rogowych oprawkach przy boku. Patrzył przez chwilę, po czym cofnął się, znacznie wolniej, niż kiedy podchodził.

– Hmm – mruknął, nakładając okulary. – Z bólem serca, Frock, ale muszę chyba przyznać ci rację.

– Chcesz powiedzieć, że to Margo ma rację – poprawił Frock.

– Tak, oczywiście. Świetnie, panno Green.

Od dalszej rozmowy uchronił Margo telefon w laboratorium. Frock podjechał i czym prędzej odebrał. Margo obserwowała go i stwierdziła, że właściwie dopiero teraz po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się swemu staremu mentorowi, odkąd D'Agosta tydzień temu zarządził tajne spotkanie. Choć wciąż korpulentny, wydawał się szczuplejszy, niż go pamiętała z czasów, kiedy pracowali razem w muzeum. Jego wózek także był inny, stary i poobijany. Z pewnym współczuciem zaczęła się zastanawiać, czy jej mentor nie przeżywa obecnie ciężkiego okresu. Jeśli nawet, nie okazywał tego. Wręcz przeciwnie, wydawał się bardziej czujny i ożywiony niż podczas pełnienia funkcji kierownika wydziału antropologii.

Frock nasłuchiwał, był wyraźnie poruszony. Margo przeniosła wzrok w stronę okna laboratorium, skąd rozciągał się cudowny widok na Central Park. Korony drzew obsypane były soczystozielonymi liśćmi, zbiornik wody lśnił w blasku letniego słońca. Na południe stąd, po stawie leniwie przesuwały się łodzie. Margo rozmyślała, jak miło byłoby znaleźć się w jednej z nich i wygrzewać w słońcu, miast gnić tu, w zatęchłym laboratorium, i dokonywać sekcji starych zwłok.

– To D'Agosta – rzekł Frock i z westchnieniem odłożył słuchawkę. – Mówi, że nasz przyjaciel będzie miał towarzystwo. Opuść żaluzje, dobrze? W sztucznym świetle lepiej się pracuje przy mikroskopie.

– Towarzystwo? – rzuciła ostro Margo. – Co to niby ma znaczyć?

– Tak się właśnie wyraził. Najwyraźniej podczas poszukiwań w jednym z tuneli kolejowych odkryto czaszkę w stanie daleko posuniętego rozkładu. Przysyłają nam ją do analizy.

Doktor Brambell burknął coś siarczyście po gaelicku.

– Czy ta głowa należy do... – zaczęła Margo i skinęła w stronę zwłok.

Frock zaprzeczył z ponurą miną.

– Najwyraźniej to trzecia ofiara.

W laboratorium przez chwilę było cicho jak makiem zasiał. I nagle, jak na komendę, obaj mężczyźni powoli wrócili do nie zidentyfikowanego szkieletu. Niebawem znów zaczęli wymieniać między sobą cięte uwagi.

Margo westchnęła przeciągle i odwróciła się w stronę sprzętu do elektroforezy. Czekają ją dobre kilka godzin pracy przy katalogowaniu wyników. Ranek miała z głowy.

Jej wzrok padł na zdjęcie rentgenowskie. Musieli narobić niezłego rabanu, aby były gotowe na dziś rano. Może powinna je obejrzeć, zanim zabierze się do swojej pracy.

Wyjęła pierwszą serię i przypięła do ekranu. Trzy zdjęcia ukazujące górną część torsu nie zidentyfikowanego szkieletu. Tak jak się spodziewała, przedstawiały, choć mniej wyraziście, to, co miała okazję ujrzeć podczas szczegółowego badania: szkielet był potwornie zdeformowany, niemal wszystkie wyrostki kostne wyglądały na dziwnie zgrubiałe i pokryte osobliwymi naroślami.

Odłożyła zdjęcia i wpięła kolejną serię. Jeszcze trzy ujęcia, tym razem obszaru lędźwiowego.

Zauważyła to natychmiast: cztery plamki, białe i wyraźne. Zaciekawiona przysunęła szkło powiększające, aby lepiej się przyjrzeć. Cztery plamki miały kształt małych trójkątów, układających się we wzór kwadratu u samego dołu kręgosłupa, i były całkiem przesłonięte masą kostnej narośli. Musiały być metalowe – Margo doskonale to wiedziała; tylko metal nie przepuszcza promieni rentgenowskich.

Wyprostowała się. Dwaj mężczyźni wciąż nachylali się nad trupem, ich ciche głosy napływały do niej z drugiego końca pokoju.

– Tu jest coś, co powinniście zobaczyć – powiedziała.

Brambell dotarł do niej pierwszy i obejrzał wskazane miejsce przez szkło powiększające. Cofnął się, poprawił okulary w rogowych oprawkach i spojrzał raz jeszcze.

Frock podjechał chwilę później, bezceremonialnie ocierając się w pośpiechu o nogę koronera.

– Byłby pan tak łaskaw – burknął, podjeżdżając bliżej i zmuszając Brambella, aby zszedł mu z drogi. Pochylił się do przodu, niemal dotykając nosem szkła.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho jak w grobie, słychać było tylko cichy syk powietrza z wentylatora umieszczonego nad stołem, gdzie leżały zwłoki. Po raz pierwszy, uznała Margo, obaj, Brambell i Frock, byli całkiem zbici z tropu.

D'Agosta pierwszy raz od czasu awansu Horlockera miał okazję znaleźć się w gabinecie szefa i rozejrzał się dokoła z niedowierzaniem. Wnętrze przypominało podmiejski bar szybkiej obsługi, usiłujący za wszelką cenę robić wrażenie lokalu światowej klasy. Ciężkie, masywne, mahoniowe meble, słabe oświetlenie, grube zasłony, tanie lampy w stylu śródziemnomorskim z kloszami z żółtawego szkła. Wszystko wyglądało tak perfekcyjnie, że miał ochotę zawołać kelnera, by podał mu Gibsona.

Szef Redmond Horlocker siedział za wielkim biurkiem, na którego blacie nie było nawet skrawka papieru. W fotelu obok rozsiadł się wygodnie Waxie, opowiadając o ich poczynaniach z dnia poprzedniego. Dotarł właśnie do epizodu, kiedy ich trójka została osaczona przez hordę rozjuszonych bezdomnych, i to właśnie on, Waxie, trzymał ich na dystans, aby D'Agosta i Hayward mogli uciec.

Horlocker słuchał z kamienną twarzą.

Wzrok D'Agosty zatrzymał się na Waxiem, który im dłużej mówił, tym bardziej się ożywiał. Zastanawiał się, czy samemu nie zabrać głosu, lecz długoletnie doświadczenie nauczyło go, że to i tak niczego by nie zmieniło. Waxie był kapitanem, komendantem posterunku, nie miał zbyt wielu okazji, aby odwiedzać komendę główną i wyrzeć wrażenie na Wielkim Szefie. Może w rezultacie do sprawy zostanie przydzielonych więcej ludzi. Poza tym, jak podpowiadał cichy głosik pod czaszką D'Agosty, wszystko wskazywało na to, że ta sprawa, jak rzadko która, może zaowocować sporymi reperkusjami w wydziale i poza nim. Jeśli coś się nie uda, w wentylator walnie cała góra łajna. Choć to on był oficjalnie przydzielony do tego śledztwa, nie zaszkodzi, by Waxie wziął na siebie część odpowiedzialności. Im bardziej rzucasz się w oczy na początku, tym mocniej dostajesz po tyłku na sam koniec.

Waxie dokończył swoją historię i przez chwilę w pokoju panowała kompletna cisza, Horlocker bowiem z typowym dla siebie wyczuciem dramatyzmu odczekał, aż napięcie sięgnie zenitu.

– Pańska opinia, poruczniku? – zapytał w końcu, zwracając się do D'Agosty.

Ten się wyprostował.

– Cóż, za wcześnie jeszcze, by wyrokować, czy istnieją jakieś powiązania, czy też nie. Niemniej uważam, że aby odpowiednio naświetlić tę sprawę, przydałoby się więcej ludzi...

Zadzwoił stary telefon, Horlocker podniósł słuchawkę i przez chwilę nasłuchiwał.

– To może zaczekać – rzucił oschle, odłożył słuchawkę na widełki i znów spojrzał na porucznika. – Czytuje pan „Post”? – zapytał.

– Czasami – odrzekł D'Agosta. Wiedział, do czego tamten zmierza.

– I zna pan tego Smithbacka, który wypisuje te brednie?

– Tak, sir – odparł D'Agosta.

– To pański przyjaciel?

D’Agosta zamyślił się przez moment.

– Niezupełnie, sir.

– Niezupełnie – powtórzył szef. – Po przeczytaniu jego książki na temat Bestii z Muzeum można by przypuszczać, że jesteście starymi kumplami. Opisał tę sprawę z taką emfazą, jakbyście we dwóch ocalili świat, a przecież chodziło tylko o drobny kryzys w Muzeum Historii Naturalnej.

D’Agosta milczał. Rola, którą odegrał podczas katastrofalnego otwarcia wystawy „Przesady”, należała już do przeszłości. Nikt z nowej administracji nie chciał wychwalać jego minionych dokonań.

– Tak czy owak, pański nie-całkiem-przyjaciel, Smithback, za sprawą swego kretyńskiego artykułu i wzmianki o wysokiej nagrodzie dał nam nieźle popalić. Przez niego mamy całą masę niepotrzebnej roboty. Zajmują się tą sprawą ludzie, o których pan zabiega. Wie pan o tym lepiej niż ktokolwiek inny. – Szef poruszył się nerwowo na swoim wielkim skórzanym tronie. – Zatem powiada pan, że w przypadku zabójstw wśród bezdomnych i morderstwa Pameli Wisher występuje ten sam *modus operandi*!

D’Agosta skinął głową.

– Dobrze. My tu, w Nowym Jorku, nie lubimy, gdy mordują naszych bezdomnych. To poważny problem. Stawia nas w złym świetle. Ale naprawdę poważny problem pojawia się, gdy giną młodzi, dobrze sytuowani ludzie z zamożnych rodzin. Rozumiemy się?

– Absolutnie – odrzekł Waxie.

D’Agosta milczał.

– Chcę powiedzieć jasno, że nie pozostajemy obojętni na problem zabójstw wśród bezdomnych i zrobimy, co w naszej mocy, aby rozwikłać tę sprawę. Tylko że widzisz, D’Agosta, bezdomni umierają każdego dnia. Między nami mówiąc, to banda życiowych nieudaczników, pijaków i typów spod ciemnej gwiazdy. Obaj to wiemy. Pech chciał, że z powodu tragicznej śmierci tej małej całe miasto nie daje mi spokoju. Burmistrz życzy sobie, aby ta sprawa została rozwikłana. – Nachylił się do przodu i oparł łokcie o blat biurka, a jego oblicze wykrzywił wielkoduszny grymas. – Niech pan posłucha, wiem, że do prowadzenia tej sprawy potrzeba panu więcej ludzi. Postanowiłem, że pozostawię kapitana Waxiego przy tym śledztwie. Póki co, funkcję komendanta będzie sprawować ktoś inny. Mam już swojego kandydata.

– Taa jest! – rzucił Waxie, prężąc się w fotelu.

Słuchając tych słów, D’Agosta nieomal się załamał. Zupełnie jakby coś w jego wnętrzu zwinęło się w kłębek i umarło.

Tylko tego mu było trzeba – Waxiego, chodzącego nieszczęścia i prawdziwego utrapienia. Zamiast wsparcia będzie musiał tracić czas, aby niańczyć tego obiboka i nieudacznika. Może powinien przydzielić mu jakieś równoległe zlecenie; zadanie, którego

tamten nie schrzani. To wszelako wiązało się z innym problemem, a mianowicie kwestią łańcucha dowodzenia: do sprawy prowadzonej przez porucznika z wydziału zabójstw przydzielono komendanta posterunku. Jak miał się z tego wywikłać?

– D’Agosta! – warknął szef.

Porucznik uniósł wzrok.

– Tak? O co chodzi?

– Zadałem panu pytanie. Co się dzieje w muzeum?

– Badania ciała Wisser zostały zakończone, przekazano je rodzinie – odparł D’Agosta.

– A drugi szkielet?

– Wciąż starają się go zidentyfikować.

– Co ze śladami zębów?

– Wydaje się, że naukowcy nie mają zgodności co do ich pochodzenia.

Horlocker pokręcił głową.

– Jezu, D’Agosta. Mówiłeś, że ci ludzie wiedzą, co robią. Nie chciałbym pożałować, że posłuchałem twojej rady i zleciłem wywiezienie obu ciał z kostnicy.

– Mamy tam naszego koronera i najlepszych naukowców z muzeum. Osobiście znam tych ludzi i mogę ręczyć, że nie ma...

Horlocker głośno westchnął i machnął ręką.

– Nie obchodzą mnie ich referencje ani doświadczenie. Chcę wyników. Teraz, kiedy do śledztwa dołączył Waxie, wszystko powinno potoczyć się gładko. Liczę, że jutro po południu dowiem się od was czegoś konkretnego. Czy to jest jasne, D’Agosta?

D’Agosta pokiwał głową.

– Tak jest, sir.

– Świetnie. – Szef machnął ręką. – No to ruszajcie, obaj. Do roboty!

## 14

Była to, zdaniem Smithbacka, najbardziej dziwaczna demonstracja, jaką miał okazję oglądać, odkąd przed dziesięciu laty przeniósł się do Nowego Jorku. Tablice z hasłami były namalowane profesjonalnie. Nagłośnienie pierwsza klasa. Smithback czuł się nieswojo; w otoczeniu bogato odzianych demonstrantów wyglądał jak ubogi krewny.

Tłum był niezwykle zróżnicowany, były tu zamożne damy z Central Park South i Piątej Alei, w drogich, markowych sukniach i z brylantowymi ozdobami, bankierzy, biznesmeni, maklerzy giełdowi raz młodzi gniewni, żądni dać upust swojej nienawiści do władzy i porządku publicznego. Znalazła się tu także gromada dobrze ubranych uczniów z elitarnych szkół. Wokół dziennikarza musiało tłoczyć się ze dwa tysiące osób. Ktokolwiek zorganizował tę manifestację, musiał mieć koneksje w wyższych sferach i znał się na swojej robocie:



posiadane przez nich zezwolenie dawało im prawo zamknięcia Grand Army Plaza w godzinie szczytu, w dzień powszedni. Za rzędami dobrze obsadzonych policyjnych barykad i stanowisk kamer telewizyjnych w potwornie długich korkach stały tysiące aut.

Smithback wiedział, że ta grupa reprezentowała ogromną władzę i bogactwo Nowego Jorku. Ich demonstracja nie była zgrywą, zarówno burmistrz, szef policji, jak i wszyscy liczący się w Nowym Jorku politycy traktowali ją poważnie. Ci ludzie nie wyszli ot, tak sobie, na ulicę, aby demonstrować. A jednak byli tu.

Pani Horace Wisher stała na wielkiej platformie z sekwojowego drewna, ustawionej pod złotym posągami zwycięstwa na skrzyżowaniu Central Park South i Piątej Alei. Mówiła do mikrofonu, a potężne głośniki zamieniały kruche dźwięki jej głosu w niezawodną obecność,

Z tyłu, za nią, widniał wielki kolorowy plakat, powiększone, znane już wszystkim zdjęcie sprzed lat, przedstawiające roześmianą Pamelę Wisher, podówczas jeszcze małą dziewczynkę.

– Jak długo jeszcze? – zwróciła się do zgromadzonych wokoło tłumów. – Jak długo będziemy pozwalać, aby nasze miasto umierało? Jak długo będziemy tolerować mordowanie naszych córek, synów, braci, sióstr, rodziców? Jak długo jeszcze mamy żyć w strachu, bać się we własnych domach i dzielnicach, w których mieszkamy?

Zlustrowała wzrokiem tłum, wsłuchując się w narastający szmer aprobaty.

Zacząła znowu, tym razem łagodniej.

– Moi przodkowie przybyli do Nowego Amsterdamu trzysta lat temu. Od tamtej pory to miejsce było naszym domem. Powiem więcej, było dobrym domem. Gdy byłam mała, babcia zabierała mnie na wieczorny spacer do Central Parku. Po szkole zawsze wracałyśmy do domu pieszo, nawet już po zmroku. Zwykle też nie zamykałyśmy drzwi do naszego domu na klucz. Dlaczego nic się nie robi, kiedy wokół nas szerzy się przemoc, morderstwa i handel narkotykami? Ile jeszcze matek straci dzieci, zanim powiemy: dość?

Cofnęła się od mikrofonu i przez chwilę stała w milczeniu, aby ochłonąć. Tłum zaszemrał gniewnie. Ta kobieta miała w sobie prostotę i godność urodzonej oratorki. Smithback uniósł dyktafon wyżej, wietrząc kolejną sensację na pierwszą stronę.

– Nadszedł czas – pani Wisher znów podniosła głos – abyśmy odzyskali nasze miasto. Abyśmy odzyskali je dla naszych dzieci i wnuków. Nawet jeśli oznacza to skazywanie na śmierć handlarzy narkotyków i budowę nowych więzień za miliardy dolarów, należy to zrobić. To wojna. Jeśli mi nie wierzycie, przejrzyjcie statystyki. Oni zabijają nas każdego dnia. W Nowym Jorku w ubiegłym roku dokonano tysiąca dziewięciuset zabójstw. Pięć zabójstw dziennie. Prowadzimy wojnę, przyjaciele, i przegrywamy ją. Pora, byśmy wzięli odwet i wykorzystali po temu wszelkie dostępne środki. Odzyskamy nasze miasto, ulica po ulicy, dom po domu, od Battery Park po Cloisters, od East End Avenue po Riverside Drive!

Gniewny pomruk narastał. Smithback zwrócił uwagę, że do demonstrujących dołączało coraz więcej młodych ludzi, zwabionych hałasem i widokiem tłumy. Piersiówki i butelki

Wild Turkey krążyły z rąk do rąk. Bankierzy dżentelmeni, psia ich mać, pomyślał dziennikarz.

Nagle pani Wisher odwróciła się i wskazała na coś ręką. Smithbach odwrócił się i zobaczył, że za barykadą zrobiło się jakieś zamieszanie. Pod koźły podjechała smukła limuzyna i wysiadł z niej niski, łysawy mężczyzna w czarnym garniturze: burmistrz, w towarzystwie kilku współpracowników. Smithback czekał i obserwował bieg wydarzeń. Wielkość tej manifestacji musiała zaskoczyć burmistrza, polityk najwyraźniej uznał, że nie wolno mu tego zlekceważyć, i robił, co mógł, by okazać swe zatroskanie.

– Burmistrz Nowego Jorku! – zawołała pani Wisher, gdy burmistrz z pomocą kilku policjantów ruszył w kierunku podium. – Oto on. Przybył, aby do nas przemówić!

Gwar tłumu przybierał na sile.

– Ale nie przemówi! – zawołała pani Wisher. – Panie burmistrzu, domagamy się nie słów, ale czynów!

Tłum zagrzemiał.

– Nie słów! – zawołała pani Wisher. – Ale czynów!

– Czynów! – zagrzemiał tłum. Młodzi ludzie zaczęli pohukiwać i gwizdać.

Burmistrz wszedł na podium, uśmiechając się i machając do tłumu. Smithbackowi wydawało się, że poprosił panią Wisher o mikrofon.

Cofnęła się o krok.

– Nie chcemy wysłuchiwać kolejnej mowy! – wrzasnęła. – Mamy już dość wciskania nam kitu! – To rzekłszy, wyrwała wtyczkę mikrofonu z gniazdka i zeszła z platformy, pozostawiając burmistrza samego, wobec tłumu, z plastikowym uśmiechem przyklejonym do ust, bez szans, by w tym hałasie ktokolwiek zdołał go usłyszeć.

Ostatnie zdanie pani Wisher sprawiło, że tłum nieomal eksplodował. Rozległ się nieartykułowany ryk i zgromadzeni ruszyli zwartą falą na podium. Smithback patrzył na to i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach, gdyż w ciągu zaledwie kilku chwil na jego oczach tłum zmienił się w rozwrzeszczaną, gniewną tłuszcę. Kilka pustych butelek po alkoholu pofrunęło w kierunku podium, jedna roztrzaskała się niecałe pięć stóp od burmistrza. Grupki wyrostków zwały szeregi i zaczęły przebijać się w stronę podwyższenia, rzucając obelgi i pohukując. Smithback wychwycił kilka inwektyw: dupek, ciota, liberał, świnia. Z tłumu pofrunęły jakieś śmieci, a pomocnicy burmistrza, widząc, że to nie przelewki, czym prędzej sprowadzili go z podium i odeskortowali do limuzyny.

No proszę, pomyślał Smithback, to ciekawe, jak mentalność tłumu wywiera wpływ na przedstawicieli każdej z klas.

Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek miał okazję słyszeć równie krótki, acz treściwy popis umiejętności oratorskich jak ten, który dała pani Wisher. Gdy zagrożenie minęło, a tłum zaczął się rozchodzić, dziennikarz skierował się ku najbliższej parkowej ławeczce, aby „na gorąco” sporządzić wstępne notatki. Następnie spojrzął na zegarek: wpół do szóstej. Wstał i

potruchtał przez Park na północny zachód. Pora zająć upatrzoną pozycję, tak na wszelki wypadek.

## 15

Wybiegając zza rogu Sześćdziesiątej Piątej Ulicy, z radiem włączonym na stację nadającą wiadomości, Margo stanęła jak wryta, zaskoczona widokiem znajomej szczupłej postaci opierającej się nonszalancko o barierkę przy schodach wiodących do budynku, w którym mieszkała. Sterczące z jednej strony ponad pociągłą twarzą włosy wyglądały jak brunatny jeleni róg.

– Och – wysapała, zmęczona po biegu, wyłączając radio i zdejmując słuchawki. – To ty.

Smithback odwrócił się do niej, a jego twarz wykrzywił grymas udawanego niedowierzania.

– Czy to możliwe? Bardziej zabójczy od zęba żmii bywa niewdzięczny przyjaciel. Po tym, co wspólnie przeszliśmy – cały bagaż niesamowitych wspomnień – to wszystko kwitowane jest krótkim, zdawkowym: „Och, to ty”?

– Staralam się zostawić ten bagaż wspomnień za sobą – odrzekła Margo, wkładając radio do torebki i nachylając się, aby rozmasować łydki. – Poza tym, gdy się ostatnio spotkaliśmy, rozmawialiśmy wyłącznie na jeden temat: moja kariera, czyli jak wysoko zaszedłem.

– Trafiłaś w sedno. – Smithback wzruszył ramionami. – Masz rację, przyznaję. Udawajmy więc, że przyszedłem tu dziś, aby pokajać się przed tobą i odpokutować za grzech pychy, kwiatuszku. Pozwól, że postawię ci drinka.

Otaksował ją wzrokiem.

– No, no, z każdym dniem jesteś coraz piękniejsza. Startujesz w konkursie na Miss Universum?

Margo wyprostowała się.

– Mam swoje zajęcia.

Gdy go wyminęła i ruszyła ku drzwiom, chwycił ją za rękę.

– Café des Artistes – rzucił kusząco.

Margo przystanęła i westchnęła.

– No dobrze – uśmiechnęła się lekko, uwalniając rękę. – Nie jestem tania, ale czasem daję się namówić. Daj mi parę minut, bym mogła wziąć prysznic i się przebrać.

Weszli do starej kafejki przez hol hotelu des Artistes. Smithback skinął głową do maître d'hôtel, po czym wraz z Margo podszedł do spokojnego, cichego baru.

– Wygląda nieźle – przyznała Margo, wskazując na tacę quiche, czekającą na wędrowkę między stolikami.

– Hej, zaprosiłem cię na drinka, nie na kolację z ośmiu dań.

Smithback wybrał stół, sadwiąc się pod obrazem Howarda Chandlera Christiego, przedstawiającym nagie kobiety swawolące gustownie w ogrodzie.

– Ta ruda chyba mnie lubi – powiedział, mrugając i wskazując na płótno.

Zjawił się stary kelner, wiecznie uśmiechnięty, o twarzy poranej siateczką zmarszczek, i przyjął od nich zamówienie.

– Lubię to miejsce – rzekł Smithback, kiedy kelner oddalił się, powłócząc nogami. Studium w czerni i bieli. – Obsługa jest tu wyjątkowo miła. Nie znoszę kelnerów, którzy traktują cię z góry i mają człowieka za nic.

Dostrzegł przenikliwe spojrzenie Margo.

– No dobrze. Pora zacząć teleturniej dwadzieścia pytań. Czy odkąd widzieliśmy się ostatnio, czytałaś moje artykuły?

– Chciałabym powołać się na Piątą Poprawkę – odparła Margo. – Ale czytałam artykuły o Pameli Wisher. Wydaje mi się, że drugi był wyjątkowo dobry. Spodobało mi się, że pokazałaś ją jako prawdziwą osobę, dziewczynę z krwi i kości, a nie tylko temat dla pism lubujących się w tanich sensacjach. To dla ciebie coś nowego, czyż nie?

– Taką cię lubię, Margo – rzekł Smithback.

Wrócił kelner, przynosząc ich drinki oraz miseczkę orzeszków, po czym się oddalił.

– Wracam właśnie z wiecu – ciągnął dziennikarz. – Ta pani Wisher to niesamowita kobieta.

Margo skinęła głową.

– Słyszałam o tym. Przed chwilą rozmawiali na ten temat w radiu. Było ostro. Ciekawe, czy ta Wisher zdaje sobie sprawę z piekła, jakie rozpętała.

– Pod koniec zaczęło się robić naprawdę strasznie. Bogaci i wpływowi odkryli nagle potęgę *vulgus mobile*.

Margo zaśmiała się, ale wciąż zachowywała ostrożność, nie chciała utracić kontroli. W towarzystwie Smithbacka należało być stale czujną. Kto wie, czy nie miał w kieszeni włączonego dyktafonu i nie nagrywał całej ich rozmowy.

– To dziwne – ciągnął Smithback.

– Co takiego?

Wzruszył ramionami.

– Jak niewiele potrzeba, kilka drinków, świadomość, że jest się w otoczeniu gromady innych ludzi, aby pozbawić całą grupę przymiotów typowych dla przedstawicieli wyższych klas i zmienić ją w hałaśliwą, skorą do burd tłuszcę.

– Gdybyś znał się na antropologii – wtrąciła Margo – wcale nie byłbyś tym zdziwiony. Poza tym, o ile mi wiadomo, tego tłumu nie tworzyli wyłącznie przedstawiciele elit, o czym trąbi radio. – Upiła kolejny łyk drinka i usiadła wygodnie. – Cóż, podejrzewam, że nie ściągnęłaś mnie tu tylko na przyjacielską pogawędkę. Znam cię dostatecznie dobrze, by

wiedzieć, że nie masz w zwyczaju wydawać pieniędzy, jeśli nie przyświeca ci jakiś głębszy, ukryty cel.

Smithback odstawił szklaneczkę i spojrzał na Margo zbolalym wzrokiem.

– Wiesz co, zaskoczyłaś mnie. Naprawdę. Margo, którą znam, nigdy nie powiedziałaaby czegoś takiego. Ostatnio prawie się nie widzimy. A gdy już się umówimy, z twojej strony spotykają mnie same przykrości. Spójrz na siebie, same mięśnie, wyglądasz jak gazela. Gdzie ta zadziorna dziewczyna o obwisłych ramionach, którą znałem i kochałem? Co się z tobą stało?

Margo już miała odpowiedzieć, ale zmitygowała się. Kto wie, co powiedziałaaby Smithback, gdyby dowiedział się, że nosiła w torebce pistolet.

Co się ze mną stało?, zastanawiała się przez chwilę. Lecz już w chwili, gdy zadała sobie to pytanie, w głębi duszy знаła odpowiedź.

To prawda, rzadko spotykała się ze Smithbackiem. Jednakże z tego samego powodu prawie nie widywała swego starego mentora, doktora Frocka, Kawakity, agenta Pendergasta z FBI czy którejkolwiek z osób, które znała z czasów, kiedy pracowała w muzeum. Ich wspólne wspomnienia były nadal zbyt świeże i zbyt przerażające. Wystarczyły koszmary nękające ją w snach, ostatnią rzeczą, której mogła sobie życzyć, było przypomnienie o tamtych upiornych przeżyciach.

Zastanawiała się jeszcze, a tymczasem na ustach Smithbacka pojawił się promienny uśmiech.

– No dobra, nie ma sensu dłużej owijać w bawełnę – mruknął. – Zbyt dobrze mnie znasz. Faktycznie mam ukryty powód. Wiem, czym się zajmujesz i co robisz po nocach w muzeum.

Margo zamarła. Skąd ten przeciek? I zaraz upomniała się w duchu. Smithback był sprytnym wędkarzem, możliwe, że miał mniejszą przynętę i znacznie mniejszy haczyk, aniżeli sugerował.

– Tak myślałam – rzekła. – To co właściwie robię i skąd o tym wiesz?

Smithback wzruszył ramionami.

– Mam swoje źródła. Zwłaszcza ty powinnaś o tym pamiętać. Wypytywałem kilku moich przyjaciół z muzeum i dowiedziałem się, że w zeszły czwartek przewieziono tam Pamele Wisher i drugie nie zidentyfikowane ciało. Ty i Frock asystujecie przy autopsjach.

Margo milczała.

– Bez obaw. To, o czym rozmawiamy, nie znajdzie się w prasie – zapewnił Smithback.

– Chyba już wypiliśmy mojego drinka – powiedziała Margo. – Na mnie już czas. – Wstała.

– Zaczekaj. – Smithback chwycił ją za nadgarstek. – Nie wiem jednego. Czy wezwano cię, ponieważ na ciałach odkryto ślady zębów?

Margo obróciła się na pięcie.

– Skąd o tym wiesz? – rzuciła ostro.

Smithback uśmiechnął się triumfalnie, a Margo zrozumiała, że dała się złapać na sztuczkę szcawanego lisa – dziennikarskiego wygi. A więc jednak opierał się głównie na domysłach. Mimo to jej reakcja je potwierdziła.

Ponownie usiadła.

– Wiesz co, prawdziwy z ciebie łajdak.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– To nie były tylko domysły. Wiedziałem, że ciała przewieziono do muzeum. A jeśli czytałaś mój wywiad z Mephistem, przywódcą społeczności podziemnej, wiesz, co powiedział o kanibalach żyjących rzekomo pod Manhattanem.

Margo pokręciła głową.

– Bill, nie możesz tego opublikować.

– Dlaczego nie? Nikt się nie dowie, że to wyszło od ciebie.

– Nie to mnie martwi – ucięła. – Zastanów się przez chwilę, choć wiem, że przychodzi ci to z trudem. Wyobrażasz sobie, co się stanie w mieście, gdy wydrukujesz swój artykuł? I jak to przyjmie twoja nowa przyjaciółka, pani Wisher? Ona nie wie. Jak sądzisz, co powie, gdy dowie się, że jej córka nie tylko została zamordowana i pozbawiona głowy, lecz również częściowo pożarta?

Twarz Smithbacka wykrzywił grymas bóleści.

– Ja to wszystko wiem. Ale zrozum, Margo, to informacje.

– Opóźnij ich druk o jeden dzień.

– Dlaczego?

Maro zawahała się.

– Daj mi naprawdę dobry powód, kwiatuszku – ponaglał Smithback.

Margo westchnęła.

– No dobrze. Ponieważ ślady zębów mogą należeć do psa. Wszystko wskazuje na to, że ciała przez długi czas spoczywały pod ziemią, zanim zostały zmyte do kanału po długiej i ulewnej burzy. Bierzemy pod uwagę możliwość, że właśnie w tym czasie zostały „napoczęte” przez bezpieczeństwa psy.

Smithback zbaraniał.

– Chcesz powiedzieć, że to nie kanibale?

Margo pokręciła głową.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam. Jutro powinniśmy znać odpowiedź, gdy otrzymamy wyniki testów laboratoryjnych. Wówczas, obiecuję, będziesz miał wyłączność na te informacje. Jutro po południu mamy spotkanie w muzeum. Po jego zakończeniu osobiście omówię tę sprawę z Frockiem i D’Agostą.

– Co za różnica, jeden dzień w tę czy w tamtą?

– Już mówiłam. Opublikujesz swoją historię już teraz i w całym mieście rozpęta się nieziemski panika. Widziałeś na własne oczy, jak potrafi się zachowywać nasza śmietanka

towarzyska, wiesz, do czego są zdolni ci ludzie. Co się stanie, gdy uznają, że w mieście grasuje jakiś potwór, dajmy na to, kolejny Mbwun czy seryjny zabójca-kanibal? A jeśli następnego dnia ogłosimy, że na ciałach są ślady psich zębów, wyjdiesz na idiotę. Policja i tak jest na ciebie cięta za tę aferę z nagrodą. Jeśli wywołasz w mieście panikę, ani chybi każą wytargać cię w smole i w pierzu, a potem wywiozą z Nowego Jorku na szynie.

Smithback zamyślił się.

– Hmm.

– Odczekaj jeszcze dzień, Bill – poprosiła Margo. – To jeszcze nie jest temat do gazety.

Smithback milczał i myślał.

– No dobrze – zgodził się z wahaniem. – Instykt podpowiada mi, że popełniam horrendalne głupstwo, ale niech będzie, zaczekam jeszcze jeden dzień. Ale pamiętaj, potem chcę mieć wyłączność na tę sprawę. Żadnych przecieków dla innych dziennikarzy.

Margo uśmiechnęła się pod nosem.

– Bez obawy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu Margo westchnęła.

– Spytałeś wcześniej, co się ze mną stało. Nie wiem. Wydaje mi się, że te zabójstwa przywołały złe wspomnienia.

– Masz na myśli Bestię z Muzeum – mruknął Smithback. Metodycznie atakował miseczkę z orzeszkami. – To były ciężkie chwile.

– Można tak powiedzieć. – Margo wzruszyła ramionami. – Po tym, co się stało... chciałam o wszystkim zapomnieć. Męczyły mnie koszmary, noc w noc budziłam się złana zimnym potem. Gdy przeszłam na Columbię, sprawy przybrały lepszy obrót. Sądziłam, że jest już po wszystkim. Kiedy jednak wróciłam do muzeum, wszystko zaczęło się od nowa... – Zamilkła na chwilę. – Bill – odezwała się nagle. – Czy wiesz, co się stało z Gregorym Kawakitą?

– Z Gregiem? – zapytał Smithback. Skończył orzeszki i obracał w dłoni miseczkę, jakby spodziewał się znaleźć następne na spodzie. – Nie widziałem go, odkąd odszedł z muzeum. Czemu pytasz? – Zmrużył lekko powieki. – Nie mogliście się dogadać, co?

Margo machnęła ręką.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. Rywalizowaliśmy między sobą wyłącznie o uznanie doktora Frocka. Greg próbował skontaktować się ze mną kilka miesięcy temu, ale ja nie chciałam. Myślę, że był chory czy coś takiego. Miał dziwny głos. Gdy wreszcie ruszyło mnie sumienie, próbowałam go odszukać. Nie znalazłam jego numeru telefonu w spisie abonentów na Manhattanie. Zastanowiło mnie to, może się wyprowadził, przeniósł na jakąś inną uczelnię...

– Nie mam pojęcia – mruknął Smithback. – Ale Greg to facet kuty na cztery nogi. Zawsze da sobie radę. Pewnie zakotwiczył w jakiejś lukratywnej przystani i zarabia trzysta tysięcy rocznie. – Spojrzał na zegarek. – Mam jeszcze trochę czasu, kolejny artykuł muszę oddać dopiero na dziewiątą. Co oznacza, że możemy wypić jeszcze po jednym.

Margo spojrzała na niego z ironicznym zdumieniem.

– Bill Smithback stawiający przyjaciółce drugiego drinka? Jakże mogłabym teraz wyjść? Jestem świadkiem historycznych przemian.

## 16

Nick Bitterman wspiął się zgrabnie po kamiennych stopniach zamku Belvedere i przy blankach zaczekał, aż dołączy doń Tanya. Poniżej rozpościerała się mroczna przestrzeń Central Parku skąpanego w promieniach zachodzącego słońca.

Nick czuł lodowaty chłód butelki dom perignon, przenikający przez papierową torbę, którą miał pod pachą. Było to miłe uczucie po parnym i gorącym wieczorze. Gdy się poruszył, zabrzęczały kieliszki, które miał w kieszeni. Odruchowo sięgnął do niej i namacał małe kanciaste pudełko, gdzie znajdował się pierścionek. Za osadzony w platynie jednokaratowy brylant od Tiffany’ego zapłacił u jubilera przy Czterdziestej Siódmej Ulicy cztery tysiące dolarów. Wykosztował się, ale było warto. Właśnie nadeszła roześmiana i zasapana Tanya. Wiedziała o szampanie, lecz nie domyślała się, że miał dla niej pierścionek.

Nick przypomniał sobie, że widział kiedyś film, w którym dwójka bohaterów pije szampana na moście Brooklyńskim, po czym wyrzuca kieliszki do wody. Tamten pomysł był niezły, ale jego – lepszy. Tylko z blank zamku Belvedere o zachodzie słońca można było obejrzeć zapierającą dech w piersiach panoramę Manhattanu. Przede wszystkim trzeba wynieść się z Parku, zanim zrobi się ciemno.

Ujął Tanyę za rękę, gdy pokonywała ostatnie stopnie, po czym wspólnie podeszli do skraju kamiennych blank. Wieża wznosiła się ponad nimi, czarna pośród szarości; jej gotyckie kształty psuła nieco aparatura meteo umieszczona na najwyższych krenelach. Odwrócił wzrok, spoglądając w stronę, z której przyszli. U ich stóp rozpościerał się nieduży, zamkowy staw, a opodal – wielki trawnik, ciągnący się do niewielkiego zagajnika ocieniającego zbiornik wodny. Sam zbiornik lśnił w słońcu niczym płynne złoto. Po prawej ku północy ciągnął się rząd budynków stojących przy Piątej Alei; ich okna błyskały pomarańczowo; po lewej stronie rozpościerały się mroczne zabudowania Central Park West, ocienione przez nisko zwieszające się chmury.

Wyjął z brunatnej torby butelkę szampana, zerwał folię i odrutowanie, starannie wymierzył i dość niezdarnie zaczął wykręcać korek. Rozległo się głośnie „puf!” i korek pofrunął w dal, by wylądować z pluskiem w stawie poniżej.

– Brawo! – zawołała Tanya.

Napełnił kieliszki i podał jeden dziewczynie.

– Na zdrowie. – Stuknęli się kieliszkami; Nick opróżnił swój duszkiem i patrzył, jak Tanya stara się go naśladować.



– Do dna – powiedział i tak właśnie zrobiła, marszcząc nos.

– Łaskocze – zachichotała, gdy ponownie napełnił szkło.

Raz jeszcze szybko opróżnili kieliszki.

– Słuchajcie, mieszkańcy Manhattanu! – zawołał Nick z zamkowych murów, unosząc w górę pusty kieliszek, a jego głos pomknął w przestrzeń. – To mówię ja, Nick Bitterman! Niniejszym ogłaszam, że od dziś po wsze czasy siódmy sierpnia będzie dniem Tanyi Schmidt!

Tanya wybuchnęła śmiechem, gdy po raz trzeci napełnił kieliszki, tym razem aż po brzegi, i tym samym opróżnił butelkę. Gdy wypili, Nick objął dziewczynę ramieniem.

– Zwyczaj każe, abyśmy je również wyrzucili – rzekł z powagą.

Cisnęli kieliszki w powietrze i podeszli na skraj blanek, aby patrzeć, jak błyszcząc w słońcu, opadają w dół szerokim łukiem i z pluskiem lądują w stawie. Spoglądając dokoła, Nick zauważył, że u podnóża zamku zrobiło się pusto, zniknęli spacerowicze, deskorolkowcy i miłośnicy kąpieli słonecznych. Pora się zbierać.

Włożył rękę do kieszeni kurtki, wyjął pudełeczko i podał dziewczynie. Następnie cofnął się o krok i patrzył z dumą, jak je otwierała.

– Na Boga, Nick! – zawołała. – Musiał kosztować fortunę!

– Jesteś warta fortuny – odparł Nick. Uśmiechnął się, gdy włożyła pierścionek na palec, po czym przyciągnął ją do siebie i obdarzył szybkim, gorącym pocałunkiem. – Wiesz, co on oznacza?

Odwróciła się do niego. Miała błyszczące oczy. Z tyłu, za nią, wśród drzew zaczęło robić się ciemno.

– No więc? – rzucił ponaglająco.

Pocałowała go i wyszeptała wprost do ucha.

– Dopóki śmierć nas nie rozdzieli, kochanie – odparł i pocałował ją raz jeszcze, teraz dłużej i wolniej, pieszcząc równocześnie dłonią jej piersi.

– Nick! – zawołała, śmiejąc się i cofając o dwa kroki.

– Przecież nikogo tu nie ma – mruknął i kładąc drugą rękę na jej pośladkach, przyciągnął dziewczynę do siebie, ocierając się mocno biodrami o jej biodra.

– Gapi się na nas całe miasto – powiedziała.

– No i dobrze. Może się czegoś nauczy. – Wsunął dłoń pod jej bluzkę i przez chwilę bawił się jej twardym, małym sutkiem, jednocześnie z niepokojem rozglądając się dokoła. Było coraz ciemniej. – Chodźmy lepiej do mnie – wyszeptał do jej ucha.

Uśmiechnęła się i odsunawszy od niego, skierowała się ku kamiennym schodom. Obserwując ją i podziwiając naturalną grację ruchów, Nick poczuł, jak drogi szampan rozplywa się po całym jego ciele. Nie ma jak bąbelki, pomyślał. Uderzają do głowy.

I powodują parcie na pęcherz.

– Zaczekaj – zawołał. – Muszę odcedzić kartofelki.

Odwróciła się, aby na niego zaczekać, podczas gdy on pomaszzerował w stronę wieży. Pamiętał, że na jej tyłach znajdowały się toalety, tuż obok metalowej drabinki dla personelu technicznego obsługującego aparaturę meteo.

W cieniu wieży było spokojnie i cicho, odgłosy ruchu ulicznego z East Drive wydawały się przytłumione i odległe. Odnalazł wejście do męskiej toalety i pchnął drzwi, przechodząc po brudnych, zakurzonych płytkach obok ciemnych kabin w kierunku pisuarów. Pospieszenie rozpiął rozporek. Toaleta była pusta, tak jak przypuszczał. Oparł się o chłodną porcelanę i zamknął oczy.

Otworzył je gwałtownie, gdy jakiś dźwięk wyrwał go z błogiego rozleniwienia. Nie, to nic takiego, skonstatował po chwili. Roześmiał się, kręcąc głową; a więc i jemu udzieliła się typowa dla większości nowojorczyków paranoja.

Odgłos powtórzył się, tym razem głośniej. Nick odwrócił się, zdumiony i przerażony zarazem, wciąż trzymając w dłoni członek, a zaraz potem stwierdził, że w jednej z kabin ktoś był i wyprysnąwszy z niej, jak diablik z pudełka, rzucił się w jego stronę.

Tanya czekała, stojąc przy blankach; rześka nocna bryza omiatała jej twarz. Dotknęła pierścionka zaręczynowego, który wydał się jej jakiś taki ciężki i obcy. Nickowi najwyraźniej się nie spieszyło. W Parku było już ciemno, wielki trawnik opustoszał, na powierzchni stawu migotały jasne światła Piątej Alei.

Zniecierpliwiona ruszyła w kierunku wieży i ominęła szerokim łukiem jej pękaty, ciemny masyw. Drzwi do toalety męskiej były zamknięte. Zapukała, najpierw nieśmiało, potem nieco głośniej.

– Nick? Hej, Nick! Jesteś tam?

Nie usłyszała nic prócz szumu drzew. Wiatr niósł ze sobą dziwną woń, drażniący odór przywodzący jej na myśl niemiłe wspomnienia sera feta.

– Nick? Mam już dość tych twoich gier.

Pchnięciem otworzyła drzwi i weszła do środka.

Przez chwilę na zamku Belvedere ponownie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. A potem rozległy się wrzaski, zawodzące, przybierające na sile i rozcinające jak ostrze niewidzialnego noża ciszę cieplej letniej nocy.

Smithback usiadł przy kontuarze w ulubionej greckiej kafejce i, jak zawsze, skinieniem głowy zamówił śniadanie, dwa gotowane jajka na podwójnej porcji siekanego mięsa. Upił łyk kawy, którą przed nim postawiono, westchnął z zadowoleniem i wyjął plik gazet, które trzymał pod pachą. Zaczął od „Post” i aż zmarszczył brwi, ujrzawszy na pierwszej stronie

artykuł Hanka McCloskeya na temat zabójstwa w zamku Belvedere. Jego własny, o wiecu na Grand Army Plaza, trafił na czwartą stronę. A mógł mieć kolejną sensację na pierwszej stronie, gdyby opisał powiązania między badaniami prowadzonymi w muzeum i zagadkową kwestią śladów zębów na ciałach. Mimo to złożył Margo obietnicę. Jutro będzie inaczej. Poza tym, kto wie, może ta sprawa zaowocuje jeszcze wieloma sensacyjnymi artykułami.

Podano mu śniadanie i Smithback z lubością zaczął pałaszować mięso, odkładając „Post” na bok i sięgając po „New York Timesa”. Przejrzał nagłówki. Nic specjalnego, pomyślał drwiąco, materiały drugiej kategorii, sam chłam.

Nagle jego wzrok padł na nieduży nagłówek, układający się w pytanie: Czyżby powrót Bestii z Muzeum? Autorem artykułu był specjalny korespondent „Timesa”, Bryce Harriman.

Smithback czytał dalej, a mięso nagle zaczęło mu smakować jak klej do tapet.

„Ósmy sierpnia – Naukowcy z Nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej kontynuują badania bezgłowych zwłok Pameli Wisher i drugiej, nie zidentyfikowanej osoby, usiłując określić, czy ślady zębów odkryte na kościach powstały już po ich śmierci na skutek ukąszeń przez dzikie zwierzęta, czy też stanowiły bezpośrednią przyczynę ich zgonów.

Brutalne zabójstwo i dekapitacja Nicholasa Bittermana w zamku Belvedere w Central Parku ubiegłego wieczoru wzmogły naciski na zespół patologów i próby odkrycia prawdy. Kilka zgonów wśród bezdomnych w ciągu paru ostatnich miesięcy również mogło mieć związek z wczorajszą tragedią. Nie wiadomo, czy i te zwłoki zostały dostarczone do muzeum w celu dokonania badań. Szczątki Pameli Wisher zwrócono rodzinie; pogrzeb odbędzie się dziś o piętnastej na cmentarzu Świętego Krzyża w Bronxville.

Autopsje zostały przeprowadzone w muzeum w ścisłej tajemnicy. Dobrze poinformowane źródło stwierdza, że podjęto te kroki, »aby nie wywoływać niepotrzebnej paniki«. Mimo iż nikt nie wypowiedział tego słowa na głos, znajduje się ono na ustach wszystkich: Mbwun.

Mbwun – pod taką nazwą znana jest naukowcom Bestia z Muzeum. Była niezwykle istotą, sprowadzoną do Muzeum przypadkiem, wraz z relikami pozyskanymi przez członków feralnej wyprawy do dżungli amazońskiej. W kwietniu ubiegłego roku obecność istoty w podziemiach muzeum została ujawniona po brutalnych zabójstwach, których ofiarami padło kilku strażników oraz gości odwiedzających muzeum. Stworzenie zaatakowało także podczas wielkiej gali otwarcia kolejnej z wystaw, wywołując panikę i uruchamiając wadliwy, jak się okazało, system bezpieczeństwa. Skutkiem tego śmierć poniosło czterdzieści sześć, a rannych zostało blisko trzysta osób i bez wątpienia była to jedna z najpoważniejszych tragedii, jakie wydarzyły się w ostatnich latach w Nowym Jorku.

Nazwę Mbwun nadało istocie wymarłe już dziś plemię Kothoga, żyjące ongiś w górnym biegu rzeki Xingú, w dorzeczu Amazonki, który to obszar stanowił domenę tego niezwykłego

stworzenia. Przez wiele dziesięcioleci antropolodzy i zbieracze kauczuku słyszeli plotki o wielkim, gadopodobnym stworze żyjącym w lasach tropikalnych nad brzegiem Xingú.

W roku 1987 antropolog MHN, John Whittlesey, zorganizował w ten rejon wyprawę badawczą mającą na celu odnalezienie śladów istnienia zagadkowego plemienia i jeszcze bardziej tajemniczej istoty. Whittlesey zaginął w lesie deszczowym, a pozostali członkowie feralnej wyprawy zginęli w katastrofie lotniczej w drodze powrotnej do Stanów.

Kilka skrzyń zawierających relikty z wyprawy zdołało dotrzeć do Nowego Jorku. Artefakty zabezpieczone były wyściółką z włókien roślinnych zawierających substancję, którą żywił się Mbwun. Choć nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób stworzenie dostało się do muzeum, kustosze sugerują, że mógł on przypadkiem zostać zamknięty w kontenerze przewozowym wraz ze skrzyniami zawierającymi zbiory muzealne. Istota żyła w rozległych podziemiach muzeum, dopóki nie zabrakło jej naturalnego pożywienia, po czym zaczęła atakować gości oraz strażników.

Zwierzę zostało zabite podczas wyprowadzania gości uwięzionych w gmachu muzeum, a jego truchło – wywiezione przez agentów federalnych i zniszczone bez poddania go jakimkolwiek badaniom. Choć stworzenie to wciąż owiane jest mgiełką tajemnicy, udało się ustalić, że żyło w Amazonii na odosobnionym płaskowyżu, zwanym tepui. Prace górnicze na tym terenie, związane z wydobywaniem złota, doprowadziły do jego całkowitego wyjałowienia i najprawdopodobniej, także do wyćpienia tego gatunku istot. Profesor Whitney Cadwalader Frock z wydziału antropologii MHN, autor *Ewolucji fraktalnej*, wierzył, że istota ta była swoistą aberracją ewolucyjną, wytworzoną przez powstałą w lesie deszczowym enklawę.

Dobrze poinformowane źródło sugeruje, że niedawne zabójstwa mogą być dziełem drugiego Mbwuna, być może partnera nieżyjącego już osobnika. Przypuszczenie to spędza sen z powiek szefowi wydziału policji nowojorskiej. Wygląda na to, że to właśnie policja poprosiła laboratorium muzealne o zbadanie, czy ślady zębów na kościach mogą być dziełem bezdomnego psa, czy też jakiejś potężniejszej i groźniejszej istoty, na przykład Mbwuna”.

Smithback drżąc z wściekłości dłonią odsunął od siebie talerz z nie tkniętymi jajkami. Nie wiedział, co było gorsze, czy to, że ten palant, Harriman, podkradł mu temat, czy świadomość, że właśnie on, Smithback, wpadł na ten trop i dał się nakłonić do odłożenia publikacji sensacyjnego materiału.

Nigdy więcej, poprzysiągł sobie w duchu. Nigdy więcej.

Na piętnastym piętrze gmachu komendy głównej policji D’Agosta odłożył tę samą gazetę, rzucając siarczyste przekleństwo. Rzecznicy policji będą musieli nieźle się namordować, żeby zapobiec masowej hysterii. Ktokolwiek puścił parę, zapłaci za to, postanowił porucznik. Przynajmniej tym razem nie była to sprawka jego, pożałuj Boże, przyjaciela, Smithbacka.

Sięgnął po telefon i wybrał numer biura szefa policji. Skoro mowa o odpowiedzialności, należało zadbać o własny tyłek, póki jeszcze miał po temu okazję. Gdy chodziło o Horlockera, zawsze lepiej było dzwonić do szefa samemu, niż odbierać telefon od niego.

W słuchawce rozległ się głos automatycznej sekretarki.

D'Agosta znów sięgnął po gazetę, ale zaraz ją odłożył. Coraz bardziej narastała w nim wściekłość. Lada moment zjawi się Waxie, zawracając mu głowę sprawą zabójstwa w zamku Belvedere i terminem wyznaczonym przez szefa. Na myśl o spotkaniu z Waxiem D'Agosta mimowolnie zmrużył powieki, lecz natychmiast ogarnęło go tak silne zmęczenie, że zaraz znów je otworzył. Spał tylko dwie godziny i był skonany po spędzeniu prawie całej nocy pod zamkiem Belvedere, gdzie prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Bittermana.

Wstał i podszedł do okna. Poniżej, wśród szarych budynków, dostrzegł nieduży prostokąt czerni, boisko szkolne. Na ciemnym spłachetku dostrzec można było sylwetki dzieci bawiących się w berka i w klasy podczas przerwy. Bez wątpienia głośno przy tym krzyczały i dokazywały. Boże, pomyślał, ile bym dał, aby móc być teraz jednym z tych dzieciaków.

Wracając za biurko, spostrzegł, że przewrócił gazetą oprawioną w ramki fotografię swego dziesięcioletniego syna, Vinniego juniora. Postawił ją starannie, uśmiechając się mimowolnie do zastygłej w promiennym uśmiechu twarzyczki dziecka. Następnie, poczuwszy się nieco lepiej, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął cygaro. Do diabła z Horlockerem. Co będzie, to będzie.

Zapalił cygaro, wrzucił zapałkę do popielniczki i podszedł do wielkiej mapy zachodniego Manhattanu, przypiętej do korkowej tablicy.

Gdzieniedzie powbijane były białe i czerwone pineski. Legenda przyklejona w rogu objaśniała, że białe pineski oznaczały zaginięcia z ostatnich sześciu miesięcy, czerwone zaś – zabójstwa popełnione w sposób pasujący do wzorca.

D'Agosta sięgnął w stronę plastikowej tacki, wziął z niej czerwoną pineskę, odnalazł na mapie zbiornik wodny w Central Parku i wpiął pineskę przy jego południowym krańcu. Cofnął się i spojrzął na mapę, wypatrując w układzie kolorów jakiegoś wzorca lub schematu.

Białych pinesek było dziesięć razy więcej niż czerwonych.

Naturalnie wiele z tych zaginięć nigdy nie zostanie wyjaśnionych. W Nowym Jorku ludzie znikali z najróżniejszych powodów. Mimo to zaginięć było zbyt wiele, prawie trzy razy więcej, niż wynosiła półroczna przeciętna. Najwięcej z nich zanotowano w okolicach Central Parku. Wciąż patrzył na mapę. Punkty, nie wiedzieć czemu, zdawały się układać w jakiś wzór. Coś podpowiadało policjantowi, że faktycznie w tym szaleństwie była jakaś metoda, jednak jak dotąd nie zdołał jej odkryć.

– Śni pan na jawie, poruczniku? – rozległ się znajomy, nieco chrapliwy głos.

D'Agosta drgnął zaskoczony i odwrócił się. W drzwiach stała Hayward, oficjalnie oddelegowana do tej sprawy oraz, rzecz jasna, Waxie.

– A zapukać nie łaska? – warknął D'Agosta.

– Łaska, a jakże. Ale mówił pan, że chce dostać ten materiał najszybciej, jak to możliwe.  
– Hayward trzymała w szczupłej dłoni okazały plik wydruków komputerowych.

D’Agosta wziął od niej papiery i zaczął przeglądać. Kolejne zabójstwa wśród bezdomnych, z minionych sześciu miesięcy, głównie z okolic Central Parku/West Side, będących pod jurysdykcją Waxiego. Żadne z nich, rzecz jasna, nie doczekało się śledztwa.

– Chryste – wymamrotał, kręcąc głową. – Nanieśmy to na mapę.

Zaczął odczytywać nazwy podanych miejsc, a Hayward wpinała w mapę czerwone pineski. Nagle porucznik przerwał, lustrując gęstą grzywę jej ciemnych włosów i biel skóry. Choć, rzecz jasna, nie dał jej tego odczuć, D’Agosta cieszył się, że przydzielono mu do pomocy policjantkę Hayward. Jej pewność siebie i buta granicząca z bezczelnością były niczym bezpieczna przystań pośród szalejącego dokoła cyklonu. A poza tym musiał przyznać, że Hayward była atrakcyjną kobietą.

Z korytarza dobiegł ich tupot biegnących stóp i podniesione głosy. Coś ciężkiego wywróciło się z hukiem. D’Agosta zmarszczył brwi i skinął na Hayward, aby sprawdziła, co się dzieje. Niebawem krzyki przybrały na sile, a D’Agosta usłyszał wysoki, piskliwy głos powtarzający jego imię.

Zaciekawiony wychylił głowę na korytarz. W holu wydziału zabójstw stał niewiarygodnie wręcz brudny mężczyzna, szamocząc się z dwoma policjantami, którzy próbowali go obezwładnić. Hayward stała z boku, spięta i czujna, jakby tylko czekała na okazję, by włączyć się do akcji.

D’Agosta zwrócił uwagę na tłuste włosy tamtego, pozlepiane w strąki, i skórę o niezdrowej, ziemistej barwie oraz na jego szczupłą, kościstą sylwetkę. W dłoni mężczyzna trzymał plastikowy worek na śmieci, zawierający zapewne cały jego doczesny dobytek.

– Chcę się widzieć z porucznikiem! – wychrypiał piskliwym głosem bezdomny. – Mam informację! Żądam...

– Słuchaj no, koleś – rzekł jeden z policjantów, z obrzydzeniem przytrzymując tamtego za brudny płaszcz – jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to mnie, dobra? Porucznik jest zajęty.

– Tam jest! – Mężczyzna drżącym palcem wskazał D’Agostę. – Widzicie, nie jest zajęty! Precz z łapami albo złożę na was skargę! Słyszycie, zadzwonię po mojego adwokata!

D’Agosta wycofał się do gabinetu, zamknął drzwi i powrócił do kontemplacji mapy. Głośna wymiana zdań trwała nadal, piskliwy, ochryply głos bezdomnego przeplatał się z coraz bardziej poirytowanym głosem Hayward. Żadne nie chciało ustąpić.

Naraz drzwi gabinetu otwarły się na oścież i bezdomny na wpół wpadł, na wpół wtoczył się do środka, a tuż za nim – wściekła jak osa Hayward. Mężczyzna stanął w kącie, obronnym gestem unosząc przed sobą plastikowy worek.

– Musi mnie pan wysłuchać, poruczniku! – jęknął przeciągle.

– Ten gość jest śliski jak węgorz – wysapała Hayward, ocierając dłonie o szczupłe uda. – I to dosłownie.

– Nie zbliżaj się! – zapiszczał bezdomny do policjantki.

D’Agosta westchnął ze znużeniem.

– Już dobrze, sierżancie – mruknął. I odwrócił się do bezdomnego. – W porządku. Pięć minut. Ale to proszę zostawić na zewnątrz. – Wskazał na worek, którego zawartość cuchnęła tak, że łzy pociekły mu z oczu.

– Ukradną mi – wychrypiął tamten.

– To komenda policji – uciął D’Agosta. – Nikt niczego ci nie ukradnie. Zwłaszcza takiego szajsu, bo co innego możesz tam mieć.

– To nie żaden szajs – zaskomlał mężczyzna, ale mimo to oddał lepiący się od brudu worek policjantce Hayward, która pospiesznie wyniosła go na zewnątrz, wróciła i zamknęła drzwi, by dłużej nie czuć dławiącego fetoru.

Wtem zachowanie bezdomnego uległo diametralnej zmianie. Poczłapał w stronę biurka i rozsiadł się w jednym z foteli dla gości, nonszalancko zakładając nogę na nogę, jakby to miejsce było jego drugim domem. Woń była znacznie silniejsza. Porucznikowi przywodziła na myśl niepokojący smród panujący w tunelach kolejowych.

– Mam nadzieję, że czuje się pan swobodnie – rzekł D’Agosta. – To dobrze. – Wyjął z ust cygaro, umieszczając je strategicznie tuż pod nosem. – Zostały ci cztery minuty.

– Właściwie, Vincencie – odrzekł bezdomny – czuję się jak u siebie. I na tyle swobodnie, na ile to możliwe, zważywszy na mój obecny wygląd.

D’Agosta, zbity z tropu, powoli opuścił cygaro na blat biurka.

– Z przykrością stwierdzam, że mimo wszystko nadal palisz. – Bezdomny przeniósł wzrok na cygaro. – Jakkolwiek zauważyłem, że twój gust w kwestii doboru cygar znacznie się poprawił. Tytoń z Dominikany, o ile się nie mylę, i opakowanie Connecticut Shade. Skoro już musisz, lepiej, że trujesz się prawdziwymi churchillami, a nie tym sianem, które paliłeś poprzednio.

D’Agosta odebrało mowę. Znał ten głos i melodyjny, południowy akcent. Nie potrafił jednak połączyć go z tym cuchnącym, brudnym włóczęgą, siedzącym naprzeciw niego.

– Pendergast? – wykrztusił.

Bezdomny skinął głową.

– Co...?

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi to teatralne wejście – rzekł Pendergast. – Chciałem sprawdzić, czy moje przebranie jest dostatecznie dobre i przekonujące.

– Och – mruknął D’Agosta.

Hayward postąpiła naprzód i spojrzała na D’Agostę. Po raz pierwszy wydawała się zdezorientowana.

– Poruczniku...? – zaczęła.

D'Agosta wziął głęboki oddech.

– Sierzancie, to... – machnął ręką w stronę postaci w łachmanach, siedzącej z dłońmi na podolku i przekładającej ostrożnie jedną nogę na drugą – agent specjalny Pendergast z FBI.

Hayward spojrzała na D'Agostę, a następnie na bezdomnego.

– Bzdura – rzuciła krótko.

Pendergast zaśmiał się rozbawiony. Oparł łokcie na podłokietnikach fotela, złączył obie dłonie i wsparł podbródek na koniuszkach palców.

Spojrzał na Hayward.

– Miło mi panią poznać, sierzancie, z radością uściskałbym pani dłoń, ale...

– Nie ma sprawy – rzuciła Hayward, a w jej oczach pojawiły się podejrzliwe błyski.

Nagle D'Agosta podszedł i ścisnął brudne, szczupłe dłonie w swoich wielkich łapskach.

– Chryste, Pendergast, tak się cieszę, że cię widzę. Zastanawiałem się, co się z tobą stało. Słyszałem, że odmówiłeś przyjęcia nominacji na dyrektora nowojorskiego oddziału Biura, ale nie widzieliśmy się od czasu...

– ...sprawy zabójstw w muzeum, gdy to wszystko wyszło na jaw. – Pendergast skinął głową. – Widzę, że znów wróciła na czołówki gazet.

D'Agosta ponownie usiadł, skrzywił się i pokiwał głową. Pendergast uniósł wzrok, spoglądając na mapę.

– Masz nielichy problem, Vincencie. Seria brutalnych morderstw na ziemi i pod nią, strach paraliżujący elity miejskie, a teraz jeszcze plotki o rzekomym powrocie Mbwuna.

– Pendergast, nie masz pojęcia, co się tu dzieje.

– Wybacz, ale pozwolę sobie mieć na ten temat dokładnie odmienne zdanie. Wiem, co się dzieje, i szczerze mówiąc, zjawiłem się tu, aby zapytać, czy nie przydałaby ci się moja skromna pomoc.

Oblicze D'Agosty pojaśniało, ale zaraz znów przybrało nieodgadniony wyraz.

– Oficjalnie? – zapytał.

Pendergast się uśmiechnął.

– Obawiam się, że jedynie półoficjalnie. Na więcej nie mogę sobie pozwolić. Ostatnimi czasy jestem w większym lub mniejszym stopniu niezależny. Przez cały ubiegły rok pracowałem nad pewnym projektem, o którym być może pomówimy kiedy indziej. Powiedzmy, że dostałem właśnie polecenie, aby wspomóc policję przy prowadzonym przez nią śledztwie. Naturalnie muszę zachowywać postawę określaną przez nas mianem „ogólnego zaprzeczania wszystkiemu”. Na razie nie mamy dowodów, że popełnione zostało przestępstwo federalne. – Machnął ręką. – Moim problemem jest, najkrócej mówiąc, to, że nie potrafię trzymać się z daleka od ciekawej sprawy. To drażniący nawyk, przyznaję, ale trudno mi się go wyzbyć.

D'Agosta spojrzał nań z zaciekawieniem.



– Czemu więc nie widziałem cię od blisko dwóch lat? W Nowym Jorku jest chyba sporo naprawdę ciekawych spraw.

Pendergast uniósł głowę.

– Nie dla mnie – odparł.

D’Agosta odwrócił się do Hayward.

– To pierwsza dobra rzecz, jaka mi się przydarzyła od rozpoczęcia tego śledztwa – powiedział.

Pendergast przeniósł wzrok z D’Agosty na Hayward i z powrotem, jego jasnoniebieskie oczy silnie kontrastowały z brudną, niemal czarną skórą.

– Pochlebiasz mi, Vincencie. Ale bierzmy się do pracy. Jako że mój wygląd najwyraźniej zmylił was oboje, mam nadzieję wypróbować jego skuteczność pod ziemią, i to możliwie jak najszybciej. Naturalnie, jeśli oboje zechcecie zapoznać mnie ze szczegółami sprawy.

– Czy zatem sądzi pan, że zabójstwa Pameli Wisher i bezdomnych są ze sobą jakoś powiązane? – zapytała Hayward, wciąż pełna nieufności i powątpiewania.

– Jak najbardziej, sierzancie... Hayward, tak? – odparł Pendergast. I nagle się wyprostował. – Chyba nie ma pani na imię Laura?

– A o co chodzi? – zapytała Hayward, przechodząc ostro do defensywy.

Pendergast znów zagłębił się w fotelu.

– Wyśmienicie – rzekł półgłosem. – Proszę pozwolić, że pogratuluję pani artykułu w „Journal of Abnormal Sociology” z zeszłego miesiąca. Bardzo wnikliwa analiza hierarchii wśród żyjących pod ziemią bezdomnych.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, D’Agosta spostrzegł na twarzy policjantki wyraz dezorientacji i zakłopotania. Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok, nienawykła do komplementów.

– Sierzancie? – powiedział.

– Robię magisterium na UNJ – odrzekła, wciąż spoglądając w dal.

I nagle spojrzała na D’Agostę, jakby oczekiwała kpiącego komentarza z jego strony i w ten sposób rzuciła mu milczące wyzwanie.

– Piszę pracę na temat struktur kastowych w społeczności podziemnej.

– Świetnie – rzekł D’Agosta, zdumiony jej defensywną postawą, choć i on mimowolnie spuścił trochę z tonu. Jak to możliwe, że mi o tym nie wspomniała? Uważa mnie za idiotę?

– Czemu opublikowała go pani w tak mało znanym piśmie? – ciągnął Pendergast. – Pomyślałem, że powinna pani wybrać „Law Enforcement Bulletin”.

Hayward zaśmiała się krótko, odzyskując rezon.

– Chyba pan żartuje – ucięła.

Właśnie wtedy D’Agosta zrozumiał. Ta szczupła, filigranowa dziewczyna musiała mieć prawdziwy krzyż Pański, pracując w wydziale porządku publicznego policji miejskiej, gdzie służbę pełnili w większości rośli, barczyści mięśniacy. Praca magisterska dotycząca ludzi,

których musiała usuwać siłą z miejsc, gdzie koczowali... Pokręcił głową, wyobrażając sobie, na jakie drwiny byłaby narażona ze strony kolegów z wydziału, gdyby to się wydało.

– No tak, rozumiem – rzekł Pendergast, kiwając głową. – Cóż, tak czy inaczej, miło mi było panią poznać. Przejdźmy jednak do rzeczy. Będę chciał przejrzeć wyniki analiz miejsc zbrodni. Im więcej się dowiemy o naszym ktosiu, tym szybciej go odnajdziemy. Jego lub ich. Nie jest gwałcicielem, prawda?

– Nie jest.

– Może to fetyszysta. On – lub oni – najwyraźniej lubi zabierać pamiątki po swoich ofiarach. Będzie trzeba sprawdzić akta wszystkich nieaktywnych seryjnych zabójców lub osób o skłonnościach do zabójstw. Zastanawiam się, czy moglibyście przeprowadzić korelację zbieżności danych o wszystkich znanych ofiarach. Przydałoby się też przejrzeć raz jeszcze kartotekę osób zaginionych, może dzięki temu wpadniemy na jakiś trop. Powinniśmy sprawdzić wszystkie potencjalne zbieżności między poszczególnymi ofiarami, nawet te najdrobniejsze.

– Zajmę się tym – oznajmiła Hayward.

– Wyśmienicie. – Pendergast wstał i podszedł do biurka. – A teraz, gdybym mógł przejrzeć akta sprawy...

– Usiądź, proszę – rzucił szybko D’Agosta, marszcząc nos. – Twoje przebranie jest aż zanadto przekonujące, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Oczywiście – rzekł z uśmiechem Pendergast, ponownie sadowiąc się w fotelu. – Przekonujące, że aż zwała z nóg. Sierżancie Hayward, czy byłaby pani tak uprzejma i zechciała podać mi te akta?

## 18

Margo zajęła miejsce w rozległej sali Linneusza, znajdującej się w gmachu Muzeum Historii Naturalnej, i z zaciekawieniem rozejrzała się dokoła. Było to wytworne pomieszczenie, powstałe w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim. Ponad boazerią z ciemnego drewna wznosiły się strzeliste sklepienia. Dokoła potężnej kopułowej sali widoczne były misterne fryzy, przedstawiające ewolucję w całej jej świetności, od przepięknie cyzelowanych drobnoustrojów na jednym końcu po ogromną sylwetkę człowieka na drugim.

Wbiła wzrok w postać człowieka, mężczyzny w surducie, cylindrze i z laseczką w dłoni. Był to wspaniały monument, poświęcony darwinowskiej teorii ewolucji i dawnemu sposobowi jej pojmowania: powolny, regularny marsz od prostoty do złożoności, u kresu której w swej chwale króluje człowiek. Margo wiedziała, że obecnie ten obraz bardzo się zmienił. Ewolucja okazała się bardziej przypadkowa i chaotyczna, z mnóstwem ślepych uliczek i osobliwych zakrętów. Doktor Frock, siedzący na wózku w przejściu obok niej,

wniósł w owo pojmowanie wielki wkład, ogłaszając swoją teorię ewolucji fraktalnej. Współcześni biolodzy nie uważali już człowieka za apoteozę ewolucji, a jedynie ślepą uliczkę pomniejszej, bocznej gałęzi jednej z mniej wykształconych podgrup ssaków. Skutkiem tego, pomyślała, uśmiechając się w duchu, słowo człowiek znacznie straciło na wartości – i bardzo dobrze.

Odwróciła głowę, by spojrzeć w stronę wąskich otworów kabiny projekcyjnej w tylnej ścianie. Stara aula została unowocześniona, zmieniono ją w elegancką salę wykładową, zaopatrzoną w ukryte w ścianach, wysuwane automatycznie tablice i ekrany oraz sprzęt multimedialny.

Po raz setny tego dnia zastanawiała się, kto jest odpowiedzialny za przeciek do prasy informacji o udziale muzeum w kontrowersyjnym policyjnym śledztwie. Ktokolwiek to był, najwyraźniej nie wiedział wszystkiego, nie wspomniał choćby o groteskowych deformacjach drugiego szkieletu, niemniej jednak sporo namieszał. Choć ulżyło jej, bo nie musiała interweniować z powodu Smithbacka, nadal sen z powiek spędzało jej to, czego dowiedziała się o śladach zębów na obu ciałach, a raczej o ich pochodzeniu. Obawiała się sekcji zwłok Bittermana, które miano dostarczyć do muzeum, i tego, co może ona wykazać.

Głośny szum sprawił, że Margo ponownie skierowała wzrok przed siebie. Proscenium i kulisy przesunęły się w tył, a z sufitu ku podłodze opuszczał się wielki ekran.

W sali na dwa tysiące miejsc siedziało w napięciu dokładnie siedem osób.

Frock, tuż obok niej, nucił melodię z opery Wagnera, grubymi palcami wybijając rytm na podłokietniku fotela. Twarz miał pozbawioną wyrazu, ale Margo wiedziała, że w jego wnętrzu wrzało. Prezentację, zgodnie z umową, prowadzić miał główny koroner miejski, Brambell, ale Frockowi wyraźnie było to nie w smak.

Kilka rzędów dalej Margo dostrzegła porucznika D'Agostę w towarzystwie tłustego komendanta policji w wymiętym mundurze i dwóch, z wyglądu znudzonych, detektywów z wydziału zabójstw.

Główne światła wygaszono i obecnie Margo widziała jedynie pociągłe, kościste oblicze Brambella oraz jego łysinę podświetlone od dołu przez niewielką, wmontowaną w pulpit lampkę.

W jednym ręku trzymał dziwnie wyglądający plastikowy rapier, pełniący funkcję zdalnego przełącznika slajdów i laserowego wskaźnika. Wyglądał jak żywy trup, uznała Margo, albo jak Boris Karloff w białym kitlu.

– Proponuję od razu przejść do analizy materiału dowodowego – rzekł Brambell, a jego wysoki, piskliwy głos rozbrzmiał z licznych głośników rozmieszczonych w całej sali.

Margo poczuła, że siedzący obok niej Frock zeszywniał z irytacji.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie powiększonej kości, a salę wypełniło upiorne, szare światło.

– Oto zdjęcie trzeciego kręgu szyjnego Pameli Wisher. Proszę zwrócić uwagę na wyraźnie widoczny ślad zębów.

Pojawił się następny slajd.

– Oto jeden z tych śladów, powiększony dwieście razy. A tu zdjęcie jego przekroju. Taki ślad zęba mógł pozostawić tylko ssak.

Kolejne slajdy obrazowały wyniki testów laboratoryjnych, dokonanych na rozmaitych kościach należących do dwóch ciał, mających określić nacisk na cal kwadratowy, konieczny do powstania śladów o danej głębokości.

– Zidentyfikowaliśmy dwadzieścia jeden wyraźnych śladów, zagłębień lub zadraśnień dokonanych zębami na kościach tych dwóch ofiar – ciągnął Brambell. – Są tu również ślady pochodzące od jakiegoś tępokrawędziastego narzędzia, zbyt regularne, by mogły to być zęby, ale i zbyt nierówne jak na ostry nóż. Bardzo możliwe, że są one dziełem prymitywnego toporka lub krzemiennego ostrza. Widać je najwyraźniej na kręgu szyjnym, co może wskazywać na sposób dokonania dekapitacji. Tak czy inaczej, nacisk, jaki musiano wywrzeć, aby powstały takie ślady, waha się... – Brambell skierował wskaźnik na ekran – od pięciuset do dziewięciuset funtów na cal kwadratowy. To znacznie mniej niż tysiąc dwieście funtów na cal kwadratowy, jak początkowo szacowaliśmy.

Mniej niż ty szacowałeś, pomyślała Margo, zerkając na Frocka.

Na ekranie pojawiło się kolejne zdjęcie.

– Złożone i szczegółowe badania cienkich fragmentów kości wokół wgłębień wykazały prześiąknięcie krwi przez obszary śródmiaższowe kości aż do szpiku. Oznacza to, że ukąszenia powstały przed śmiercią ofiar. – W sali zapadła cisza. Brambell chrząknął. – Z uwagi na silny rozkład ciał, nie sposób określić przyczyny śmierci. Sądzę jednak, iż możemy śmiało stwierdzić, że ofiary te zmarły wskutek silnego wstrząsu oraz utraty krwi, która nastąpiła przy zadawaniu owych ukąszeń.

Teatralnym gestem odwrócił się do słuchaczy.

– Zdaję sobie sprawę, że w chwili obecnej wszyscy zadajecie sobie to samo pytanie. To jedno jedyne pytanie. Co pozostawiło owe ślady. Jak wiadomo, w prasie pojawiły się spekulacje, że zabójcą może być kolejny Mbwun.

Bawi się tym, skonstatowała Margo. Poczula narastające w sali napięcie. Zwłaszcza D'Agosta siedział jak na szpilkach.

– Dokonałiśmy drobiazgowej analizy tych śladów, porównując je ze śladami Mbwuna, które znajdują się w zbiorach muzeum i tylko tam, o ile mi wiadomo. I doszliśmy do dwóch zasadniczych wniosków.

Zaczerpnął oddechu i rozejrzał się dokoła.

– Pierwszy, ślady zębów różnią się od śladów Mbwuna. Odmienny jest zarówno ich przekrój, rozmiar, jak i długość.

Margo zauważyła, że D'Agosta rozluźnił się, jego ramiona obwisły, porucznik westchnął z ulgą.

– Drugi, siła niezbędna do powstania takich śladów nie przekracza dziewięciuset funtów na cal kwadratowy, co pozwala nam przypuszczać, że ukąszenia są dziełem psa lub, śmiem twierdzić, nawet człowieka, na pewno nie istoty w rodzaju Mbwuna.

Slajdy pojawiały się coraz szybciej, ukazując w znacznym powiększeniu ślady zębów i wzory ukąszeń.

– Zdrowy człowiek, osobnik płci męskiej o prawidłowym zgryzie, przy silnym ugryzieniu wywiera nacisk rzędu ośmiuset pięćdziesięciu, dziewięciuset funtów na cal kwadratowy – rzekł Brambell. – Można przyrównać te ślady do śladów po ludzkich zębach trzonowych. Z drugiej strony równie dobrze mogą być one dziełem sfory dzikich, bezpańskich psów zamieszkujących w tunelach które zaatakowały, zabiły ofiary i rozczłonkowały te ciała. Osobiście uważam, że wzorce, które tu widzimy, bardziej przypominają ślady zębów człowieka aniżeli psa czy jakiegokolwiek innego dzikiego stworzenia, mogącego zamieszkiwać w podziemiach naszego miasta.

– Może mi pan wierzyć, doktorze Brambell, jest ich tam więcej, aniżeli mógłby pan przypuszczać.

Głos miał silny, południowy akcent, z Alabamy lub może Luizjany, lakoniczny i delikatny zarazem zawierał w sobie również wyczuwalną nutkę wytwornego cynizmu. Margo odwróciła się, by ujrzeć znajomą, szczupłą sylwetkę agenta Pendergasta, rozpartego w fotelu w jednym z górnych rzędów. Nie zauważyła ani nie usłyszała, jak wszedł na salę.

Agent wychwycił jej spojrzenie i skinął głową, jego blade oczy błysnęły w mroku.

– Panno Green – rzekł. – O, przepraszam, teraz już doktor Green, nieprawdaż?

Margo uśmiechnęła się i również pokiwała głową. Nie widziała Pendergasta od czasu pożegnalnego przyjęcia Frocka w jego biurze w muzeum. Właśnie wtedy jednak widziała po raz ostatni większość osób zamieszanych w sprawę Bestii z Muzeum, dajmy na to doktora Frocka czy Grega Kawakitę.

Frock z wysiłkiem obrócił się na wózku, pokiwał głową na powitanie i ponownie przeniósł wzrok na ekran.

Brambell spojrzał na nowo przybyłego.

– Pan...? – zaczął.

– Agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze – odrzekł D'Agosta. – Będzie współpracował z nami przy tej sprawie.

– Rozumiem – mruknął Brambell. – Wyśmienicie. – Odwrócił się w stronę ekranu. – Przejdźmy do następnej kwestii, identyfikacji nieznanymi zwłok. I tu dobra wiadomość – choć obawiam się, że może ona zaskoczyć niektórych moich kolegów – skinął do Frocka i Margo – ponieważ wpadłem na to stosunkowo niedawno.

Frock wychylił się lekko do przodu na fotelu, jego oblicze pozostawało nieodgadnione.

Margo lustrowała na przemian twarze dwóch naukowców. Czy to możliwe, że Brambell czegoś im nie powiedział, aby samemu zgarnąć laury za to odkrycie?

– Proszę spojrzeć na kolejny slajd. – Na ekranie pojawiło się nowe zdjęcie, klisza rentgenowska ukazująca cztery białe trójkąty, zauważone po raz pierwszy przez Margo. – Oto cztery małe metalowe trójkąty wpuszczone w krąg lędźwiowy nieznanego szkieletu. Od chwili, gdy doktor Green je wypatrzyła, zachodziliśmy w głowę, co to takiego i czemu może służyć. Dopiero ubiegłej nocy uświadomiłem sobie ich potencjalne pochodzenie. Dziś niemal przez pół dnia rozmawiałem z chirurgami ortopedami. Jeśli się nie mylę, jeszcze przed końcem tygodnia powinniśmy znać tożsamość naszej drugiej ofiary. Kto wie, może nawet wcześniej.

Uśmiechnął się i triumfalnie rozejrzał po sali, bezczelnie zatrzymując wzrok na kipiącym z wściekłości Frocku.

– Zakładam, że pana zdaniem te trójkąty, to... – zaczął Pendergast.

– Na razie – przerwał mu Brambell – wolałbym nie drażnić tego tematu. – Machnął pilotem i na ekranie pojawił się kolejny slajd, ukazujący czaszkę w stanie daleko posuniętego rozkładu, bez oczu i warg, z zębami wyszczerzonymi w drapieżno-ironicznym grymasie. Widok ten przepełnił Margo odrazą, podobnie jak sama czaszka, kiedy dostarczono ją do laboratorium.

– Jak wszyscy zapewne wiecie, ten czerep dostarczono wczoraj do muzeum, aby i jego poddać gruntownej analizie. Został odkryty przez porucznika D’Agostę podczas działań operacyjnych w sprawie serii nie wyjaśnionych morderstw w środowisku bezdomnych. Choć na pełny raport przyjdzie wam poczekać jeszcze kilka dni, już teraz mogę powiedzieć, że czaszka należy do ubożego mężczyzny, zamordowanego przed mniej więcej dwoma miesiącami. Widzimy tu liczne ślady, zarówno po zębach, jak i po jakimś tępokrawędziastym narzędziu, prymitywnej broni; są one szczególnie widoczne w rejonie kręgu karkowego. Zamierzamy dokonać ekshumacji zwłok z cmentarza i poddać je gruntownemu badaniu.

O nie, pomyślała Margo.

Brambell przeczucił kilka kolejnych slajdów.

– Zbadaliśmy otarcia naskórka na szyi i doszliśmy do wniosku, że tak jak w poprzednim przypadku, tu również nie mamy do czynienia z Mbwunem, lecz z człowiekiem.

Ekran zbiałał, Brambell odłożył wskaźnik na pulpit. Gdy zapalono światła, D’Agosta podniósł się z fotela.

– Wysłuchawszy pańskich wyjaśnień, odczuwam wielką ulgę – powiedział. – Niemniej jednak nieodparcie nasuwa mi się jedno pytanie. Pana zdaniem te ślady ukąszeń są dziełem człowieka?

Brambell skinął głową.

– Człowieka, a nie psa ani jakiegoś innego zwierzęcia, które może żyć tam na dole, w ściekach?

– Zważywszy na stan i naturę śladów, trudno całkowicie wykluczyć, że zrobił to pies. Mimo to powiedziałbym raczej, że to dzieło człowieka lub raczej kilku osób. Gdybyśmy mieli choć jeden wyraźny odcisk całego garnituru zębów, mógłbym to stwierdzić na pewno, a tak...

– Rozłożył ręce. – A gdyby okazało się, że niektóre z tych śladów są dziełem jakiejś prymitywnej broni, można by z pełnym przekonaniem wykluczyć psy.

– A pan, doktorze Frock? Jak pan sądzi? – D’Agosta odwrócił się.

– Zgadzam się z doktorem Brambellem – odrzekł krótko Frock, kręcąc się nerwowo na wózku. – Pragnę przypomnieć – burknął – że to ja pierwszy wysunąłem przypuszczenie, iż zabójstwa te nie są dziełem istoty w rodzaju Mbwuna. Cieszę się, że moje teorie znalazły potwierdzenie. Niemniej jednak zmuszony jestem zaprotestować, podobnie jak uczynił to doktor Brambell przy identyfikacji zwłok określonych przez nas jako A.

– Protest został przyjęty – mruknął Brambell, uśmiechając się pod nosem.

– Zabójca naśladowca – rzucił triumfalnie gruby policjant.

Zapadła cisza.

Mężczyzna wstał i rozejrzał się po sali.

– W mieście grasuje świr, którego inspirują dokonania Bestii z Muzeum – powiedział głośno. – Jakiś psychol poluje na swoje ofiary niczym zwierzę, zabija je, odcina im głowy i być może również pożera.

– To wynika z posiadanych przez nas informacji – odezwał się Brambell – choć...

Gruby policjant nie pozwolił mu dokończyć.

– Ten seryjny zabójca jest również bezdomny.

– Komendancie Waxie! – rzucił donośnym głosem D’Agosta. – To nie wyjaśnia...

– To wyjaśnia wszystko! – warknął z niezłomną determinacją mężczyzna nazwiskiem Waxie.

Nagle drzwi na drugim końcu sali otwały się z trzaskiem i od progu dał się słyszeć gniewny głos.

– Czemu, u diabła, nie zostałem powiadomiony o tym spotkaniu?

Margo odwróciła się, w okamgnieniu rozpoznając ospowatą twarz oraz nieskazitelny mundur ozdobiony gwiazdkami i galonami. Był to szef policji, Horlocker. Szedł w dół auli szybkim krokiem w towarzystwie dwóch adiutantów.

Na twarzy D’Agosty, zanim przybrała obojętny wyraz, pojawił się przez moment grymas bezgranicznego znużenia.

– Szefie, wysłałem...

– Co takiego? Notatkę służbową? – Horlocker, kipiąc z wściekłości, podszedł do rzędu, w którym siedzieli Waxie i D’Agosta.

– Vinnie, o ile dobrze pamiętam, w muzeum popełniłeś dokładnie ten sam niewybaczalny błąd. Nie włączyłeś do śledztwa od samego początku swoich przełożonych. Ty i ten palant

Coffey utrzymywaliście, że to seryjny morderca i że w pełni panujecie nad sytuacją. I zanim zorientowaliście się, kto naprawdę zabija, w muzeum doszło do krwawej rzezi.

– Proszę wybaczyć, szefie, ale pańska wersja w znacznej mierze różni się od faktycznego przebiegu tamtych wydarzeń. – Miodopłynny, spokojny ton Pendergasta rozbrzmiał w całej sali.

Margo spojrzała na Horlockera, który odwrócił się w stronę agenta FBI.

– Kto to? – warknął gniewnie.

D’Agosta już miał to wyjaśnić, ale Pendergast uniósł dłoń, uciszając go w pół słowa.

– Pozwól, że ja to zrobię, Vincencie. Komendancie Horlocker, agent specjalny Pendergast, Federalne Biuro Śledcze.

Horlocker zmarszczył brwi.

– Słyszałem o panu. O ile mi wiadomo, pan również brał udział w tej rozróbie w muzeum.

– Barwna metafora – zauważył Pendergast.

– Czego pan tu szuka, Pendergast? – rzucił ze zniecierpliwieniem Horlocker. – To nie podlega pańskiej jurysdykcji.

– Wspomagam porucznika D’Agostę, pełniąc nieoficjalnie funkcję jego doradcy.

Horlocker zasępił się.

– D’Agosta nie potrzebuje pomocy.

– Pan wybaczy, że się z nim nie zgodzę – odrzekł Pendergast. – Mam wrażenie, że zarówno on, jak i pan potrzebujecie wszelkiej możliwej pomocy. – Przeniósł wzrok z szefa na Waxiego i z powrotem na Horlockera. – Bez obaw, komendancie, nie chodzi mi o podebranie nikomu zaszczytów. Jestem tu, by pomóc w opracowaniu profilu psychologicznego przestępcy, a nie by przejmować kontrolę nad śledztwem.

– Uspokoił mnie pan – uciął Horlocker. Znów odwrócił się do D’Agosty. – No więc? – zapytał. – Na czym stoimy?

– Koroner sądzi, że najpóźniej do piątku uda mu się zidentyfikować nieznane szczątki – odrzekł D’Agosta. – Poza tym uważa, że ślady zębów najprawdopodobniej należą do człowieka. Lub do kilku osób.

– Do kilku? – zapytał Horlocker.

– Jeśli chce pan wiedzieć, szefie, moim skromnym zdaniem dowody wskazują, że mamy do czynienia z więcej niż tylko jednym sprawcą – oznajmił D’Agosta.

Brambell pokiwał głową, zgadzając się z jego opinią.

Horlocker wyglądał na przybitego.

– Co takiego? Uważacie, że mamy do czynienia z dwoma szurniętymi kanibalami grasującymi w tej okolicy? Na miłość boską, Vinnie, ruszcie głową! W rzeczywistości to tylko jeden seryjny zabójca, bezdomny, który poluje na takich samych jak on wykołajeńców. Od czasu do czasu zdarzy się, że porządna, normalna osoba znajdzie się w niewłaściwym miejscu



o niewłaściwym czasie, jak Pamela Wisher czy ten chłopak, Bitterman, i płaci za to głową. Dosłownie.

– Normalna, porządna osoba? – mruknął Pendergast.

– Wie pan, o co mi chodzi. O kogoś, kto jest produktywnym członkiem społeczeństwa. O kogoś, kto ma adres zamieszkania.

Horlocker sposepniał i odwrócił się do D'Agosty.

– Wyzaczyłem ci termin, spodziewałem się, że będziesz miał dla mnie znacznie więcej. Waxie podźwignął się z fotela.

– Jestem przekonany, że te zabójstwa są dziełem jednego sprawcy.

– Dokładnie – rzekł Horlocker, rozglądając się po sali, jakby oczekiwał wyzwania. – Mamy więc bezdomnego wariata, najprawdopodobniej przebywającego gdzieś w okolicy Central Parku, który uważa, że jest Bestią z Muzeum. Po tym cholernym artykule w „Timesie” połowa ludzi w mieście dostała świra.

Odwrócił się do D'Agosty.

– Jak zamierzasz uporać się z tą sprawą?

– *Du calme, du calme*, komendancie – rzekł uspokajająco Pendergast. – Z doświadczenia wiem, że zazwyczaj im głośniejszy ktoś mówi, tym mniej ma do powiedzenia.

Horlocker spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Nie ma pan prawa odzywać się do mnie w ten sposób.

– Wręcz przeciwnie, jestem jedyną osobą w tej sali, która może i ma prawo tak do pana mówić – rzekł, przeciągając zgłoski Pendergast. – W tej sytuacji do mnie należy stwierdzenie, że ma pan wiele przypuszczeń, które są mocno naciągane i nie znajdują potwierdzenia w dowodach. Po pierwsze, twierdzi pan, że zabójca jest bezdomny. Po drugie, że zamieszkuje w Central Parku. Po trzecie, że jest szaleńcem. I po czwarte, że działa samotnie. – Pendergast niemal dobrotliwie spojrział na Horlockera, jak cierpliwy ojciec na krnąbrne, nieznośne dziecko. – Jak na jedno zdanie, zawiera sporo przypuszczeń, komendancie.

Horlocker spojrział na Pendergasta, otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Postąpił krok naprzód i przystanął. Nagle, łypnąwszy spode łba na D'Agostę, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z sali wraz ze swymi adiutantami.

Gdy ucichło echo zatrzasniętych drzwi, w sali jeszcze przez chwilę panowała kompletna cisza.

– Cholerna łamigłówka – zamruczał pod nosem Frock, wierząc się w fotelu.

Margo usłyszała to, lecz nie powiedziała ani słowa.

D'Agosta westchnął i odwrócił się do Brambella.

– Lepiej niech pan prześle kopię swego raportu szefowi. Proszę go odpowiednio zredagować, niech znajdują się w nim tylko najpotrzebniejsze rzeczy. I sporo zdjęć, możliwie jak najwięcej. Z opisami. Na tyle szczegółowymi, aby mógł je zrozumieć nawet czwartoklasista.

Brambell wybuchnął dźwięcznym, wysokim śmiechem.

– Oczywiście, poruczniku – zachichotał; jego łysina zaślniła w świetle projektora. – Zrobię, co w mojej mocy.

Margo patrzyła, jak Waxie rzucił im obu spojrzenia pełne dezaprobaty, po czym on również ruszył w stronę drzwi.

– Nie uważam, by naigrawanie się z komendanta było przejawem dojrzałości i profesjonalizmu – stwierdził. – Ja na przykład mam ważniejsze zajęcia niż nabijanie się z przełożonych.

D'Agosta spojrział na niego.

– Zmieniłem zdanie – rzekł powoli do Brambella – niech pan się postara, aby tekst był zrozumiały nawet dla trzecioklasisty, żeby kapitan Waxie również mógł go przeczytać.

Smithback w kabinie projekcyjnej za ścianą, na drugim końcu sali, odsunął się od szczeliny obserwacyjnej i z nie skrywanym zadowoleniem wyłączył dyktafon. Nasłuchując, odczekał, aż ostatni uczestnicy spotkania opuszczą salę Linneusza.

Z pomieszczenia kontrolnego wyszedł operator i na widok Smithbacka podejrzliwie zmarszczył brwi.

– Mówił pan...

Dziennikarz machnął ręką.

– Wiem, co mówiłem. Nie chciałem jeszcze bardziej pana denerwować. Proszę. – Wyjął z portfela dwudziestkę i podał mu.

– Nie przyjąłbym tych pieniędzy, ale pensja w muzeum to jawna kpina. Jak tu przeżyć w Nowym Jorku z takimi zarobkami... – Mężczyzna nerwowym ruchem wsunął banknot do kieszeni.

– Taaa – odrzekł Smithback, ostatni raz wyglądając przez otwór w kabinie. – Proszę posłuchać, nie musi mi pan tłumaczyć. Właśnie przyczynił się pan do rozwoju wolności prasy. Niech pan wybierze się dziś na dobrą, sutą kolację, co pan na to? Może być? I bez obawy. Nawet gdyby wpakowali mnie za kratki, nie sypnąłbym pana. Jak każdy szanujący się dziennikarz nigdy nie ujawniam swoich źródeł.

– Za kratki? – wykrztusił operator.

Smithback poklepał go uspokajająco po plecach, po czym przeszedł z kabiny projekcyjnej do pomieszczenia kontrolnego i ściskając w dłoniach notes oraz dyktafon, zagłębił się w labiryncie zakurzonych, starych, tak dobrze mu znanych korytarzy. Dopisało mu szczęście, przy północnym wejściu straż trzymała stara Pocahontas; przydomek ten nadano jej ze względu na makijaż, jaki sobie zwykle robiła: intensywnością przypominał indiańskie barwy wojenne.

Minał cerberkę, posyłając jej moc promiennych, przesłodzonych uśmiechów i lubieżnych, uwodzicielskich spojrzeń, dyskretnie zasłaniając kciukiem datę ważności na swojej starej, nieaktualnej już muzealnej przepustce.

## 19

Margo przeszła przez obrotowe drzwi dwudziestej siódmej komendy policji, skręciła w lewo i zeszła długimi schodami do piwnicy. Bariierka tkwiąca ongiś w żółtym murze została usunięta dawno temu i Margo musiała stąpać bardzo ostrożnie, by nie poślizgnąć się na betonowych stopniach. Pomimo otaczających ją grubych ścian usłyszała głuchoe odgłosy dobiegające z dołu, na długo zanim dotarła do podnóża schodów.

Gdy szarpnięciem otworzyła ciężkie dźwiękoszczelne drzwi przy podeście, zduszone trzaski przerodziły się w rozdzierający huk. Krzywiąc się, porażona hałasem podeszła do biurka oficera dyżurnego. Funkcjonariusz rozpoznał ją i machnął przyzwalająco ręką, gdy zaczęła wyjmować z torebki specjalne pismo i przepustkę.

– Może pani zająć siedemnastkę – rzekł pośród huku wystrzałów, podając jej ponad tuzin tarcz strzelniczych i stare, poobtłukiwane słuchawki.

Margo wpisała do książki swoje nazwisko i godzinę przyjścia, po czym przeszła przez galerię, nakładając słuchawki. Natychmiast gromki huk stał się znośniejszy. Po lewej, w otwartych kabinach ciągnących się od ściany do ściany, stali policjanci przeładowujący broń, przypinający tarcze do wysięgników, sprawdzający wyniki strzelania. Wczesny wieczór był popularną porą. Spośród tuzina zamkniętych dwudziestopięciojardowych strzelnic, mieszczących się na komendach policji, ta na posterunku dwudziestym siódmym uważana była za największą i najlepiej wyposażoną.

Dotarwszy do kabiny siedemnastej, wyjęła z torebki broń, pudełko amunicji – studwudziestogramowych naboji FMJ – oraz kilka zapasowych magazynków. Odłożywszy naboje na półkę, sprawdziła niedużą ładówarkę. Ruchy, tak bardzo obce jeszcze rok temu, kiedy nabyła broń, były teraz płynne, wprawne i automatyczne. Zadowolona, wbiła magazynek w kolbę pistoletu, przypięła tarczę do wysięgnika i wycofała ją na odległość dziesięciu jardów.

Następnie, tak jak ją nauczono, przyjęła pozycję strzelecką Weavera; prawa dłoń na kolbie, palec na obudowie spustu, lewa ręka na nadgarstku prawej, aby złagodzić impet odrzutu. Koncentrując się na muszce, ściągnęła spust, przyjmując odrzut na zgięte łokcie. Przez chwilę patrzyła na tarczę spod półprzymkniętych powiek, po czym wycelowała w nią cały dziesięcionabojowy magazynek.

Niemal mechanicznie wystrzelała kilka kolejnych magazynków, postępując zgodnie z obowiązującą na strzelnicy rutyną: przeładować broń, przywiesić tarczę, strzelać.

Opróżniwszy połowę pudełka z amunicją, odwróciła się, by wyczyścić broń, i zdziwiła się, ujrawszy za sobą porucznika D'Agostę, stojącego z rękoma splecionymi na piersiach i obserwującego ją w milczeniu.

– Cześć – rzekła, zdejmując słuchawki i przekrzykując hałas.

D'Agosta skinął w stronę celu.

– Zobaczmy, jak ci dziś poszło – mruknął i zaczekał, aż Margo przyciągnie tarczę.

– Niezła rozeta – rzekł z aprobatą.

Margo roześmiała się.

– Dzięki – powiedziała. – To twoja zasługa. Dzięki za to. I za przepustkę też. – Wrzuciła puste magazynki do torebki, myśląc, jak dziwnie musiała teraz wyglądać w oczach D'Agosty: jej pierwsza wizyta na komendzie, trzy miesiące po zakończeniu sprawy Bestii z Muzeum, gdy wpadła jak huragan, prosząc porucznika o załatwienie pozwolenia na broń. Dla ochrony, oznajmiła. Jak miała mu wyjaśnić trawiące ją lęki, przeraźliwe nocne koszmary i ciągłe poczucie bezbronności?

– Brad mówił, że dobra z ciebie uczennica – rzekł D'Agosta. – Uznałem, że dasz sobie radę, i dlatego wysłałem cię do niego. Jeśli jednak chodzi o zezwolenie, to nie mnie powinnaś dziękować. Tą sprawą zajął się osobiście Pendergast. A teraz obejrzyjmy broń, którą wybrał dla ciebie Brad.

Margo podała mu automat.

– To miniglock. Model 26, zmodyfikowany firmowo. Nowojorski spust.

D'Agosta zważył broń w rękę.

– Niezły i lekki. Ale dobry tylko na mały dystans. To z uwagi na krótki promień celownika.

– Twój przyjaciel Brad bardzo mi w tym pomógł. Nauczył mnie brać „kentuckijską poprawkę” i korzystać z przyłączanego celownika. Ćwiczyłam z nim jakiś czas temu, ale już skończyłam. Co do innych rzeczy, raczej się nie nadaję.

– Wątpię – D'Agosta oddał jej pistolet. – Z takimi wynikami powinnaś dać sobie radę ze wszystkim. – Skinął w stronę wyjścia. – Chodźmy stąd, za duży tu hałas. Wyprowadzę cię.

Margo przystanęła przy biurku oficera dyżurnego, aby wpisać godzinę opuszczenia strzelnicy i zdać słuchawki. Zdziwiła się, widząc, że D'Agosta również złożył swój podpis w księdze.

– Strzelałeś? – spytała.

– A czemu by nie? – D'Agosta odwrócił się do niej. – Nawet taki stary przyk jak ja musi ćwiczyć, aby nie zardzewieć. – Opuścili strzelnicę i ruszyli stromymi, długimi schodami pod górę. – Szczerze mówiąc, sprawy takie jak ta wszystkim dają się we znaki – oznajmił. – Odrobina ćwiczeń nigdy nie zaszkodzi. Zwłaszcza po dzisiejszej odprawie.

Margo nie odpowiedziała. U szczytu schodów przystanęła i czekała na porucznika. Zjawił się po chwili, lekko zasapany, i wyszli przez obrotowe drzwi na Trzydziestą Pierwszą

Ulicę. Wieczór był chłodny, na ulicach niewielki ruch. Margo spojrzała na zegarek, dochodziła ósma. Mogła przebiec się do domu, przyrządzić lekką kolację i spróbować się trochę zdrzemnąć.

– Założę się, że te cholerne schody mają na sumieniu więcej zawałów niż wszystkie nowojorskie fast foody razem wzięte – burknął D’Agosta. – Ale ty nawet nie dostałaś zadyszki.

Margo wzruszyła ramionami.

– Regularnie ćwiczę.

– Zauważyłem. Nie jesteś tą samą Margo, którą spotkałem osiemnaście miesięcy temu. W każdym razie, nie zewnętrznie. Jak ćwiczysz?

– Głównie trening siłowy. No, wiesz, duże ciężary, mała liczba powtórzeń.

D’Agosta skinął głową.

– Kilka razy w tygodniu?

– Ćwiczę naprzemiennie górne i dolne grupy mięśniowe. Staram się też trenować w dni wolne, choć nie tak forsownie.

– Ile teraz wyciskasz? Sto dwadzieścia?

Margo pokręciła głową.

– Sto trzydzieści pięć. To mi pasuje, bo po raz pierwszy nie muszę za każdym razem nakładać na sztangę tych wszystkich małych talerzy. Nakładam same czterdziestki piątki.

D’Agosta znów skinął głową.

– Nieźle. – Ruszyli w stronę Szóstej Alei. – I udało się?

– Że co proszę?

– Pytam, czy się udało?

Margo zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekła, ale zrozumiała, zanim jeszcze dokończyła to zdanie. – Nie – wyznała nieomal szeptem po chwili. – W każdym razie nie całkiem.

– Nie chcę być wścibski – mruknął D’Agosta, mimowolnie poklepując się po kieszeniach w poszukiwaniu cygara. – Po prostu już taki jestem, bezpośredni aż do bólu, gdybyś jeszcze tego nie wiedziała. – Znalazłszy cygaro, paznokciem zdarł banderolę i obejrzał opakowanie. – Ten szajs w muzeum wywarł piętno na nas wszystkich.

Dotarli do alei. Margo zawahała się przez chwilę, kierując wzrok ku północy.

– Przepraszam – rzekła. – Chyba wciąż ciężko mi o tym rozmawiać.

– Wiem – mruknął D’Agosta. – Zwłaszcza teraz. – Przez chwilę, gdy zapalał cygaro, oboje, policjant i dziewczyna, milczeli. – Doktor Green, proszę na siebie uważać.

Margo uśmiechnęła się lekko.

– Ty także miej się na baczności. I jeszcze raz dzięki za to. – Poklepała torebkę, po czym pobiegła na północ w stronę West Side i domu.

D'Agosta spojrział na zegarek: dwudziesta druga, a mimo harówki nie mogli pochwalić się znaczącymi osiągnięciami. Dziesiątki policjantów odwiedzało przytuliska, ośrodki pomocy i kuchnie polowe oferujące posiłki dla bezdomnych, bezskutecznie poszukując informacji o kimś, kto mógł przejawiać nadmierne, a tym samym podejrzane zainteresowanie Mbwunem. Hayward, której wiedza o bezdomnych stawała się coraz cenniejsza, przeprowadziła kilka dodatkowych wypadów pod ziemię. Niestety, wyniki tych akcji wszystkich rozczarowały: krety zaszyły się w swoich norach. Poza tym, jak wyjaśniała Hayward, przeczesywała tylko najwyżej położone spośród całej sieci tuneli rozciągających się pod ulicami miasta. W końcu liczba nawiedzonych i zwyczajnych wariatów, zgłaszających się po nagrodę do „Post”, powoli zaczęła się zmniejszać. Może wszyscy wystraszyli się po przeczytaniu artykułu w „Timesie” i zabójstwie Bittermana.

D'Agosta wbił wzrok w blat biurka, zasłany stertą papierów z wynikami ostatnich akcji. Następnie spojrział po raz setny tego wieczoru na mapę, jakby intensywność jego wzroku mogła wymusić pojawienie się na niej żądanych odpowiedzi. Jaki był schemat? Bo przecież musiał być jakiś. Tak brzmiała pierwsza zasada postępowania policyjnego.

Nie obchodziło go, co mówił na ten temat Horlocker; instynkt podpowiadał mu, że te morderstwa nie były dziełem jednego zabójcy. Zresztą nie tylko instynkt; ofiar było zbyt wiele, a *modus operandi*, choć zbliżony, nie był we wszystkich przypadkach identyczny. Niektóre z ciał zostały zdekapitowane, inne miały zmiażdżone czaszki, jeszcze inne brutalnie zmasakrowano. Może w grę wchodziła sekta jakichś popaprańców.

Niezależnie od tego, jaki będzie wynik śledztwa, terminy, którymi groził Horlocker, stanowiły czasochłonne opóźnienia działań operacyjnych. W tej sytuacji najbardziej wskazane było metodyczne, inteligentne śledztwo policyjne.

D'Agosta roześmiał się w duchu. Chryste, coraz bardziej przypominam Pendergasta.

Zza zamkniętych drzwi składziku przylegającego do jego gabinetu dobiegło nagle dziwne szuranie. Hayward weszła tam przed kilkoma minutami, aby zaparzyć sobie kawę. D'Agosta wpatrywał się przez chwilę w drzwi, ale hałasy nie ustawały. Wreszcie wstał, podszedł do nich, przekręcił klamkę i wszedł do środka. Hayward stała pośrodku pomieszczenia w dziwacznej, zwierzęcej postawie, z lewą ręką wyciągniętą sztywno do przodu i prawą uniesioną za głowę. Jej dłonie były naprężone i lekko zakrzywione, zgięte kciuki zaś skierowane ku górze.

Porucznik patrzył, jak policjantka wykonała swym drobnym ciałem zgrabny obrót o dziewięćdziesiąt stopni i, po zadaniu kilku bezgłośnych ciosów, zmieniła ułożenie rąk. Jej ruchy przypominały niebezpieczny balet.

Towarzyszyły im szybkie wydechy, podobne do tych, które wykonywała podczas konfrontacji w tunelach. Gdy tak się przyglądał, znowu się odwróciła, tym razem stając twarzą do niego i powolnym, odprężającym ruchem opuściła ręce przed siebie.

– Chce pan czegoś, poruczniku? – zapytała.

– Jedynie wyjaśnienia, co tu, u licha, wyprawiasz – odrzekł oschle.

Hayward wyprostowała się, wykonała kilka głębokich oddechów i spojrzała na niego.

– To jedna z form kata heian.

– Że co, proszę?

– Ćwiczeń formalnych karate shotokan – wyjaśniła. I odszukała jego wzrok. – Pomaga mi się odprężyć i utrzymać formę – dodała. – Poza tym mam teraz przerwę, poruczniku.

– Kontynuuj. – D’Agosta odwrócił się do drzwi i nagle przystanął, oglądając się przez ramię. – Jaki masz pas?

Patrzyła na niego przez chwilę.

– Biały – odrzekła w końcu.

– Rozumiem.

Hayward uśmiechnęła się lekko.

– Shotokan to odmiana tradycyjnego karate, wywodzącego się z Japonii. Nie przywiązuje się w niej zbyt wagi do pasów. Nie ma tu całej palety barw. Jest sześć stopni białego pasa, trzy brązowego i czarny.

D’Agosta skinął głową.

– Wobec tego jakiego stopnia pas nosisz? – spytał z zaciekawieniem.

– W przyszłym miesiącu mam egzamin na brązowy pas sankyu.

D’Agosta usłyszał szcęk klamki w drzwiach do swego biura. Zamykając za sobą drzwi, ujrzał w progu korpulentną sylwetkę kapitana Waxiego. Komendant bez słowa podszedł do korkowej tablicy. Z przejęciem zlustrował widniejącą na mapie mozaikę białych i czerwonych pinasek, splatając dłonie za plecami.

– Jest w tym pewien schemat – oznajmił po chwili.

– Doprawdy? – zapytał D’Agosta, usiłując zachować obojętny ton.

Waxie energicznie pokiwał głową, nie odwracając się do niego.

D’Agosta milczał. Wiedział, że do końca życia będzie żałował, iż komendanta włączono do śledztwa.

– Zaczyna się tutaj. – Waxie z plaśnięciem przytknął palec do zielonego punktu na mapie.

D’Agosta zauważył, że komendant wskazał odludzie, najdzikszy obszar Central Parku.

– Skąd ta pewność?

– To proste – odrzekł Waxie. – Szef rozmawiał ze specjalistą od ubezpieczeń z naszego wydziału. Tamten obejrzał rozmieszczenie miejsc zbrodni, wykonał analizę liniową i stwierdził, że linie rozchodzą się z tego właśnie punktu. Kluczem było zabójstwo w zamku

Belvedere. – Odwrócił się. – Na odludziu są tylko kamienie, jaskinie i gęste zagajniki. Sporo tam również bezdomnych. To idealna kryjówka. Tam znajdziemy zabójcę.

Tym razem D'Agosta nie potrafił ukryć malującego się na jego twarzy niedowierzania.

– Chwileczkę. Wyjaśnijmy sobie coś. Jakiś pseudospec od ubezpieczeń, goguś w garniturku, dał ci tę wskazówkę? A nie próbował wcisnąć ci polisy po atrakcyjnej cenie?

Waxie zmarszczył brwi, jego obwisłe policzki nabiegły szkarłatem.

– Nie podoba mi się twój ton, Vinnie. Nie podobał mi się podczas odprawy dziś po południu i nie podoba mi się teraz.

– Posłuchaj, Jack – rzekł D'Agosta, usiłując zachować spokój. – Co znawca ubezpieczeniowy, nawet policyjny znawca, może wiedzieć o wzorcach zbrodni? To nie wystarczy. Trzeba brać pod uwagę wszystkie czynniki, a poza tym akurat zabójstwo w zamku Belvedere najmniej pasuje do wzorca.

D'Agosta zamilkł. Miał dość. Poddał się. Tłumaczenie czegokolwiek Waxiemu miało się z celem. Horlocker był jednym z tych szefów policji, którzy uwielbiali specjalistów, ekspertów i konsultantów. A Waxie należał do wazeliniarzy, którzy...

– Będę potrzebował tej mapy – rzekł Waxie.

D'Agosta wpatrywał się w szerokie plecy tamtego. I nagle w jego umyśle zapaliła się lampka. Wiedział już, o co w tym wszystkim chodziło. Wstał.

– Proszę bardzo – stwierdził. – Akta związane ze sprawą są w tych szafkach, tutaj, a sierżant Hayward dysponuje wieloma istotnymi...

– Ona nie będzie mi potrzebna – odparł Waxie. – Wezmę jedynie akta i mapę. Prześlij je do mojego biura jutro rano, o ósmej. Pokój 2403. Przenoszą mnie tu na stałe. – Powoli odwrócił się na pięcie i spojrzał na D'Agostę. – Wybacz, Vinnie. Tak się ułożyło. To chyba chemia. Ja i Horlocker. Potrzeba mu kogoś, komu mógłby ufać. Kogoś, kto potrafiłby zablokować przeciek informacji do prasy. Zrozum, to nic osobistego. Nadal będziesz brać udział w śledztwie, w ten czy inny sposób. Obstawimy odludzie naszymi ludźmi i prędzej czy później dopadniemy tego typu.

– Jasne – mruknął D'Agosta.

Upomniał sam siebie w duchu, że to była sprawa nie do wygrania i że od samego początku tego nie chciał. Bezskutecznie.

Waxie wyciągnął rękę.

– Bez urazy, co, Vinnie?

D'Agosta uściśnął tłuste, ciepłe łapsko.

– Absolutnie, Jack – odparł beznamiętnie. Miał wrażenie, jakby te słowa padły z ust kogoś innego.

Waxie raz jeszcze rozejrzał się po gabinecie, jakby wypatrywał innych przedmiotów wartych zawłaszczenia.

– Cóż, muszę już lecieć – odezwał się w końcu. – Chciałem powiedzieć ci to osobiście.



– Dzięki.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, milcząc, a napięcie między nimi rosło. Wreszcie Waxie niezdarnie poklepał D'Agostę po ramieniu i wyszedł z gabinetu.

Rozległ się cichy szmer, gdy Hayward wyslizgnęła się ze składziku i stanęła tuż przy nim. Stali w milczeniu, wsłuchując się w odgłos oddalających się kroków w wyłożonym grubym linoleum korytarzu, aż ucichł zupełnie, rozplývając się wśród cichego buczenia maszyn do pisania i gwaru rozmów.

Hayward odwróciła się do D'Agosty.

– Poruczniku, jak pan mógł puścić mu to płazem? – zapytała rozgoryczona. – Przecież wtedy, w tunelach, gdy próbowano nas osaczyć, ten skurwiel po prostu zwiął.

D'Agosta ponownie usiadł i wysunął górną szufladę, gmerając w niej przez chwilę w poszukiwaniu cygara.

– Szacunek wobec położonych nie jest pani mocną stroną, pani sierżant, prawda? – zapytał z przekąsem. – A poza tym skąd ma pani pewność, że to nagroda?

Odnalazł cygaro, ołówkiem zrobił w jednym jego końcu nieduży otwór i zapalił.

Dwie godziny później, kiedy D'Agosta kończył przygotowania do przeniesienia akt sprawy na górę, do jego gabinetu wpadł jak burza Pendergast. Wyglądał tak, jak zapamiętał go porucznik: miał na sobie nieskazitelny czarny garnitur, który podkreślał szczupłość jego figury, jasne włosy miał szesane do tyłu, odsłaniając wysokie czoło, na nogach drogie, robione na miarę buty z wołowej skóry. Jak zawsze przypominał raczej przedsiębiorcę pogrzebowego niż agenta FBI.

Pendergast ruchem głowy wskazał fotel dla gości.

– Mogę?

D'Agosta odłożył słuchawkę i potaknął. Pendergast z kocią zwinnością i gracją usadowił się w fotelu. Rozejrzał się dokoła, taksując wzrokiem popakowane w puda teczki z aktami i gołą ścianę w miejscu, gdzie wisiała mapa.

Odwrócił się do D'Agosty, unosząc brwi w pytająco.

– To teraz zmartwienie Waxiego. – D'Agosta odpowiedział na nie zadane pytanie. – Ja zostałem odsunięty na boczny tor. Będę współpracował przy śledztwie, ale w nieco innym niż dotąd charakterze.

– Rozumiem – przytaknął Pendergast. – Poruczniku, nie wydaje się pan zbyt skonsternowany obecnym biegiem wydarzeń.

– Skonsternowany? – rzucił D'Agosta. – Rozejrzyj się wokoło raz jeszcze. Tablice z mapą zniknęły, akta są spakowane, Hayward jest już w łóżku, kawa świeżo zaparzona, cygaro zapalone. Czuję się wyśmienicie.

– Szczerze wątpię. Mimo to dziś w nocy z pewnością będziesz spać lepiej aniżeli dziedzic Waxie. Koronowane głowy nie mają lekkiego snu, i tak dalej. – Spojrzał na D’Agostę z rozbawieniem. – Ale co teraz będziesz robił?

– Jak już mówiłem, nadal będę pracować nad tą sprawą – odparł D’Agosta. – Co do zakresu kompetencji, leży ono w gestii Waxiego.

– Pewnie sam nie wie, co właściwie powinien ci zlecić. – Pendergast zamilkł, a D’Agosta rozparł się wygodnie w fotelu, delektując się cygarem i ciszą, która zapanowała w gabinecie. – Byłem kiedyś we Florencji – odezwał się w końcu Pendergast.

– Doprawdy? Ja też byłem raz we Włoszech. Zabrałem tam zeszłej jesieni mego syna, aby zobaczył się ze swoją prababką.

Pendergast skinął głową.

– Byłeś w Pałacu Pizzi?

– Pizzi?

– To muzeum sztuki. Doprawdy wspaniale, powiadam ci. Na jednej ze ścian jest tam fresk przedstawiający starą średniowieczną mapę, powstały w roku, w którym Kolumb odkrył Amerykę.

– Bez kitu.

– W miejscu, gdzie później odkryty zostanie kontynent amerykański, mapa jest pusta, widnieją tam jedynie słowa: CUI CI SONO DEI MOSTRI.

D’Agosta się skrzywił.

– Tu żyją... MOSTRI? Co znaczy to ostatnie słowo?

– Cała sentencja brzmi następująco: Tu żyją potwory.

– Potwory. Tak. Jezu. Całkiem już zapomniałem włoskiego. Po włosku rozmawiałem tylko z moimi dziadkami.

Pendergast skinął głową.

– Mam do ciebie jedno pytanie; ciekawe, czy znasz odpowiedź.

– Wal.

– Jaki jest największy zamieszany obszar, który pozostaje po dziś dzień nie opisany na mapach?

– Bo ja wiem? – D’Agosta wzruszył ramionami. – Milwaukee?

Pendergast uśmiechnął się słabo.

– Nie. I nie jest to również Mongolia. Ani antypody. To podziemia Nowego Jorku.

– Wciskasz mi kit, prawda?

– Nie „wciskam ci kitu”, jak to barwnie określiłeś. – Pendergast poruszył się na fotelu. – Vincencie, podziemia Nowego Jorku przypomniały mi tamtą mapę z Pałacu Pizzi. To doprawdy olbrzymie i nie zbadane terytorium. Nie wyobrażasz sobie nawet jego rozmiarów. Na przykład pod stacją Grand Central znajdują się kondygnacje sięgające na głębokość

dwunastu pięter pod ziemię, nie licząc kanałów ściekowych i odpływów burzowych. Podziemia pod Penn Station sięgają jeszcze niżej.

– Zatem byłeś tam, na dole – mruknął D'Agosta.

– Tak. Po spotkaniu z tobą i sierżant Hayward. Była to nader pouczająca wyprawa. Wiele się dowiedziałem. Chciałem rozeznac się w otoczeniu, sprawdzić, na ile swobodnie mogę się tam poruszać i gromadzić informacje. Udało mi się porozmawiać z kilkoma mieszkańcami podziemi. Sporo mi powiedzieli i jeszcze więcej zasugerowali.

D'Agosta wyprostował się w fotelu.

– Dowiedziałeś się czegoś na temat morderstw?

Pendergast pokiwał głową.

– Nie bezpośrednio. Niemniej jednak ci, którzy wiedzą więcej, żyją znacznie głębiej, aniżeli odważyłem się zejść podczas mojej pierwszej wyprawy do tuneli. Zaskarwienie sobie ich zaufania to trudny i czasochłonny proces, sporo jeszcze przede mną. Zwłaszcza teraz. Bo widzisz, bezdomni są śmiertelnie przerażeni. – Pendergast spojrzał bladymi oczyma na D'Agostę. – Z tego, co zdołałem wywnioskować na podstawie kilku krótkich rozmów, i z tego, co podsłuchałem, wynika, że w podziemiach zagnieździła się tajemnicza grupa ludzi. Plotki głoszą, że to wcale nie są ludzie. Mówi się, że to dzikie istoty, kanibale, na znacznie niższym od ludzkiego poziomie rozwoju. To właśnie te istoty obwinia się o popełnione w ostatnim okresie zabójstwa.

Nastąpiła krótka cisza. D'Agosta wstał i podszedł do okna, lustrując wzrokiem panoramę Manhattanu pogążonego w nocy.

– Wierzysz w to? – zapytał w końcu.

– Nie wiem – odrzekł Pendergast. – Muszę porozmawiać z Mephistem, przywódcą społeczności zamieszkującej pod Columbus Circle. Większość informacji, które przekazał i które zamieszczono ostatnio w „Post”, okazała się niepokojąco prawdziwa. Niestety, z człowiekiem tym raczej trudno się skontaktować. Nie ufa przybyszom z zewnątrz i z całego serca nie cierpi przedstawicieli prawa. Mimo to czuję, że właśnie on może doprowadzić mnie tam, dokąd zmierzam.

Usta D'Agosty drgnęły leciutko.

– Potrzebujesz partnera? – zapytał.

Pendergast uśmiechnął się półgębkiem.

– To wyjątkowo niebezpieczne miejsce, gdzie nie obowiązują żadne tutejsze prawa. Ale rozważę twoją propozycję. Może być?

D'Agosta skinął głową.

– Świetnie. A teraz sugeruję, abys poszedł do domu i trochę się przespał. – Pendergast wstał. – Nasz przyjaciel Waxie, choć nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, będzie potrzebował wszelkiej możliwej pomocy.

Simon Brambell zamknął teczkę, nucąc pod nosem *Macushla*. Rozejrzał się z lubością po laboratorium; rzędy stalowych i niklowanych instrumentów umieszczone za szkłem delikatnie błyszcząły w słabym świetle.

Był z siebie ogromnie zadowolony. Ponownie odtwarzał w myślach chwilę swego małego zwycięstwa, a zwłaszcza widok beznamietnego oblicza Frocka podczas swej przemowy. Choć tamten wydawał się niewzruszony, bez wątplenia w jego wnętrzu aż wrzało. To w pełni zrekompensowało mu drwiący uśmieszek na ustach Frocka, wywołany obliczeniami nacisku ukąszeń. Choć Brambell pracował dla władz miejskich, miał naturę egoistycznego, zadufanego w sobie naukowca.

Wcisnął miękką skórzaną teczkę pod pachę i raz jeszcze zlustrował wnętrze laboratorium. Było naprawdę wspaniałe, doskonale zaprojektowane i świetnie wyposażone. Chciałby móc dysponować podobnym przy biurze miejskiego koronera. Wiedział jednak, że nie ma na co liczyć. Gdyby praca patologa tak bardzo go nie fascynowała, już dawno przeniósłby się do jakiegoś dobrze wyposażonego instytutu naukowego.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, jak zawsze zdziwiony, że na korytarzu nie było żywego ducha. Nigdy jeszcze nie spotkał ludzi tak niechętnych do pracy po godzinach, jak personel tego muzeum. Mimo to nie miał nic przeciwko odrobinie ciszy. Była cudowna i przyjemna, całkiem inna, podobnie jak woń kurzu i starego drewna różniły się od przepełniających biuro koronera odoru rozkładu i dławiącego zapachu formaliny.

Jak zawsze, tak i tego wieczoru postanowił wyjść z Muzeum dłuższą drogą, przez salę afrykańską. Dioramy, które się w niej znajdowały, uważał za prawdziwe dzieła sztuki. Na dodatek o tak późnej porze przy wygaszonych światłach prezentowały się szczególnie ciekawie; każda z ekspozycji, podświetlona od wewnątrz, przypominała okno do innego świata.

Przeszedł przez długi korytarz i, jako że miał awersję do wind, pieszo pokonał trzy kondygnacje. Mijając metalowe łukowe przejście, znalazł się w sali oceanicznej. Włączone tu było tylko nocne oświetlenie, cała sala wyglądała ponuro i groźnie, panowała w niej kompletna cisza, jeśli nie liczyć cichych skrzypnięć, trzasków i zgrzytów wiecznie obecnych w murach tego starego gmazyska.

Cudownie, pomyślał. Właśnie tak należałoby oglądać to muzeum, bez hord rozwrzeszczanych bachorów i ich zrządzających nauczycielek.

Przeszedł pod repliką wielkiej kałamarnicy, bramą z krzyżujących się słoniowych ciosów i znalazł się w sali afrykańskiej.

Północ. Powoli przemaszerował przez salę; stojące pośrodku niej stado słoni z wolna wyłoniło się z mroku, wzdłuż ścian po obu stronach znajdowały się ekspozycje przedstawiające faunę Afryki w jej naturalnym środowisku. Najbardziej lubił goryle.

Przystanął przed dioramą i wydał wargi, wczuwając się w oglądaną scenę. Była tak realistyczna, że aż miło było popatrzeć.

Niedługo przyjdzie mu pożegnać się z tym miejscem, jego praca dobiegała końca. Jeżeli miał rację, okaże się, że Shasheen Walker i ten nieszczęsny Bitterman pasują do określonego przez nich schematu.

Z westchnieniem przeszedł przez niskie wejście i kamiennym korytarzem udał się w stronę wieży. Znał historię słynnej wieży: słyszał o tym, jak w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym Endurance S. Flyte, potentat kolejowy i trzeci dyrektor MHN, polecił wzniesienie przy oryginalnym gmachu muzeum, budowli przypominającej fortecę. Była ona wzorowana na walijskim zamku Caernarvon, który Flyte, choć bez powodzenia, starał się nabyć na własność. Rozsądek zatriumfował w końcu nad pragnieniami i Flyte został usunięty ze stanowiska, a z projektu fortecy ukończono zaledwie jedną środkową wieżę. Stanowiąca kamień węgielny południowo-zachodniej fasady budowli sześcioboczna wieża pełniła obecnie funkcję magazynu, gdzie składowano sporą część niezliczonych muzealnych zbiorów. Było to także, o czym wiedział Brambell, ulubione miejsce spotkań lubujących się w makabrze członków muzealnego personelu.

Ogromna niczym wewnątrz katedry sala u podstawy wieży była pusta; kroki Brambella rozbrzmiewały głuchym echem, gdy przechodził po marmurowej posadzce w kierunku wyjścia dla pracowników. Skinąwszy głową do strażnika, wyszedł w parną noc i znalazł się na rozległym podjeździe. Była północ, ale na ulicy opodal wciąż panował spory ruch, kursowały autobusy i taksówki.

Przeszedł kilka kroków i obejrzał się za siebie z podziwem. Niezależnie od tego, ile razy na nią patrzył, oglądanie wieży nigdy mu się nie znudziło. Wysoka na kilkaset stóp i zakończona zębataymi krenelami, rzuciła czarny cień, sięgający w bezchmurne dni Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Dzisiejszej nocy w słabym blasku księżyca wyglądała na złowrogą i nawiedzoną.

Wreszcie, głośno westchnąwszy, Brambell ruszył dalej, skręcił w Osiemdziesiątą Pierwszą i znów nucąc pod nosem, skierował się na zachód w stronę Hudsonu i swego skromnego mieszkania. Im dalej szedł, tym ulica stawała się coraz bardziej zaniedbana, odpychająca i było na niej coraz mniej przechodniów. Brambell nie zwracał na to uwagi, szedł szybko, chłonąc rześkie powietrze. Wiał lekki, chłodnawy wietrzyk, idealny w taką letnią noc jak ta. Skromna kolacja, szybki prysznic, mycie zębów i za godzinę znajdzie się w łóżku. Jak zwykle wstanie około piątej nad ranem. Miał szczęście, że należał do grupki tych nielicznych, którzy prawie nie potrzebowali snu. Było to wielkim plusem dla każdego patologa, a co dopiero takiego, który chciał osiągnąć w swoim fachu jak najwięcej. Brambell nie pamiętał, ile już razy zdarzyło mu się być pierwszym na miejscu jakiejś ważnej zbrodni tylko dlatego, że gdy wszyscy inni jeszcze smacznie spali, on był już na nogach.

Okolica wydawała się mocno podejrzana i nieprzyjazna, ale zaledwie przecznicej stąd był Broadway z całą masą sklepików, księgarń i butików.

Brambell maszerował wzdłuż rzędu kamienic czynszowych podzielonych teraz na kawalerki i małe mieszkanie. Opośd przy rogu ulicy stało kilku niegroźnych pijaczków.

Gdy dotarł do połowy przecznicy, kątem oka dostrzegł jakiś ruch: coś przesunęło się w mrocznej czeluści wejścia do piwnicy opuszczonego budynku.

Przyspieszył kroku. Z ciemnego otworu wejściowego buchnął odrażający fetor, drażniący, nawet jak na nowojorskie warunki. Kiedy usłyszał za sobą szelest szybkich kroków na chodniku, odruchowo sięgnął do teczki po skalpel, który zawsze nosił przy sobie. Zaciśnął usta, a jego palce zamknęły się na zimnej, ergonomicznej rękojeści. Nie czuł się zagrożony: raz mierzono do niego z pistoletu i dwukrotnie grożono nożem. Od tego czasu nauczył się radzić sobie w podobnych sytuacjach. Wydobyl skalpel z teczki i obrócił się na pięcie, ale nikogo za nim nie było. Przez chwilę rozglądał się wokoło ze zdziwieniem, gdy nagle czyjeś ramię oplótkło jego szyję i wciągnęło go w mrok. Przez mgnienie oka zastanawiał się, czy to, co go pochwyciło, rzeczywiście było ludzką ręką; musiało chyba nią być, choć wydawała się dziwnie śliska i bardzo silna. Zaraz potem poczuł dziwne szarpnięcie i wilgoć, tuż poniżej jabłka Adama. Tak, to było doprawdy osobliwe i niesamowite doznanie.

## 22

Margo otworzyła kluczem drzwi do laboratorium antropologii i z zadowoleniem stwierdziła, iż w środku nie pali się światło i nie ma nikogo. Pierwszy raz udało się jej przyjść do pracy przed doktorem Brambellem. Zazwyczaj, kiedy się zjawiała, on siedział już na laboratoryjnym stołku, popijając kawę, i na pozdrowienie marszczył do niej brwi sponad kubka. Następnie dywagował, że tutejsza kawa musi być parzona na odzyskiwanej formalinie wypożyczonej z wydziału preparacji zwierząt. Niekiedy wyprzedzał ją również Frock, a wówczas dwaj naukowcy nachylali się nad stołem lub jakimś raportem i jak zwykle toczyli zażarty merytoryczny spór.

Włożyła torebkę do szuflady i przebrała się, podchodząc do okna. Nad budynkami przy Piętej Alei ukazało się słońce, zanurzając ich frontony w odcieniach złota i brązu. Poniżej do życia budził się park; matki szły z dziećmi do zoo, biegacze truchtali dokoła zbiornika wodnego, zwanego powszechnie Rezerwuarem. Skierowała wzrok na południe, zatrzymując go na fioletowym masywie zamku Belvedere. Margo wzdrygnęła się nieznacznie, zerkając na mroczny, lesisty obszar za wieżycą, gdzie w brutalny sposób został zamordowany Nicholas Bitterman. Wiedziała, że jego bezgłowe zwłoki zostaną dostarczone do laboratorium jeszcze tego ranka.

Drzwi otworzyły się i do środka wjechał doktor Frock; w panującym w laboratorium półmroku jego sylwetka wydawała się olbrzymia. Gdy podjechał do światła, Margo odwróciła się, by go przywitać. Widok zasmuconej twarzy starszka odebrał jej mowę.

– Doktorze Frock – odezwała się po chwili. – Dobrze się pan czuje?

Zbliżył się do niej powoli, jego zwykle rumiane oblicze było blade i wykrzywione smutnym grymasem.

– Mam złe wieści – oznajmił półgłosem. – Zatelefonowano do mnie dziś tuż przed świtem. Ubiegłej nocy Simon Brambell został zamordowany w drodze z muzeum do domu.

Margo zmarszczyła brwi, wstrzymując oddech.

– Simon Brambell? – powtórzyła, nie przyjmując tego do wiadomości.

Frock podtoczył się jeszcze bliżej i ujął ją za rękę.

– Przykro mi, że to właśnie ja przynoszę ci tę wiadomość, moja droga – oznajmił. – Wszystko stało się tak nagle, to okropne...

– Jak to się stało? – spytała Margo.

– Najwyraźniej został zaatakowany przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy – odparł Frock. – Poderżnięto mu gardło. A poza tym... – Frock rozłożył ręce, które, jak zauważyła Margo, silnie dygotały.

To wszystko wydawało się takie nierzeczywiste, jak sen. Nie mogła uwierzyć, że człowiek, który zaledwie wczoraj po południu stał przed wielkim ekranem, manipulując zdalnym wskaźnikiem jak mieczem samurajskim, nie żyje.

Frock westchnął.

– Może o tym nie wiesz, Margo, ale Simon i ja nie zawsze byliśmy zgodni. Wyznawaliśmy różne teorie, zgodne ze swoimi zapatrywaniami zawodowymi. Mimo to zawsze żywiłem wobec niego ogromny szacunek. To wielka strata dla biura koronera miejskiego. A także dla naszej pracy, zwłaszcza w tak kluczowej chwili.

– Nasza praca – powtórzyła beznamiętnie Margo. Przerwała. – Ale kto to zrobił?

– Nie było żadnych świadków.

Przez chwilę trwali w bezruchu. Frock trzymał jej dłoń w swoich dłoniach, dotyk był ciepły, kojący, uspokajający. Nagle profesor odtoczył się na wózku o kilka stóp.

– Nie wiem, czy biuro koronera przyśle nam zastępstwo, a jeżeli tak, to kogo – stwierdził.

– Mimo to sądzę, że Simon chciałby, abyśmy kontynuowali pracę w duchu zapoczątkowanym przez niego. – Podjechał do przeciwległej ściany, włączając reflektory, których blask zalał środek pomieszczenia. – Zawsze uważałem, że praca to najlepsze antidotum na smutek. – Milczał przez długą chwilę. – Czy zechciałabyś wyjąć z lodówki ciało A? Mam pewną teorię dotyczącą anomalii genetycznej, która mogła spowodować jego deformację. A może chcesz zrobić sobie dziś wolne? – Uniósł brwi.

– Nie – odrzekła Margo, kręcąc głową. Frock miał rację. Brambell życzyłoby sobie, aby kontynuowali. Wstała powoli, przeszła przez pomieszczenie, uklękła, otworzyła drzwiczki

szuflady i wysunęła ze środka zaopatrzoną w rolki tacę. Nie zidentyfikowane ciało leżące pod niebieskim nakryciem wyglądało teraz jak kilka bezkształtnych, nie połączonych ze sobą brył. Przełożyła tacę na wózek i podtoczyła na środek laboratorium.

Frock ostrożnie zdjął prześcieradło i rozpoczął czasochłonne pomiary wyrostków kostnych zdeformowanego szkieletu z użyciem elektronicznej suwmiarki. Margo, która wciąż czuła się dziwnie nieswojo, powróciła do ponownego przeglądania wyników rezonansu magnetycznego. W laboratorium zapanowała cisza.

– Wiesz może, do jakich wniosków doszedł wczoraj Simon? – odezwał się w końcu Frock.

– Słucham? – rzuciła Margo, unosząc wzrok. – Przepraszam. Ee. Nie, nie wiem. Nie rozmawiał ze mną na ten temat. Też mnie to zdziwiło.

– Szkoda – mruknął Frock. – O ile mi wiadomo, nie pozostawił żadnych notatek. – Ponownie zamilkł na pewien czas. – To dla nas poważny cios, Margo. Spory krok wstecz w naszych badaniach. Być może nigdy nie dowiemy się, co zdołał odkryć.

– Nikt nie planuje, że nazajutrz może umrzeć.

Frock pokręcił głową.

– Simon był taki sam jak większość znanych mi patologów. Ciekawe, zagadkowe sprawy, jak ta, należą do rzadkości, a gdy już jakaś się trafi... rzadko kiedy są w stanie oprzeć się pokusie nadania jej odpowiednio dramatycznej oprawy. – Wtem profesor spojrział na zegarek. – O rety. Na śmierć zapomniałem, że mam umówione spotkanie na osteologii. Zastanawiałem się, czy zechciałabyś rzucić to, czym się obecnie zajmujesz, i zastąpić mnie przez pewien czas. Może to przez dzisiejszą tragiczną wiadomość, a może zbyt długo gapię się na te kości, niemniej jednak, uważam, że przydałoby się spojrzeć na naszą zagadkową sprawę świeżym okiem.

– Oczywiście – rzekła Margo. – A czego właściwie pan szuka?

– Żebym to ja wiedział. Jestem prawie pewien, że ta osoba cierpiała na jakieś dziedziczne schorzenie. Chcę określić ilościowo zakres zmian genetycznych i ustalić, czy miał miejsce dryf genetyczny. Niestety, oznacza to konieczność dokonania pomiarów prawie wszystkich kości szkieletu. Pomyślałem, że zacznę od nadgarstka i kości palców, gdyż, jak wiesz, są one najbardziej podatne na zmiany genetyczne.

Margo spojrzała na stół sekcyjny.

– To może potrwać wiele dni – uznała.

Frock z rozdrażnieniem wzruszył ramionami.

– Zdaję sobie z tego sprawę, moja droga. – Ścisnął mocno obręcz wózka i silnym pchnięciem skierował się ku drzwiom.

Margo ze znużeniem zaczęła mierzyć elektroniczną suwmiarką poszczególne kości ciała i wpisywać kolejne dane do komputera. Nawet najmniejsze kości wymagały tuzina pomiarów i wkrótce na ekranie pojawiła się długa kolumna cyfr.



Starła się zachować spokój, choć zajęcie było wyjątkowo nudne i zmudne. Na dodatek w laboratorium panowała grobowa cisza. Jeśli Frock miał rację i deformacje były wynikiem wad wrodzonych, w znacznym stopniu zawęziłoby to zakres poszukiwań w celu identyfikacji zwłok. Na tym etapie badań każdy trop mógł się okazać użyteczny; szkielety z laboratorium antropofizyki nie dostarczyły im żadnych wskazówek. Podczas pracy zastanawiała się, o czym mógłby teraz myśleć doktor Brambell. Sęk w tym, że samo jego wspomnienie wywoływało dojmujący smutek i ból. Pomyśleć tylko, że ten człowiek został napadnięty i brutalnie zamordowany... Pokręciła głową, usiłując skoncentrować się na czymś innym.

Nagle sygnał telefonu przerwał jej kolejny wyjątkowo złożony pomiar. Telefon zadzwonił ponownie, dwa przeciągłe sygnały, a Margo zorientowała się, że dzwoniło z miasta. Zapewne D'Agosta w sprawie doktora Brambella.

Podniosła słuchawkę.

– Laboratorium.

– Zastałem doktora Brambella? – rozległ się oschły, młodo brzmiący głos.

– Doktora Brambella? – Margo nie mogła pozbierać myśli. A jeśli to jakiś jego krewny?

Co miała powiedzieć?

– Halo? – dobiegło po chwili.

– Tak, tak – rzekła Margo. – Doktora Brambella nie ma. W czym mogę pomóc?

– Właściwie to nie wiem. To poufna sprawa. Czy mogę spytać, jak pani godność?

– Nazywam się Green. Doktor Green – odparła Margo. – Jestem jego asystentką.

– Aha. No dobrze. Wobec tego w porządku, powiem pani. Jestem doktor Cavalieri z St. Luke w Baltimore. Zidentyfikowałem pacjenta, którego poszukiwał.

– Pacjenta?

– Tak, tego cierpiącego na spondylolistezę. – Margo usłyszała dochodzący z drugiego końca łącza szelest przewracanych kartek. – Chodzi o te okropne klisze rentgenowskie, które mi przysłaliście. Z początku myślałem, że to jakiś żart. Omal tego nie przeoczyłem.

Margo sięgnęła po kartkę i ołówek.

– Proszę zacząć od początku.

– Dobrze. Jestem chirurgiem ortopedą, prowadzącym praktykę w Baltimore. Jest nas tu tylko trzech, którzy zajmują się chirurgią korekcyjną pacjentów cierpiących na spondylolistezę. Naturalnie, doktor Brambell wiedział o tym.

– Co to za schorzenie?

Cisza.

– Nie jest pani lekarzem? – zapytał z dezaprobatą w głosie doktor Cavalieri.

Margo wzięła głęboki oddech.

– Doktorze Cavalieri, no dobrze, powiem panu... doktor Brambell... zmarł wczoraj wieczorem. Jestem biologiem ewolucyjnym i pomagałam mu przy badaniach nad kilkoma

ofiarami zabójstw. Jako że doktora Brambella już nie ma, będzie pan musiał opowiedzieć mi wszystko od samego początku.

– Zmarł? Jak to się stało? Jeszcze wczoraj z nim rozmawiałem!

– To się stało nagle – ucięła Margo. Nie chciała wdawać się w szczegóły.

– Ale... to okropne. Doktor Brambell był znany w całych Stanach, że o Wielkiej Brytanii nie wspomnę...

Głos ucichł. Margo ze słuchawką przy uchu przypomniała sobie ostatni raz, kiedy widziała koronera, przed salą Linneusza, uśmiechającego się chytrze; w jego oczach ukrytych za szklami okularów w rogowych oprawkach migotały zabójcze błyski.

Z zadumy wyrwało ją westchnienie na drugim końcu łącza.

– Spondylolisteza to schorzenie polegające na uszkodzeniu i wypadnięciu jednego z kręgów lędźwiowych. Korygujemy je, mocując do kręgosłupa za pomocą specjalnych śrub metalową płytkę. Dokręcając śruby, przesuwamy płytkę, która umieszcza obluzowany dysk we właściwym miejscu.

– Nie widzę związku... – zaczęła Margo.

– Pamięta pani te cztery białe trójkąty na kliszy nadesłanej do mnie przez Brambella? To otuliny śrub. Ten człowiek miał operację na spondylolistezę. Niewielu chirurgów specjalizuje się w tych zabiegach, zatem nietrudno zidentyfikować ich autora.

– Rozumiem – rzekła Margo.

– Wiem, że ta klisza należy do mojego pacjenta, mam pewność z jednego, konkretnego powodu – ciągnął Cavalieri. – Nie ulega wątpliwości, że śruby użyte przy zabiegu zostały wykonane przez Steel-Med Products z Minneapolis. Dokonałem około trzech tuzinów operacji z użyciem tychże śrub. Opracowałem własną, specjalną technikę, polegającą na umiejscowieniu śrub za wyrostkiem poprzecznym drugiego kręgu. Muszę się pochwalić, że jest to doprawdy genialna technika. Może pani przeczytać o niej w jesiennym numerze „Journal of American Orthopedics” z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, gdyby to panią zainteresowało. Dzięki tak przeprowadzonemu zabiegowi mocowanie jest silniejsze, a nie wymaga gruntowniejszego łączenia kości. Nikt inny nie przeprowadził podobnych operacji, z wyjątkiem mnie i dwóch rezydentów, których osobiście przeszkoliłem. Naturalnie, ta technika wyszła już z użycia, odkąd opracowano zabieg Steinmanna. Tak czy owak, byłem jedynym chirurgiem, który przeprowadził takie właśnie operacje.

Margo wychwyciła nutę dumy w głosie lekarza.

– Jest tu jednak pewna zagadka: żaden znany mi chirurg nie przeprowadził operacji usunięcia płytki korekcyjnej u pacjenta cierpiącego na tę odmianę spondylolistezy. Tego po prostu nie da się zrobić. A mimo to klisze rentgenowskie nie kłamią, widać na nich wyraźnie, że zarówno płytkę, jak i śruby zostały wyjęte. Bóg jeden wie, dlaczego pozostawiono w ciele otuliny śrub. Naturalnie, nie można ich usunąć, są wkręcane w kości. Tylko dlaczego ten facet usunął sobie płytkę... – Urwał w pół zdania.

Margo gorączkowo sporządzała notatki.

– Proszę mówić dalej.

– Jak już wspomniałem, gdy tylko ujrzałem klisze, zorientowałem się, że mam do czynienia z jednym z moich pacjentów. Jednakże zdumiał mnie stan jego szkieletu. Wszystkie te narośle kostne. Wiedziałem, że nigdy nie podjąłbym się operowania pacjenta w takim stanie.

– Zatem narośle kostne musiały powstać już po operacji?

– Naturalnie. Przejrzałem akta moich pacjentów i opierając się na zdjęciach rentgenowskich, zdołałem ustalić jego tożsamość. Operowałem go rankiem, drugiego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

– Kim był ten pacjent? – zapytała Margo, trzymając ołówek w gotowości. Kątem oka dostrzegła, że Frock wrócił do laboratorium i sunął w jej stronę, nasłuchując z uwagą.

– Mam tu jego dane. – Znow usłyszała szelest papieru. – Oczywiście, niezwłocznie wszystkie je pani przefaksuję, ale nie wątpię, że już teraz chciałaby pani wiedzieć... o, mam. Pacjent nazywał się Gregory S. Kawakita.

Margo poczuła, że krew zastyga w jej żyłach.

– Greg Kawakita? – wychrypiła.

– Tak. Gregory S. Kawakita. Doktor medycyny. To nie ulega wątpliwości. Zabawne, mam tu napisane, że on również zajmował się biologią ewolucyjną. Może go pani znała?

Margo, nie mogąc wykrztusić słowa, odłożyła słuchawkę. Najpierw doktor Brambell, a teraz... spojrzała na Frocka i z niepokojem stwierdziła, że twarz miał szarą jak popiół. Przechylił się w wózku na bok, przyciskając jedną rękę do piersi, oddychał z trudem.

– Gregory Kawakita? – wysapał Frock. – To jest Gregory? Boże Świąty!

Zaczął wolniej oddychać, przymrużył powieki i opuścił głowę. Margo odwróciła się szybko i tłumiąc szloch, podbiegła do okna.

W myślach mimowolnie powróciła do tego upiornego tygodnia sprzed półtora roku, gdy w muzeum zaczęły się morderstwa. A potem do wernisazu wystawy „Przesady”, wielkiej rzezi i ostatecznego zabicia Mbwuna.

Greg Kawakita był asystentem kustosza w muzeum, jej kolegą po fachu i uczniem Frocka. Greg, bardziej niż ktokolwiek inny, dopomógł jej w zidentyfikowaniu i powstrzymaniu potwora. To jego program ekstrapolacji genetycznej dostarczył im niezbędnego klucza, umożliwił wyjaśnienie, czym był Mbwun i w jaki sposób można go uśmiercić. Mimo to koszmar, który się potem rozpełtał, wywarł piętno na nich wszystkich, a zwłaszcza na Kawakicie. Niedługo potem Greg odszedł z muzeum, porzucając błyskotliwie rozwijającą się karierę. Od tej pory nikt już o nim nie słyszał.

Nikt prócz niej. Próbował skontaktować się z nią przed paroma miesiącami, zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce. Twierdził, że musi z nią o czymś pomówić, potrzebował pomocy. A ona nawet nie oddzwoniła.

Teraz już domyśliła się, dlaczego musiał odejść z muzeum: cierpiał na jakąś potworną chorobę, która deformowała jego kości, zmieniając go z wolna w ten pokrzywiony, osobliwy szkielet, który leżał teraz przed nią na wózku.

Był bez wątpienia zażenowany i najprawdopodobniej również przerażony. Może chciał, aby pomogła mu znaleźć sposób na trapiące go schorzenie. Być może pod sam koniec dołączył do bezdomnych w podziemiach Nowego Jorku. A potem ostateczne bluźnierstwo, złowroga kpina, okrutny koniec tak obiecującego życia, gwałtowna śmierć, dekapitacja, ostre zęby ogryzające kości pośród mroku.

Wyrzała przez okno, wzdrygając się, choć słońce grzało dość mocno. Niezależnie od tego, jaki dokładnie był jego koniec, ten człowiek musiał przed śmiercią przechodzić okropne katusze. Może mogłaby mu pomóc, gdyby tylko wiedziała. Ale ona bardzo chciała zapomnieć, zatraciła się w treningach i swojej pracy. I ostatecznie nie zrobiła nic.

– Doktorze Frock? – zawołała.

Usłyszała zgrzyt podjeżdżającego do niej wózka.

– Doktorze Frock... – wyszeptała, ale nie zdołała powiedzieć nic więcej.

Poczuła na swoim łokciu delikatny dotyk. Jego dłoń aż drżała z emocji.

– Pozwól mi chwilę pomyśleć – rzekł Frock. – Tylko przez chwilę, niedługo. Jak to możliwe? Kto by przypuszczał, że ta żalosna zbieranina kości, którą badaliśmy, rozbieraliśmy i kroiliśmy, to Gregory... – Głos uwiązł mu w gardle.

Promień słońca wpadł przez okno, rozświetlając jego dłoń, gdy odsuwał ją od łokcia Margo.

Margo stała w bezruchu, zamknęła oślepienie blaskiem oczy i powoli liczyła oddechy. Wreszcie doszła do siebie na tyle, że mogła odwrócić się od okna. Nie była jednak w stanie podejść do stołu sekcyjnego, nie wiedziała, czy jeszcze zdoła spojrzeć chłodnym okiem na szczątki leżące pod niebieskim prześcieradłem. Odwróciła się do Frocka.

Był tuż za nią, siedział nieruchomo na wózku, oczy miał suche, wzrok nieobecny.

– Zadzwońmy lepiej do D'Agosty – powiedziała.

Frock milczał przez dłuższy czas. Wreszcie z posępną miną, nie mówiąc ani słowa, potakująco kiwnął głową.

## Część druga

### CUI CI SONO DEI MOSTRI

Z oczywistych przyczyn nie istnieje wiarygodny spis ludności żyjącej w podziemiach Manhattanu. Jednakże badania Rushinga-Buntena przeprowadzone w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym wykazały, że tylko na małym obszarze, ograniczonym od południowego zachodu przez Penn Station, a od północnego wschodu przez Grand Central Terminal zamieszkuje dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt osób. Zimą ich liczba wzrasta do czterech i pół tysiąca. Można przypuszczać, że liczba ta jest mocno zaniżona.

Nie istnieją również rejestry narodzin i zgonów w społecznościach zamieszkujących pod Nowym Jorkiem. Niemniej jednak, zważywszy na większą niż gdziekolwiek indziej liczbę narkomanów, przestępców, byłych skazańców, umysłowo chorych i osób nie zrównoważonych psychicznie, przebywających w tym podziemnym świecie, pewne jest, iż środowisko to można uznać za wyjątkowo wrogie i niebezpieczne.

Istnieje wiele powodów skłaniających ludzi do izolacji od społeczeństwa i ucieczki w mrok kolejowych tuneli czy innych podziemnych enklaw: chęć odosobnienia, potrzeba poczucia bezpieczeństwa, silne wyalienowanie. Wedle szacunkowych badań osobie wchodzącej do tego podziemnego świata pozostają przeciętnie dwadzieścia dwa miesiące życia.

L. Hayward, *Kasty i społeczności w podziemiach Manhattanu*  
(w przygotowaniu)

Wzdłuż ciągnącej się aż nad brzeg Hudsonu Sześćdziesiątej Trzeciej Zachodniej wznosiły się dumnie rzędy wytwornych apartamentowców przechodzących bliżej rzeki w prywatne, eleganckie i zadbane kamieniczki. D'Agosta szedł niespiesznym krokiem, ze wzrokiem wbitym w chodnik; czuł się skrępowany i zażenowany. Tuż przed nim maszerował ubrany jak włóczęga i cuchnący Pendergast.

– To ci dopiero sposób na udane popołudnie – burknął D'Agosta.

Choć swędziało go w wielu miejscach, postanowił, że nie będzie się drapać. Oznaczałoby to dotknięcie starego, pełnego tłustych plam trencza, który nosił, brudnej, kraciastej, taniej koszuli z poliestru lub też świecących się od brudu, poprzecieranych w wielu miejscach spodni. Zastanawiał się, skąd Pendergast wytrzasnął te rzeczy.

Co gorsza, nie był ucharakteryzowany, jego twarz naprawdę pokrywał brud i kurz. Nawet buty, które włożył, były obrzydliwe. Gdy jednak zaczął się skarżyć, Pendergast od razu go uciszył:

– Vincencie, od tego zależy twoje życie.

Nie pozwolono mu zabrać broni ani odznaki służbowej.

– Nie chciałbyś wiedzieć – powiedział Pendergast – co by z tobą zrobili, gdyby znaleźli blachę.

W gruncie rzeczy, skonstatował D'Agosta, cała ta wyprawa była jednym wielkim pogwałceniem regulaminu, który obowiązywał go jako stróża prawa.

Unosząc lekko wzrok, ujrzał idącą w ich stronę kobietę w zwiewnej letniej sukience i szpilkach. Prowadziła na smyczy pieska chihuahua. Nagle przystanęła i zeszła im z drogi, starając się na nich nie patrzeć. Na jej twarzy malowała się głęboka odraza.

Gdy Pendergast go mijał, piesek nagle rzucił się naprzód, szczekając jak oszalały. Pendergast niespiesznie odstepił na bok, a pies zaczął ujadać ze zdwojoną energią; zwierzak nieomal rwał się ze smyczy.

Pomimo dyskomfortu, a może właśnie z tego względu, D'Agostę rozdrażnił niesmak widoczny na twarzy kobiety. Kimże ona jest, by mogła nas osądzać?, pomyślał. Mijając ją, przystanął niespodziewanie i odwrócił się w jej stronę.

– Życzę miłego dnia – wychrypiał, szczerząc się w drapieżnym uśmiechu.

Kobieta cofnęła się trwożliwie.

– Ty paskudny mężczyzno! – wrzasnęła do D'Agosty. – Nie zbliżaj się do niego, moja maleńka Chou!

Pendergast chwycił D'Agostę za ramię i skręcił z nim w Columbus Avenue.

– Oszalałeś? – wyszeptał.

Gdy ruszyli dalej, D'Agosta usłyszał krzyk kobiety: Pomocy! Ci mężczyźni mi grozili!

Pendergast skierował się na południe, D'Agosta z trudem dotrzymywał mu kroku. Gdy znaleźli się w cieniu potężnego wiaduktu, mniej więcej w połowie długości przecznicy, Pendergast ukląkł pospiesznie nad stalowymi płytami wpuszczonymi w chodnik, oznaczającymi wyjście awaryjne z metra. Za pomocą niedużego, zakrzywionego jak hak narzędzia uniósł płyty i skinął na porucznika, nakazując mu wejść na prowadzące w dół schody. Następnie, opuściwszy za sobą klapę, Pendergast podążył za D'Agostą w ciemność.

Dotarli do podnóża schodów i tunelu metra. Był on słabo oświetlony, biegly nim dwa pasma szyn. Po przejściu przez tory dotarli do wejścia na kolejne schody i ruszyli w dół, pokonując po dwa stopnie na raz.

Na najniższym stopniu Pendergast zatrzymał się. D'Agosta przystanął tuż przy nim, w kompletnych ciemnościach, z trudem chwytając oddech. Po kilku chwilach Pendergast zapalił ołówkową latarkę i zachichotał.

– Życzę miłego dnia... Vincencie, co też ci przyszło do głowy?

– Staralem się być życzliwy – odrzekł ze skwaszoną miną D'Agosta.

– Mogłeś zakończyć naszą wyprawę, zanim się jeszcze na dobre rozpoczęła. Pamiętaj, ty tylko dopełniasz mojego kamuflażu. Jestem pewien, że Mephisto zechce spotkać się ze mną, jeśli podam się za przywódcę innej podziemnej społeczności. A jako wodzowi nie przystoi mi poruszać się bez adiutanta.

Skierował promień latarki w głąb wąskiego bocznego tunelu.

– Prowadzi na wschód, do jego terytorium.

D'Agosta pokiwał głową.

– Pamiętaj o moich instrukcjach. Mówić będę ja. Musisz zapomnieć, że jesteś oficerem policji. Niezależnie od tego, co się wydarzy, nie mieszaj się.

Sięgnął do kieszeni brudnego trencza, wyjmując z niej dwie obszerne wełniane czapki.

– Włóż ją – rzekł, podając jedną D'Agostcie.

– Po co?

– Nakrycie głowy tuszuje prawdziwe kontury głowy. Poza tym, gdybyśmy musieli szybko się stamtąd ulotnić, wyrzucając czapki, utrudnimy im poszukiwania. Pamiętaj, że my nie przywykliśmy do ciemności. Tu, na dole, oni mają nad nami przewagę. – Po chwili znów sięgnął do kieszeni i wyjął mały matowy przedmiot, który włożył do ust.

– Co to takiego? – zapytał D'Agosta, nakładając czapkę.

– Sztuczne gumowe podniebienie zmieniające ułożenie języka, a co za tym idzie, modyfikujące brzmienie głosu. Przypominam ci, że będziemy mieli do czynienia z przestępcami. W ubiegłym roku spędziłem sporo czasu na Wyspie Rikera, opracowując profile psychologiczne zabójców dla Quantico. Całkiem możliwe, że tam, na dole, spotkam jednego lub nawet kilku z nich. Gdyby do tego doszło, nie mogą mnie rozpoznać ani po wyglądzie, ani po głosie. – Machnął ręką. – Oczywiście, sama charakteryzacja nie wystarczy.

Muszę opracować specyficzny sposób poruszania się, postawy, ba, nawet najprostszych zachowań. Twoje zadanie jest znacznie łatwiejsze – masz siedzieć cicho, nie wychylać się, stąpić się z tłumem. Nie wolno nam się wyróżniać. Czy to rozumiałe?

D'Agosta skinął głową.

– Przy odrobinie szczęścia Mephisto zechce nam pomóc. Może nas pokieruje we właściwą stronę. Możliwe, że przekaże nam dowody zabójstw, o których mowa w „Post”. Dałoby to dodatkowe materiały dla techników, których nam bardzo potrzeba. – Przerwał. – Jakies tropy w sprawie zabójstwa Brambella? – zapytał. Postąpił krok naprzód, przyświecając sobie latarką.

– Nie – odparł D'Agosta. – Waxie i szyszki z góry uważają, że to po prostu jeszcze jedno „przypadkowe” zabójstwo. Ja natomiast zastanawiam się, czy to, co go spotkało, miało jakiś związek z jego pracą.

Pendergast pokiwał głową.

– Ciekawa teoria.

– Mam wrażenie, że te zabójstwa, a w każdym razie niektóre z nich, nie są bynajmniej przypadkowe. Brambell był bliski odkrycia tożsamości drugich zwłok. Może ktoś nie chciał, aby to zostało ujawnione.

Pendergast znów skinął głową.

– Muszę przyznać, poruczniku, że byłem zdumiony, gdy usłyszałem, że drugi szkielet należał do Grega Kawakity. To otwiera całą grę... – przerwał. – Złożoność i szpetota. Z tego również wynikałoby, że doktorowi Frockowi, doktor Green i innym pracującym nad tą sprawą powinno się zapewnić ochronę.

D'Agosta łypnął na niego spode łba i skrzywił się.

– Też o tym pomyślałem i odwiedziłem dziś rano gabinet Horlockera. Komendant odmówił przydzielenia jakiegokolwiek ochrony zarówno Frockowi, jak i doktor Green. Powiedział, że jego zdaniem Kawakita musiał być w jakiś sposób związany z Pamelą Wisher i po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Przypadkowe zabójstwo, taka jest jego opinia. Podobnie jak w przypadku Brambella. Przejmuje się tylko jednym: aby nic z tego, co wiemy, nie przedostało się do prasy, przynajmniej dopóki krewni Kawakity nie zostaną odnalezieni i powiadomieni o tragedii, choć moim zdaniem to mało prawdopodobne; o ile sobie dobrze przypominam, nasz nieszczęsny uczonek był sierotą. W biurze Horlockera był również Waxie, nadęty i napuszony jak paw. Polecił mi, abym zatuszował tę aferę lepiej niż w przypadku Pameli Wisher.

– No i?

– Zaproponowałem mu, aby zrobił to sam. Naturalnie, zrobiłem to bardzo taktownie. Wcześniej uważałem, że lepiej będzie nie niepokoić na razie Green ani Frocka. Jednakże po tym spotkaniu porozmawiałem z nimi obojgiem, udzielając kilku praktycznych porad. Obiecali, że będą na siebie uważać, a w każdym razie – dopóki nie zakończą swojej pracy.



– Czy zdołali odkryć, co wywołało deformację szkieletu Kawakity?

– Jeszcze nie. – D'Agosta ze smutkiem pokręcił głową.

Pendergast odwrócił się do niego.

– Co się dzieje? – zapytał.

D'Agosta zawahał się.

– Martwię się o doktor Green. To wszystko bardzo ją przytłacza. Pomysł, aby włączyć ją i doktora Frocka do pomocy przy śledztwie wyszedł ode mnie, ale teraz sam już nie wiem, czy postąpiłem właściwie. Frock jest zadufany w sobie i uparty jak zawsze, ale Margo... – Przerwał. – Wiesz, jaka była jej reakcja na morderstwa w muzeum. Surowa dyscyplina, morderczy trening i pistolet w torebce.

Pendergast pokiwał głową.

– To częsta reakcja posttraumatyczna. Ludzie po ciężkich, stresujących przejściach często szukają sposobu na pozyskanie kontroli, nie chcą czuć się słabi i bezbronni. Moim skromnym zdaniem to względnie zdrowa reakcja na gwałtowny wstrząs. – Uśmiechnął się pośepnie. – Jeżeli o mnie chodzi, nie przypominam sobie wielu bardziej wstrząsających przeżyć niż tamta noc, gdy znaleźliśmy się naprzeciw Bestii w jednym z mrocznych korytarzy muzeum.

– To prawda, ale ona zdecydowanie przesadza. A teraz... w całym tym ambarasie... cóż, naprawdę obawiam się, że postąpiłem niewłaściwie, ściągając ją do pomocy.

– To była jak najbardziej słuszna decyzja. Potrzebujemy jej profesjonalnej opinii. Zwłaszcza teraz, gdy wiemy, że Kawakita nie żyje. Domyślam się, że będziecie sprawdzać jego ostatnie miejsca zamieszkania?

D'Agosta pokiwał głową.

– Może powinieneś poprosić doktor Green, aby ci w tym pomogła.

Pendergast znów zaczął świecić latarką w głąb tunelu. W ciemnościach jego ubrudzona sadzą twarz była prawie niewidoczna.

– No dobrze. Jesteś gotów, Vincencie?

– Chyba tak. A jeśli napotkamy opór?

Pendergast lekko się uśmiechnął.

– Dokonamy wymiany handlowej, używając najpotrzebniejszych tu artykułów, aby udobruchać tubylców.

– Narkotyków? – zapytał z niedowierzaniem D'Agosta.

Pendergast skinął głową, rozchylając poły płaszcza. W blasku ołówkowej latarki D'Agosta spostrzegł kilka kieszonek wszytych w brudną podszewkę.

– Wygląda na to, że tu, na dole, niemal wszyscy są od czegoś uzależnieni.

Zaczął przesuwac palcem od jednej kieszonki do drugiej.

– Mam tu całą aptekę: kokainowy crack, metylofenidat, carbrital, seconal, wojskowe niebieskie osiemdziesiątki ósemki. Vincencie, te prochy mogą ocalić nam życie. Podczas pierwszej wycieczki uratowały moje.

Pendergast sięgnął do jednej z małych kieszonek i wydobyl wąską czarną kapsułkę.

– Bifetamina – powiedział. – Znana w podziemnym świecie jako Czarna Piękność.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kapsułkę. Następnie szybkim ruchem włożył ją do ust.

– Co u...? – zaczął D'Agosta, lecz agent FBI uciszył go ruchem ręki.

– Sama gra aktorska nie wystarczy – wyszeptał Pendergast. – Muszę stać się tym, kogo gram. Ten Mephisto to bez wątpienia osobnik wielce nieufny, paranoik cierpiący na manię prześladowczą. Wyczułby oszustwo na milę. Tacy jak on są pod tym względem niezrównani. Zapamiętaj to dobrze.

D'Agosta milczał. Naprawdę znaleźli się na marginesie społeczeństwa, poza prawem, poza całym światem.

Weszli w boczny tunel i ruszyli wzdłuż nie używanych od lat torów. Pendergast co pewien czas przystawał, sprawdzając jakieś swoje notatki. Podążający za agentem coraz głębiej w mrok D'Agosta zdumiał się, jak szybko on sam stracił orientację, a także poczucie czasu.

Wtem Pendergast wskazał w stronę falującego czerwonego światła, zdającego się wisieć w ciemnościach, około stu jardów przed nimi.

– Wokół tego ogniska są ludzie – wyszeptał. – To prawdopodobnie nieduża społeczność „górników”, zamieszkująca na obrzeżach domeny Mephista. – Przez chwilę wpatrywał się uważnie w krwistą poświatę.

Nagle się odwrócił.

– Wracamy? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, pomaszzerował w stronę światła.

Gdy podeszli bliżej, D'Agosta dostrzegł grupę około dwunastu osób siedzących na ziemi lub na skrzynkach na mleko, wpatrujących się w ogień. Wśród węgla stał, bulgocząc, czarny dzbanek do parzenia kawy.

Pendergast stanął w świetle, po czym przykucnął przy ognisku. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Sięgnął za pazuchę i z jednej z licznych kieszeni wydobyl butelkę angielskiego tokaju. D'Agosta zauważył, że wzrok wszystkich w jednej chwili skierował się na flaszkę.

Pendergast odkręcił nakrętkę i pociągnąwszy spory łyk, westchnął z zadowoleniem.

– Chce ktoś łyka? – zapytał, odwracając butelkę do światła, aby można było dostrzec etykietę.

D'Agosta zdumiał się: głos agenta diametralnie się zmienił. Brzmiał teraz nosowo, bełkotliwie, z wyraźnym akcentem z Fiatbush. Błada skóra, oczy i włosy agenta wyglądały w migoczącej poświacie ognia obco i groźnie zarazem. Ktoś wyciągnął rękę.

– Pewnie – rozległ się głos. Mężczyzna na skrzynce po mleku wziął od niego butelkę i przyłożył do ust. Rozległ się głośny gulgot. Gdy oddawał ją Pendergastowi, w butelce brakowało już jednej czwartej zawartości. Pendergast podał flaszkę następnemu. Butelka

zaczęła krążyć z rąk do rąk, aż w końcu nic w niej nie zostało. Zamiast podziękowania słyhać było ciche chrząknięcia.

D'Agosta usiłował stanąć tak, by dym z ogniska zabił drażniącą jego nozdrza woń nie mytych ciał, taniego wina i stęchłego moczu.

– Szukam Mephista – rzekł po chwili Pendergast.

Wokół ogniska zrobiło się lekkie poruszenie. Mężczyźni stali się nagle czujni i nieufni.

– A kto o niego pyta? – rzucił buńczucznie ten, który pierwszy przyjął butelkę.

– Ja pytam – odwarknął równie zawadiacko Pendergast.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, mężczyzna przy ognisku otaksował agenta wzrokiem od stóp do głów.

– Spadaj, leszczu – mruknął w końcu, wracając na swoje siedzisko.

Pendergast zareagował tak szybko, że D'Agosta aż drgnął. Kiedy znów spojrział w tę stronę, mężczyzna leżał twarzą do dołu na żwirze, a Pendergast stał nad nim, opierając jedną stopę na jego karku.

– Kurwa! – wysyczał bezdomny.

Pendergast przydeptał go mocniej.

– Nikt nie będzie nazywał Whiteya leszczem.

– Stary, to nie tak, wyluzuj, ja nie chciałem. Jezu!

Pendergast nieznacznie zmniejszył nacisk.

– Mephisto urzęduje przy Szosie 666.

– Gdzie to jest?

– Przestań, kurwa, stary. To cholernie boli! Idź wzdłuż toru numer sto i kikaj za starym generatorem. Stamtąd zejdz po drabince do metalowej kładki.

Pendergast zdjął stopę z karku tamtego. Mężczyzna usiadł, rozmasowując szyję.

– Mephisto nie lubi obcych.

– Mam z nim do pogadania.

– Co ty powiesz? A niby o czym?

– O Pomarszczonych.

Nawet w ciemnościach D'Agosta poczuł, że wszyscy siedzący przy ognisku, słysząc to, zeszywnieli.

– Tak, ale co konkretnie? – spytał inny, nowy głos.

– Będę mówił wyłącznie z Mephistem. – Pendergast skinął na D'Agostę i obaj oddalili się od ogniska, niknąc w ciemnościach tunelu. Gdy ognisko zmieniło się z tyłu, za nimi, w maleńki świecący punkcik, Pendergast ponownie zapalił ołówkową latarkę.

– Tu, na dole, nie możesz dopuścić, by ktokolwiek cię lekceważył – wyjaśnił półgłosem agent. – Nawet taka nic nie znacząca grupa, trzymająca się na uboczu. Jeśli wyczują słabość, będzie po tobie.

– Szybki jesteś – rzekł D'Agosta.

– Nietrudno poradzić sobie z jednym pijaczkiem. Podczas mojej ostatniej wycieczki dowiedziałem się, że alkohol to ulubiona używka tych, którzy zamieszkują wyższe poziomy tuneli. Z wyjątkiem tego jednego chudzielca siedzącego z dala od ognia. Założę się, poruczniku, że to narkoman. Zauważyłeś, że podczas całego spotkania mimowolnie stałe się drapał? To powszechnie znany efekt uboczny fentanylu.

Tunel rozgałęział się. Po spojrzeniu na mapę linii kolejowej, wyjętą z jednej z niezliczonych kieszeni, Pendergast wybrał węższy, lewy korytarz.

– Dojdziemy nim do toru numer sto – wyjaśnił.

D'Agosta szedł za nim, powłócząc nogami. Po przejściu sporego odcinka tunelu, który dłużył się w nieskończoność, Pendergast znowu przystanął, wskazując na wielkie rdzewiejące urządzenie z kilkoma wielkimi kołami pasowymi o średnicy dwunastu stóp. Przegniłe pasy wały się na ziemi. Opodal znajdowała się metalowa drabinka, kończąca się kładką zawieszoną nad starym tunelem.

Schylając się, by przejść pod pokrytą stalaktytami rurą z oznaczeniami H.P.ST., D'Agosta zszedł za Pendergastem po schodach i rozchwierutanej kładce. Na jej końcu przez otwór w podłodze dostali się na kolejną drabinkę i tym sposobem znaleźli się w ogromnym, nie ukończonym tunelu. Pod ścianami wały się tu kamienie i porzewiałe metalowe belki wspornikowe. Choć D'Agosta zauważył pozostałości kilku obozowisk, nie było tu żywego ducha.

– Najwyraźniej musimy zejść po tej ścianie na dół – rzekł Pendergast, oświetlając promieniem latarki spory obszar przy końcu tunelu. Brzegi skały były lepkie od brudu i pokryte niezliczonymi odciskami dłoni oraz stóp.

Czuć było silną gryzącą woń.

D'Agosta zaczął schodzić pierwszy, przywierając rozpaczliwie do ostrego wilgotnego bazaltu. Zejście zajęło mu w sumie pięć przeraźliwie długich minut. Policjant miał wrażenie, jakby pogrążał się w skalnym podłożu wyspy.

– Chciałbym zobaczyć w takiej akcji bezdomnego na haju – powiedział, gdy Pendergast miękko wylądował na ziemi tuż przy nim. Mięśnie jego ramion drżały z wysiłku.

– Gdy ktoś już znajdzie się tu, na dole – rzekł Pendergast – nie wraca na powierzchnię. Rzecz jasna, nie licząc gońców.

– Gońców?

– Z tego, co wiem, to jedyni członkowie społeczności mający kontakt z „górami”. Odbierają zasiłki i zapomogi, przynoszą jedzenie i mleko, rozbijają automaty dla paru groszy, odbierają lekarstwa, no i kupują narkotyki.

Pendergast poświecił latarką dokoła, ukazując toporną kamienną nieckę. W oddali długi na pięć stóp płat blachy falistej przesłaniał wejście do opuszczonego tunelu. Na ścianie tuż przy niej widniał napis: Tylko dla rodzin, wszystkim innym wstęp wzbroniony.

Pendergast chwycił za skraj blaszanej przegrody i odchylił ją; zgrzytnęła przeciągle.

– Dzwonek – wyjaśnił.

Gdy weszli do tunelu, nagle tuż przed nimi pojawiła się postać w łachmanach, dzierżąca w jednym ręku łuczywo. Mężczyzna był wysoki i przeraźliwie chudy.

– Kim jesteś? – zapytał, zastępując Pendergastowi drogę.

– Ty jesteś Strzelec Pokładowy? – odezwał się agent.

– Na zewnątrz – odparł tamten, zmuszając ich do wycofania się w stronę wyjścia. – Jestem Flint. Czego chcesz?

– Przyszedłem, aby spotkać się z Mephistem – odrzekł Pendergast.

– Po co?

– Jestem przywódcą Grobowca Granta. To mała społeczność żyjąca pod Uniwersytetem Columbia. Przyszedłem, aby pomówić o zabójstwach.

Nastąpiła długa cisza.

– A on? – zapytał Flint, wskazując na D'Agostę.

– To mój goniec – wyjaśnił Pendergast.

Flint znów odwrócił się do Pendergasta.

– Broń czy prochy?

– Nie mam broni – powiedział agent. W słabym świetle łuczywa na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie. – Ale mam przy sobie niewielki zapasik...

– Nie zezwalamy tu na posiadanie prochów – rzekł Flint. – Jesteśmy czystą społecznością.

Gówny prawda, pomyślał D'Agosta, wpatrując się w gorejące oczy tamtego.

– Wybacz – odparował Pendergast. – Nie oddam mojego towaru. Jeśli jest z tym jakiś problem...

– A co masz? – spytał Flint.

– Nie twoja sprawa.

– Koke? – naciskał tamten, a D'Agosta odniósł wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwała nuta nadziei.

– Strzał w dziesiątkę – odparł po chwili Pendergast.

– Będę musiał ją skonfiskować.

– Potraktuj to jak podarunek. – Pendergast wyjął nieduży, złożony foliowy pakiecik i podał Flintowi, który natychmiast schował go do kieszeni.

– Za mną – rzucił krótko.

D'Agosta zasunął za nimi arkusz blachy falistej i podążył za Flintem, który poprowadził ich metalowymi schodami na niższy poziom. Schody kończyły się wąskim otworem, za którym znajdował się betonowy podest, poniżej zaś cylindryczne pomieszczenie. Flint odwrócił się i zaczął schodzić po betonowym gzymsie, ciągnącym się spiralnie wzdłuż ściany. D'Agosta zauważył, że w skale wycięto kilka nisz. W każdej z nich mieszkali ludzie, pojedynczo lub całymi rodzinami. W blasku świec lub lamp naftowych widać było umorusane

twarze i brudne posłania. Kierując wzrok ku przeciwległej ścianie, D'Agosta spostrzegł wystającą z niej ułamaną rurę. Lała się z niej woda, wpływając do błotnistej sadzawki wykutej w podłożu tej osobliwej jaskini. Dokoła niej przycupnęło kilka osób, najwyraźniej piorąc tam swoje rzeczy. Brudna woda spływała strumieniami, znikając w mrocznej gardzieli tunelu.

Dotarłszy na dno cylindra, przeszli po starych deskach przez strumień. Na dnie jaskini grupki mieszkańców podziemi spały lub grały w karty. W kącie leżał jakiś mężczyzna, miał otwarte i szkliste oczy, a D'Agosta zorientował się, że oczekuje on na pochówek. Odwrócił się.

Flint poprowadził ich długim, niskim przejściem, od których w tych tunelach aż się roiło. W słabym świetle na końcu jednego z korytarzy D'Agosta dostrzegł pracujących ludzi; magazynowali puszkę z żywnością, cerowali ubrania, pędzili bimber. Wreszcie Flint doprowadził ich do jasno oświetlonego, jak na te warunki, miejsca. Unosząc wzrok, D'Agosta zauważył pojedynczą żarówkę zwieszającą się na postrzępionym przewodzie, prowadzącym do starej skrzynki odgałęźnej w kącie.

Porucznik powiódł wzrokiem od żarówki poprzez rzędy popękanych cegieł, które stanowiły główny budulec tego pomieszczenia, i nagle zamarł w bezruchu, a z jego ust dobyło się zduszone westchnienie. Nie dowierzał własnym oczom. Pośrodku pomieszczenia znajdował się stary, podniszczony wagon brekowego, przekrzywiony pod szaleńczym kątem, z tylnymi kołami unoszącymi się dobre dwie stopy nad ziemią. D'Agosta wołał nawet nie myśleć, w jaki sposób ów relikw z zamierzchłych czasów znalazł się w tym domu wariatów. Burtę wagonu zdobiły ledwo dające się odczytać litery NEW YO CENTRA, wymalowane czarną, prawie całkiem wyblakłą już farbą na czerwonym od rdzy metalu.

Dając im znak, aby zaczekali, Flint wszedł do wagonu. Wyłonił się zeń kilka chwil później, przywołując ich gestem ręki.

Po wejściu do wagonu D'Agosta znalazł się w maleńkim przedpokoju, na końcu którego zawieszono grubą, ciemną kotarę. Flint zniknął. W wagonie było ciemno i gorąco jak w piekle.

– Tak? – Zza zasłony dobiegł ich syczący głos.

Pendergast chrząknął.

– Jestem znany jako Whitey, przywódca Grobowca Granta. Słyszeliśmy o twoim wezwaniu, aby wszyscy mieszkańcy podziemi zjednoczyli się w celu powstrzymania zabójstw.

Cisza. D'Agosta zastanawiał się, co mogło znajdować się za zasłoną. Może nic, odpowiedział sobie w duchu. Może jest tak jak w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz* – Może Smithback to wszystko zmyślił. Z dziennikarzami nigdy nie wiadomo...

– Wejdz – powiedział głos.

Zasłona została odsunięta. D'Agosta z pewnym wahaniem wszedł za Pendergastem w głąb wagonu.

Wnętrze było ciemne, rozświetlone jedynie płynącym z zewnątrz blaskiem pojedynczej żarówki i niedużego ogniska rozpalonego w kącie pod wentylatorem. Na wprost nich, w wielkim jak tron fotelu stojącym dokładnie pośrodku pomieszczenia, siedział mężczyzna. Był wysoki, o mocnych, muskularnych kończynach i długich, gęstych, siwych włosach. Miał na sobie stary, niemodny dziś garnitur z manchesteru, a na głowie wyświechtany kapelusz borsalino. Jego szyję zdobił ciężki naszyjnik, ręczna robota Indian Navajo, w kształcie kwiatu z osadzonym wewnątrz turkusem.

Mephisto spojrzał na nich niezwykle przenikliwym wzrokiem.

– Burmistrz Whitey. Mało oryginalne. Powinno wzbudzić większy szacunek u ludzi. Choć w twoim przypadku, albinosie, pasuje idealnie. – Mówił powoli, syczącym głosem.

D'Agosta poczuł na sobie jego wzrok. O tym facecie można zapewne powiedzieć wiele, pomyślał D'Agosta, ale nie to, że jest szajbnięty, no w każdym razie nie całkiem. Poczuł się nieswojo. W oczach Mephista zabłyśły iskierki podejrzliwości.

– A on? – zapytał.

– To mój goniec. Cygaro.

Mephisto długo, bardzo długo przyglądał się porucznikowi. Wreszcie znów spojrzał na Pendergasta.

– Nigdy nie słyszałem o wspólnocie Grobowca Granta – wycedził z nieufnością.

– Pod Columbią i pobliskimi budynkami rozciąga się olbrzymia sieć tuneli służbowych – oznajmił Pendergast. – Jesteśmy małą społecznością i nikomu nie wadzimy. Studenci bywają szczerzy.

Mephisto pokiwał głową, nasłuchując. Wyraz nieufności wkrótce znikł z jego oblicza, zastąpiony czymś, co mogło być namiastką uśmiechu lub drwiącym grymasem. D'Agosta nie potrafił tego sprecyzować.

– Oczywiście, w tych ciężkich czasach zawsze miło jest spotkać sojusznika. Przypieczętnijmy to spotkanie sowitą uczcią! Porozmawiamy później.

Klasnął w dłonie.

– Krzesła dla naszych gości! I dołóżcie no do ognia! Strzelcu, przynieś nam mięsa. – Chudy, niski mężczyzna, którego D'Agosta wcześniej nie widział, wyłonił się z cienia i opuścił wagon. Inny, siedzący po turecku na podłodze, podniósł się i poruszając się z powolnością otępiełego zombi, dorzucił do ognia naręczce drewna opałowego, podsycając płomienie.

Już i tak jest tu za gorąco, pomyślał D'Agosta, czując strużki potu spływające po plecach.

Po chwili olbrzymi, mocno umięśniony mężczyzna przyniósł dwie drewniane skrzynki i ustawił je przed tronem Mephista.

– Proszę, panowie – rzekł Mephisto z ironicznym dostojeństwem, wskazując siedziska zamaszystym ruchem ręki.

D’Agosta usadowił się na jednej ze skrzyń i w tej samej chwili zjawił się Strzelec Pokładowy, niosąc coś owiniętego w starą, przemoczoną gazetę. Upuścił to, co przyniósł, obok ogniska, a D’Agosta poczuł, że coś nagle ścisnęło go w dołku – w gazetę był owinięty wielki szczur z na wpół zmiażdżonym łbem, który wciąż jeszcze przebierał konwulsyjnie łapami.

– Wspaniale! – zawołał Mephisto. – Jak widzicie, świeżo złapany.

Spojrzał przenikliwym wzrokiem na Pendergasta.

– Jadacie tunelowe króliki, prawda?

– Oczywiście – odparł Pendergast.

D’Agosta zauważył, że muskularny mężczyzna stanął teraz dokładnie za nimi. Uświadomił sobie, że czekał ich poważny sprawdzian i nie wolno im było go oblać.

Mephisto ujął dogorywającego szczura w jedną, a metalowy rożen w drugą rękę. Trzymając gryzonia poniżej przednich łap, Mephisto wprawnie nadział go na rożen, od łebka po zad, i unióś nad ogniskiem. D’Agosta patrzył z przeraźliwą fascynacją, jak sierść natychmiast zaczęła się skręcać i palić, a szczurem targnął ostatni, przedśmiertny spazm. W chwilę potem całe zwierzątko buchnęło płomieniem, a pod dach wagonu wzbila się chmura gryzącego czarnego dymu. Po chwili ogień przygasł, a ogon gryzonia zwinął się w poczerniały korkociąg.

Mephisto przez chwilę przyglądał się szczurowi. Następnie wyjął go z ognia, wydobył z pazuchy nóż i oskrobał nim truchło z resztek sierści. Przebiwszy brzuch zwierzęcia, aby wypuścić nagromadzone gazy, ponownie umieścił je nad ogniem, ale tym razem wyżej.

– Potrzeba nie lada wprawy – oznajmił – aby przyrządzić *Le grand souris en brochette*.

D’Agosta czekał, świadom, że wzrok wszystkich skupiał się teraz na nim i na Pendergastie. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby dał po sobie poznać, że ten widok napawał go obrzydzeniem.

Minuty mijały, a szczur, skwiercząc, smażył się na rożnie. Mephisto obracał go starannie. W pewnej chwili przywódca bezdomnych spojrzał na Pendergasta.

– Jakiego lubisz? – zapytał. – Bo ja wolę krwiste.

– Może być – odrzekł Pendergast uprzejmie, jakby był teraz w eleganckiej restauracji, gdzie maître d’hôtel pyta go o preferencje tostów.

To tylko zwierzę, pomyślał zrozpaczony D’Agosta. Kawalek mięsa mnie nie zabije. A te tępe osiłki mogą.

Mephisto westchnął ze źle skrywanym, niecierpliwym wyczekiwaniem.

– Czy, twoim zdaniem, już doszedł?

– Tak. Jedzmy już. – Pendergast energicznie zatarł ręce.

D’Agosta milczał.



– To doskonała okazja, abyśmy się wspólnie napili! – zawołał Mephisto.

Niemal natychmiast pojawiła się napełniona do połowy flaszka taniego jabola.

– To nasi goście – powiedział, odrzucając butelkę. – Przynieście coś bardziej odpowiedniego! – Niebawem przyniesiono im omszałą butelkę Cold Duck i trzy plastikowe kubki. Mephisto zdjął upieczonego szczura z rożna i przełożył na gazetę.

– Czyń honory – powiedział, podając gazetę Pendergastowi.

D’Agosta czuł, jak narasta w nim panika. Co powinien zrobić Pendergast? Patrzył z ulgą i przerażeniem zarazem, jak agent bez wahania podnosi szczura do ust i wgryza się w bok zwierzęcia. Rozległo się głośne cmokanie i odgłos ssania, a kilka chwil później szczur nie miał już wnętrzości.

– Wyśmienity – rzekł krótko.

Mephisto pokiwał głową.

– Ciekawa technika.

– Nie tak bardzo. – Pendergast wzruszył ramionami. – W tunelach serwisowych wokół Columbii wykładają sporo trutek. Po smaku wątroby można zorientować się, czy mięso nadaje się do zjedzenia.

Na twarzy Mephista pojawił się szeroki, szczery uśmiech.

– Zapamiętam to – powiedział. Nożem odkroił kilka pasków mięsa z zadu szczura i podał D’Agoście.

Chwila nadeszła. Kątem oka D’Agosta spostrzegł, że stojąca za nim potężna postać nieruchomieje w pełnym napięcia wyczekiwaniu. Porucznik przymrużył oczy i zaatakował mięso z udawaną żarłocznością, wpychając sobie do ust wszystkie kawałki naraz, gryząc je i przeżuując zaciekle, by połknąć, zanim jeszcze na dobre poczuł ich smak. Uśmiechnął się wbrew sobie, walcząc z żołądkiem, który niemal natychmiast podszedł mu do gardła.

– Brawo! – pochwalił Mephisto, obserwując go uważnie. – Prawdziwy smakosz!

Poziom napięcia w wagonie wyraźnie zmaleł. Gdy D’Agosta ponownie usiadł na skrzynce, przykładając dłoń do buntującego się żołądka, ciszę w pomieszczeniu przerwał śmiech i gwar prowadzonych niemal półgłosem rozmów.

– Wybacz moją nieufność – rzekł Mephisto. – Był taki czas, kiedy pod ziemią żyło się spokojniej i mniej podejrzliwie. Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, powinienes to już wiedzieć. Niestety, nastały ciężkie czasy.

Mephisto nalał im po kubku wina i uniósł swój w bezgłośnym toaście.

Odciął kilka kawałków mięsa, podał je Pendergastowi, po czym resztę szczura spałaszował sam.

– Pozwól, że przedstawię moich poruczników – rzekł Mephisto.

Machnął ręką, wskazując olbrzyma za ich plecami.

– To Mały Harry. Już we wczesnej młodości zaczął ćpać. Aby zarobić na prochy, zajął się kradzieżami. Od koziczka do rzemyczka i znalazł się w Attice. Sporo go tam nauczyli. Gdy

wyszedł, nie mógł znaleźć dla siebie pracy. Na szczęście zszedł tutaj i dołączył do naszej społeczności, zanim życie w tunelach zdążyło go zepsuć.

Mephisto wskazał na postać poruszającą się ślamazarnie przy ognisku.

– To Chłopak Alice. Uczył angielskiego w szkole w Connecticut. Któregoś dnia wszystko wzięło w łeb. Stracił pracę, rozwiódł się z żoną, został bez grosza przy duszy, zaczął zaglądać do butelki. Krążył pomiędzy przytuliskami i kuchniami połowymi. Tam dowiedział się o nas. Strzelec Pokładowy natomiast po powrocie z Wietnamu zorientował się, że kraj, którego bronił, nie chce mieć z nim nic wspólnego. – Mephisto wytarł usta w gazetę.

– To więcej niż musisz wiedzieć – powiedział. – Zostawiliśmy naszą przeszłość za sobą, zapewne tak samo jak ty. A więc przyszedłeś tu, by pomówić o zabójstwach?

Pendergast skinął głową.

– Od ubiegłego tygodnia zginęło trzech naszych, a pozostali coraz bardziej się boją. Słyszeliśmy o twoim wezwaniu do zawarcia sojuszu przeciwko Pomarszczonym, obcinaczom głów.

– Wieści szybko się rozchodzą. Dwa dni temu odezwał się do mnie Filozof. Znasz go?

Pendergast wahał się tylko przez chwilę.

– Nie – odparował.

Mephisto przymrużył powieki.

– Dziwne – mruknął. – To mój odpowiednik, przywódca społeczności pod Grand Central.

– Może któregoś dnia się spotkamy – powiedział Pendergast. – Póki co, muszę wrócić z konkretnymi informacjami, aby uspokoić moich ludzi. Co możesz mi powiedzieć o tych zabójstwach i zabójcach?

– Zaczęły się blisko rok temu – zasyczał jadowicie Mephisto. – Pierwszym był Joe Atcitty. Znaleźliśmy jego zwłoki porzucone pod blokhauzem, bez głowy. Potem zniknęła Czarna Annie. Następnie Sierżant. I jeszcze wielu, wielu innych. Trwa to po dziś dzień. Niektórych odnaleźliśmy, ale większości nie. Jakiś czas potem dostaliśmy od Mandersów informację o wykryciu przez nich oznak dziwnej aktywności w głęboko położonych tunelach.

– Od Mandersów? – Pendergast zmarszczył brwi.

I znów Mephisto rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Nie słyszałeś o Mandersach? – Cmoknął. – Powinieneś częściej opuszczać swój teren, spacer służy zdrowiu, no i przydałoby ci się chyba trochę pozwiedzać okolicę, burmistrz Whitey. Mandersi żyją pod nami. Nigdy nie wychodzą na górę, nie używają światła. Są jak salamandry. Versteht? Donieśli nam, że jeszcze niżej, pod nimi, coś się dzieje. Ktoś się pojawił w tamtejszych tunelach. – Jego głos zmienił się w szept. – Powiedzieli, że Diabelskie Poddasze zostało skolonizowane.

D'Agosta spojrzał pytająco na Pendergasta. Jednakże agent FBI tylko skinął potakująco głową.

– Najniższy poziom miasta – dodał jakby sam do siebie.

– Najniższy, jaki może być – potwierdził Mephisto.

– Byłeś tam, na dole? – zapytał, jakby z głupia frant, Pendergast.

Mephisto łypnął na niego z ukosa, jakby chciał zapytać: Masz mnie za idiotę?

– Nie jestem samobójcą.

– Ale sądzisz, że to właśnie ci ludzie są odpowiedzialni za te zabójstwa?

– Ja nie sądzę. Ja wiem. Nawet teraz są tam, pod nami. – Mephisto uśmiechnął się posepnie. – Nie jestem jednak pewien, czy nazwałbym ich ludźmi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Pendergast z przejęciem.

– To tylko plotki – rzekł półgłosem Mephisto. – Podobnie nie bez racji nazywają ich Pomarszczonymi.

– To znaczy...?

Mephisto nie odpowiedział.

Pendergast znów usiadł na swojej skrzynce.

– I co zrobimy?

– A co możemy zrobić? – Z twarzy Mephista znikł uśmiech. – Możemy obudzić to miasto, oto, co możemy uczynić! Możemy pokazać im, że giną nie tylko krety, że śmierć dosięga nie tylko niewidzialnych ludzi!

– No dobrze, załóżmy, że to się nam uda – uciął Pendergast. – Co wtedy? Co miasto może zrobić w sprawie Pomarszczonych?

Mephisto zamyślił się przez chwilę.

– To, co zwykle robi się w przypadku każdej plagi. Trzeba ją wytepić. Dotrzeć do źródła tej zarazy i unicestwić ją raz na zawsze. A w tym przypadku – dopaść ich tam, gdzie się zalegli.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Mephisto spojrzał na agenta FBI zimnymi jak lód, przenikliwymi oczami.

– Masz lepszy pomysł, Whitey? – zasyczał.

Pendergast milczał.

– Na razie nie – odezwał się w końcu.

Robert Willson, bibliotekarz Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego, spojrzał z irytacją na mężczyznę znajdującego się wraz z nim w sali map. Tamten wyglądał dziwnie, nosił ponury, czarny garnitur, miał bardzo jasne, kocie oczy i jasnoblonde włosy szcześnie gładko do tyłu. Na dodatek był manieryczny i denerwujący. Denerwujący jak wszyscy diabli. Spędził tu całe popołudnie, domagając się to tego, to owego i grzebiąc w mapach, skutkiem czego zrobił niemały bałagan. Za każdym razem, kiedy Willson powracał do komputera, by

zająć się dziełem swego życia, monografią fetysza Indian Zuni, ten mężczyzna powracał, zadając kolejne pytania.

Jakby na zawołanie mężczyzna podniósł się z krzesła i bezgłośnie podszedł do niego.

– Przepraszam pana – rzekł uprzejmie, głosem, w którym pobrzmiwał południowy akcent.

Willson oderwał wzrok od ekranu.

– Tak? – warknął.

– Nie chciałem już więcej zawracać panu głowy, ale o ile zdołałem się zorientować, plany Central Parku Vauxa i Olmsteada zawierały projekt budowy kanałów w celu osuszenia bagien w Central Parku. Czy mógłbym obejrzeć te plany?

Willson zacisnął wargi.

– Zostały odrzucone decyzją Komisji Parków – odparł krótko. – Przepadły. To prawdziwa tragedia. – Odwrócił się do ekranu w nadziei, że tamten zrozumie aluzję. Prawdziwą tragedią byłoby, gdyby nie mógł zająć się na dobre swoją monografią.

– Rozumiem – powiedział gość, ale najwyraźniej nie wychwytał aluzji. – Może więc zechciałby mi pan wyjaśnić, w jaki sposób osuszono te moczary?

Willson rozdrażniony wyprostował się na krześle.

– Sądziłem, że wszyscy doskonale to wiedzą. Wykorzystano stary akwedukt przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy.

– Czy istnieją plany tej operacji?

– Tak – odparł Willson.

– Mógłbym je zobaczyć?

Willson westchnął, wstał i przeszedł przez ciężkie drzwi do magazynu. Jak zawsze panował tam nieopisany bałagan. Pomieszczenie, choć duże, wywoływało uczucie klaustrofobii, metalowe regały wznosiły się na wysokość pierwszego piętra w mrok, uginając się pod ciężarem starych map i pleśniejących planów. Willson nieomal czuł kurz osiadający na jego łysinie, gdy lustrował skomplikowaną listę cyfr. Zaczęło swędzieć go w nosie. Odnalazł właściwe miejsce, wyjął stare mapy i przeniósł je do ciasnej czytelnicy. Dlaczego ludzie zawsze proszą o najcięższe mapy?, zastanawiał się w duchu, wychodząc z magazynu.

– Oto one – rzekł Willson, kładąc je na mahoniowym biurku. Patrzył, jak mężczyzna przenosi je do swego stolika i zaczyna oglądać, sporządzając przy tym notatki i szkice w niedużym, oprawnym w skórę notesie. Dziany facet, pomyślał kwaśno Willson. Żadnego profesora nie byłoby stać na taki garnitur.

W pokoju map zapanowała upragniona cisza. Nareszcie mógł wziąć się do pracy. Wyjmując z szuflady biurka kilka pożółkłych zdjęć eksponatów, Willson zaczął przeredagowywać rozdział traktujący o wizerunkach plemiennych.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy znów poczuł przy sobie obecność obcego. Powoli, z niechęcią uniósł wzrok.

Mężczyzna skinął na jedno ze zdjęć Willsona. Ukazywało ono bliżej nie określony kamień, na którym wyrzeźbiono podobiznę zwierzęcia z grotem krzemiennej włóczni przytroczonym do grzbietu za pomocą kawałka ścięgna.

– To doprawdy piękny fetysz, choć zwierzę opisane przez pana jako puma jest w rzeczywistości niedźwiedziem – rzekł mężczyzna.

Willson uniósł wzrok, spojrzął na blade oblicze i słaby uśmiech, zastanawiając się, czy tamten próbuje stroić sobie z niego żarty.

– Cushing, który zdobył ów fetysz w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim, zidentyfikował go jako należący do klanu pumy – stwierdził. – Może pan to sprawdzić w opisie. – Wszyscy uważali się dziś za ekspertów.

– Fetysz niedźwiedzia grizzly – ciągnął niestrudzenie tamten – zawsze ma przytroczony do pleców grot włóczni, dokładnie tak jak ten tutaj. Fetysz pumy nosi grot strzały.

Willson wyprostował się.

– A co to za różnica, jeśli można wiedzieć?

– Na pumę poluje się z łukiem i strzałami. Aby zabić niedźwiedzia, potrzebna jest włócznia.

Willson milczał.

– Cushingowi zdarzało się czasem omylić – ciągnął łagodnym tonem tamten.

Willson pozbierał swój manuskrypt i odłożył na bok.

– Szczerze mówiąc, wolę zaufać Cushingowi niż jakiemuś... – Nie dokończył. – Za godzinę zamykamy – dodał.

– W takim razie – rzekł mężczyzna – zastanawiam się, czy mógłbym zobaczyć arkusze komisji kontroli rurociągu gazu ziemnego z Upper West Side z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

Willson zacisnął wargi.

– Które?

– Wszystkie, jeśli łaska.

Tego już było za wiele.

– Pan wybaczy – rzekł cierpko Willson. – To wbrew przepisom. Kierownictwo zezwala na przejrzenie naraz tylko dziesięciu map z danego działu. – Spojrzął triumfalnie na swego gościa.

Tamten w ogóle nie zwrócił na to uwagi, pogrążony w głębokim zamyśleniu. Nagle uniósł wzrok i spojrzął na bibliotekarza.

– Robert Willson – powiedział, wskazując na plaketkę. – Teraz już wiem, dlaczego pańskie nazwisko wydało mi się znajome.

– Doprawdy? – mruknął z niedowierzaniem Willson.

– Jak najbardziej. Czy to nie pan opublikował tę wspaniałą rozprawę na temat kamieni mirażowych podczas konferencji dotyczącej Indian Navajo w Window Rock w ubiegłym roku?

– N-no tak, to ja – przyznał Willson.

– Tak też myślałem. Nie mogłem wziąć w niej udziału osobiście, ale czytałem sprawozdania i referaty. Ja też przez pewien czas prowadziłem badania nad wyobrażeniami religijnymi Indian z południowego zachodu. – Gość przerwał. – Naturalnie nie były one tak dogłębne i poważne jak pańskie.

Willson chrząknął.

– Przypuszczam, że nie możesz poświęcić trzydziestu lat na podobne badania – rzekł możliwie najskromniej – aby twoje nazwisko nie było znane w pewnych kręgach.

Gość się uśmiechnął.

– Jestem zaszczycony, że mogę pana poznać. Nazywam się Pendergast.

Willson podał mu rękę i zdziwił się, że dłoń tamtego była nieprzyjemnie delikatna i wiotka. Sam szczyił się siłą i mocnym uściskiem dłoni.

– Miło wiedzieć, że kontynuuje pan swoje badania – ciągnął Pendergast. – Tak niewiele naprawdę wiadomo o kulturze południowego zachodu.

– To prawda – przytaknął szczerze Willson. Przepęniała go osobliwa duma. Jak dotąd nikt nie przejawiał najmniejszego zainteresowania jego pracą, a co dopiero mówić o kimś, kto mógłby wdać się z nim w fachową dyskusję. Naturalnie ten Pendergast znał się na indiańskich fetyszach jak kura na pieprzu, ale...

– Szczerze mówiąc, chętnie jeszcze bym na ten temat popolemizował – rzekł Pendergast – ale obawiam się, że zabrałem panu już dostatecznie dużo czasu.

– Ależ skąd – zaproponował Willson. – O co pan pytał? O plansze z Upper West Side z pięćdziesiątego szóstego?

Pendergast pokiwał głową.

– I jeszcze o jedno, jeżeli można prosić. Z tego, co wiem, w latach dwudziestych na specjalne zlecenie dokonano inspekcji istniejących tuneli w celu sporządzenia ich map dla sieci Interborough Rapid Transit. Czy to się zgadza?

Willsonowi opadła szczęka.

– Ale... to w sumie sześćdziesiąt map – powiedział zduszonym głosem.

– Rozumiem – rzekł Pendergast. – Zatem to wbrew przepisom.

Wydawał się zasmucony i zakłopotany.

Nagle Willson się uśmiechnął.

– Jeżeli nikomu pan o tym nie powie, to ja również zachowam to w sekrecie – oznajmił, zadowolony z własnej lekkomyślności. – I proszę się nie przejmować, że już niedługo zamykamy. Przepisy są po to, aby je łamać, nieprawdaż?

Dziesięć minut później wyłonił się z mroków magazynu, pchając przed sobą po zniszczonym parkiecie ciężki, wyładowany mapami wózek.

## 25

Smithback przestąpił próg Czterech Pór Roku, pragnąc jak najszybciej pozostawić za sobą upał, smród i zgiełk Piątej Alei. Miarowym krokiem zbliżył się do kontuaru. Siedział tam wielokrotnie, z zazdrością rozglądając się po sali ponad obrazem Picassa ku nieosiągalnemu Edenowi poza nim. Tym razem jednak nie zasiadł przy barze, lecz podszedł do maître d'hôtel. Wystarczyło podać jedno nazwisko i oto on, Smithback, poprowadzony został w głąb korytarza marzeń ku znajdującej się za nim wytwornej, ekskluzywnej restauracji.

Wszystkie stoliki w Pool Roomie były zajęte, a jednak w przestronnej sali panowała osobiwa cisza i spokój. Dziennikarz, mijając potentatów przemysłowych, mogółów wydawniczych i baronów kauczukowych, dotarł do jednego z najlepszych stolików, obok fontanny. Siedziała już przy nim pani Wisher.

– Panie Smithback – rzekła. – Cieszę się, że pan przyszedł. Proszę usiąść.

Smithback zajął miejsce naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu, rozglądając się dyskretnie. Lunch zapowiadał się obiecująco, Smithback miał nadzieję, że wystarczy mu czasu, by móc się nim nacieszyć.

Dopiero co zaczął pisanie nowego artykułu, który powinien okazać się prawdziwą bombą, i musiał dostarczyć go do redakcji najpóźniej do osiemnastej.

– Może kieliszek amarone? – zapytała pani Wisher, wskazując butelkę czekającą obok stolika.

Kobieta miała na sobie szafranową bluzkę i plisowaną spódnicę.

– Poproszę – odrzekł Smithback, odnajdując jej spojrzenie. Był bardziej rozluźniony niż podczas ich ostatniego spotkania w ciemnym pokoju, z oskarżycielsko rozłożonym na stoliku egzemplarzem „Post”. Napisany przez niego nekrolog dla „Anioła Central Park South”, obiecana przez redakcję nagroda i życzliwy artykuł traktujący o demonstracji na Grand Army Plaza sprawiły, że spodziewał się z jej strony znacznie cieplejszego przyjęcia.

Pani Wisher skinęła na kelnera podającego wina, zaczęła, aż ten podejdzie, napełni kieliszek dziennikarza i oddali się, po czym niemal niedostrzegalnie wychyliła się do przodu.

– Zapewne zastanawia się pan, panie Smithback, co skłoniło mnie, aby zaprosić pana dzisiaj na lunch.

– Przyznaję, że tak. – Smithback skosztował wina, było wyborne.

– Wobec tego nie będę dłużej trzymać pana w niepewności. Już wkrótce w tym mieście będą miały miejsce pewne wydarzenia. Chciałabym, aby stał się pan ich dokumentalistą.

Smithback odstawił kieliszek.

– Ja?

Kącki ust pani Wisher uniosły się ku górze w grymasie mogącym znamionować uśmiech.

– Ach. Zdziwił się pan. Szczerze mówiąc, spodziewałam się takiej reakcji. Jednakże widzi pan, panie Smithback, od czasu naszego ostatniego spotkania przeprowadziłam, nazwijmy to, drobne śledztwo. I przeczytałam pańską książkę o morderstwach w muzeum.

– Kupiła pani egzemplarz? – zapytał Smithback z nadzieją w głosie.

– Znalazłam pańską książkę w bibliotece publicznej przy Amsterdam Avenue. To bardzo ciekawa lektura. Nie wiedziałam, że znalazł się pan w samym centrum tych wydarzeń.

Smithback obrzucił szybkim spojrzeniem twarz pani Wisher, lecz nie dostrzegł na niej sarkastycznego grymasu.

– Przeczytałam również pański artykuł na temat naszego wiecu – ciągnęła pani Wisher. – Miał pozytywną wymowę, której brakowało podobnym artykułom w innych gazetach. – Machnęła ręką. – Poza tym chciałam podziękować panu za to, co się stało.

– Naprawdę? – zapytał z lekkim niepokojem dziennikarz.

Pani Wisher skinęła głową.

– To pan mnie przekonał, że jedynym sposobem na zwrócenie uwagi miasta jest dać mu zdrowo popalić. Pamięta pan swój komentarz? Ludzie w tym mieście zwracają na coś uwagę dopiero wtedy, gdy rzuci się im to w oczy. Gdyby nie pan, nadal siedziałabym w swoim salonie, śląc kolejne listy do burmistrza, zamiast wykorzystać swój smutek w bardziej produktywny sposób.

Smithback pokiwał głową. Ta niezbyt wesoła wdówka miała rację.

– Od czasu wiecu nasz ruch stale się rozrasta – powiedziała pani Wisher. – Trafiliśmy w czuły punkt. Ludzie się jednoczą, ludzie zamożni i wpływowi. Sęk w tym, że nasze przesłanie dotyczy także przeciętnych, szarych ludzi, nawet tych najuboższych. I do nich właśnie może pan dotrzeć za pośrednictwem swojej gazety.

Choć Smithback nie lubił, gdy przypomniano mu, że jego gazeta skierowana była do zwykłych zjadaczy chleba, zachował spokój i niewzruszoną powagę. Poza tym był tam i wszystko widział. Zanim wiec dobiegł końca, na placu pojawiła się ich całkiem spora grupa, pili alkohol, hałasowali, liczyli na rozróbę.

– A oto, co chcę panu zaproponować. – Pani Wisher dotknęła koniuszkami palców o starannie wymanikiurowanych małych paznokciach skraju białego jak śnieg obrusa. – Gwarantuję panu nieograniczony dostęp do planów, spotkań organizacyjnych, jak i późniejszych bezpośrednich działań kampanii „Odzyskajmy nasze miasto”. Wiele z tych działań nie zostanie celowo rozgłoszonych; prasa, podobnie jak policja, dowie się o nich późno, tak by nie mogła popsuć nam szyków. Pan wszelako zostanie wprowadzony do mego



kregu. Będzie pan wiedział, czego się spodziewać i kiedy nastąpi kolejne uderzenie. Jeżeli pan zechce, będzie mógł mi towarzyszyć. A potem da pan popalić swoim czytelnikom.

Smithback był podekscytowany, ale usiłował zachować pokerową twarz. To zbyt piękne, aby było prawdziwe, pomyślał.

– Zakładam, że chciałby pan opublikować następną książkę – ciągnęła pani Wisher. – Kiedy tylko kampania „Odzyskajmy nasze miasto” osiągnie kulminację i zakończy się sukcesem, otrzyma pan moje błogosławieństwo. Z chęcią udzielię panu nie jednego, lecz wielu wywiadów. Poza tym Hiram Bennett, naczelny z Cygnus House, jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. Sądzę, że będzie zainteresowany pańskim rękopisem. Na pewno chętnie go przejrzy.

O Jezu, pomyślał Smithback, Hiram Bennett, wydawca przez duże W. Wyobrażał sobie podbijanie cen pomiędzy Cygnus House a Octavo, wydawnictwem, które opublikowało jego książkę o wydarzeniach w muzeum. Poleci swemu agentowi przeprowadzenie aukcji, ustali cenę wyjściową na dwieście tysięcy dolarów, nie, na dwieście pięćdziesiąt tysięcy i zażąda dziesięć procent udziału ze sprzedaży i...

– W zamian poproszę o jedno. – Chłodny ton pani Wisher wyrwał go z zamyślenia. – Od tej pory zajmie się pan naszą kampanią. Chcę, aby pańskie artykuły dotyczyły wyłącznie naszej sprawy.

– Co? – wykrztusił Smithback. – Pani Wisher, specjalizuję się w sprawach kryminalnych. Moja praca zobowiązuje mnie do regularnego publikowania artykułów traktujących o rozmaitych zbrodniach i przestępstwach.

Wizja sławy literackiej, którą się napawał, przygasła nagle, zastąpiona gniewnym obliczem naczelnego, Arnolda Murraya, domagającego się kolejnego artykułu.

Pani Wisher pokiwała głową.

– Rozumiem. Wydaje mi się, że w ciągu kilku dni znajdę dla pana dostatecznie interesujący temat, prawdziwą bombę. O szczegółach dowie się pan, gdy tylko wszystko dopracuję. Proszę mi zaufać, jestem pewna, że współpraca przyniesie korzyści nam obojgu.

Smithback myślał intensywnie. Za kilka godzin powinien oddać do druku artykuł zawierający informacje zebrane przez niego w poufny sposób podczas konferencji w muzeum. Już i tak raz przełożył termin w nadziei, że zdoła pozyskać garść dodatkowych informacji. Dzięki tej historii znajdzie się na szczycie, spychając w cień tego parszywca, Bryce'a Harrimana.

Czy aby na pewno? Nagroda wyraźnie już spowszedniała, a on wciąż nie miał świeżego tropu. Artykuł o Mephiście nie wzbudził tak szerokiego oddźwięku, jakiego oczekiwał Smithback. Nie było żadnych dowodów, że śmierć koronera, choć niewątpliwie podejrzana, mogła być w jakiś sposób powiązana z tą sprawą. No i, rzecz jasna, gdyby wyszło na jaw, że podstępem dostał się do muzeum, mógłby ponieść surowe konsekwencje.

Cóż, może właśnie sprawa Wisher okaże się bombą, której tak gorączkowo poszukiwał. Instynkt dziennikarski podpowiadał mu, że należało pójść tym tropem. Zawsze mógł zadzwonić do redakcji, skłamać, że zachorował, i przełożyć termin oddania artykułu o dzień lub dwa.

Kiedy osiągnie ostateczny cel – a wraz z nim sukces – i tak wszystko zostanie mu wybaczone.

Uniósł wzrok.

– Dobrze, pani Wisher, zgadzam się.

– Proszę mi mówić Anette – powiedziała, odwracając wzrok od jego twarzy i kierując go ku karcie menu, leżącej na stoliku tuż obok jej łokcia. – Proponuję, abyśmy coś zamówili. Polecam zwłaszcza przegrzebki w liściach cytrynowych z kawiolem. Tutejszy szef kuchni przyrządza je naprawdę wybornie.

## 26

Hayward skręciła w Siedemdziesiątą Drugą Ulicę i przystanęła, z niedowierzania marszcząc brwi na widok budynku piaskowego koloru, który ujrzała przed sobą. Wyjęła z kieszeni świstek papieru, na którym zapisała adres, i ponownie uniosła wzrok.

To nie była pomyłka. Budynek ten przypominał bardziej dom rodziny Addamsów z popularnej kreskówki w dwudziestokrotnym powiększeniu niż wytworny, manhattański apartamentowiec. Potężna budowla wznosiła się na wysokość ośmiu pięter w górę. Ponad fasadą zwieszały się, niczym ogromne brwi, obejmujące dwa piętra szczyty. Obramowany miedzią, pokryty dachówką łupkową dach budowli najeżony był kominami, wieżyczkami, iglicami i kwiatonami, brakowało tylko małego ganku otoczonego zgrabną balustradą. A może bardziej na miejscu byłyby tu wąskie pionowe otwory strzelnicze, pomyślała Hayward. Budowla nosiła nazwę Dakota. Dziwna nazwa dla osobliwego budynku. Słyszała o nim, lecz nigdy dotąd nie widziała. No cóż, rzadko miała okazję bywać w Upper West Side.

Pomaszerowała w stronę łukowatego wejścia, wykutego w południowej ścianie budynku. Strażnik w stróżówce zapytał o jej nazwisko, po czym gdzieś zatelefonował.

– Hol południowo-zachodni – powiedział, odkładając słuchawkę i wyjaśniając, jak ma tam dotrzeć.

Minęła go i weszła w głąb ciemnego tunelu.

Po drugiej stronie przejścia rozciągało się rozległe wewnętrzne podwórze. Hayward przystanęła na chwilę, spoglądając na spiżowe fontanny, i pomyślała, że pretensjonalność, nawet tak starannie tuszowana, wydawała się w zachodniej części Manhattanu zupełnie nie na miejscu. Skręciła w prawo i skierowała się ku najbliższemu narożnikowi podwórza. Przeszła przez wąski hol i weszła do windy, naciskając szczupłym palcem guzik.

Winda zaczęła powoli sunąć w górę, a gdy jej drzwi otworzyły się, policjantka ujrzała za nimi nieduże prostokątne pomieszczenie.

Wysiadła z kabiny i w ścianie po przeciwległej stronie dostrzegła pojedyncze drzwi z ciemnego polerowanego drewna. Drzwi windy zamknęły się z sykiem, kabina zaczęła zjeżdżać, pozostawiając Hayward w ciemnościach. Policjantka zastanawiała się przez chwilę, czy może wysiadła na niewłaściwym piętrze. Nagle rozległ się jakiś szmer i dłoń kobiety instynktownie zacisnęła się na kolbie służbowego rewolweru.

– Sierżant Hayward. Wyśmienicie. Proszę wejść. – Nawet w ciemnościach Hayward bez trudu rozpoznała ten miódopłynny głos z charakterystycznym południowym akcentem. Znajdujące się nieopodal drzwi otworzyły się i pojawił się w nich agent Pendergast; w słabym świetle napływającym z pokoju było widać jego szczupłą sylwetkę.

Hayward weszła do środka, a Pendergast zamknął za nią drzwi. Choć pokój nie był duży, wysoki sufit przydawał mu wspaniałości i wielkości.

Hayward z zaciekawieniem rozejrzała się dokoła. Trzy ściany pomalowane były na ciemnoróżowo, a przy podłodze i pod sufitem dostrzec można było eleganckie ciemne listwy. Światło dochodziło spoza czegoś, co przypominało cienkie jak papier płatki agatu oprawne w spizowe instalacje muszelkowatego kształtu wpuszczone w ścianę powyżej poziomu oczu. Czwartą ścianę pokrywał czarny marmur. Po marmurowej płycie, szumiąc łagodnie, spływały wyglądające jak szkło cienkie strugi wody, by zniknąć w zaopatrzonej w liczne otwory odpływowe rynnie w posadzce. W pokoju stało kilka niedużych skórzanych kanap; ich podstawy tonęły w gęsto tkanym, grubym dywanie. Jediną ozdobę mieszkania stanowiło kilka obrazów i dziwnie poskręcanych roślinek ustawionych na niewysokich lakierowanych stolikach.

W pokoju panował niezwykle wręcz porządek, nie było tu żadnych pajęczyn ani zalegającego kurzu. Choć policjantka wiedziała, że gdzieś tu musiały znajdować się drugie drzwi wiodące do dalszej części mieszkania, ich obrys był zbyt dobrze ukryty, aby zdołała go dostrzec.

– Proszę usiąść, gdzie pani zechce, panno Hayward – rzekł Pendergast. – Czy mogę zaproponować coś do picia?

– Nie, dziękuję – odparła Hayward, wybierając miejsce tuż przy drzwiach i zagłębiając się z rozkoszą w miękkiej, czarnej skórce.

Spojrzała na obraz wiszący na przeciwległej ścianie, płótno impresjonistów przedstawiające wiejski pejzaż ze stogami siana i różowym zachodem słońca, które wydało się jej dziwnie znajome.

– Miłe miejsce. Choć budynek, powiedziałabym, dość osobliwy.

– My, lokatorzy, mówimy o nim „ekscentryczny” – rzekł Pendergast. – Niemniej jednak na przestrzeni dziejów z pewnością znalazłoby się wiele osób podzielających pani opinię. Nazwano tę budowlę Dakota, gdyż w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym ta

część miasta wydawała się równie odległa jak terytorium Indian. Tak czy inaczej, to solidna budowla, trwała i mocna, dokładnie taka, jakie lubię. Wzniesiona na skalnym podłożu, jej ściany tuż nad ziemią mają grubość prawie trzydziestu cali. Nie przysłała tu pani jednak na wykład o architekturze. Szczerze mówiąc, cieszę się, że w ogóle zechciała się pani tutaj pofatygować.

– Żartuje pan? – zapytała Hayward. – Miałyby ominąć mnie okazja obejrzenia chaty agenta Pendergasta? W naszych kręgach stał się pan prawdziwą legendą. Tak jakby pan o tym nie wiedział.

– Uspokoiła mnie pani – odparł Pendergast, zagłębiając się w fotelu. – Ale obawiam się, że na tym pani wycieczka się kończy. Rzadko przyjmuję tu gości. Uznałem wszelako, że będzie to najlepsze miejsce na małą pogawędkę.

– A to dlaczego? – zapytała Hayward, rozglądając się dokoła.

Nagle jej wzrok padł na najbliższy z lakierowanych stolików.

– Hej! – zawołała, wskazując ręką niedużą roślinę ustawioną na blacie. – To bonsai. Miniaturowe drzewko. Mój sensei w dojo, gdzie trenuję karate, ma ich kilka.

– Gingko biloba – odrzekł Pendergast. – Włoski złotowłos. Jedyny istniejący do dziś członek roślin drzewiastych, które przetrwały od czasów prehistorycznych. Po prawej ma pani grupę roślin z gatunku klonów karłowatych. Jestem szczególnie dumny z ich naturalnego wyglądu. Drzewka te jesienią zmieniają kolor. Stworzenie tej kompozycji zajęło mi w sumie dziewięć lat. Pani sensei bez wątpienia powiedziałaby, że sekret tworzenia kompozycji grupowych polega na dodawaniu kolejnych drzewek w odpowiednich odstępach czasu aż do chwili, gdy liczenie pni będzie wymagać od ich właściciela skupienia i koncentracji. Wtedy wiadomo, że kompozycja jest gotowa.

– Dziewięć lat? – powtórzyła Hayward. – Chyba ma pan sporo wolnego czasu.

– Nie bardzo. Bonsai to jedna z moich pasji. To sztuka, której tworzeniu nigdy nie ma końca. Poza tym stwierdziłem, że tworzenie na poły sztucznego, na poły naturalnego piękna bardzo mnie uspokaja.

Założył nogę na nogę, czarny garnitur agenta niemal zlewał się w jedno z ciemną skórą, po czym machnął ręką, aby zmienić temat.

– Dość już tych pochlebstw. Załedwie przed chwilą pytała pani, dlaczego uznałem, że właśnie to miejsce jest najlepsze na naszą pogawędkę. Odpowiem krótko: dlatego, że chcę dowiedzieć się od pani możliwie jak najwięcej na temat bezdomnych żyjących pod ziemią.

Hayward milczała.

– Pracowała pani z nimi – ciągnął Pendergast. – Badała ich pani. Jest pani ekspertem w tym temacie.

– Nikt poza panem tak nie uważa.

– Gdyby zastanowili się choć przez chwilę, na pewno doszliby do tego samego wniosku. Jeżeli o mnie chodzi, rozumiem, dlaczego jest pani tak przeczulona na punkcie swojej

dysertacji. Poza tym wydawało mi się, że poczuje się pani swobodniej, gdy spotkamy się po pani służbie w jakimś ustronnym, cichym miejscu, z dala od komendy głównej czy posterunku policji.

Facet ma rację, skonstatowała Hayward. Ten dziwny, kojący pokój ze strugami wody z szumem spływającymi po ścianie, emanujący surowym, lecz bezsprzecznym pięknem, wydawał się jej tak odległy od gabinetów na komendzie, że równie dobrze mógłby znajdować się na Księżycu. Usadowiona w miękkim skórzanym fotelu poczuła, że zaczyna z wolna zatracać ostrożność i czujność. Pozwoliła sobie na odrobinę rozluźnienia. Zastanawiała się, czy nie zdjąć ciężkiego, szerokiego skózanego pasa z bronią, ale było jej zbyt wygodnie, aby zechciała się choćby poruszyć.

– Byłem na dole dwukrotnie – rzekł Pendergast. – Za pierwszym razem chciałem jedynie sprawdzić skuteczność swego przebrania i trochę się rozejrzeć, ot, taki mały rekonesans; za drugim razem chciałem odnaleźć Mephista, przywódcę bezdomnych. Jednak kiedy go spotkałem, okazało się, że zlekceważyłem wiele spraw. Moc i głębię przekonań, w które wierzy. I liczebność jego popleczników.

– Nikt nie wie dokładnie, ilu bezdomnych żyje pod ziemią – odrzekła Hayward. – Na pewno jednak liczba ta jest większa, niż moglibyśmy przypuszczać. Co się tyczy Mephista, jest on chyba najśłynniejszym spośród podziemnych burmistrzów. Jego społeczność jest największa ze wszystkich. Jej trzon stanowią weterani wojny w Wietnamie i żywe relikty z lat sześćdziesiątych. Po pierwszych morderstwach zaczęli dołączać do nich inni. Niżej położone tunele pod Central Parkiem należą właśnie do Mephista i jego kompanów.

– Zdumiewa mnie różnorodność ludzi, których tam spotkałem – ciągnął Pendergast. – Spodziewałem się jednego, może dwóch przeważających typów zwichrowanej osobowości, a miast tego ujrzałem przekrój całego barwnego i mocno zróżnicowanego społeczeństwa.

– Nie wszyscy bezdomni schodzą pod ziemię – odrzekła Hayward. – Trafiają tam ci, którzy boją się przytulisk, nie cierpią kuchni polowych i dworców, samotnicy, dziwacy, maniacy religijni. Zaczynają od tuneli metra. Potem schodzą coraz niżej. Proszę mi wierzyć, jest tam mnóstwo kryjówek.

Pendergast skinął głową.

– Już podczas pierwszej wycieczki byłem porażony ogromem tego miejsca. Poczulem się jak Lewis i Clark wyruszający na podbój nie zbadanego i nie opisanego na mapach terytorium.

– To, co pan widział, to zaledwie wierzchołek góry lodowej. Mamy tu w sumie dwa tysiące mil opuszczonych lub na wpół ukończonych korytarzy oraz kolejne pięć tysięcy mil tuneli, które wciąż są w użyciu. Podziemne pomieszczenia, zamknięte, zaplombowane i zapomniane. – Hayward wzruszyła ramionami. – Słyszał pan te historie. O schronach atomowych wybudowanych potajemnie przez Pentagon w latach pięćdziesiątych, aby mogły się w nich ukryć grube ryby z Wall Street. Niektóre z nich nadal mają bieżącą wodę, prąd i

zapasy konserwowej żywności. A siłownie z zapomnianymi urządzeniami, stare kanały ściekowe z rurami z drewna? To wielki, na wpół obłąkany, zaginiony świat.

Pendergast wychylił się nieco do przodu.

– Sierżancie Hayward – rzekł półgłosem. – Czy słyszała pani o Diabelskim Poddaszu?

Hayward skinęła głową.

– Owszem, słyszałam.

– Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie się ono znajduje albo jak mógłbym je odnaleźć?

Zapadła cisza. Policjantka zastanawiała się dość długo.

– Nie. Jeden czy dwóch bezdomnych wspominało o nim podczas naszych akcji, gdy przeganiał ich z kanałów. Tyle tylko, że podczas służby można było nasłuchać się tylu bzdur, że z czasem wszystko, co do mnie mówili, zaczęłam traktować jak kompletny bełkot.

– Czy jest ktoś, z kim mógłbym pomówić i kto wiedziałby coś więcej na ten temat?

Hayward poruszyła się lekko.

– Może z Alem Diamondem – zasugerowała, ponownie kierując wzrok na sielankowy pejzaż. To zdumiewające, pomyślała, jak kilkoma pociągnięciami pędzla można uchwycić tak wyraźny i zachwycający obraz. – To inżynier służb miejskich, prawdziwy znawca, jeżeli chodzi o struktury podziemne. Zawsze go wzywają, gdy jest poważniejsza awaria albo kiedy zaczynają kopać nowy tunel pod przewody gazowe. – Przerwała. – Nie widziałam go od jakiegoś czasu. Może kupił farmę.

– Że co, proszę?

– No... umarł. Nie żyje.

Nastąpiła cisza, zakłócona jedynie cichym szumem płynącej wody.

– Jeśli zabójcy zajęli jakiś sekretny podziemny kompleks, już sama liczba bezdomnych w znacznym stopniu utrudni nam zadanie – odezwał się wreszcie Pendergast.

Hayward oderwała wzrok od pejzażu ze stogami i przeniosła go na agenta.

– Będzie jeszcze gorzej – powiedziała.

– To znaczy?

– Nadchodzi jesień. Za kilka tygodni bezdomni zaczną całymi tabunami schodzić do tuneli przed zimą. Jeśli ma pan rację co do tych zabójców, wie pan, co to oznacza.

– Nie. Nie wiem – zaproponował Pendergast. – Może pani mi powie.

– Że już wkrótce zostanie otwarty sezon łowiecki – odrzekła Hayward, ponownie koncentrując wzrok na obrazie.

Odcinek brudnej, zaniedbanej alei przemysłowej kończył się starym, podniszczonym nabrzeżem, którego część dawno temu znikła w mrocznych odmętach East River. W oddali rozciągała się panorama Wyspy Roosevelta, z mostem przy Pięćdziesiątej Ulicy.

Po drugiej stronie rzeki cienka szara wstęga FDR Drive wiodła wzdłuż gmachu ONZ-etu i biurowców przy Sutton Place. Ładny widok, pomyślał D'Agosta, wysiadając z nie oznakowanego auta. Ładny widok, fatalna okolica.

Ulica skąpana była w promieniach sierpniowego słońca, rozmiękczających asfalt i sprawiających, że nad chodnikami unosiły się fale żaru. Rozpinając kołnierzyk, D'Agosta ponownie sprawdził adres otrzymany w dziale personalnym Muzeum – Long Island City, Dziewięćdziesiąta Czwarta Aleja, numery od jedenaście do czterdzieści sześć. Zlustrował wzrokiem okoliczne budynki, zastanawiając się, czy to nie jakaś pomyłka. Ta dzielnica nie wyglądała raczej na mieszkalną. Przy ulicy stały stare magazyny i opuszczone zakłady produkcyjne. Choć dochodziło dopiero południe, dokoła prawie nie było ludzi; o tym, że cokolwiek się tu działo, mogła świadczyć zdezelowana ciężarówka wyjeżdżająca z magazynu za zakrętem.

D'Agosta pokręcił głową. Jeszcze jedna ślepa uliczka, psia jej mać. To wszystko sprawka Waxiego, który przydzielił mi najgorsze, w jego mniemaniu, zadanie.

Drzwi pod numerem 11-46 były wykonane z grubego metalu, porysowane, poobijane i pokryte chyba dziesięcioma warstwami czarnej farby. Jak wszystkie inne budynki przy tej ulicy, ten również wyglądał na opuszczony magazyn. D'Agosta nacisnął stary dzwonek i odczekawszy chwilę bez żadnego rezultatu, załomotał do drzwi. Cisza.

Zaczekał kilka minut, po czym wślizgnął się w wąską uliczkę z boku magazynu. Wspinając się na rulony kruszejącej papy, D'Agosta dotarł do okienka z szybą wzmocnioną drucianą siatką; szkło było popękane, osnute pajęczynami i tak brudne, że prawie nieprzejrzyste. Porucznik wytarł szybę krawatem i zajrzał do środka.

Gdy jego wzrok przyzwyczał się do panującego wewnątrz półmroku, policjant ujrzał rozległe, puste pomieszczenie. Słabe smugi światła kładły się wąskimi pasmami na pokrytej plamami betonowej podłodze. Po drugiej stronie znajdowały się schody wiodące zapewne do pomieszczenia brygadzysty. I to było wszystko.

W alejce rozległ się nagle odgłos czyichś kroków. D'Agosta odwrócił się i ujrzał mężczyznę biegnącego w jego kierunku z długim, błyszczącym nożem rzeźnickim w garści. Porucznik odruchowo zeskoczył na ziemię, równocześnie dobywając broni.

Mężczyzna, ujrawszy pistolet, stanął jak wryty. Obrócił się na pięcie, zamierzając uciec.

– Stój! – rzucił D'Agosta. – Policja!

Mężczyzna znów się odwrócił. I nagle, ni stąd, ni zowąd, uśmiechnął się szeroko.

– Coś takiego! – mruknął sarkastycznie. – Glina! W tej parszywej okolicy! Kto by pomyślał?

Wciąż stał bez ruchu, uśmiechając się. Był najdziwniejszą osobą, jaką D'Agosta widział w swoim życiu: ogolony na tyso, z czaszką pomalowaną na zielono i małą kozią bródką; nosił okulary á la Trocki, koszulę przypominającą włosiennicę i czerwone trampki.

– Rzuć nóż! – warknął D'Agosta.

– Hej, spoko! – rzekł mężczyzna. – Wziąłem pana za złodzieja.

– Rzuć nóż, powiedziałem.

Uśmiech znikł z twarzy tamtego. Upuścił nóż na chodnik.

D'Agosta kopnięciem odrzucił go na bok.

– Teraz odwróć się powoli i oprzyj dłonie o ścianę. Rozstaw szeroko nogi.

– Jesteśmy w Stanach czy w komunistycznych Chinach? – zaoponował mężczyzna.

– Zrób to – rozkazał D'Agosta.

Mężczyzna, sarkając, wypełnił polecenie, policjant obszukał go wprawnie, ale nie znalazł niczego prócz portfela. Otworzył go. Zgodnie z zapisem w prawie jazdy mężczyzna mieszkał nieopodal.

D'Agosta schował broń i oddał portfel tamtemu.

– Wie pan, panie Kirtsema, niewiele brakowało, a pociągnąłbym za spust.

– A skąd miałem wiedzieć, że pan blacharz? Sądziłem, że idziesz pan na włam. – Mężczyzna cofnął się od ściany, ocierając jedną dłoń o drugą. – Nie masz pan pojęcia, ile razy mnie napadali. A wy nic. Jesteś pan pierwszym gliną, którego tu widzę od wielu miesięcy i...

D'Agosta uciszył go ruchem ręki.

– Niech pan po prostu będzie ostrożniejszy. Poza tym nie umie pan posługiwać się nożem. Gdybym faktycznie był włamywaczem, najprawdopodobniej już by pan nie żył.

Mężczyzna potarł nos, mamrocząc coś do siebie niezrozumiale.

– Mieszka pan niedaleko? – zapytał D'Agosta. Nie potrafił pojąć, dlaczego ten człowiek pomalował sobie łysinę na zielono. Starał się na niego nie patrzeć.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Od jak dawna?

– Będzie ze trzy lata. Mieszkałem przez jakiś czas w Soho, na poddaszu, ale mnie stamtąd wyrzucili. To jedyne miejsce, które udało mi się znaleźć, gdzie mogę robić swoje i nikt się tym nie przejmuje.

– A czym pan się zajmuje?

– Trudno to wytłumaczyć. – Mężczyzna stał się nagle nieufny i czujny. – Niby dlaczego miałbym to panu powiedzieć?

D'Agosta sięgnął do kieszeni i wyjąwszy legitymację, błysnął tamtemu blachą przed oczami. Mężczyzna spojrzał na odznakę.



– Wydział zabójstw, co? Zabili tu kogoś czy jak?

– Nie. Czy moglibyśmy wejść do środka? Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Mężczyzna spojrział na niego podejrzliwie.

– Czy to przeszukanie? Nie powinien pan mieć nakazu?

D’Agosta przełknął ślinę, urażony bezczelnością tamtego.

– To nie oficjalnego. Chcę zapytać pana o człowieka, który mieszkał w tym magazynie. Nazywał się Kawakita.

– Naprawdę? Tak się nazywał? Był z niego nielichy dziwak, nie powiem. Cudak na sto dwa. – Wyprowadziwszy D’Agostę z uliczki, mężczyzna nazwiskiem Kirtsema otworzył czarne metalowe drzwi swojej samotni.

Znalazłszy się w środku, D’Agosta stwierdził, że trafił do kolejnego magazynu, równie rozległego jak ten, do którego zaglądał, o ścianach pomalowanych na kościstobiało. Pod ścianami stało wiele metalowych kubłów o dziwnych kształtach, wypełnionych śmieciami. W jednym kącie umieszczono uschłą palmę. Pośrodku pomieszczenia D’Agosta dostrzegł zwieszające się pękami z sufitu niezliczone czarne sznurki. Wyglądało to jak upiorny las księżycowy. W przeciwnym rogu stała połówka, były tam również sedes i kuchenka. I to było wszystko.

– Co to takiego? – spytał D’Agosta, muskając palcami sznurki.

– Boże, tylko niech ich pan nie splącze! – Kirtsema omal nie przewrócił D’Agosty, spiesząc, by zapobiec tragedii. – Nie powinny w ogóle stykać się ze sobą – rzucił urażony, manipulując przy sznurkach.

D’Agosta cofnął się.

– Co to ma być? Jakiś eksperyment?

– Nie. To sztuczne środowisko, przedstawienie pierwotnej dżungli, z której wszyscy się wywodzimy, w przełożeniu na warunki nowojorskie.

D’Agosta z niedowierzaniem spojrział na sznurki.

– Więc to jest sztuka? Kto to ogląda?

– To sztuka konceptualna – wyjaśnił z irytacją Kirtsema. – Nikt jej nie ogląda. Bo nie służy do oglądania. Wystarczy, że istnieje. Sznurki nie powinny się stykać, tak jak i my, ludzie, nie stykamy się ze sobą, bo nigdy tak naprawdę nie wchodzimy w prawdziwe interakcje. Jesteśmy sami. Ten cały świat jest niewidoczny, podobnie jak my wirujemy pośród kosmosu niewidoczni. Jak powiedział Derrida, sztuka to to, co nie jest sztuką. Znaczący to...

– Wiedział pan, że miał na imię Gregory?

– Jacques. Jacques Derrida. Nie Gregory.

– Chodziło mi o tego mężczyznę z budynku obok.

– Jak już wspomniałem, nie znałem nawet jego nazwiska. Unikałem go jak zarazy. Podejrzewam, że zjawił się pan tu z powodu skarg.

– Skarg?

– Tak. Wydzwaniałem do was bez przerwy. Zjawiliście się parę razy, a potem nic. Cisza. Zero reakcji. – Zamrugał. – Nie, wróć. Pan jesteś z wydziału zabójstw. Czy on kogoś zabił?

D’Agosta nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni marynarki notes i otworzył.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Wprowadził się tu mniej więcej dwa lata temu. Z początku wydawał się całkiem spokojny i cichy. I nagle zaczęły zjawiać się te ciężarówky, do środka wnoszono jakieś paki i skrzynie. Potem zaczęły się hałasy. Zawsze rozlegały się w nocy. Tylko w nocy. Łomotania. Trzaski. I ten smród... – Kirtsema zmarszczył nos z obrzydzeniem. – Jakby palono coś kwaśnego. Od środka pomalował okna na czarno, ale jedno z nich zostało któregoś razu stłuczone i zanim je wymieniono, zdążyłem zajrzeć do środka. – Uśmiechnął się. – Wnętrze wyglądało dziwnie. Zobaczyłem mikroskopy, zlewki, retorty – coś w nich wrzało; obok stały wielkie, szare, metalowe skrzynie ze światełkami, no i były też akwaria...

– Akwaria?

– Całe rzędy akwariów, było ich mnóstwo, stały jedne na drugich. Wielkie, pełne alg. Widocznie facet był jakimś uczonym czy kimś takim. – Kirtsema wymówił słowo uczony z wyraźnym niesmakiem. – Robił sekcje albo może preparował zwierzaki. Nie lubię takiego sposobu postrzegania świata. Jestem holistyką, sierzancie.

– Rozumiem.

– Któregoś dnia przyjechali z elektrowni. Powiedzieli, że muszą podłączyć do tych jego szpej specjalną linię, taką bardziej przemysłową czy jakoś tak. I wyłączyli mi prąd na dwa dni! Na dwa dni! Ale z elektrownią nie wygrasz, możesz się skarżyć, to jak grochem o ścianę. Bezduszni biurokraci!

– Czy ktoś go odwiedzał? – zapytał D’Agosta. – Miał jakichś przyjaciół?

– Goście! – Kirtsema parsknął. – To była ostatnia kropla, która przeppełniła czarę. Zaczęli schodzić się do niego ludzie. Zawsze przychodzili nocą. Mieli specjalny sposób pukania, taki sygnał. Wiedziałem, że kroi się tam coś poważnego. Sądziłem, że chodzi o prochy. Przyjechały gliny, sprawdziły, stwierdziły, że nie dzieje się tam nic nielegalnego, i tyle ich widziałem. – Pokręcił głową, rozgoryczony wspomnieniem porażki. – I tak się to ciągnęło. Dzwoniłem po gliny, skarżąc się na hałasy i smród, ale po drugiej wizycie przestali przyjeżdżać na wezwania. Wreszcie któregoś dnia, jakoś tak rok temu, zawitał do mnie ten facet. Zjawił się bez zapowiedzi, przyszedł około dwudziestej trzeciej.

– Czego chciał? – spytał D’Agosta.

– Nie wiem. Chyba chciał zapytać, dlaczego nasyłam na niego policję. Wiem jedno, gość napędził mi niezłego stracha. Był wrzesień, prawie tak gorąco jak teraz, ale facet miał na sobie obszerny płaszcz z wielkim kapturem. Stał w cieniu i nie mogłem zobaczyć jego twarzy. Po prostu tam stał w ciemnościach i zapytał, czy może wejść. Ja mu na to, że nie. Tylko tyle mogłem zrobić, sierzancie, żeby nie zatrzasnął mu drzwi przed nosem, a miałem taki zamiar.

– Poruczniku – poprawił D’Agosta mimochodem, nie przerywając sporządzania zapisków w notesie.

– Nieważne. Nie przykładam zbytnej wagi do szczegółów. Liczy się przede wszystkim człowiek. To podstawa. – Zielona kopuła poruszyła się z emfazą w górę i w dół.

D’Agosta wciąż robił notatki. Ten Kawakita znacznie różnił się od skromnego naukowca, którego spotkał kiedyś w gabinecie Frocka po tragedii na gali otwarcia „Przesądów”.

Myślał intensywnie, usiłując przypomnieć sobie możliwie jak najwięcej informacji na temat naukowca.

– Czy mógłby pan opisać jego głos? – zapytał.

– Tak. Bardzo niski, cichy, sepleniący.

D’Agosta zmarszczył brwi.

– Mówił z akcentem?

– Nie sędzę. Ale tak bardzo seplenił, że nie dam za to głowy. Gdyby to nie był angielski, a hiszpański, powiedziałbym, że brzmiał jak kastylijski.

D’Agosta odnotował w myślach, że musi zapytać Pendergasta, czym właściwie był ów „kastylijski”.

– Kiedy wyjechał i dlaczego? – spytał.

– Kilka tygodni po tym, jak do mnie zawitał, nie pamiętam dokładnie, kiedy to było. Chyba w październiku. Którejś nocy usłyszałem, jak podjeżdżają pod magazyn dwa wielkie osiemnastokołowce. To nie było nic niezwykłego. Tylko że tym razem, zamiast wyładowywać sprzęt do magazynu, zaczęli wynosić go z budynku i ładować na ciężarówki. Kiedy wstałem w południe, magazyn był całkiem pusty. Zmyli nawet czarną farbę z szyb.

– To się stało w południe? – zapytał D’Agosta.

– Sypiam zwykle od piątej rano do południa. Nie jestem niewolnikiem fizycznych rotacji układu ziemia-słońce-księżyc, sierżancie.

– Zauważył pan może, czy te ciężarówki miały jakieś oznaczenia? Może logo albo nazwę firmy przewozowej, hasło reklamowe?

Kirtsema milczał przez chwilę. Zastanawiał się.

– Tak – odrzekł w końcu. – Scientific Precision Moving.

D’Agosta spojrzał na zielonogłowego mężczyznę w średnim wieku.

– Jest pan pewien?

– Bez dwóch zdań.

D’Agosta uwierzył mu. Zważywszy na swój wygląd, facet przepadłby podczas składania zeznań w sądzie, ale miał wrodzony zmysł obserwacji. A może po prostu był wścibski.

– Czy chciałby pan dodać coś jeszcze? – zapytał.

Zielona kopuła znów się zakołysała.

– Tak. Tuż po jego przybyciu wysiadły wszystkie latarnie na całej ulicy i nikt nie pokwapił się, by je naprawić. Nie działają po dziś dzień. Podejrzewam, że on musiał mieć z

tym coś wspólnego, choć nie mam pojęcia, w jaki sposób. Zgłaszałem to, oczywiście, ale te bezduszne roboty z elektrowni jak zwykle nie kiwnęły nawet palcem. Jak tak, to ich nie ma, ale spróbuj tylko nie zapłacić jednego rachunku w terminie...

– Dziękuję za pomoc, panie Kirtsema – przerwał mu D'Agosta. – Proszę zadzwonić, gdyby coś pan sobie jeszcze przypomniał. – Zamknął notes, wsunął go do kieszeni i odwrócił się, by wyjść.

Będąc już przy drzwiach, przystanął na chwilę.

– Wspomniał pan, że kilkakrotnie padł ofiarą napaści. Co panu zabrano? Nie wydaje mi się, aby miał pan tu coś wartego zwędzenia.

Ponownie rozejrzał się po wnętrzu magazynu.

– Idee, sierżancie! – odparł Kirtsema, odchylając głowę do tyłu i unosząc podbródek. – Rzeczy materialne znaczą tyle, co nic. Idee natomiast są naprawdę bezcenne. Proszę, niech pan popatrzy wokoło. Czy widział pan kiedykolwiek tak wiele wspaniałych idei?

## 28

Przewód wentylacyjny numer dwanaście wznosił się niczym koszmarny tunel ponad wejściem do tunelu Lincolna przy Trzydziestej Ósmej Ulicy – mierząca dwieście stóp iglica z cegiel i rdzewiejącego metalu.

U szczytu tego wielkiego komina do pomarańczowej ściany przywierało niczym skorupiak nieduże pomieszczenie obserwacyjne. Stojąc na podeście wąskiej metalowej drabinki, Pendergast widział wysoko w górze kanciastą kabinę. Drabinka była przymocowana do komina od strony rzeki, w kilku miejscach śruby powysuwały się z mocowań. Pnąc się po metalowych szczeblach, przez szpary pomiędzy nimi widział jadące w dole auta, niknące w czeluści tunelu.

Gdy zbliżył się do pomieszczenia obserwacyjnego, szczeble drabiny znalazły się w głębokim cieniu. Unosząc głowę, Pendergast zauważył uchyloną klapę w podłodze kabiny. Była zaopatrzona w okrągłe pokrętko, jak grodzie wodoszczelna na okręcie podwodnym, widniał też na nim napis: ZARZĄD PORTU NOWY JORK. Ryk przewodu wentylacyjnego przypominał odgłos silnika odrzutowego; Pendergast musiał kilkakrotnie walnąć w klapę, zanim została uniesiona przez kogoś, kto znajdował się wewnątrz.

Pendergast wślizgnął się do małego metalowego pomieszczenia i poprawił garnitur, podczas gdy obsługujący kabinę niski, chudy jak tyka mężczyzna w kraciastej flanelowej koszuli i ogrodniczkach zamknął właz. Z trzech stron kabiny rozciągał się widok na rzekę Hudson, dojazd do Tunelu Lincolna i wielką elektrownię, która usuwała spaliny z tunelu, kierując je do przewodów wentylacyjnych.

Spoglądając w dół, choć kosztowało to odrobinę wysiłku, Pendergast dostrzegł wirujące turbiny tunelowej sieci filtrów znajdujące się dokładnie pod nimi.

Mężczyzna odstał od wjazdu i podszedł do stołka umieszczonego za niedużym roboczym biurkiem. W ciasnym, klaustrofobicznym pomieszczeniu nie było innych krzeseł.

Pendergast spojrzał na mężczyznę, który patrzył na niego i poruszał ustami, jakby coś mówił, ale hałas przewodu wentylacyjnego zupełnie go zagłuszał.

– Co? – wykrzyknął Pendergast, podchodząc bliżej. Wjazd w podłozie ani trochę nie tłumiał zgiełku ani płynących z dołu spalin.

– Dokumenty – powtórzył tamten. – Mówili, że będzie pan miał przy sobie jakiś dokument.

Pendergast sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął legitymację FBI, którą chudzielec uważnie obejrzał.

– Pan Albert Diamond, zgadza się? – spytał Pendergast.

– Al – mruknął tamten, wykonując nonszalancki gest. – Czego panu potrzeba?

– Słyszałem, że jest pan ekspertem, jeżeli chodzi o nowojorskie tunele – odparł Pendergast. – To z panem konsultują się inżynierowie, gdy zamierzają wybudować nową stację metra, budynek czy naprawić przewody gazowe.

Diamond spojrzał na Pendergasta. Wydał jeden policzek, przesuwając językiem po dolnych trzonowcach.

– Chyba tak – odrzekł po chwili.

– Kiedy ostatni raz był pan pod ziemią?

Diamond uniósł pięść, rozcapierzył palce dwukrotnie i znów je zacisnął.

– Dziesięć – mruknął Pendergast. – Dziesięć miesięcy temu?

Diamond pokręcił głową.

– Lat?

Diamond skinął głową.

– Czemu tak dawno?

– Zmęczyło mnie to. Poprosiłem o przeniesienie tutaj.

– Sam pan o to poprosił? Ciekawy wybór przydziału. Możliwie jak najdalej od tuneli, a mimo to jeszcze nie w powietrzu. Zrobił to pan celowo?

Diamond wzruszył ramionami, nie przytakując ani nie zaprzeczając.

– Potrzebuję informacji – wykrzyknął Pendergast. W niedużej kabinie panował zbyt wielki hałas, by można było porozumiewać się inaczej.

Diamond pokiwał głową, wypukłość policzka powiększyła się, gdy dotknął językiem górnych trzonowców.

– Proszę mi opowiedzieć o Diabelskim Poddaszu.

Wypukłość zamarła. Po chwili Diamond poruszył się na stołku, ale nic nie powiedział.

Pendergast ciągnął.

– Mówiono mi, że pod Central Parkiem istnieje pewien poziom tuneli. Znajdują się one wyjątkowo głęboko pod ziemią. Obszar ten, jak mi mówiono, nazywany jest Diabelskim Poddaszem. Mimo to w rejestrach nie istnieje żaden zapis potwierdzający jego istnienie, w każdym razie z nazwy.

Po dłuższej chwili Diamond spuścił wzrok.

– Diabelskie Poddasze? – powtórzył z wielkim wahaniem.

– Słyszał pan o tym miejscu?

Diamond sięgnął do kieszeni ogrodniczek i wyjął butelczynę czegoś, co z pewnością nie było wodą. Pociągnął długi łyk, po czym schował flaszkę, nie częstując Pendergasta. Powiedział coś, ale z powodu hałasu z komina agent nie usłyszał ani słowa.

– Co? – zakrzyknął Pendergast, przysuwając się bliżej.

– Mówiłem, że tak, słyszałem o tym miejscu.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

Diamond odwrócił wzrok, przez chwilę patrzył na brzeg New Jersey po drugiej stronie rzeki.

– Bogaci skurwiele – wysyczał.

– Że co, proszę?

– Bogaci skurwiele. Nie chcą się stykać z klasą pracującą.

– Bogaci skurwiele? – powtórzył Pendergast.

– No wie pan. Astor. Rockefeller. Morgan. I cała reszta. Pobudowali tunele ponad sto lat temu.

– Nie rozumiem.

– Tunele kolejowe – wybuchnął z irytacją Diamond. – Budowali specjalną prywatną linię. Prowadziła z Polham pod Parkiem, hotelem Knickerbocker i apartamentowcami przy Piątej Alei. Wytworne prywatne stacje i poczekalnie. Wszystko dopracowane i szykowne jak się patrzy.

– Ale dlaczego tak głęboko?

Diamond po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Geologia. To oczywiste. Trzeba było zejść poniżej istniejących linii kolejowych i tuneli metra. Tyle tylko, że poniżej znajdowała się warstwa skału.

– Że co, proszę?

– Zmurszałego prekambryjskiego nanosu. Nazywamy go skałem. Można przez niego przepuszczać wodę i ścieki, ale budowa tunelu kolejowego nie wchodzi w rachubę. Dlatego musieli zejść głębiej. Diabelskie Poddasze znajduje się trzydzieści pięter pod ziemią.

– Ale dlaczego?

Diamond spojrział na agenta z niedowierzaniem.

– Dlaczego? A jak pan sądzi? Ci bogaci gogusie nie chcieli być uzależnieni od linii przewożących zwykłych ludzi. Podziemne tunele gwarantowały im możliwość szybkiego opuszczenia miasta bez jakichkolwiek opóźnień czy stykania się z plebsem.

– To nie tłumaczy, dlaczego nie ma żadnych dowodów potwierdzających ich istnienie.

– Budowa kosztowała fortunę. I nie wszystkie fundusze pochodziły z kies naftowych baronów. Zwrócili się oni z prośbą o dotację do Ratusza. – Diamond postukał się palcem w bok nosa. – Takie inwestycje nigdy nie mają dokumentacji.

– Dlaczego prace przerwano?

– Nie można było ich kontynuować. W tunelach stała woda ze ścieków powyżej i kanałów burzowych. Nie dało się ich osuszyć. Pojawiły się również zagrożenia zatrucia metanem i tlenkiem węgla.

Pendergast pokiwał głową.

– Ciężkie gazy zawsze opadają na najniższy poziom.

– Wydali na te cholerne tunele miliony dolarów. Linia nigdy nie została ukończona. Otwarto ją zaledwie na dwa lata, zanim powódź w dziewięćdziesiątym ósmym przeciążyła pompy, a połowę tuneli wypełniły ścieki. Potem wszystko zamurowano. Nie usunięto nawet urządzeń ani niczego innego.

Diamond zamilkł, pomieszczenie znów wypełnił ryk przewodów wentylacyjnych.

– Czy istnieją jakieś mapy tych tuneli? – zapytał po chwili Pendergast.

Diamond wywrócił oczami.

– Mapy? Szukałem ich przez dwadzieścia lat. Te mapy nie istnieją. Tego, co wiem, dowiedziałem się od kilku starszuchów pamiętających tamte czasy.

– Był pan tam, na dole? – spytał Pendergast.

Diamond wyraźnie drgnął. Wreszcie po długim namyśle pokiwał głową.

– Czy mógłby sporządzić pan dla mnie plan tych tuneli?

Diamond milczał.

Pendergast zbliżył się do niego.

– Przyda mi się każda pomoc. – Jego dłoń niemal niedostrzegalnie musnęła kieszonkę marynarki, ale nagle pomiędzy dwoma szczupłymi palcami pojawił się studolarowy banknot. Agent przesunął go w stronę inżyniera.

Diamond spojrział na banknot, jakby się zastanawiał. W końcu przyjął go, zwinął w rurkę i wcisnął do kieszeni. Następnie, odwracając się do biurka, zaczął wprawnie rysować na kawałku pożółkłego papieru. Po kilku minutach na kartce zaczął formować się plan złożonej sieci tuneli.

– Zrobiłem, co w mojej mocy – oznajmił mężczyzna po kilku minutach, prostując się. – To wejście, z którego korzystałem, aby się dostać do środka. Wiele korytarzy na południe od Parku zostało zabetonowanych, a tunele od północy zawałyły się dawno temu. Będzie pan musiał znaleźć zejście od strony Szyjki Butelki. Niech pan skorzysta z tunelu

zaopatrzeniowego numer osiemnaście w miejscu, gdzie przecina on stary wodociąg numer dwadzieścia cztery.

– Szyjka Butelki? – spytał Pendergast.

Diamond pokiwał głową, drapiąc się brudnym paznokciem po nosie.

– Przez podłoże skalne głęboko pod Central Parkiem biegnie warstwa granitu. Supertwardej skały. Aby zaoszczędzić na czasie i dynamicie, dawni budowniczowie rurociągów wysadzili w niej jedną wielką dziurę i przepuścili przez nią wszystko. Tunele Astora znajdują się dokładnie pod tą skałą. Z tego, co wiem, to jedyny sposób, aby dostać się tam od południa, no chyba że umie pan nurkować.

Pendergast wziął kartkę z planem i obejrzał go uważnie.

– Bardzo dziękuję, panie Diamond. Czy jest szansa, że zgodziłby się pan wrócić i dokonać staranniejszej inspekcji Diabelskiego Poddasza? Za sowitą opłatą, ma się rozumieć.

Diamond pociągnął z butelki.

– Nie zszedłbym tam więcej, nawet za wszystkie pieniądze świata.

Pendergast lekko uniósł głowę.

– Jeszcze jedno – ciągnął Diamond. – Niech pan nie nazywa tego miejsca Diabelskim Poddaszem, dobrze? To nazwa nadana mu przez krety. To tunele Astora.

– Tunele Astora?

– Tak. Pomysł wyszedł od pani Astor. Mówi się, że to ona skłoniła męża do wybudowania pierwszej prywatnej stacji pod ich posesją przy Piątej Alei. Tak się to wszystko zaczęło.

– Skąd się wzięła nazwa Diabelskie Poddasze? – zapytał Pendergast.

Diamond uśmiechnął się posępnie.

– Nie wiem. Ale proszę tylko pomyśleć. Niech pan sobie wyobrazi tunele ciągnące się trzydzieści pięter pod ziemią. Ściany wyłożone drogimi kafelkami, zdobienia. Proszę sobie wyobrazić poczekalnie, będące symbolem przepychu i świetności tamtych czasów, pełne luster, sof i specjalnego, dymnego szkła. Niech pan pomyśli o hydraulicznych windach, o posadzkach wyłożonych parkietem i aksamitnych kotarach. A teraz niech pan wyobrazi sobie, jak to wszystko musi wyglądać skąpane w ściekach i nieczynne od ponad stu lat. – Odchylił się na stołku i spojrzał na Pendergasta. – Nie wiem, jak panu, ale mnie aż nadto wymownie miejsce to kojarzy się z Poddaszem Piekieł.

Dworzec przetokowy na West Side znajdował się w głębokiej niecce w najbardziej wysuniętej na zachód części Manhattanu i był niewidoczny dla milionów nowojorczyków



mieszkających i pracujących w pobliżu. Zajmował w sumie siedemdziesiąt cztery akry powierzchni i był to największy nie zabudowany obszar na wyspie, poza Central Parkiem.

Niegdyś tętniący życiem dworzec z wolna popadał w ruinę; zardzewiałe tory zarosły łopianem i chwastami, stare bocznice niszczały, zapomniane, opuszczone magazyny rozpadały się, ich ściany pokrywały barwne graffiti.

Przez dwadzieścia lat ten spłacheć gruntu był obiektem planów rozbudowy, procesów sądowych, politycznych manipulacji i bankructw. Magazynierzy jeden po drugim opuścili swoje miejsca pracy, po nich zaś przyszli tutaj inni: wandale, podpalacze i bezdomni. Na placu z jednej strony powstało nieduże osiedle bezdomnych, z nędznymi barakami ze sklejki, kartonu i blachy falistej. Opodal nich dostrzec można było poletka, na których pienieł się marny groszek i jeszcze marniejsze dynie.

Margo stała wśród osmalonych przez płomienie ruin, ograniczonych z dwóch stron przez opustoszałe zabudowania kolejowe. Magazyn stojący na placu spłonął przed czterema miesiącami; palił się długo i niszczał niemal doszczętnie. Z budynku została tylko belka wspornikowa i fragmenty niskich, osmolonych ceglanych ścian. Betonowe płyty u stóp Margo zasłane były stertami gruzu i spalonych gontów. W jednym kącie stały resztki kilku długich metalowych stołów, pokryte roztrzaskanym sprzętem i stopionym szkłem. Rozejrzała się uważnie, przenikając wzrokiem późnopołudniowe cienie zalegające ziemię dokoła. Stały tu szczątki czegoś, co musiało być niegdyś wielkimi maszynami osadzonymi w metalowych szafkach. Szafki te stopiły się, ich zawartość wylewała się na zewnątrz w zastygłych strugach stopionych, poskręcanych przewodów i zniszczonych konsol. Wszystko przesycone było drażniącą, kwaśną wonią stopionego plastyku i smoły.

Do Margo podszedł D'Agosta.

– I co o tym sądzisz? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Jest pan pewien, że Kawakita tu mieszkał?

– Potwierdziłem te dane w firmie przewozowej. Pożar magazynu nastąpił mniej więcej w tym samym czasie co śmierć Grega, można więc przypuszczać, że to jego ostatni znany adres. Wątpliwe, aby zdążył się przeprowadzić gdzie indziej. Jednakże w swoich kontaktach z Con Ed i telekomunikacją używał pseudonimu, tak więc wszystko jest możliwe.

– Używał pseudonimu? – Margo wciąż rozglądała się dokoła. – Zastanawiam się, czy umarł przed, czy raczej po pożarze.

– To jest nas dwoje – odrzekł D'Agosta.

– Wygląda to na coś w rodzaju laboratorium.

D'Agosta pokiwał głową.

– Nawet ja bym się tego domyślił. Ten Kawakita był naukowcem. Tak jak ty.

– Niezupełnie. Greg zajmował się genetyką i biologią ewolucyjną. Moją specjalnością jest antropofarmakologia.

– Wszystko jedno. – D’Agosta podciągnął spodnie. – Pytanie brzmi, co to za laboratorium?

– Trudno powiedzieć. Musiałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tych maszynach w kącie. I przydałoby się też odtworzyć układ potłuczonych szklanych naczyń na stołach. Wtedy dowiedzielibyśmy się, do czego mogły służyć.

D’Agosta spojrzał na nią.

– No więc?

– Co, no więc?

– Zajmiesz się tym?

Margo odnalazła spojrzenie porucznika.

– Dlaczego ja? Musi pan mieć w komendzie głównej specjalistów, którzy...

– Nie interesuje ich to – przerwał jej D’Agosta. – Na liście priorytetów stawiają wyżej złe parkowanie i przechodzenie przez ulicę na czerwonym świetle.

Margo aż uniosła brwi ze zdziwienia.

– Moich mocodawców nie obchodzi Kawakita ani to, czym się zajmował, zanim go zabito. Sądzą, że był przypadkową ofiarą. Jak Brambell.

– Pan tak nie uważa? Sądzi pan, że był on w jakiś sposób związany z tymi morderstwami?

D’Agosta wyjął z kieszeni chustkę i przetarł nią spocone czoło.

– Niech to szlag, sam nie wiem. Instynkt mi mówi, że ten Kawakita coś kombinował, i chciałbym się dowiedzieć co. Znałaś go, prawda?

– Tak – odrzekła Margo.

– Ja spotkałem go tylko raz, na pożegnalnym przyjęciu urządzonego przez Frocka dla Pendergasta. Jaki był?

Margo zamyśliła się przez chwilę.

– Bardzo błyskotliwy. To był naprawdę wielki uczonec.

– A co z jego osobowością?

– Nie należał do najsympatyczniejszych osób w muzeum – wyznała z wahaniem Margo.

– Chyba można powiedzieć, że był trochę... bezwzględny. Należał do tych ludzi, którzy robią karierę po trupach. Nie spoufalał się z nami i nie ufał nikomu, kto mógłby... – Przerwała.

– Tak?

– Czy to konieczne? Nie lubię oczerniać ludzi, a już najbardziej niecierpię oczerniać nieobecnych.

– Ale tak się zazwyczaj robi. Czy ten człowiek był zamieszany w jakieś ciemne sprawy, na przykład działalność przestępczą?

– Absolutnie nie. Zdarzało mi się mieć inne aniżeli on zdanie w wielu kwestiach, Greg na przykład należał do tych naukowców, którzy przedkładają naukę nad ludzkie wartości, ale na

pewno nie był przestępcą. – Zawahała się. – Jakiś czas temu próbował skontaktować się ze mną. Mniej więcej miesiąc przed swoją śmiercią.

D'Agosta spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Domyślasz się dlaczego? Nie wydaje się, abyście byli bliskimi przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi nie. Raczej kolegami. Jeżeli miał jakieś kłopoty... – Spochmurniała. – Może powinnam była coś z tym zrobić. Ale ja go zupełnie zignorowałam.

– Chyba nigdy się tego nie dowiesz. Mimo to, gdybyś mogła trochę się rozejrzeć i na podstawie tego, co się tu znajduje, określić, czym się zajmował Kawakita, byłbym ci wdzięczny.

Margo się zawahała, a D'Agosta przyjrzał się jej z uwagą.

– Kto wie? – powiedział nieco ciszej. – Może dzięki temu niektóre z tych wewnętrznych demonów odejdą raz na zawsze.

Niezły dobór słów, pomyślała Margo. Mimo to wiedziała, że chciał dla niej jak najlepiej. Następne, co od niego usłyszę, to że przeszukując to miejsce, zdołam dojść ze sobą do ładu.

Przez dłuższą chwilę rozglądała się po zniszczonym laboratorium.

– W porządku, poruczniku – rzekła w końcu.

– Mam sprowadzić tu fotografa, aby zrobił zdjęcia?

– Może później. Na razie chciałabym sporządzić kilka szkiców.

– To oczywiste. – D'Agosta wydawał się podenerwowany.

– Pan może już iść – powiedziała Margo. – Nie musi pan tu ze mną siedzieć.

– Nic z tego – uciął D'Agosta. – Nie po tym, co się stało z Brambellem.

– Poruczniku...

– I tak muszę pobrać próbki popiołów, aby przebadać je na obecność przyspieszacza. Ale nie będę ci przeszkadzał. – Stał niezłomnie, w bezruchu.

Margo westchnęła, wyjęła z torebki notes i ponownie skupiła całą uwagę na zrujnowanym laboratorium. To upiorne miejsce zdawało się otaczać ją z bezgłośnym oskarżeniem.

Mogłaś coś zrobić. Greg próbował skontaktować się z tobą. Może to nie musiało się tak skończyć.

Pokręciła głową, odganiając od siebie myśli przepełnione poczuciem winy. I tak nie mogły jej pomóc. Poza tym, jeśli gdziekolwiek znajdowały się odpowiedzi na pytanie, co stało się z Gregiem, to właśnie tutaj. Kto wie, może jedynym sposobem na uwolnienie się od tego koszmaru było dla niej zebranie się w sobie i śmiałe podążanie naprzód. No i dzięki temu miała okazję wyrwać się z laboratorium antropologii, które coraz bardziej zaczynało przypominać kostnicę. W środę po południu dostarczono im zwłoki Bittermana, a wraz z nimi kolejną porcję pytań i wątpliwości. Ślady na kręgach szyjnych wskazywały, że dekapitacji dokonano za pomocą tępego, prymitywnego noża. Zabójca lub zabójcy, dokonując tej makabrycznej zbrodni, bardzo się spieszyli.

Pospiesznie naszkicowała kontury laboratorium, zaznaczyła układ ścian, rozmieszczenie stołów i zniszczonego sprzętu. Laboratoria były pod tym względem jednakowe, ich rozkład uzależniano od prac, które w nich prowadzono. Identyfikacja wyposażenia mogła doprowadzić do określenia rodzaju prowadzonych tu badań, a to, czym się konkretnie zajmowano, powinien zdradzić im rozkład sprzętów w całym pomieszczeniu.

Ukończywszy pierwszy szkic, Margo podeszła do stołów. Ponieważ były z metalu, nie zniszczył ich pożar. Narysowała prostokąty, mające oznaczać kolejne stoły, po czym zaczęła nanosić stopione zlewki, retorty, menzurki i inne, niemożliwe już do rozpoznania, bo całkiem stopione szklane naczynia. Była to złożona, wielopoziomowa instalacja, musiały tu być prowadzone poważne badania biochemiczne. Ale jakie?

Przystanąła na chwilę, czując w nozdrzach zmieszane ze sobą swąd palonej instalacji i zapach słonej bryzy znad Hudson. Następnie skupiła uwagę na stopionych maszynach. Były drogie, sądząc po stalowych, chromowanych obudowach i tym, co pozostało z ich zawartości.

Margo stanęła przy pierwszej z nich. Metalowa obudowa zapadła się, a to, co było wewnątrz, wypływało zastygłą falą. Margo kopnęła maszynę i cofnęła się, gdy ta runęła z głośnym hukiem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, na jakim znajdowali się odludziu. Za dworcem przetokowym i nad New Jersey Palisades po drugiej stronie rzeki wisiała tarcza zachodzącego słońca. Margo słyszała krzyk mew krążących nad gnijącymi kikutami starego pirsu nad brzegiem Hudson.

Za dworcem przetokowym wciąż trwało radosne, ciepłe letnie popołudnie. Tu wszelako, w tej opustoszałej niecce, panował mroczny, posępny nastrój.

Margo spojrzała na D'Agostę, który zakończył już pobieranie próbek i stał w promieniach zachodzącego słońca z założonymi rękami, spoglądając na rzekę. Cieszyła się, że policjant postawił na swoim i postanowił z nią zostać.

Nachyliła się nad maszyną, w duchu śmiejąc się ze swego zdenerwowania. Obracając w palcach fragmenty osmalonego, odbarwionego metalu, odnalazła w końcu płytkę znamionową, której poszukiwała. Ocierając ją z sadzy, ujrzała napis Westerly Genetics Equipment oraz logo WGE. Poniżej, na kancie, wybity był numer seryjny i napis: WGE Zintegrowany Analizator Sekwencji DNA.

W przeciwległym rogu znajdowała się nieduża sarta na wpół rozbitych, na poły stopionych urządzeń, które wyglądały inaczej niż pozostałe. Margo obejrzała szczątki, ostrożnie obracając w dłoniach każdy kawałek i układając na podłodze w nadziei, że rozpozna, skąd pochodziły. Zdawały się stanowić skomplikowaną instalację do syntez organiczno-chemicznych, złożoną między innymi z aparatów do frakcjonowania i destylacji, gradientów dyfuzji i niskonapięciowych węzłów elektrycznych.

Na spodzie, gdzie przedmioty były w mniejszym stopniu uszkodzone przez żar, odkryła potłuczone fragmenty kilku butli Erlenmeyera. Sądząc po napisach na etykietach, większość z

nich zawierała typowe laboratoryjne chemikalia. Jeden napis wszelako wydał się jej niezrozumiały.

Aktywowany 7-dehydrochole...

Obróciła fragment butli. Do licha, ta nazwa wydawała się jej znajoma. W końcu wrzuciła fragment etykiety do torebki.

Bez wątpienia ta substancja chemiczna powinna znajdować się w encyklopedii chemii organicznej; sprawdzi to po powrocie do laboratorium.

Obok maszyny znajdowały się resztki cienkiego notesu, spalonego, z wyjątkiem kilku stron. Gdy podniosła go ostrożnie, kartki zaczęły kruszyć się w jej dłoniach. Starannie pobierała zwęglone fragmenty, włożyła do plastikowego woreczka i schowała do torebki.

W niecały kwadrans zdołała zidentyfikować dostatecznie dużo urządzeń, by mieć pewność co do jednego – ten magazyn jeszcze niedawno mieścił światowej klasy laboratorium badań genetycznych. Margo codziennie pracowała z podobnymi urządzeniami i wiedziała dość, by oszacować koszt zniszczonego laboratorium na ponad pół miliona dolarów.

Cofnęła się. Skąd Kawakita wziął pieniądze na stworzenie takiego laboratorium? I co, u licha, kombinował?

Przechodząc po betonowej posadzce i sporządzając notatki, dostrzegła nagle coś dziwnego, co przykuło jej uwagę. Pośród stert gruzu i stopionego szkła ujrzała coś, co wyglądało jak pięć wielkich kałuż błota, któremu żar nadał konsystencję cementu. Wokoło można było dostrzec rozsypane grudki żwiru.

Zaciekawiona, nachyliła się, aby przyjrzeć się bliżej swemu znalezisku. W najbliższą z kałuż wtopiony był nieduży metalowy przedmiot, mniej więcej wielkości jej pięści. Wyjąwszy z torebki scyzoryk, otworzyła go i zdrapała wierzchnią warstwę, która przywarła do metalu jak cement.

Pod spodem ujrzała litery MINNE WARIA OTE. Obracając przedmiot w dłoniach, dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, co to było – filtr do akwarium.

Wstała, spoglądając na pięć podobnych stert gruzu i żwiru, tonących w cieniu ocalałego fragmentu muru. Żwir, potłuczone szkło... to musiały być akwaria. Całkiem spore, sądząc po rozmiarach kałuż. Ale... akwaria wypełnione błotem! To nie miało sensu.

Uklękła, wyjęła scyzoryk i wbiła ostrze w znajdującą się najbliżej zaschniętą masę. Podważyła lekko, odłupując całkiem spory kawałek. Podniosła go i obróciła kilka razy w dłoniach. Zdziwiła się, ujrawszy coś, co wyglądało jak korzenie i fragment łodygi jakiejś rośliny; ocalała z pożaru dzięki ochronnej warstwie błota. Przeklinając scyzoryk, nie nadający się do tak delikatnej czynności, ostrożnie usunęła zaschnięte błoto ze szczątków rośliny i uniosła ją do światła.

Nagle upuściła roślinę i machnęła ręką, jakby się oparzyła. Po chwili znów ją podniosła i przyjrzała się jej uważniej. Serce zaczęło tłuc jak oszalałe.

To niemożliwe, pomyślała.

Znała tę roślinę, znała ją doskonale. Ta twarda, włóknista łodyga, dziwaczne, gruzłowate korzenie przywołały przerażające wspomnienia. Znów ujrzała siebie, siedzącą w pustym laboratorium genetyki w muzeum, wpatrzoną w okular mikroskopu, zaledwie kilka godzin przed feralną galą „Przesądów”.

To była ta sama rzadka amazońska roślina, której tak łaknęło stworzenie zwane Mbwunem. Ta sama roślina, której nieświadomy Whittlesey użył jako wypełniacza do skrzyń z relikdami wysłanymi do muzeum z dorzecza Xingú niemal dziesięć lat temu. Roślina, która rzekomo już nie istniała. Jej środowisko naturalne zostało zniszczone, a włókna przechowywane w muzeum zostały z rozkazu władz federalnych spalone bezpośrednio po śmierci Mbwuna – Bestii z Muzeum.

Margo znów się wyprostowała, wycierając buty z sadzy. Greg Kawakita zdołał w jakiś sposób zdobyć próbki tej rośliny i hodował ją w tych wielkich akwariach.

Ale po co?

Nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl. Odegnęła ją natychmiast od siebie. Nie, to niemożliwe, aby istniał drugi Mbwun, którego Greg karmił hodowanymi przez siebie roślinami.

Ale czy na pewno?

– Poruczniku...? – zapytała. – Czy wie pan, co to takiego?

Podszedł bliżej.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– *Liliceae mbwunensis*. Roślina Mbwuna.

– Żartujesz, prawda?

Margo powoli pokręciła głową.

– Chciałabym, aby tak było.

Stali w bezruchu, podczas gdy słońce skryło się za Palisades, złocąc odległe budynki za rzeką aureolą ukośnych promieni. Margo ponownie spojrzała na trzymaną w dłoni roślinę i już miała włożyć ją do torebki, gdy jej uwagę zwróciło coś, czego wcześniej nie zauważyła w słabym świetle.

U podstawy korzenia dostrzegła ciągnącą się wzdłuż ksylemu niedużą bliznę, ślad szczepu w kształcie podwójnego V.

Taki ślad można było wyjaśnić dwojako. Albo był to pospolity eksperyment hybrydacyjny, albo wynik bardzo złożonych badań naukowych z wykorzystaniem inżynierii genetycznej.

Hayward gwałtownie otworzyła drzwi i weszła do środka. Policzki wciąż miała pełne jedzenia, które powoli przeżuwała.

– Dzwonił kapitan Waxie – rzekła, przelękając kawałek tuńczyka. – Chce, żeby natychmiast poszedł pan do Oddziału Przesłuchań. Złapali go.

D'Agosta uniósł wzrok, przerywając wpinanie szpilek w nową mapę, która zastąpiła planszę zabraną przez Waxiego.

– Kogo złapali?

– No, zabójcę. Naśladowcę, ma się rozumieć. – Uniosła brwi.

– Coś takiego – D'Agosta w sekundę znalazł się przy drzwiach, zdejmując z wieszaka marynarkę i wkładając ją.

– Złapali go w Ustroniu – ciągnęła Hayward, gdy przechodzili korytarzem w stronę wind.

– Któryś z naszych cywilnych wywiadowców, wystawiony na wabia, usłyszał jakiś hałas i poszedł sprawdzić, co się dzieje. Facet właśnie dźgnął nożem włóczęgę i szykował się do obcięcia mu głowy.

– Skąd to wiedzą?

Hayward wzruszyła ramionami.

– Proszę spytać kapitana Waxiego.

– A nóż?

– Domowej roboty. Naprawdę tępa kosa. Taka, jakiej szukaliśmy.

Hayward, mimo tego, co powiedziała, nie wydawała się zbyt przerażona.

Drzwi windy otworzyły się i stanął w nich Pendergast. Na widok D'Agosty i Hayward, zamierzających wejść do kabiny, uniósł brwi w pytającym geście.

– Na Oddziale Przesłuchań mają podobno zabójcę – wyjaśnił D'Agosta. – Waxie posłał po mnie.

– Doprawdy? – Agent FBI cofnął się i wcisnął guzik pierwszego piętra. – No dobrze, zajrzyjmy tam więc. Ciekawi mnie, jakąż to rybkę złowił nasz niestrudzony wędkarz Waxie.

Oddział Przesłuchań Komendy Głównej Policji składał się z szeregu szarych, posępnych pomieszczeń o grubych żuźlowych ścianach i solidnych metalowych drzwiach. Oficer dyżurny przepuścił ich, odblokowując drzwi otwierane specjalnym przyciskiem i skierował ich do sali obserwacyjnej – pokoju numer dziewięć. Wewnątrz na fotelu rozparł się Waxie, lypiąc przez lustro weneckie do znajdującego się tuż obok pokoju przesłuchań. Gdy usłyszał, że wchodzi, uniósł wzrok, marszcząc brwi na widok Pendergasta, chrząkając do D'Agosty i zupełnie ignorując Hayward.

– Powiedział coś? – zapytał D'Agosta.

Waxie znów chrząknął.

– O tak. Właściwie cały czas gada. Jednak, jak dotąd, same bzdury bez ładu i składu. Nazywa siebie Jeffrey, tyle zdołaliśmy ustalić. Ale już wkrótce zacnie śpiewać. Powie nam wszystko, jak na spowiedzi. Pomyślałem sobie, że póki co, może ty zechciałbyś zadać mu kilka pytań. – Waxie był szczodry w swoim triumfie, promieniał dumą i pewnością siebie.

Spoglądając przez szybę, D'Agosta ujrzał niechlujnego mężczyznę o dzikim wzroku. Szybkie, nerwowe i bezgłośnie ruchy warg podejrzanego niemal komicznie kontrastowały z jego sztywnym, nieruchomym ciałem.

– To ten facet? – spytał z niedowierzaniem D'Agosta.

– To on.

D'Agosta wciąż patrzył przez lustro weneckie.

– Dość mikry. Trudno sobie wyobrazić, że mógł dokonać tak potwornych zbrodni.

Usta Waxiego wykrzywił cyniczny grymas.

– Może ktoś wszedł mu w drogę o jeden raz za dużo i gość zwyczajnie się wściekł.

D'Agosta wychylił się do przodu i włączył mikrofon.

W jednej chwili z głośnika nad lustrem weneckim popłynął potok najohydniejszych przekleństw. D'Agosta słuchał przez chwilę, po czym nacisnął włącznik mikrofonu.

– A co z narzędziem zbrodni? – zapytał.

Waxie wzruszył ramionami.

– To samoróbka, kawałek stali na drewnianym trzonku. Rękojeść owinięto materiałem, gazą czy czymś takim. Jest zbyt zakrwawiona, by można to stwierdzić, musimy poczekać, aż technicy skończą wszystkie badania.

– Stal – rzekł Pendergast.

– Stal – odparł Waxie.

– Nie kamień.

– Przecież mówię, że stal. Sami zobaczcie.

– Zobaczymy – zapewnił D'Agosta, odsuwając się od szyby.

– Tymczasem chciałbym dowiedzieć się, co ma nam do powiedzenia ten typek.

Ruszył w stronę drzwi. Pendergast podążył za nim bezszelestnie jak duch.

Pokój numer dziewięć wyglądał jak typowe pomieszczenie do przesłuchań w jednym z wielu posterunków policji. Pośrodku niemal pustego pokoju stał drewniany stół z porysowanym blatem. Po jednej jego stronie, na krześle, ze skutymi z tyłu rękami siedział więzień. Za biurkiem siedział oficer śledczy, nagrywając na dyktafon litanie przekleństw z ścią stoickim spokojem. Pod przeciwległą ścianą stało dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy w mundurach. Na ścianach wisiały dwie czarno-białe, powiększone fotografie. Jedna ukazywała zmasakrowane, rozszarpane zwłoki Nicholasa Bittermana leżące na podłodze w toalecie męskiej na zamku Belvedere. Drugie, słynne już dzięki artykułowi w „Post” zdjęcie ukazywało Pamelę Wisher. Umieszczona w kącie pod sufitem kamera rejestrowała przebieg wypadków.



D'Agosta usiadł za biurkiem, wziął głęboki oddech; powietrze przesycone było tak dobrze mu znaną mieszaniną woni: odoru potu, brudnych skarpet i strachu. Waxie także wszedł do pokoju i ostrożnie usadowił swe okazałe cielsko na krześle obok. Pendergast zamknął drzwi, oparł się o nie i nonszalancko skrzyżował ramiona na piersi.

Kiedy drzwi się otwały, zatrzymany przestał krzyżeć. Łypał teraz na nowo przybyłych poprzez kosmyk przetłuszczonych włosów. Skierował wzrok na Hayward, przez chwilę przyglądał się jej, po czym odwrócił głowę.

– Na co się gapisz? – warknął po chwili, zwracając się do D'Agosty.

– Nie wiem – odparł D'Agosta. – Może ty mi powiesz?

– Odwal się.

D'Agosta westchnął.

– Znasz swoje prawa?

Zatrzymany uśmiechnął się, ukazując małe brudne zęby.

– Odczytał mi je ten tłusty wieprz, co siedzi koło ciebie. Nie potrzeba mi papugi do trzymania za rączkę.

– Licz się ze słowami – rzucił Waxie, czerwieniejąc jak burak.

– Nie, tłusciochu, lepiej to ty uważaj! Pilnuj swojego grubego dupska.

Mężczyzna zarechotał. Hayward nie zdołała powstrzymać uśmiešku cisnącego się na jej usta.

D'Agosta zastanawiał się, czy tak właśnie wyglądało przesłuchanie, zanim się pojawił.

– No dobrze, co właściwie wydarzyło się w parku? – zapytał.

– Mam mówić po kolei? Po pierwsze, ten gość zajął miejsce, na którym sypiam. Po drugie, zaczął na mnie syczeć jak jakiś wąż. Po trzecie, był bezbożnikiem. Po czwarte...

Waxie machnął ręką.

– Już rozumiemy. Opowiedz nam o innych.

Jeffrey milczał.

– No dalej – naciskał Waxie. – Kto jeszcze?

– Było ich wielu – padła w końcu odpowiedź. – Każdy, kto wejdzie mi w drogę, gorzko tego pożałuje. – Wychylił się do przodu. – Lepiej miej się na baczności, tłusciochu, albo pokroję ten twój gruby bandzioch na plasterki.

D'Agosta uspokoił Waxiego, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– No dobrze, to co jeszcze zrobiłeś? – zapytał szybko. – Kogo załatwiłeś?

– Sporo ich było. Wszyscy mnie znają. Znają mnie, Jeffrey, kota-cherubina, ze mną nie ma żartów.

– A co z Pamelą Wisher? – wtrącił Waxie. – Nie zaprzeczaj temu, Jeffrey.

Blizny w kącikach mętnych oczu zatrzymanego pogrubiły.

– Wcale nie zaprzeczam. Te ścierwa nie okazały mi należnego szacunku i dostały, na co zasłużyły.

– A co zrobiłeś z głowami? – zapytał z przejęciem Waxie.

– Z głowami? – spytał Jeffrey.

D’Agosta odniósł wrażenie, że tamten lekko się zawahał.

– Wpadłeś w nieliche bagno. Nie próbuj teraz niczemu zaprzeczać.

– Co zrobiłem z głowami? Jak to co? Zjadłem je. To oczywiste.

Waxie spojrział triumfalnie na D’Agostę.

– A co z tym facetem z zamku Belvedere, Nickiem Bittermanem? Opowiedz mi o nim.

– To było dobre. Skurwiel nie miał za grosz poszanowania. Hipokryta, psia go mać.

Adwersarz. – Zakołysał się w przód i w tył.

– Adwersarz? – zapytał D’Agosta, marszcząc brwi.

– Książę Adwersarzy.

– Tak – mruknął półgłosem Pendergast. – Musisz odeprzeć siły ciemności. – To były jego pierwsze słowa, jakie wypowiedział od chwili wejścia do pokoju.

Zatrzymany kołysał się coraz gwałtowniej.

– Tak, tak.

– Za pomocą twojej elektrycznej skóry.

Kołysanie ustało.

– I twoich pałających oczu – ciągnął Pendergast. Nagle odstał od drzwi i ruszył wolno naprzód, wbijając wzrok w zatrzymanego.

Jeffrey wpatrywał się tępo w Pendergasta.

– Kim jesteś? – wysapał.

Pendergast milczał przez chwilę.

– Kit Smart – odparł w końcu agent, nie odrywając wzroku od Jeffreya.

Dla D’Agosty zmiana, jaka zaszła w zatrzymanym, wydawała się wręcz szokująca. W jednej chwili z twarzy tamtego odpłynęła cała krew. Spojrział na Pendergasta, jego wargi poruszały się bezgłośnie. I nagle, wrzeszcząc przeraźliwie, rzucił się do tyłu z taką siłą, że wywrócił krzesło i wylądował wraz z nim na podłodze. Hayward i dwaj policjanci obezwładnili go w kilka sekund, choć mężczyzna wił się jak piskorz.

– Jezu, Pendergast, coś ty mu powiedział? – spytał Waxie, podnosząc się z krzesła.

Zatrzymany wciąż krzyczał przeraźliwie.

– Najwyraźniej powiedziałem to, co trzeba. – Pendergast spojrział na Haywarda. – Proszę o zapewnienie temu człowiekowi wszelkich możliwych wygod. Wydaje mi się, że teraz może się już nim zająć kapitan Waxie.

– Kim jest ten facet? – zapytał D’Agosta, gdy wracali windą na piętro, gdzie mieścił się wydział zabójstw.

– Nie jestem pewien, jak ma naprawdę na imię – odrzekł Pendergast, wygładzając krawat.

– Ale na pewno nie Jeffrey. I nie jest tym, kogo szukamy.

– Powiedz to Waxiemu.

Pendergast spojrział łagodnie na D'Agostę.

– Poruczniku, to, co tu widzieliśmy, to podręcznikowy przykład schizofrenii paranoidalnej połączonej z rozszczepieniem jaźni. Zauważyłeś, jak balansował pomiędzy dwiema osobowościami, przechodząc z jednej do drugiej i na odwrót? Z jednej strony mieliśmy do czynienia z hipotetycznym twar dzielem, choć zapewne, podobnie jak mnie, tak i tobie nie wydał się on przekonujący. No i był jeszcze zabójca, wizjoner, o wiele bardziej groźny niż ten pierwszy. Słyszałeś, co mówił? „Po drugie, zaczął na mnie syczeć jak jakiś wąż”. Albo „znaję mnie, Jeffrey, kota-cherubina”.

– Oczywiście, że słyszałem. Facet mówił tak, jakby ktoś podarował mu dziesięć przykazań czy coś w tym rodzaju.

– Czy coś w tym rodzaju. Masz rację, jego bredzenie miało budowę i rytm utworu literackiego. Ja także to sobie uświadomiłem. W którymś momencie zorientowałem się, że chłopak cytuje nam fragmenty starego poematu *Jubilate Agno* Christophera Smarta.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

Pendergast uśmiechnął się słabo.

– To zapomniane dzieło jeszcze bardziej zapomnianego poety. Ma jednak ogromną siłę wyrazu i drapieżność osobliwej wizji; powinieneś je przeczytać. Autor, Smart, napisał ten utwór w więzieniu, gdzie wtrącono go za długi i gdzie nieomal stracił zmysły. Spory fragment dzieła poświęca Smart swemu kotu, Jeffreyowi, którego uważał za istotę będącą w stadium larwalnym i ulegającą głębokiej przemianie fizycznej.

– Skoro tak mówisz. Ale co to ma wspólnego z naszym hałaśliwym przyjacielem z dołu?

– Najwyraźniej ten nieszczęśnik utożsamia się z kotem z poematu.

– Z kotem? – spytał z niedowierzaniem D'Agosta.

– Dlaczego nie? Kit Smart – prawdziwy Kit Smart robił dokładnie to samo. To wyjątkowo wyraźna koncepcja metamorfozy. Jestem pewien, że ten nieszczęśnik był kiedyś wykładowcą uniwersyteckim lub nie spełnionym poetą, zanim z wolna zaczął pograżać się w obłądnie. Prawdą jest, że zabił człowieka, ale zrobił to tylko wówczas, gdy ofiara weszła na jego teren. W jego mniemaniu sama prosiła się o śmierć. Co do pozostałych... – Pendergast machnął ręką. – Istnieje wiele przesłanek świadczących o tym, że to nie jest człowiek, którego szukamy.

– Choćby te zdjęcia – rzekł D'Agosta. – Wszyscy dobrzy oficerowie śledczy wiedzą, że żaden zabójca nie potrafi się powstrzymać od zerkania na zdjęcia swoich ofiar lub fotografie przedstawiające przedmioty pochodzące z miejsca zbrodni. A jednak, o ile zdołałem się zorientować, Jeffrey nawet na nie nie spojrział.

– No właśnie. – Drzwi windy otwarły się z sykiem i dwaj mężczyźni ruszyli przez zatłoczony korytarz w stronę gabinetu D'Agosty. – Poza tym to morderstwo, czego dowiedziałem się od Waxiego, nie nosi znamion gwałtowności, brutalnego, bezwzględno

ataku, jak w przypadku innych ofiar. Tak czy owak, gdy tylko rozpoznałem, co jest obiektem jego neurozy, ujawnienie symptomów obłądzenia u zatrzymanego było względnie proste.

Pendergast zamknął drzwi gabinetu i zaczekał, aż D'Agosta usiądzie, po czym mówił dalej.

– No cóż, proponuję, byśmy przeszli nad tym irytującym incydem do porządku dziennego. Czy udało ci się przeprowadzić analizę porównawczą, o którą cię prosiłem?

– Otrzymałem wyniki dziś rano. – D'Agosta powiódł kciukiem po grubym pliku komputerowego wydruku. – Zobaczmy, osiemdziesiąt pięć procent ofiar stanowili mężczyźni, dziewięćdziesiąt dwa procent było mieszkańcami Manhattanu, poza tym kilkoro przyjezdnych.

– Interesuje mnie przede wszystkim to, co łączyło wszystkie ofiary. Czy miały ze sobą cokolwiek wspólnego?

– Zaczekaj. – D'Agosta przez chwilę kartkował wydruki. – Nazwisko żadnej z ofiar nie zaczynało się na I, S, U, V, X ani Z.

Usta Pendergasta wykrzywił lekki uśmiezek.

– Wszystkie ofiary miały powyżej dwunastu i poniżej pięćdziesięciu sześciu lat. Żadna z nich nie urodziła się w listopadzie.

– Mów dalej.

– To by chyba było wszystko. – D'Agosta przerzucił jeszcze kilka stron. – Ach, mam jeszcze coś. Przepuściliśmy dane przez SMUD-a, poszukując najróżniejszych cech wiążących się z seryjnymi zabójcami. Odkryliśmy tylko jedną: żadnej z tych zbrodni nie popełniono podczas pełni.

Pendergast usiadł.

– Naprawdę? Warto zapamiętać. Coś jeszcze?

– Nie. To już wszystko.

– Dziękuję. – Zagiął się wygodnie w fotelu. – Choć to wciąż bardzo niewiele. W tej chwili, Vincencie, potrzebujemy przede wszystkim informacji, suchych faktów. I właśnie dlatego nie mogę dłużej czekać.

D'Agosta spojrzał na niego, nie rozumując, o co chodziło agentowi.

Zmarszczył brwi.

– Chyba nie zamierzasz znów zejść do tuneli?

– Właśnie tak. Jeśli kapitan Waxie nadal będzie się upierać, że pojmał zabójcę, dodatkowe patrole zostaną odwołane. Ludzie przestaną być czujni. Wytworzy się atmosfera, która tylko ułatwi dokonanie kolejnych morderstw.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał D'Agosta.

– Chcę odwiedzić Diabelskie Poddasze.

D'Agosta parsknął.

– Daj spokój, Pendergast. Nie masz nawet pewności, że to miejsce w ogóle istnieje, a co dopiero mówić o wskazówkach, w jaki sposób tam dotrzeć. Jedyne, czym dysponujesz, to zapewnienie tego łachmaniarza.

– Ufam słowom Mephista – odrzekł Pendergast. – Zresztą dysponuję czymś więcej, aniżeli tylko zapewnieniem przywódcy podziemnej społeczności. Rozmawiałem z inżynierem Alem Diamondem. Wyjaśnił, że owo tak zwane Diabelskie Poddasze to w rzeczywistości sieć tuneli wybudowanych przed końcem ubiegłego stulecia przez najzamożniejsze z nowojorskich rodzin. Miała kursować tamtędy prywatna linia kolejowa, lecz już po kilku latach ten projekt upadł. Udało mi się z grubsza ustalić trasę tych tuneli. – Podnosząc z biurka marker, Pendergast podszedł do mapy z oznaczeniami zaginięć z kilku ostatnich miesięcy. Przyłożywszy marker do planu na wysokości skrzyżowania Parku i Czterdziestej Piątej, pociągnął linię aż do Piątej Alei, stamtąd w górę do Grand Army Plaza, na ukos przez Central Park i na północ aż do Central Park West.

Następnie cofnął się, zerkając z rozbawieniem na D'Agostę.

Porucznik wbił wzrok w plan miasta. Z wyjątkiem kilku zaginięć w Parku, niemal wszystkie białe i czerwone pineski zgromadzone były wzdłuż linii nakreślonych przez Pendergasta.

– Jasna cholera – wykrztusił.

– No właśnie – mruknął Pendergast. – Diamond wspomniał, że odcinki tuneli od północy i od południa zostały zasypane. Muszę zatem dostać się do środka przejściem pod Central Parkiem.

D'Agosta sięgnął do szuflady po cygaro.

– Idę z tobą.

– Przykro mi, Vincencie. Twoja obecność tutaj jest nieodzowna, zwłaszcza teraz, gdy reszta stróżów prawa lada chwila rozluźni szyki. Chcę, abyście wspólnie z Margo Green ustalili możliwie jak najdokładniej, co i dlaczego robił Greg Kawakita. Nie wiemy jeszcze wszystkiego. Któż wie, w co on się wplątał. Ponadto tym razem kluczowym aspektem mojej „wycieczki” będzie dobry kamuflaż i umiejętność skradania się. To wyjątkowo niebezpieczna wyprawa. Idąc we dwóch, zwiększalibyśmy ryzyko, że zostaniemy wykryci. – Pstryknięciem palca nałożył skuwkę na marker. – Gdybyś jednak zgodził się rozstać na pewien czas z bezcenną sierżant Hayward, chętnie skorzystałbym z jej pomocy w przygotowaniach do tej wyprawy.

D'Agosta łypnął na niego spode łba i odłożył cygaro.

– Chryste, Pendergast, chcesz znów schodzić taki kawał drogi pod ziemię. Zajmie ci to całą noc.

– Podejrzewam, że nawet dłużej. – Agent odłożył marker na biurko. – Gdybym nie odezwał się w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin... – Przerwał. I nagle,

uśmiechnąwszy się, uściśnął dłoń D'Agosty. – Misja ratunkowa byłaby niepotrzebnym ryzykanctwem.

– A co z prowiantem?

Pendergast udał zdziwienie.

– Czyżbyś zapomniał, jakim rarytasem jest torowy królik au vin z różną? – D'Agosta skrzywił się, a Pendergast uśmiechnął się uspokajająco. – Bez obawy, poruczniku. Będę dobrze wyposażony. Mapy, prowiant i wszystko, co niezbędne.

– To jak podróż do wnętrza ziemi – rzekł D'Agosta, kręcąc głową.

– Faktycznie. Czuję się trochę jak odkrywca wyruszający na nie opisane terytoria zamieszkiwane przez nieznaną plebionę. To niewiarygodne, że ta kraina rozciąga się pod naszymi stopami. *Cui ci sono dei mostri*, przyjacielu. Miejmy nadzieję, że nie spotkam *mostri*. Nasza przyjaciółka Hayward mnie odprowadzi.

Pendergast stał przez chwilę w bezruchu, jakby się zamyślił. Wreszcie, ostatni raz skinąwszy głową do D'Agosty, wyszedł z gabinetu i zniknął w korytarzu. Wyszedł bez słowa, jak przystoi ostatniemu z wielkich odkrywców, a w świetle jarzeniówek jedwabny materiał jego drogiego, czarnego garnituru zdawał się lśnić słabym, mętnym blaskiem.

## 31

Pendergast wspinał się szybko po szerokich stopniach przed wejściem do nowojorskiej biblioteki publicznej, dźwigając w jednym ręku skórzano-płócienną walizkę. Z tyłu, za nim, Hayward przystanąła, by spojrzeć na wielkie marmurowe lwy ustawione po obu stronach wejścia.

– Bez obawy, sierżancie – rzekł Pendergast. – Są już po przedpołudniowym karmieniu. – Pomimo upału agent miał na sobie zapięty pod szyję oliwkowy płaszcz, sięgający mu niemal do kostek.

W wyłożonym marmurową posadzką korytarzu panował półmrok i przyjemny chłód. Pendergast zamienił kilka słów ze strażnikiem, pokazał mu legitymację, zadał parę pytań. Następnie skinął głową na Hayward, aby poszła za nim. Poprowadził ją do przejścia pod biegnącymi łukiem podwójnymi schodami.

– Sierżancie Hayward, zna pani podziemia Manhattanu lepiej niż ktokolwiek spośród nas – rzekł Pendergast, gdy weszli do niedużej, obitej skórzaną tapicerką windy. – Dała mi pani już nieocenioną radę. Czy ma pani jeszcze jakieś ostatnie słowo?

Winda zaczęła powoli zjeżdżać.

– Tak – odparła Hayward. – Proszę tam nie iść.

Pendergast uśmiechnął się słabo.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę. Jedyne bezpośredni rekonesans pozwoli nam stwierdzić, czy tunele Astora stanowią faktycznie źródło tych zabójstw, czy też nie.

– Wobec tego proszę zabrać mnie z sobą – dodała natychmiast Hayward.

Pendergast pokręcił głową.

– Proszę mi wierzyć, bardzo bym chciał, aby mi pani towarzyszyła. Jednakże tym razem podstawą mojej misji jest umiejętność skradania się i kamuflażu. Dwie osoby mogłyby narobić zbyt wiele niepotrzebnego hałasu.

Winda zatrzymała się na najniższym poziomie-3B, po czym agent i policjantka wyszli z kabiny, by znaleźć się w ciemnym korytarzu.

– Wobec tego proszę na siebie uważać – rzuciła Hayward. – Większość kretów schodzi do tuneli, by unikać rozrób, a nie szukać zwady. Mimo to krąży tam wielu drapieźców. Alkohol i narkotyki tylko pogarszają sytuację. Proszę pamiętać, że oni lepiej widzą i lepiej słyszą w ciemnościach. A poza tym znają te tunele. Mają nad panem przewagę pod każdym względem.

– To fakt – przyznał Pendergast. – Nie pozostaje mi nic innego, jak za wszelką cenę zrównoważyć te różnice. – Przystanął przed starymi drzwiami, otworzył je kluczem i wprowadził Hayward do środka. Pomieszczenie od podłogi po sufit wypełniały metalowe regały uginające się pod ciężarem starych ksiąg. Przejścia pomiędzy regałami miały zaledwie po dwadzieścia cali szerokości. Woń kurzu i pleśni drażniła nozdrza.

– Co my tu właściwie robimy? – zapytała Hayward, podążając za Pendergastem w głąb wąskiego przejścia.

– Spośród wszystkich budynków, które sprawdziłem – odparł Pendergast – ten miał najdokładniejsze plany i najlepszy dostęp do tuneli Astora. Czeka mnie jeszcze co prawda długie zejście pod ziemię, no i znajduję się spory kawałek na południe od punktu docelowego, ale uznałem, że to w pewien sposób zminimalizuje podjęte przeze mnie ryzyko. – Przerwał na chwilę i rozejrzał się wokoło. – Oho – rzekł, wskazując głową jedno z wąskich przejść. – To chyba musi być tam.

Otworzył kolejne, znacznie mniejsze drzwi w przeciwległej ścianie i zszedł wraz z Hayward po schodach do ciasnego pokoiku z nie wykończoną posadzką.

– Dokładnie pod nami znajduje się tunel prowadzący – oznajmił. – Wybudowano go w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym jako odnogę systemu poczty pneumatycznej, używanej do przesyłania książek do biblioteki w centrum Manhattanu. Projekt został przerwany w okresie wielkiego kryzysu i nigdy go już nie podjęto. Tak czy owak, powinienem dostać się tą drogą do głównego tunelu przesyłowego.

Pendergast postawił walizkę, w świetle latarki zlustrował podłogę, po czym starł kurz ze starej uchylnej kłapy. Podniósł ją z pomocą Hayward i zobaczył znajdującą się pod nią wąską, wyłożoną kafelkami, czarną rynnę. Poświeciwszy latarką w ciemność, przez chwilę rozglądał się dokoła. Wreszcie, wyraźnie zadowolony, wyprostował się, rozpinając guziki płaszcza.

Hayward aż przymrużyła oczy ze zdziwienia. Pod płaszczem agent FBI miał wojskowy mundur polowy w kamuflażowych, szaro-czarnych barwach. Zamki błyskawiczne i sprzączki wykonane były z czarnego matowego plastyku.

Pendergast uśmiechnął się.

– Niezwykłe maskowanie, prawda? – rzucił jakby mimochodem. – Proszę zwrócić uwagę, że plamy w barwie sepii zastąpiono odcieniami szarości. Ten strój wykonano specjalnie do działań w całkowitych ciemnościach.

Ukląkł przed walizką, otworzył zamki i uchylił wieko. Z jednej przegródki wyjął tubkę wojskowej maści kamuflażowej, którą wtarł sobie w twarz i dłonie. Następnie wyjął cienką rolkę filcu. Kiedy sprawdzał zawartość, Hayward zauważyła, że od wewnątrz w materiał wszyte były nieduże kieszonki.

– Kieszonkowy zestaw charakteryzatorski – wyjaśnił Pendergast. – Maszynka do golenia, małe ręczniczki, guma nasączona spirytusem. Tym razem mam zamiar uniknąć wykrycia. Nie chciałbym spotkać nikogo ani niczego tam, na dole. Mimo to wezmę ze sobą jeden komplet, tak na wszelki wypadek. – Włożył tubkę maści do jednej z kieszonek, zrolował materiał i włożył go do wewnętrznej kieszeni bluzy. Sięgnąwszy do walizki, wydobył z niej krótkolufy matowy pistolet, który wyglądał raczej na zrobiony z plastyku niż z metalu.

– A to co? – zapytała z zaciekawieniem Hayward.

Pendergast obrócił broń w dłoniach.

– To eksperymentalny dziewięćmilimetrowy automat, wykonany przez Anschluss GMBH. Strzela specjalnymi kompozytowymi kulami z tworzywa ceramicznego i teflonu.

– Wybiera się pan na polowanie?

– Być może słyszała pani o moim spotkaniu z Mbwunem – odrzekł Pendergast. – To doświadczenie nauczyło mnie, że należy być zawsze przygotowanym. Ta mała pukawka mogłaby powalić nawet słonia. Kula z tego pistoletu przeszłaby go na wylot. Wzdłuż.

– Ofensywna broń – odparła Hayward. – Dosłownie i w przenośni.

– Przyjmuję, że to wyraz aprobaty – powiedział Pendergast. – Naturalnie, obrona jest równie istotna jak atak. Jeżeli chodzi o to pierwsze, jestem odpowiednio zabezpieczony. – Rozchylił bluzę, aby pokazać kamizelkę kuloodporną. Po chwili wyjął z walizki kevlarową czarną kominiarkę i nałożył ją na głowę. Hayward patrzyła, jak Pendergast wyciąga z walizki zestaw do oczyszczania wody i kilka innych przedmiotów i upycha je w licznych kieszeniach swego kombinezonu bojowego. Na koniec wyjął jeszcze dwa starannie zaspawane plastikowe woreczki. Wewnątrz znajdowały się paski czegoś, co przypominało czarne rzemienne sznurówki.

– Pemikan – wyjaśnił.

– Co takiego?

– Filet mignon pocięty na paski, wysuszony i ubity z owocami, jagodami i orzechami. Zawiera wszystkie potrzebne człowiekowi witaminy, składniki mineralne oraz proteiny. Co



dziwniejsze, to jest nawet zjadliwe. Jak dotąd nikt nie wymyślił lepszej suszonej żywności na długie wyprawy niż Indianie Ameryki Północnej. Lewis i Clark żywili się takimi racjami przez wiele miesięcy.

– No cóż, wygląda na to, że ma pan dość prowiantu – powiedziała Hayward, kręcąc głową. – Zakładając, że się pan nie zgubi.

Pendergast rozpiął suwak i odchylił połę kurtki polowej, ukazując podszewkę.

– To być może najcenniejsze, co mam obecnie przy sobie: mapy. Tak jak lotnicy z drugiej wojny światowej, ja również naniósłem je na podszewkę mojej bluzy. – Wskazał ruchem głowy skomplikowaną sieć linii, tuneli i poziomów, nakreślona pewną ręką na kremowym materiale.

Zapiął suwak bluzy i nagle, jakby o czymś sobie przypomniał, sięgnął do kieszeni i podał policjantce pęk kluczy.

– Zamierzałem okleić je taśmą, żeby nie brzęczały. Po namyśle stwierdziłem, że będzie lepiej, jeśli je dla mnie przechowasz.

Z innej kieszeni wyjął swój portfel i legitymację FBI, po czym podał je policjantce.

– Proszę je przekazać sierżantowi D’Agoście. Tam, na dole, nie będą mi potrzebne.

Kilkoma szybkimi ruchami obmacał całe ubranie, jakby upewniając się, że zabrał wszystko, co mogło być mu potrzebne.

Następnie znów odwrócił się w stronę klapy i zwinnie wślizgnął w wąską rynnę.

– Z góry dziękuję za odniesienie mojego bagażu – powiedział, wskazując na walizkę.

– Nie ma sprawy – odrzekła Hayward. – Czekam na pocztówkę.

Kłapa blokująca wylot ciasnej czarnej rynny opadła niemal bezgłośnie, a Hayward zablokowała ją energicznym ruchem nadgarstka.

## 32

Margo, prawie nie mrugając, obserwowała miareczkowanie. Z każdą kolejną kroplą, drżącą i spadającą do roztworu, oczekiwała pojawienia się przebarwienia. Z tyłu, za nią, słychać było cichy oddech Frocka; on również wpatrywał się w urządzenie. Dźwięk ten uświadomił jej, że mimowolnie wstrzymała oddech.

Nagle roztwór rozkwitł jasnożółtą barwą.

Margo przekreśliła szklany kurek zamykający, powstrzymując przepływ roztworu, i zaznaczyła poziom na podziałce menzurki.

Cofnęła się o krok, ze świadomością, że oto powróciło tak dobrze jej znane i niemiłe wspomniane odczucie – niepokój graniczący nieomal z trwogą.

Stojąc w bezruchu, przypomniała sobie dramat, który rozegrał się w innym laboratorium, niespełna sto stóp dalej w głąb korytarza, osiemnaście miesięcy temu. Wtedy także byli tu

tylko we dwoje, czekając przy genetycznym ekstrapolatorze Grega Kawakity i obserwując, jak program wymienia cechy fizyczne istoty, która stanie się później znana jako Mbwun – Bestia z Muzeum.

Przypomniała sobie, jak nieomal przeklinała Johna Whittleseya, naukowca, którego ekspedycja zaginęła w ostępach puszczy amazońskiej. Whittleseya, który przypadkiem użył jako wypełniacza do skrzyń z artefaktami włókien pewnej wodnej rośliny, po czym odesłał swoje zbiory do muzeum. Ani Whittlesey, ani nikt inny nie wiedział, że Mbwun był uzależniony od tych właśnie roślin. Aby przeżyć, potrzebował zawartych w nich hormonów. Gdy środowisko naturalne bestii zostało kompletnie zniszczone, ta udała się na poszukiwanie jedyne go ocalałego zapasu roślin, włókien, którymi wypełniono skrzynie. Jak na ironię, zostały one jednak zamknięte w specjalnej strefie chronionej, w podziemiach muzeum, co zmusiło stworzenie do poszukania substytutu najbardziej zbliżonego pod względem zawartości hormonów do owych fatalnych włókien roślinnych i odnalazło go – było nim podwzgórze ludzkiego mózgu.

Patrząc na żółty roztwór, Margo uświadomiła sobie, że prócz lęku przepelnia ją coś jeszcze – rozczarowanie. Działo się tu coś dziwnego, coś nie wyjaśnionego. Podobnie czuła się, gdy truchło Mbwuna zostało wywiezione zaledwie kilka godzin po krwawej rzezi podczas otwarcia wystawy „Przesady”. Załadowano je do furgonu na rządowych numerach i odtąd nikt go nie widział. Choć Margo nie chciała tego przyznać, w głębi duszy była pewna, że nigdy nie uda im się odkryć całej prawdy, poznać kulisów tej historii i zrozumieć, czym naprawdę był Mbwun. W owym czasie liczyła na to, że dane jej będzie ujrzeć wyniki autopsji, raport patologa, coś, co przede wszystkim pozwoliłoby wyjaśnić, w jaki sposób bestia trafiła do muzeum. A także dlaczego miała tak wysoki procent genów ludzkich. Łaknęła czegoś, czegokolwiek, co pozwoliłoby na zamknięcie tej historii lub przynajmniej odpędziłoby nękające ją, zwłaszcza nocami, koszmary.

Teraz już wiedziała, że teoria Frocka, według której Mbwun był swoistą anomalią genetyczną, nigdy jej w pełni nie przekonała. Wbrew woli zmusiła się, by powrócić myślami do tych paru chwil, kiedy sama miała okazję ujrzeć to stworzenie, gnające przez mroczny korytarz z wyrazem triumfu w złych, dzikich oczach, do miejsca, gdzie stała wraz z agentem Pendergastem. Ten stwór wyglądał raczej na hybrydę niż na anomalię. Ale dlaczego mógł być hybrydą?

Skrzypnięcie kół wózka starego profesora wyrwało ją z zamyślenia.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział. – Dla pewności.

– Już ją mam – odrzekła Margo.

– Moja droga – powiedział z uśmiechem Frock – jesteś zbyt młoda, aby być pewna czegokolwiek. Pamiętaj, wyniki wszystkich eksperymentów muszą być powtarzalne. Nie chcę cię rozczarować, ale obawiam się, że to wszystko jest jedynie stratą czasu, który mogliśmy spożytkować na badanie zwłok Bittermana.

Margo znów zaczęła przygotowywać miareczkowanie i z irytacją przełknęła ślinę. W tym tempie na rezultat jej znalezisk w zniszczonym laboratorium Kawakity przyjdzie im czekać wiele tygodni. Frock słyszał z dokładności i staranności przeprowadzanych eksperymentów naukowych i, jak zawsze zresztą, zdawał się nie zważać na czas, który w tym przypadku odgrywał rolę kluczową. Jak wielu wielkich naukowców, on także był zajęty samym sobą, zainteresowany bardziej własną pracą i teoriami niż opiniami innych. Pamiętała wspólne spotkania, kiedy był jeszcze jej promotorem, podczas których opowiadał jedną po drugiej swoje rozmaite przygody z Afryki, Australii i Ameryki Południowej, w których brał udział, zanim stał się kaleką. Nawet wtedy poświęcał więcej czasu własnym opowieściom aniżeli rozmowom na temat jej badań.

Pracowali przez wiele godzin nad miareczkowaniem i programami regresji liniowej, usiłując wycisnąć coś z włókien, które znalazła w starym magazynie. Margo obserwowała roztwór, rozmasowując dłońmi dolną część pleców. D'Agosta był pewien, że włókna zawierały jakiś psychoaktywny narkotyk. Jak dotąd jednak nie odkryli niczego, co potwierdzałoby jego teorię. Gdybyśmy tylko zachowali choć próbki tamtych oryginalnych włókien, pomyślała Margo, moglibyśmy przeprowadzić badania porównawcze. Jednakże Centrum Zwalczenia Chorób Zakaźnych zażądało zniszczenia wszystkich oryginalnych włókien. Zmuszono ją nawet do oddania, w celu spalenia, torebki, w której kiedyś przenosiła niewielką ich ilość.

No właśnie. Skoro wszystkie włókna zniszczono, jakim sposobem Greg Kawakita zdobył ich próbki? Jak udało mu się je uprawiać? I przede wszystkim – po co?

Pozostawała jeszcze zagadka znalezionej w jego laboratorium butelki oznaczonej napisem AKTYWOWANY 7-DEHYDROCHOLE.

Brakująca końcówka brzmiała zapewne STEROL. Obejrzała butelkę i nieomal wybuchnęła śmiechem. Jak mogła być tak głupia? Teraz wiedziała już, czemu ta nazwa wydała się jej dziwnie znajoma – była to najpopularniejsza odmiana witaminy D3. Gdy już do tego doszła, w mig zorientowała się, że sprzęt laboratoryjny zgromadzony przez Kawakitę musiał służyć prostemu w istocie celowi, a mianowicie synteze witaminy D. Ale w jakim celu?

Roztwór zabarwił się na żółto, a Margo zaznaczyła jego poziom, dokładnie taki sam, jak się tego spodziewała. Frock, odkładając jakieś urządzenia na drugim końcu laboratorium, nie zwrócił nawet na to uwagi. Zawahała się przez chwilę, zastanawiając się, co dalej. Podeszła do stereozoomu i pobrała kolejne włókienko z ich coraz szybciej zmniejszającej się próbki.

Frock podjechał do niej, gdy przygotowywała preparat mikroskopowy.

– Margo, już siódma – rzekł łagodnie. – Wybacz, proszę, ale uważam, że się przepracowujesz. Czy mogę zaproponować, abyśmy skończyli na dzisiaj?

Margo uśmiechnęła się.

– Już prawie skończyłam, doktorze. Jeszcze tylko to jedno i dam sobie spokój.

– No dobrze. A co właściwie robisz?

– Postanowiłam wykonać nowy zimny preparat z próbki i obejrzeć go pod E.M.S. przy dziesięciu engstremach.

Frock zmarszczył brwi.

– Co chcesz przez to osiągnąć?

Margo spojrzała na preparat, maleńką kroplę na szkiełku mikroskopowym.

– Nie jestem pewna. Gdy po raz pierwszy badaliśmy tę roślinę, wiedzieliśmy, że zawiera ona pewnego rodzaju reowirus, oddziałujący zarówno na ludzkie, jak i na zwierzęce proteiny. Chciałam sprawdzić, czy ten wirus może być źródłem narkotyku.

Pokażny kałdun Frocka zakołysał się, a po chwili profesor, nie mogąc się powstrzymać, wybuchnął śmiechem.

– Margo, to, co właśnie usłyszałam, stanowi jawne potwierdzenie, że powinnaś odpocząć. To doprawdy szalona teoria.

– Być może – przyznała Margo. – Ale ja nazwałabym to raczej silnym przecuciem.

Frock patrzył na nią przez chwilę, po czym westchnął głęboko.

– Jak sobie życzysz – mruknął. – Ale ja muszę trochę odpocząć. Jutro czeka mnie wizyta w Morristown Memorial i cała seria badań okresowych, do których corocznie zmusza się człowieka, gdy przechodzi na emeryturę. Do zobaczenia w środę rano, moja droga.

Margo pożegnała się z profesorem i patrzyła, jak powoli wytoczył się na korytarz. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że sławny naukowiec nie znosi, gdy ktoś mu się sprzeciwia. Kiedy była jego podopieczną, cichą i uступliwą, zawsze zachowywał się wobec niej uprzejmie i kulturalnie, jak na dzentelmena przystało. Obecnie jednak Frock był na emeryturze, a ona, jako kurator, miała prawo do własnego zdania i wprowadzania w czyn pomysłów, które nie zawsze zyskiwały aprobatę starego profesora. Nie podobała mu się także asertywność byłej podopiecznej.

Wrzuciła próbkę do specjalnego pojemnika i zaniósła do urządzenia zamrażającego. Wewnątrz maszyny zostanie ona zamknięta w niedużej kostce plastyku, zmrożona do temperatury nieomal zera absolutnego i rozcięta na dwoje. Następnie elektronowy mikroskop skaningowy wykona w olbrzymim powiększeniu zdjęcie uszkodzonej powierzchni. Frock miał, rzecz jasna, rację; w większości przypadków procedura tego typu nie wniosłaby do badań niczego nowego. Powiedziała, że ma przecucie, lecz w rzeczywistości podjęła się tego zdania, gdyż nie przyszło jej do głowy nic innego.

Wkrótce na urządzeniu kriogenicznym zapaliła się zielona lampka. Operując kostką, za pomocą elektronicznego przenośnika umiejscowiła ją na bloku do cięcia. Diamentowy tasak opadł delikatnie, rozległ się cichy trzask i kostka została rozpołowiona. Po przeniesieniu jednej z połówek do E.M.S., starannie skalibrowała urządzenie, wprawnie manipulując urządzeniami kontrolnymi. Po kilku minutach na ekranie pojawił się surowy czarno-biały obraz.

Margo spojrzała nań i krew zastygła jej w żyłach.

Tak jak się spodziewała, ujrzała nieduże, sześciokątne cząstki: był to reowirus, którego obecność we włóknach roślinnych wykrył przed osiemnastoma miesiącami program ekstrapolacyjny Kawakity. Tu wszelako był on obecny w bardzo wysokim stężeniu, organelle rośliny dosłownie pękały w szwach. Cząsteczki otoczone były przez wielkie wakuole zawierające jakąś skryzalizowaną wydzielinę, pochodzącą bez wątpienia od reowirusa.

Powoli wypuściła powietrze. Wysokie stężenie wirusów, skryzalizowana wydzielina, to mogło oznaczać tylko jedno, ta roślina, *Liliceae mbwunensis*, była tylko nosicielem. To wirus produkował narkotyk. Powodem zaś, dla którego nie mogli odnaleźć śladów narkotyku, było to, że znajdował się on wewnątrz wodniczek, zamknięty niczym lekarstwo w kapsułce.

No dobrze, pomyślała, odpowiedź była prosta. Wyizolować reowirus, wyhodować go w nośniku i sprawdzić, jaki narkotyk zostanie przezeń wyprodukowany.

Kawakita musiał nad tym myśleć.

Być może Kawakita nie próbował genetycznie modyfikować rośliny. Może starał się zmodyfikować narkotyk.

A skoro tak...

Margo usiadła, intensywnie się zastanawiając. Nareszcie wszystko zaczynało się układać w spójną całość, elementy układanki jeden po drugim trafiały na swoje miejsce; stare i nowe badania, materia wirusa i jego roślinnego gospodarza, Mbwun, włókna. Niemniej jednak to wciąż nie tłumaczyło, dlaczego Kawakita odszedł z muzeum, aby zająć się tą sekretną działalnością. To nie wyjaśniało także, w jaki sposób istota nazywana Mbwunem przebyła taki szmat drogi z ostępów amazońskiego lasu deszczowego w poszukiwaniu roślin, które ekspedycja Whittleseya...

Whittleseya.

Poderwała się z miejsca, zatykając usta dłonią, przewrócony fotel z trzaskiem runął na podłogę wyłożoną cienkim linoleum.

Nagle wszystko stało się przeraźliwie jasne i oczywiste.

Gdy tym razem wprowadzono go do foyer na siedemnastym piętrze budynku numer dziewięć przy central Park South, Smithback natychmiast zauważył, że okna rozległego salonu były otwarte na oścież. Promienie słońca wpadały do pomieszczenia, złocąc kanapy i stoliki z różanego drewna i przydając jeszcze niedawno posępnemu pokojowi ciepła oraz niezwyklej świetlistości.

Anette Wisher siedziała przy stoliku z przeszklonym blatem, na balkonie, na głowie miała słomkowy kapelusz, oczy skryła za ciemnymi okularami. Odwróciła się do niego, uśmiechnęła i ruchem ręki zaprosiła, by usiadł.

Smithback uczynił to, z podziwem spoglądając na długi zielony kobierzec Central Parku, rozpościerający się na północ ku Sto Dziesiątej Ulicy.

– Przynieś herbatę dla pana Smithbacka – poleciła pani Wisher pokojówce, która go wprowadziła.

– Proszę mi mówić Bill – rzekł Smithback, uściskawszy podaną mu dłoń. Mimowolnie zwrócił uwagę, że nawet teraz, w bezlitosnych promieniach letniego słońca, skóra pani Wisher wydawała się wolna od znamion upływającego czasu. Była jędrna, elastyczna, gładka i kremowa, brakowało jej typowo starczej miękkości i wiotkości.

– Doceniam pańską cierpliwość – oznajmiła, cofając dłoń. – Chyba zgodzi się pan, że powinna ona zostać nagrodzona. Podjęliśmy już decyzję co do dalszego przebiegu działań i, jak obiecałam, pan pozna je pierwszy. Naturalnie, muszą one zostać zachowane w ścisłej tajemnicy.

Smithback przyjął herbatę i wypił łyk, delektując się wonnym aromatem i wybornym smakiem jaśminu. Poczul się nobilitowany, siedząc w tym wytwornym apartamencie, z całym Manhattanem rozpościerającym się u jego stóp, popijając herbatkę w towarzystwie kobiety, z którą chciał przeprowadzić wywiad każdy dziennikarz w mieście.

Zaszczyt, jaki go spotkał, niemal w pełni zrekompensował mu upokorzenie, którego doznał ze strony tego parszywca, złodzieja tematów, Bryce'a Harrimana.

– Wiec na Grand Army Plaza okazał się tak wielkim sukcesem, że postanowiliśmy przejść do następnej fazy operacji pod nazwą Odzyskajmy Nasze Miasto – rzekła pani Wisher.

Smithback pokiwał głową.

– Nasz plan jest bardzo prosty. Wszystkie dalsze posunięcia zostaną przeprowadzone bez zapowiedzi. Kolejne akcje będą miały coraz większy wydźwięk. Skala naszych działań będzie sukcesywnie rosła. W przypadku następnych zabójstw zaczniemy pikietować pod komendami policji, domagając się skuteczniejszych działań. – Uniosła dłoń, odgarniając niesforny kosmyk włosów. – Choć, szczerze mówiąc, nie spodziewam się, abyśmy musieli czekać na istotne zmiany aż tak długo.

– A to dlaczego? – zapytał z zaciekawieniem Smithback.

– Jutro o osiemnastej nasi ludzie zbiorą się pod katedrą Świętego Patryka. Proszę mi wierzyć, grupa, którą pan widział na Grand Army Plaza, to w porównaniu z nimi mała, lokalna pikietka. Pokażemy temu miastu, że należy nas traktować poważnie. Przejdziemy wzdłuż Piątej Alei przez Central Park South i na północ, do Central Park West, zatrzymując się na czuwaniu przy świecach w miejscu każdego z zabójstw. A potem zbierzemy się na wielkim trawniku w Central Parku na ostatnią mszę, o północy. – Pokręciła głową. –

Obawiam się, że władze miasta nie zdają sobie sprawy, z kim mają do czynienia i do czego jesteśmy zdolni. Kiedy jednak ujrzą centrum Manhattanu unieruchomione przez niezliczone tłumy demonstrantów domagających się czynów, zrozumieją, może pan być tego pewien.

– A burmistrz? – zapytał Smithback.

– Możliwe, że znów się pokaże. Politycy jego pokroju nie mogą się oprzeć takiej pokusie. Uwielbiają prezentować się na tle mas. Jeśli się zjawi, zamierzam powiedzieć mu wprost, że to jego ostatnia szansa. Jeżeli znowu nas zawiedzie, zorganizujemy kampanię na rzecz odwołania go z urzędu. A kiedy z nim skończymy, będzie mu trudno znaleźć jakąkolwiek pracę, choćby nawet chciał się zatrudnić jako rakarz w Akron, w Ohio. – Na jej ustach pojawił się lodowaty uśmiezek. – Spodziewam się, że w odpowiednim czasie zacytuje pan moje słowa.

Smithback nie mógł się powstrzymać i też się uśmiechnął. Nadchodzące wydarzenia zapowiadały się wręcz doskonale.

## 34

Wszystko było już prawie gotowe.

Wszedł w wilgotny i parny mrok Świątyni, wodząc delikatnie palcami po chłodnych, gładkich, kopulastych przedmiotach ułożonych rzędami wzdłuż ścian; pieścił organiczne powierzchnie, zagłębienia i wypukłości. Dobrze się stało, że wzniesiono ją właśnie tutaj. Tak powinno być. I było tak jak poprzednio, w tamtym pierwszym miejscu, a zarazem całkiem inaczej. Odwrócił się i rozsiadł na tronie, który dla niego zbudowali, delektując się szorstką, skórzastą powierzchnią siedzenia i lekkim nachyleniem powiązanych kończyn; słyszał słabe skrzypienie ścięgien oraz kości, zmysły miał wyostrzone jak nigdy dotąd. Niedługo wszystko będzie gotowe. Tak jak on. Bo on już był gotów.

Przygotowywali to dla niego długo i z mozołem, ale był przecież ich panem i przywódcą. Kochali go i lękali się, a teraz jeszcze oddawali mu cześć. Zamknął oczy i wciągnął do płuc haust gęstego, wonnego powietrza unoszącego się dokoła niczym mgła. Kiedyś, dawno temu, woń unosząca się w Świątyni przepęliłaby go odrazą, ale było to, jeszcze zanim otrzymał dar wyostrzonych zmysłów. Obecnie wszystko się zmieniło. Zapachy były dla niego niczym zmieniające się stale obrazy, wyraziste, namalowane wszystkimi barwami, jakie tylko można sobie wyobrazić, tu i ówdzie jasnymi i czystymi, gdzie indziej zaś mrocznymi i tajemniczymi. Były tu góry, wąwozy i pustynie woni, oceany i nieba, rzeki oraz łąki, przepiękna panorama aromatów nie do opisanania w żadnym ludzkim języku. W porównaniu z nim świat postrzegany wizualnie wydawał się płaski, szpetny i jałowy.

Sycił się swym triumfem. Odniósł sukces tam, gdzie nikomu innemu się nie udało. Podczas gdy inny szezeł z trwogi i powątpiewania, on urósł w siłę, napawając się męstwem.

Nikt nie zdołał odkryć wady ukrytej w formule, on nie tylko ją wykrył, lecz również wykonał następny krok i udoskonalił bajeczną roślinę wraz z ukrytą w niej nieopisaną nagrodą. Inny zlekceważył rozpaczliwe pragnienia Dzieci, ich umiłowanie rytuałów i ceremonii. On tego nie uczynił. Jedynie on pojął ostateczne znaczenie. To było prawdziwe ucieleśnienie całego dorobku jego życia. I pomyśleć, że wcześniej nie zdołał sobie tego uświadomić! To właśnie on spośród wszystkich dysponował intelektem, mocą i wolą, by doprowadzić to do końca. Jedynie on był w stanie oczyścić świat i poprowadzić go ku przyszłości.

Świat! Wypowiadając to słowo na głos, czuł wysoko nad sobą ten mały, żalony świat, napierający na sanktuarium jego Świątyni. Teraz widział już wszystko aż nadto wyraźnie. Świat był przeludniony, pełen wielkich, kłębiących się rojowisk, pozbawionych jakiegokolwiek celu, sensu czy wartości. Zamieszkujący go ludzie, te małe, prymitywne mrówki, wiedli swe nic nie znaczące, smutne żywoty z bezmyślną powtarzalnością obracających się bez końca trybików jakiejś ogromnej, niewyobrażalnej i bezsensownej maszyny. Zawsze byli nad nim, w górze, defekując, kopulując, płodząc dzieci i umierając, w niewolniczym kieracie ludzkiej egzystencji. Z jakąż łatwością i jak nieuchronnie można, ba, należało wręcz, unicestwić to wszystko, obrócić w przynę silnym kopnięciem, które niszczy mrowisko, rozgniatając na miazgę tkwiące wewnątrz miękkie, białe poczwarki. A gdy to nastąpi, nastanie Nowy Świat, pełen świeżości, różnorodności i marzeń.

## 35

– Gdzie są inni? – zapytała Margo, gdy D’Agosta wszedł do małej salki konferencyjnej na wydziale antropologii.

– Nie przyjdą – odparł D’Agosta, podciągając nogawki spodni i zajmując miejsce. – Mają swoje obowiązki. – Dostrzegł spojrzenie Margo i pokręcił głową z niesmakiem. – No dobrze, co mi tam. Jeśli chcesz znać prawdę, nie są tym w ogóle zainteresowani. Pamiętasz Waxiego? Widziałas go na prezentacji Brambella. Teraz on prowadzi tę sprawę. I jest przekonany, że pojmał sprawcę.

– Co to znaczy „pojmał sprawcę”? – zapytała Margo.

– Jakiegoś świra, którego napotkali w parku. To morderca, bez dwóch zdań, ale nie ten, którego szukamy. Tak w każdym razie uważa Pendergast.

– A co on porabia?

– Wybrał się w krótką podróż służbową. – D’Agosta uśmiechnął się, jakby rozbawiony żartem który był tylko dla niego zrozumiały. – No więc, co masz?

– Opowiem od początku. – Margo wzięła głęboki oddech. – Wszystko zaczęło się przed dziesięciu laty. Od ekspedycji do Amazonii. Prowadził ją uczony z muzeum, John Whittlesey. Wśród członków ekspedycji wybuchają kłótnie, zespół się rozpada. Z różnych powodów giną



wszyscy uczestnicy wyprawy. Do muzeum powraca jedynie kilka skrzyń z relikdami. Jedna z nich zawiera szkaradny posążek, zabezpieczony, jako wypełniaczem, włóknami roślinnymi.

D'Agosta skinął głową. Jak na razie, to wszystko było mu znane.

– Nikt nie wiedział, że posążek przedstawiał dziką, krwiożerczą istotę ani że materiałem wypełniającym są włókna rośliny stanowiącej podstawę jadłospisu tego stworzenia. Niedługo potem środowisko naturalne tego stwora zostaje całkiem zniszczone na rozkaz miejscowych władz, poszukujących na tym obszarze bogactw mineralnych. W tej sytuacji potwór, nasz Mbwun, podąża śladem jedynych ocalałych roślin. Pokonuje całą trasę, od dorzecza Xingú przez Belem do Nowego Jorku. Dotarłszy do muzeum, ukrywa się w tamtejszych piwnicach, gdzie odtąd żyje, żywiąc się nieoswojonymi zwierzętami, drobnymi gryzoniami i włóknami, od których zdaje się uzależniony.

D'Agosta znów skinął głową.

– No właśnie – ciągnęła Margo. – I tego właśnie nie kapuję. Kiedyś to do mnie przemawiało, ale teraz już nie.

D'Agosta uniósł brwi.

– Ale o co ci konkretnie chodzi?

– Proszę się nad tym zastanowić, poruczniku. W jaki sposób dzikie zwierzę, nawet obdarzone ponadprzeciętną inteligencją, mogłoby dotrzeć z Amazonii do Nowego Jorku śladem kilku skrzyń wypakowanych włóknami roślinnymi? To cholerny kawał drogi od płaskowyzu, na którym żyło.

– Nie mówisz mi nic, czego nie wiedzielibyśmy półtora roku temu, gdy zginął Mbwun. Nie dysponowaliśmy wówczas innym wyjaśnieniem, a ja z całą pewnością nic nowego w tej kwestii nie wykombinuję. Wiem jedno, Mbwun tu był. Czuję na sobie jego tchnienie, ale skoro nie pochodził z Amazonii, to skąd?

– Dobre pytanie – rzekła Margo. – A jeżeli Mbwun w rzeczywistości pochodził z Nowego Jorku i najnormalniej w świecie wrócił do domu?

Zapadła krótka cisza.

– Wrócił do domu? – powtórzył zbity z tropu D'Agosta.

– Tak. A co, jeśli Mbwun wcale nie był zwierzęciem, lecz istotą ludzką? Co, jeżeli Mbwunem był Whittlesey?

Tym razem cisza trwała znacznie dłużej. D'Agosta spojrzął na Margo. Mimo doskonałej formy fizycznej dziewczyna musiała być bliska kompletnego wyczerpania, pracując niemal non stop przy bezgłowych ciałach. Do tego jeszcze tragiczna śmierć Brambella i wstrząsające odkrycie, że jedno ze zwłok odkrytych w kanale należały do jej kolegi po fachu. Co więcej, do kolegi, którego, jak sama twierdzi, zawiodła, któremu nie podała ręki, kiedy szukał u niej pomocy, i miała teraz z tego powodu wyrzuty sumienia... Jak mógł być tak głupi i egoistyczny, przydzielając jej tę robotę, wiedział przecież, że wciąż jeszcze nie mogła uporać się z koszmarem wydarzeń w muzeum sprzed półtora roku.

– Posłuchaj – zaczął. – Doktor Green, chyba powinna pani...

Margo uniosła dłoń.

– Wiem, wiem. To brzmi jak bredzenie szaleńca. Ale proszę mi wierzyć, przysięgam, że to prawda. Moja asystentka z laboratorium pracuje właśnie nad ostatnimi testami, których wyniki mają potwierdzić moje przypuszczenia. Proszę pozwolić mi skończyć. Pamięta pan sekwencjonowanie jednego z pazurów? Wyniki wykazały istnienie nienaruszonych łańcuchów doskonałego ludzkiego DNA, złożonych z dobrych kilku tysięcy par bazowych. To żadna ewolucyjna aberracja. Poza tym Pendergast znalazł w gnieździe tej istoty kilka przedmiotów osobistych należących do Whittleseya. Pamięta pan? Proszę też nie zapomnieć, że ta istota zabiła wszystkie osoby, które napotkała na swojej drodze, z wyjątkiem jednej – Iana Cuthberta. Dlaczego? Cuthbert był bliskim przyjacielem Whittleseya. No i nigdy nie odnaleziono jego zwłok.

Oblicze D’Agosta stężało. To był czysty obłęd. Odsunął krzesło i zaczął się podnosić.

– Niech pan pozwoli mi skończyć – rzekła Margo półgłosem.

D’Agosta zmierzył ją wzrokiem. Coś, co dostrzegł w jej oczach, zmusiło go, aby ponownie usiadł.

– Poruczniku – ciągnęła. – Wiem, jak to brzmi. A jednak musi pan mnie wysłuchać. Popelniliśmy horrendalny błąd. Jestem temu winna w takim samym stopniu jak wszyscy inni. Nie złożyliśmy układanki. Nie umieściliśmy wszystkich brakujących elementów na swoim miejscu. Mimo to ktoś tego dokonał. Tym kimś był Greg Kawakita.

Położyła na stole odbitkę powiększonego zdjęcia mikroskopowego.

– Ta roślina zawiera reowirus.

– To już wiedzieliśmy.

– Przeoczyliśmy natomiast pewną, dość szczególną, właściwość owych reowirusów. Mogą wprowadzić obce DNA do komórek gospodarza. I wytwarzają narkotyki. Dziś wieczorem poddałam znalezione włókna kilku dodatkowym testom, to było już po dokonaniu tego odkrycia. Zawierają one materiał genetyczny – gadzie DNA, które jest wprowadzane do ludzkiego nosiciela po zjedzeniu przez niego rośliny. To właśnie owo DNA inicjuje przemianę fizyczną. W jakiś sposób, nie wiem jak ani dlaczego, w trakcie wyprawy Whittlesey musiał zjeść trochę tych roślin. I przeszedł przemianę morfologiczną. Stał się Mbwunem. Po zakończeniu przemiany wymagał spożywania w regularnych odstępach czasu dawek narkotyku zawartego w roślinach. Kiedy lokalne zapasy uległy zniszczeniu, Whittlesey zrozumiał, że rośliny gwarantujące mu przetrwanie znajdzie wyłącznie w muzeum. Wiedział o tym, bo sam wysłał je do Nowego Jorku jako wypełniacz do skrzyń. Dlatego wrócił do Stanów. Dopiero kiedy został odcięty od zapasu włókien, zaczął mordować ludzi. Widzi pan, podwzgórze ludzkiego mózgu zawiera hormon zbliżony do tego, który znajduje się w roślinach...

– Chwileczkę. Twierdzisz, że spożycie tych roślin zmieni człowieka w potwora? – zapytał z niedowierzaniem D'Agosta.

Margo pokiwała głową.

– Teraz wiem już, co Greg miał z tym wspólnego. Doszedł do tego wszystkiego, a potem usunął się w cień, pragnąc urzeczywistnić swój sekretny plan. – Rozłożyła na stole konferencyjnym sporej wielkości diagram. – To rozkład jego laboratorium, dokładny na tyle, na ile zdołałam się w nim połapać. Tu w rogu jest lista sprzętów laboratoryjnych, które udało mi się zidentyfikować. Nawet z drugiej ręki wszystko musiało go kosztować ponad osiemset tysięcy dolarów.

D'Agosta zagwizdał mimowolnie.

– Forsa z narkotyków.

– Otóż to, poruczniku. Laboratorium z takim wyposażeniem mogło zajmować się inżynierią genetyczną na skalę produkcyjną. Podkreślam słowo produkcyjną.

– Pod koniec zeszłego roku doszły nas słuchy o nowym narkotyku, który pojawił się na ulicach – rzekł D'Agosta. – Nazywał się szkliwo. Bardzo rzadki, bardzo drogi, dający solidnego kopa. Ale ostatnio pogłoski o nim ucichły.

Margo przyłożyła palec do diagramu.

– To trzy etapy inżynierii genetycznej. Pierwszym jest mapowanie DNA danego organizmu. Do tego służyły urządzenia przy ścianie północnej. Połączone, dokonywały wspólnie złożonej operacji sekwencyjnej. Pierwsze urządzenie kontroluje reakcję łańcuchową polimerazy, która replikuje DNA, aby mogło zostać zasekwencjonowane. To tutaj sekwencjonuje DNA. Na koniec, to urządzenie to NAD-1, Cambridge Systems. Mamy takie na dole. Jest to wyspecjalizowany superkomputer, który za pomocą procesora głównego, arsenku gali i matryc wektorowych analizuje wyniki sekwencjonowania. Pod ścianą południową stał rząd akwariów. Kawakita hodował w nich roślinę Mbwuna w dużych ilościach, aby stale mieć pod ręką spory jej zapas. Dysponował także aparaturą do inkubacji i hodowania kultur bakteryjnych.

Zapadła grobowa cisza. D'Agosta otarł czoło i sięgnął do kieszeni, by namacać w niej przynoszący uspokojenie kształt cygara. Wbrew sobie zaczynał w to wierzyć.

– Kawakita wykorzystywał ten sprzęt do usuwania genów z wirusa tkwiącego w roślinach. – Margo położyła na stole kolejne zdjęcia. – To mikrografy z elektronowego mikroskopu skaningowego. Widać na nich wyraźnie, że Kawakita usuwał gadzie geny z wirusa. Dlaczego? Najwyraźniej starał się zniwelować fizyczne efekty przyjmowania narkotyku.

– Co o tym wszystkim myśli Frock?

Zadawszy to pytanie, D'Agosta odniósł wrażenie, że dostrzega na twarzy Margo delikatny rumieniec, lecz trwało to tylko krótką chwilę.

– Nie zdążyłam mu jeszcze o tym powiedzieć. Mimo to wiem, że odniesie się do mojej teorii sceptycznie. Stał się nieomal fanatykiem stworzonej przez siebie teorii ewolucji fraktalnej. Może się to panu wydać niewiarygodne, poruczniku, ale prawdą jest, że w przyrodzie istnieje wiele substancji, dajmy na to – hormony, które wywołują równie zdumiewające przemiany. To nie jest ani tak niezwykle, ani nieprawdopodobne, jak można by przypuszczać. Istnieje hormon BSTH, który zmienia poczwarkę w motyla. Jest też inny, o nazwie rezotropina-x. Po jego otrzymaniu kijanka w ciągu kilku dni zmienia się w żabę. I właśnie z tym mamy tu do czynienia, jestem o tym przekonana. Tyle że teraz mówimy o zmianach zachodzących u człowieka.

Przerwała.

– Jest jeszcze coś.

– A to, co usłyszałem, nie wystarczy?

Margo sięgnęła do torebki i wyjęła kilka skrawków spalonego papieru włożonych do plastikowej torebki.

– Wśród popiołów natknęłam się na coś, co wyglądało na dziennik Kawakity. Tylko te skrawki nadawały się do odczytania. – Wyjęła kolejne zdjęcia. – Kazałam je powiększyć. Pierwsze zdjęcie pochodzi ze środka dziennika. To jakaś lista.

D’Agosta spojrział na zdjęcie. Po lewej stronie, u góry mocno nadpalonej strony, dostrzegł kilka niewyraźnych słów: wysoccan, gnojak niebieskonogi. U dołu strony zaś: zielona chmura, proch strzelniczy, serce lotosu.

– Czy coś ci to mówi? – zapytał D’Agosta, zapisując te wyrazy w notesie.

– Jedynie proch strzelniczy – odparła Margo. – Choć wydaje mi się, że powinnam rozpoznać o wiele więcej. – Podsunęła mu jeszcze jedno zdjęcie. – To wydaje się fragmentem kodu do jego programu ekstrapolacyjnego. No i jest jeszcze to. – D’Agosta obejrzał podaną mu fotografię.

...Nie mogę żyć dłużej ze świadomością tego, co... Jak mogłem, skupiając się na... zignorować efekty zmian w psychice... Lecz ten drugi z każdym dniem łaknie więcej. Potrzeba mi czasu, abym...

– Wygląda na to, że pod koniec ruszyło go jednak sumienie – rzekł D’Agosta, oddając zdjęcie. – Ale co on właściwie zrobił?

– Właśnie do tego dochodzę – odrzekła Margo. – Proszę zauważyć, że wspomina on tutaj o zachodzących pod wpływem szkliska zmianach w psychice, czego wcześniej nie wziął pod uwagę. Zwrócił pan uwagę na zagadkową wzmiankę o „tym drugim”? Jak dotąd nie udało mi się tego rozgryźć. – Sięgnęła po kolejne zdjęcia. – To na koniec. Wydaje mi się, że ten fragment pochodzi z ostatniej strony jego dziennika. Jak pan widzi, prócz całej masy cyfr i obliczeń czytelne są tylko trzy słowa przedzielone odstępami: „nieodwracalne. Tyroksyna mogłaby...”

D’Agosta spojrział na nią pytająco.

– Sprawdziłam to. Tyroksyna to eksperymentalny środek chwastobójczy o bardzo silnym działaniu, służący usuwaniu alg z jezior. Jeżeli Greg hodował tę roślinę, to po co mu była tyroksyna? Albo witamina D, którą najwyraźniej również syntetyzował? Tak wiele jest tu jeszcze białych plam.

– Wspomnę o tym Pendergastowi, może jemu coś przyjdzie do głowy. – D’Agosta jeszcze przez chwilę wpatrywał się w zdjęcia, po czym odsunął je na bok. – Proszę mi powiedzieć, doktor Green – ciągnął. – Chyba nie wszystko zrozumiałem jak należy. Co właściwie robił Kawakita z tą całą aparaturą?

– Najprawdopodobniej usiłował poskromić narkotyk, usuwając z wirusa w roślinie Mbwuna gadzie geny.

– Poskromić?

– Sądzę, że starał się stworzyć narkotyk, który nie wywoła dziwacznych zmian fizjologicznych u przyjmujących go osób. Uczyni je natomiast czujniejszymi, silniejszymi, szybszymi i pozwoli im widzieć w ciemnościach. No, wie pan, mam na myśli tę nadwrażliwość sensoryczną, którą posiadał Mbwun. Ale bez efektów ubocznych. – Margo zaczęła zwijać swój diagram. – Aby mieć pewność, będę musiała zbadać próbki tkanek z ciała Kawakity. Sądzę jednak, że znajdziemy w nim ślady narkotyku o zmienionej strukturze genetycznej. Zapewne okaże się również, że narkotyk, mimo diametralnie zmienionej budowy, i tak wywołuje pewne efekty uboczne.

– Chcesz powiedzieć, że Kawakita sam przyjmował narkotyk?

– Jestem tego pewna. Ale gdzieś popełnił błąd. Pokpił sprawę. Może nie przeprowadził odpowiedniej rafinacji albo oczyszczenia tej substancji. Skutkiem tego są, jak mi się zdaje, potworne deformacje szkieletu.

D’Agosta znów otarł czoło. Boże, ależ miał ochotę zapalić.

– Jeszcze chwileczkę – rzekł. – Kawakita to był łąbski gość. Nie przyjąłby tak niebezpiecznej substancji, mając świadomość, czym to grozi. O nie. Jestem tego pewien.

– Ma pan rację, poruczniku. I może właśnie stąd wzięło się jego poczucie winy. Widzi pan, on, jak każdy szanujący się naukowiec, nie mógł zaaplikować sobie tego narkotyku pierwszy. Musiał go najpierw przetestować.

– Ach, tak – mruknął D’Agosta. Zapadł długa cisza, po czym porucznik westchnął przeciągle i dodał: – O cholera.

Bill Trumbull był w świetnym nastroju. Kurs akcji na giełdzie skoczył tego dnia o szesnaście punktów, prawie o sto w ciągu całego tygodnia, i nic nie wskazywało na to, by stan ten miał się w najbliższym czasie zmienić. W wieku dwudziestu pięciu lat Trumbull zarabiał

już sto tysięcy dolarów rocznie. Jego dawni koledzy z gimnazjum sfajdają się w spodnie, gdy im o tym opowie na rocznicowym spotkaniu w przyszłym tygodniu. Większość z nich miała marną pracę i z trudem wyciągała pięćdziesiąt patyków rocznie.

Trumbull z przyjaciółmi przeszli przez bramki i pokrzykując i pohukując radośnie, weszli na peron stacji metra przy Fulton. Było po północy. Właśnie zjedli w Seaport wyśmienitą kolację popitą sporą ilością piwa i snuli nie kończące się rozmowy o tym, jak bardzo już wkrótce będą bogaci.

Nastroje dopisywały wszystkim, śmiano się w głos z pewnego młodego grubaska, który chciał chodzić wraz z nimi na siłownię, lecz nie wytrzymał nawet miesiąca.

Trumbull poczuł powiew zatęchłego powietrza i usłyszał znajomy, odległy łoskot, gdy na torze pojawiły się maleńkie jeszcze światła bliźniaczych reflektorów. Za pół godziny będzie w domu. Ogarnęła go złość, że ma tak daleko do domu – na róg Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Trzeciej Alei; to kawał drogi z Wall Street. Może już czas się przeprowadzić, wynająć kawalerkę na poddaszu gdzieś w śródmieściu albo miłe dwupokojowe mieszkanie w dolnych Sześćdziesiątkach. Adres w Soho nie był zły, ale w East Side jeszcze lepszy. Balkony na wyższych piętrach, wielkie łóżka, kremowe dywany, chromowana stal i szkło.

– ...a ona pyta: Kochanie, mogę pożyczyć siedemdziesiąt dolców?

Usłyszawszy tę puentę, wszyscy ryknęli gromkim śmiechem. Trumbull także, choć nie usłyszał początku dowcipu.

Łoskot przerodził się w ogłuszający ryk, kiedy pociąg wtoczył się na stację. Ktoś z jego grupy dla żartu popchnął Trumbulla w stronę krawędzi peronu, lecz Bill zdołał utrzymać równowagę i odchylić się do tyłu.

Pociąg zatrzymał się przy wtórze głośniego pisku hamulców i cała grupa zajęła miejsca w jednym z wagonów.

Trumbull usiadł na jednym z siedzeń. Kiedy pociąg ruszył, mężczyzna z rozdrażnieniem rozejrzał się dokoła. W wagonie nie działała klimatyzacja i pootwierano wszystkie okna, wpuszczając do przedziału zatęchłe, przesiąknięte wilgocią powietrze i ogłuszający turkot kół pojazdu. Było gorąco jak wszyscy diabli. Trumbull jeszcze bardziej poluzował krawat. Odczuwał pierwsze symptomy migreny, łagodny, lecz stopniowo nasilający się ból w skroniach. Spojrzał na zegarek – za sześć godzin musieli być z powrotem w firmie. Westchnął i usiadł wygodniej. Pociąg toczył się przez tunel, kołysząc się i czyniąc tak wielki hałas, że nie sposób było rozmawiać. Trumbull zamknął oczy.

Przy Czternastej kilku jego kolegów wysiadło, by przesiąść się na pociąg jadący w kierunku Penn Station. Uścisnęli mu dłoń, szturenęli go w ramię i już ich nie było.

Inni wysiedli przy Grand Central; w wagonie pozostali już tylko Trumbull i Jim Kolb, makler pracujący piętro niżej. Trumbull za nim nie przepadał. Znów zamknął oczy, oddychając ze znużeniem, w miarę jak skład wtaczał się coraz dalej w głąb ziemi, sunąc po torze linii ekspresowej.

Trumbull jak przez sen zarejestrował krótki postój przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, otwarcie i zamknięcie drzwi, a potem dalszą podróż w ciemność i powolne nabieranie szybkości do odległej o trzydzieści przecznic kolejnej stacji, przy Osiemdziesiątej Szóstej. Jeszcze jedna stacja, pomyślał sennie.

Wtem pociągiem zatrzęsło i cały skład ze zgrzytem hamulców zaczął gwałtownie zwalniać. Rozbudzony w brutalny sposób Trumbull wyprostował się na siedzeniu, z coraz większą irytacją wsłuchując się w skrzypienia i trzaski znieruchomiłego wagonu.

– Niech to szlag – powiedział głośno Kolb. – Pieprzyć aleję Lexington numer cztery.

Rozejrzył się wokoło, oczekując jakiegokolwiek reakcji, lecz pozostała dwójka na wpół przysypiających pasażerów zbyła go milczeniem. Kolb szturchnął Trumbulla łokciem; Bill uśmiechnął się słabo, a w myślach zmieszał tamtego z błotem. Miał go za skończonego dupka i właśnie się to potwierdziło.

Trumbull zlustrował wnętrze wagonu. Ujrzał niebrzydki kelnerczkę i czarnoskórego dzieciaka, który mimo panującego w przedziale upału miał na sobie obszerną grubą kurtkę i wełnianą czapkę. Choć chłopak sprawiał wrażenie, że śpi, Trumbull obserwował go kątem oka. Pewno przez całą noc napadał na ludzi w ciemnych zaułkach, a teraz wraca do domu. Sięgnął do kieszeni i namacał w niej scyzoryk. Nikt nie odbierze mu portfela, nawet gdyby nie miał w nim ani centa.

Rozległy się ciche trzaski, a potem z głośnika w wagonie dobiegł mocno zniekształcony głos. UAAGA AASAŻEROFFIE ŁOSIMY O EERPLI...FOŚĆ USSERKA SYGNALISSAIII OSSSTANIE FKRUTSSE NAPRAFFIO...

– Jasne, powiedzcie mi coś, czego nie wiem – burknął z niesmakiem Kolb.

– Że co?

– Zawsze tak mówią. Usterka sygnalizacji. Już wkrótce pojedziemy dalej. Chyba w snach.

Trumbull splótł ramiona na piersiach i ponownie zamknął oczy. Coraz bardziej łupało go w skroniach, a na dodatek w wagonie było tak duszno, że trudno było oddychać.

– I pomyśleć, że każą nam płacić pół dolca za przejazdźkę tą sauną na kółkach – ciągnął Kolb. – Może następnym razem powinniśmy wynająć limuzynę.

Trumbull, jakby mimochodem, pokiwał głową i spojrzął na zegarek. Za piętnaście pierwsza.

– Nic dziwnego, że ludzie przeskakują przez bramki – mówił Kolb.

Trumbull znów skinął głową, zastanawiając się, jak mógłby go uciszyć. Naraz usłyszał jakiś hałas dochodzący z zewnątrz i leniwie wyjrzał przez okno.

W parnej ciemności pojawiła się jakaś postać, szła w ich kierunku po sąsiednim torze. Zapewne to mechanik, pracownik obsługi kolei podziemnych. Może pracuje na nocną zmianę, reperując tory, pomyślał Trumbull, przyglądając się od niechcienia zbliżającej się postaci.

Gwałtownie rozbudzone nadzieje okazały się płonne. A jeśli, nie daj bóg, coś się popsulo w pociągu, a niech to, moglibyśmy zostać tu uwięzieni, aż...

Nagle tuż pod oknem przemknęła bezgłośnie postać w bieli. Trumbull poderwał się z siedzenia jak oparzony. To nie był pracownik obsługi kolei, lecz kobieta – kobieta w długiej sukni. Biegła, potykając się coraz bardziej, rozplywając się w ciemnościach tunelu. Przez otwarte okno patrzył, jak oddalała się coraz bardziej, znikając w ciemnościach tunelu. Zanim znikła w mroku, Bill zauważył, że plecy jej sukni zbryzgane były czymś, co w słabym świetle unieruchomionego pociągu wyglądało jak czarna farba.

– Widziałeś to? – zwrócił się do Kolba.

Makler uniósł wzrok.

– Co takiego?

– Kobietę biegnącą po torach.

Kolb uśmiechnął się.

– Czy nie wypiełeś czasem o jednego za dużo, Billy?

Trumbull wstał i wychyliwszy głowę przez okno, zmrużył lekko powieki, spoglądając w stronę, dokąd pobiegła kobieta. Nic. Odwrócił się, by stwierdzić, że żadna z osób znajdujących się w wagonie niczego nie zauważyła.

Co się tam działo? Czyżby to jakiś napad? Znów wyjrzał przez okno, ale kobieta zniknęła, tunel był pusty i cichy.

– Miało być „wkrótce”, czemu to tak długo trwa, u licha? – pieklił się Kolb, stukając palcem w szkiełko swego rolexa.

Trumbull miał wrażenie, że lada moment czaszka pęknie mu na dwoje. Może faktycznie wypił za dużo i zaczynał mieć przywidzenia.

To była jego trzecia impreza w tym tygodniu. Może nie powinien tak często wychodzić z kolegami. Zapewne widział tylko mechanika od napraw trakcji kolejowej, który dźwigał coś na plecach. Równie dobrze mogła to być kobieta. Bądź co bądź, kobiety także pracują na kolei. Zajrzał przez drzwi do sąsiedniego przedziału, lecz panował w nim względny spokój; samotny pasażer tęnym wzrokiem gapił się w przestrzeń. Gdyby coś się wydarzyło, bez wątpienia ogłoszono by to przez głośniki w całym pociągu.

Usiadł, zamknął oczy i skupił całą swą uwagę na bólu w skroniach, usiłując go zneutralizować. Zwykle nie miał nic przeciwko przejażdżkom metrem. Jazda trwała krótko, a turkot kół i błyski świateł odwracały uwagę. Jednakże w chwilach takich jak ta, podczas nie wyjaśnionych postojów, w dusznej ciemności trudno było nie myśleć o tym, jak głęboko pod ziemią biegły tory i jak daleko było do następnej stacji...

Z początku zabrzmiało to jak odgłos pociągu, odległy wizg kół, gdy skład wjeżdżał na stację. I nagle, nasłuchując, Trumbull rozpoznał ów odgłos – był to dochodzący z daleka przeciągły krzyk, dziwnie zniekształcony przez echo i wpływający do wagonu przez pootwierane okna.



– Co, u licha? – rzucił Kolb, prostując się na siedzeniu.

Czarnoskóry chłopak otworzył oczy, a kelnerka stała się nagle czujna.

W elektryzującej ciszy, jaka wówczas zapadła, wszyscy nasłuchiwali uważnie. Nie doszedł ich jednak żaden inny dźwięk.

– Chryste, Bill, słyszałeś to? – spytał Kolb.

Trumbull milczał. Gdzieś niedaleko napadnięto kogoś, może nawet zamordowano. Kto wie, może to jeden z lokalnych gangów zaatakował unieruchomiony pociąg. Był to najgorszy z koszmarów każdego pasażera metra.

– Nigdy nic nie powiedzą – warknął Kolb, spoglądając nerwowo na głośniki. – Może ktoś powinien to sprawdzić.

– Śmiało – rzekł Trumbull.

– To był krzyk – dodał Kolb. – Krzyk mężczyzny. Słowo daję.

Trumbull znów wyjrzał przez okno. Tym razem spostrzegł kolejną postać przemykającą wzdłuż sąsiedniego toru. Zbliżała się do nich dziwnym, niezdarnym krokiem, jakby utykała lub powłóczyła nogami.

– Ktoś nadchodzi – powiedział.

– Spytaj go, co się dzieje.

Trumbull zbliżył się do okna.

– Hej, hej, ty!

W półmroku za pociągiem postać się zatrzymała.

– Co się dzieje? – zakrzyknął Trumbull. – Czy ktoś jest ranny?

Postać znów ruszyła naprzód. Trumbull śledził ją wzrokiem, jak zmierzała w stronę sąsiedniego wagonu, po czym wspięła się na złącze pomiędzy dwiema jednostkami i znikła.

– Nie cierpię tych palantów z obsługi kolei podziemnych – mruknął Kolb. – Sukinsyny zarabiają czterdzieści patyków rocznie, a gdy przyjdzie co do czego, nawet palcem nie kiwną.

Trumbull przeszedł na przód wagonu i zajrzał przez szybę do sąsiedniej jednostki. Samotny pasażer wciąż tam siedział, zajęty teraz był lekturą jakiejś książki w broszurowej oprawie. Znów zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Co widzisz? – wychrypiał Kolb.

Trumbull wrócił na miejsce.

– Nic – odparł. – Może to któryś z robotników wołał swojego kumpla.

– Chciałbym, żebyśmy wreszcie ruszyli – powiedziała nagle kelnerka zduszonym głosem.

Chłopak w grubej kurtce skulił się na siedzeniu, obie ręce włożył do kieszeni. Założył się, że w jednym ręku ma spluwę, pomyślał Trumbull, niepewny, czy ta świadomość miała mu przynieść ulgę czy zaniepokoić.

W wagonie z przodu zamigotało światło.

– O cholera – jęknął Kolb.

Z pociemniałego wagonu dobiegło głucho łupnięcie, cały wagon zatrzęsł się, jakby uderzyło weń coś ciężkiego. Po chwili dało się słyszeć dziwne ni to westchnienie, ni to stęknięcie. Trumbullowi dźwięk ten kojarzył się ze spuszczeniem powietrza z mokrego balonu.

– Co to było? – zapytała kelnerka.

– Wynoszę się stąd – rzucił Kolb. – Chodź, Trumbull. Stacja przy Pięćdziesiątej Dziewiątej powinna znajdować się zaledwie kilka przecznic za nami.

– Zostaję tutaj.

– Wobec tego jesteś idiotą – burknął Kolb. – Wydaje ci się, że będę tu czekał, aż jakiś parszywy gang wedrze się w końcu do tego wagonu?

Trumbull pokręcił bolącą głową. Jedyne, co należało uczynić w tej sytuacji, to zachować spokój i nie ruszać się z miejsca. Wstając, zwracałeś na siebie uwagę, stając się potencjalnym celem. Ofiarą.

Z mrocznego wagonu dobiegł kolejny dźwięk, jakby bębnienie kropel deszczu o metal.

Trumbull ostrożnie wychylił się naprzód, spoglądając w stronę ciemnego wagonu. Natychmiast zauważył, że szyba zbryzgana była od środka czymś, co przypominało farbę. Gęsta ciecz spływała po szkle czarnymi strugami.

– Co to takiego? – wrzasnął Kolb.

Jakieś dzieciaki demolowały wagon, zalewając farbą ściany i okna. A przynajmniej tak to wyglądało. Gęsty płyn przypominał farbę. Czerwoną farbę. Może faktycznie nadszedł już czas, aby wynieść się stąd jak najdalej, i zanim jeszcze ta myśl na dobre zakiełkowała w jego umyśle, poderwał się z miejsca i pognął w stronę tylnych drzwi wagonu.

– Billy! – Kolb pobiegł za nim.

Trumbull usłyszał rozlegający się za jego plecami głucho trzask, coś z potężną siłą uderzyło w przednie drzwi przedziału, zaraz potem dało się słyszeć tupot licznych stóp, po nim zaś ciszę rozdarł przeraźliwy wrzask kelnerki. Nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie, chwycił za klamkę i przekręciwszy ją, otworzył przesuwane drzwi. Przeskoczył przez złącze między jednostkami, otwierając na oścież drzwi do sąsiedniego wagonu.

Kolb wciąż deptał mu po piętach, raz po raz mrużąc pod nosem: cholera, cholera, cholera.

Trumbull zdążył jeszcze zauważyć, że ostatni wagon był pusty i niemal natychmiast w całym pociągu zgasły wszystkie światła. Rozejrzał się dziko dokoła. Jedyne oświetlenie dawały teraz małe lampy rozmieszczone równo wewnątrz tunelu – lecz wiele z nich nie działało – i odległa o niemal dwie przecznice stacja przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Zatrzymał się i odwrócił do Kolba.

– Otwórzmy tylne drzwi. Musisz mi pomóc.

W tej samej chwili z wagonu, który właśnie opuścili, dobiegł odgłos wystrzału. Gdy ucichło echo głośnego huku, Trumbull odniósł wrażenie, że ciche pochlipywanie kelnerki umilkło równie niespodziewanie.

– Poderżnęli mu gardło! – krzyknął Kolb, oglądając się przez ramię.

– Zamknij się! – zasyczał Trumbull. Niezależnie od tego, co usłyszał, nie obejrzał się za siebie. Pobiegł na sam koniec jednostki i chwyciwszy za gumowane obrzeża, spróbował rozewrzeć zamykane automatycznie drzwi.

– Pomóż mi! – zawołał.

Kolb schwycił za obrzeże z drugiej strony i pociągnął do siebie; po jego twarzy spływały strużki łez.

– Ciągnij, na Boga!

Zasyczało sprężone powietrze i drzwi puściły; wewnątrz wagonu wypełnił dławiący, ziemisty odór. Zanim Trumbull zdążył wykonać jakikolwiek ruch, został odepchnięty na bok przez Kolba, który precyzyjnie się przez otwór i zeskoczył na tory. Trumbull zebrał się do skoku i nagle zamarł w bezruchu. Z ciemności tunelu na wprost nich wyłoniło się kilka postaci i powłócząc nogami, ruszyło w stronę Kolba. Trumbull otworzył usta, ale zaraz je zamknął; nie wierzył własnym oczom, kolana ugięły się pod nim i omal nie upadł. W sposobie poruszania się tych postaci było coś dziwnego, nienormalnego i przeraźliwie obcego. Trumbull patrzył, jak postacie otaczają Kolba. Jedna z nich chwyciła maklera za włosy, odchylając jego głowę do tyłu, podczas gdy druga unieruchomiła jego ramiona. Kolb miotał się bezgłośnie w dzikiej, śmiertelnej pantomimie. Po chwili z cienia wyłoniła się powoli trzecia postać i dziwnie delikatnym ruchem przeciągnęła dłońią po szyi Kolba.

Natychmiast w stronę pociągu buchnęła struga krwi.

Trumbull cofnął się przerażony, potknął się, upadł na podłogę, ale zaraz podniósł się na klęczki, lekko zdezorientowany.

Rozpaczliwie obejrzał się za siebie, w stronę wagonu, z którego uciekli. W ciemności dostrzegł dwie postaci kucające nad rozciągniętym na podłodze ciałem kelnerki i pracowicie manipulujące przy jej głowie i szyi...

Desperacja dodała Trumbulłowi skrzydeł.

Odwrócił się, wyskoczył przez rozchylone drzwi awaryjne, wylądował na torach, potknął się, ale nie stracił równowagi i pobiegł co sił w nogach. Mijając postacie pochylające się nad Kolbem, pędził w kierunku odległych świateł stacji.

Kolacja i piwo podeszły mu do gardła i wypłynęły, plamiąc nogawki spodni, gdy biegł nieprzerwanie dalej. Z tyłu, za nim, rozległy się odgłosy pościgu, usłyszał jakiś trzask i tupot wielu biegnących stóp.

Z jego ust wyrwał się zduszony szloch.

Nagle z ciemności na wprost niego wyszły na tory kolejne dwie postacie w długich płaszczach i kapturach na głowie. Ich mroczne sylwetki rysowały się posępnie na tle świateł odległej stacji.

Gdy zaczęły iść w jego stronę, Trumbull przystanął. Postacie natychmiast przyspieszyły kroku. Gnały teraz ku niemu z przerażającą szybkością. Z tyłu, za nim, odgłosy pościgu przybrały na sile. Prześladowcy zbliżali się nieubłaganie. Dziwny letarg obrócił nogi Trumbulla w kamień, mężczyzna poczuł, że traci zmysły. Jeszcze kilka sekund i zostanie pochwycony, jak Kolb...

I wtedy, w krótkim błysku lampki sygnalizacyjnej, spostrzegł twarz jednego ze swych prześladowców.

Pojedyncza myśl, wyrazista i nieprzeparta, dotarła do jego umysłu pośród mroku nocy, która niespodziewanie zmieniła się w upiorny koszmar. Zrozumiał, co musi zrobić. Zlustrował wzrokiem tory biegnące u jego stóp, odnalazł żółte, ostrzegawcze pasy na błyszczącej, srebrzystej szynie, a kiedy wsunął pod nią stopę, cały świat przed jego oczami rozpląnął się w oślepiająco jasnym, precudownym błysku.

## 37

D'Agosta starał się myśleć o stadionie Jankesów, białej skórzanej piłce mknącej łukiem przez błękitne lipcowe niebo, zapachu trawy świeżo wyrwanej przez zawodnika, o zapolowym uderzającym w bandę za boiskiem i jego uniesionej w górę, urękawiczonej dłoni. Był to rodzaj medytacji transcendentальной, sposób na odcięcie się od zewnętrznego świata i pozbywanie myśli. Szczególnie użyteczny, gdy wszystko brało w łeb.

Jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu, usiłując zapomnieć o dzwoniących telefonach, trzaskających drzwiach i rozhisteryzowanych sekretarkach. Gdzieś tam, wiedział o tym doskonale, był szalejący Waxie. Dzięki Bogu, znajdował się poza zasięgiem jego głosu.

Chyba nie jest już taki pewny starego Jeffreya, pomyślał. To mimo wszystko nie poprawiło mu humoru.

D'Agosta westchnął i skupił myśli na zagadkowej postaci Alberty Muñoz, jedynej ocalałej z masakry w metrze.

Zjawił się akurat, gdy wynoszono ją na noszach wyjściem awaryjnym przy Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy: dłonie złożone na podołku, miły, pogodny wyraz twarzy, pulchna, matczyzna sylwetka, brązowa skóra silnie kontrastująca z białą prześcieradła, którym ją nakryto. Bóg jeden wiedział, jakim cudem zdołała się skryć – nie wymówiła ani słowa. Pociąg natomiast zmienił się w prowizoryczną kostnicę; zginęło siedmioro osób cywilnych i dwóch pracowników kolei podziemnych, pięciorgu zmiażdżono czaszki i podcięto gardła niemal do kręgosłupów, trójce pozostałych całkiem urwano głowy; czerepów nie

odnaleziono. Jedna osoba spaliła się, porażona prądem z trzeciej szyny. D'Agosta nieomal czuł już krążące w powietrzu prawnicze sępy.

Pani Muñoz przebywała obecnie u Świętego Łukasza na oddziale psychiatrycznym. Waxie srożył się, prosił i groził, ale ordynator był nieugięty, zabronił wszelkich wizyt u swojej nowej pacjentki przynajmniej do szóstej rano.

Zniknęły trzy głowy. Próbowano pójść tropem krwi, lecz zespół hemoluminescencyjny zgubił ślad w labiryncie podmokłych tuneli.

D'Agosta raz jeszcze przypomniał sobie w myślach przebieg zdarzeń. Ktoś przeciął przewód alarmowy tuż po opuszczeniu przez skład stacji przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, skutkiem czego wszystkie pociągi ekspresowe z East Side zatrzymane zostały pomiędzy Czternastą a Sto Dwudziątą Piątą i tylko jeden stanął w tunelu wiodącym do stacji przy Osiemdziesiątej Szóstej.

Tam właśnie napastnicy przygotowali zasadzkę.

Atak wymagał inteligencji i sprytnego planu, a być może również informacji od któregoś z pracowników kolei podziemnych. Jak dotąd nie udało się znaleźć wyraźnych odcisków stóp, lecz D'Agosta podejrzewał, że napastników musiało być co najmniej sześciu. Nie mniej niż sześciu i nie więcej niż dziesięciu. To był dobrze zaplanowany i skoordynowany atak.

Ale czemu miał służyć?

Technicy oszacowali, że mężczyzna, który się spalił, musiał celowo nadepnąć na trzecią szynę. D'Agosta zastanawiał się, co ujrział ów człowiek, że skłoniło go to do samobójstwa. Cokolwiek to było, Alberta Muñoz także to widziała. Musiał z nią pomówić, zanim zjawi się u niej Waxie i wszystko zepsuje.

– D'Agosta! – Jak na zawołanie rozległ się znajomy głos. – Co to ma być, śpisz na służbie?

Powoli otworzył oczy, w milczeniu przyglądając się poczerwieniałej, rozdygotanej twarzy.

– Wybacz, że przerywam ci sjęstę – ciągnął Waxie – ale mamy tu akurat drobną sytuację kryzysową i...

D'Agosta wstał. Rozejrzał się dokoła, dostrzegł swoją marynarkę przewieszoną przez oparcie krzesła, sięgnął po nią i zaczął nakładać.

– Słyszysz, co do ciebie mówię, D'Agosta? – ryknął Waxie.

Porucznik wyminął go i wyszedł na korytarz. Hayward stała przy biurku oficera dyżurnego, przeglądając nowy faks. D'Agosta wychwycił jej spojrzenie i machnął ręką, wskazując na windę.

– Dokąd się, u diabła, wybieracie? – warknął Waxie, podążając za nimi. – Ogłuchliście czy jak? Mówiłem przecież, mamy sytuację kryzysową...

– To ty masz kryzys – uciał D'Agosta. – Uporaj się z nim. Ja mam co robić.

Kiedy drzwi windy się zamknęły, D'Agosta włożył do ust cygaro i odwrócił się do Hayward.

– Święty Łukasz? – zapytała.

Pokiwał głową w odpowiedzi.

Minutę później drzwi windy rozsunęły się przy wtórze melodyjnego sygnału, ukazując znajdujący się za nimi rozległy, wyłożony kafelkami hol.

D'Agosta już miał wysiąść z kabiny, gdy nagle stanął jak wryty. Za szklanymi drzwiami spostrzegł tłum ludzi z uniesionymi w górę pięściami. Liczba osób potroiła się, odkąd o drugiej w nocy zjawił się na komendzie głównej.

Ta zamożna kobieta, pani Wisher, stała na masce policyjnego radiowozu, z ożywieniem pokrzykując przez megafon. Nie zabrakło też mediów. Porucznik widział błyskające flesze i kamery licznie tu zgromadzonych reporterów rozmaitych stacji telewizyjnych.

Hayward położyła dłoń na jego przedramieniu.

– Nie lepiej byłoby wziąć wóz patrolowy z parku maszyn w podziemiach komendy? – zapytała.

D'Agosta spojrzał na nią.

– Pewnie, że tak – odparł, wracając do windy.

Ordynator kazał im czekać. Na plastikowych krzesłach w szpitalnej kafejce przesiedzieli w sumie czterdzieści pięć minut. Lekarz był młody, miał ponurą minę i ślaniał się na nogach ze zmęczenia.

– Mówiłem kapitanowi, że nie zezwolę na widzenie z pacjentką do godziny szóstej rano – oznajmił cienkim, gniewnym głosem.

D'Agosta wstał i uściśnął mu dłoń.

– Jestem porucznik D'Agosta, a to sierżant Hayward. Miło mi pana poznać, doktorze Wasserman.

Lekarz chrząknął i uwolnił dłoń z uścisku.

– Doktorze, powiem wprost: nie chcemy zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić zdrowiu pani Muñoz.

Lekarz pokiwał głową.

– I tylko od pana będzie zależało, jak długo tam zabawimy – dodał D'Agosta.

Lekarz milczał.

– Zdaję sobie również sprawę, że był u pana niejaki kapitan Waxie, robiąc mnóstwo hałasu i zamieszania. Być może nawet panu groził.

Wasserman niespodziewanie wybuchnął.

– Już od lat pracuję na ostrym dyżurze i jeszcze nikt nie potraktował mnie tak jak ten skurwiel.

– Witamy w klubie – rzuciła z przekąsem Hayward.

Lekarz spojrział na nią ze zdziwieniem, po czym nieznacznie się rozluźnił.

– Doktorze, w tej sprawie musiało uczestniczyć minimum sześciu, maksimum dziesięciu sprawców – rzekł D’Agosta. – Jestem przekonany, że to ci sami, którzy zamordowali Pamelę Wisher, Nicholasa Bittermana i wielu innych. Sądzę też, że osobnicy ci wciąż jeszcze mogą przebywać w tunelach metra. Pani Muñoz jest jedyną osobą, która może ich zidentyfikować. Jeśli upiera się pan, że w chwili obecnej nie powinienem przesłuchiwać pańskiej pacjentki, nie będę więcej nalegał. Niemniej jednak, mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że w grę może wchodzić życie kolejnych niewinnych osób.

Lekarz przyglądał mu się przez długą chwilę. Wreszcie uśmiechnął się łagodnie.

– No dobrze, poruczniku. Ale stawiam trzy warunki. Muszę być przy tym obecny. Musi pan poprowadzić przesłuchanie wyjątkowo delikatnie i z wyczuciem. I po trzecie, jeśli powiem, że już wystarczy, nie będzie pan próbował przedłużać rozmowy z pacjentką.

D’Agosta skinął głową.

– Obawiam się, że tylko tracie państwo czas. Ta kobieta jest w ciężkim szoku i przejawia symptomy silnego stresu posttraumatycznego.

– Zrozumiałem, panie doktorze.

– Świetnie. O ile nam wiadomo, pani Muñoz pochodzi z niedużego miasteczka w środkowym Meksyku. Pracuje jako opiekunka do dziecka u pewnej rodziny z Upper East Side. Wiemy, że mówi po angielsku. I to w zasadzie wszystko.

Pani Muñoz leżała na szpitalnym łóżku dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ułożono ją na noszach: ramiona splecione, oczy wpatrujące się tępo w przestrzeń. Pomieszczenie przesycone było wonią glicerynowego mydła i spirytusu. Hayward została za drzwiami, na wypadek gdyby Waxie zjawił się wcześniej, niż mu kazano, a D’Agosta i lekarz zasiedli na krzesłach przy łóżku pacjentki. Przez chwilę siedzieli bez ruchu.

Nagle, bez słowa, Wasserman ujął kobietę za rękę.

D’Agosta wyjął portfel. Wyciągnął ze środka zdjęcie i pokazał kobiecie.

– To moja córeczka, Isabella – rzekł D’Agosta. – Ma dwa latka. Piękna, prawda?

Cierpliwie trzymał zdjęcie w dłoni, aż w końcu kobieta zdecydowała się na nie spojrzeć. Lekarz zmarszczył brwi.

– Ma pani dzieci? – spytał D’Agosta, chowając fotografię.

Pani Muñoz spojrzała na niego. Zapadła długa cisza.

– Pani Muñoz – rzekł D’Agosta. – Wiem, że przebywa pani w tym kraju nielegalnie.

Kobieta pospiesznie odwróciła wzrok. Lekarz rzucił D’Agoscie ostrzegawcze spojrzenie.

– Wiem także, że wielu ludzi składało pani obietnice, których później nie dotrzymywali. Ja też chcę pani coś obiecać i klnę się na zdjęcie mojej córki, że dotrzymam słowa. Jeżeli mi pani pomoże, uczynię wszystko, aby otrzymała pani zieloną kartę.

Kobieta nie odpowiedziała. D’Agosta wyjął inne zdjęcie i uniósł w dłoni.

– Pani Muñoz?

Kobieta przez dłuższą chwilę trwała w całkowitym bezruchu. Nagle skierowała wzrok na zdjęcie. D'Agosta poczuł, że coś w jego wnętrzu się rozluźniło.

– To Pamela Wisher, kiedy miała dwa latka. W tym samym wieku, co moja córeczka.

Pani Muñoz wzięła od niego zdjęcie.

– Anioleczek – wyszeptwała.

– Została zabita przez tych samych ludzi, którzy zaatakowali skład metra. – Mówił delikatnie, lecz bardzo szybko. – Pani Muñoz, proszę mi pomóc odnaleźć tych strasznych ludzi. Nie chcę, aby zamordowali kogoś jeszcze.

Po twarzy pani Muñoz spłynęła łza. Jej usta zadrżały.

– Ojos...

– Że co, proszę? – rzucił D'Agosta.

– Oczy...

Znow zapadła cisza, wargi pani Muñoz poruszały się bezgłośnie.

– Nadeszli bezszelestnie... jaszczurcze ślepie... diabelskie oczy.

Z jej ust wyrwał się szloch.

D'Agosta chciał coś powiedzieć, ale spojrzenie Wassermana uciszyło go w jednej chwili.

– Oczy... cuchillos de pedernal... szatańskie twarze...

– Jak to?

– Stare twarze, viejos...

Ukryła twarz w dłoniach i wydała przeciągły zbolący jęk.

Wasserman wstał, dając znak porucznikowi.

– Już dość – rzekł stanowczo. – Proszę wyjść.

– Ale co ona...?

– Proszę wyjść – rozkazał lekarz. – Natychmiast.

Na korytarzu D'Agosta natychmiast sięgnął po swój notes i zapisał w nim z pamięci zagadkowe słowa, które usłyszał przed chwilą.

– Po jakiemu to? – zapytała Hayward.

– Po hiszpańsku – odparł D'Agosta.

Hayward zmarszczyła brwi.

– Nic mi to nie mówi.

D'Agosta spojrzał na nią badawczo.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że prócz wielu innych atutów, które posiadasz, znasz również hiszpański?

Hayward uniosła brew w znaczącym geście.

– Nie wszyscy bezdomni mówią po angielsku. Bywało, że podczas oczyszczania tuneli trzeba było posługiwać się również innymi językami. Ale co to ma właściwie znaczyć?

D'Agosta wcisnął jej notes do ręki.

– Domyśl się sama.



Hayward z przejęciem zaczęła czytać zagadkowe zdania, bezgłośnie poruszając przy tym wargami. Po kilku chwilach ruszyła w stronę recepcji i stanąwszy przy biurku, sięgnęła po telefon.

Wasserman wyszedł na korytarz, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

– Poruczniku, muszę przyznać, że było to dość... nieszablonowe przesłuchanie. Niemniej jednak może wyniknie z tego coś dobrego. Mam taką nadzieję. Dziękuję.

– Niech pan mi nie dziękuje – odparł D’Agosta – tylko uczyni wszystko, aby ta kobieta jak najszybciej stanęła na nogi. Chciałbym jej zadać jeszcze wiele pytań.

Hayward odwiesiła słuchawkę i ruszyła z powrotem w ich stronę.

– To wszystko, co zdołaliśmy wspólnie z Jorge’em wykoncypować – oznajmiła, oddając porucznikowi notatnik.

D’Agosta zerknął na przekład sporządzony przez policjantkę.

– Krzemienne noże?

Hayward wzruszyła ramionami.

– Nie mamy, rzecz jasna, pewności, że tak właśnie powiedziała, ale przetłumaczyliśmy ten zwrot możliwie jak najwierniej.

– Dzięki – mruknął D’Agosta, chowając notes do kieszeni, i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Nagle przystanął, jakby coś sobie przypomniał, i odwrócił się. – Doktorze – powiedział. – Podejrzewam, że za godzinę lub dwie zjawi się tu kapitan Waxie.

Oblicze Wassermana spochmurniało.

– Przypuszczam, że pani Muñoz jest zbyt wyczerpana, by ktokolwiek mógł ją teraz odwiedzać. Mam rację? Gdyby kapitan sprawiał panu jakieś kłopoty, proszę odesłać go do mnie.

Wasserman po raz pierwszy uśmiechnął się od ucha do ucha.

## 38

Kiedy Margo zjawiła się około dziesiątej rano w sali konferencyjnej na wydziale antropologii, natychmiast zorientowała się, że spotkanie musiało trwać już od jakiegoś czasu.

Na niedużym stoliku pośrodku pomieszczenia wały się kubki po kawie, serwetki, nie dojedzone croissantsy i opakowania po zestawach śniadaniowych.

Prócz Frocka, Waxiego i D’Agosty Margo ze zdziwieniem spostrzegła w sali szefa Horlockera. Grube galony na jego kołnierzyku i czapce nie pasowały do tego miejsca, pełnego skomplikowanych urządzeń i sprzętów elektronicznych.

W powietrzu wyczuwało się silne napięcie.

– Mamy uwierzyć, że zabójcy żyją w tunelach Astora, o których nam opowiedziałeś? – Waxie zwrócił się do D’Agosty. Gdy do sali weszła Margo, odwrócił się w stronę drzwi. Na jego twarzy malował się posepny wyraz.

– Cieszę się, że przyszedłeś – burknął ponuro.

Na te słowa Frock uniósł wzrok i odtoczył się nieco w tył, by zrobić jej miejsce przy stole. Odetchnął z ulgą.

– Margo! Nareszcie. Może ty zdołasz jakoś to uporządkować. Porucznik D’Agosta opowiada niestworzone rzeczy o odkryciu, którego dokonałaś w laboratorium Grega. Twierdzi, że pod moją nieobecność przeprowadziłaś jakieś dodatkowe badania. Gdybym nie znał cię tak dobrze, moja droga, pomyślałbym, że...

– Przepraszam! – rzucił donośnie D’Agosta. Gdy zapadła cisza, powiódł wzrokiem po twarzach Horlockera, Waxiego i Frocka. – Chciałbym, aby doktor Green zrelacjonowała nam wszystkim rezultaty swoich odkryć i badań – dodał znacznie ciszej.

Margo zasiadła za stołem, zdziwiona brakiem reakcji ze strony Horlockera. Coś się wydarzyło i choć nie była tego do końca pewna, podejrzewała, iż było to związane z wczorajszą masakrą w metrze.

Zastanawiała się, czy powinna przeprosić wszystkich za spóźnienie i wyjaśnić, że do trzeciej w nocy pracowała w laboratorium, lecz ostatecznie z tego zrezygnowała. Zdażyła się zorientować, że jej asystentka, Jen, wciąż jeszcze pracowała w laboratorium na końcu korytarza.

– Chwileczkę – zaczął Waxie. – Mówiłem właśnie, że...

Horlocker odwrócił się do niego.

– Zamknij się, Waxie. Pani doktor, proszę nam opowiedzieć, czym się pani ostatnio zajmowała i co odkryła.

Margo wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem, czego już się panowie dowiedzieliście od porucznika D’Agosty – zaczęła – więc opowiem pokrótce o wszystkim. Jak już wiecie, te okropnie zdeformowane zwłoki, które odnaleziono niedawno, należą do Gregory’ego Kawakity, byłego kustosza MHN. Oboje odbywaliśmy tu staż. Po odejściu z muzeum Greg założył kilka tajnych laboratoriów, z których ostatnie znajdowało się na stacji przetokowej w West Side. Byłam tam i po przeprowadzeniu oględzin znalazłam dowody, że przed śmiercią Greg hodował na skalę przemysłową genetycznie zmodyfikowaną wersję *Liliceae mbwunensis*.

– Czyli tę roślinę, która była niezbędna do życia Bestii z Muzeum? – zapytał Horlocker.

Margo na próżno poszukiwała w jego głosie sarkastycznego tonu.

– Tak – odparła. – Obecnie jednak dochodzę do wniosku, że ta roślina była dla Bestii czymś więcej aniżeli tylko źródłem pożywienia. O ile się nie mylę, roślina owa zawiera reowirus wywołujący zmiany morfologiczne u wszystkich istot, które ją spożyją.

– Słucham? – odezwał się Waxie.

– Ta roślina powoduje zmiany fizyczne. Whittlesey, kierownik wyprawy, który wysłał skrzynie z włóknami roślinnymi do muzeum, musiał zjeść jakąś ich ilość – czy to nieświadomie, czy też może pod przymusem – tego nie wiemy i raczej nigdy się już nie dowiemy. Tak czy owak, obecnie mogę już powiedzieć na pewno, że Bestią z Muzeum był w rzeczywistości John Whittlesey.

Frock z przejścia na chwilę wstrzymał oddech.

Nikt się nie odezwał.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć – ciągnęła Margo. – Nie do takich wniosków doszliśmy bezpośrednio po unicestwieniu Bestii. Sądziliśmy, że ten stwór stanowił po prostu aberrację ewolucyjną, która, by przeżyć, potrzebowała wiadomych roślin. Sądziliśmy, że po tym, jak zniszczono jej środowisko naturalne, przybyła do muzeum śladem jedynych istniejących jeszcze włókien. Wykorzystano je, jak wiemy, w charakterze wypełniacza do skrzyń z artefaktami pozyskanymi przez członków wyprawy, które następnie wysłano do Nowego Jorku. Później, gdy skrzynie znalazły się pod kluczem i to stworzenie nie mogło dostać się do swoich włókien, zaczęło żywić się jedyną dostępną substancją zastępczą – podwzgorzem ludzkiego mózgu, zawierającym te same hormony, które odkryliśmy w roślinie.

Obecnie dochodzę do wniosku, że wszyscy byliśmy w błędzie. Bestią był przeraźliwie zdeformowany Whittlesey. Domyślam się, że Kawakita również do tego doszedł. Musiał znaleźć kilka włókien tej rośliny i rozpoczął prace nad jej modyfikacją genetyczną. Chyba wierzył, że uda mu się zmienić ją na tyle, że usunie wszystkie efekty uboczne wynikające z jej zażywania.

– Opowiedz o narkotyku – rzekł D’Agosta.

– Kawakita hodował tę roślinę w olbrzymich ilościach – powiedziała Margo. – Sądzę, że pewien dość rzadki narkotyk, o nazwie, o ile dobrze pamiętam, szkliwo, był wytwarzany z tych właśnie roślin. Oczywiście, nie mam co do tego pewności. Najprawdopodobniej prócz tego, że zawiera on reowirus, posiada również silne właściwości narkotyczne lub halucynogenne. Kawakita musiał sprzedawać go wybranej grupie narkomanów – zapewne chciał w ten sposób zdobyć fundusze na dalsze badania. W ten sposób sprawdzał również efektywność swoich prac. Najwyraźniej w którymś momencie zaaplikował pewną dawkę narkotyku samemu sobie. Stąd te okropne deformacje struktury kostnej.

– Skoro jednak ta roślina, narkotyk czy cokolwiek to jest, wywołuje tak straszne efekty uboczne, czemu Kawakita zdecydował się jej spróbować? – zapytał Horlocker.

Margo zmarszczyła brwi.

– Nie wiem – odrzekła. – Chyba pracował nad nowym, udoskonalonym szczepem. Sądził zapewne, że udało mu się usunąć efekty uboczne narkotyku. Musiał również dostrzegać w tym jakieś dobre strony. Badam właśnie włókna znalezione w jego laboratorium. Podaliśmy próbki różnym zwierzętom laboratoryjnym, między innymi białym myszom i kilku pierwotniakom. Moja asystentka, Jennifer Lake, sprawdza właśnie wyniki.

– Dlaczego nie zostałem o tym poinformowany? – zaczął Waxie.

D’Agosta podniósł się z krzesła i odwrócił do niego.

– Kiedy zaczniesz odsłuchiwać wiadomości na sekretarce i zainteresuje cię coś więcej prócz własnego głosu, zorientujesz się, że informowaliśmy cię o wszystkim.

Horlocker uniósł prawą dłoń w górę.

– Wystarczy. Poruczniku, wszyscy wiemy, że popełnionych zostało wiele błędów. Odłóżmy wzajemne oskarżanie się na później.

D’Agosta usiadł. Margo jeszcze nigdy nie widziała go równie zagniewanego. Zupełnie jakby oskarżał wszystkich obecnych na tej sali – z samym sobą włącznie – za tragedię w metrze.

– Stajemy w obliczu wyjątkowo trudnej sytuacji – ciągnął Horlocker. – Burmistrz wierci mi dziurę w brzuchu, domagając się zdecydowanych działań. A teraz dołączył do niego również zbulwersowany tą masakrą gubernator. – Otarł czoło wilgotną chustką. – No dobrze! Zgodnie z tym, co usłyszeliśmy od doktor Green, mamy do czynienia z grupą narkomanów zaopatrywanych w towar przez tego naukowca, Kawakitę. Ale Kawakita nie żyje. Może zabrakło im narkotyków albo zwyczajnie im odbiło. Ludzie ci żyją w położonych głęboko pod ziemią tunelach Astora, o których opowiedział nam już porucznik D’Agosta, a które wskutek powodzi od wielu dziesiątków lat nie były używane. Ci ludzie są bliscy obłądu. Trawi ich nie zaspokojone pragnienie. Z braku nowych porcji narkotyku zmuszeni są zjadać ludzkie mózgi. Dokładnie tak jak Mbwnun. Stąd te ostatnie zabójstwa. – Rozejrzał się dokoła.

– Czy są jakieś dowody, które mogłyby to potwierdzić?

– Próbkę roślin znalezione w dawnym laboratorium Kawakity – odrzekła Margo.

– Dokonywano zabójstw na obszarze pokrywającym się z trasą podziemnych tuneli Astora – dodał D’Agosta. – Pendergast zwrócił mi na to uwagę.

– Zbieg okoliczności – parsknął Waxie.

– A co z zeznaniami wielu bezdomnych, twierdzących, że Diabelskie Poddasze zostało skolonizowane? – zaoponowała Margo.

– Uwierzyłyby pani słowom bandy włóczęgów, pijaków i narkomanów? – odciął się Waxie.

– Czemu mieliby kłamać? – spytała Margo. – A któż lepiej od nich może znać prawdę?

– Doskonale! – Szeff uniósł rękę. – W obliczu niepodważalnych dowodów musimy na to przystać. Jak dotąd to jedyny trop w tym śledztwie, który przyniósł jakiegokolwiek efekty. Władze naszego miasta domagają się natychmiastowych działań. Musimy coś z tym zrobić. Nie jutro ani pojutrze, lecz już, teraz, zaraz.

Frock chrząknął delikatnie. Jak dotąd, uczony nie odezwał się ani słowem.

– Profesorze? – rzekł Horlocker.

Frock podjechał nieco bliżej.

– Proszę wybaczyć mój sceptycyzm, lecz cała ta teoria wydaje mi się zbyt fantastyczna. Odbiega od przyjętych przez nas faktów. Ponieważ nie uczestniczyłem w ostatnich badaniach, nie mogę, rzecz jasna, wypowiedzieć się autorytatywnie. – Spojrzał na Margo z lekkim wyrzutem. – Aczkolwiek najprostsze wyjaśnienie bywa zazwyczaj właściwe.

– A jak, pańskim zdaniem, brzmi owo najprostsze wyjaśnienie? – wtrącił d’Agosta.

Frock spojrzał na porucznika.

– Pan wybaczy – wysyczał lodowato.

Horlocker odwrócił się do D’Agosty.

– Daj spokój, Vincencie.

– Być może Kawakita faktycznie pracował nad rośliną Mbwuna. Nie widzę również powodu, by wątpić w stwierdzenie Margo, jakoby nasze przypuszczenia sprzed osiemnastu miesięcy były zbyt pochopne. Czy jednak mamy jakiegokolwiek dowody na istnienie tego narkotyku lub jego dystrybucję? – Frock rozłożył ręce.

– Jezu, Frock, do jego laboratorium w Long Island City przychodziło mnóstwo ludzi...

Frock posłał D’Agostie kolejne chłodne spojrzenie.

– Podejrzewam, że pan także przyjmuje gości w swoim mieszkaniu w Queens – rzekł z wyraźnym niesmakiem – a przecież wcale nie oznacza to, że handluje pan narkotykami. Działalność Kawakity, choć zawodowo naganna, moim skromnym zdaniem nie ma żadnego związku z poczynaniami ogarniętego żądzą mordu gangu nastolatków. Kawakita stał się ofiarą, podobnie jak wszyscy inni. Nie widzę związku.

– Jak zatem wytłumaczy pan zniekształcenia jego szkieletu?

– No dobrze, przyjmijmy, że on produkował te prochy, a może nawet sam zaczął je brać. W przeciwieństwie do Margo odważę się pójść jeszcze dalej i stwierdzę – choć oczywiście nie mam na to żadnych dowodów – że być może ów narkotyk faktycznie wywołuje u biorących go osób pewne zmiany fizyczne. Potrzebuję jednak choć cienia dowodu, że Kawakita rozprowadzał swój produkt lub że jego... ee... klienci są odpowiedzialni za dokonanie tych okropnych zabójstw. I jeszcze ta teoria, jakoby Mbwun był kiedyś Johnem Whittleseyem... dajże spokój. To przeczy teorii ewolucji.

Twojej teorii ewolucji, pomyślała Margo. Horlocker przetarł czoło zmęczoną dłonią i odgarnął kubki i puste opakowania z mapy rozłożonej na stole.

– Pańskie obiekcje zostały wzięte pod uwagę, doktorze Frock. To jednak, kim są ci ludzie, nie ma już większego znaczenia. Wiemy, co robią i gdzie zamieszkują. Pozostało nam jedynie poczynić odpowiednie kroki. D’Agosta pokręcił głową.

– Na to chyba jeszcze trochę za wcześnie. Wiem, że liczy się każda minuta, ale wciąż zbyt wiele tu niewiadomych. Przypominam, że byłem wtedy w Muzeum Historii Naturalnej. Widziałem Mbwuna. Jeśli ci narkomani mają choć cząstkę właściwości tej istoty... – Wzruszył ramionami. – Widzieliście zdjęcia szkieletu Kawakity. Moim zdaniem nie powinniśmy podejmować jakichkolwiek działań, dopóki nie zorientujemy się, z czym

naprawdę mamy do czynienia. Czterdzieści osiem godzin temu Pendergast udał się na rekonesans do tuneli. Uważam, że powinniśmy poczekać do jego powrotu.

Frock uniósł wzrok, zaskoczony, a Horlocker parsknął.

– Pendergast? Nie przepadam za nim ani za metodami, którymi się posługuje. Nie ma tu żadnej władzy. Szczerze mówiąc, jeśli sam zszedł do tuneli, to jego sprawa. Najprawdopodobniej już nie żyje. Dysponujemy dostatecznie dużą siłą ognia, by dokonać tego, co konieczne.

Waxie z ożywieniem pokiwał głową.

D'Agosta skrzywił się zakłopotany.

– Wobec tego do czasu otrzymania informacji od Pendergasta proponuję wprowadzenie działań prewencyjnych. Proszę o dwadzieścia cztery godziny zwłoki, sir.

– Działania prewencyjne – powtórzył sarkastycznie Horlocker, rozglądając się po sali. – To nie wystarczy, D'Agosta. Nie słyszałeś, co powiedziałem przed chwilą? Burmistrz domaga się konkretnych działań. Prewencja to za mało. Brakuje nam czasu. – Odwrócił się do swego adiutanta. – Zadzwoń do burmistrza. I znajdź Jacka Mastersa.

– Jeżeli o mnie chodzi – odezwał się Frock – podzielam zdanie D'Agosty. Nie powinniśmy podejmować pochopnych...

– Klamka zapadła, Frock – uciął Horlocker. – Podjęliśmy już decyzję. – To rzekłszy, przeniósł wzrok na mapę.

Frock się zaczerwienił. Po chwili odtoczył się od stołu i skierował w stronę drzwi.

– Chyba pozwiedzam sobie muzeum – rzucił w przestrzeń. – Widzę, że moja obecność tutaj stała się zbędna.

Margo zaczęła się podnosić, ale D'Agosta powstrzymał ją, zaciskając dłoń na jej ramieniu. Z zalem patrzyła na zamykające się wolno drzwi. Frock był wizjonerem, człowiekiem, który wywarł ogromny wpływ na przebieg jej kariery zawodowej. Teraz jednak widok uczonego, który nie widział świata poza własnymi teoriami, wzbudzał w niej wyłącznie smutek i żal.

Nie trzeba było ściągać go do pomocy przy śledztwie, pomyślała Margo; Frock jest na emeryturze, powinien odpoczywać, a nie cierpieć i przeżywać dotkliwe rozczarowania.

Pendergast stał na wąskiej metalowej kładce, wpatrując się w brejowate ścieki przetaczające się gęstą strugą cztery stopy niżej. W sztucznej fosforescencji noktowizora typu Visny Tek ścieki emanowały słaby, zielonkawy blask i wyglądały surrealistycznie. Czuć było niebezpiecznie silną woń metanu i agent co kilka minut sięgał za pazuchę po ukrytą maskę, połączoną z pojemnikiem z czystym tlenem, by zaczerpnąć kilka głębszych haustów.

Kładka usłana była przegniłymi skrawkami papieru i czymś bliżej nie zidentyfikowanym, co pozostało przyklepione do metalowych kratki po ostatniej ulewie. Z każdym krokiem stopy Pendergasta zagłębiały się w gąbczaste kopczyki rdzy, pokrywające metal niczym pleśń. Szedł szybko, przyglądając się ścianom pokrytym szlamem i wypatrując grubych metalowych drzwi, które pozwolą mu dostać się do tuneli Astora.

Co dwadzieścia stóp wyjmował z kieszeni nieduży pojemnik, by, nacisnąwszy dwukrotnie spust, pozostawić na ścianie dwie kropki, znaczniki widoczne w świetle na falach długich. Kropki, niewidoczne gołym okiem, połyskiwały widmową bielą, gdy patrzyło się na nie przez pracujący w trybie podczerwonym noktowizor. To pomoże mu znaleźć drogę powrotną. Zwłaszcza gdyby z jakichś powodów musiał się bardzo spieszyć.

W oddali Pendergast spostrzegł słaby zarys metalowych drzwi, najeżonych główkami wielkich nitów i pokrytych grubą warstwą kalcytu oraz tlenków. Zabezpieczono je wielką, nie używaną od niepamiętnych czasów kłódką. Pendergast sięgnął do kieszeni, wyjął nieduże metalowe urządzenie i włączył je. W tunelu dał się słyszeć przeciągły jęk diamentowej piły, ciemności rozproszyła kaskada iskier. Kilka sekund później kłódka spadła na kładkę. Pendergast przyjrzał się zardzewiałym zawiasom, po czym, unosząc piłę i zmieniając ułożenie małego ostrza, przeciął wszystkie trzy sworznie w drzwiach.

Schował piłę i przez dłuższą chwilę badawczo przypatrywał się drzwiom. Następnie, chwyciwszy oburącz za skobel, pociągnął je ku sobie. Rozległ się głośny zgrzyt metalu i drzwi ustąpiły, odbijając się od chodnika i spadając z pluskiem w leniwy nurt mętnej wody poniżej. Za drzwiami widniał mroczny otwór prowadzący w dół. Pendergast przełączył noktowizor na podczerwień, zajrzał w głąb dziury i otarł lateksowe rękawiczki z kurzu. Nic.

Opuścił w ciemność cienką kevlarową linę, przymocowując jeden jej koniec do metalowego sworznia. Następnie, wyjmując z plecaka nylonowe, siatkowane szwajcarskie siodełko, wprawnie się w nim usadowił, zaczepił na linie karabińczyk z automatyczną blokadą alpinistyczną i znikł w otworze, gładko ześlizgując się na sam dół.

Podeszwy butów agenta natrafiły na jakąś miękką, uginającą się pod ciężarem powierzchnię. Pendergast odczepił siodełko i schował je do plecaka, po czym powoli rozejrzał się dokoła, wciąż mając na głowie noktowizor. W tunelu było tak ciepło, że w podczerwieni wszystko zdawało się płonąć kościstą bielą.

Wyregulował urządzenie i z wolna jego oczom ukazało się ogromne pomieszczenie, rozjarzone bladej bielą poświatał monochromatyczny pejzaż.

Stał w długim, monotonnym tunelu. Podłogę pokrywała sześciocalowa warstwa blocka, gęstego jak smar do osi. Rozejrzawszy się dokoła, agent rozpiął bluzę, by sprawdzić plan naniesiony na podszewkę. Jeśli mapa była dokładna, znajdował się w korytarzu transportowym, tuż obok głównego tunelu. Być może ćwierć mili stąd znajdowało się to, co pozostało z Kryształowego Pawilonu, prywatnej poczekalni wzniesionej pod dawno już zapomnianym Hotelem Knickerbockera, który stał ongiś na rogu Piątej Alei i Central Park

South. Była to największa z poczekalni, większa niż perony pod Waldorf i prywatnymi rezydencjami przy Piątej Alei. Jeśli Diabelskie Poddasze miało swoje centrum, musiał nim być zapewne Kryształowy Pawilon.

Pendergast szedł ostrożnie w głąb tunelu. Woń metanu i odór rozkładu przyprawiały o zawroty głowy, lecz mimo to agent oddychał głęboko przez nos; wyczuwał tu również charakterystyczny koźli smród, który pamiętał z mrocznych podziemi muzeum, gdy przemierzał je półtora roku temu.

Korytarz transportowy łączył się z kolejnym i łagodnym łukiem zbliżał w stronę tunelu głównego. Pendergast spozjrzał pod nogi i znieruchomiał. W brejowatym bloku widniały ślady stóp. Świeże ślady gołych stóp. Kierowały się ku tunelowi głównemu.

Zaczerpnąwszy spory łyk tlenu, Pendergast nachylił się, by przyjrzeć się śladom. Odcisnięte w gęstym, lepkiem bloku, mimo że trochę za szerokie i za płaskie, wyglądały całkiem normalnie. Nagle agent zauważył coś jeszcze – palce obu stóp zwężały się spiczasto, jakby zamiast paznokci były zakończone szponami. Poza tą drobną anomalią Pendergast dostrzegł coś jeszcze – lekkie wgłębienia w błocie pomiędzy odciskami palców zdawały się sugerować, że były one połączone błoną.

Agent wyprostował się. A zatem to wszystko prawda. Pomarszczeni istnieli naprawdę.

Zawahał się przez chwilę, po czym znów zaczerpnął kilka razy tlenu. Następnie powoli, idąc tuż przy ścianie, ruszył śladami w stronę głównego tunelu. Dotarłszy tam, przystanął na kilka sekund, nasłuchując, po czym obrócił się na pięcie, dobywając broni i przyjmując pozycję strzelecką Weavera.

Nic.

Ślady stóp dochodziły aż do mocno wydeptanej ścieżki pośrodku tunelu. Pendergast ukląkł przy niej, przyglądając się badawczo tropom. Na ścieżce widniało mnóstwo nakładających się na siebie śladów bosych stóp, tu i ówdzie agent dostrzegł jednak odciski starych butów lub może kamaszy. Niektóre ze stóp były bardzo szerokie i płaskie jak deska, inne wyglądały normalnie.

O tak, tą ścieżką musiało wędrować wielu, nawet bardzo wielu ludzi.

Po kolejnym ostrożnym rekonesansie ruszył dalej, mijając kilka bocznych tuneli. Z ich wnętrza wychodziły ślady stóp łączące się z tymi na głównej ścieżce. Zupełnie jak tropy, które widywał Pendergast podczas polowań w Botswanie czy Namibii – ślady zwierząt idących do wodopoju lub do swych legowisk.

Na wprost niego zamajaczyła jakaś olbrzymia konstrukcja. Jeśli Al Diamond nie mylił się, agent miał przed sobą pozostałości Kryształowego Pawilonu. Podchodząc bliżej, Pendergast spostrzegł platformę peronu, której ściany pokryte były błotem po niezliczonych powodziach. Ostrożnie wszedł na peron i rozejrzał się wokoło, stając plecami do ściany.

W zielonej poświacie noktowizora agent ujrzał niewiarygodną scenę rozkładu i zniszczeń, rodem z fantastycznego snu. Gazowe kinkiety, niegdyś piękne, a teraz puste i zniszczone,



zwieszały się ze ścian pokrytych popękkanymi mozaikowymi kafelkami i sufitu zdobionego mozaiką przedstawiającą dwanaście znaków zodiaku.

Na końcu peronu tropy zbiegały się przy niskim, łukowato sklepionym przejściu. Pendergast postąpił naprzód, ale zaraz stanął jak wryty. Od strony wejścia napłynął podmuch ciepłego powietrza, przynosząc ze sobą charakterystyczny odór. Sięgając do plecaka, agent namacał i wyjął wojskową argonową lampę błyskową. Rozbłysk był dostatecznie silny, by na pewien czas zupełnie oślepić człowieka, i to nawet w słoneczny dzień. Ponowne ładowanie lampy zajmowało siedem sekund, a jedna bateria wystarczała zaledwie na tuzin błysnięć. Zaczerpnąwszy kolejny raz tlenu, agent przestąpił próg łukowatego wejścia, w jednej wyciągniętej ręce trzymając lampę błyskową, a w drugiej – gotowy do strzału pistolet.

W noktowizorze pojawiły się mroczki, gdy urządzenie powoli dostrajało się do gęstego mroku panującego w pomieszczeniu. O ile Pendergast zdołał się zorientować, znalazł się w obszernej owalnej sali. Wysoko nad jego głową z krzyżowego sklepienia zwieszały się krzywo brudne szczątki ogromnego kryształowego żyrandola. Kandelabr, mimo uszkodzeń wciąż pełen zapierających dech krągłości, obwieszony był strzępami czegoś, co wyglądało jak wodorosty. Wielkie kopułowe sklepienie, wyłożone zwierciadlanymi płytkami, teraz już popękkanymi i poobtłukiwanymi, zwieszało się ponad nim niczym migoczące, potrzaskane niebo. Choć nie widział środka rozległej sali, Pendergast spostrzegł rzędy kamiennych schodków, rozmieszczone w nierównych odstępach, wiodące w rozciągającą się przed nim ciemność. Na stopniach widać było błotniste ślady stóp. Pośrodku znajdowała się jakaś budka, punkt informacyjny lub może kiosk z artykułami spożywczymi.

Ściany pomieszczenia podtrzymywane były rzędami kolumn doryckich, z których płatami opadał tynk. Pomędzy najbliższymi kolumnami widniała ogromna mozaikowa płaskorzeźba, przedstawiająca z niewiarygodną wręcz dokładnością i precyzją las, spokojne jezioro z tamą i bobrami oraz łańcuch górski, nad którym zbierały się burzowe chmury.

Płaskorzeźba była w znacznym stopniu uszkodzona. Jej opłakany stan, poodbijane płytki, pęknięcia na ścianach przywodziły Pendergastowi na myśl Pompeje. Jediną istotniejszą różnicę stanowiły pozostałości rozszalałego morza błota i brudu, zastygłe wzdłuż dolnej krawędzi płaskorzeźby. Szerokie strugi zaschniętych nieczystości przecinały ściany niczym odciski brudnych palców olbrzyma. U szczytu mozaiki Pendergast spostrzegł misternie ułożone z barwnych płytek nazwisko Astor. Uśmiechnął się; Astor zbił fortunę na bobrowych skórkach. To faktycznie było prywatne sanktuarium nielicznych spośród najbogatszych rodzin w tym mieście.

Opodal na ścianie widniała kolejna mozaika; przedstawiała lokomotywę parową mknącą po moście rozciągniętym nad wąwozem, na dnie którego płynęła rzeka. Parowóz ciągnął kilkanaście wagonów towarowych i lor. W tle widać było ośnieżone górskie szczyty. U góry mozaiki widniało nazwisko Vanderbilt – człowieka, który dzięki kolei dorobił się fortuny.

Pod ścianą leżała stara otomana, z pokrzywionymi podłokietnikami i strzaskanym oparciem; z podartych poduszek wyzierała spleśniała wyściółka.

W kolejnej niszy, oznaczonej nazwiskiem Rockefeller, widniała mozaika przedstawiająca rafinerię naftową w iście sielskiej scenerii, otoczoną farmami wiejskimi, na tle zachodzącego słońca.

Pendergast powoli ruszył naprzód. Przyglądając się rzędom kolumn niknącym w ciemnościach, spostrzegł kolejne wielkie nazwiska Złotej Epoki rozbłyskujące w jego goglach – Vanderbilt, Morgan, Jesup i inne, zbyt niewyraźne, by mógł je odczytać. Stapał ostrożnie, wypatrując najdrobniejszego nawet poruszenia. Na drugim końcu sali korytarz oznaczony napisem: „Do hotelu” prowadził do dwóch bogato zdobionych wind; ich mosiężne drzwi otwarte były szeroko i pokryte grynspanem. Kabiny zostały całkiem zniszczone, kable wały się po podłodze niczym żelazne węże. W ścianie pomiędzy dwoma stłuczonymi lustrami wprawiona była mahoniowa tablica informacyjna, powykrzywiana, przegniła i nadżarta przez korniki. Choć dolna część tablicy odpadła, agent zdołał odczytać widniejący na niej napis:

#### WEEKENDY W SEZONIE

Punkt doc.	Godz.
------------	-------

Pocantico Hills	10.14 A
-----------------	---------

Cold Spring	10.42
-------------	-------

Hyde Park	11.3
-----------	------

Obok tablicy znajdowała się nieduża poczekalnia ze zniszczonymi fotelami i sofami. Wśród nich Pendergast dostrzegł szczątki fortepianu marki Bosendorfer. Na skutek powodzi większość elementów drewnianych przegniła i odpadła; pozostała tylko masywna metalowa rama, klawiatura i dziko splątane, pozrywane struny: muzyczny szkielet, teraz cichy i zapomniany.

Pendergast ruszył do środka sali, nasłuchując. Ciszę przerywało tylko dochodzące skądś kapanie wody; agent rozejrzał się dokoła i spostrzegł sznur drżących kropeł spadających z sufitu. Ruszył naprzód, zerkając w kierunku łukowatego sklepienia i peronu. Wypatrywał w goglach białego błysku, oznaczającego pojawienie się w pobliżu czegoś cieplejszego od otaczających go ścian.

Jak dotąd – nic.

Koźli odór przybrał na sile.

Gdy kształt pośrodku sali stał się wyraźniejszy w zielonkawej poświacie noktowizora, Pendergast stwierdził, że był on zbyt niski i nieforemny, jak na kiosk. Agent miał przed sobą prymitywną, topornie wykonaną budowlę: chatę wzniesioną z gładkich, białych kamieni, z częściowo tylko uformowanym dachem, najwyraźniej nie dokończoną, otoczoną niskimi

platformami i podwyższeniami. Podchodząc bliżej, agent stwierdził, że to, co początkowo wziął za kamienie, było w rzeczywistości czaszkami.

Pendergast przystanął i zaczerpnął kilka oddechów orzeźwiającego tlenu. Całą chatę zbudowano z ludzkich czaszek zwróconych tyłem na zewnątrz. Postrzępione otwory ziejące w potylicach jarzyły się w jego goglach upiorną zielenią. Policzył rzędy czaszek od góry do dołu, porachował liczbę czerepów w jednym rzędzie, po czym określił w przybliżeniu średnicę chaty i stwierdził, że owalną ścianę tworzyło około czterysta pięćdziesiąt czaszek. Włosy i fragmenty skalpów świadczyły, że jeśli nie wszystkie, to przynajmniej większość czerepów była całkiem świeża.

Pendergast okrążył budowlę i przez chwilę stał w bezruchu u wejścia do upiornej chaty. Właśnie tu kończyły się ślady stóp, były ich tysiące, nakładały się na siebie, tworząc przed wejściem do chaty szaleńczą płataninę tropów.

Powyżej wejścia agent spostrzegł trzy ideogramy, namalowane jakimś ciemnym płynem:



Nie było nic słychać, żadnych dźwięków, żadnego ruchu. Zaczerpnąwszy głębokiego oddechu, przykucnął, po czym odwrócił się w stronę wejścia.

Chata była opuszczona. Na podłodze pod ścianą stały ceremonialne gliniane puchary. Było ich sto, a może nawet więcej. Na zewnątrz, przy wejściu wznosił się prosty kamienny ołtarz ofiarny wysokości mniej więcej czterech i średnicy dwóch stóp. Otaczało go ogrodzenie z czegoś, co przypominało ludzkie kości długie, połączone niewyprawioną skórą. Na stole leżały jakieś dziwaczne metalowe przedmioty, przysypane gnijącymi kwiatami niczym wota w świątyni. Pendergast podniósł jeden z nich i przyjrzał mu się ze zdumieniem. Był to płaski kawałek metalu z podniszczoną gumowaną rękojeścią.

Inne odkryte przez niego przedmioty również okazały się całkiem zwyczajne i nie dostarczyły żadnych nowych informacji. Pendergast schował parę mniejszych znalezisk do kieszeni.

Wtem w jego goglach pojawił się biały błysk. Agent natychmiast przykląkł za kamiennym stołem. Wokoło panowała kompletna cisza, nic się nie poruszało. Pendergast przez chwilę myślał, że się pomylił. Noktowizor mógł niekiedy przekłamywać wskutek warstw cieplnych obecnych w powietrzu.

I nagle to coś znów się pojawiło – kształt, ludzki lub prawie ludzki, wpadający przez łukowato sklepienie wejście ze znajdującego się po drugiej stronie peronu; biała plama

pozostawiająca podczerwienny ślad w jego polu widzenia. Postać biegnąca w jego kierunku zdawała się przyciskać coś do piersi.

Pośród gęstej atramentowej ciemności Pendergast bezgłośnie uniósł w jednym ręku pistolet, a w drugim aparat błyskowy i czekał.

## 40

Margo usiadła w delikatnym biurowym fotelu, powoli, leciutko masując sobie skronie koniuszkami palców. Po wyjściu Frocka spotkanie szybko przerodziło się w sprzeczkę. Horlocker na kilka minut opuścił salę, aby odbyć prywatną rozmowę z burmistrzem. Wrócił w towarzystwie inżyniera służb miejskich, Hausmanna. Obecnie połączył się z nimi telefonicznie Jack Masters, dowódca nowojorskiej taktycznej jednostki szybkiego reagowania.

Jak dotąd jednak nie poczyniono wielkich postępów co do określenia dalszego przebiegu działań.

– Proszę posłuchać. – Z głośnika aparatu telefonicznego dobiegł cichy, zniekształcony głos Mastersa. – Samo potwierdzenie istnienia tuneli Astora zajęło moim ludziom prawie pół godziny. Jak mamy wysłać tam oddział specjalny?

– Wobec tego trzeba będzie wysłać kilka oddziałów – uciął Horlocker. – Spróbujcie dotrzeć na miejsce z różnych stron. Niech każda z drużyn skorzysta z innego wejścia. Zespoły wyruszą równocześnie, w ten sposób będziemy mieć pewność, że przynajmniej jeden z nich dotrze do celu.

– Sir, nie potrafi pan określić liczebności ani stanu tych, no, eee, jakkolwiek ich pan nazywa. Mamy wkroczyć na nie znany nam teren. Sieć tuneli pod Manhattanem jest tak rozbudowana, że moi ludzie znajdują się w niezbyt dogodnej dla siebie sytuacji. Zbyt wiele tu niewiadomych, za dużo dogodnych miejsc na zasadzkę.

– Zawsze jest jeszcze Szyjka Butelki – powiedział Hausmann, żując w zamyśleniu koniuszek długopisu.

– Co takiego? – zapytał Horlocker.

– Szyjka Butelki – odparł inżynier. – Wszystkie przewody w tym kwadrancie przechodzą przez jeden wielki otwór, wysadzony dawno temu materiałami wybuchowymi. Znajduje się on jakieś trzysta stóp pod ziemią. Tunele Astora przechodzą bezpośrednio pod tym miejscem, tyle że znacznie głębiej.

– Nareszcie coś mamy – rzekł do mikrofonu Horlocker. – Na początek moglibyśmy zablokować ten otwór. Zgadza się?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Chyba tak, sir.

– W ten sposób złapalibyśmy ich w pułapkę.

– Być może. – Nawet mimo zniekształceń w głosie Mastersa słyhać było powątpiewanie. – Ale co potem? Przecież nie możemy przystąpić do oblężenia. Zejście do tuneli, aby ich wylapać lub wygnać na powierzchnię, także nie wchodzi w rachubę. Znaleźlibyśmy się w impasie. Potrzebujemy więcej czasu, aby opracować trasę do tuneli Astora.

Margo spojrzała na D'Agostę, który sprawiał wrażenie oburzonego i zawiedzionego zrazem. Bądź co bądź, on sam od początku proponował takie właśnie rozwiązanie.

Horlocker walnął pięścią w stół.

– Do licha, nie mamy czasu. Gubernator i burmistrz siedzą mi na karku. Otrzymałem od nich pozwolenie na powstrzymanie tego łańcucha zbrodni wszelkimi dostępnymi metodami. I to właśnie zamierzam uczynić.

Horlocker wygłosił tę tyradę z niezłomną determinacją, ale i wyraźnym zniecierpliwieniem. Margo zastanawiała się, co też musiał powiedzieć mu burmistrz, że wzbudził w szefie policji tak wielką trwogę.

Hausmann na krótką chwilę wyjął długopis z ust i powiedział:

– Skąd mamy pewność, że te istoty faktycznie żyją w tunelach Astora? Bądź co bądź, podziemia Manhattanu są bardzo rozległe.

Horlocker odwrócił się do Margo. Ta chrząknęła, czując, że została wywołana do odpowiedzi.

– O ile dobrze zrozumiałam – zaczęła – w tunelach zamieszkuje wielu bezdomnych. Gdyby większa grupa tych istot osiedliła się w jakimś innym miejscu, bezdomni musieliby o tym wiedzieć. Jak już wspomnieliśmy, nie ma powodu, byśmy wątpili w prawdziwość słów Mephista. Poza tym, jeżeli te istoty posiadają cechy Mbwuna, za wszelką cenę będą unikać światła. Im głębiej zadekują się pod ziemią, tym dla nich lepiej. Oczywiście – dodała pospiesznie – raport Pendergasta powinien...

– Dziękuję – rzekł z naciskiem Horlocker. – No i jak, Masters? Znasz już sytuację.

Drzwi otworzyły się nagle, a skrzypienie ogumowanych kół obwieściło powrót Frocka. Margo bardzo wolno uniosła wzrok, nieomal lękając się ujrzeć wyraz twarzy starego uczonego.

– Sądzę, że winien jestem wam wszystkim przeprosiny – powiedział krótko, podjeżdżając do stołu. – Przejazdźka korytarzami muzeum dała mi czas na refleksję i obiektywne rozważenie całej tej sprawy. Po namyśle muszę przyznać, że, niestety, mogłem się mylić. Mówię to z wielkim trudem, ale szczerze. Niniejszym przyznaję, że teoria Margo zdaje się pasować do znanych nam faktów. – Odwrócił się do Margo. – Wybacz, moja droga. Jestem steranym życiem, zmęczonym, starym człowiekiem, zbyt zakochanym w swoich własnych teoriach. Zwłaszcza gdy chodzi o ewolucję. – Uśmiechnął się słabo.

– Jakie to szlachetne – rzekł Horlocker. – Niemniej jednak proponuję odłożyć wywnętrzanie się na później.

– Potrzebujemy dokładniejszych map – rozległ się głos Mastersa – a także więcej informacji na temat zwyczajów naszych przeciwników.

– Niech to szlag! – krzyknął Horlocker. – Nie słyszałeś, co mówiłem? Nie mamy czasu na badania geologiczne! Waxie, co o tym wszystkim sądzisz?

Zapadła cisza.

Frock spojrział na Waxiego, który wyglądał przez okno, jakby spodziewał się ujrzeć odpowiedź na pytanie wymalowaną sprayem na Wielkim Trawniku w Central Parku. Kapitan zmarszczył brwi, ale nie odezwał się słowem.

– Dwie pierwsze ofiary – odezwał się Frock, nie odrywając wzroku od Waxiego – zostały wypłukane z tuneli po ulewnej burzy.

– I dlatego, gdy je znaleźliśmy, były czyściutkie i pachnące – burknął Horlocker. – Świetnie. I co z tego?

– Ślady na ich ciałach nie zdradzają oznak pospiesznego gryzienia – ciągnął Frock. – Wydaje się, że owe istoty miały sporo czasu, by bez przeszkód dokonać swego makabrycznego dzieła. To znaczyłoby, że ciała, gdy zadano im te kłusane rany, znajdowały się w pobliżu lub nawet w samej kryjówce tych stworzeń. To podsunęło mi pewną myśl.

– Taaa?

– Skoro silna ulewa spowodowała wypłukanie z tuneli kilku ciał, czego potrzeba, aby całkowicie zatopić kryjówkę tych stworzeń?

– To jest to! – zawołał triumfalnie Waxie, odwracając się od okna. – Utopimy sukinsynów.

– To szaleństwo – rzekł D'Agosta.

– Bynajmniej – zaoponował Waxie, wskazując ręką coś, co znajdowało się za oknem. – Rezerwuar jest opróżniany przez sieć kanałów burzowych, zgadza się? A gdy kanały burzowe są przepełnione, czy nadmiar wody nie kieruje się do tuneli Astora? O ile dobrze pamiętam, to właśnie było powodem ich zamknięcia, nieprawdaż?

Zapadła krótka cisza. Horlocker odwrócił się do inżyniera, rzucając mu pytające spojrzenie. Ten pokiwał głową.

– To prawda. Zawartość Rezerwuaru może zostać spuszczone bezpośrednio do sieci kanałów burzowych i ściekowych.

– Czy to jest wykonalne? – zapytał Horlocker.

Hausmann zamyślił się przez chwilę.

– Będę musiał przedyskutować to z Duffym. Niemniej jednak w Rezerwuarze mieści się ponad dziewięćdziesiąt milionów stóp sześciennych wody. Gdyby spuścić tylko jej część, dajmy na to jedną trzecią zawartości, wszystkie tunele i kanały ściekowe zostałyby całkowicie zalane. Woda zalałaby również tunele Astora i stamtąd trafiłaby do Hudsonu.

Waxie triumfalnie pokiwał głową.

– No właśnie!

– To dość drastyczne posunięcie – zauważył D’Agosta.

– Drastyczne? – powtórzył Horlocker. – Pan wybaczy, poruczniku, ale pragnę przypomnieć, że ubiegłej nocy w metrze dokonano straszliwej masakry. Te istoty łakną krwi, z dnia na dzień sytuacja się pogarsza. Może wołałby pan pofatygować się do nich i wręczyć nakaz stawiennictwa do sądu. Wątpię, aby to przyniosło jakikolwiek skutek. Władze tego miasta domagają się ode mnie zdecydowanych działań. W ten sposób – Horlocker machnął ręką w stronę okna i Rezerwuaru w oddali – dostaniemy ich na ich własnym gruncie.

– Skąd będziemy wiedzieć, dokąd naprawdę spłynie ta cała woda? – zapytał D’Agosta.

Hausmann odwrócił się do niego.

– Będziemy wiedzieć. Sprawa jest prostsza, niż się panu wydaje. Tak właśnie działa Szyjka Butelki: cała woda skierowana zostanie na najniższe poziomy tuneli pod Central Parkiem. Boczniki odpływowe przekierują wodę poprzez Szyjkę Butelki do najgłębszych kanałów burzowych i tuneli Astora, stamtąd zaś trafi ona przez ścieki West Side do Hudsonu.

– Pendergast mówił, że tunele przy północnym i południowym krańcu Central Parku zostały zablokowane wiele lat temu – rzekł jakby do siebie D’Agosta.

Horlocker rozejrzał się dokoła, na jego ustach pojawił się krzywy uśmiezek. Margo wydał się on sztuczny i niepewny, jakby Horlocker rzadko używał tych właśnie mięśni.

– Dzięki temu te stworzenia zostaną uwięzione pod Szyjką Butelki, porwane z prądem spuszczonej wody i potopią się jak szczury. Czy ktoś ma jakieś obiekcje?

– Przed spuszczeniem wody warto byłoby się upewnić, że wszystkie te istoty znajdują się w tunelach – wtrąciła Margo.

Uśmiech Horlockera przygasł.

– Cholera. A niby jak mielibyśmy tego dokonać?

D’Agosta wzruszył ramionami.

– O ile nam wiadomo, żadnego z tych zabójstw nie dokonano podczas pełni księżyca.

– To całkiem logiczne – odparła Margo. – Jeśli te istoty przypominają Mbwuna, to nie znoszą światła. Zapewne podczas pełni w ogóle nie wychodzą na powierzchnię.

– A co z resztą bezdomnych zamieszkujących w tunelach pod Parkiem? – zapytał D’Agosta.

Horlocker parsknął.

– Nie słyszałeś, co powiedział Hausmann? Woda spłynie bezpośrednio do najniżej położonych tuneli pod miastem. Bezdomni rzekomo unikają tego obszaru. Poza tym Pomarszczeni z miejsca zabiliby każdego, kto zapuścił się na ich teren.

Hausmann pokiwał głową.

– Opracujemy plan operacji, której celem będzie zalanie wyłącznie najniżej położonych korytarzy pod miastem oraz tuneli Astora.

– A co z kretami przypadkiem koczującymi w tunelach, przez które będzie spuszczana woda? – warknął z naciskiem D’Agosta.

Horlocker westchnął.

– Niech to cholera. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dla bezpieczeństwa usuniemy ich z tuneli pod Central Parkiem i umieścimy w przytuliskach. – Wyprostował się. – Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Kto wie, może nawet spiszemy się na tyle dobrze, że ta jędrza Wisner wreszcie się od nas odczepi. – Odwrócił się do Waxiego. – Tak, to się nazywa plan – pochwalił. – Niezła robota.

Waxie zaczerwienił się i pokiwał głową.

– Tam na dole jest prawdziwy labirynt – powiedział D’Agosta – a bezdomni nie zechcą opuścić tuneli dobrowolnie.

– D’Agosta – uciął Horlocker. – Mam już dość twoich utyskiwań i debatowania, dlaczego nie można tego zrobić. Na litość boską, o ilu bezdomnych tu mówimy? Ilu ich może być pod Central Parkiem? Setka?

– Jest ich znacznie...

– Jeżeli masz jakiś inny pomysł – przerwał mu Horlocker – chętnie go wysłucham. W przeciwnym razie bądź łaskaw zamilknąć. – Odwrócił się do Waxiego. – Dziś jest pełnia. Nie możemy zwlekać do przyszłego miesiąca; musimy to zrobić już teraz. – Nachylił się do mikrofonu.

– Masters, chcę, aby jeszcze przed północą z podziemi pod Central Parkiem usunięto wszystkich bezdomnych. Ma zostać oczyszczony każdy pieprzony tunel, od Pięćdziesiątej Dziewiątej do Sto Dziesiątej Ulicy i od Central Park West po Piątą Aleję. Noc w przytuliskach wyjdzie bezdomnym na zdrowie. Skontaktuj się z Port Authority, MTA, ściągnij tylu ludzi, ilu ci potrzeba. I połącz mnie z burmistrzem, muszę poinformować go o naszych planach, aby je ostatecznie zatwierdził.

– Przydałoby ci się też paru gliniarzy, którzy pracowali kiedyś przy oczyszczaniu tuneli – rzekł D’Agosta. – To ich teren, znają te tunele jak własną kieszeń, wiedzą, czego należy tam oczekiwać.

– Jestem przeciw – zaproponował natychmiast Waxie. – Te krety są niebezpieczne. Parę dni temu jedna z grup omal nas nie pozabijała. Potrzeba nam prawdziwych gliniarzy.

– Prawdziwych gliniarzy – powtórzył D’Agosta. I nieco głośniejszym głosem dodał: – Wobec tego weźmy przynajmniej sierżant Hayward.

– Zapomnij – uciął Waxie. – Tylko by zawadzała.

– Oto jawny przykład tego, jak niewiele o niej wiesz – warknął D’Agosta. – To twoje najcenniejsze źródło informacji, ale ty nigdy nie potrafiłeś docenić jej potencjału. Ta dziewczyna wie więcej o bezdomnych żyjących w tunelach niż ktokolwiek inny. Słyszałeś, co powiedziałem? Więcej niż ktokolwiek inny. Uwierz mi, podczas operacji na tak szeroką skalę jej pomoc jest dla nas nieodzowna.



Horlocker westchnął.

– Masters, dopilnujesz, by sierżant Hayward została włączona do jednego z twoich zespołów. Waxie, skontaktuj się z – jak mu tam – Duffym z Miejskich Wodociągów. Chcę, aby spuszczenie wody rozpoczęło dokładnie o północy. – Rozejrzał się wokoło. – A teraz proponuję, abyśmy przenieśli się wszyscy do gmachu komendy głównej. Profesorze Frock, byłbym rad, gdyby zechciał nam pan towarzyszyć.

Margo zauważyła, że Frock wbrew sobie uśmiechnął się szeroko. Znów poczuł się potrzebny i kompetentny, i to wyraźnie poprawiło mu humor.

– Bardzo panu dziękuję. Mimo to wolałbym raczej wrócić do domu i trochę teraz odpocząć. Jestem skonany.

Uśmiechnął się do Horlockera, mrugnął do Margo i przy wtórze cichego skrzypienia wózka zniknął za drzwiami.

Margo odprowadziła go wzrokiem. Nikt z tu obecnych nigdy nie pojmie, ile wysiłku kosztowało go przyznanie się do błędu, pomyślała.

D’Agosta ruszył za Horlockerem i Waxiem, którzy wyszli właśnie na korytarz. W pewnej chwili przystanął i odwrócił się do Margo.

– I co ty na to? – zapytał.

Margo pokręciła głową, powracając do rzeczywistości.

– Sama nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że nie ma czasu do stracenia. Mimo to aż za dobrze pamiętam, co się stało, gdy... – Zawahała się. – Szkoda, że nie ma z nami Pendergasta – dokończyła.

Zadzwonił telefon. Margo podeszła i podniosła słuchawkę.

– Słucham? Margo Green, przy telefonie. – Nasłuchiwała przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę.

– Chyba będzie lepiej, jeśli pójdzie pan ze mną – zwróciła się do D’Agosty. – Właśnie dzwoniła moja asystentka. Prosiła, abym natychmiast przyszła do laboratorium.

## 41

Smithback odepchnął na bok jakiegoś mężczyznę w tandetnym garniturze, drugiego zaś szturchnął łokciem, przeciskając się przez gęstniejący tłum. Nie sądził, że dotarcie tu zajmie mu aż tyle czasu; tłum do cna zakorkował fragment eleganckiej Piątej Alei na przestrzeni trzech przecznicy i z każdą chwilą dołączali nowi ludzie.

Już i tak ominęła go mowa pani Wisher, wygłoszona przed wejściem do katedry. Teraz chciał zdążyć na pierwsze czuwanie ze świecami, zanim tłum ruszy w dalszą drogę.

– Uważaj, palancie – warknął gniewnie młody mężczyzna, odrywając od ust, na kilka cennych sekund, srebrną piersiówkę.

– Spadaj na drzewo, bambusie – odparował przez ramię Smithback, brnąc dalej przed siebie. Słyszał pokrzykiwania policjantów bezskutecznie usiłujących zapanować nad tłumem i oczyścić zablokowaną ulicę. Zjawilo się kilka ekip telewizyjnych; Smithback widział kamerzystów wspinających się na dachy furgonów, aby mieć jak najlepszy widok. Wyglądało na to, że do bogatych i władczych dołączyła znacznie liczniejsza grupa młodych wilków. I wszyscy ci ludzie, połączywszy siły, wzięli miasto z zaskoczenia.

– Hej, Smithback! – odwracając się, dziennikarz spostrzegł Clarence Kozinsky, młodą, obiecującą dziennikarkę z „Post”. – Uwierzyłbyś? Wieści rozchodzą się z szybkością błyskawicy.

– Chyba mój artykuł zrobił swoje – rzekł z dumą Smithback.

– Nie chcę cię rozczarować, stary, ale gazeta z twoim artykułem znalazła się w kioskach zaledwie pół godziny temu. Oni najwyraźniej nie chcieli zbyt wcześnie informować policji. Wieści zaczęły się rozchodzić późnym popołudniem. Kanały wewnętrzne, sieć giełdy nowojorskiej, Quotron, LEXIS i cała reszta. Wygląda na to, że chłopaki z Centrum naprawdę wzięli sobie do serca sprawę Wisher. Uważają ją za remedium na wszystkie swoje bolączki. – Zachichotała drwiąco. – Nie chodzi już tylko o samą zbrodnię. Nie pytaj mnie, jak to się stało. W barach krążą plotki, że ta kobieta ma dwa razy większe jaja niż burmistrz. Mówi się, że powinna doprowadzić do zmniejszenia zasiłków, oczyścić miasto z bezdomnych, obsadzić w Białym Domu republikanów i na powrót sprowadzić Dodgersów do Brooklynu.

Smithback rozejrzał się dokoła.

– Nie wiedziałem, że na świecie jest tylu finansistów, a co dopiero u nas, na Manhattanie.

Kozinsky znów zaśmiała się drwiąco.

– Wszyscy sądzą, że na Wall Street rezydują głównie japiszony w eleganckich garniturach, z dwójką dzieci, domkiem na przedmieściach, harujący jak pszczołki i nie widzący świata poza swoją pracą. Nikt nie pamięta, że to miejsce ma również inne oblicze. A przecież pracują tam też inni fachowcy, maklerzy giełdowi, gońcy, stypendyści, młode wilki i spece od prania brudnych pieniędzy, sam wiesz o tym doskonale. Poza tym ci tutaj to nie tylko sama śmietanka. To przeciętniacy. I nie tylko z Wall Street. Wieści są przekazywane za pomocą pagera, sieci komputerowej oraz faksu. Zjawili się tu pracownicy najpodrzedniejszych filii banków i towarzystw ubezpieczeniowych w mieście. Wszyscy chcą wziąć udział w tej zabawie.

Daleko w przodzie, pomiędzy rzędami głów Smithback dostrzegł panią Wisher. Pożegnawszy się pośpiesznie z Kozinsky, ruszył naprzód. Pani Wisher stała w cieniu majestatycznego Bergdorf-Goodmana, w towarzystwie księdza katolickiego, pastora Kościoła episkopalnego i rabina, przed wysoką na trzy stopy stertą świeżych kwiatów i pocztówek. Nieco z boku stał, sprawiając wrażenie znużonego, młody, długowłosy mężczyzna w garniturze w prążki i grubych fioletowych skarpetkach. Miał posepną minę. Smithback rozpoznał w nim wicehrabiego Adaira, chłopaka Pameli Wisher. Sama pani Wisher wyglądała

surowo i dystygowanie, jasne włosy miała zaczesane do tyłu, twarz pozbawiona była choćby odrobiny makijażu.

Włączając dyktafon i przedzierając się naprzód, Smithback, kiedy patrzył na nią, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ma do czynienia z urodzoną przywódczynią.

Pani Wisher przez długą chwilę stała w milczeniu, z pochyloną głową. Wreszcie spojrzała w stronę zgromadzonych przed nią tłumów i wyregulowała mikrofon bezprzewodowy. Chrząknęła dla lepszego efektu dramatycznego.

– Mieszkańcy Nowego Jorku! – zawołała. Ludzie uciszyli się, a Smithback rozejrzał się dokoła zaskoczony siłą i melodyjnością jej głosu. Dostrzegł kilka osób stojących wśród tłumu z metalowymi tyczkami, na których zawieszono przenośne głośniki. Choć marsz wyglądał na spontaniczny, pani Wisher i jej ludzie przygotowali wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Gdy zapadła cisza, pani Wisher znów zaczęła mówić, tym razem ciszej. – Jesteśmy tu, by wspominać Mary Ann Cappiletti, która w tym właśnie miejscu, czternastego marca, została napadnięta i zastrzelona. Módlmy się.

Pomiędzy jej kolejnymi zdaniem Smithback słyszał znacznie już wyraźniej głosy policjantów, nakazujących ludziom przez megafony, aby się rozeszli. Zjawiała się także policja konna, lecz stróże prawa nie odważyli się wjechać w gęsty tłum, a ich wierzchowce zaczęły parskać i nerwowo przebierać nogami.

Smithback wiedział, że pani Wisher celowo nie poprosiła o zgodę na urządzenie manifestacji, aby wywołać możliwie jak największy zamęt oraz konsternację w Ratuszu. Tak jak powiedziała Kozinsky, do przekazywania informacji o wielkim marszu użyto nowoczesnych środków przekazu, w rodzaju faksów, pagerów czy sieci. W ten sposób wieści o planowanej manifestacji nie dotarły na czas zarówno do policji, mediów, jak i do władz miejskich, a gdy sprawa wyszła na jaw, było za późno, by ktokolwiek mógł jej zapobiec.

– Upłynęło sporo czasu – mówiła pani Wisher – wiele długich lat, odkąd dziecko mogło bez obaw spacerować po Nowym Jorku. Dziś nawet dorośli boją się chodzić ulicami, przechadzać się po parku czy też... jeździć metrem.

Na wspomnienie niedawnej masakry tłum zaczął szemrać. Smithback również zamruczał gniewnie, choć wiedział, że pani Wisher zapewne ani razu w całym swoim życiu nie jechała metrem.

– Dziś wieczorem! – krzyknęła nagle, a jej oczy rozbłysły, gdy lustrowała tłum. – Dziś wieczorem zmienimy to wszystko. Zaczniemy od odzyskania Central Parku. O północy bez cienia lęku zbierzemy się na Wielkim Trawniku!

Tłum odpowiedział gromkim rykiem, który przybierał na sile do tego stopnia, że Smithback przez chwilę obawiał się o swoje bębni. Wyłączył dyktafon i włożył go do kieszeni, przy takim hałasie urządzenie bywało zawodne, a z zapamiętaniem szczegółów tego zdarzenia tak dobry dziennikarz jak on nie powinien mieć najmniejszych problemów. Wiedział, że na miejsce zgromadzenia zjechało mnóstwo reporterów, zarówno tutejszych, jak

i z innych miast. Ale to on, Smithback, miał wyłączność na wywiady z Anette Wisher i to on otrzymał wszystkie szczegółowe informacje na temat dzisiejszego marszu. Za ledwie przed godziną ukazało się specjalne, popołudniowe wydanie „Post”. Znajdowała się w nim wkładka z trasą marszu i zaznaczonymi postojami w miejscach, gdzie ma się odbyć czuwanie ku czci ofiar zabójstw.

Smithback poczuł, że ogarnia go duma. W dłoniach wielu ludzi dokoła widział owe wkładki. Kozinsky nie wiedziała wszystkiego. To on, Smithback, przyłożył rękę do tego, aby informacje o dzisiejszym marszu dotarły do możliwie jak największej liczby osób. Specjalne wydanie gazety bez wątpienia sprzedawało się jak świeże bułeczki i trafiało do rąk zarówno szarego obywatela, przeciętnego przedstawiciela klasy pracującej, jak i ludzi zamożnych i wpływowych, zazwyczaj czytujących „Timesa”. Niech ten dureń Harriman wytłumaczy ów niezwykły fenomen swojemu w ząbek czesanemu naczelnemu.

Słońce zaszło już za wieże i minarety Central Park West, był ciepły, letni wieczór. Pani Wisher zapaliła świecę, po czym skinieniem głowy poleciła duchownym, by uczynili to samo.

– Przyjaciele – rzekła, unosząc świecę nad głowę. – Niechaj te pojedyncze płomyki i nasze ciche głosy złączą się w jeden wielki płomień i jeden gromki krzyk. Przyświeca nam jeden cel, cel, którego nie sposób ignorować i któremu nie można się oprzeć – musimy odzyskać nasze miasto!

Gdy tłum zaczął skandować jej ostatnie słowa, pani Wisher wyszła na Grand Army Plaza. Pokonawszy ostatnią z ludzkich barier na swojej drodze, Smithback znalazł się przed pierwszym rzędem zgromadzonych i przyłączył się do niewielkiego orszaku pani Wisher. Miał wrażenie, jakby trafił do oka cyklonu.

Pani Wisher odwróciła się do niego.

– Cieszę się, że do nas dołączyłeś, Bill – powiedziała ze spokojem, jakby spotkali się na popołudniowej herbatce we dwoje.

– Ja też się cieszę, że tu jestem – odparł Smithback, uśmiechając się szeroko.

Gdy powoli minęli hotel Plaza i wyszli na Central Park South, Smithback odwrócił się, by spojrzeć na sunące za nimi niczym wielki wąż tłumy ludzi, które zajmowały całą szerokość ulicy. Dostrzegł kolejne grupy nadciągające od strony Szóstej i Sódmej Alei, aby dołączyć do nich od zachodu. W tłumie widać było sporo starszych, z wyglądu zamożnych osób, o siwiejących włosach i wielocyfrowych kontach bankowych. Wśród nich Smithback spostrzegł wielu młodych mężczyzn, o których wspominała Kozinsky, bankierów, maklerów i graczy giełdowych, młodych gniewnych, zachowujących się, jak przystało na ich buntowniczą reputację, pijących alkohol, pogwizdujących i pohukujących donośnie; sprawiali wrażenie, jakby tylko czekali na rozróbę. Dziennikarz przypomniał sobie, jak niewiele wystarczyło, aby zaczęli ciskać butelkami w burmistrza, i zastanawiał się, do jakiego stopnia pani Wisher potrafiłaby zapanować nad tym tłumem, gdyby zrobiło się naprawdę gorąco.

Kierowcy pojazdów wzdłuż Central Park South przestali już trąbić i wysiadali ze swoich aut, by obejrzeć przemarsz lub dołączyć do manifestantów, lecz od strony Columbus Circle wciąż słychać było donośne dźwięki klaksonów. Smithback odetchnął głęboko, sycąc się tym chaosem jak najprzedniejszym winem. W takich jak ta wielkich demonstracjach jest coś niebywale wręcz krzepiącego, pomyślał.

Młody mężczyzna podbiegł do pani Wisher.

– To burmistrz – wysapał, podając jej telefon komórkowy.

Pani Wisher schowała mikrofon do torebki i wzięła do ręki telefon.

– Tak? – rzuciła chłodno, nie zwalniając kroku. Nastąpiła długa cisza. – Przykro mi, że pan tak uważa, ale czas pozwoleń i papierkowej roboty minął już dawno temu. Nie zdaje pan sobie sprawy, że to miasto znalazło się w obliczu groźnego kryzysu. Chcemy, aby coś pan sobie wreszcie uświadomił. To pańska ostatnia szansa na zaprowadzenie spokoju na ulicach naszego miasta. – Przez kilka chwil nasłuchiwała w milczeniu, zasłaniając dłonią drugie ucho, by zagłuszyć hałas maszerujących tłumów. – Przykro mi, że nasza demonstracja opóźnia działania pańskich ludzi. I cieszy mnie wieść, że szef policji zamierza w końcu coś przedsięwziąć. Mimo to mam do pana jedno pytanie. Gdzie byli pańscy policjanci, kiedy zamordowano moją córkę? Gdzie był szef... – Nasłuchiwała ze zniecierpliwieniem. – Nie. Bynajmniej! To miasto tonie w powodzi zbrodni, a pan śmie grozić, że pozwie mnie do sądu? Jeśli nie ma pan mi nic innego do powiedzenia, uważam tę rozmowę za zakończoną. Tak się składa, że mamy tu co robić. – Przerwała połączenie. Oddała telefon swojemu asystentowi. – Jeśli znów zadzwoni, powiedz mu, że jestem zbyt zajęta, aby z nim rozmawiać.

Odwróciła się do Smithbacka i wsunęła dłoń pod jego ramię.

– Już wkrótce dojdziemy do miejsca, gdzie zabito moją córkę. To nasz następny przystanek. Muszę być silna, by temu sprostać, Bill. Pomożesz mi, prawda?

Smithback obliznął wargi.

– Oczywiście, proszę pani – odparł usłużnie.

## 42

D'Agosta szedł za Margo zakurzonym, słabo oświetlonym korytarzem na parterze muzeum. Dawniej mieściła się tam część wystawy starożytności, lecz korytarz ów wiele lat temu został zamknięty dla zwiedzających; obecnie składowano w nim eksponaty z kolekcji ssaków. Po obu stronach wąskiego korytarza w pozycjach ataku lub obrony stały rozmaite wypchane zwierzęta. D'Agosta omal nie stracił kieszeni, zahaczywszy marynarką o pazur stojącego na tylnych łapach niedźwiedzia grizzly. Od tej pory trzymał ręce opuszczone wzdłuż tułowia, by uniknąć dotknięcia któregoś z pleśniejących okazów.

Gdy pokonali załom korytarza i znaleźli się w ślepej uliczce, D'Agosta ujrzał przed sobą wielkiego wypchanego słonia; jego wielokrotnie naprawiana szara skóra była postrzępiona i odpadała płatami. Pod masywnym brzuchem zwierzęcia, w cieniu, znajdowały się wielkie metalowe drzwi windy towarowej.

– Musimy to zrobić szybko – powiedział, gdy Margo wcisnęła guzik windy. – Na komendzie głównej przez całe popołudnie trwa mobilizacja. Zupełnie jakby szykowano kolejną inwazję na Normandię. A jakby tego było mało, wzdłuż Piątej Alei zbierają się uczestnicy kolejnej niezapowiedzianej manifestacji pod hasłem „Odzyskajmy nasze miasto”.

W powietrzu unosiła się woń przypominająca mu pewne miejsca zbrodni, które miał okazję odwiedzać latem.

– Na końcu korytarza mieści się laboratorium preparacyjne – powiedziała Margo, widząc, jak D'Agosta marszczy nos. – Chyba macerują jakiś eksponat.

– Jasne – rzekł D'Agosta. Spojrzał na ogromnego słonia powyżej.

– A gdzie ma kły?

– To Jumbo, stary słoń cyrkowy P.T. Barnuma. Został potrącony w Ontario przez pociąg towarowy i jego kły połamały się. Barnum zmielił je i zrobił z nich żelatynę, którą zaserwował na stypie po Jumbo.

– Pomysłowe. – D'Agosta włożył do ust cygaro. Przy takim smrodzie nikt nie mógł się poskarżyć, że zatruwa powietrze dymem.

– Przykro mi – rzuciła z niepewnym uśmiechem Margo. – Zakaz palenia. W powietrzu może być metan.

D'Agosta wsunął cygaro do kieszeni. Drzwi windy otworzyły się. Metan. Tak, to dawało do myślenia.

Znaleźli się w parnym piwnicznym korytarzu pełnym rur centralnego ogrzewania i wielkich drewnianych skrzyń. Jedna z nich była otwarta; wewnątrz znajdowała się wielka czarna kość, gruba jak konar drzewa. Zapewne kość dinozaura, pomyślał D'Agosta. Z trudem hamował niepokój wywołany wspomnieniem ostatniej wizyty w muzealnych podziemiach.

– Przetestowaliśmy narkotyk na kilku organizmach – powiedziała Margo, wchodząc do pomieszczenia, którego jasno oświetlone wnętrze kontrastowało z mrocznym, pełnym cieni korytarzem. W kącie laborantka pochylała się nad oscyloskopem. – Na myszy laboratoryjnej, bakterii E. coli, niebieskozielonych algach i paru jednokomórkowcach. Myszy są tutaj.

D'Agosta zajrzał do niedużej klatki i zaraz cofnął się gwałtownie.

– O Jezu. – Białe ściany klatek upstrzone były plamami krwi. Podłogę klatek zaścieniały rozszarpane truchła myszy, oplecione ich wnętrznościami.

Margo zajrzała do klatki.

– Jak widać, z czterech myszy umieszczonych w każdej z klatek przeżyła tylko jedna.

– Dlaczego nie zostały rozłokowane w osobnych klatkach? – spytał D'Agosta.

Margo spojrzała na niego.

– Sens eksperymentu polegał właśnie na tym, by przebywały razem. Chciałam zbadać zarówno ich zmiany fizyczne, jak i anomalie behawioralne.

– Najwyraźniej wymknęło się to wam spod kontroli.

Margo pokiwała głową.

– Każda z myszy otrzymała porcję rośliny Mbwuna i natychmiast zostały zarażone reowirusem. Wirusy atakujące zarówno ludzi, jak i myszy to osobliwość sama w sobie. Zwykle ograniczają się one do jednego konkretnego gatunku. A teraz proszę spojrzeć tutaj.

Gdy Margo zbliżyła się do klatki umieszczonej najwyżej, ocalała mysz rzuciła się na nią z sykiem, wczepiając się w siatkę i tnąc powietrze żółtymi siekaczami. Margo cofnęła się.

– Czarujące – rzekł D’Agosta. – Powybijały się nawzajem, zgadza się?

Margo skinęła głową.

– Najdziwniejsze jest to, że ta mysz odniosła w walce bardzo poważne obrażenia. Proszę jednak na nią spojrzeć, rany niemal całkiem się już zabiłzły. Jeśli zajrzy pan do sąsiednich klatek, stwierdzi pan dokładnie to samo. To prawdziwy fenomen. Narkotyk musi mieć silne właściwości odmładzające lub uzdrawiające. Oświetlenie laboratorium zapewne je drażni, ale oboje wiemy, że ten narkotyk zwiększa wrażliwość na światło. Jen w ramach eksperymentu pozostawiła jedną z lamp zapaloną i do rana znajdująca się dokładnie pod nią kolonia pierwotniaków wyginęła. Przez chwilę patrzyła na klatki.

– Chciałabym panu pokazać coś jeszcze – odezwała się w końcu. – Jen, mogłabyś mi pomóc?

Z pomocą asystentki Margo umieściła w górnej klatce płytkę działową, dzięki czemu żywa mysz została uwięziona po jednej stronie skrzynki. Następnie doktor Green długimi szczypcami powyjmowała z klatki truchła myszy, umieszczając je w pyreksowej misce.

– Obejrzyjmy je sobie – rzekła, przenosząc szczątki do głównego laboratorium i umieszczając je na stoliku szerokokątnego stereozoomu. Spojrzała przez okular, dotykając szczątków łopatką.

D’Agosta patrzył, jak wprawnie rozcięła potylicę martwego zwierzątka, usunąwszy uprzednio z czaszki skórę z warstwą tkanek, i dokonała gruntownych oględzin.

Następnie wycięła fragment kręgosłupa i uważnie przyjrzała się jednemu z kręgów.

– Jak pan widzi, wygląda normalnie – rzekła, prostując się. – Jeśli nie liczyć właściwości odmładzających, wydaje się, że podstawowe zmiany mają naturę behawioralną, a nie morfologiczną. Tak jest w przypadku tego gatunku. Nie możemy mieć, jak na razie, pewności, ale wydaje się, że Kawakita zdołał w koficu obłaskawić narkotyk.

– Taaa – dodał D’Agosta. – Ale wtedy było już za późno.

– I to mnie właśnie zastanawia. Kawakita musiał zażyć narkotyk, zanim osiągnął to stadium rozwoju. Dlaczego podjął takie ryzyko i wypróbował specyfik na sobie? Nawet po przetestowaniu go na innych ludziach nie mógł mieć całkowitej pewności. Takie postępowanie raczej nie leżało w jego naturze.

– Arogancja – rzekł D’Agosta.

– Arogancja nie tłumaczy zachowania, kiedy na własną prośbę stajesz się królikiem doświadczalnym. Kawakita był ostrożnym i zdyscyplinowanym uczonym, niekiedy nawet można było mu to poczytywać za wadę. To nie w jego stylu.

– Zdarza się, że osoby, których nigdy byśmy o to nie podejrzewali, stają się narkomanami – odparł D’Agosta. – Mam z tym do czynienia na co dzień. Lekarze. Pielęgniarki. Nawet funkcjonariusze policji.

– Być może. – Margo nie wydawała się przekonana. – A tutaj mamy bakterie i pierwotniaki, które potraktowaliśmy reowirusem. To dość dziwne, wszystkie testy dały wynik pozytywny – ameby, pantofelki, wrotki i cała reszta. Z wyjątkiem tego jednego.

Otworzyła inkubator, ukazując rzędy naczyń Petriego pokryte fioletowym agarem. Błyszczące pręgi wielkości dziesięciocentówki na każdym ze szkieł oznaczały rozwijające się kolonie pierwotniaków.

Wyjęła jedno z naczyń.

– To B. meresgerii, jednokomórkowiec żyjący w oceanie, rozrastający się w płytkich wodach na powierzchni wodorostów. Karmi się zwykle planktonem. Lubię ich używać, bo są względnie łagodne i bardzo czułe na substancje chemiczne.

Starannie pobrała z naczynia próbkę jednokomórkowych organizmów. Rozsmarowała ją na szkiełku, po czym umieściła je pod mikroskopem, wyregulowała ostrość i odsunęła się, aby D’Agosta mógł spojrzeć przez okular.

Z początku policjant nie dostrzegł nic. Dopiero po chwili zauważył gromadę okrągłych, przezroczystych plamek, dziko tłukących rząskami o żebrowane tło.

– Mówiłaś, że one są stosunkowo łagodne – powiedział, nie odrywając oka od okularu.

– Zazwyczaj tak.

Nagle D’Agosta zorientował się, że w szaleństwie jednokomórkowców była jednak metoda. Stworzenia atakowały siebie nawzajem, rozrywając jedno drugiemu błony zewnętrzne i wdzierając się w powstałe tym sposobem otwory.

– Podobno żywią się planktonem.

– Powtarzam, zazwyczaj tak właśnie jest – odrzekła Margo. Spojrzała na niego. – Przeróżające, nieprawdaż?

– Jeszcze jak. – D’Agosta odsunął się od mikroskopu, w głębi duszy dziwiąc się, że zawziętość tych małych organizmów wzbudziła w nim niepokój.

– Pomyślałam, że zechce pan to zobaczyć. – Margo podeszła do mikroskopu i ponownie zajrzała przez okular. – Bo jeśli oni zamierzają...

Przerwała i nagle zeszywniała, skonsternowana.

– O co chodzi? – zapytał D’Agosta.

Margo przez dłuższą chwilę nie odpowiadała.



– To dziwne – oznajmiła w końcu. Odwróciła się do swojej asystentki. – Jen, czy możesz zakropić kilka z nich eozynofilem? Przydałby się też znacznik radioaktywny, abyśmy potrafili rozpoznać oryginalnych członków kolonii.

Dając D'Agostie znak, aby zaczekał, Margo pomogła asystentce przygotować znacznik, po czym umieściła całą naznaczoną już kolonię pod stereozoomem.

D'Agosta miał wrażenie, że patrzyła przez mikroskop całą wieczność. Wreszcie się wyprostowała, zapisała coś w notatniku i znów zajrzała przez okular. D'Agosta usłyszał, jak odliczała po cichu.

– Te pierwotniaki – oznajmiła w końcu – żyją przeciętnie około szesnastu godzin. Te, które pan tu widzi, są w laboratorium od trzydziestu sześciu godzin. B. meresgerii umieszczone w inkubatorze w temperaturze trzydziestu siedmiu Celsjusza dzielą się co osiem godzin. Tak więc – dokonała w notesie jakichś obliczeń – po trzydziestu sześciu godzinach powinniśmy mieć siedem martwych na każde dziewięć żywych pierwotniaków.

– No i...? – zapytał D'Agosta.

– Właśnie to sobie policzyłam i wyszło mi, że współczynnik proporcjonalności jest o połowę niższy.

– Co to oznacza?

– To znaczy, że albo B. meresgerii dzielą się wolniej, albo...

Ponownie wróciła do mikroskopu i zaczęła liczyć. D'Agosta czekał cierpliwie. Tym razem Margo wyprostowała się znacznie wolniej.

– Wskaźnik podziału jest prawidłowy – oznajmiła półgłosem.

D'Agosta bawił się cygarem w kieszonce na piersi.

– Co to oznacza?

– Że żyją o połowę dłużej – odparła beznamiętnie.

D'Agosta patrzył na nią przez chwilę.

– Teraz wiemy już, co było zasadniczym motywem postępowania Kawakity – mruknął.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Zanim Margo zdążyła odpowiedzieć, do pomieszczenia wślizgnął się Pendergast, witając ich oboje skinieniem głowy. Agent znów miał na sobie nieskazitelny czarny garnitur, a jego oblicze, choć zmęczone i lekko poszarzałe, z wyjątkiem niewielkiego zadrapania nad lewą brwią nie nosiło żadnych pamiątek po niedawnej niebezpiecznej wyprawie.

– Pendergast! – rzekł D'Agosta. – W samą porę.

– W rzeczy samej – przyznał agent. – Miałem przeczucie, że cię tu zastanę, Vincencie. Przepraszam, że tak długo nie dawałem znaku życia. Ta wycieczka okazała się nieco bardziej męcząca, niż się spodziewałem. Zjawiłbym się tu już pół godziny temu, by zdać raport z mojego spotkania, ale uznałem, że gorący prysznic i zmiana odzieży są w tym przypadku niezbędne.

– Spotkania? – zapytała z niedowierzaniem Margo. – Widział ich pan?

Pendergast skinął głową.

– O, tak, i nie tylko. Wpierw jednak proszę mi streścić pokrótce wydarzenia, które pod moją nieobecność rozegrały się na powierzchni. Rzecz jasna, słyszałem o tragedii w metrze i widziałem zmasowane grupy mundurowych szykujących się do akcji, jakby wybierali się na wojnę. Niemniej jednak podejrzewam, że wiele mi umknęło.

Słuchał z przejęciem, gdy Margo i D'Agosta wyjaśnili mu prawdziwą naturę szkliwa, opowiedzieli o Whittleseyu, Kawakicie i planowanym zalaniu tuneli Astora. Agent nie przerywał im, od czasu do czasu tylko zadawał kilka pytań, podczas gdy Margo objaśniała mu wyniki swych eksperymentów.

– To fascynujące – odezwał się wreszcie. – Fascynujące i bulwersujące zarazem. – Usiadł przy sąsiednim stole laboratoryjnym, zakładając nogę na nogę. – Dostrzegam tu nader niepokojące paralele z wynikami mojego prywatnego dochodzenia. Okazuje się bowiem, że głęboko pod ziemią, w tunelach Astora, istnieje coś w rodzaju ich punktu zbornego. Mieści się on w ruinach dawnego Kryształowego Pawilonu, prywatnej stacji kolejowej pod nie istniejącym już hotelem Knickerbocker. Pośrodku Pawilonu natrafiłem na osobliwą chatę wzniesioną z ludzkich czaszek. Do chaty tej prowadzą niezliczone ślady stóp. W pobliżu znajduje się coś, co wygląda na stół wotywny z mnóstwem rozmaitych artefaktów. Gdy je przeglądałem, z ciemności wypadła na mnie jedna z tych istot.

– Jak wyglądała? – niemal z wahaniem zapytała Margo.

Pendergast zmarszczył brwi.

– Trudno powiedzieć. Nie znalazłem się naprawdę blisko niej, a na odległość noktowizora, w którym obraz zazwyczaj jest nieostry, wyglądała jak człowiek albo raczej prawie jak człowiek. Ale w jej sposobie poruszania się dostrzegłem coś... nienaturalnego. – Agentowi FBI, co rzadko się zdarzało, zabrakło słów. – Biegła przykurczona, pochylona mocno do przodu, ściskając w ramionach coś, co, jak sądzę, stanowiło kolejny element budulca chaty. Oślepiłem ją błyskiem lampy i strzeliłem, ale flesz spowodował przeładowanie noktowizora i zanim znów byłem w stanie coś zobaczyć, istota zniknęła.

– Trafiłeś ją? – spytał D'Agosta.

– Chyba tak. Widziałem później na ziemi ślady krwi. Jednakże w owym czasie odczuwałem przede wszystkim nieprzeparte pragnienie powrotu na powierzchnię.

Spojrzał na Margo, unosząc jedną brew.

– Podejrzewam, że niektóre z tych stworzeń są zdeformowane bardziej niż inne. Tak czy owak, możemy być pewni trzech rzeczy. Są szybkie. Widzą w ciemności. I mają skrajnie wrogie nastawienie.

– A także, że żyją w tunelach Astora. – Margo wzdrygnęła się. – Wszystkie te istoty są uzależnione od szkliwa. Teraz, gdy Kawakita nie żyje, a rośliny zostały zniszczone, te stworzenia z braku narkotyku muszą być bliskie obłądu.

– Na to wygląda – przytaknął Pendergast.

– Chata, o której pan wspominał, to, jak sędzę, miejsce, w którym Kawakita rozprowadzał narkotyki – ciągnęła Margo. – W każdym razie już pod sam koniec, kiedy sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli. To wszystko ma w sobie jednak pewien posmak rytuału.

Pendergast skinął głową.

– Dokładnie. Nad wejściem do chaty dostrzegłem japońskie ideogramy, które w wolnym tłumaczeniu oznaczają: domena asymetrii. To jedna z nazw nadawanych japońskim herbaciarniom.

D’Agosta zasepił się.

– Herbaciarnia? Nie rozumiem.

– Z początku ja również nie potrafiłem tego pojąć. Jednakże im dłużej o tym myślałem, tym lepiej uświadamiałem sobie, co musiał tam robić Kawakita. *Roji* albo rzędy schodów rozmieszczonych w nierównych odstępach przed chatą. Brak ornamentów. Ot, proste, nie ukończone sanktuarium. To wszystko elementy Ceremonii Herbaty.

– Musiał rozprowadzać roślinę, zaparzając ją jak herbatę – rzekła Margo. – Ale po co zadawał sobie tyle trudu, skoro... – Przerwała. – Chyba że chodziło o samą ceremonię...

– Pomyślałem dokładnie o tym samym – przyznał Pendergast. – W miarę upływu czasu Kawakita musiał mieć coraz większe trudności z zapanowaniem nad tymi istotami. W którymś momencie przerwał sprzedaż narkotyku i zrozumiał, że po prostu musi im go zapewniać. Kawakita był również, jeśli się nie mylę, antropologiem, zgadza się? Musiał zdawać sobie sprawę, jak istotnymi elementami są odpowiednia oprawa, tło rytuału, mające dopomóc w obłaskawieniu istot biorących udział w ceremonii.

– I dlatego opracował rytuał dystrybucji narkotyku – wtrąciła Margo. – Szamani w prymitywnych kulturach często korzystają z rytuałów, aby umacniać swoją władzę i zaprowadzać porządek.

– Dla Kawakity podstawą obrzędu stała się ceremonia herbaty – rzekł Pendergast. – Nie wiemy, czy tamci uczestniczyli w niej z własnej woli czy też pod przymusem, i nigdy się tego nie dowiemy. Podejrzewam wszelako, zważywszy na inne jego zapożyczenia, że był to jedynie cyniczny dodatek Kawakity. Pamiętacie spalone notatki, znalezione w jego laboratorium?

– Mam je tutaj – rzekł D’Agosta, wyjmując swój notes, i kiedy go przekartkował, podał agentowi.

– Ach tak. Zielona chmura, proch strzelniczy, serce lotosu. To rodzaje zielonej herbaty. – Pendergast wskazał na kolejną linijkę w notesie D’Agosty.

– A to łajnotlubny niebieskonózek. Mówi to pani coś, pani doktor?

– Powinno, ale jakoś nic mi nie przychodzi do głowy.

Usta Pendergasta wykrzywił leciutki uśmiech.

– To nie jedna, lecz dwie substancje. Członkowie społeczności 666 nazwaliby je po prostu grzybkami.

– Oczywiście! – Margo pstryknęła palcami. – Caerulipes i coprophila.

– Nie rozumiem – mruknął D’Agosta.

– To nazwy dwóch gatunków najsilniejszych grzybów halucynogennych – wyjaśniła porucznikowi Margo.

– A to wysoccan – dodał Pendergast. – Jeśli mnie pamięć nie myli, był to rytualny wywar, wykorzystywany przez Indian Algonkinów podczas ceremonii osiągnięcia wieku męskiego. Zawierał on sporą dawkę skopolaminy. Trawa Jimsona. To bardzo paskudny halucynogen, powodujący głębokie uśpienie.

– Co to ma być, twoim zdaniem? Kwit z pralni? – zapytał D’Agosta.

– Możliwe. Być może Kawakita chciał w jakiś sposób zmodyfikować swój wywar, aby przyjmujący go stali się potulniejsi.

– Skoro tak i jeśli Kawakita chciał mieć uzależnionych pod stałą kontrolą, co ma oznaczać ta chata z czaszek? – zapytała Margo. – Wydaje mi się, że stawianie takiej budowli wywoła całkiem odmienny, pobudzający efekt.

– To prawda – rzucił Pendergast. – Wciąż brakuje nam wielu elementów tej układanki.

– Chata wzniesiona z ludzkich czaszek – zastanawiała się Margo. – Już to kiedyś słyszałam. Wydaje mi się, że w dzienniku Whittleseya była wzmianka o podobnej budowli.

Pendergast spojrział na nią badawczo.

– Naprawdę? To ciekawe.

– Zajrzyjmy do archiwum. Możemy skorzystać z komputera w moim biurze.

Promienie późnopołudniowego słońca wpadały przez pojedyncze okno maleńkiego gabinetu Margo, przyozdabiając dokumenty i książki łagodną, złocistą poświatą. Podczas gdy Pendergast i D’Agosta czekali cierpliwie, Margo usiadła za biurkiem, wysunęła klawiaturę i zaczęła stukać.

– W zeszłym roku muzeum otrzymało dotację, dzięki której można było zeskanować wszystkie dokumenty, dzienniki i tym podobne wprowadzić do bazy danych – stwierdziła. – Przy odrobinie szczęścia znajdziemy w niej to, czego szukamy.

Skoncentrowała poszukiwania na trzech słowach kluczach: Whittlesey, chata i czaszki. Na ekranie pojawiła się nazwa jednego dokumentu. Margo szybko go wybrała i przewertowała, odnajdując przedostatni wpis. Odczytując słowa, które na ekranie wydawały się zimne i bezosobowe, mimowolnie powróciła pamięcią do tamtych wydarzeń sprzed osiemnastu miesięcy, gdy siedząc w ciemnym muzealnym gabinecie w towarzystwie Billa Smithbacka zerknęła dziennikarzowi przez ramię, gdy ów z przejściem kartkował stary zapleśniały dziennik.

Crocker, Carlos i ja idziemy dalej. Niemal natychmiast musieliśmy zrobić postój, aby przepakować jedną ze skrzyń, w której rozbił się słój z okazami. Zająłem się tym, a Crocker zszedł ze szlaku i pośrodku niedużej polanki natknął się na zrujnowaną chatę. Wydawało się, że była wykonana z ludzkich czaszek, zabezpieczonych wbitymi w ziemię na modłę jacali ludzkimi kośćmi długimi. Każdy z czerepów miał wybity w potylicy strzępiasty otwór. Pośrodku chaty stał mały stół wotywny, wykonany z kości połączonych ścięgnami. Na stole odnaleźliśmy posążek oraz kilka dziwnie rzeźbionych kawałków drewna.

Ale nieco się pospieszyłem. Znieśliśmy na dół sprzęt, by dokonać niezbędnych badań. Otworzyliśmy skrzynię, lecz zanim zdążyliśmy spenetrować chatę, z gęstwiny krzewów wyszła, chwiejąc się na nogach, stara Indianka – nie potrafię powiedzieć, czy była chora, czy może pijana; wskazała na skrzynię i zaczęła zawodzić...

– Wystarczy – powiedziała Margo gwałtowniej, niż zamierzała, po czym wyczyściła ekran. Ostatnią rzeczą, o jakiej teraz mogła myśleć, było przypomnienie zawartości owej koszmarnej skrzyni.

– Bardzo ciekawe – rzekł Pendergast. – Może powinniśmy podsumować, czego dotąd zdołaliśmy się dowiedzieć. – Przerwał na chwilę, po czym zaczął wyliczać na palcach. – Kawakita zajął się produkcją i dystrybucją narkotyku o nazwie szkliwo, sprzedawał je innym, a potem sam również przyjął jego zmodyfikowaną wersję. Niefortunni narkomani, zdeformowani przez groźną substancję i coraz bardziej unikający światła, zeszli do podziemi. Tam też zdziczeli i zaczęli polować na bezdomnych żyjących w tunelach. Obecnie, po śmierci Kawakity, gdy uzależnionym zabrakło narkotyku, ich ataki stały się coraz bardziej zuchwałe.

– Wiemy również, dlaczego Kawakita zdecydował się sięgnąć po narkotyk – wtrąciła Margo. – Ma on, jak się wydaje, właściwości odmładzające, a być może nawet przedłuża życie. Istoty, które zeszły do podziemi, otrzymały pierwotną wersję narkotyku, odmienną od tej, którą Kawakita zaaplikował sobie. Wszystko wskazuje, że nawet już po przyjęciu narkotyku Kawakita wciąż nad nim pracował. Obiekty w moim laboratorium nie wykazują jakichkolwiek zmian czy anomalii fizycznych. Jednakże nawet najbardziej zmodyfikowana wersja szkliwa wywołuje efekty uboczne – proszę spojrzeć, jak agresywna i mordercza stała się gromada myszy, a nawet spokojne zazwyczaj pierwotniaki.

– Trzy pytania pozostają wciąż bez odpowiedzi – odezwał się nagle D'Agosta.

Margo i agent odwrócili się, by na niego spojrzeć.

– Po pierwsze, dlaczego te istoty go zabiły? Taka bowiem wersja wydarzeń wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

– Może nie potrafił już nad nimi zapanować – zasugerował Pendergast.

– A może zaczęli odnosić się do niego z wrogością, uznając go za główną przyczynę wszystkich swoich problemów – dodała Margo. – W grę wchodzi też rywalizacja pomiędzy

nim a jednym z tych stworów. Pamiętacie, w swoim notatniku napisał przecież: „Ten drugi z dnia na dzień łąknie coraz więcej”.

– Po drugie, co z inną wzmianką z jego notatnika, o tyroksynie, środka chwastobójczym? To mi do niczego nie pasuje. Albo ta witamina D, którą rzekomo produkował.

– Przypominam, że w notatniku Kawakity znalazło się również słowo „nieodwracalne” – wtrącił Pendergast. – Może w końcu uświadomił sobie, że nie jest w stanie odwrócić tego, co uczynił.

– To by wyjaśniało jego wyrzuty sumienia – powiedziała Margo. – O tym, że je miał, przekonała mnie lektura tych kilku urywków jego dziennika. Najwyraźniej skoncentrował całą swą uwagę na usunięciu z substancji narkotycznej składników wywołujących deformacje fizyczne. Niestety, zajmując się tym, zupełnie zignorował wpływ nowego szczepu wirusa na umysł osoby uzależnionej.

– Po trzecie i ostatnie – ciągnął D’Agosta – jaki sens, u licha, miało wzniesienie chaty z czaszek, identycznej jak ta wymieniona w dzienniku Whittleseya?

Nikt mu nie odpowiedział.

W końcu Pendergast westchnął.

– Masz rację, Vincencie. Nie pojmuję, czemu miałyby służyć ta chata. Jest to dla mnie równie wielką zagadką, jak te dziwne kawałki metalu, które odkryłem na stole wotywnym. – Pendergast wyjął z kieszeni marynarki kilka małych przedmiotów i położył na stole.

D’Agosta natychmiast je pozbierał i zaczął oglądać z wielką uwagą.

– Czy możliwe jest, że to zwyczajne śmieci? – zapytał.

Pendergast pokręcił głową.

– Poukładano je na stole bardzo starannie. Wyglądały jak relikty w relikwiarzu.

– W czym?

– W relikwiarzu. To coś takiego, w czym przechowuje się i wystawia na pokaz przedmioty kultu religijnego.

– Dla mnie nie wyglądają one na przedmioty jakiegokolwiek kultu, a tym bardziej religijnego. Przypominają raczej fragmenty deski rozdzielczej. Albo jakichś przyrządów. – D’Agosta odwrócił się do Margo. – Jakieś sugestie?

Margo wstała od komputera i podeszła do stołu. Podniosła jeden z przedmiotów, oglądała go przez chwilę i odłożyła na blat.

– To może być cokolwiek – stwierdziła, sięgając po następny przedmiot, metalową rurkę zamkniętą z jednej strony otuliną z szarego kauczuku.

– Tak. Cokolwiek – zgodził się Pendergast. – Niemniej jednak czuję, pani doktor, że gdy tylko dowiemy się, co to za przedmioty i dlaczego rozłożono je niczym relikwie na kamiennym stole trzydzieści pięter pod Nowym Jorkiem, znajdziemy klucz do całej tej zagadki.

Hayward nałożyła rynsztunek bojowy, poprawiła lampkę na hełmie i zlustrowała wzrokiem niebieską masę kłębiącą się w hali dworcowej na stacji przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Miała znaleźć drużynę piątą dowodzoną przez porucznika Millera, ale dokoła panował nieopisany chaos, wszyscy szukali wszystkich, a w konsekwencji nikt nie mógł znaleźć nikogo.

Zauważyła szefa, Horlockera, który właśnie nadjechał po inspekcji drużyn zgromadzonych na stacji przy Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, pod muzeum. Horlocker zajął pozycję na drugim końcu hali obok szefa oddziału taktycznego, Jacka Mastersa, chudego mężczyzny o zgorzkniałym wyrazie twarzy. Długie ręce Mastersa, które zwykle trzymał opuszczone wzdłuż boków, poruszały się energicznie, gdy mężczyzna, żywo gestykulując, tłumaczył coś kilkunastu porucznikom, pokazując im mapy i kreśląc na nich jakieś linie. Horlocker stał tuż obok, kiwając głową i dzierżąc w dłoni wskaźnik, jak bambusową laseczkę; od czasu do czasu szef stukał nim w mapę, wskazując szczególnie ważne miejsce.

Horlocker pozwolił odejść porucznikom, a Masters sięgnął po megafon.

– Uwaga! – ryknął ochryłym głosem. – Czy wszystkie zespoły są na miejscach? – Hayward odniosła wrażenie, jakby znalazła się na zbiórce harcerskiej.

Rozległ się nerwowy pomruk, który miał oznaczać „nie”.

– Wobec tego Oddział Pierwszy – rzekł Masters, wskazując przed siebie. – Oddział Drugi zbierze się przy schodach głównych. – Wymieniał kolejne oddziały, przydzielając im miejsca zbiórki w różnych częściach hali. Hayward udała się do punktu zbornego Oddziału Piątego. Gdy tam przybyła, porucznik Miller rozkładał właśnie plan z zaznaczonym na nim na niebiesko terenem, który mieli spenetrować. Miller miał na sobie lekki szary kombinezon bojowy, który, choć luźny, nie ukrywał sporych pokładów tkanki tłuszczowej na ciele mężczyzny.

– Nie chcę żadnej bohaterszczyzny, żadnych konfrontacji – mówił Miller. – Czy to jasne? To proste zadanie, jak dla gliny z drogówki, a nie szarża lekkiej brygady. Jeśli napotkacie opór, macie maski i gaz łzawiący, nie spodziewam się jednak żadnych problemów. Zróbcie, co do was należy, zróbcie to dobrze, a za godzinę już nas tam nie będzie.

Hayward chciała coś powiedzieć, ale zmytygowała się. Odniosła wrażenie, że użycie gazu łzawiącego w tunelach podziemnych może być bardzo niebezpieczne. Kiedyś, wiele lat przed połączeniem Transit Police z regularnymi oddziałami, ktoś na świeczniku zaproponował użycie gazu w celu stłumienia zamieszek. Gliniarze mający przeprowadzić pacyfikację zbuntowali się. Gaz łzawiący był dostatecznie groźny nawet na powierzchni, a pod ziemią mógł się okazać wręcz zabójczy. Jak zauważyła, ich obszar działań obejmował dolną część tuneli metra i tuneli serwisowych pod stacją przy Columbus Circle.

Miller znów rozejrzał się dokoła; na szyi, na kolorowym rzemyku, miał zawieszone okulary przeciwsłoneczne.

– Pamiętajcie, większość kretów jest zwykle pijana w trzy dupy albo zaćpana jakimś świństwem, a co za tym idzie – osłabiona – rzucił ochryłym głosem. – Dajcie im do zrozumienia, kto tu rządzi, a w mig spotulnieją jak baranki. Wy zaś, jako dobrzy pasterze, wyprowadzicie ich na zielone pastwiska, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Jak już raz się ruszą, to na pewno stamtąd wyjdą. Kierujcie ich do tego punktu centralnego, tutaj, pod nawrotem numer dwa. To obszar działania oddziałów od Czwartego do Szóstego. Po ponownym zgrupowaniu oddziałów wyprowadzimy krety na górę przez to wyjście, tutaj.

– Poruczniku Miller? – odezwała się Hayward. Nie mogła już dłużej milczeć.

Porucznik spojrzał na nią.

– Oczyszczałam te tunele z bezdomnych i znam tych ludzi. Oni nie zechcą pójść z nami tak potulnie, jak pan to sobie wyobraża.

Oczy Millera rozszerzyły się, jakby ujrzał ją po raz pierwszy.

– Ty? – rzucił z niedowierzaniem. – Oczyszczałaś tunele?

– Tak jest – odrzekła Hayward, obiecując sobie, że następny, który ją o to spyta, dostanie kopniaka w klejnoty rodowe.

– Jezu – mruknął Miller, kręcąc głową.

Znów zapadła cisza, pozostali policjanci gapili się w milczeniu na Hayward.

– Jest tu jeszcze ktoś z TA? – zapytał Miller, rozglądając się dokoła.

Jeden z mężczyzn uniósł rękę. Hayward przyjrzała mu się kątem oka – wysoki, czarnoskóry, zbudowany jak czołg.

– Nazwisko? – warknął Miller.

– Carlin – wychrypiął osiłek.

– Jeszcze ktoś? – wysyczał Miller.

Cisza.

– Świetnie.

– My, byli funkcjonariusze Transit Police, znamy te tunele – powiedział łagodnym tonem Carlin. – Szkoda, że nie pomyślano o zabraniu na ten piknik jeszcze paru naszych, sir.

– Carlin? – rzekł Miller. – Masz swój gaz, pałkę i broń służbową, więc nie pękaj, tylko trzymaj fason i rób, co do ciebie należy. A jeśli będę chciał znać twoje zdanie w jakiejś sprawie, nie omieszkałam zapytać. – Miller rozejrzał się dokoła. – I tak jest już nas tutaj za dużo. To zadanie dla małego, elitarnego oddziału bojowego. Ale cóż, kiedy szef każe, nie pozostaje nam nic innego, jak wykonać rozkaz.

Hayward oszacowała, że w pomieszczeniu musiało być co najmniej stu policjantów.

– Pod samym tylko Columbus Circle żyje około trzystu bezdomnych – oznajmiła z naciskiem.

– Doprawdy? A kiedy ostatni raz ich liczyliście? – zapytał Miller.



Hayward nie odpowiedziała.

– W każdej grupie znajdzie się ktoś taki – mruknął pod nosem Miller.

– A teraz posłuchajcie. To operacja taktyczna, działamy szybko, sprawnie i wykonujemy otrzymane rozkazy bez szemrania. Czy to rozumiecie?

Kilka osób pokiwało głowami. Carlin wychwycił spojrzenie Hayward i wywrócił oczami, dając jej do zrozumienia, co myśli o Millerze.

– Dobra, do roboty, dobierzcie się w pary – uciał Miller, zwijając plan.

Hayward odwróciła się do Carlina. Ten skinął głową.

– Jak się masz? – rzucił na powitanie. Hayward zauważyła, że jej pierwsze wrażenie o koledze po fachu było błędne. Mężczyzna był potężnie zbudowany, muskularny i wyrzeźbiony jak kulturysta, bez grama tłuszczu. – Gdzie był twój rejon przed przyłączeniem?

– Obszar pod Penn Station. Jestem Hayward.

Kątem oka spostrzegła drwiący uśmiezek, wykrzywający usta Millera: Carlin i ta mała.

– To prawdziwie męskie zadanie – rzekł Miller, wciąż łypiąc na Hayward. – Istnieje prawdopodobieństwo, że sprawy przybiorą niefortunny obrót. Nie weźmiemy ci za złe, jeśli zechcesz...

– Mając za partnera sierżanta Carlina – przerwała Hayward – mogę śmiało powiedzieć, że jest on dostatecznie męski za nas oboje. – Powiodła badawczym spojrzeniem w górę i w dół, otaksowując postawnego mężczyznę wzrokiem, po czym znacząco łypnęła na opasły brzuch Millera.

Kilku policjantów wybuchnęło śmiechem. Miller sposepniał.

– Znajdę dla was odpowiednie miejsce w odwodzie.

– Stróżowie prawa! – rozległ się nagle wzmocniony przez megafon ochryply głos Horlockera. – Mamy niecałe cztery godziny, aby usunąć bezdomnych z tuneli pod i wokół Central Parku. Nie wolno wam zapomnieć, że punktualnie o północy z Rezerwuaru do sieci kanałów burzowych spuszczone zostaną miliony galonów wody. Będziemy starannie kontrolować ten przepływ, jednak nie ma gwarancji, że paru zabłąkanych bezdomnych nie zostanie na niższe poziomy zmytych przez ten rozszalały żywioł. Istotne jest, byście wykonali swoje zadanie, ewakuując wszystkich, którzy znajdują się w strefie zagrożenia przed nadejściem godziny zero. Powtarzam: wszystkich. Wykorzystamy tę niecodzienną okazję, by raz na zawsze usunąć bezdomnych z tych przeklętych tuneli. Znacicie swoje zadania, a dowódcy drużyn zostali specjalnie dobrani do tej misji, z uwagi na swoje doświadczenie w działaniach polowych. Zważywszy na okoliczności, liczę, że dacie z siebie wszystko i być może nawet wypełnicie zadanie godzinę lub dwie przed terminem. Poczyniliśmy niezbędne przygotowania, by zapewnić tym ludziom posiłek i dach nad głową na dzisiejszą noc. Możecie im to powiedzieć, jeśli będzie trzeba. Z punktów wyjściowych, które macie zaznaczone na mapie, autobusy zawiozą ich do przytulisk na Manhattanie i w innych

dzielnicach miasta. Nie spodziewamy się oporu. Jeśli jednak zaczną go stawiać, postępujcie zgodnie z rozkazami.

Przez chwilę przyglądał się zgromadzonym dokoła policjantom, po czym znów uniósł megafon.

– Wasi koledzy, funkcjonariusze z sektorów północnych, są już po odprawie i rozpoczną operację równocześnie z wami. Chcę, abyście działali zespołowo. Wszyscy razem. Pamiętajcie, gdy znajdziecie się pod ziemią, wasze krótkofalówki będą mieć ograniczony zasięg. Będziecie mogli porozumiewać się między sobą i ze znajdującymi się w pobliżu dowódcami drużyn, ale kontakt z powierzchnią zostanie, w najlepszym razie, mocno ograniczony. Tak więc trzymajcie się planu, pilnujcie harmonogramu, kontrolujcie czas i zróbcie, co do was należy.

Postąpił naprzód.

– A teraz, panowie, do dzieła! Pora zrobić dla tego miasta coś naprawdę dobrego!

Szeregi mundurowych stróżów prawa przeżyły się na baczność, gdy Horlocker przechodził pomiędzy nimi, poklepując przyjaźnie tego lub owego po plecach i uśmiechając się, jakby mimochodem rzucał im krzepiące słowa zachęty. Mijając Hayward, przystanął i zmarszczył brwi.

– Ty jesteś Hayward, prawda? Dziewczyna D’Agosty?

Dziewczyna D’Agosty, niech cię wszyscy diabli, pomyślała.

– Pracuję z porucznikiem D’Agostą, sir – odparła donośnym tonem.

Horlocker pokiwał głową.

– No tak, fakt, pokaż, na co cię stać.

– Sir, wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli pan... – zaczęła Hayward, ale do Horlockera podbiegł nagle jego adiutant, informując go pełnym napięcia głosem o zorganizowanym w Central Parku wiecu, który przybrał większe rozmiary, niż się spodziewano, i szef oddalił się szybkim krokiem. Miller rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

Gdy Horlocker w towarzystwie swojej świty opuścił halę, po mikrofon sięgnął Masters.

– Oddziały, odmaszerować! – warknął donośnie. Miller odwrócił się do swojego zespołu, uśmiechając się półgębkiem.

– No dobra, chłopaki. Pora wybrać parę kretów z ich nor!

Kapitan Waxie wyszedł z pudełkowego gmachu komendy przy Central Parku i ruszył ścieżką ciągnącą się na północ w lesisty półmrok. Po jego lewej stronie szedł funkcjonariusz z posterunku. Po prawej – Stan Duffy, główny inżynier miejskich urządzeń hydraulicznych. Duffy wysforował się naprzód i oglądał się przez ramię z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Zwolnij trochę – wysapał Waxie. – To nie maraton.

– Nie lubię kręcić się po parku o tej porze – odparł Duffy wysokim, piskliwym głosem. – Zwłaszcza po ostatnich strasznych morderstwach. Już pół godziny temu powinniście być na posterunku.

– Na północ od Czterdziestej Drugiej wszystko stoi – rzucił Waxie. – Nie masz pojęcia, co się tam dzieje. To wszystko wina tej Wisher. Zorganizowała marsz czy coś w tym rodzaju. Zaczęło się skromnie, aż tu ni stąd, ni zowąd zjawily się tłumy ludzi. – Pokręcił głową. – Zablokowali Central Park West i South, a maruderzy wciąż jeszcze sunęli wzdłuż Piątej Alei, powodując niemały chaos. I nawet nie mieli zezwolenia. Zrobiła to zupełnie bez ostrzeżenia. Gdybym był burmistrzem, zapuszkowałbym ich wszystkich.

W oddali po prawej widać już było muszlę koncertową. Pusta i cicha, w większości ozdobiona barwnym graffiti, stanowiła doskonałą pułapkę, mekkę dla rozmaitych oprychów. Duffy zerknął na nią nerwowo, przechodząc obok.

Cała trójka, idąc wzdłuż East Drive, obeszła staw. Spoza mrocznych, cienistych granic parku do uszu Waxiego dochodził śmiech, krzyki, dźwięki klaksonów i odgłos silników. Spojrzał na zegarek – 20.30. Zgodnie z planem uruchomienie systemu odwadniającego miało nastąpić o 20.45. Przyspieszył kroku. Z trudem, bo z trudem, ale powinni zdążyć.

Stacja Obsługi Zbiornika Wodnego Central Parku mieściła się w starym kamiennym budynku, ćwierć mili na południe od Rezerwuaru. Obecnie Waxie widział już budowlę wyzierającą spośród drzew, przez brudne okno płynął blask jedynej zapalanej lampy, a nad drzwiami wejściowymi widniały litery SOZWCP. Zwolnił kroku, podczas gdy Duffy otworzył kluczem ciężkie metalowe odrzwia. Otworzyły się do wewnątrz, ukazując stare kamienne pomieszczenie. Urządzone po spartańsku, z paroma stolikami, mnóstwem map i potwornie zakurzonymi, zapomnianymi urządzeniami hydrometrycznymi.

W kącie znajdowało się stanowisko obsługi komputerowej z kilkoma monitorami, drukarkami i dziwnie wyglądającymi przyłączami, kontrastując z resztą wyposażenia. Kiedy znaleźli się w środku, Duffy starannie zamknął drzwi na klucz, po czym podszedł do konsoli.

– Nigdy jeszcze tego nie robiłem – rzekł drżącym ze zdenerwowania głosem, sięgając pod stolik i wyjmując podręcznik użytkownika, który musiał ważyć chyba z piętnaście funtów.

– Nie zawieź nas teraz – powiedział Waxie.

Duffy łypnął na niego spođe łba. Przez chwilę wydawało się, że chciał coś powiedzieć. Miast tego przez kilka minut wertował podręcznik, po czym podszedł do komputera i zaczął stukać w klawisze. Na większym monitorze pojawiły się serie komend.

– Jak to wszystko działa? – zapytał Waxie, przestępując z nogi na nogę. W pomieszczeniu było tak wilgotno, że zaczęły go boleć stawy.

– To dość proste – odparł Duffy. – Woda z dolnego Catskills spływa do zbiornika wodnego w Central Parku. Rezerwuar może wydawać się olbrzymi, ale mieści w sobie zapas

wody dla Manhattanu zaledwie na trzy doby. To w gruncie rzeczy zbiornik retencyjny wykorzystywany do regulacji nadmiaru lub niedoboru w zapasach wody. – Znów zaczął stukać w klawisze. – System monitorujący jest specjalnie zaprogramowany, aby przewidywać owe nadmiary bądź niedobory i zgodnie z nimi regulować dopływ wody do Rezerwuaru. Może automatycznie otwierać lub zamykać śluzy pod Storm King Mountain, sto mil stąd. Program działa na podstawie danych o zużyciu wody z ostatnich dwudziestu lat, a także bieżących prognoz pogodowych, i dzięki nim oszacowuje, jakie będą najbliższe wymagania. Gdy są one niższe, niż zakładano, i do Rezerwuaru sływa zbyt wiele wody, komputer otwiera Główny Bocznik, odprowadzając nadmiar cieczy do odpływu burzowego i kanałów ściekowych. Kiedy wymagania są niespodziewanie wysokie, Główny Bocznik zostaje zamknięty i otwiera się dodatkowe śluzy doprowadzające, aby zwiększyć przepływ.

– Naprawdę? – spytał Waxie. Już po drugim zdaniu ta tyrada zaczęła go nudzić.

– Dokonam teraz ręcznego obejścia; innymi słowy, otworzę śluzy w górnym biegu, a także Główny Bocznik. Woda zacznie sływać do Rezerwuaru i stąd natychmiast do systemu kanałów ściekowych. To proste i precyzyjne rozwiązanie. Jedyne, co muszę zrobić, to zaprogramować system, aby o północy spuścił dwadzieścia milionów stóp sześciennych wody, czyli około stu milionów galonów, a po zakończeniu tej czynności powrócił do trybu obsługi automatycznej.

– Zatem Rezerwuar nie zostanie całkiem opróżniony? – wtrącił Waxie.

Duffy uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ależ kapitanie. Nie chcemy przecież napytać naszemu miastu biedy. Po co ludziom kłopot z dostawami wody? Proszę mi wierzyć, możemy zrobić swoje, minimalnie uszczuplając miejskie zapasy wody pitnej. Wątpię, aby poziom wody w Rezerwuarze opadł więcej niż o dziesięć stóp. To doprawdy niesamowity system. Trudno uwierzyć, że opracowali go przed ponad stu laty inżynierowie, którzy potrafili przewidzieć nasze obecne potrzeby. – Uśmiech przygasł. – Mimo to nikt nigdy nie przeprowadzał operacji na taką skalę. Na pewno chce pan to zrobić? Wszystkie przepusty otwarte równocześnie... No cóż, mogę tylko powiedzieć, że to będzie naprawdę wielkie lanie wody.

– Słyszał pan szefa – rzekł Waxie, pocierając kciukiem kartoflowaty nos. – Niech pan dopilnuje, aby wszystko poszło tak jak trzeba.

– Na pewno – odrzekł Duffy. – Uda się, bez dwóch zdań.

Waxie położył dłoń na jego ramieniu.

– Oczywiście – powiedział. – Bo w przeciwnym razie czeka pana etat młodszego śluzowego w oczyszczalni ścieków na dolnym Hudsonie.

Duffy zaśmiał się nerwowo.

– Ależ kapitanie – powtórzył. – Po co te groźby. – Znów zaczął stukać w klawiaturę, podczas gdy Waxie przechadzał się nerwowo po pokoju.

Mundurowy policjant stał przy drzwiach i w milczeniu, z obojętną miną obserwował przebieg wydarzeń.

– Jak długo potrwa spuszczenie wody? – zapytał wreszcie Waxie.

– Około ośmiu minut.

Waxie chrząknął.

– Osiem minut, aby spuścić sto milionów galonów wody?

– O ile dobrze zrozumiałem, chce pan, aby woda została odprowadzona możliwie jak najszybciej i aby przepłukać nią najniższe tunele pod Central Parkiem, zgadza się? – Waxie pokiwał głową. – Osiem minut, tyle czasu zajmie spuszczenie tej wody przy systemie działającym na pełną moc, na sto procent. Naturalnie, przygotowanie do tego celu wszystkich urządzeń hydraulicznych potrwa prawie trzy godziny. Potem już cała filozofia polega tylko na odprowadzeniu wody z Rezerwuaru i równoczesnym uzupełnieniu niedoboru z pobliskich akweduktów. To powinno zagwarantować nam, że poziom wody w zbiorniku nie obniży się nadmiernie. Trzeba to zrobić jak należy, bo gdyby ilość odprowadzonej wody była niższa od pobieranej... no cóż, mielibyśmy w Central Parku wielką powódź.

– Mam nadzieję, że wie pan, co robi. Chcę, aby wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z ustaleniami, planowo i o czasie, żadnych przesunięć czy wpadek.

Odgłosy stukania w klawisze stały się cichsze i bardziej regularne, wolniejsze.

– Bez obawy – zapewnił Duffy z palcem na jednym z klawiszy. – Nie będzie żadnych opóźnień. Tylko niech się pan nie rozmyśli. Bo kiedy już nacisnę ten klawisz, urządzenia hydrauliczne zaczną pracować. I nie będę mógł tego powstrzymać. Widzi pan...

– Wciśnij pan wreszcie ten klawisz – warknął niecierpliwie Waxie.

Duffy zrobił to z melodramatyczną emfazą. I odwrócił się do Waxiego.

– Zrobione – oznajmił. – Teraz już tylko cud może powstrzymać system od odprowadzenia tej wody. A pragnę panu przypomnieć, że w Nowym Jorku cuda są zakazane.

## 45

D'Agosta spojrział na nieduży stosik gumowych i chromowanych części, podniósł jedną z nich i zaraz upuścił z obrzydzeniem.

– To najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem – przyznał. – Sądysz, że pozostawiono je tam przypadkiem?

– Zapewniam cię, Vincencie – odrzekł Pendergast – że były one starannie ułożone na ołtarzu, prawie jak ofiara wotywna. – Nastąpiła chwila ciszy, podczas gdy agent nerwowo krążył po laboratorium. – Niepokoi mnie jeszcze jedno. To Kawakita hodował lilie w zbiorniku i tak dalej. Dlaczego mieliby go zabijać i podpalać laboratorium? Czemu mieliby niszczyć jedyne źródło zaopatrzenia w narkotyki? Narkoman boi się przede wszystkim tego,

że zostanie pozbawiony regularnych dostaw. Laboratorium podpalono celowo. Sam wspomniałeś, że wśród popiołów natrafiono na ślad przyspieszacza.

– Chyba że hodują je gdzie indziej – powiedział D’Agosta, mnąc w palcach kieszonkę marynarki.

– No dalej, proszę zapalić – rzekła Margo.

D’Agosta spojrział na nią.

– Naprawdę?

Margo uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Tylko ten jeden raz. Ale ani słowa pani dyrektor.

D’Agosta rozpromienił się.

– To będzie nasza tajemnica. – Wyjął cygaro, nakłuł koniec czubkiem ołówka i podszedł do okna, otwierając jedno z jego skrzydeł. Zapalił cygaro, z lubością wydmuchując dym w stronę Central Parku.

Chciałabym mieć nałóg, który przynosiłby mi choć odrobinę takiego zadowolenia, pomyślała Margo, obserwując policjanta.

– Zastanawiałem się nad możliwością alternatywnych zapasów – mówił Pendergast. – I, szczerze mówiąc, wypatrywałem podziemnego ogrodu. Nie napotkałem jednak na żaden ślad mogący świadczyć o jego istnieniu. Do hodowania lilii potrzeba świeżego powietrza i mnóstwa stojącej wody. Nie wyobrażam sobie, gdzie mogłyby one być ukryte pod ziemią.

D’Agosta wydmuchnął przez okno kolejny kłęb siwego dymu i oparł się łokciem o parapet.

– Spójrzcie na ten bałagan – powiedział, wskazując głową ku północy. – Horlocker się wścieknie, gdy to zobaczy.

Margo podeszła do okna, jej wzrok padł na ciemnozielony bujny kobierzec Central Parku, cienisty i tajemniczy w różowej poświacie zachodzącego słońca. Po prawej, od strony Central Park South, dochodził jazgot klaksonów. Tłumy demonstrantów ze ślimaczą powolnością docierały na Grand Army Plaza.

– Niezły marsz – stwierdziła.

– Demonstracja, jak się patrzy – przyznał D’Agosta. – I ci ludzie chodzą na głosowania.

– Mam nadzieję, że doktor Frock nie utknął gdzieś w korku, jadąc do domu – dodała nieco ciszej. – On nie znosi tłumów.

Skierowała wzrok ku północy, ponad Owczą Łąką i fontanną Bethesda, za którą rozpościerał się rozległy owal Rezerwuaru. O północy ta spokojna toń zafaluje, a dwadzieścia milionów stóp sześciennych wody spłynie do najniższych tuneli pod Manhattanem, niosąc śmierć i zniszczenie. Nagle zrobiło się jej żal ukrywających się tam Pomarszczonych. To nie było właściwe rozwiązanie, pomyślała. I nagle przypomniała sobie okrwawione klatki z myszami i gwałtowny wybuch furii B. meresgerii. To był zabójczy narkotyk, tysiącrotnie

wzmagający naturalną agresję, którą ewolucja wdrukowała niemal wszystkim żyjącym istotom. A Kawakita, zainfekowawszy sam siebie, uznał, że proces ten jest nieodwracalny.

– Cieszę się, że jesteśmy tu, na górze, a nie tam, na dole – mruknął D’Agosta, z zadumą wypuszczając kolejne kłęby dymu.

Margo skinęła głową. Kątem oka widziała, że Pendergast krąży po pokoju, podnosi przedmioty i ponownie je odkłada.

Gdy nad parkiem ponownie wszędzie słońce, pomyślała Margo, rezerwuar będzie o dwadzieścia milionów stóp sześciennych wody lżejszy. Jej wzrok padł na powierzchnię wody, mieniając się odcieniami zieleni, oranżu i czerwieni. To była piękna scena, spokój i bezruch tworzyły surowy kontrast dla maszerujących demonstrantów i wyjących upiornie klaksonów, dwadzieścia przecznic na południe stąd.

Nagle zmarszczyła brwi. Nigdy jeszcze nie widziałam zielonego zachodu słońca. Wyteżyła wzrok, usiłując dostrzec ciemniejącą powierzchnię wody, pochłanianą coraz szybciej przez cienie. W gasnącym świetle widziała wyraźnie matowe splachcie zieleni na powierzchni wody. Nagle zaświtała jej w głowie dziwna i przerażająca myśl. Stojąca woda i świeże powietrze.

To niemożliwe, skonstatowała, bez wątplenia ktoś by to zauważył. Ale czy na pewno?

Odwróciła się od okna i spojrzała na Pendergasta. Wychwycił jej spojrzenie, zaniepokoił się i przystanął.

– Margo? – zapytał, unosząc brwi.

Nie odpowiedziała, a Pendergast podążył za jej wzrokiem w stronę Rezerwuaru, patrzył przez chwilę i nagle zeszytniał. Kiedy znów na nią spojrzał, po błysku w jego oczach zorientowała się, że on także zrozumiał.

– Chyba powinniśmy się temu przyjrzeć – rzekł półgłosem Pendergast.

Zbiornik wodny w Central Parku oddzielała od ścieżki dla biegaczy wysoka druciana siatka. D’Agosta chwycił ją tuż przy ziemi i mocno szarpnął w górę. Wraz z Pendergastem i niemal depczącym im po piętach D’Agostą, Margo zeszła po wąskiej, żwirowej ścieżce na skraj zbiornika i weszła do wody, na której na liściach unosiły się nieduże, dziwnego kształtu kwiaty lili. Wydały się jej tak znajome, że aż przerażające. Oderwała jeden z kwiatów i uniosła w górę; z mięsistych korzeni ściekała woda.

– *Liliceae Mbwunensis* – powiedziała. – Hodują je w Rezerwuarze. To tak Kawakita zaplanował rozwiązanie kłopotów z zaopatrzeniem. Akwaria mają zbyt wiele ograniczeń. Zatem nie tylko produkował narkotyki, lecz również dokonał hybrydyzacji rośliny, przystosowując ją do tutejszego klimatu i znacznie niższych temperatur.

– Oto twoje alternatywne źródło – rzekł D’Agosta, wciąż ćmiąc cygaro.

Pendergast wszedł za Margo do wody, rozgarniając dłońmi mroczną toń, zrywając rośliny i oglądając je w blasku zachodzącego słońca. Kilkoro biegaczy przystanąło, przerywając

kolejne okrażenie i wybałuszając oczy, obserwowało dziwne zachowanie młodej kobiety w białym kitlu, otęłego mężczyzny z cygarem w ustach i wysokiego, bladowłosego gogosia w eleganckim czarnym garniturze, brodzących po pas w zbiorniku z wodą pitną.

Pendergast uniósł w dłoni jedną z roślin z dużym, orzechowobrazowym strąkiem nasiennym zwieszającym się z łodygi. Strąk był otwarty.

– Nasiona już dojrzały – rzekł półgłosem Pendergast. – Gdy opróżni się zbiornik, te rośliny i ich zabójcze nasiona spłyną do Hudsonu, a stamtąd do oceanu.

Zapadła cisza, przerywana jedynie odległymi dźwiękami klaksonów.

– Ale przecież te rośliny nie mogą żyć w słonej wodzie – ciągnął Pendergast. – Prawda, pani doktor?

– Nie, oczywiście, że nie mogą. Zasolenie... – I nagle kolejna myśl poraziła ją jak grom z jasnego nieba. – O Jezu. Ależ ze mnie idiotka.

Pendergast odwrócił się do niej, unosząc brwi.

– Zasolenie – powtórzyła.

– Obawiam się, że nie rozumiem – odparł Pendergast.

– Jedynym organizmem jednokomórkowym, na który podziałał ten skażony wirusem narkotyk, był *B. meresgerii* – ciągnęła powoli Margo. – Jest jedna zasadnicza różnica pomiędzy *B. meresgerii* a innymi organizmami, które poddaliśmy testom z użyciem naszego narkotyku. Płytki agarowe dla *B. meresgerii* były płytkami słonymi. *B. meresgerii* jest organizmem morskim. Żyje w środowisku zasolonym.

– No więc? – spytał D'Agosta.

– To powszechnie znany sposób na uaktywnienie wirusa. Wystarczy dodać do kultury bakteryjnej niewielką ilość roztworu soli. W zimnej słodkiej wodzie pitnej roślina jest niejako w stanie uśpienia. Kiedy jednak te nasiona trafią do wody słonej, wirus się uaktywni i narkotyk trafi do ekosystemu.

– Hudson – rzekł Pendergast – opływa cały Manhattan.

Margo upuściła roślinę i cofnęła się o krok.

– Widzieliśmy, co ta substancja potrafi zrobić z jednym tylko mikroskopijnym organizmem. Bóg jeden wie, co się stanie, kiedy te wszystkie rośliny trafią do oceanu. Cała ekosfera może ulec zagładzie. A układ łańcucha pokarmowego jest uzależniony właśnie od oceanów.

– Spokojnie – wtrącił D'Agosta. – Ocean jest naprawdę olbrzymi.

– To dzięki oceanowi mamy na lądzie liczne źródła wody pitnej i całą masę roślin. – wyjaśniła Margo. – Kto wie, jakie rośliny i zwierzęta poddadzą się wirusowi, by mógł się w nich mnożyć? A jeśli ta roślina zacznie rozprzestrzeniać się w oceanie lub jeśli jej nasiona w jakiś sposób znajdą się w ujściach rzek albo na terenach podmokłych, będzie po herbacie.

Pendergast wyszedł z wody i przewiesił sobie roślinę przez ramię. Bulwiaste, gruzłowate korzenie pobrudziły mu marynarkę, lecz on nie zwracał na to uwagi.

– Mamy trzy godziny – powiedział.



## Część trzecia

# CHATA CZASZEK

Obraz warstw społecznych nowojorskiego środowiska podziemnego porównać można do przekroju geologicznego skorupy ziemskiej lub łańcucha pokarmowego, ukazującego kolejne etapy zależności drapieżnik-ofiara. Najwyższą pozycję zajmują ci, którzy zamieszkują świat mroku pomiędzy obszarami stacji kolejowych a powierzchnią; którzy odwiedzają darmowe kuchnie, biura opieki społecznej lub za dnia nawet trudnią się pracą, by nocami powracać do tuneli i tam upijać się lub po prostu spać. Nieco niżej stoją dłużej bezdomni, alkoholicy lub osoby o skłonnościach patologicznych, od dłuższego czasu przebywające pod ziemią i bardziej preferujące ciemne, ciepłe, cuchnące tunele aniżeli skąpane w słońcu, równie brudne, lecz zwykle o wiele chłodniejsze ulice. Niższą od nich pozycję w hierarchii – dosłownie i w przenośni – zajmują nałogowi alkoholicy, narkomani oraz przestępcy, dla których tunele metra i kolei stanowią bezpieczną przystań lub dogodną kryjówkę. Na samym dole tego łańcucha jest miejsce dla tych zbłąkanych dusz, dla których normalne życie „na górze” stało się zbyt skomplikowane lub nie do zniesienia; ludzie ci unikają schronisk dla bezdomnych i uciekają do własnych mrocznych miejsc. Naturalnie, istnieją jeszcze inne, mniej zwarte i możliwe do sklasyfikowania grupy, wegetujące na pograniczu wymienionych powyżej warstw podziemnego społeczeństwa: drapieżcy, zatwardziali przestępcy, wizjonerzy, szaleńcy. Wśród bezdomnych obserwuje się gwałtowny wzrost liczby osobników należących do tej ostatniej grupy, a to ze względu na coraz częstsze w ostatnich latach likwidacje zakładów psychiatrycznych; szpitale dla obłąkanych zamykane są z mocy prawa, z powodu braku funduszy i dotacji państwowych na ich utrzymanie.

Wszystkie istoty ludzkie dążą do organizowania się w grupy społeczne; ma im to zapewnić bezpieczeństwo, możliwości obrony oraz zaspokajać potrzebę obcowania z innymi osobami.

Bezdomni, nawet najbardziej zatwardziały i wyalienowane ze społeczeństwa „krety”, nie są tu bynajmniej wyjątkiem. Ci, którzy wybrali życie w wiecznej ciemności, pod ziemią, będą tworzyć własne społeczności i wspólnoty. Oczywiście określenie „społeczność” jest błędne, gdy mówimy o ludziach zamieszkujących pod ziemią. Społeczność implikuje porządek i ład,

życie w tunelach zaś to z definicji chaos i entropia. Sojusze grupy i społeczności zawiązują się i rozpadają z płynnością rtęci. W miejscu, gdzie życie jest krótkie, częstokroć brutalne i zawsze brakuje normalnego światła, konwenanse i subtelności cywilizowanego społeczeństwa rozwiewane są niczym popioły pod wpływem silniejszego podmuchu wiatru.

L. Hayward, *Kasty i społeczności w podziemiach Manhattanu*  
(w przygotowaniu)

Hayward zajrzała w głąb opuszczonego tunelu metra, gdzie promienie latarek niczym światła reflektorów lotniczych przesuwają się po niskim sklepieniu i wilgotnych kamiennych ścianach. Tarcza z pleksi, nieporęczna i ciężka, wpijała się jej w ramię. Czuła obok siebie po prawej obecność odpowiedzialnego funkcjonariusza Carlina. Wydawało się, że znał swój fach. Wiedział, że pod ziemią największym zagrożeniem dla człowieka jest nieostrożność i zbyt duża pewność siebie. Krety chciały, by pozostawiono je w spokoju. A nic tak nie drażniło bezdomnego, jak widok oddziału prewencyjnego policji, szykującego się do wypędzenia go na powierzchnię.

Z przodu, gdzie znajdował się Miller, dochodził śmiech i gwar buńczucznych rozmów. Oddział Piąty przegnał już dwie grupy górnopokładowych bezdomnych, mieszkańców obrzeży, którzy na widok trzydziestu idących zwartym szykiem gliniarzy w popłochu umknęli na powierzchnię. Teraz Oddział Piąty zachowywał się, jakby należał do niego cały świat.

Hayward pokręciła głową. Spotkanie z naprawdę twardymi i nieustępliwymi kretami mieli jeszcze przed sobą. I to właśnie było dziwne.

W tunelach pod Columbus Circle powinni natrafić na więcej bezdomnych. Hayward dostrzegła kilka dogasających, niedawno porzuconych ognisk. To oznaczało, że krety zeszły do podziemi. Nic dziwnego, zważywszy na to, jak hałasowali.

Drużyna podążała dalej w głąb tunelu, przystając od czasu do czasu, podczas gdy Miller zlecał kolejnym zespołom przeszukanie napotkanych po drodze nisz i bocznych korytarzy. Hayward patrzyła, jak członkowie zespołów powracają zawiadującym krokiem, wyłaniając się z mroku z pustymi rękoma, rozkopując na wszystkie strony śmieci i trzymając tarcze przy boku. Powietrze przesycone było silną wonią amoniaku. Mimo iż dotarli dalej niż podczas którejkolwiek z wcześniejszych akcji „oczyszczania” tuneli, w oddziale wciąż panowała luźna, pogodna atmosfera i nikt się, jak dotąd, nie skarżył. Zaczekajcie, aż się trochę zmęczycie i zaczniecie szybciej oddychać, pomyślała.

Dotarli do samego końca tej odnogi tuneli i pojedynczo zeszli po metalowej drabince na niższy poziom. Najwyraźniej nikt nie wiedział, gdzie pod ziemią ukrywał się Mephisto ani jak daleko sięgał obszar zwany Szosą 666, będący głównym celem ich operacji. I, jak wszystko na to wskazywało, nikt się tym zbyt nie przejmował.

– Prędzej czy później wylezie ze swojej nory – stwierdził Miller. – Jeśli my go nie znajdziemy, zrobi to gaz.

Podążając za rozluźnioną, gwarzącą jak podczas wycieczki krajoznawczej grupą, Hayward odniosła niepokojące wrażenie, jakby zanurzała się w gorącej zatechłej wodzie. W na wpół ukończonym tunelu ich oczom ukazały się schody. Wzdłuż topornych, wyciętych w

skale ścian biegły stare ciekące rury doprowadzające wodę. W oddali przed nią śmiech przeszedł w szepty i ciche chrząknięcia.

– Uważaj, gdzie stawiasz stopy – rzekła Hayward, świecąc latarką w dół.

Podłoga tunelu usiana była mnóstwem wąskich szczelin.

– Nie chciałbym potknąć się o któryś z nich – odrzekł Carlin; jego wielka głowa w hełmie wydawała się jeszcze większa.

Odkopnął sporawy kamień do najbliższej szczeliny, nasłuchując, aż w końcu doszło go echo niezbyt głośnego grzechotu.

– Musiał spaść ze sto stóp w dół – mruknął policjant. – Wygląda na to, że mamy pod sobą sporą pustą przestrzeń.

– Spójrz na to – szepnęła Hayward, oświetlając promieniem latarki gnijące drewniane rury.

– Muszą mieć ze sto lat – rzekł Carlin. – Myślę, że...

Hayward uciszyła go, kładąc dłoń na jego ramieniu. W gęstym mroku tunelu rozległo się ciche postukiwanie.

Od strony czoła oddziału dobiegły zduszone szepty. Hayward nasłuchiwała, podczas gdy stukanie stało się coraz szybsze, i nagle zwolniło tempo, uderzając w sekretnym rytmie.

– Jest tam kto? – zawołał Miller.

Do cichego odgłosu dołączyło kolejne, znacznie głośniejsze dudnienie, po chwili rozległo się następne i wkrótce cały tunel zdawał się wypełniony piekielną kakofonią dźwięków.

– Co to jest, u licha? – rzucił Miller. Dobył broni i wymierzył w mrok, równocześnie unosząc w drugą rękę latarkę. – Policja! Wyłazić, ale już!

Jakby w odpowiedzi z ciemności dobiegło drwiące echo głuchego dudnienia, ale nikt nie pokwapił się, by wyjść i stanąć w kręgu światła.

– Jones i McMahon, przejdźcie sto jardów do przodu – warknął Miller. – Stanisław, Fredericks, ubezpieczajcie tyły.

Hayward patrzyła, jak jej koledzy znikają w mroku, by po kilku minutach wyłonić się z pustymi rękami.

– Nie mówcie mi, że nic tam nie ma! – ryknął Miller w odpowiedzi na wzruszenie ramion dwóch policjantów. – Przecież ktoś tam wali w ścianę jak w bęben.

Gdy tylko to powiedział, stukanie zaczęło powoli cichnąć.

Hayward postąpiła naprzód.

– To krety. Uderzają w rury...

Miller zmarszczył brwi.

– Hayward, zamknijcie się.

Policjantka wiedziała, że reszta oddziału słucha jej z żywym zainteresowaniem.

– Sir, to ich sposób porozumiewania się – powiedział spokojnie Carlin.

Miller się odwrócił, w mroku tunelu jego oblicze było chmurne i nieodgadnione.

– Wiedzą o nas – rzekła Hayward. – Sądzę, że ostrzegają sąsiednie społeczności. Przesyłają im informacje o nadchodzącym ataku.

– Jasne – mruknął Miller. – Jesteście telepatką, sierżancie?

– Zna pan alfabet Morse’a, poruczniku? – zripostowała Hayward.

Miller zamilkł, niepewny. I nagle wybuchnął gromkim śmiechem.

– Nasza mała Hayward uważa, że tubylcy są niespokojni. – Kilku mężczyzn zareagowało na te słowa nerwowym, urywanym śmiechem. Stukanie trwało nadal.

– I co teraz mówią? – spytał sarkastycznie Miller.

Hayward nasłuchiwała przez chwilę.

– Zmobilizowali się.

Nastała długa cisza, wreszcie Miller rzucił:

– Stek bzdur i nic więcej. – Odwrócił się do pozostałych. – Naprzód, i przyspieszcie kroku! Dość już zmitrężyliśmy czasu!

Gdy Hayward otworzyła usta, by zaprotestować, opodal rozległ się niezbyt głośny stukot. Jeden z mężczyzn na szpicy jęknął głośno, upuszczając tarczę. W stronę Hayward potoczył się spory kamień.

– Formować szyk! – warknął Miller. – Tarcze w górę!

Tuzin promieni latarek rozciął mrok, sondując nisze dokoła i stare kamienne sklepienie. Carlin podszedł do rannego policjanta.

– Co z tobą? – zapytał.

Glina nazwiskiem McMahon, oddychając ciężko, pokiwał głową.

– Skurwiel trafił mnie w brzuch. Na szczęście kamizelka złagodziła siłę uderzenia.

– Pokażcie się! – krzyknął Miller.

Z mroku wyprysnęły dwa kolejne kamienie, przecinając promienie światła jak spłoszone nietoperze. Jeden wylądował na podłodze tunelu, wzbijając chmurę kurzu, drugi przemknął rykoszetem obok twarzy Millera. Rozległ się huk, gdy porucznik nacisnął spust strzelby; gumowe śruciny trafiły w szorstkie sklepienie, rozpryskując się na wszystkie strony.

Hayward nasłuchiwała z przejęciem, gdyż dźwięk, dotąd bez przerwy rozbrzmiewający w tunelach, niespodziewanie ucichł. Policjanci niespokojnie rozglądali się wokół, przestępowali z nogi na nogę, wydawali się zdenerwowani. Operacji na taką skalę nie przeprowadzało się w ten sposób. Coś było nie tak i dopiero teraz zaczęli zdawać sobie z tego sprawę.

– Gdzie oni są, do cholery? – rzucił w pustkę Miller.

Hayward wzięła głęboki oddech i podeszła do niego.

– Poruczniku, ruszajmy. I to już!

Wtem w powietrzu zaroilo się od pocisków: butelek, kamieni, grud ziemi i najróżniejszych śmieci. Policjanci skulili się, unosząc tarcze, by osłonić twarze.

– Gównu! – ktoś krzyknął. – Te skurwiele obrzucają nas gównem!

– Zorganizujcie się wreszcie, chłopaki! – wrzasnął Miller. – Utwórzcie szereg!

Gdy Hayward odwróciła się, wypatrując Carlina, ktoś znajdujący się tuż obok wyszeptał z niedowierzaniem: – Boże wszechmogący! – Obróciła się na pięcie, by ujrzeć widok, od którego ugięły się pod nią kolana: z mrocznego tunelu za nimi wyłoniła się armia odzianych w łachmany bezdomnych, zamykając im drogę ucieczki, jak przy starannie zaplanowanej zasadzce. W słabym świetle latarek trudno było ich zliczyć, ale Hayward odniosła wrażenie, że musiały ich być setki. Wyli z wściekłości, wymachując w powietrzu kawałkami rur i metalowymi kątówkami.

– Wycofywać się! – ryknął Miller, celując do tłumu. – Wycofywać się i ognia! – Rozległa się kanonada wystrzałów, krótka, lecz niesamowicie głośna w ciasnym podziemnym tunelu. Hayward wydawało się, że słyszy odgłos kauczukowych kul trafiających w ciało; kilku bezdomnych idących w pierwszym szeregu upadło, jęcząc z bólu i rozdzierając łachmany w przekonaniu, że zostali postrzeleni.

– Śmierć psom! – ryknął wysoki, niesamowicie umorusany kret o zmierzwionych siwych włosach i błędnym wzroku, a tłum znów ruszył naprzód. Hayward zauważyła, że Miller wtopił się w gromadę zdezorientowanych policjantów, wyrzaskując sprzeczne rozkazy. Padły kolejne strzały, ale promienie latarek błędziły dziko po ścianach i sklepieniu, toteż o celowaniu nie było mowy. Krety wyły przeciągle, wydając przeraźliwy zawodzący zew, na dźwięk którego Hayward poczuła na plecach lodowate ciarki.

– Cholera – jęknęła z niedowierzaniem, patrząc, jak tłum przetacza się przez rozcinany światłem mrok i uderza na formację stróżów prawa.

– Z drugiej strony! – krzyknął któryś z policjantów. – Nadchodzą z drugiej strony!

Brzęknęło tłuczone szkło i zapadła niemal całkowita ciemność, zakłócona jedynie pojedynczymi błyskami kolejnych wystrzałów i rozdzierana dziwnymi wrzaskami oraz jękami. Hayward stała pośród tego chaosu jak wrośnięta w ziemię, zdezorientowana brakiem światła, próbując zebrać się w sobie.

Wtem poczuła lepką rękę na plecach, pomiędzy łopatkami. W jednej chwili paraliż ustąpił: upuściła strzelbę i przerzuciwszy napastnika przez bark, z całej siły wbiła w jego brzuch obutą stopę. Pomimo rozlegających się dokoła ochrypłych krzyków i huku strzelb bez trudu usłyszała jęk bólu pobitego przez siebie mężczyzny. Z ciemności wyłoniła się i rzuciła na nią jeszcze jedna postać. Hayward instynktownie przyjęła niską postawę obronną: ugięła kolana, oparła ciężar ciała na tylnej nodze, lewą rękę uniosła pionowo na wysokość twarzy. Wykonała zwód, uderzając lewą ręką, poczym powaliła atakującego kopnięciem w bok głowy.

– A niech mnie... – usłyszała głos zaskoczonego tym popisem Carlina, który stanął właśnie obok niej.

Wokół nich panowały iście egipskie ciemności. Jeżeli nie rozświetlą tuneli, będzie po nich. Hayward sięgnęła do pasa, odnalazła przypiętą przy nim flarę i szarpnęła za wyzwalacz.

Wnętrze korytarza zalała fala dziwnego pomarańczowego światła. Hayward ze zdumieniem rozejrzała się wokół, obserwując przebieg walk. Z obu stron napierały na nich hordy rozjuszonych bezdomnych. Tuż obok niej dał się słyszeć trzask i rozbłysło światło; przynajmniej Carlin miał dość rozsądku, by pójść za jej przykładem.

Hayward uniosła flarę nad głową, obiegając wzrokiem pole bitwy i szukając sposobu na zaprowadzenie porządku w oddziale.

Nigdzie nie było widać Millera. Podnosząc tarczę i sięgając po służbową pałkę, Hayward postąpiła kilka kroków do przodu. Dwa krety rzuciły się na nią, lecz kilka wprawnie wymierzonych ciosów odebrało im chęć do dalszej walki oraz przytomność. Carlin stał u jej boku, potężny i niewzruszony niczym skała, strzegąc flanki za pomocą własnej tarczy i pałki. Hayward wiedziała, że większość żyjących pod ziemią bezdomnych była niedożywiona i osłabiona zażywaniem narkotyków. Choć flary tymczasowo zahamowały natarcie bezdomnych, największym zagrożeniem z ich strony była miażdżąca przewaga liczebna.

Teraz zaczęli gromadzić się przy nich inni gliniarze, formując wzdłuż jednej ze ścian osłonę z tarcz. Hayward zauważyła, że grupa bezdomnych, która zaatakowała ich z tyłu, nie była aż tak liczna i połączyła się już z głównymi siłami kretów.

Opodal drużyna stróżów prawa również zdołała się zorganizować, spychając pokązną gromadę atakujących w głąb mrocznego tunelu i schodów, skąd bezdomni, umocniwszy się, obrzucali ich wyzwiskami i kamieniami. Jedynym sposobem na wydostanie się było obejście tłumu z flanki i zepchnięcie na kolejny poziom.

– Za mną! – krzyknęła. – Musimy wyprzeć ich w stronę wyjścia!

Poprowadziła policjantów w stronę prawej flanki głównych sił kretów, uchylając się przed ciskanymi w nią butelkami i kamieniami. Bezdomni zaczęli wycofywać się do tunelu. Hayward, strzelając nad głowami kretów, zdołała przełamać ich szyk. Grad pocisków stawał się coraz rzadszy, aż w końcu ustał zupełnie – bezdomnym zabrakło przedmiotów do rzucania. Wciąż wyli przeraźliwie i klęli na czym świat stoi, lecz ich morale wydawało się mocno nadszarpnięte i Hayward z prawdziwą ulgą patrzyła, jak tłum zaczyna bezładnie rejterować.

Przez chwilę odpoczywała, równocześnie rozglądając się dokoła, by rozeznąć się w sytuacji.

Dwaj gliniarze leżeli na brudnym podłożu tunelu, jeden z nich trzymał się za głowę, drugi był chyba nieprzytomny.

– Carlin! – zawołała, wskazując na rannych.

Wtem wśród wycofujących się bezdomnych nastąpiło gwałtowne poruszenie.

Hayward uniosła flarę wysoko, usiłując dostrzec, co było powodem tych niepokojów. Wśród sporej gromady kretów przy końcu korytarza dostrzegła sylwetkę Millera. Najwyraźniej uciekł on w głąb tunelu podczas pierwszego ataku i teraz znalazł się w potrzasku.

Hayward usłyszała trzask i ujrzała chmurę dymu, która w blasku flary miała obrzydliwy, zielonkawy kolor. Miller w panice musiał sięgnąć po gaz.

Chryste, tylko tego nam trzeba.

– Maski włoż! – wrzasnęła na całe gardło. Gaz sunął ku nim leniwie, niczym rozścielający się na ziemi trujący kobierzec. Hayward włożyła maskę, wprawnie zapinając zaopatrzone w rzepy paski.

Miller wyłonił się z oparów, w masce na twarzy wyglądał jak kosmita.

– Gazem ich! – rozległ się jego zduszony krzyk.

– Nie! – próbowała oponować Hayward. – Nie tutaj! Mamy dwóch rannych!

Postąpiła naprzód, gdy Miller, ignorując ją zupełnie, zerwał pojemnik z pasa stojącego tuż przy nim policjanta, wyciągnął zawleczkę i cisnął pojemnik w tłum. Hayward ze zgrozą patrzyła, jak inni policjanci, za przykładem przerażonego i zdesperowanego Millera, robią to samo, co ich dowódca. Dało się słyszeć kilka głuchych trzasków, a potem tłum bezdomnych rozpląnął się w oparach gęstniejących gazów. Hayward usłyszała, jak Miller rozkazuje innym policjantom, aby wrzucili pojemniki z gazem na niższy poziom przez otwory w podłożu.

– Wykurzymy skurwieli gazem – mówił Miller. – Jeśli tam na dole ukrywa się ich więcej, to powinno wystarczyć, aby zmusić ich do wyjścia na powierzchnię.

Carlin, pochylający się nad rannym policjantem, uniósł wzrok.

– Przestań, do cholery! – wrzasnął donośnie.

Oparry gazu unosiły się coraz wyżej, rozchodząc się po całym tunelu. Dokoła klęczący na ziemi funkcjonariusze wrzucali odbezpieczone granaty gazowe przez otwory w ziemi na niższy poziom.

Hayward widziała bezdomnych sunących schodami na górę, rozpaczliwie usiłujących umknąć przed kłębami zielonkawego gazu.

– Czas minął! – krzyknął Miller łamiącym się, piskliwym głosem. – Wynośmy się stąd! – Większość gliniarzy nie potrzebowała dalszej zachęty i po chwili znikła w chmurze gazu.

Hayward podeszła do Carlina, który wraz z McMahonem pochylał się nad rannym policjantem. Drugi z poszkodowanych siedział pod ścianą, trzymając się za brzuch i wymiotując. Gaz napływał wolno w ich stronę.

– Cofnijmy się trochę – rzekła Hayward. – Nie możemy włożyć maski temu tam, dopóki rzyga. – Przytomny gliniarz podniósł się chwiejnie na nogi, obiema dłońmi trzymał się za bolącą głowę.

Hayward odprowadziła go na bok, podczas gdy Carlin i McMahon przenieśli nieprzytomnego w bezpieczniejsze miejsce w głębi tunelu.

– Ocknij się, stary – rzekł Carlin, poklepując go po policzku i nachylając się, by obejrzeć paskudną ranę na jego czole. Skłębiona zielona ściana gazu łzawiącego zbliżała się nieuchronnie.

Powieki rannego zatrzepotały i uniosły się.



- W porządku, stary?
- Cholera – jęknął tamten, próbując usiąść.
- Co z twoją głową? – zapytał Carlin. – Pamiętasz, jak się nazywasz?
- Beal – odpowiedział zduszonym głosem.

Gaz był tuż-tuż. Carlin sięgnął i odpiął od pasa rannego maskę przeciwgazową.

- Muszę ci to nałożyć, jasne?

Mężczyzna nazwiskiem Beal lekko skinął głową. Carlin włożył mu maskę, mocno ściągając paski i przekręcił zawór. Następnie pomógł rannemu wstać.

- Nie mogę chodzić – powiedział przez maskę Beal.
- Wesprzyj się na nas – polecił Carlin. – Wyniesiemy cię stąd.

Otoczyły ich opary – wirujące kłęby dziwnej zielonkawej mgły rozświetlonej migotliwym blaskiem dogasających flar. Ruszyli wolniutko naprzód, nieomal niosąc na swoich barkach rannego kolegę, podczas gdy Hayward pomogła nałożyć maskę drugiemu z poszkodowanych.

- Chodźmy – rzekła krótko.

Szli ostrożnie pośród oparów gazu łzawiącego. Tunel opustoszał, bezdomni umknęli przed chmurą gazu, podobnie jak Miller i jego ludzie. Hayward próbowała skorzystać z krótkofalówki, lecz z urządzenia dochodziły tylko ciche trzaski i szum. Z oddali dobiegały przekleństwa i kasłanie, jakby z dolnych tuneli gaz mimo wszystko zdołał wypłoszyć gromadki ukrywających się tam kretów. Wreszcie dotarli do schodów. Przepływ powietrza spowodował częściowe rozrzedzenie chmury gazów, kierując opary w głąb tuneli i na wyższy poziom, wypełniając klatkę schodową, którą mieli wydostać się na zewnątrz. Hayward wiedziała, że gaz skutecznie wygna z tuneli resztę bezdomnych.

I za nic nie chciała znaleźć się w pobliżu, gdy wyjdą oni na powierzchnię.

Kiedy dotarli do schodów, Beal nagle zgął się w pół, wymiotując do maski. Hayward błyskawicznie odstaąpiła od drugiego rannego i zerwała mu maskę z twarzy. Funkcjonariusz pochylił się do przodu i niemal natychmiast zachłysnął się gazem. Jego kończyny zeszytywniały. Zaczął się szamotać, wrywając się z ich uścisku i upadł na ziemię, wpijając w twarz palce obu dłoni.

- Musimy iść dalej, i to już! – zawołał McMahan.
  - Chcesz, to idź – ucięła Hayward. – Nie zostawię go tutaj.
- McMahan stał niezdecydowany. Carlin łypnął nań spode łba.
- Wreszcie McMahan westchnął i mruknął zrezygnowany.

- Dobra, jestem z wami.

Z pomocą McMahona Hayward podniosła kaszlącego i z trudem łapiącego powietrze Beala na nogi. Przysunęła przesłoniętą maską twarz do ucha mężczyzny.

– Albo idziesz dalej – rzuciła półgłosem – albo zginiemy tu wszyscy. Wybór należy do ciebie, kolego.

W policyjnym centrum kryzysowym trwały gorączkowe przygotowania do operacji zalania tuneli. Gdy Margo weszła do środka, za Pendergastem i D'Agostą, zauważyła kilka wózków, na których wciąż jeszcze spoczywał okazały sprzęt łącznościowy. Policjanci w mundurach nachylali się nad stołami, których blaty zaścienione były mnóstwem map i planów. Po podłodze jak czarne węże wiły się grube kable połączone taśmą izolacyjną.

Horlocker i Waxie siedzieli za długim biurkiem, odwróceny plecami do urządzeń nadawczo-odbiorczych. Już od progu Margo dostrzegła, że ich twarze lśniły od potu. Opodal przy komputerze siedział niski wąsaty mężczyzna.

– Co to ma być? – zapytał Horlocker, gdy weszli. – Oprawadzacie tę panią?

– Sir – zaczął D'Agosta – nie wolno panu opróżnić Rezerwuaru.

Horlocker przekrzywił głowę.

– D'Agosta, nie mam teraz dla ciebie czasu. Jestem bardzo zajęty, a na domiar złego zwała mi się na łeb ta Wisher ze swoją kretyńską manifestacją. Na razie muszę nadzorować prowadzoną obecnie w tunelach akcję usuwania bezdomnych. Moi ludzie są rozproszeni po całej okolicy i jak ja mam pracować w tej sytuacji? Napisz do mnie list, dobra? – Przerwał. – Czemu tak wyglądacie? Kapaliście się w ubraniach?

– Rezerwuar – rzekł Pendergast, postępując naprzód – jest pełen zabójczych lili. To ta sama roślina, którą żywił się Mbwun. Tę właśnie roślinę hodował Kawakita, by otrzymywać z niej narkotyki. I ta roślina dojrzała do rozsiania nowych nasion.

Zdjął z ramienia upačkaną błotem roślinę i z głošnym plašnięciem cisnął ją na blat.

– Oto ona. Cała naszpikowana szklivem. Teraz wiemy juź, gdzie ją hodowali, aby stale mieć pod ręką spory zapas.

– Co jest, do cholery? – warknął Horlocker. – Zabierz to šwiństwo z mojego biurka.

Waxie wtrącił się do rozmowy.

– Posłuchaj, D'Agosta, dopiero co przekonałš nas, że te twoje małe zielone potworki żyjące w tunelach należałoby potopić jak szczury. Opracowaliśmy stosowny plan, wcielilišmy go w życie, a ty teraz zmieniasz zdanie? Nie ma mowy.

D'Agosta z niesmakiem spojrział na lśniące od potu oblicze kapitana.

– Ty żałosny gnoju. Zalanie tuneli wodą z Rezerwuaru to był przecieź twój pomysł.

– Ejże, poruczniku, licz się ze...

Pendergast uniósł obie ręce w górę.

– Panowie, proszę... – Odwrócił się do Horlockera. – Na wzajemne obrzucanie się błotem i szukanie winnych będzie czas później. Nasz obecny problem polega na tym, że gdy tylko te nasiona trafią do słonej wody, uaktywni się reowirus, który jest nošnikiem narkotyku. – Jego wargi zadrżały leciutko. – Wyniki eksperymentów doktor Green wykazały, że ów narkotyk wpływa na wiele gatunków organizmów tworzących kolejne szczeble łańcucha

pokarmowego, począwszy od jednokomórkowców, a skończywszy na ludziach. Czy chciałby pan być odpowiedzialny za wywołanie katastrofy ekologicznej na skalę światową?

– To tylko stek bzdur, nic wię... – zaczął z oburzeniem Waxie.

Horlocker położył dłoń na jego przedramieniu, po czym przeniósł wzrok na okazałą roślinę płamiącą papiery rozłożone na blacie biurka.

– Nie wygląda groźnie – mruknął.

– Ale jest zabójcza. Nie mamy co do tego najmniejszych wątpliwości – rzekła Margo. – To *Liliceae mbwunensis*. Zawiera w sobie genetycznie zmodyfikowaną odmianę wirusa Mbwuna.

Horlocker przeniósł wzrok z lilii na Margo i z powrotem na roślinę.

– Zdaję sobie sprawę, że jest pan zdezorientowany – powiedział spokojnie Pendergast. – Od czasu dzisiejszego porannego spotkania sporo się wydarzyło. Proszę jedynie o dwadzieścia cztery godziny zwłoki. Obecna tu doktor Green przeprowadzi niezbędne testy. Otrzyma pan dowód, że ta roślina jest cała nasączona narkotykiem. Dowiedziemy przy tym, że zetknięcie ze słoną wodą spowoduje uwolnienie reowirusa do ekosystemu. Ja wiem, że to prawda. Gdyby jednak okazało się, że się pomyliliśmy, zrezygnuję z udziału w śledztwie, a pan będzie mógł opróżnić Rezerwuar i zalać tunele, jak to było zaplanowane.

– Trzeba było odejść już pierwszego dnia – rzucił drwiąco Waxie. – Jest pan agentem FBI. Ta sprawa nie podlega pańskiej jurysdykcji.

– Teraz, gdy już wiemy, że ta sprawa wiąże się z produkcją i dystrybucją narkotyków, mogę raz-dwa postarać się, aby mi ją przydzielono – odparował Pendergast. – Proszę mi wierzyć, że nie zajęłoby mi to wiele czasu. Czy chce się pan przekonać, że nie jestem gołosłowny?

– Proszę poczekać. – Horlocker spiorunował Waxiego wzrokiem. – To nie będzie konieczne. Pomyślmy o rozwiązaniu tej kłopotliwej sytuacji. Czemu nie mielibyśmy wpuścić do zbiornika okazałej dawki środka chwastobójczego?

– Jeżeli o mnie chodzi, nie potrafię sobie wyobrazić herbicydu, który skutecznie uśmierci wszystkie rośliny w Rezerwuarze, nie czyniąc zarazem szkody milionom mieszkańców Manhattanu, którzy przecież będą pić tę wodę – odparł Pendergast. – Co pani o tym sądzi, doktor Green?

– W grę wchodzi jedynie tyroksyna – powiedziała z zamyśleniem. – Ale potrzeba by dwudziestu czterech lub nawet czterdziestu ośmiu godzin, aby spełniła swoje zadanie. Ten herbicyd działa bardzo wolno. – Nagle zmarszczyła czoło. Tyroksyna. To słowo nie było jej obce, zetknęła się z nim, i to całkiem niedawno. Ale gdzie i w jakich okolicznościach?

I wtedy sobie przypomniała: pojawiło się ono na jednej ze stron nadpalonego notatnika Kawakity.

– Cóż, chyba lepiej będzie go użyć, tak na wszelki wypadek – Horlocker wyrócił oczami. – Będę musiał zawiadomić EPA. Jezu, wszystko bierze w łeb. – Margo widziała, jak

spojrzał na wystraszonego mężczyznę siedzącego przy komputerze opodal i udającego, że z przejęciem wpatruje się w ekran.

– Stan!

Mężczyzna poderwał się nerwowo.

– Stan, wychodzi na to, że musisz przerwać operację opróżniania zbiornika – rzekł Horlocker z głośnym westchnieniem. – A przynajmniej trzeba ją odłożyć do czasu, gdy uporamy się z całym tym szajsem. Waxie, połącz się z Mastersem. Każ mu kontynuować oczyszczanie tuneli, ale niech wie, że będziemy musieli trzymać bezdomnych z dala od podziemi przez kolejne dwadzieścia cztery godziny.

Margo zauważyła, że mężczyzna pobladł jak ściana.

Horlocker odwrócił się do inżyniera.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Duffy?

– Nie mogę tego zrobić, sir – odrzekł niemal szeptem mężczyzna.

Zapadła cisza.

– Co takiego? – rzucił Pendergast.

Ujrzawszy wyraz twarzy Pendergasta, Margo poczuła, że w żołądku zalega jej lodowata gąbka strachu. Sądziła, że ich jedynym problemem będzie przekonanie Horlockera.

– Co to niby ma znaczyć? – ryknął Horlocker. – Po prostu wpisz odpowiednie polecenie, nakazujące komputerowi przerwanie operacji.

– To nie działa w ten sposób – odrzekł Duffy. – Jak już wyjaśniłem tu obecnemu kapitanowi Waxiemu, od chwili wprowadzenia sekwencji operacyjnej wszystkim zajmuje się siła ciężkości. Przez system przepuszczane są niezliczone tony wody. Hydraulika działa automatycznie i...

Horlocker walnął pięścią w stół.

– O czym ty mówisz, u diabła?

– Nie jestem w stanie powstrzymać tego za pomocą komputera – odpowiedział zduszonym głosem.

– On mi nic takiego nie mówił – zaproponował Waxie. – Przysięgam...

Horlocker uciszył go morderczym spojrzeniem. Następnie odwrócił się do inżyniera i już nieco cichszym głosem powiedział:

– Nie mów mi, czego nie możesz zrobić. Powiedz raczej, co możesz.

– No cóż... – zaczął z wahaniem Duffy. – Trzeba by zejść pod Główny Bocznik i zakręcić przepusty ręcznie. Nie ukrywam jednak, że będzie to niebezpieczna operacja. Wątpię, aby te zawory były choć raz używane, odkąd zautomatyzowano cały system. Czyli mniej więcej od dwunastu lat. I może pan zapomnieć o odcięciu dopływu wody do Rezerwuaru. Ośmiostopniowej średnicy akwedukt sprowadza do nas z gór miliony stóp sześciennych wody. Nawet jeśli uda się panu pozamykać te zawory ręcznie, i tak nie zdoła pan

powstrzymać wody. Gdy spłynie ona z północy do zbiornika, poziom wody w Rezerwuarze podniesie się tak, że wystąpi ona z brzegów. Central Park zostanie zalany i...

– Nie obchodzi mnie, czy w tym miejscu pojawi się jezioro Eda Kocha. Weź Waxiego i tylu ludzi, ilu potrzebujesz, i bierz się do roboty.

– Ależ, szefie – wykrztusił Waxie z oczami rozszerzonymi przerażeniem. – Chyba byłoby lepiej, gdyby... – Nie dokończył.

Drobne spocone dłonie Duffy’ego zaciskały się i rozwierały nerwowo.

– Zejście tam będzie bardzo trudne – wybełkotał. – To miejsce znajduje się bezpośrednio pod Rezerwuarem, te stare, nie używane od lat zawory, ciemność, mnóstwo lejącej się wody... Komuś może się stać krzywda...

– Duffy? – przerwał mu Horlocker. – Zjeżdżaj stąd w podskokach i pozakręcaj te zawory. Czy to rozumiałe?

– Tak – odparł Duffy, bledszy niż kiedykolwiek.

Horlocker odwrócił się do Waxiego.

– Ty to zapoczątkowałeś. I ty to zakończysz. Jakies pytania?

– Tak, sir – odparł Waxie.

– Co?

– To znaczy nie, sir.

Znow zapadła cisza. Nikt się nie poruszył.

– Zabierajcie dupy w troki i jazda mi stąd! – ryknął Horlocker.

Waxie podniósł się niezdarnie i powoli, z wahaniem wyszedł za Duffym z pomieszczenia. Margo ostentacyjnie zeszła mu z drogi.

## 48

Wejście do Whine Cellar, jednego z kilkunastu modnych, nowych klubów, które od ubiegłego roku zaczęły mnożyć się na Manhattanie jak grzyby po deszczu, wydawało się niewiele większe od przeciętnego wejścia w stylu art déco i umieszczone zostało jakby przez przypadek w lewym dolnym rogu fasady Hampshire House.

Ze swego miejsca przy drzwiach Smithback widział morze głów rozciągające się jak okiem sięgnąć na wschód i na zachód wzdłuż alei, a pośród nich w równych odstępach dostrzec można było stare drzewka ginkgo, zasadzone przy wejściu do Central Parku. Wiele głów pochylonych było w wyrazie głębokiej, milczącej zadumy. Inni młodzi ludzie, głównie w białych bawełnianych koszulach z poluzowanymi krawatami, pili piwo z papierowych torebek i witali się, przybijając nawzajem piątki. W drugim rzędzie dostrzegł dziewczynę trzymającą plakat z napisem PAMELO, NIGDY NIE ZAPOMNIMY. Po jej policzku spływała łza. Smithback zauważył, że w drugim ręku trzymała gazetę z jego najnowszym

artykułem. Gdy pierwsze rzędy pograżyły się w całkowitym milczeniu, z oddali dobiegły Smithbacka okrzyki i pohukiwania maszerujących, mieszające się ze wzmocnionymi przez megafony głosami policjantów, zawodzeniem syren i dźwiękiem klaksonów.

Obok niego pani Wisher postawiła świecę przy wielkim portrecie swojej córki. Dłoń jej nawet nie drgnęła, ale płomyk zatańczył szaleńczo pod wpływem podmuchu nocnej bryzy.

Zrobiło się zupełnie cicho, gdy kobieta uklękła, pograżając się w cichej modlitwie. Po chwili wstała i podeszła do ogromnego kwietnika, robiąc miejsce dla swoich przyjaciół, aby mogli podejść i również postawić świece przy portrecie. Pani Wisher po raz ostatni spojrzała na zdjęcie, otoczone teraz migoczącym wieńcem świec. Przez chwilę wyglądało, jakby się zachwiała, a Smithback szybko chwycił ją za rękę. Spojrzała na niego i zamrugała ze zdziwieniem, jak gdyby nagle zapomniała o celu, który jej przyświecał. Naraz jej oczy odzyskały dawny blask, a uścisk dłoni – siłę; zacisnęła palce, niemal sprawiając mu ból, aż w końcu puściła i odwróciła się do tłumu.

– Chcę wyrazić swój smutek – oznajmiła ze spokojem – i podzielić się nim ze wszystkimi matkami, które utraciły dzieci za sprawą zbrodni, morderstw trawiących to miasto i cały ten kraj niczym śmiertelna choroba. To wszystko.

Grupka kamerzystów zdołała precyzyjnie się na czoło tłumu, lecz pani Wisher uniosła tylko rękę w zuchwałym geście.

– Do Central Park West! – zakrzyknęła. – I na Wielki Trawnik!

Smithback trzymał się blisko niej, gdy tłum skierował się na zachód, jakby napędzany niewidzialnym wewnętrznym silnikiem. Pomimo alkoholu, od którego nie stronili młodzi manifestanci, zdawało się, że wszystko jest pod kontrolą. Zupełnie jakby wszyscy ci ludzie mieli świadomość, że uczestniczą w niezwykłym wydarzeniu. Minęli Siódmą Aleję, nieprzerwany sznur czerwonych świateł stopu nieruchomych aut zdawał się nie mieć końca. Policyjne gwizdki i megafony rozbrzmiewały prawie bez przerwy, stale słysząc je było w tle. Smithback został przez moment w tyle; chciał sprawdzić plan dalszego przebiegu marszu i przez przypadek nadepnął na ręcznie szyte skórzane buty wicehrabiego Adaira. Prawie w pół do dziesiątej. Jak na razie, obyło się bez opóźnień. Jeszcze trzy postoje, wszystkie na obszarze Central Park West. Potem skręcą i wejdą do Parku na czuwanie o północy.

Gdy okrążali Columbus Circle, Smithback powiódł wzrokiem wzdłuż Broadwayu, szerokiej wstęgi szarości pomiędzy dwoma rzędami stojących jeden przy drugim budynków.

Policja szybko tu dotarła; dziennikarz zauważył, że ulica została zagrodzona drewnianymi kozłami i oczyszczona aż do Times Square. Wyludniona, dziwnie wyglądała z błyszczącymi chodnikami skapanymi w świetle niezliczonych latarni. Na drugim jej końcu stało kilka wozów patrolowych, przy których krzątali się policjanci. Reszta stróżów prawa była zapewne jeszcze w trakcie mobilizacji, usiłując zapanować nad sytuacją na ulicach i zapobiec rozszerzeniu się demonstracji. Może dlatego, jak dotąd, tak niewielu z nich pojawiło się w okolicy. Pokręcił głową, dziwiąc się, z jaką łatwością drobna kobieta zablokowała niemal całe

śródmieście. Po tym pokazie siły nie będą już jej ignorować. Ani jej, ani jego artykułów. Bądź co bądź, zamieścił dokładny plan i przebieg demonstracji. To pierwszy tak wnikliwy i szczegółowy raport dotyczący dzisiejszego wydarzenia, rzecz jasna autoryzowany przez panią Wisher, lecz nie pozbawiony jego własnego, dość ciętego komentarza.

Pozostawały jeszcze profile osobowe, wywiady i wypełniacze – wszystko to zostanie włączone do jego książki. Oczyma wyobraźni widział już zyski rzędu pół miliona dolarów z edycji w twardej oprawie, dwa razy wyższe tantiemy za sprzedane egzemplarze w wydaniu broszurowym, a prawa do przekładów na inne języki przyniosą mu co najmniej...

Z zamyślenia wyrwał go dziwny hałas. Łoskot ucichł, ale zaraz rozległ się powtórnie; była to bardziej wibracja aniżeli dźwięk. Hałas wokół niego przycichł na chwilę, najwyraźniej inni także to usłyszeli.

Nagle dwie przecznice dalej, na Broadwayu, z asfaltu wystrzeliła pokrywa studzienki kanalizacyjnej i z głośnym brzękiem spadła na ziemię. Z otworu studzienki wzbija się w górę chmura czegoś, co wyglądało jak para. Po chwili z kanału wypełził niewiarygodnie utyflany mężczyzna, kaszląc i kichając w świetle latarni ulicznej; był chudy jak patyk, a brudne łachmany wisiały na nim jak na strachu na wróble. Smithbackowi przez chwilę wydawało się, że człowiekiem tym był Strzelec Pokładowy, ów posepny chudzielec, który zaprowadził go do Mephista. Jednakże zaraz po nim z kanału wyczołgała się inna postać, z dużą raną w skroni, a po niej kolejna, i jeszcze jedna.

Ktoś stojący obok Smithbacka gwałtownie zaczerpnął tchu. Dziennikarz odwrócił się i stwierdził, że pani Wisher zachwiała się na nogach, spoglądając w stronę mężczyzn o dzikim i plugawym wyglądzie. Szybko znalazł się przy niej.

– Co to ma być? – zapytała niemal szeptem.

Wtem nieco bliżej maszerujących podniosła się kolejna pokrywa i z kanału zaczęły wydostawać się kaszłące, zdezorientowane postacie w łachmanach. Smithback patrzył z niedowierzaniem na gromadę obdartusów, niezdolny określić wieku ani nawet płci osób o brudnych, zmierzwionych włosach i twarzach umorusanych ziemią i brudem. Niektórzy trzymali w rękach kawałki rur lub prętów zbrojeniowych, inni policyjne pałki i kije baseballowe.

Tłum demonstrantów zbliżający się do Broadwayu przystanął, obserwując ten niecodzienny spektakl. Smithback usłyszał cichy szmer rozchodzący się wśród tłumu, pełne niepokoju komentarze starszych, elegancko ubranych ludzi oraz ironiczne uwagi i pohukiwania młodych maklerów i bankierów.

Ze stacji pod Columbus Circle wypłynęła chmura zielonkawej mgły, wśród oparów pojawiły się kolejne grupki bezdomnych, wspinających się opętańczo po schodach. W miarę jak z kanałów i z metra wychodzili następni, na ulicy zaczęła tworzyć się armia łachmaniarzy, a zaskoczenie malujące się na ich twarzach rychło zastępowały gniew i narastająca frustracja.

Jeden z obdartusów wysunął się naprzód, lustrując wzrokiem czoło kolumny demonstrantów. Nagle z jego ust dobył się nieartykułowany wrzask wściekłości i zawodu, a ręka, w której trzymał długi kawałek pręta zbrojeniowego, automatycznie uniosła się w górę.

Z gardeł bezdomnych popłynął gromki krzyk, uzbrojone dłonie się podniosły. Smithback widział, że w każdej z zaciśniętych rąk tkwił jakiś przedmiot, kamień, kawałek betonu, żelazna rurka. Wielu bezdomnych miało na ciele sińce i zadrapania. Wyglądało, jakby szykowali się do walki lub też właśnie stoczyli zażartą bitwę.

Co to ma znaczyć?, zastanawiał się Smithback. Skąd oni wszyscy się wzięli? Przez chwilę sądził, że być może ma do czynienia z napadem rabunkowym na olbrzymią skalę. I nagle przypomniał sobie, co mu powiedział Mephisto, gdy rozmawiali w ciemnościach: znajdziemy inne sposoby, aby nas usłyszano. Byle nie teraz, pomyślał. Nie sposób wyobrazić sobie gorszej okazji, aby obwieścić światu o swoim istnieniu.

Kłęby dymu napływały coraz bliżej i kilka osób na czele pochodu zaczęło nagle dławić się i kasłać. Smithback poczuł pieczenie oczu i niemal natychmiast po policzkach pociekły mu łzy. Dziennikarz zrozumiał, że to, co wziął za parę, było w rzeczywistości kłębamii gazu łzawiącego. Nieco dalej, w głębi opustoszałego Broadwayu, Smithback spostrzegł niedużą grupkę policjantów w brudnych, podartych mundurach, wyłaniającą się z wejścia do metra i powłóczącą nogami, zмирzającą w stronę stojących w oddali wozów patrolowych. Niech to szlag, tam na dole coś się dzieje, pomyślał.

– Gdzie Mephisto? – wrzasnął jeden z bezdomnych.

Odpowiedział mu inny głos:

– Słyszałem, że psy go dorwały!

Tłum był coraz bardziej wzburzony.

– Pieprzone gliny! – wrzasnął ktoś. – Założę się, że zdrowo mu dołożyli!

– Co tu robią te popaprańce? – odezwał się za plecami Smithbacka jeden z młodych wilków.

– Nie wiem – rozległo się w odpowiedzi. – Jest za późno, aby którykolwiek z nich mógł zrealizować czek z opieki społecznej. – Dał się słyszeć głośny śmiech i pohukiwanie, świadczące o tym, że komentarz ten przypadł młodzieży do gustu.

– Mephisto! – powtarzali raz po raz bezdomni. – Gdzie jest Mephisto?

– Te skurwiele pewnie go zabiły!

Wśród demonstrantów zgromadzonych wzdłuż ulicy przy parku zapanowało nagle poruszenie. Smithback odwrócił się, by ujrzeć, jak wielka kratownica w chodniku unosi się i z podziemi wyłaniają się kolejni bezdomni.

– Zamordowali go! – wyła gromada rozjuszonych łachmaniarzy. – Te sukinsyny go zamordowały!

Mężczyzna, który wystąpił naprzód, zakręcił w powietrzu młynka trzymanym w dłoni prętem.



– Nie ujdzie im to płazem! Nie tym razem! Już nie! – Uniósł obie ręce w górę. – Te skurwiele chciały nas zagazować! – zawołał.

W odpowiedzi tłum oberwańców wydał dziki okrzyk.

– Zniszczyli nasze domy!

Tłum znów wrzasnął przeciągle.

– Teraz się im zrewanżujemy! – Cisnął stalowym prętem w pobliską szklaną fasadę filii jednego z banków. Rozległ się głośny brzęk, gdy szyba rozprysła się w kawałki, a pręt z trzaskiem wylądował w holu. Alarm zawył jak oszalały, lecz po kilku chwilach dźwięk ten utonął w ogólnym hałasie.

Tłum bezdomnych z przeraźliwym wrzaskiem obrzucił stojące wzdłuż Broadwayu budynki gradem pocisków. Smithback, wodząc wzrokiem w tę i z powrotem, dostrzegł kolejne grupki bezdomnych wychodzące z kanałów, wejść do metra i szybów wentylacyjnych, wypełniające Broadway i Central Park West niepohamowaną ślepą furią i nienawiścią. Pośród ich krzyków dziennikarz usłyszał syreny i klaksony nadjeżdżających wozów interwencyjnych. Ciemny chodnik rozbłysnął niezliczonymi odłamkami potłuczonych szyb.

Smithback poderwał się nerwowo, usłyszawszy wzmocniony mikrofonem głos pani Wisher. Kobieta zwróciła się do tłumy demonstrantów.

– Czy widzicie? – zakrzyknęła, a jej głos odbił się gromkim echem wśród wysokich budynków i w głębi cichego, mrocznego parku opodal. – Ci ludzie chcą zniszczyć to wszystko, co staramy się ochronić!

Obok niej rozległy się gniewne okrzyki. Smithback rozejrzał się wokoło. Dostrzegł spore grupki starszych demonstrantów, rozmawiających między sobą, wskazujących w stronę Piątej Alei i Central Park West i pospiesznie rejterujących w obronie przed zbliżającą się konfrontacją. Inni, młodszy i bardziej zapalczywi pokrzykiwali gniewnie, wysuwając się na czoło kolumny.

Dokoła zaroilo się od kamer, niektóre skierowały się na panią Wisher, inne na tłum bezdomnych, sunących teraz wzdłuż ulicy i zbierających „amunicję” z koszy i pojemników na śmieci. Wszyscy krzyczeli gniewnie i wyli jak zwierzęta.

Pani Wisher powiodła wzrokiem poprzez morze demonstrantów, wyciągając ręce przed siebie i zaraz je cofając, jakby gestem tym przyzywała wszystkich uczestników marszu pod swój sztandar.

– Spójrzcie, co się dzieje. Niszczą i demolują! Czy pozwolimy na to, zwłaszcza tej nocy? – Zlustrowała tłum na poły pytającym, na poły błagalnym spojrzeniem, podczas gdy pełna napięcia cisza przedłużała się. Pierwsza linia bezdomnych zaprzestała ataków, zaskoczona donośnym, wszechobecnym dźwiękiem jej głosu, rozbrzmiewającym z tuzina głośników.

– Nie ma mowy! – rozległ się bełkotliwy, niewyraźny głos.

Smithback z niepokojem i wyczekiwaniem patrzył, jak pani Wisher bardzo wolno unosi rękę nad głową. Następnie z rozmysłem wymierzyła wymanikiowany palec w kłębiącą się cizbę bezdomnych.

– Ci ludzie są gotowi zniszczyć nasze miasto! – Choć mówiła spokojnym głosem, Smithback wychwycił w nim wyraźną nutę hysterii.

– Spójrzcie na tych oberwańców! – ryknął młody mężczyzna, przeciskając się przez tłum demonstrantów na czoło pochodu. Hałaśliwa grupka zaczęła tworzyć za jego plecami kordon, oddalony zaledwie o dziesięć stóp od pierwszej linii milczących teraz bezdomnych.

– Znajdź sobie pracę, pasożycie! – wrzasnął ich przywódca prosto w twarz.

W tłumie bezdomnych zapanowało grobowe, złowróźbne milczenie.

– Myślisz, że urabiam sobie ręce po łokcie i płacę podatki po to, aby tacy jak ty mogli na mnie zerować?

Tłum zaczął szemrać.

– Dlaczego nie zrobicie czegoś dla swego kraju, zamiast z dnia na dzień żyć na jego koszt? – ryknął mężczyzna, znów zbliżając się o krok do przywódcy bezdomnych i spluwając mu pod nogi. – Bezdomne łajzy.

Mężczyzna w łachmanach zrobił krok ku niemu, machając kikutem ręki.

– Spójrz, co uczyniłem dla mego kraju! – zawołał łamiącym się głosem. – Oddałem mu wszystko. – Kikut drgał nerwowo, gdy mężczyzna z twarzą wykrzywioną grymasem nienawiści odwrócił się do młodzieńca. – Słyszałeś kiedykolwiek o Chu Lai? – Krety ruszyły naprzód, w ich szeregach rozległo się gniewne szemranie.

Smithback spojrział na panią Wisher. Jej twarz wciąż wyglądała jak zimna, obojętna maska, gdy beznamiętnie patrzyła na bezdomnych.

Z rosnącym niedowierzaniem dziennikarz uświadomił sobie, że faktycznie uważała tych ludzi za swoich wrogów.

– Pocałuj mnie w dupę, wszarzu! – rozległ się czyjś przepity głos.

– Idźcie dołożyć liberałom! – zawołał dobrze zbudowany młodzieniec, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

– Oni zabili mojego brata! – rzucił gniewnie jeden z kretów, wysoki, chudy mężczyzna. – Zginął za ojczyznę na wzgórzu Phon Mak drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku.

Zbliżył się, unosząc w stronę osiłka wyprostowany środkowy palec.

– Możesz sobie wsadzić tę gadkę o ojczyźnie tam, gdzie światło nie dochodzi, pojebie.

– Szkoda, że nie rozwalili także i ciebie, brudasie! – odkrzyknął podпиты mężczyzna. – Byłoby jednego pasożyta mniej!

Z tłumu bezdomnych szerokim łukiem wyleciała butelka, trafiając osiłka w głowę. Młodzieniec zachwiał się, nogi ugięły się pod nim i omal nie upadł, unosząc obie dłonie do czoła, z którego buchnęła krew.

To była kropla, która przepęłniła czarę. Wydając nieartykułowany ryk, młodzi ludzie natarli na bezdomnych.

Smithback rozejrzył się dziko na wszystkie strony. Starsi demonstranci zniknęli, pozostawiając na polu walki młodych i podchmielonych. Dziennikarz omal nie został porwany z prądem, gdy fala młodszych uczestników marszu z gniewnymi okrzykami ruszyła na tłum bezdomnych.

Obrócił się na pięcie zdezorientowany, wypatrując w przyplýwie paniki pani Wisher oraz jej świty, lecz oni również zniknęli.

Walczył, stawiając opór wciągającej go fali. Pośród krzyków tłumu usłyszał przyprowadzające o mdłości odgłosy drewna uderzającego o kość i pięści trafiającej w ciało. Z wrzaskami zaczęły się mieszać okrzyki gniewu i bólu. Nagle ktoś walnął go czymś po plecach, dziennikarz upadł na kolana, odruchowo zasłaniając głowę rękami. Kątem oka dostrzegł swój dyktafon przesuwający się po chodniku, gdy ktoś odkopnął go w bok, a po chwili urządzenie zostało zdeptane przez walczących. Smithback próbował się podnieść, ale zaraz znowu się schylił, gdy w jego kierunku rzucono kawałkiem betonu.

To zdumiewające, jak szybko na mroczniejszych ulicach zapanował chaos.

Można było tylko się domyślać, kto lub co zmusiło bezdomnych do wyjścia na powierzchnię; Smithback wiedział tylko, że każda ze stron postrzegąta tę drugą jako uosobienie wszelkiego zła. Mentalność tłumu wzięła górę nad wszystkimi.

Podniósł się na klęczki i rozejrzył nerwowo dokoła, chwiejąc się, gdy ze wszystkich niemal stron był wciąż popychany i potracany. Marsz został przerwany. Mimo to wciąż miał temat na bombowy artykuł, zwłaszcza gdyby bójka przerodziła się w zamieszki na znacznie większą skalę. Musiał tylko oddalić się od tego tłumu, znaleźć się w jakimś wyżej położonym punkcie, skąd mógłby chłodnym okiem obserwować przebieg wydarzeń.

Spojrzał ku północy, w kierunku parku. Ponad morzem unoszących się pięści i kijów dostrzegł spiżowy posąg Szekspira obserwującego beznamiętnie rozgrywające się przed nim dramatyczne wypadki.

Pochylony, nieomal zgięty wpół, ruszył w jego stronę. W pewnej chwili jakiś dzikooki bezdomny rzucił się na niego z przeraźliwym wrzaskiem, unosząc trzymaną w dłoni pustą butelkę po piwie. Dziennikarz instynktownie uderzył na odlew i postać runęła w tył, trzymając się za brzuch.

Smithback z niejakim zdziwieniem stwierdził, że była to kobieta.

– Przepraszam – wykrztusił przez ściśnięte gardło i ruszył dalej.

Szkło i rozmaite odłamki chrzęściły pod jego butami, gdy przedostał się na drugą stronę Central Park South. Odepchnął na bok jakiegoś pijaka, przecisnął się przez gromadę rozwrzeszczanych młodzieńców w drogich, lecz podartych garniturach i znalazł się na chodniku po drugiej stronie.

Tu, na obrzeżach, było znacznie ciszej. Unikając gołębiego guana, wspiął się na podstawę pomnika i chwycił za dolny fragment ubrania Szekspira. Następnie po ramieniu dostał się na otwartą księgę, a stamtąd na szerokie barki wielkiego barda.

Jego oczom ukazał się zatrważający widok. Walki trwały na przestrzeni kilku przecznic wzdłuż Broadwayu i Central Park South. Kolejne grupki bezdomnych wylaniały się z wejścia na stację metra przy Columbus Circle oraz ze studzienek kanalizacyjnych i szybów wentylacyjnych rozmieszczonych wokół Parku. Smithback nie przypuszczał, że na świecie może być tylu bezdomnych i równie wielu podpitych młodych yuppie. Dopiero teraz spostrzegł starszych demonstrantów, trzon marszu pod hasłem „Odzyskajmy Nasze Miasto”, sunących zwartymi szeregami w stronę Amsterdam Avenue, pragnących znaleźć się możliwie jak najdalej od całego tego zamieszania i rozpaczliwie usiłujących zatrzymać przejeżdżające taksówki. Wokół niego grupki walczących to łączyły się, to rozdzielały na przemian. Patrzył z przerażającą fascynacją na przelatujące obok pociski oraz toczące się poniżej walki wręcz bądź też z użyciem pałek. Wielu ludzi leżało już na ziemi, niektórzy byli nieprzytomni, a może nawet gorzej. Krew mieszała się ze szkłem, kawałkami betonu i najróżniejszymi śmieciami zaścielającymi ulicę. Równocześnie walki z wolna zaczęły tracić na sile, słychać było gromkie okrzyki, groźby i przekleństwa; grupki ludzi napierały na siebie nawzajem, ale nie czyniły sobie wielkiej krzywdy, jak psy, które choć szczekają, to jednak się nie gryzą. Oddziały policji wkroczyły do akcji, by zapanować nad tłumem, lecz stróżów prawa było za mało, a zamieszki przeniosły się na teren Parku, gdzie opanowanie ich będzie o wiele trudniejsze. Gdzie się podziali wszyscy gliniarze?, zastanawiał się Smithback.

Pomimo przepelniającej go odrazy i przerażenia Smithback poczuł również trudne do opisanego uniesienie; ależ to będzie artykuł! Świetna historia.

Wbił wzrok w ciemność, usiłując zapamiętać poszczególne obrazy, zapisać wspomnienia o nich w głębi swego pojemnego umysłu.

Tłum bezdomnych zdawał się przechylać szalę zwycięstwa na swoją stronę, wyjąc w przypływie słusznego gniewu i spychając gromady demonstrantów w głąb południowej części Parku. Choć bez wątplenia wielu bezdomnych było osłabionych przez alkohol, skłonności do narkotyków i żywienie się byle czym, musieli oni znać się na walkach ulicznych o wiele lepiej od swych przeciwników. Tłum zniszczył wiele kamer, a ci z reporterów, którzy pozostali na placu boju, trzymali się w zwartej grupie, rozświetlając mrok blaskiem reflektorów. Inni zajęli pozycje na dachach pobliskich budynków i błyskając fleszami, robili zdjęcia aparatami zaopatrzonymi w teleobiektywy.

Nagle uwagę Smithbacka przykuło coś niebieskiego. Spojrzał w tę stronę i zobaczył zwarty oddział policji, przedzierający się przez tłum i nie szczędzący pałek.

Pośrodku tej grupy dziennikarz wypatrzył wystraszonego, wąsatego cywila i grubego, spoconego faceta, w którym rozpoznał kapitana Waxiego.

Dziennikarz patrzył zaintrygowany, jak oddział przebija się przez tłum walczących. Działo się tu coś dziwnego. I nagle Smithback zrozumiał, co wydało mu się tak bardzo podejrzane – ci policjanci nie robili nic, aby zapobiec walkom i zapanować nad rozjuszonym tłumem. Miast tego starali się za wszelką cenę ochronić dwóch mężczyzn idących wewnątrz kordonu, Waxiego oraz cywila. Smithback obserwował dziwną grupę, która dotarła do rogu ulicy i przez kamienną bramę weszła na teren Parku. Najwyraźniej ci ludzie mieli do wykonania jakąś misję i musieli to uczynić w określonym czasie, dlatego tak im się spieszyło.

Ale jaka misja?, deliberował Smithback, może być ważniejsza niż powstrzymanie tych zamieszek?

Jeszcze przez kilka chwil dziennikarz siedział wyprostowany na barkach Szekspira, nie mogąc się zdecydować, co powinien w tej sytuacji uczynić. Wreszcie ześlizgnął się z pomostu i pobiegł za niewielkim oddziałem w głąb tonącego w ciemnościach Central Parku.

## 49

D'Agosta wyjął z ust nie zapalone cygaro, zdjął z języka okruch tytoniu i z niesmakiem przyjrzał się wilgotnej końcówce. Margo patrzyła, jak poklepywał się po kieszeniach, szukając zapalek, a nie znalazłszy, rzucił jej pytające spojrzenie. Pokręciła głową przecząco. D'Agosta odwrócił się do Horlockera i już miał się odezwać, lecz koniec końców zmienił zamiar. Szef trzymał przy uchu krótkofalówkę i nie wyglądał na zadowolonego.

– Mizner! – krzyczał. – Mizner? Słyszysz mnie?

W głośniku coś zapiszczało, zapewne Mizner, pomyślała Margo.

– Opanujcie sytuację, aresztujcie... – zaczął Horlocker.

Znów niewyraźne piski.

– Pięcuset? Z tuneli? Mizner, nie wciskaj mi kitu. Dlaczego nie siedzą jeszcze w autobusach?

Horlocker nasłuchiwał przez chwilę. Margo kątem oka dostrzegła Pendergasta, który usiadł na brzegu stołu, opierając się o policyjną radiostację, i z niezmaconym, jak się zdawało, spokojem czytał „Policeman Gazette”.

– Środki przymusu bezpośredniego... gaz łzawiący, nie obchodzi mnie, jak to zrobicie... demonstranci? Co to znaczy, że walczą z demonstrantami? – Opuścił krótkofalówkę, spojrzał na nią z niedowierzaniem i przyłożył do drugiego ucha. – Nie, na litość boską, nie używajcie gazu w pobliżu demonstrantów. Posłuchaj, większość z Dwudziestki i Dwudziestki Dwójki jest teraz pod ziemią, Trzydziestka Jedyńska obsługuje punkty kontrolne, dzielnica północna jest zupełnie bez dozoru, nie zapomnij, powiedz Perillovi, że za pięć minut chcę zwołać kryzysowe spotkanie wszystkich komendantów posterunków. Sprowadź ludzi z innych dzielnic, zmobilizuj tych, którzy są już po służbie, ściągnij drogówkę, kogo się da.

Z wściekłością przerwał połączenie i sięgnął po słuchawkę stojącego przed nim telefonu.

– Curtis, połącz mnie z burmistrzem. Akcja ewakuacyjna wzięła w łeb, grupy bezdomnych z obszaru pod Central Parkiem wszczęły w mieście zamieszki. Zaatakowały uczestników marszu przy Central Park South. Będziemy musieli wezwać Gwardię Narodową. Potem skontaktuj się z Mastersem, będziemy potrzebować taktycznego śmigłowca bojowego, tak na wszelki wypadek. Niech ściągną z Parku Maszyn przy Lexington Avenue opancerzone wozy bojowe. Nie, wróc, mogą się nie przedrzeć. Lepiej połącz się z podstacją w Parku. Sam zadzwonię do burmistrza.

Odwiesił słuchawkę. Pojedyncza kropla potu spływała po jego czole, które w ciągu paru chwil z czerwonego zrobiło się popielatoszare. Horlocker rozejrzał się po centrum dowodzenia, zdając się nie dostrzegać krzątających się wokoło policjantów ani nie słysząc szumów i trasków dochodzących z radiostacji opodal. Margo odniosła wrażenie, że wyglądał jak człowiek, którego świat nieoczekiwanie implodował.

Pendergast starannie złożył gazetę i położył obok siebie na stole. Następnie wychylił się do przodu, palcami prawej ręki przyglądając swe niemal białe włosy.

– Tak się zastanawiałem – rzucił z głupia frant.

Uhm, pomyślała Margo.

Pendergast zgrabnie zsunął się ze stołu zatrzymał tuż przed szefem policji.

– Doszedłem do wniosku, że ta sytuacja jest nazbyt groźna, by można ją pozostawić w rękach jednego tylko człowieka.

Horlocker na dłuższą chwilę zmrużył powieki. Po minucie, z ogromnym, jak się wydawało, wysiłkiem, otworzył oczy i spojrzał na spokojne, pogodne oblicze Pendergasta.

– O czym pan mówi, u diabła? – zapytał.

– Liczymy wszyscy na kapitana Waxiego w nadziei, że uda mu się zakręcić ręcznie Rezerwuar i tym sposobem powstrzymać operację spuszczenia wody.

– No i?

Pendergast przyłożył palec do ust, jakby chciał podzielić się z Horlockerem wielką tajemnicą.

– Nie chcę być niedelikatny, ale kapitan Waxie nie sprawdził się najlepiej w roli chłopca na posyłki. Jeśli zawiedzie, czeka nas olbrzymia katastrofa. Lilie Mbwuna spłyną przez tunele Astora do morza. Tam pod wpływem słonej wody z roślin zostanie uwolniony reowirus. Może to spowodować poważne zmiany w całym ekosystemie.

– A nawet więcej – wtrąciła Margo. – Reowirus może dostać się do któregoś z ogniw łańcucha pokarmowego, a stamtąd... – Nie dokończyła.

– Już to wcześniej słyszałem – rzucił Horlocker. – I za drugim razem wcale nie brzmi lepiej. O co chodzi? Do rzeczy.

– O rozwiązanie, które u nas w Biurze nazywamy podwójnym zabezpieczeniem – odparł Pendergast.

Horlocker już miał coś powiedzieć, gdy funkcjonariusz siedzący przy stole łączności dał mu znak, że otrzymał połączenie.

– To kapitan Waxie, sir. Przełączę go na otwartą linię.

Horlocker znów sięgnął po telefon.

– Waxie, co u ciebie? Co się tam dzieje? – Nasłuchiwał przez kilka chwil. – Mów głośniej, nic nie słyszę. Że co? Co to znaczy, że nie jesteś pewien? Zajmij się tym, do cholery! Daj mi natychmiast Duffy’ego. Waxie, słyszysz mnie? Prawie cię nie słyszę. Waxie? Waxie?

Z głośnym trzaskiem rzucił słuchawkę na widełki.

– Połącz mnie jeszcze raz z Waxiem! – rozkazał.

– Czy mogę kontynuować? – zapytał Pendergast. – Jeśli mogę wyciągać jakiegokolwiek wnioski na podstawie tego, co tu usłyszałem, mamy niewiele czasu. Będę się zatem streszczał. Jeśli Waxie zawiedzie i z Rezerwuaru zostanie spuszczonego woda, musimy mieć plan awaryjny, aby zapobiec przedostaniu się roślin do Hudsonu.

– Niby jak mielibyśmy tego dokonać? – zapytał D’Agosta. – Dochodzi dwudziesta druga. Według planu za dwie godziny rozpocznie się spuszczenie wody.

– Czy możemy w jakiś sposób zatrzymać te rośliny? – odezwała się Margo. – Umieścić filtry na wylotach rur odpływowych lub coś w tym rodzaju?

– Interesująca myśl, doktor Green – powiedział Pendergast, zerkając na nią swymi bladymi oczyma. Przerwał na chwilę. – Sądzę, że wystarczające byłyby filtry pięciomikronowe. Tylko kto by miał je dla nas wykonać, zważywszy na ilość i konieczność przeprowadzenia wielu rozmów? No i co z tolerancjami niezbędnymi dla przetrzymania naporu niezliczonych ton wody? Poza tym, skąd mielibyśmy pewność, że zablokowaliśmy wszystkie odpływy? – Pokręcił głową. – Obawiam się, że jedynym sposobem jest zablokowanie wszystkich wyjść z tuneli Astora za pomocą materiałów wybuchowych. Przystudiowałem mapy i plany. Sądzę, że w tym celu wystarczy nam tuzin odpowiednio rozmieszczonych ładunków plastiku C-4.

Horlocker odwrócił się do Pendergasta.

– Pan całkiem oszalał – mruknął pod nosem.

Przy wejściu do budynku zrobiło się nagle jakieś zamieszanie. Margo, unosząc wzrok, ujrzała grupkę policjantów, która na wpół wbiegła, na wpół wtoczyła się z holu do pomieszczenia. Mundury mieli ubłocone i porozrywane, na czole jednego z gliniarzy ziała paskudna rana. Wśród nich szamotał się dziko przeraźliwie brudny mężczyzna w postrzępionym sztruksowym garniturze. Długie włosy miał pozlepiane w strąki, brudne od krwi i grudek ziemi. Mężczyzna nosił naszyjnik z turkusów, a brudna, zmierzwiona broda sięgała mu aż do skutych kajdankami nadgarstków.

– Mamy ich przywódcę! – wysapał jeden z policjantów, wlokąc szarpiącego się bezdomnego w stronę Horlockera.

D’Agosta patrzył z niedowierzaniem.

– Przecież to Mephisto! – zawołał.

– Oo? – mruknął sarkastycznie Horlocker. – To jeden z waszych przyjaciół?

– Znajomy – odrzekł Pendergast.

Margo patrzyła, jak Mephisto przenosi wzrok z D'Agosty na Pendergasta. Gdy rozpoznał agenta, w jego przenikliwych oczach rozbłyły iskierki wściekłości, a oblicze pociemniało.

– To ty! – zasyczał. – Whitey! Byliście szpiegami! Zdrajcy! Świnie!

Szarpnął potężnie całym ciałem, wrywając się trzymającym go policjantom, ci jednak już po chwili dopadli go, przewrócili i przyszpili do ziemi. Bezdomny stawiał zaciekły opór, gryząc, kopiąc oraz drapiąc skutymi rękoma.

– Judasz! – wysyczał, spluwając w stronę Pendergasta.

– Cholerny szajbus – rzekł Horlocker, spoglądając na mężczyznę walczącego na kafelkowej posadzce z próbującymi go poskromić gliniarzami.

– Bynajmniej – odparł Pendergast. – Czy zachowywałby się pan inaczej, gdyby jacyś ludzie przyszli i wypędzili pana z domu, używając przy tym pałek i gazów łzawiących?

Mephisto wił się jak piskorz.

– Przytrzymajcie go, na miłość boską – warknął Horlocker, odsuwając się poza zasięg rąk bezdomnego. Odwrócił się do Pendergasta. – A teraz chciałbym przekonać się, czy dobrze pana zrozumiałem – rzekł z udawaną powolnością, jak dobroduszny ojciec dworujący sobie z przygłupiego syna. – Chce pan wysadzić tunele Astora. Czy tak?

– Nie tunele, a jedynie wyjścia z tuneli – odparł Pendergast, nie zwracając uwagi na sarkastyczny ton tamtego. – Najistotniejsze jest, byśmy wszelkimi dostępnymi sposobami powstrzymali wodę spływającą z Rezerwuaru przed dotarciem do oceanu. W ten sposób wszelako osiągnęlibyśmy oba pożądane przez nas cele – oczyścilibyśmy tunele Astora z istot, które je zamieszkują, oraz powstrzymalibyśmy reowirus przed przeniknięciem do ekosystemu. Wystarczy, że powstrzymamy wodę na czterdzieści osiem godzin, a w tym czasie herbicyd odwali za nas resztę roboty.

Margo kątem oka dostrzegła, że Mephisto przestał się szamotać.

– Moglibyśmy wysłać ekipę nurków od strony kanałów prowadzących do rzeki – ciągnął Pendergast. – Droga do tuneli Astora jest względnie prosta.

Horlocker pokręcił głową.

– Uważnie przestudiowałem cały system. Gdy tunele Astora przepelnia się, woda spłynie do bocznika w West Side. I to właśnie ujście musimy zablokować za pomocą ładunków wybuchowych.

– Nie wierzę w to – rzekł Horlocker, opuszczając głowę i podpierając się kłykciami jednej ręki.

– Z drugiej strony to może się okazać niewystarczające – ciągnął Pendergast, nie zwracając uwagi na Horlockera. Zastanawiał się głośno. – Dla pewności przydałoby się też zablokować Diabelskie Poddasze od góry. Plany pokazują, że Szyjka Butelki i jej boczniki



stanowią zamknięty system, aż do Rezerwuaru znajdującego się nad nimi, tak więc aby zatrzymać uwięzioną wewnątrz wodę, będziemy musieli zablokować wszystkie drogi odpływowe poniżej. To przy okazji zapobiegnie ocaleniu którejkolwiek z żyjących tam istot, gdyż w zalanych tunelach nie ostanie się ani jedna z komór powietrznych, które mogłyby powstać po przelaniu wody do boczników.

Horlocker słuchał tego z kamienną twarzą. Pendergast znalazł skrawek papieru i pośpiesznie nakreślił na nim szkic.

– Nie rozumie pan? – zapytał. – Woda przepłynie przez Szyjkę Butelki, o, tutaj. Druga drużyna zejdzie od góry i zablokuje wszystkie wyjścia umieszczone dokładnie pod nią. Kilka poziomów niżej znajduje się Diabelskie Poddasze i odpływy prowadzące do rzeki. Drużyna SEAL-a rozmieści ładunki w tych tunelach. – Uniósł wzrok. – Woda zostanie uwięziona w tunelach Astora. Pomarszczeni nie będą mieli żadnych szans na ucieczkę. Najmniejszych szans.

Skuty mężczyzna wydał przeciągły świst, od którego Margo zjeżyły się włosy na karku.

– Rzecz jasna, poprowadzę drugą drużynę osobiście – ciągnął ze spokojem Pendergast. – Przyda się im przewodnik, a ja już raz tam byłem. Mam uproszczony plan tych tuneli i uważnie przestudiowałem istniejące mapy, aby mieć jako takie rozeznanie pod ziemią. Poszedłbym tam sam, ale do przeniesienia plastyku potrzebnych będzie kilku ludzi.

– To się nie uda, Judaszu – wychrypiął Mephisto. – Nie zdołasz dotrzeć na czas do Diabelskiego Poddasza.

Horlocker uniósł wzrok i dziarsko walnął pięścią w stół.

– Dość się już nasłuchałem – rzucił krótko. – Koniec zabawy, Pendergast, zbyt wiele mam na głowie, by tracić czas na dyskusję z panem. Sytuacja jest zbyt poważna. Wynocha.

– Tylko ja znam te tunele na tyle dobrze, by cię tam wprowadzić i wyprowadzić stamtąd przed północą – zasyczał Mephisto, spoglądając przenikliwie na Pendergasta.

Agent odpowiedział równie świdrującym spojrzeniem, a na jego twarzy pojawił się grymas zastanowienia.

– Chyba masz rację – odparł po chwili.

– Dostyc – warknął Horlocker, zwracając się do policjantów, którzy przyprowadzili bezdomnego. – Na komendę z nim. Zajmiemy się tym ptaszkiem, gdy tylko uporamy się z sytuacją kryzysową.

– A co tobie z tego przyjdzie? – Pendergast zapytał Mephista.

– Zyskam przestrzeń do życia. Uwolnię się od prześladowań. Moi ludzie otrzymają rekompensatę za wyrządzone im krzywdy.

Pendergast niemal z zadumą przypatrywał się bezdomnemu.

– Kazałem wam go stąd wyprowadzić – ryknął Horlocker.

Policjanci dźwignęli Mephista na nogi i zaczęli ciągnąć go ku wyjściu.

– Stać! – rozkazał Pendergast. Mówił cicho, lecz tak władczym tonem, że policjanci w jednej chwili stanęli jak wryci.

Horlocker odwrócił się, na skroni pulsowała mu żyłka.

– O co chodzi? – rzucił prawie szeptem.

– Panie komendancie, z mocy nadanego mi prawa, jako agent federalny rządu Stanów Zjednoczonych, przejmuję tego człowieka pod swoją opiekę.

– Pan raczy żartować – warknął Horlocker.

– Pendergast! – syknęła Margo. – Zostały nam niecałe dwie godziny.

Agent skinął głową i zwrócił się do Horlockera.

– Chętnie jeszcze bym został, aby wymienić z panem uprzejmości, lecz, niestety, nie mam już czasu. Vincencie, odbierz, proszę, od panów policjantów klucze do kajdanek.

Pendergast odwrócił się w stronę stróżów prawa.

– Hej, wy tam. Przejmuję tego człowieka. Proszę go natychmiast puścić.

– Nie róbcie tego – zawołał Horlocker.

– Ależ panie komendancie – rzekł jeden z policjantów – nie może pan kwestionować decyzji agenta federalnego.

Pendergast podszedł do mężczyzny w łańcuchach, stojącego obok D'Agosty i rozcierającego skute nadgarstki.

– Panie Mephisto – rzekł półgłosem. – Nie wiem, jaką rolę odegrał pan w dzisiejszych wypadkach, i nie mogę panu zagwarantować, że nie zostanie w związku z nimi pociągnięty do odpowiedzialności. Jeśli jednak teraz mi pan pomoże, może wspólnie uda nam się oczyścić to miasto z zabójców, którzy zagrażali pańskiej społeczności. Ponadto mogę panu osobiście zagwarantować, że pańskie żądania w kwestii praw dla bezdomnych zostaną uczciwie i rzetelnie wysłuchane.

Wyciągnął do niego rękę.

Mephisto zmrużył oczy.

– Już raz mnie okłamałeś – wysyczał.

– Tylko po to, by móc się z panem skontaktować – odparł Pendergast, nie cofając dłoni. – Teraz nie chodzi już o walkę pomiędzy tymi, co mają wszystko, a tymi, którzy nie mają nic. A nawet jeśli kiedyś tak było, wszystko to należy do przeszłości. Jeśli teraz zawiedziemy, wszystkich nas czekać będzie sromotny koniec, zarówno mieszkańców Park Avenue, jak i społeczność Szosy 666.

Nastąpiła długa cisza. W końcu Mephisto bez słowa pokiwał głową.

– Jakie to wzruszające – mruknął Horlocker. – Mam nadzieję, że wszyscy potopicie się w gównie.

Smithback spojrział przez porzewiałą stalową kratownicę kładki na ceglany korytarz niknący w ciemnościach poniżej. Słyszał głos Waxiego i pozostałych daleko w dole, ale nie miał pojęcia, po co tu przyszli. Miał jedynie nadzieję, że nie okaże się, iż trudził się na darmo.

Tymczasem podążał za Waxiem jak cień, uznał bowiem, że sprawa jest na tyle zagadkowa, iż warto przyjrzeć się jej uważniej.

Ostrożnie ruszył naprzód, usiłując wypatrzeć piątkę mężczyzn idących w dole. Podniszczony chodnik zwieszał się poniżej gigantycznej misy nadżartego przez rdzę metalu, prowadząc długim, łagodnym łukiem w stronę pionowego szybu, zdającego się opadać w dół, do samego jądra Ziemi.

Kładka ugiwała się przy każdym jego ruchu. Dotarłszy do pionowego szybu, wychylił się lekko i spojrział w dół. Wnętrze tunelu rozświetlone było blaskiem reflektorów, lecz ich światło, choć silne, nie mogło przebić się zbyt daleko w głąb mrocznej czeluści. Wąska strużka wody spływała ze sklepienia powyżej i opadała spiralnie poprzez pustkę, by bezgłośnie zniknąć w ciemnościach. Z góry dochodził dziwaczny dźwięk przypominający skrzypienie poddanego silnym naprężeniom kadłuba okrętu podwodnego. Z szybu napływały podmuchy rześkiego, chłodnego powietrza, które omiało twarz dziennikarza, mierzwiąc mu włosy nad czołem.

Smithbackowi nigdy się nawet nie śniło, że pod Rezerwuarem w Central Parku mogą znajdować się tak osobliwe i stare pomieszczenia. Wiedział, że ogromne metalowe sklepienie nad jego głową musiało być w rzeczywistości dnem zbiornika odpływowego, mieszczącego się na najniższym poziomie Rezerwuaru, gdzie w jego ziemistym podłożu była złożona sieć kanałów burzowych i tuneli odprowadzających. Starał się nie myśleć o wiszących nad jego głową niezliczonych tonach wody.

Teraz widział już daleko w dole niewielki oddział policji stojący na niedużej platformie stykającej się z kładką. Smithback dostrzegał również mającą wokół płataninę żelaznych rur, kół i zaworów, która przypominała jakąś maszynę piekielną, żywcem wyjętą z koszmaru ery przemysłowej.

Drabinka była pokryta wilgotnym lepkim nalotem, a platforma poniżej nie miała barierki. Smithback już miał schodzić po drabinie, lecz po krótkim namyśle zmienił zamiar. W sumie z góry zwykle lepiej widać, skonstatował. Równie dobrze mogę zostać tutaj – i położył się na metalowej kładce. Z tego miejsca, choć sam niewidoczny, mógł obserwować, co się działo w dole.

Światła latarek omiały ceglane ściany poniżej, a do uszu Smithbacka dochodziło zniekształcone echo głosów policjantów. Rozpoznał basso profundo Waxiego, który miał okazję słyszeć tamtego wieczoru z kabiny projekcyjnej w muzeum. Gruby gliniarz rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę. W pewnej chwili opuścił dłoń z radiem i odwrócił się do

wyraźnie zdenerwowanego mężczyzny w koszuli z krótkimi rękawami. Wydawało się, że o coś się kłócili.

– Ty mały kłamco – mówił Waxie. – Nie mówiłeś, że nie potrafisz odwrócić tego procesu!

– Przecież mówiłem, mówiłem – rozległ się piskliwy głos. – Sam pan nawet powiedział, że nie chce, aby proces ten był odwracalny. Szkoda, że nie miałem przy sobie dyktafonu, bo...

– Zamknij się. Gdzie te zawory?

– Są tutaj, z tyłu.

Zapadła cisza, a potem znów dał się słyszeć zgrzyt metalu, gdy mężczyźni przeszli na drugi koniec platformy.

– Czy ten podest się nie zarwie? – rozległ się niepewny głos Waxiego.

– A skąd mam wiedzieć? – odparł piskliwie cywil. – Od czasu skomputeryzowania systemu nikt już nie dba o konserwację...

– Dobra, dobra. Rób pan, co masz robić, Duffy, i wynośmy się stąd.

Smithback bardziej się wychylił i spojrzał w dół. Widział, jak mężczyzna nazwiskiem Duffy przygląda się rzędowi zaworów.

– Musimy przekręcić je wszystkie – rozległ się jego głos. – Te zawory zamykają Główny Bocznik. W ten sposób, gdy komputer zleci opróżnienie Rezerwuaru z wody, śluzę bocznikowe otworzą się, lecz te ręczne zawory nie dopuszczą do jej spuszczenia. Zasada syfonu. Oczywiście, jeśli w ogóle jeszcze działają. Jak powiedziałem, nigdy ich nie wypróbowywano.

– Świetnie. Może otrzymasz Nagrodę Nobla. A teraz do dzieła.

Co oni kombinują?, zastanawiał się Smithback. Wydawało się, że usiłowali zapobiec spuszczeniu wody z Rezerwuaru. Myśl o milionach stóp sześciennych wody spływających z góry wystarczyła, by odruchowo odwrócił głowę ku sklepieniu. Ale dlaczego? Czyżby komputer zaszwankował? Cokolwiek się tu działo, nie wydawało się dostatecznie ekscytujące, by warto było rezygnować z obserwacji dalszego przebiegu zamieszek. Smithback poczuł narastające przygnębienie – zapowiadał się wielki temat, ale, niestety, rozczarował się rzeczywistym przebiegiem wypadków.

– Proszę mi pomóc to przekręcić – rzekł Duffy.

– Słyszeliście – warknął Waxie, zwracając się do policjantów.

Z tak dużej odległości Smithback widział dwie maleńkie postacie chwytające za wielkie żelazne koło. Dało się słyszeć ciche posapywanie.

– Ani drgnie – oznajmił jeden z gliniarzy.

Mężczyzna nazwiskiem Duffy nachylił się nad kołem, przyglądając mu się z uwagą.

– Ktoś przy nim majstrował! – zawołał, wskazując na coś palcem. – Proszę spojrzeć! Ktoś zablokował to koło ołowiem. A te zawory są powyłamywane. Sądząc po wyglądzie, stało się to stosunkowo niedawno.

– Nie wciskaj mi kitu, Duffy.

– Niech pan sam spojrzy. Zawory są rozpieprzone na amen.

Zapadła cisza.

– Niech to szlag – jęknął Waxie. – Możesz to jakoś naprawić?

– Można by, gdybyśmy mieli dwadzieścia cztery godziny. A do tego palniki acetylenowe, łuk elektryczny, nowe zawory i około tuzina części, których nie produkuje się od mniej więcej stu lat.

– Nie jest dobrze. Jeżeli nie powstrzymamy opróżnienia zbiornika, będzie po nas. To ty wpakowałeś nas w tę kabałę, Duffy. Postaraj się nas teraz z tego wyciągnąć.

– Niech pana wszyscy diabli, kapitanie! – wrzasnął przeraźliwie Duffy. – Mam już dość tych impertynencji. Jest pan bezczelnym, głupim chamem. A, byłbym zapomniał – grubym, bezczelnym, głupim chamem.

– Nie omieszka napomknąć o tym w moim raporcie, Duffy.

– Niech pan tylko nie zapomni napisać, że nazwałem pana grubasem.

Zapadła cisza.

– Czujecie to? – zapytał jeden z policjantów na drabince.

– Co to ma być, u diabła? – dobiegł inny głos.

Smithback węszył przez chwilę, ale chłodne wilgotne powietrze cuchnęło tylko pleśnią i wilgotnymi cegłami.

– Spieprzajmy stąd – rzucił Waxie, dopadając drabinki i wspinając się po szczeblach.

– Zaraz, zaraz – rozległ się głos Duffy’ego. – A co z zaworami?

– Przecież sam stwierdziłeś, że nie da się ich naprawić – uciał Waxie, nie spoglądając w dół.

Z głębszych otchłani szybu doszedł Smithbacka słaby, odległy grzechot.

– Co to było? – zapytał łamiącym się głosem Duffy.

– Idziecie? – zawołał Waxie, pnąc się wolno po drabince. Z uwagi na pokaźną tuszę pokonywanie kolejnych szczebli szło mu wyjątkowo opornie.

Smithback patrzył, jak Duffy z wyraźnym wahaniem rozejrzał się po platformie. Następnie odwrócił się i wraz z policjantami w mundurach zaczął się pięć po drabince. Smithback uświadomił sobie, że tamci mniej więcej za pięć minut dotrą do kładki. Do tego czasu powinien się stąd ulotnić, a żeby go nie zauważono, musiał przeczołgać się przez całą długość chodnika. Na dodatek za swój trud niczego nie zyska. Odwrócił się, by ruszyć w stronę wyjścia, licząc, że zdąży jeszcze zobaczyć dogasające zamieszki. Zastanawiał się, gdzie zniknęła pani Wisher. Jezu, ale bigos, pomyślał ze smutkiem. Nie do wiary, jak mogłem się tak wpakować. Czyżby zawodził mnie instynkt? Jeszcze tylko tego brakowało, aby ten palant, Bryce Harriman, znów ukradł mu temat...

Z dołu dobiegło go echo jakiegoś dźwięku, jęklivy zgrzyt zardzewiałych zawiasów i głośny huk podnoszonej żelaznej kratownicy.

– Co to było? – zapytał z przerażeniem Waxie.

Smithback odwrócił się i spojrzął w dół drabinki. Postacie na szczeblach poniżej nagle znieruchomiały. Echo ostatnich słów Waxiego przebrzmiało, rozplywając się w czeluściach szybu. Znow zrobiło się cicho. W ciszy tej rozległo się szuranie i skrzyp żelaznych szczebli, połączone z dziwnymi sapnięciami i ochryplymi stęknięciami, od których Smithbackowi zjeżyły się włoski na karku.

Światła latarek, skierowane w dół szybu, niczego nie ujawniły.

– Kto tam idzie? – zawołał Waxie, spoglądając w dół.

– Jacyś ludzie wspinają się po drabinie – odparł jeden z policjantów.

– Jesteśmy z policji! – krzyknął piskliwym głosem Waxie.

Żadnej odpowiedzi.

– Kim jesteście?

– Wciąż nadchodzą!

– Znow ten smród – rozległ się inny głos i w tej samej chwili Smithback też to poczuł, zjełczały koźli odór, który jak cios obuchem ożywił w dziennikarzu wspomnienia koszmarnych godzin sprzed półtora roku, spędzonych w ciemnych korytarzach muzeum.

– Wyjmijcie broń! – wrzasnął w panice Waxie.

Smithback w końcu ich spostrzegł – ciemne sylwetki wspinające się żwawo po szczeblach drabinki, wyłaniające się z mroku, przyodziane w kaptury i ciemne płaszcze, rozwiewające się za nimi pod wpływem silnych podmuchów powietrza.

– Słyszycie mnie tam, na dole? – ryknął Waxie. – Zatrzymajcie się i wyjawcie nam, kim jesteście! – Odwrócił się na drabince, co przy jego tuszy było nie lada wyczynem, i spojrzął w dół na funkcjonariuszy. – Zaczekajcie tutaj. Dowiedzcie się, kim są i o co im chodzi. Jeśli są tu bezprawnie, aresztujcie ich. – Znow się odwrócił i wraz z depczącym mu prawie po piętach Duffym podjął wspinaczkę na szczyt drabinki.

Smithback patrzył, jak dziwne postaci minęły platformę i zbliżyły się do czekających policjantów. Przez chwilę nic się nie działo, potem zaś wywiązała się krótka walka, która w tym słabym, tajemniczym świetle przypominała dziennikarzowi fragment przedstawienia baletowego. Iluzja płynności i gracji ruchów prysła wraz z hukem wystrzału pistoletu kaliber 49, który w tej ograniczonej przestrzeni zabrzmiał niczym grzmot. Echo wystrzału rozdarł nagle przeraźliwy krzyk, a Smithback spostrzegł, jak policjant znajdujący się najniżej odrywa się od drabinki i spada w otchłań szybu wraz z wczepionym w jego ciało napastnikiem. Wrzaski funkcjonariusza cichły coraz bardziej, w miarę jak znikał w mrocznej czeluści, aż w końcu umilkły zupełnie.

– Powstrzymajcie ich! – zawołał przez ramię Waxie, wspinając się coraz wyżej. – Nie wolno wam ich przepuścić!

Smithback ze zgrozą przyglądał się, jak postacie przyspieszyły tempo wspinaczki, a metalowa drabinka ugięła się i skrzypiała pod ich ciężarem.

Drugi z policjantów oddał kilka strzałów do zbliżających się ku niemu sylwetek, po czym został złapany za nogę i potężnym szarpnięciem strącony z drabinki. Runął w dół, raz po raz naciskając spust, aż jego wirujące bezwładne ciało rozplątało się w mroku rozjaśnianym tylko błyskami kolejnych wystrzałów. Trzeci gliniarz odwrócił się i w panice bardzo szybko zaczął się wspinać po szczeblach w kierunku kładki.

Ciemne postacie niewzruszenie pięły się w górę, pokonując po dwa szczeble naraz; ich ruchy były gwałtowne, urywane, nieludzkie.

Jedna z postaci znalazła się przez chwilę w świetle reflektora i Smithback spostrzegł w jego blasku coś wilgotnego, lepkiego i błyszczącego. Zaraz potem pierwszy z prześladowców dopadł policjanta, wykonując zamaszty ruch ręką na wysokości jego nóg. Gliniarz wrzasnął przeraźliwie, odwracając się w stronę napastnika. Postać podciągnęła się, zrównując się z funkcjonariuszem, i brutalnymi cięciami zaatakowała jego szyję oraz twarz, podczas gdy reszta zakapturzonych postaci minęła ich i podążyła dalej.

Smithback chciał uciekać, ale nie mógł oderwać wzroku od przerażającego spektaklu rozgrywającego się w dole. Waxie, rozpaczliwie pokonując kolejne szczeble drabinki, w pewnej chwili poślizgnął się i z całej siły chwycił metalowej rurki, próbując równocześnie odzyskać równowagę. Duffy był tuż za nim, lecz zakapturzeni prześladowcy coraz bardziej zmniejszali dystans dzielący ich od cywila i policjanta. Jeszcze chwila i ich dopadną.

– Złapał mnie za nogę! – krzyknął Duffy. Zaczął desperacko kopać i wierzcąc nogami. – Boże, ratuj! – Histeryczny głos rozbrzmiał głośnym, powracającym echem pośród wilgotnych ścian skapanej w półmroku hali.

Smithback patrzył, jak Duffy, któremu paniczny strach dodał sił, uwalnia się z rąk prześladowcy i wspina, mijając miotającego się bezradnie Waxiego.

– Nie! Nie! – krzyknął rozpaczliwie Waxie, usiłując odepchnąć kopnięciami próbujące go pochwycić dłonie pierwszej z mrocznych postaci, ale tylko zrzucił jej z głowy kaptur. Ujrzawszy to, co się pod nim znajdowało, Smithback instynktownie odwrócił głowę, ale jego mózg i tak zdążył zarejestrować obraz jak z nocnego koszmaru, przerażający tym bardziej, że oglądany w tym słabym, migoczącym świetle: wąskie, jaszczurcze źrenice, grube, wilgotne wargi, grube fałdy obwisłej skóry. Dopiero teraz pojął, że musieli to być Pomarszczeni, o których mówił Mephisto. I wiedział już, skąd się wzięła ta nazwa.

Widok ten wyrwał Smithbacka z odrętwienia. Dziennikarz ruszył po kładce w stronę wyjścia. Słyszał jeszcze, jak Waxie z tyłu, za nim, otwiera ogień ze służbowej broni; zaraz potem rozległ się ryk bólu, od którego Smithbackowi ugięły się nogi w kolanach. Padły w sumie dwa strzały, jeden po drugim, później zaś dał się słyszeć przybierający na sile zawodzący jęk bólu kapitana Waxiego, przeradzający się z wolna w mrozący krew w żyłach agonalny charkot.

Smithback na poły biegł, na poły pełził po kładce, próbując pokonać lęk paraliżujący jego ruchy. Za plecami słyszał szloch Duffy'ego – a przynajmniej dziennikarz miał nadzieję, że

był to Duffy – który z przerażeniem i determinacją wciąż wspinał się po drabince. Smithback przez chwilę zastanawiał się, czy zawrócić i pomóc Duffy’emu, ale w głębi serca czuł, że nic nie może dla niego zrobić. Daj mi tylko szansę, bym zdołał stąd uciec, potem będę mógł żałować tego, co dziś zrobiłem, pomyślał, ale obiecuję, że już nigdy, przenigdy o nic cię nie poproszę.

Gdy jednak zbliżał się do kamiennych stopni wiodących na powierzchnię, a w górze ponad nim zamajaczył cudowny krąg nieba rozświetlonego blaskiem księżyca, ujrzał z przerażeniem mroczne, potężne postacie odcinające się na tle nieba i przesłaniające gwiazdy. Boże wszechmocny, schodziły tu, szły w jego stronę. Przykląkł na kładce, rozglądając się rozpaczliwie dokoła, lustrując ceglane ściany i łukowaty załom szybu biegnącego w dół, ku mrocznej czeluści. Po jednej stronie kładki znajdowało się wejście do starego tunelu przejściowego: kamienne, łukowate, okolone było nalotem ze skryształizowanego wapnia przypominającego szron. Postacie zbliżały się coraz szybciej. Smithback dał susa w kierunku tego wejścia i znalazł się w nisko sklepionym korytarzu. Z sufitu w nierównych odstępach zwisały się roztaczające wąły blask gołe żarówki. Dziennikarz puścił się pędem, gnał co sił w nogach, nie zważając na nic, i dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że tunel prowadził w dół, pod ziemię, coraz niżej i niżej, czyli dokładnie tam, gdzie Smithback nie chciał się znaleźć.

## 51

Agent FBI pełniący służbę w zbrojowni odchyłał się do tyłu, nos wściubił w nowy numer „Soldier of Fortune”, a krzesło, na którym siedział, balansowało niebezpiecznie na dwóch nogach. Ponad krawędzią pisma Margo zauważyła, jak wybałuszył oczy, kiedy do niego podeszli. Najwyraźniej po raz pierwszy miał okazję widzieć włóczących się po podziemiach gmachu centrali FBI dzikiego obdartusa z długą zmierzwną brodą i w cuchnących łachmanach, któremu towarzyszyli młoda dziewczyna i korpulentny mężczyzna. Agent przymrużył powieki i wydał nozdrza. On chyba także poczuł zapach Mephista, pomyślała Margo.

– Co, u licha, mógłbym dla was zrobić, panowie? – zapytał strażnik, opuszczając pismo i powoli przechylając się do przodu.

– Oni są ze mną – rzucił pospiesznie Pendergast, występując naprzód i błyskając swoją legitymacją. Tamten jednak, gdy tylko go spostrzegł, poderwał się na baczność tak raptownie, że czasopismo z trzaskiem wylądowało na podłodze. – Potrzeba mi trochę sprzętu – rzekł Pendergast. – Przyszedłem go pobrać.

– Tak jest, sir. Natychmiast, sir – wykrztusił agent, otwierając kluczem górny i dolny zamek w metalowych drzwiach za jego plecami i uchylając je zamaszystym ruchem.



Margo weszła do sąsiedniego rozległego pomieszczenia. Od podłogi aż po sufit ciągnęły się rzędy drewnianych szafek.

– Co w nich jest? – zapytała, gdy ruszyli za Pendergastem w głąb wąskiego przejścia.

– Zapasy – padła odpowiedź. – Racje żywnościowe, lekarstwa, butelkowana woda, uzupełniacze, koce, śpiwory, części zapasowe do najpotrzebniejszych urządzeń, paliwo.

– Jest tu tego tyle, że wystarczyłoby na przetrwanie długiego oblężenia – mruknął D’Agosta.

– I o to właśnie chodzi, poruczniku – rzekł Pendergast, podchodząc do niedużych metalowych drzwi w przeciwległej ścianie, po czym wstukał kod i otworzył je. Za nimi rozciągał się wąski korytarz. Na ścianach po obu stronach widniały rzędy stalowych szuflad, oznaczonych tabliczkami z pleksiglasu. Wchodząc do pomieszczenia, Margo zerknęła na kilka z nich, które znajdowały się najbliżej: M-16/XM-148, CAR-15/SM-177E2, KEVLAR S-M, KEVLAR L-XXL.

– Glina i jego zabawki – odezwał się Mephisto.

Pendergast przeszedł szybkim krokiem pomiędzy szafkami, zatrzymał się przy jednej z nich, otworzył i wyjął ze środka trzy maski z przezroczystego plastyku z przyłączonymi niedużymi pojemnikami z czystym tlenem. Zatrzymując jedną dla siebie, rzucił dwie pozostałe Mephistowi i D’Agoście.

– Na wypadek, gdybyście zechcieli po drodze na dół zagazować jeszcze kilku członków naszej społeczności? – spytał cynicznie Mephisto, niezdarnie chwytając maskę skutymi dłońmi. – Słyszałem, że nieźle wam poszło poprzednim razem.

Pendergast przystanął i odwrócił się do bezdomnego.

– Wiem, że twoim zdaniem policja nadużyła siły – rzucił półgłosem. – Tak się składa, że w tym przypadku zgadzam się z tobą. Musisz mi jednak uwierzyć, gdy mówię, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Janus o dwóch twarzach znów się odezwał. Burmistrz społeczności spod Grobowca Granta. Pewnie, że tak. Powinienem był się zorientować, że wciskasz mi kit.

– Musiałem użyć podstępu, bo przez własną paranoję stałeś się odludkiem i odciąłeś od całego świata – wyjaśnił Pendergast, otwierając kolejne szafki i wyjmując zakładany na głowę aparat błyskowy, kilka par gogli z długimi niby-szypułkami, które, zdaniem Margo, stanowiły urządzenie noktowizyjne, oraz kilka podłużnych żółtych pojemników, których nie zdołała rozpoznać.

– Nigdy nie uważałem cię ani nie traktowałem jak wroga.

– Wobec tego zdejmij mi kajdanki.

– Nie rób tego – ostrzegł D’Agosta.

Pendergast wyjmował właśnie z szafki kilka noży typu K-bar. Po chwili wyłuskał z kieszonki na piersi kluczyki, postąpił naprzód i szybkim ruchem nadgarstka zdjął kajdanki z rąk bezdomnego. Mephisto cisnął je pogardliwie w głąb wąskiego przejścia.

– Masz zamiar, będąc na dole, postrugać wariata, Whitey? – zapytał. – Te małe scyzoryki, noże bojowe służb specjalnych, jak je nazywają, niewiele pomogą ci w walce z Pomarszczonymi. Zdołasz ich co najwyżej trochę połaskotać.

– Mam nadzieję, że nie spotkamy po drodze żadnego z mieszkańców tuneli Astora – odrzekł Pendergast, wkładając za pasek dwa pistolety i sięgając w głąb szafki. – Niemniej jednak doświadczenie nauczyło mnie, że trzeba być przygotowanym na każdą sytuację.

– Cóż, agenciku, jeśli chcesz sobie postrzelać, proszę bardzo, nie zamierzam ci tego zabraniać. Gdy będzie już po wszystkim, wpadniemy do Szosy 666 na herbatkę i biszkopty, a ty będziesz mógł wypchać swoje trofea.

Margo patrzyła na Pendergasta, który odsunął się od szafki i powoli podszedł do Mephista.

– Co konkretnie mógłbym zrobić, aby przekonać cię, że sytuacja jest naprawdę poważna? – zapytał, gdy jego twarz znalazła się o kilka cali od oblicza przywódcy bezdomnych. Mówił łagodnym tonem, lecz mimo wszystko dało się w nim wyczuć subtelną, groźną nutę.

Mephisto cofnął się o krok.

– Jeśli o to ci chodzi, będziesz musiał mi zaufać.

– Gdybym ci nie ufał – odparł Pendergast – nie zdjąłbym ci tych bransoletek.

– Udowodnij to – uciał Mephisto, błyskawicznie odzyskując rezon. – Daj mi broń. Najlepiej jeden z tych rozpylaczy z szafki za tobą. Albo przynajmniej strzelbę kaliber 12. Jeśli was wykończą, chciałbym mieć choć cień szansy, aby powalczyć o przetrwanie.

– Pendergast, nie szalej – odezwał się D'Agosta. – Ten facet to szajbus. Dziś ujrzał słońce po raz pierwszy, odkąd George Bush zasiadł w Białym Domu.

– Jak szybko możesz doprowadzić nas do tuneli Astora? – zapytał Pendergast.

– W półtorej godziny, mniej więcej. Jeśli, rzecz jasna, po drodze nie boicie się zamoczyć nóg.

Zapadła cisza.

– Wygląda na to, że znasz się na broni. Czy potrafisz jej używać?

– Byłem w siódmym pułku piechoty, w służbie wywiadowczej. Zostałem ranny dla większej chwały mojej ojczyzny podczas operacji w pieprzonym Żelaznym Trójkacie.

Margo z niesmakiem, lecz również z pewną fascynacją patrzyła, jak rozpinał pasek przy brudnych spodniach, ukazując nabrzmiałą, pofałdowaną bliznę, biegnącą przez podbrzusze i w dół uda, a kończącą się nad kolanem okazałych rozmiarów wzgórkami bliznowatych tkanek.

– Musieli powkładać mi wszystko do środka, zanim mnie położyli na noszach – oznajmił, uśmiechając się krzywo.

Pendergast stał przez dłuższą chwilę w bezruchu. Następnie odwrócił się, otworzył jeszcze inną szafkę, wyjął dwa karabinki automatyczne, jeden z nich przewiesił przez prawe

ramię, drugi zaś rzucił D'Agostie. To uczyniwszy, wydobyl z szafki pudełko z nabojami śrutowymi i grubą, topornie wyglądającą strzelbę szturmową, tak zwaną pompkę.

Zamknął szafkę, odwrócił się i podał broń Mephistowi.

– Nie zawiedźcie mnie, żołnierzu – powiedział, wciąż trzymając strzelbę za lufę.

Mephisto wziął od niego strzelbę i bez słowa przeładował.

Margo zwróciła uwagę na coś, co zaczynało ją niepokoić: Pendergast pobierał ze zbrojowni sporo różnych rzeczy, ale jak dotąd żadna z nich nie trafiła w jej ręce.

– Chwileczkę – powiedziała. – A co ze mną? Gdzie mój sprzęt?

– Obawiam się, że nie możemy zabrać pani z nami – odrzekł Pendergast, wywlekając z szafki kamizelki kuloodporne i sprawdzając ich rozmiary.

– Kto o tym decyduje i dlaczego? – zaproponowała Margo. – Bo jestem kobietą?

– Doktor Green, bardzo panią proszę. To nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu nie ma pani doświadczenia w tego rodzaju akcjach policyjnych. – Pendergast zaczął grzebać w następnej szafce. – Vincent, zajmij się nimi, dobrze? Bardzo cię proszę.

– Granaty odłamkowe typu M-26 – powiedział D'Agosta, biorąc się do ich pakowania. – Stary, masz tu dość broni i amunicji, by rozpocząć inwazję na Chiny.

– Brak mi doświadczenia? – powtórzyła Margo, ignorując D'Agostę. – Przecież to właśnie ja ocalałam twój tyłek półtora roku temu w muzeum, pamiętasz? Gdyby nie ja, stałbyś się karmą dla Mbwuna.

– Nie przeczę, pani doktor – odparował Pendergast, nakładając na ramiona plecak, zaopatrzone w długi przewód zakończony dziwaczną, osłoniętą dyszą.

– Nie mów mi, że to miotacz ognia – rzucił D'Agosta.

– O ile się nie mylę, to ABT Fast Fire – powiedział Mephisto. – Kiedy byłem w wojsku, nazywaliśmy galaretę rozpryskiwaną przez to urządzenie „fioletową mgiełką”. To sadystyczna broń należąca do kraju od lat już toczzonego przez moralną zgniliznę. – Zajrzał z zaciekawieniem do sąsiedniej szafki.

– Jestem antropologiem – rzekła Margo. – Znam te istoty lepiej niż ktokolwiek inny. Będziecie potrzebować moich specjalistycznych opinii.

– Nie na tyle, by mogła pani narażać dla nas życie – zaproponował Pendergast. – Doktor Frock też jest antropologiem. Czy zatem powinniśmy zabrać go ze sobą na dół, razem z jego wózkiem, bo przecież jego zdanie jako fachowca może się nam przydać?

– To ja odkryłam całą tę aferę, pamiętasz? – Margo zorientowała się, że mówi coraz głośniej.

– Ona ma rację – przyznał D'Agosta. – Gdyby nie ona, nie byłoby nas tutaj.

– To wciąż nie daje nam prawa, abyśmy zabrali ją na dół – odparł Pendergast. – Poza tym ona nigdy nie była pod ziemią i nie jest funkcjonariuszem policji.

– Posłuchaj! – krzyknęła Margo. – Zapomnij o fachowych opiniach i o tym, że kiedyś ci pomogłam. Doskonale strzelam. D'Agosta może to poświadczyć. I wcale nie będę cię

spowalniać. Powiedziałabym, że to raczej ty możesz dostać zadyszki, próbując nadażyć za mną. Postawmy sprawę jasno: w razie potencjalnych kłopotów tam, na dole, każde dodatkowe wsparcie na pewno wam się przyda.

Pendergast przeszył ją spojrzeniem swych jasnych, niemal białych oczu, a Margo odniosła wrażenie, jakby agent próbował przeniknąć jej myśli.

– Czemu tak bardzo pani na tym zależy, doktor Green? – zapytał.

– Ponieważ... – Margo przerwała nagle, zastanawiając się, czemu tak naprawdę chciała zejść do tych mrocznych i strasznych podziemi. Jakże prościej byłoby życzyć im powodzenia, wyjść z budynku, wrócić do domu, zamówić kolację w tajlandzkiej knajpce na rogu i sięgnąć po książkę Thackeraya, którą miała zacząć czytać w ubiegłym miesiącu.

I nagle uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie chodziło o to, czego chce.

Półtora roku temu ujrzała oblicze Mbwuna i w jego dzikich, przepelnionych żądzą mordy czerwonych ślepiach spostrzegła swoje odbicie. Z pomocą Pendergasta, we dwoje zabili bestię. Wtedy sądziła, że jest już po kłopotcie. Wszystkim tak się zdawało. Teraz wiedziała, że wszyscy, w tym także ona, byli w błędzie.

– Kilka miesięcy temu... – zaczęła – Greg Kawakita próbował się ze mną skontaktować. Dzwonił do mnie, ale ja go unikałam. Może gdybym go wtedy wysłuchała, udałoby się nam uniknąć tego wszystkiego. – Przerwała. – Chcę doprowadzić tę sprawę do końca.

Pendergast wciąż taksował ją wzrokiem.

– Przecież to ty mnie w to wciągnęłaś, do cholery! – rzuciła Margo, odwracając się do D'Agosty. – Wiesz doskonale, że była to ostatnia rzecz, której pragnęłam. Teraz jednak skoro już tu jestem, chcę zobaczyć, jak się to wszystko skończy.

– Tak, w tej kwestii też ma rację – przyznał D'Agosta. – To ja poprosiłem ją o pomoc przy śledztwie.

Pendergast, zwykle nieskory do nawiązywania kontaktu fizycznego z osobami, z którymi rozmawiał, delikatnie położył dłonie na ramionach Margo.

– Margo, proszę – rzekł półgłosem. – Postaraj się zrozumieć. Wtedy, w muzeum, nie mieliśmy wyboru. Zostaliśmy uwięzieni w środku razem z Mbwunem. Teraz to co innego. My świadomie zamierzamy stawić czoło niebezpieczeństwu. Sami pchamy się w paszczę lwa. Ty jesteś cywilem. Przykro mi, ale taka jest prawda.

– Po raz pierwszy zgadzam się z burmistrzem Whiteyem. – Mephisto spojrzał na Margo. – Wydajesz się szczerą i uczciwą osobką. To oznacza, że nie powinnaś przebywać w towarzystwie tych indywiduów. Jeśli ci dwulicowcy chcą w ramach obowiązków zawodowych dać się pozabijać, nie powinnaś stawać temu na przeszkodzie.

Pendergast jeszcze przez chwilę przyglądał się Margo. Wreszcie opuścił ręce i odwrócił się do Mephista.

– Którędy pójdziemy? – zapytał.

– Wzdłuż linii leksyngtońskiej, pod Bloomingdale’em – padła odpowiedź. – Jest tam opuszczony tunel, mniej więcej ćwierć mili na północ, przy torach linii ekspresowej. Wiedzie wprost do Parku, a następnie skręca do Szyjki Butelki.

– Chryste – rzekł D’Agosta. – Może właśnie w ten sposób Pomarszczeni dostali się do metra i zaatakowali jeden ze składów.

– To możliwe. – Pendergast milczał jeszcze przez chwilę, jakby pogrążył się w zamyśleniu. – Będziemy musieli pobrać materiały wybuchowe z sekcji C – dokończył nagle, kierując się ku drzwiom. – Chodźmy. Zostały nam niecałe dwie godziny.

– Chodź, Margo – rzucił przez ramię D’Agosta, podążając za Pendergastem. – Odprowadzimy cię do wyjścia.

Margo stała w bezruchu, patrząc na trzech mężczyzn, którzy szybkim krokiem zmierzali ku wyjściu ze zbrojowni.

– Cholera! – krzyknęła z wściekłości i bezradności zarazem i cisnąwszy torebkę na ziemię, z całej siły kopnęła w drzwiczki jednej z szafek. Następnie osunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach.

## 52

Snow spojrzął na duży zegar ścienny. Cienkie wskazówki za metalową osłoną wskazywały 22.15. Funkcjonariusz powiódł wzrokiem po pustym pomieszczeniu, lustrując zapasowe butle i regulatory, podarte płetwy i przyduże maski. Wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na piętrzącej się przed nim na biurku stercie papierów i skrzywił się. Oto, gdzie ugrzązł, rzekomo dochodząc do siebie po bakteryjnej infekcji płuc. W rzeczywistości zaś Snow wiedział, podobnie jak reszta nurków, że zepchnięto go na bocznice. Szef zespołu wziął go na stronę i pochwalił za dobrze wykonaną robotę, ale Snow wiedział, że to tylko zwykłe mydlenie oczu. Nie uwierzył sierżantowi.

Jego przekonania nie zmienił nawet fakt, że odkrycie dwóch szkieletów zapoczątkowało zakrojone na wielką skalę śledztwo. Liczyło się tylko to, że puściły mu nerwy, że zawiódł, i to już podczas pierwszego zanurzenia. Nawet Fernandez przestał się z niego nabijać.

Westchnął, wyrzwał przez brudne okno na opustoszałą przystań i oleistą wodę, skrzącą się w ciemnościach niespokojnej nocy. Reszta zespołu wyruszyła na akcję po katastrofie śmigłowca, który wpadł wieczorem do East River. Zresztą w całym mieście sporo się dzisiaj działo, z jego służbowej krótkofalówki bez przerwy napływały krótkie skrzekliwe komunikaty o marszach, zamieszkach, mobilizacji, działaniach prewencyjnych i próbach zapanowania nad tłumem. Wydawało się, że wszędzie coś się dzieje. Z wyjątkiem tego maleńkiego zakątka przy przystani w Brooklynie.

A on był teraz tutaj, wykonując papierkową robotę.

Westchnął, wpiął do teczki kilka stron dokumentów, zamknął je i dorzucił do innych, z którymi uporał się już wcześniej. Padły pies, wyłowiony z kanału Gowanusa. Przyczyna śmierci – rana postrzałowa; właściciel nieznany, sprawa zamknięta. Zdjął kolejną teczkę ze sterty: Randolph Rowell, skoczek, lat dwadzieścia dwa, skoczył z Mostu Triborough. W jego kieszeni znaleziono list pożegnalny. Przyczyna śmierci: utonięcie. Sprawa zamknięta.

Wrzucając teczkę do pojemnika, usłyszał nagle dochodzący od przystani odgłos silnika motorówki przybijającej do brzegu. Szybko wrócili. Dźwięk silnika brzmiał nieco inaczej niż zwykle, bardziej ochryple, uznał Snow. Może przydałoby się go wyregulować lub coś w tym rodzaju.

Usłyszał tupot biegnących stóp na drewnianym pomoście i nagle drzwi z trzaskiem otwarły się na oścież: w progu pojawiło się dwóch mężczyzn w czarnych kombinezonach do nurkowania, bez oznaczeń, twarze mieli pomalowane na czarno i zielono pastą maskującą. Na szyjach mieli zawieszony identyczne kauczukowo-lateksowe chlebaki.

– Gdzie nurkowie? – warknął pierwszy z nich, postawny facet z teksańskim akcentem.

– Wyłynęli na miejsce katastrofy śmigłowca – odparł Snow. – Wy jesteście drugim zespołem? – Wyjrzał przez okno i zdziwił się, gdy zamiast znajomej niebiesko-białej łodzi policyjnej ujrzał cumujący przy pomoście ponton desantowy z silnikiem zaburtowym, wszystko w kolorach maskujących.

– Wszyscy? – spytał mężczyzna.

– Wszyscy prócz mnie. A wy kim jesteście?

– Nie twój zasmarkany interes – odburknął tamten. – Potrzebujemy kogoś, kto zna najkrótszą drogę do bocznika w East Side, i to natychmiast.

Snow mimowolnie się wzdrygnął.

– Skontaktuję się z szefem pierwszego zespołu...

– Nie ma czasu. A ty? Znasz drogę?

– N-no tak. Znam wszystkie kanały wokół Manhattanu. To elementarz w tej pracy. Każdy nurek musi dokładnie...

– Możesz nas tam doprowadzić? – uciął bezceremonialnie mężczyzna.

– Chcecie dostać się do bocznika w East Side? Większość kanałów jest okratowana lub za wąska, aby...

– Odpowiedz tylko – tak czy nie?

– Myślę, że tak – odrzekł łamiącym się głosem Snow.

– Jak się nazywasz?

– Snow. Funkcjonariusz Snow.

– Wskakuj do łodzi.

– Ale mój kombinezon i butle...

– Mamy wszystko, czego ci potrzeba. Przebierzesz się na łodzi.

Snow podźwignął się z krzesła i wyszedł za tamtymi na przystań. Uznał, że propozycja, którą właśnie otrzymał, była nie do odrzucenia.

– Wciąż nie wiem, kim...

Mężczyzna przystanął, opierając stopę na okrężnicy łodzi.

– Kapitan Rachlin, dowódca oddziału patrolowego Navy Seals, szef drużyny Niebieska Siódemka. A teraz wskakuj na pokład.

Sternik wyprowadził łódź z przystani.

– Pilnuj steru – polecił mu dowódca i gestem przywołał do siebie Snowa.

– Oto, jak wygląda nasz plan – powiedział, podnosząc poduszkę siedzenia i wyjmując ze schowka plik wodoodpornych map. – W operacji biorą udział cztery dwuosobowe zespoły. – Rozejrzał się dokoła. – Donovan!

– Taa jest! – rzucił tamten, podchodząc do nich.

Nawet w obszernym kombinezonie mężczyzna wydawał się chudy jak tyka i żyłasty. Snow nie mógł dostrzec jego twarzy ukrytej pod neoprenem i warstwą pasty kamuflażowej.

– Donovan, będziecie w jednym zespole ze Snowem.

Zapadła cisza, którą Snow uznał za wyraz dezaprobaty ze strony tamtego.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Pede – odparł Rachlin.

– Co takiego?

Dowódca przeszył go wzrokiem.

– Podwodna demolka. To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Czy to ma jakiś związek z tymi bezgłowymi ciałami? – dopytywał się Snow.

Kapitan wciąż mu się przyglądał.

– Jak na przygłupiego, nieopanowanego, taplającego się w łajnie policyjnego nurka zadajesz wiele pytań, złotko.

Snow milczał. Nie odważył się spojrzeć na Donovana.

– Możemy dostać się tam od tej strony – rzekł Rachlin, rozwijając jedną z map i wskazując kciukiem zaznaczony na niej niebieski punkt. – Niestety, plany, które posiadamy, nieco się zdezaktualizowały, odkąd w tym rejonie pobudowano nową oczyszczalnię ścieków. Właśnie dlatego musisz doprowadzić nas do tego miejsca.

Snow pochylił się nad laminowaną mapą. U góry, na legendzie widniały zgrabnie wykaligrafowane litery, układające się w napis: Nadzór kanałów burzowo-ściekowych w West Side, 1932 r. dolny kwadrant.

Poniżej rozciągała się, tworząc istny labirynt, sieć przecinających się linii. Pod Central Parkiem od strony zachodniej ktoś postawił trzy niebieskie kropki. Snow wbił wzrok w skomplikowany plan, w głowie miał mętlik. Najłatwiej mogli dostać się do środka przez Humboldt Kill, ale do bocznika był stamtąd spory kawałek drogi z mnóstwem zakrętów i krzyżówek. Poza tym Snow wcale nie chciał tam wracać.

Próbował przypomnieć sobie treningi, długie dni na łodzi brnącej przez cuchnące, wypełnione błotnistą wodą kanały. Co jeszcze wpływało do bocznika w West Side?

– Nie czas teraz na rozmyślania – rzekł Rachlin. – Pospiesz się. Musimy się sprężyć.

Snow uniósł wzrok. Znał tylko jedną bezpośrednią drogę. No dobrze, uznał, sami tego chcieli.

– Pozostaje wejście przez oczyszczalnię ścieków w dolnym biegu Hudsonu – oznajmił. – Możemy tam dotrzeć przez główny zbiornik przesiewowy.

Zapadła cisza. Snow rozejrzał się wokoło.

– Mielibyśmy nurkować w pieprzonych ściekach? – rozległ się bardzo głęboki głos.

Dowódca odwrócił się.

– Słyszałeś, co powiedział nasz ekspert.

Rzucił Snowowi mokry kombinezon do nurkowania.

– A teraz, złotko, bądź łaskaw zrzucić te ciuszki i przebierz się w coś wygodniejszego. Musimy uporać się z naszym zadaniem i dokładnie sześć minut przed północą znaleźć się na miejscu zbiórki.

## 53

Margo siedziała na chłodnej posadzce zbrojowni, kipiąc z wściekłości. Nie była pewna, kogo bardziej nienawidziła – D’Agosty za to, że wciągnął ją w całą tę aferę, Pendergasta za to, że nie pozwolił, by zeszła z nimi do tuneli, czy siebie samej, gdyż nie potrafiła się od tego uwolnić. A przecież to wcale nie było trudne. Mimo to nie umiała się na to zdobyć. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak długi był spowijający ją cień, mroczne wspomnienie tamtych okropnych wydarzeń sprzed półtora roku i ostatniego starcia z Bestią z Muzeum. Pozbawiły ją snów, zakłóciły spokój umysłu. A teraz jeszcze na dokładkę...

Wiedziała, że Pendergast miał na względzie jej bezpieczeństwo, lecz mimo to świadomość odrzucenia wywoływała w niej silne wzburzenie. Gdyby nie ja, wciąż błądziłby po omacku, szukając rozwiązania tej zagadki, pomyślała. To ja odkryłam powiązania pomiędzy Mbwunem a Whittleseyem. To ja rozszyfrowałam prawdziwy przebieg wydarzeń. Gdyby miała jeszcze trochę czasu, być może poradziłaby sobie z jeszcze jedną, ostatnią już tajemnicą dotyczącą tej sprawy, a mianowicie zrozumieniem sensu ostatnich zagadkowych fragmentów dziennika Kawakity, odgadnięciem, co robił z tyroksyną i po co w tym ostatnim laboratorium syntetyzował witaminę D.

Z tyroksyną sprawa była względnie prosta. Wpisy w dzienniku zdawały się sugerować, że pod sam koniec w Kawakicie zaszła głęboka przemiana psychiczna. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że szkliwo, choć nie powoduje już drastycznych zmian natury fizycznej, niszczy psychikę osoby uzależnionej.



Może nawet udało mu się odkryć groźny wpływ słonej wody na rośliny zawierające reowirus. Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że uczoney starał się naprawić zło, które uczynił, i usunąć *Liliceae Mbwunensis* z Rezerwuaru.

Być może istoty żyjące w tunelach przejrzały jego zamiary. To wyjaśniałoby jego nagłą śmierć. Zapewne ostatnią rzeczą, jakiej mogły pragnąć, była utrata sporych przeciw zapasów narkotyku. To wszelako wciąż nie tłumaczyło, co, u licha, robił Kawakita z witaminą D. Czyżby potrzebował jej przy sekwencjonowaniu genów? Nie, to niemożliwe...

Nagle Margo usiadła i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Greg zamierzał unicestwić rośliny, jestem o tym przekonana, pomyślała. I zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Zatem witamina D nie miała służyć do produkcji szkliwa, wytwarzał ją, by...

I nagle zrozumiała.

W mgnieniu oka podniosła się z podłogi. Nie było chwili do stracenia. Zdeterminowana do działania zaczęła energicznie otwierać kolejne szafki i szuflady, pospiesznie wysypując ich zawartość w wąskim przejściu, by powybierać rzeczy, które mogły być jej potrzebne, i włożyć je do torebki – maskę tlenową, noktowizor oraz kilka pudełek naboju kaliber 9, z wydrążonymi czubkami, do swego półautomatu.

Oddychając ciężko, podbiegła do drzwi zbrojowni i wyjrzała na zewnątrz, do magazynu. To musi gdzieś tu być, pomyślała. Zaczęła biegać pomiędzy rzędami drewnianych szafek, przepatrując umieszczone na nich plastikowe tabliczki. W pewnej chwili przystanęła i wyjęła trzy puste litrowe butelki z plastikowymi, bidonowymi nakrętkami. Postawiwszy je obok torebki na podłodze, otworzyła kolejną szafkę i wyjęła kilka galonowych pojemników z wodą destylowaną. Następnie znów udała się na poszukiwania, mamrocząc cicho pod nosem. W końcu znów się zatrzymała i silnym szarpnięciem otworzyła jedną z szafek. Wewnątrz stały rzędy słoików i butelek z różnymi pigułkami i tabletkami. Pospiesznie zaczęła odczytywać etykiety, a odnalazszy to, czego szukała, wróciła pędem do miejsca, gdzie zostawiła torebkę.

Uklękła, odkręciła słoje i odwróciwszy się, usypała na posadzce kopczyk z białych pigułek.

– Jakie stężenie, Greg? – zastanawiała się głośno. Nie sposób tego stwierdzić, będę musiała strzelać, ale podejrzewam, że raczej wysokie. Denkiem jednego ze słoików rozgniotła pigułki na proszek i wsypała po kilka jego garści do każdej z litrowych butelek.

Następnie napełniła je wodą, zakręciła i mocno wymieszała, obserwując wygląd zawiesiny – mogła bardziej się postarać, ale nie miała na to czasu. Wkrótce pigułki rozpuszczą się zupełnie.

Wstała i podniosła torebkę, puste butelki zaś wrzuciła w głąb przejścia pomiędzy szafkami. Poturlały się po posadzce, grzechocząc głośno.

– Kto tam jest? – rozległ się głos.

Poniewczasie przypomniała sobie o strażniku pełniącym wartę na zewnątrz. Czym prędzej schowała butelki do torby i przewiesiwszy ją sobie przez ramię, skierowała się do wyjścia.

– Przepraszam – powiedziała. – Trochę się zasiedziałam. – Miała nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie szczerze.

Strażnik zmarszczył brwi i odłożył pismo. Powoli zaczął wstawać z krzesła.

– Którędy poszedł agent Pendergast? – zapytała bezzwłocznie. – Wspominał coś o sektorze C.

Nazwisko Pendergasta wywołało pożądany efekt – strażnik ponownie usiadł na krześle.

– Proszę przejść do windy numer cztery, wjechać na drugie piętro i tam skreśli pani w lewo – wyjaśnił.

Margo podziękowała mu i pobiegła co sił w stronę wind na końcu korytarza. Kiedy drzwi kabiny zamknęły się, spojrzała na zegarek – nie miała już czasu. Gwałtownie nacisnęła guzik holu.

Drzwi otworzyły się z sykiem. Margo zastanawiała się, czy powinna się pospieszyć, ale widok licznych strażników w holu skutecznie odebrał jej chęć do biegu. Przeszła przez hol szybkim krokiem, oddała przepustkę i wyszła na zewnątrz w parną manhattańską noc.

Dopiero tam zerwała się do biegu, minęła zakręt ulicy i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę.

– Róg Pięćdziesiątej Dziewiątej i Lex – rzuciła, wsiadając i zatrzaszkując za sobą drzwiczki.

– Nie ma sprawy, ale nie dotrzemy tam zbyt szybko – odparł taksówkarz. – W pobliżu Parku coś się dzieje, jakaś demonstracja czy rozróżba, korki ciągną się jak stąd do wieczności.

– To niech pan wymyśli jakiś sprytny objazd – powiedziała Margo, rzucając na przednie siedzenie dwudziestodolarowy banknot.

Kierowca, nie zdejmując stopy z pedału gazu, pomknął na wschód, a przy Pierwszej Alei skreślił na północ, lawirując z niezłomną precyzją pomiędzy jadącymi wolniej pojazdami. W oddali przed nimi Margo spostrzegła ciągnące się jak okiem sięgnąć sznury unieruchomionych w korku samochodów i ciężarówek, z pracującymi na jałowym biegu silnikami i zawodzącymi przeraźliwie klaksonami – sześć równoległych pasm, płonących krwistą czerwienią świateł stopu na całej przestrzeni jezdni. Margo bez wahania chwyciła torebkę i wyskoczyła z taksówki, by pobiec chodnikiem na północ.

Siedem minut później dotarła do wejścia na stację metra przy Bloomingdale. Zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz i, najlepiej jak potrafiła, omijając wieczornych spacerowiczów. Od ciężkiej torebki zaczęło boleć ją ramię. Miała wrażenie, że pośród hałasu silników i kakofonii klaksonów z oddali dobiegał jeszcze inny, zduszony, osobliwy ryk, przywodzący na myśl okrzyk dobywający się równocześnie z tysięcy ludzkich gardeł. Wkrótce jednak znalazła się na stacji metra i nie słyszała już nic prócz turkotu kursujących co

kilka minut pociągów. Sięgnęła do kieszeni po żeton, przeszła przez bramkę i zbiegła po schodach na peron linii ekspresowej. Zebrał się tam już spory tłumek, zgromadzony w pobliżu oświetlonych schodów.

– Widzieliście tych facetów? – spytała młoda kobieta w koszulce z logo Columbii. – Co on, u licha, miał na plecach?

– Pewnie to trutka na szczury – odparł jej towarzysz. – Przecież wiesz, że w tunelach te gryzonie mnożą się jak oszalałe i osiągają ogromne rozmiary. Wczoraj wieczorem przy stacji na Czwartej Zachodniej widziałem jednego i mówię ci, był wielki jak...

– Dokąd poszli? – przerwała zdyszczanym głosem Margo.

– Zeskoczyli na tory i pobiegli na północ.

Margo ruszyła na północny kraniec peronu. Przed sobą widziała tory ciągnące się w dal i niknące w ciemnościach. Pomiędzy szynami stały kałuże wody, skrzące się zielonkawo w słabym świetle zwrotnic.

Obejrzała się przez ramię, aby upewnić się, że nie nadjeżdża pociąg, wzięła głęboki oddech i zeskoczyła na tory.

– Jeszcze jedna! – zawołał ktoś z peronu.

Przytrzymując torebkę jedną ręką, by nie przeszkadzała jej w biegu, pognąła przed siebie, uważając, aby nie potknąć się na żwirze ani nie zahaczyć stopą o podkład.

Zmrużyła oczy, spoglądając przed siebie, na próżno wypatrując kształtów bądź sylwetek. Już miała zacząć nawoływać Pendergasta, gdy nagle zmitygowała się. Bądź co bądź, właśnie na tej linii, stosunkowo niedaleko stąd, i w dodatku całkiem niedawno, dokonano masakry.

Ledwie o tym pomyślała, gdy poczuła podmuch wiatru muskający krótkie włoski na jej karku. Odwróciła się i serce zamarło jej w piersi: z tyłu, za nią zamajaczył w ciemności okrągły, czerwony symbol ekspresu nr 4, jeszcze odległy, lecz zbliżający się nieubłaganie.

Pobiegła jeszcze szybciej, wypełniając płuca gęstym, wilgotnym powietrzem. Pociąg stał na stacji zaledwie kilka chwil, już wkrótce ruszy w dalszą drogę, przyspieszając i zbliżając się do niej.

Rozejrzała się rozpaczliwie dokoła, wypatrując w ścianie niszy, w której mogłaby się schronić. Po obu stronach tunelu ściany były jednak gładkie i pozbawione wgłębień.

Usłyszała dochodzący z tyłu dźwięk dzwonek oznajmiający zamykanie drzwi, syk hamulców hydraulicznych i szum diesli, gdy skład zaczął nabierać szybkości.

W przypiływie desperacji wybrała jedyne dostępne dla niej schronienie: wąski przesmyk pomiędzy torami prowadzącymi na północ i tymi, które wiodły na południe. Przystępując zwinnie nad trzecią szyną, przycupnęła pomiędzy rdzewiejącymi wspornikami, usiłując schować się za słupek zwrotniczy wznoszący się obok niej niczym mroczny anioł stróż.

Pociąg zbliżał się, sygnał alarmowy zawył przeciągle raz i drugi. Margo poczuła pęd powietrza odpychający ją wstecz i rozłożyła ręce, chwytając się rozpaczliwie wsporników, aby nie runąć na tory tuż obok. Wagony minęły ją, błyskając oświetlonymi oknami, niczym

film przewijający się poziomo przed jej oczami, po czym, kołysząc się lekko na prawo i lewo i krzesząc fontanny iskier spod kół, zniknęły w czeluści tunelu.

Kaszłąc, bo w powietrzu pojawiły się nagle chmury dławiącego kurzu, i czując nieprzyjemne dzwonięcie w uszach, Margo wróciła na tory i rozejrzała się szybko w obie strony. W oddali przed nią, w czerwonej poświacie oddalającego się szybko pociągu dostrzegła trzy postacie wyłaniające się z niszy w ścianie tunelu.

– Pendergast! – zawołała. – Agencie Pendergast, proszę zaczekać!

Postacie zatrzymały się i odwróciły w jej stronę. Gdy do nich podbiegła, już z daleka spostrzegła znajome, pociągłe oblicze patrzącego na nią lodowatym wzrokiem agenta FBI.

– Doktor Green? – rozległ się znajomy głos z charakterystycznym południowym akcentem.

– Chryste Panie, Margo! – warknął gniewnie D’Agosta. – Co tutaj robisz, u licha? Przecież Pendergast powiedział wyraźnie, że nie możesz...

– Zamknij się i posłuchaj! – ucięła Margo, stając przed nimi. – Domyśliłam się, co zamierzał Kawakita, syntetyzując w swoim laboratorium witaminę D. To nie miało nic wspólnego z rośliną, szkliwem ani czymkolwiek w tym rodzaju. Greg produkował broń.

Nawet w ciemnościach dostrzegła wyraz niedowierzania na twarzy D’Agosty. Mephisto stał tuż za nimi, milczący i czujny, niczym mroczne widmo.

– To prawda – wydyszała. – Wiemy, że Pomarszczeni nie znoszą światła, zgadza się? Ale to coś więcej niż tylko niechęć, oni boją się światła. Jest dla nich zabójcze.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał Pendergast.

– Nie chodzi o samo światło – zaczęła powoli. – Raczej o to, co owo światło wytwarza. Padając na skórę, światło powoduje syntezę witaminy D, mam rację? Skoro działa ono na te istoty niczym trucizna, musimy założyć, że silna dawka promieni słonecznych może sprawić im ogromny ból, a nawet doprowadzić do śmierci. To dlatego zginęły niektóre z hodowanych przeze mnie kultur bakteryjnych. Zostawiono je na całą noc przy włączonej lampie. Możliwe, że stanowi to wyjaśnienie, skąd wziął się przydomek „Pomarszczeni”, nadany tym istotom. Skóra pozbawiona witaminy D ma tendencje do marszczenia się, jest szorstka, błoniasta. Ponadto niedobór witaminy D powoduje osteomalację, zmiękczenie kości. Pamiętacie, jak doktor Brambell mówił, że szkielet Kawakity wygląda, jakby jego właściciel miał za sobą wyjątkowo paskudny przypadek skorbutu? Cóż, moim zdaniem tak właśnie było.

– To tylko domysły – rzekł D’Agosta. – Gdzie dowody?

– Po cóż innego Kawakita miałby syntetyzować witaminę D? – zawołała Margo. – Nie zapominajcie, że dla niego była ona równie zabójcza, jak dla pozostałych. Wiedział, że te istoty zaczną go ścigać, gdy zniszczy jedyny istniejący zapas narkotyków. A potem, gdy zabraknie im uprawionych roślin, zaczną napadać i zabijać ludzi. Pozostało mu tylko jedno, unicestwić zarówno rośliny, jak i żywiące się nimi istoty.

Pendergast pokiwał głową.

– Wydaje się to jedynym możliwym wytłumaczeniem. Ale dlaczego przyszła pani aż tutaj, aby nam o tym powiedzieć?

Margo poklepała swoją torebkę.

– Bo tak się składa, że mam przy sobie trzy litry roztworu witaminy D.

D'Agosta parsknął.

– Doprawdy? Wydaje mi się, że dysponujemy dostatecznie dużą siłą ognia.

– Jeśli tych stworzeń jest tam, na dole, tyle, ile przypuszczamy, nie zdołalibyście udźwignąć broni potrzebnej do ich unicestwienia – odparła Margo. – Pamiętacie, jak trudno było zabić Mbwuna? A przecież on był tylko jeden.

– Mamy zamiar unikać wszelkich kontaktów z tymi istotami – oznajmił Pendergast.

– Jesteście uzbrojeni po zęby, więc przypuszczam, że wolicie raczej dmuchać na zimne – ciągnęła Margo. – Kule mogą te istoty zranić, ale to – znów poklepała się po torebce – z pewnością dopiecze im do żywego.

Pendergast westchnął.

– No dobrze, pani doktor – powiedział. – Proszę mi oddać torebkę. Rozdzielimy butelki między siebie.

– Nic z tego – ucięła Margo. – Ja przyniosłam butelki. I ja będę je nieść. Idę z wami.

– Nadjeżdża kolejny pociąg – wtrącił Mephisto.

Pendergast milczał przez chwilę.

– Już mówiłem, to nie wchodzi...

– Dotarłam za wami aż tutaj! – rzuciła Margo z wściekłością i niezłomną determinacją w głosie. – Nic nie zmusi mnie do powrotu! I niech mi pan nie mówi o niebezpieczeństwach czyhających podczas tej wyprawy. Chce pan, żebym podpisała jakiś świstek zwalniający władze z odpowiedzialności za moją śmierć, w razie gdybym już stąd nie wróciła – nie ma sprawy. Dawaj pan, zaraz go podpiszę.

– To nie będzie konieczne. – Pendergast westchnął przeciągle. – Dobrze, pani doktor. Szkoda czasu na kłótnie. Musimy ruszać. Mephisto, poprowadź nas na dół.

## 54

Smithback zamarł w bezruchu, nasłuchując. Znów usłyszał kroki w tunelu, ale tym razem dźwięk był odleglejszy. Odetchnął głęboko kilka razy, usiłując zmusić serce, które podeszło mu do gardła, by wróciło na swoje miejsce. W ciemnościach wąskich korytarzy całkiem się zagubił. Nie był już pewien, czy podążał we właściwym kierunku. Równie dobrze mógł zatoczyć krąg i zawracać teraz w stronę zabójców, kimkolwiek lub czymkolwiek oni byli. Instynkt podpowiadał mu jednak, że wciąż oddalał się od miejsca przerażającej rzezi. Tunele o wilgotnych, śliskich ścianach zdawały się prowadzić tylko w jednym kierunku – na dół.

Był pewien, że upiorne istoty, które widział, to tak zwani Pomarszczeni. Ci sami, o których ongiś opowiadał mu Mephisto; być może to właśnie oni dokonali niedawno masakry w metrze. W ciągu zaledwie kilku minut zamordowali co najmniej czterech ludzi... Krzyki Waxiego zdawały się powracać doń echem rozbrzmiewającym w jego uszach tak długo, że nie był już pewien, czy faktycznie je słyszy, czy jest to może tylko wspomnienie.

Nagle w jego myśli wdarł się inny, nader realny dźwięk: kroki rozlegające się znacznie bliżej niż poprzednie. Odwrócił się w przyływie paniki, szukając drogi ucieczki. Wtem jego oczy oślepiło silne światło, a tuż za nim zamajaczyła mroczna postać. Smithback sprężył się, przygotowując się do walki, w nadziei, że będzie ona litościwie krótka.

Niespodziewanie postać zaczęła się wycofywać, wydając przeciągły pisk przerażenia. Latarka upadła i grzechocząc, potoczyła się do Smithbacka. Dziennikarz odetchnął z ulgą, dostrzegając charakterystyczny sumiasty wąs zdobiący twarz Duffy'ego – cywila, który tak desperacko wspinał się po drabince za Waxiem. Inżynier musiał jakimś cudem umknąć koszmarnym prześladowcom.

– Spokojnie – wyszeptał Smithback, podnosząc latarkę, zanim odturlała się dalej. – Jestem dziennikarzem, widziałem, co się stało.

Duffy był zbyt wystraszony albo wyczerpany, by zapytać Smithbacka, co robił pod zbiornikiem wodnym w Central Parku.

Usiadł na ceglanym podłożu, oddychając z trudem. Co kilka sekund zerkał przez ramię w mroczną czerń za sobą.

– Wie pan, jak się stąd wydostać? – naciskał Smithback.

– Nie – wysapał Duffy. – Może. Proszę mi pomóc. Chciałbym wstać.

– Jestem Bill Smithback – wyszeptał dziennikarz, wyciągając ręce i pomagając się podnieść rozdygotanemu inżynierowi.

– Stan Duffy – wykrztusił roztrzęsiony mężczyzna.

– Jak udało się panu uciec przed tymi stworami?

– Zgubiłem je w tunelach przepustowych – wyjaśnił Duffy. Po jego ubłoconej twarzy spłynęła wielka łza.

– Jak to możliwe, że te tunele prowadzą tylko w dół, a nie pod górę?

Duffy machinalnie otarł twarz rękawem.

– Znajdujemy się w pomocniczych tunelach przepływowych. W sytuacji awaryjnej woda płynie przez główny tunel i te przepływy, by dotrzeć do Szyjki Butelki. – Przerwał, a jego oczy rozszerzyły się, jakby sobie o czymś przypomniał. Spojrzał na zegarek.

– Musimy ruszać! – oznajmił. – Zostało nam półtorej godziny!

– Półtorej godziny? Ale do czego? – zapytał Smithback, świecąc latarką w głąb tunelu.

– O północy rozpocznie się spuszczenie wody ze zbiornika. Próbowaliśmy temu zapobiec, niestety, bezskutecznie. Gdy śluzy się otworzą, woda zacznie spływać tymi właśnie tunelami.

– Co? – wysapał Smithback.

– Chcą zalać najniższe poziomy, tunele Astora, aby pozbyć się tych stworzeń. W każdym razie do tej pory taki był plan. Wydaje się, że zmienili zamiar i próbują temu zapobiec. Niestety, już jest za późno...

– Tunele Astora? – zapytał Smithback. – Zapewne to Diabelskie Poddasze, o którym wspominał Mephisto.

Duffy nagle chwycił latarkę i popędził w głąb tunelu.

Smithback pobiegł za nim. Korytarz łączył się z kolejnym, większym, prowadzącym spiralnie w dół. Jedyne źródłem światła był tutaj kołyszący się dziko na prawo i lewo promień latarki. Dziennikarz usiłował trzymać się blisko ściany, gdyż pośrodku korytarza stały kałuże wody. W gruncie rzeczy nie wiedział, dlaczego zadaje sobie tyle trudu. Duffy gnał środkiem tunelu, rozchlapując kałuże i robiąc tyle hałasu, że mógłby zbudzić nawet umarłego.

Kilka chwil później Duffy przystanął.

– Usłyszałem ich! – wrzasnął, gdy Smithback znalazł się u jego boku.

– Nic nie słyszałem – wysapał Smithback, rozglądając się dokoła.

Duffy jednak już pobiegł dalej. Smithback niezwłocznie ruszył jego śladem z sercem rozdieranym paniką, zapominając o swoim upragnionym wielkim temacie. W ścianie tunelu pojawił się mroczny otwór, Duffy skierował się w jego stronę. Smithback pospieszył za nim, gdy wtem pod jego stopami pojawiła się pustka. W okamgnieniu zaczął się osuwać w głąb śliskiego, wilgotnego szybu. Z dołu dobiegł go zawodzący wrzask Duffy'ego i Smithback obrócił się gwałtownie, orząc zakrzywionymi w szpony palcami śliską powierzchnię. To, co się działo, przypominało klasyczny sen o spadaniu, tyle że o wiele straszniejszy, bo ten mokry czarny tunel był jak najbardziej rzeczywisty i znajdował się wiele piętér pod powierzchnią Manhattanu. Nagle na wprost niego rozległ się głośny plusk, a chwilę potem on także wylądował ciężko w wielkiej kałuży wody.

Podźwignął się z trudem, obolały, ale zadowolony, że znów miał pod stopami twardy grunt. Podłoże tunelu wydawało się równe, woda pachniała dość świeżo. Duffy obok niego wciąż nie przestawał zawodzić.

– Stul dziób – zasyczał Smithback do inżyniera. – Zamknij się, bo zwabisz tu te stworzenia.

– Boże, o Boże – szlochał w ciemnościach Duffy. – To się nie dzieje naprawdę. Co to za istoty? Czym one są? Co...

Smithback wyciągnął rękę, namacał ramię Duffy'ego i bezceremonialnie przyciągnął go do siebie.

– Zamknij się! – warknął, nieomal dotykając wargami ucha inżyniera.

Szloch przerodził się w cichutkie pojękiwanie.

– Gdzie latarka? – wyszeptał dziennikarz.

Jedyną odpowiedzią był szloch. I nagle w ciemności pojawił się słaby promień światła. Jakimś cudem Duffy wciąż trzymał latarkę w ręku.

– Gdzie jesteśmy?

Pojękiwanie ucichło.

– Duffy! Gdzie jesteśmy?

Usłyszał stłumiony szloch.

– Nie wiem. Pewnie w którymś z przepustów.

– Domyślasz się, dokąd on prowadzi?

Tamten głośno pociągnął nosem.

– Tymi kanałami odprowadzany jest nadmiar wody z Rezerwuaru. Jeśli dotrzemy do Szyjki Butelki, może uda się nam zejść do dolnych kanałów odpływowych.

– A jak się stamtąd wydostaniemy? – wyszeptał Smithback.

Duffy czknął.

– Nie wiem.

Smithback znów przemył twarz, nie mówiąc ani słowa; starał się zdusić ból, strach i szok, aby móc nad nimi zapanować. Znów myślał o swoim wielkim temacie. Boże, ależ zyska sławę, to już drugie takie zdarzenie w jego życiu, po przełomowej aferze z Bestią z Muzeum. Przy odrobinie szczęścia na dokładkę zostanie mu jeszcze temat Wisher. Ale najpierw...

Z pewnej bliżej nie określonej odległości dobiegł ich cichy plusk, który jednak stopniowo przybierał na sile. Smithback wychylił się w mrok, nasłuchując.

– Wciąż nas ścigają! – pisnął Duffy wprost do ucha dziennikarza.

Smithback znów chwycił go za ramię.

– Duffy, stul pysk i posłuchaj. Nie prześcigniemy ich. Musimy ich zgubić. Znasz te tunele, musisz mi tylko powiedzieć, dokąd mamy iść. To ty znasz drogę. Musisz nas poprowadzić.

Duffy zaczął się wrywać, z jego ust dobywał się nieartykułowany jęk przerażenia.

Smithback ścisnął go mocniej.

– Posłuchaj, nic nam się nie stanie, jeśli tylko zachowasz spokój i będziesz myśleć logicznie.

Duffy jakby się nieco rozluźnił, a Smithback usłyszał jego ciężki, nierówny oddech.

– W porządku – rzekł inżynier. – Przepusty awaryjne mają na samym dole stacje pomiarowe. Znajdują się one tuż przed Szyjką Butelki. Jeżeli, tak jak przypuszczam, dotarliśmy w jej pobliże, może udałoby się nam schronić wewnątrz stacji.

– Ruszajmy – zasyczał Smithback.

Pobiegli z pluskiem przez mrok, wodząc promieniem latarki od ściany do ściany. Niski tunel zakręcał, a za załomem muru Smithback ujrzał olbrzymi stary fragment jakiejś maszyny, gigantyczną wydrążoną śrubę czy coś w tym rodzaju, umieszczoną poziomo na granitowym podeście. Z obu jej końców wystawały porzewiałe rury, a nieco dalej leżały całe



ich zwoje, przywodzące na myśl błyszczące metalicznie kłęby wyprutych trzewi. U podstawy maszynerii znajdowała się nieduża, okolona barierkami platforma. Strumień płynął wartko obok peronu, a po lewej stronie w ścianie widniał mroczny otwór mniejszego, bocznego tunelu. Sięgając po latarkę, Smithback złapał się barierki i podciągnął w górę, po czym pomógł wejść na nią Duffy'emu.

– Włóż do rury – wyszeptał Smithback. Wepchnął do niej inżyniera, po czym sam wślizgnął się do wąskiego otworu. Nim to jednak uczynił, wrzucił latarkę do strumienia.

– Oszalałeś? Wyrzuciłeś naszą jedyną...

– Jest z plastyku – rzekł Smithback. – Będzie unosić się na powierzchni. Mam nadzieję, że tamci podążą za światłem w dół strumienia.

Siedzieli w całkowitym milczeniu. Grube ściany ciężkiej maszynerii tłumiły odgłosy z tunelu, lecz Smithback już po kilku minutach usłyszał dochodzący z zewnątrz głośny plusk. Zbliżali się Pomarszczeni; sądząc po hałasie, nadciągali bardzo szybko. Duffy z tyłu, za nim, poruszył się nerwowo. Dziennikarz modlił się, by inżynier nie stracił głowy.

Pluski stały się jeszcze głośniejsze, a w chwilę później Smithback usłyszał ich sapanie, ciężkie i świszczące jak charkot starej, zdyszanej chabety. Pluskanie minęło stację pomiarową i niespodziewanie ucichło.

W powietrzu czuć było silny, drażniący koźli odór; Smithback zamknął oczy. W ciemnościach za nim Duffy dygotał jak osika.

Po chwili znów rozległy się głośne pluśnięcia i chlupot, tym razem opodał stacji. Dało się również słyszeć ciche sapanie, jakby węszenie, a Smithback zamarł w bezruchu, gdy przypomniał sobie, że Mbwun miał niewiarygodnie rozwinięty zmysł powonienia. Wreszcie, z niewysłowioną ulgą, Smithback usłyszał, że dźwięki zaczynają się oddalać. Istoty ruszyły dalej w głąb tunelu.

Dziennikarz powoli i głęboko nabierał powietrza, licząc każdy oddech. Przy trzydziestym odwrócił się do Duffy'ego.

– Jak dojść stąd do kanałów burzowych?

– Musimy wyjść z drugiego końca rury – wyszeptał Duffy.

– Chodźmy.

Ostrożnie obrócili się wewnątrz ciasnej, cuchnącej rury i zaczęli pełznąć w stronę drugiego jej końca. W końcu Duffy wyczołgał się na zewnątrz. Smithback usłyszał, jak inżynier ląduje najpierw jedną, potem drugą nogą w wodzie, i sam również ruszył w kierunku wyjścia, gdy wtem mrok rozdarł przeraźliwy krzyk inżyniera, a twarz dziennikarza zbryzgały strugi czegoś, co jak na wodę, było zdecydowanie zbyt gęste i ciepłe. Zawrócił energicznie w głąb rury.

– Pomocy! – zawołał przeraźliwym głosem Duffy. – Nie, proszę, nie, tylko nie... O Boże, to moje wnętrzności... Jezu, niech mi ktoś...

Głos przeszedł nagle w mrożące krew w żyłach rzeźnię, a potem ucichł i słycać już było tylko plusk gwałtownie wzburzonej wody.

Smithback, ogarnięty nagłą paniką, cofając się w głąb rury, usłyszał głuchy dźwięk przypominający odgłos rąbanego tasakiem mięsa, a zaraz potem trzask kości wyrywanych ze stawów.

Smithback wypadł z rury po drugiej stronie, wylądował na wznak w strumieniu, poderwał się na nogi i pobiegł na oślep w głąb bocznego tunelu, nie nasłuchując, nie przejmując się ani nie myśląc o niczym innym, prócz ucieczki. Biegł ile sił w nogach, objając się o ściany tunelu, pokonując kolejne zakręty i odnogi nie kończącego się korytarza, zagłębiając się coraz dalej i dalej w mrocznych czeluściach ziemi. Tunel łączył się z drugim, potem z trzecim, a każdy kolejny był większy od poprzedniego. Nagle, całkiem niespodziewanie, szyję dziennikarza oplotło czyjeś wilgotne i nadzwyczaj silne ramię i dokładnie w tej samej chwili na jego ustach zacisnęła się silna, lodowata dłoń.

## 55

W ciągu godziny od ich spontanicznego wybuchu zamieszki przy Central Park South zaczęły powoli tracić na sile. Przed 23.00 większość prowodyrów zajęć wylądowało swój gniew i niemal cały zapas energii. Rannych odciągnięto na bok, poza terytorium walk. Głośne krzyki, pogrożki i obelgi coraz częściej zastępowały pięści, pałki oraz kamienie. W epicentrum wszelako bitwa trwała w najlepsze. Kiedy jedni schodzili z pola walki, czy to z wyczerpania, czy wskutek odniesionych obrażeń, na ich miejsce zjawiali się inni, wiedzeni ciekawością, gniewem, zamiłowaniem do bójek bądź też alkoholową brawurą. Telewizyjne doniesienia koncentrowały się na brutalnych szczegółach i podsycaly atmosferę hysterii. Wieści rozchodziły się po wyspie z prędkością błyskawicy: docierały do barów przy Pierwszej i Drugiej Alei, gdzie młodzi republikanie zbierali się, by pomstować na prezydenta liberała, rozchodziły się wzdłuż placu Świętego Marka i marksistowskich zakątków East Village, przesyłano je faksami i telefonicznie. Równie szybko jak wieści rozchodziły się także plotki. Wedle niektórych z nich, bezdomni i ci, co próbowali im pomóc, padli ofiarą masakry zorganizowanej przez siły policyjne. Inne głosiły, że lewicowi radykałowie i członkowie gangów podkładali ogień pod banki, strzelali do przechodniów i rabowali, co się dało, z salonów jubilerskich w północnej części miasta. Ci, którzy odpowiedzieli na to wezwanie do czynu, natykali się – często przyplacając owe spotkania sporym uszczerbkiem na zdrowiu – na ostatnie grupki bezdomnych wypędzonych z tuneli przez opary rozpylonego tam gazu łzawiącegogo.

Awangarda ruchu „Odzyskajmy Nasze Miasto”, najbogatsi i najbardziej wpływowi nowojorczy, czym prędzej zeszli ze sceny. Większość, skonsternowana, powróciła do

swych rezydencji i apartamentów. Inni ruszyli zwartą falą w kierunku Wielkiego Trawnika w nadziei, że policja szybko stłumi zamieszki i zaplanowane czuwanie jednak rozpocznie się o północy. Gdy jednak stróże prawa zdołali w końcu zewrzeć szeregi i ruszyć przeciwko walczącym, zamieszki przeniosły się w głąb Parku, w okolice Trawnika i znajdującego się opodal Rezerwuaru.

Panujące w Parku ciemności, gęsty las porastający sporą jego część, mnóstwo krzewów i prawdziwy labirynt ścieżek skutecznie uniemożliwiły policji podjęcie zdecydowanych działań i opanowanie sytuacji.

Stróże prawa ruszyli przeciwko demonstrantom bardzo ostrożnie. Nie dysponowali zbyt wielkimi siłami, z uwagi na niedawno zakończoną ogromną akcją oczyszczania tuneli. Poza tym policjanci wiedzieli doskonale, że wśród tłumu walczących wciąż mogli znajdować się wpływowi, zamożni nowojorczy, a potraktowanie gazem lub pałką członka miejscowej elity nie należało do posunięć, które mógłby zaaprobować dbający o swą karierę polityczną burmistrz.

Jakby tego było mało, wielu policjantów wysłano na patrole w odległe rejony miasta, skąd zaczęły nadchodzić niepokojące doniesienia o licznych aktach wandalizmu i szabrownictwa. Choć nikt nie chciał się do tego przyznać, wszyscy pamiętali przerażające widowisko, jakim były zamieszki w Crown Heights przed kilkoma laty i zaciekle walki uliczne, które trwały nieprzerwanie przez trzy dni i trzy noce.

Hayward patrzyła, jak pielęgniarze wtaczają nosze z Bealem do karetki. Tylne nogi wózka uniosły się, gdy funkcjonariusz znalazł się w ambulansie. Beal jęknął i uniosł dłoń do obandażowanej głowy.

– Ostrożnie – rzuciła do pielęgniarza Hayward. Oparła dłoń o drzwiczki i zajrzała do karetki. – Jak się czujesz? – zapytała.

– Bywało lepiej – odparł Beal, siląc się na uśmiech.

Hayward uśmiechnęła się.

– Wyłizesz się. – Odwróciła się, aby odejść.

– Pani sierżant? – rzucił Beal.

Hayward przystanąła.

– Ten skurwiel Miller zostawiłby mnie tam, żebym sam musiał odnaleźć drogę na powierzchnię. Albo abym tam utonął, co bardziej prawdopodobne. Chyba zawdzięczam wam życie.

– Zapomnij – ucięła Hayward. – Na tym polega ta praca, nieprawdaż?

– Być może – mruknął Beal. – Ale, tak czy owak, nie zapomnę. Dzięki.

Hayward zostawiła Beala z pielęgniarzami i podeszła do kierowcy.

– Co nowego? – zapytała.

– A o czym chce pani usłyszeć? – spytał kierowca, wpisując coś do rejestru. – O świetlanej przyszłości? A może o sytuacji na świecie?

– Opuść sobie tę komedię – ucięła. – Chodzi mi o to. – Skinęła ręką w stronę Central Park West.

Mroczna sceneria spowita była niemal surrealistyczną ciszą. Jeżeli nie liczyć wozów patrolowych i interwencyjnych, stojących na każdym z okolicznych skrzyżowań, na pobliskich ulicach nie było żadnego ruchu. Szeroką aleję wypełnił mrok, ocalało zaledwie kilka latarni, a i te zaczynały szwankować, ich blask był słaby i migotliwy. Ulica zasłana była kawałkami płyt chodnikowych, betonu, potłuczonym szkłem i śmieciami. Nieco dalej na południe Hayward spostrzegła większe skupisko mrugających świateł.

– Gdzie się pani podziewała? – spytał kierowca. – Jeżeli przez ostatnią godzinę nie przebywała pani pod ziemią, nie pojmuję, jak mogła pani przeoczyć to widowisko.

– Niewiele się pomyliłeś – odparła. – Oczyszczaliśmy tunele pod Parkiem, usuwając stamtąd bezdomnych. Stawiali opór. Nasz kolega został ranny i trochę trwało, zanim wynieśliśmy go na powierzchnię. Znaleźliśmy się dość głęboko pod ziemią i nie chcieliśmy go za bardzo ponaglać, i tak był już w kiepskim stanie. Pięć minut temu wyszliśmy przez stację przy Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i ni stąd, ni zowąd okazało się, że znajdujemy się w mieście duchów.

– Wypędzaliście bezdomnych? – zapytał kierowca. – A więc to wasza robota?

– Co takiego? – Hayward zmarszczyła brwi.

Kierowca postukał się w ucho i skinął ręką na wschód, jakby inna odpowiedź nie była tu konieczna.

Hayward wyteżyła słuch. Pośród pisku skanera w karetkce i odległych dźwięków miasta wychwyciła dochodzący z Central Parku ryk megafonów, krzyki, wrzaski i zawodzenie syren.

– Słyszała pani o marszu pod hasłem „Odzyskajmy Nasze Miasto”? – spytał kierowca. – O tym nie zapowiedzianym marszu wzdłuż Central Park South?

– Obiło mi się to i owo o uszy – odparła Hayward.

– Taaa. W pewnym momencie spod ziemi zaczęły wychodzić gromady bezdomnych. Byli wściekli. Wygląda na to, że wasi chłopcy nie żalowali im pałek. Zaczęli przekomarzać się z demonstrantami. Nim ktokolwiek się zorientował, doszło do otwartej konfrontacji. Słyszałem, że ludzie dostawali tam niezłego świra. Wyli, krzyczeli, a tych, co upadli, brali pod fleki. Potem zaczęło się łupienie i dewastowanie. Godzinę zajęło gliniarzom opanowanie sytuacji. I tak nie udało im się w pełni stłumić zamieszek, walki wciąż trwają. Zdołali jedynie zepchnąć walczących na teren Central Parku.

Pielęgniarka z tyłu dał mu sygnał, a kierowca wrzucił bieg i ruszył; błyskające światła „koguta” odbijały się od wapiennych frontonów.

Wodząc wzrokiem wzdłuż Central Park West, Hayward widziała zaintrygowane twarze, które wyglądały z okien w stronę Parku. Kilka odważniejszych osób stało na chodniku przed

kamienicami, w pobliżu gwarantujących im bezpieczeństwo, odzianych w liberie odźwiernych. Spojrzała w górę na ogromny gotycki kształt Dakoty, wznoszący się niewzruszenie pośród szalejącego wokół chaosu, zupełnie jakby wąska, stylizowana fosa zdołała odeprzeć napór rozszalałego tłumu. Jej wzrok przesunął się jeszcze wyżej, ku narożnej wieżycze, gdzie musiały się znajdować okna apartamentu Pendergasta. Zastanawiała się, czy agent zdołał powrócić cały z Diabelskiego Poddasza.

– Odprawiłaś Beala do szpitala? – usłyszała wołanie Carlina. Jego potężna sylwetka wyłoniła się z cienia opodal.

– Przed chwilą – odparła, odwracając się do niego. – A co z tym drugim?

– Odmówił przewiezienia do szpitala – mruknął Carlin. – Widziałas gdzie Millera?

Hayward skrzywiła się i gniewnie zmarszczyła brwi.

– Pewnie siedzi teraz w którymś z barów przy Atlantic Avenue, sącząc piwo i przechwalając się swymi wyczynami. Tak to już bywa, nieprawdaż? On dostanie awans, a my naganę za niesubordynację.

– Może czasem rzeczywiście tak bywa – mruknął Carlin, uśmiechając się tajemniczo. – Ale nie tym razem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Hayward, ale nim Carlin zdążył odpowiedzieć, dodała: – Nie sposób stwierdzić, co Miller zrobił ani czego nie zrobił. Chyba lepiej się zgłosmy. – Odpięła od pasa krótkofalówkę i włączyła ją. Na każdym paśmie słychać było głośny, statyczny szum i przepelnione paniką głosy, donoszące:

Kierują się w stronę Wielkiego Trawnika, potrzeba nam więcej ludzi, aby... Mamy ośmiu, ale nie damy rady ich utrzymać, jeśli zaraz nie zjawi się radiowóz... rozplyną się w mroku i tyle będziemy ich widzieć... Pół godziny temu wezwałem śmigłowiec ratunkowy, mamy tu rannych, do cholery... Chryste, trzeba zamknąć południowy kwadrat, z każdą chwilą zjawiają się nowi...

Hayward wyłączyła krótkofalówkę i ponownie przypięła ją do pasa, po czym skinęła na Carlina, by poszedł z nią w stronę stojącego na rogu wozu patrolowego. Obok auta stał funkcjonariusz w pełnym rynsztunku bojowym, ze strzelbą w dłoni, czujnie obserwując ulicę.

– Gdzie jest punkt dowodzenia tą operacją? – zapytała Hayward.

Policjant uniósł przyłbicę i spojrzał na Hayward.

– Podobno na zamku. Tak przynajmniej mówią w dyspozytorni. Zrobił się tu nielichy bałagan, ale to już chyba wiecie.

– Zamek Belvedere. – Hayward odwróciła się do Carlina. – Ruszajmy tam.

Gdy pobiegli wzdłuż Central Park West, Hayward skojarzyło się to z wizytą w Hollywood przed dwoma laty. Przypomniała sobie, jak szła ulicą będącą kopią jednej z ulic Manhattanu, gdzie kręcono niezliczone musicale i filmy gangsterskie. Widziała sztuczne

latarnie, witryny sklepowe, hydranty... wszystko oprócz ludzi. Wówczas zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że zaledwie sto jardów dalej znajdują się tętniące życiem kalifornijskie ulice. Mimo to pustka na planie wydawała się jej upiorna i przerażająca.

Tej nocy miała podobne odczucia co do Central Park West. Choć słyszała dochodzące z oddali dźwięki klaksonów i jęk syren i choć wiedziała, że na terenie Parku oddziały policji usiłowały zaprowadzić porządek i zapanować nad walczącymi, ta rozległa mroczna ulica wzbudzała lęk i uczucie osobliwej nierealności. Na widmowej alei z rzadka tylko można było dostrzec pełniącego służbę odźwiernego, zaciekawionego mieszkańca lub policyjną blokadę.

– Niech to szlag – mruknął biegnący obok niej Carlin. – Spójrz tylko.

Hayward uniosła wzrok i to, co ujrzała, w jednej chwili wyrwało ją z odrętwienia.

Można to było przyrównać do przekroczenia strefy zdemilitaryzowanej, przejścia z porządku do chaosu. Na południu, po drugiej stronie Sześćdziesiątej Piątej Ulicy, spostrzegli morze ruin. Szyby na parterze większości budynków były powybijane, markizy nad eleganckimi wejściami podarte na strzępy trzepotały na wietrze. W tym rejonie policjantów było więcej, wszędzie stały pomalowane na niebiesko barykady. W samochodach stojących przy chodnikach powybijano wszystkie szyby. Kilka przecnic dalej policyjna ciężarówka holownicza z migoczącym żółto „kogutem” odholowywała wrak spalonej taksówki.

– Wygląda, jakby przetoczyło się tędy spore stado naprawdę mocno wkurzonych kretów – skomentowała Hayward.

Prześli ulicę, kierując się ku podjazdowi i wbiegli do Parku. Po obrazie zniszczeń, jakie mieli okazję oglądać zaledwie przed chwilą, wąskie asfaltowe ścieżki wydawały się ciche i opustoszałe. Jedyne połamane ławki, wywrócone kosze i serty dymiących śmieci stanowiły nieme świadectwo wydarzeń, które musiały rozgrywać się tu całkiem niedawno. Hałas napływający do nich z głębi Parku zdradzał, że prawdziwe pandemonium dopiero przed nimi.

Nagle Hayward przystanęła, dając Carlinowi znak, by uczynił to samo. W ciemnościach przed nimi spostrzegła grupę ludzi – nie potrafiła określić, ilu ich było – zmierzającą w stronę Wielkiego Trawnika. To nie mogą być gliny, skonstatowała. Nie mają hełmów, ani nawet czapek.

Ruszyła naprzód, stąpając miękko, na palcach, aby nie robić zbyt wielkiego hałasu. Znalazłszy się dziesięć jardów za nimi, ponownie się zatrzymała.

– Stać! – krzyknęła, dotykając dłonią kolby służbowej broni. – Policja!

Grupka stanęła niepewnie, po czym odwróciła się w jej stronę. Stanowiło ją czterech, nie, pięciu młodych mężczyzn w sportowych kurtkach i koszulkach polo. Zauważyła, że byli uzbrojeni: dwóch miało aluminiowe kije baseballowe, a jeden – długi, paskudnie wyglądający nóż kuchenny.

Patrzyli na nią. Mieli pocerwieniałe twarze i szerokie uśmiechy na ustach.

– Co jest? – warknął jeden z nich, robiąc krok w jej stronę.

– Nie ruszaj się! – ostrzegła Hayward.

Mężczyzna się zatrzymał.

– Dokąd się wybieracie, chłopcy?

Mężczyzna stojący najbliżej parsknął, rozbawiony absurdalnością pytania, i krótkim ruchem głowy wskazał na centrum Parku.

– Idziemy zrobić porządek – dobiegło od strony grupy.

Hayward pokręciła głową.

– To, co się tam dzieje, nie jest waszą sprawą.

– Akurat – burknął młodzieniec stojący z przodu. – Są tam nasi kumple i dostają łomot od bandy cuchnących, brudnych włóczęgów. To się musi skończyć.

Zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

– Tym się zajmie policja – ucięła Hayward.

– Gliny nic nie robią – odparł młodzieniec. – Proszę się rozejrzeć. Pozwalacie tym obdartusom demolować nasze miasto.

– Słyszeliśmy, że zabili już ze dwadzieścia albo i trzydzieści osób! – rozległ się bełkotliwy, podpity głos. Słowa te padły z ust młodzieńca trzymającego przy uchu telefon komórkowy. – Podobno wykończyli też panią Wisher. Obracają to miasto w perzynę. Z pomocą przyszły im szumowiny z Soho i East Village. Pieprzeni anarchiści. Nasi kumple potrzebują pomocy.

– Czy to jasne? – spytał ten z przodu. – No to z drogi, paniusiu.

Znow ruszył w jej stronę.

– Jeszcze jeden krok, a zrobię ci przedziałek, używając tego. – Płynnym ruchem sięgnęła po wiszącą przy pasie pałkę i wyjęła ją z uchwytu. Stojący obok niej Carlin zastygł w bezruchu.

– Łatwo ci zgrywać twardziela – rzucił drwiąco młodzieniec – gdy masz przy pasie giwerę, a obok stoi ten wielki mięśniak.

– Sądzisz, że dałabyś radę nam pięciu? – spytał ktoś.

– Może spróbowałabyś zagłaskać nas na śmierć swoimi balonami – wtrącił inny. Rozległ się stłumiony śmiech.

Hayward wzięła głęboki oddech i wsunęła pałkę do uchwytu.

– Funkcjonariuszu Carlin – rzekła. – Proszę się cofnąć o dwadzieścia kroków.

Carlin nawet nie drgnął.

– Natychmiast! – rzuciła gniewnie.

Carlin patrzył na nią przez chwilę. Następnie, nie odrywając wzroku od grupy, zaczął wycofywać się tyłem w głąb ścieżki, którą tu dotarli.

Hayward podeszła do prowodyra grupy.

– Posłuchaj, cwaniaczkę – mruknęła, patrząc mu prosto w oczy. – Mogłabym zdjąć pas z bronią, odpiąć odznakę i nakopać wam w wasze żalotne białe tyłki tak mocno, że natychmiast wróciłibyście do Scarsdale, Greenwich czy gdziekolwiek indziej, gdzie matki tulą was do snu,

ale wcale nie muszę tego robić. Bo widzicie, jeśli zaraz nie wypełnicie moich poleceń co do joty, nie wróćcie tej nocy do domów i mamusie nie utulą was do snu. Miast tego jutro z rana ustawią się w kolejce na komendzie głównej, aby móc wpłacić za was kaucję. Niestety, żadne pieniądze świata, znajomości ani wpływy nie zdołają usunąć z waszych policyjnych kartotek notki o zatrzymaniu podczas usiłowania popełnienia napaści z bronią w ręku. W tym kraju osoba skazana za takie przestępstwo nie może prowadzić praktyki prawniczej. Ani sprawować urzędów publicznych. I nici z intratnych posadek. A waszym ojcom to się nie spodoba. O, nie. Ani trochę. Jestem o tym przekonana.

Przerwała na chwilę.

– Mówię raz jeszcze, rzućcie broń – rzekła lodowatym tonem.

Przez krótką chwilę nikt się nie poruszył.

– Rzućcie broń, powiedziałam! – wrzasnęła na całe gardło.

W ciszy, jaka potem zapadła, rozległ się brzęk upuszczanego na asfalt kija baseballowego. Jednego, potem drugiego. Wreszcie dał się słyszeć cichy odgłos noża lądującego na ziemi. Odczekała dłuższą chwilę, po czym cofnęła się o krok.

– Funkcjonariuszu Carlin – rzekła półgłosem. Zanim się obejrzała, już był przy niej.

– Czy mam ich przeszukać? – zapytał.

Hayward pokręciła głową.

– Prawa jazdy – zwróciła się do młodych mężczyzn. – Też chciałabym je dostać. Rzućcie je na ziemię.

Przez chwilę nic się nie działo. W końcu prowodyr sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął portfel i wyłuskawszy zeń plastikową kartę, upuścił ją na ziemię.

Pozostali zrobili to samo.

– Możecie je odebrać jutro po południu na komendzie głównej – ciągnęła. – Pytajcie o sierżant Hayward. A teraz grzecznie wyjdziecie z Parku i rozejdziecie się, każdy w swoją stronę. I pamiętajcie, idźcie prosto do domu. Już późno, pora spać. Czy to jasne?

Cisza.

– Nie słyszę odpowiedzi! – warknął Carlin, a młodzi mężczyźni wzdrygnęli się odruchowo.

– Jasne – odparli chórem.

– To wynocha stąd – rzuciła Hayward.

Tamci stali bez ruchu jak wrośnięci w ziemię.

– Zjeżdżajcie! – ryknęła donośnie.

Cała grupka, ze spuszczoneymi głowami, pomaszerowała w stronę Central Park West. Wkrótce ich sylwetki rozplynęły się w mroku.

– Banda palantów – mruknął Carlin. – Sądziysz, że faktycznie zginęło już dwadzieścia, trzydzieści osób?

Hayward parsknęła, nachylając się, by pozbiierać broń i dokumenty.



– Ależ skąd. Jeśli jednak plotki wciąż będą się rozprzestrzeniać, tacy jak tych pięciu tandeciarzy będą się tu zlatywać jak pszczoły do miodu. A wówczas nigdy nie uda się nam opanować sytuacji. – Oddała mu kije i westchnęła przeciągle. – Chodź. Musimy się zameldować i złożyć raport, a potem zobaczymy, czy możemy jeszcze dzisiaj w czymś pomóc. Jutro bowiem, o czym wiesz doskonale, przełożeni dadzą nam w kość za to, co się stało w tunelach.

– Nie tym razem – odparł Carlin, uśmiechając się pod nosem.

– Już to mówiłeś – Hayward spojrzała na niego. – Co masz na myśli, Carlin?

– Chcę tylko powiedzieć, że tym razem prawi zostaną nagrodzeni. A Millerów tego świata czeka haniebny upadek.

– Kiedyż to odkryłeś w sobie talent do przepowiadania przyszłości?

– Kiedy dowiedziałem się, że nasz przyjaciel Beal, którego odesłałaś do szpitala, jest synem niejakiego Stevena X. Beala.

– Senatora Stevena Beala? – zapytała z niedowierzaniem Hayward.

Carlin pokiwał głową.

– On nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział. Obawia się, że ludzie mogliby sądzić, iż wykorzystuje rodzinne koneksje do różnych celów, ma u wszystkich taryfę ulgową i w ogóle. Niemniej jednak to uderzenie w głowę trochę rozwiązało mu język.

Hayward przez chwilę stała w bezruchu. Wreszcie pokręciła głową i różnym krokiem pomaszerowała w kierunku Wielkiego Trawnika.

– Pani sierżant? – rzekł Carlin.

– Tak?

– Dlaczego kazałaś mi się cofnąć przed tą bandą ochlapusów?

Hayward milczała przez chwilę.

– Chciałam pokazać, że się ich nie boję. I musiałam to zrobić jak należy.

– Zrobiłabyś to?

– To znaczy co?

– No wiesz. – Carlin wykonał zamaszysty gest ręką. – Czy nakopałabyś im tak, że ekspresem wróciliby do Scarsdale i Bóg wie, gdzie jeszcze?

Hayward spojrzała na niego lekko.

– A jak ci się zdaje?

– Wydaje mi się... – Carlin zawahał się przez chwilę – że czasami naprawdę można się pani przestraszyć, panno Hayward.

Gdy łódź motorowa cięła gładko mroczną toń Hudsonu, Snow powoli przywdziewał kombinezon piankowy. Czuł delikatne drżenie kadłuba wywoływane pracą dwóch potężnych silników dieslowskich. Pod pokładem było niewiele miejsca, trudno było nawet stanąć wśród znajdujących się tam loranów, gps-ów, sonarów i szafek z bronią. Snow zauważył, że dano mu tak zwany kombinezon mokry – nurkowie policyjni używali kombinezonów suchych – i z miejsca pożałował, że zaproponował wejście do kanałów przez oczyszczalnię ścieków. Za późno, pomyślał, szarpiąc się z kombinezonem. Łódź zakolebała się i runął do przodu, uderzając głową o ściankę.

Zaklął i energicznie roztarł dłonią czoło. Bolało. W porządku. Więc to nie sen. Faktycznie znajdował się na łodzi w towarzystwie doborowego oddziału komandosów z SEAL-a, uzbrojonych po zęby i mających do przeprowadzenia jakąż bliżej nie sprecyzowaną misję. W jednej chwili przepełniły go strach i ekscytacja. Wiedział, że oto nadarzała mu się okazja na odkupienie win. Szansa, by pokazał, na co naprawdę go stać. Być może jedyna, która będzie mu dana. Uczyni wszystko, co w jego mocy, by jej nie zmarnować.

Poprawił maskę, ustawił zamocowaną przy niej lampę, naciągnął rękawice i wrócił na pokład.

Kapitan Rachlin, który podszedł, by pomówić ze sternikiem, kiedy usłyszał, że nadchodzi, odwrócił się płynnym ruchem.

- Gdzie barwy maskujące? I czemu tak długo to trwało?
- Wasz sprzęt różni się trochę od tego, którego dotąd używałem, sir.
- Macie odtąd czas aż do zanurzenia, by się z nim zaznajomić.
- Tak jest, sir.

Rachlin skinął głową w stronę Snowa.

- Donovan, przygotuj go.

Donovan podszedł i bez słowa zaczął rozsmarowywać na czole i policzkach Snowa tłustą, czarno-zieloną pastę. Rachlin gestem przywołał do siebie resztę zespołu.

– Posłuchajcie – rzekł, rozkładając na udzie plastikową mapę. – Wejdziemy do środka przez główny zbiornik osadowy nad bocznikiem w West Side. Zdaniem obecnego tu Snowa, to najszybszy sposób na dostanie się do wewnątrz. – Palcem nakreślił na mapie trasę planowanego przejścia. – Później podążymy tędy, wedle wcześniej ustalonego planu, aby dotrzeć do tego miejsca, pierwszego pionu rozgałęzienia podziemnych tuneli. To nasz punkt zbiórki. Gdy się w nim znajdziemy, drużyny Alfa, Beta i Gamma rozejdą się, każda do swojego tunelu. Ja pójdę na szpicy, poprowadzę drużynę Alfa. Snow i Donovan tworzą zespół Delta. Ich zadaniem jest osłaniać nasze tyły i pilnować, czy wszystko jest jak należy. Jakies pytania?

Snow miał ich kilka, ale nie zadał ani jednego. Twarz piekła go od brutalnego wcierania w nią pasty przez szorstkie urękawiczone dłonie Donovana, a tłusta maź cuchnęła jak zjełczały łój.

Kapitan skinął głową.

– Wchodzimy do środka, zakładamy ładunki i wychodzimy. Zadanie proste i łatwe jak ćwiczenia na poligonie. Ładunki spowodują zablokowanie niższych tuneli odpływowych dochodzących do bocznika. Inny zespół zejdzie do tuneli od strony Parku, blokując dostęp od góry. Sądząc po planach, operację tę obmyślił prawdziwy zawodowiec. – Dowódca parsknął w maskę. – Kazali nam używać UNW. Uwierzylibyście?

– UNW? – zawtórował Snow.

– Urządzeń noktowizyjnych, złotko. Spróbuj jednak ich używać, mając na głowie kaptur kombinezonu i maskę. – Splunął za burtę. – Nie boimy się ciemności. A jeśli ktoś zechce z nami zadrzeć, to proszę bardzo. Jesteśmy gotowi. Niemniej jednak wolałbym widzieć, co rozwalam w drobny mak.

Postąpił naprzód.

– W porządku. Hastings, Clapton, Beecham, na czas trwania tej misji wyznaczam was do roli tragarzy broni. W jednym zespole będzie jeden tragarz. Lorenzo, Campion, Donovan, wy będziecie nieść ładunki wybuchowe. Ja również. To mają być naprawdę huczne fajerwerki, więc czeka was taszczenie sporych ciężarów. Przygotować się. Na ramię broń.

Snow patrzył, jak komandosi przewieszają sobie ukośnie przez pierś pistolety maszynowe.

– A co ze mną? – zapytał niepewnym głosem.

Rachlin odwrócił się do niego.

– Nie wiem. Co z wami?

Snow przełknął ślinę.

– Ja też chciałbym coś zrobić. Pomóc jakoś... jakkolwiek.

Rachlin patrzył na niego przez chwilę. I nagle na jego ustach pojawił się lekki uśmiezek.

– W porządku – rzekł. – Na czas tej operacji będziesz naszym mięśniakiem.

– Mięśniakiem? – spytał Snow.

– W rzeczy samej – potaknął dowódca. – Beecham! Rzuć no tu sprzęt. – Rachlin schwycił rzucony mu wodoszczelny chlebak i włożył go na szyję Snowa. – Nie wolno ci go zdjąć, dopóki nie znajdziemy się w punkcie wyjściowym – rzekł półgłosem.

– Sir, przydałaby mi się broń – powiedział Snow.

– Daj mu coś. – Ktoś szturchnął Snowa w brzuch kolbą harpuna. Policjant schwycił broń i przerzucił sobie przez ramię.

Wydawało mu się, że słyszy czyjś drwiący śmiech, ale zignorował to. Snow wielokrotnie polował z harpunem w Morzu Corteza, ale nigdy jeszcze nie widział pocisków takich jak te,

podwieszane pod bronią, którą otrzymał – oprócz długich, pełnych zadziarów ostrzy każdy z harpunów wyposażony był w ładunek wybuchowy.

– Tylko nie strzelaj do krokodyli – powiedział Donovan. – Są na wymarcu. – To były pierwsze słowa, jakie usłyszał od niego Snow.

Pulsowanie silników pogłębiło się i łódź przybiła do betonowego pomostu poniżej mrocznego masywu oczyszczalni ścieków. Snow z niepokojem spojrział w górę na ogromną betonową budowlę. Zakład był w pełni zautomatyzowany, stanowił rzekomo istne dzieło sztuki, lecz policjant słyszał plotki, jakoby od chwili jego uruchomienia, przed pięciu laty, oczyszczalnia stale borykała się z jakimiś problemami. Miał nadzieję, że nie omylił się, sugerując zejście do tuneli przez główny zbiornik osadowy.

– Czy powinniśmy ich powiadomić o naszym przybyciu? – zapytał Snow.

Rachlin spojrział na niego z lekkim rozbawieniem.

– Już to zrobiliśmy. Byłeś wtedy pod pokładem. Spodziewają się nas.

Przez burtę przerzucono sznurową drabinkę i oddział pospiesznie zszedł po niej na pomost. Snow rozejrzał się dokoła, aby zorientować się w terenie. Znał to miejsce, był tu podczas szkolenia: niedaleko stąd znajdowała się sterownia. Oddział wszedł za nim na górę po metalowych schodach i ruszył dalej, mijając ogromne zbiorniki napowietrzania i filtrowania odpadów.

Woń metanu i ścieków wisiała w powietrzu niczym cuchnąca mgła.

Gdy minęli ostatni ze zbiorników, Snow przystanął przed jasnożółtymi metalowymi drzwiami, odcinającymi się na tle wszechobecnej dokoła szarości, z wymalowanymi na nich czerwonymi literami: Nie wchodzić. Otwarcie drzwi uruchomi sygnał alarmowy.

Rachlin odepchnął Snowa na bok i otworzył drzwi solidnym kopnięciem. Za drzwiami znajdował się wąski betonowy korytarz, skąpany w silnym świetle neonówek. Dał się słyszeć wyraźny, zawodzący jęk syreny alarmowej.

– Jazda – rzucił półgłosem Rachlin.

Snow sprowadził ich schodami na dół, na podest oznaczony napisem STEROWNIA. W ścianie znajdowały się drzwi, a obok nich czytnik z otworem na kartę elektroniczną. Dowódca cofnął się i już miał kopnąć w drzwi, gdy nagle, jakby po namyśle, nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się bezszelestnie. W ogóle nie były zamknięte.

Za nimi znajdowało się rozległe pomieszczenie, jasno oświetlone i przesycone dławiącą wonią ścieków. Wzdłuż ścian ciągnęły się urządzenia kontrolne i regulujące. Pośrodku, przy konsoli kontrolnej, siedział tylko jeden nadzorca. Odłożył słuchawkę telefonu stojącego na biurku, włosy miał w nieładzie i mrugał powiekami, jakby telefon wyrwał go z głębokiego snu.

– Wiecie, kto dzwonił – wyjaśnił, wskazując na aparat. – Boże Święty, toż to przecież sam zastępca dyrektora...

– Świetnie – uciał Rachlin. – Nie traćmy zatem czasu. Musimy niezwłocznie wyłączyć turbinę głównego odpływu.

Mężczyzna zamrugał, spoglądając na Rachlina, jakby ujrzął go po raz pierwszy. Gdy powiódł wzrokiem po stojących za dowódcą komandosach, wybałuszył oczy jeszcze bardziej.

– A niech to – wykrztusił, zerkając na harpun bojowy Snowa. – On nie żartował, prawda?

– Pospiesz się, złotko – wysyczał przeciągle Rachlin – albo wrzucimy cię do zbiornika i pozwolimy, aby twój tłusty zewłok sam zablokował turbinę.

Mężczyzna poderwał się z krzesła, podszedł do panelu kontrolnego i opuścił kilka dźwigni.

– Pięć minut to wszystko, ile mogę panom poświęcić – rzucił przez ramię, zbliżając się do drugiej konsoli. – Gdybym wyłączył urządzenie na dłużej, w całej okolicy na zachód od Lenox Avenue wybiłaby kanalizacja.

– Pięć minut to dokładnie tyle, ile nam trzeba. – Rachlin spojrział na zegarek. – Zaprowadź nas do zbiornika osadowego.

Nadzorca, lekko dysząc, wyprowadził komandosów na podest, a stamtąd po schodach do wąskiego korytarza. Na jego drugim końcu znajdowały się drzwi. Mężczyzna otworzył je, po czym wraz z pozostałymi zszedł po spiralnych metalowych, pomalowanych na czerwono schodach. Wiodły one do niedużej kładki zwieszającej się kilka stóp nad spienioną, kipiącą powierzchnią.

– Naprawdę chcecie tam zejść? – zapytał pyzaty nadzorca, spoglądając na komandosów z niedowierzaniem.

Snow spojrział w dół na pokrytą pianą i szumowinami powierzchnię, mimowolnie zmarszczył nos i po raz kolejny pożałował, że został tej nocy w biurze i że zaproponował zejście do kanałów tą właśnie drogą. Najpierw Humboldt Kill, a teraz...

– Tak – odparł kapitan.

Mężczyzna oblizał wargi.

– Główny dopływ znajduje się pięć stóp poniżej powierzchni, po wschodniej stronie zbiornika. Uwaga na łopaty turbiny. Wyłączyłem ją, ale pod wpływem pływów osadowych łopaty wciąż będą się poruszać.

Rachlin skinął głową.

– A gdzie dokładnie znajduje się pierwszy pion?

– Trzysta dwadzieścia stóp w głąb kanału dopływowego – wyjaśnił nadzorca. – Przy rozgałęzieniu skróćcie w lewą odnogę.

– To wszystko, co musimy wiedzieć – odparł Rachlin. – Teraz proszę wracać na górę, a gdy się tam pan znajdzie, niech pan ponownie włączy urządzenia.

Mężczyzna stał w bezruchu, przyglądając się oddziałowi.

– Jazda! – warknął Rachlin, a nadzorca ruszył schodami na górę.

Snow zanurkował pierwszy, wskakując tyłem do wypełnionego bulgoczącą breją zbiornika, a zaraz po nim Donovan.

Gdy skwapliwie otworzył oczy, zdziwił się, jak przejrzysta była woda w ściekach, nie melasowata, lecz rzadka, z leciutkim, mlecznobiałym odcieniem.

Do zbiornika wskoczyli pozostali. Czuł wilgoć wślizgującą się pomiędzy kombinezon a skórę i starał się o tym nie myśleć.

Snow popłynął przed siebie, walcząc ze słabym prądem. Przed sobą dostrzegł wyłączoną turbinę przepustu, za którą czernił się otwór rury dopływowej; stalowe łopaty wciąż obracały się powoli. Zatrzymał się i odczekał, aż dołączą doń Rachlin z resztą oddziału. Rachlin wskazał na Snowa i przesadnym gestem odliczył na palcach. Przy trzech Snow i Donovan przemknęli na drugą stronę turbiny. Po nich to samo uczyniły kolejno zespoły Alfa, Beta i Gamma.

Snow znalazł się w ogromnej stalowej rurze, wiodącej w niezgłębioną, czarną otchłań.

Znów poczuł narastającą zgrozę, przerażenie identyczne jak to, które ogarnęło go w Humboldt Kill, ale zwalczył je w sobie, spowalniając oddech i w myślach licząc uderzenia serca. Nie mógł spanikować. Nie tym razem.

Rachlin i jego partner prześlizgnęli się pomiędzy łopatami, po czym kapitan zdecydowanym gestem dał Snowowi znak, aby płynął dalej. Nie zwlekając, wypełnił polecenie, prowadząc pozostałe zespoły na miejsce zbiórki. Z tyłu, za nim, rozległ się łoskot uruchamianej turbiny. Łopaty zaczęły się obracać. Prąd wokół niego stał się bardziej rwący. Teraz, nawet gdyby chciał, nie mógł już zawrócić.

Tunel prowadził w dół, po drodze minęli jedno, a potem drugie rozwidlenie. Snow w obu przypadkach wybierał lewą odnogę. Zdawało się im, że minęła cała wieczność, lecz w końcu oddział zatrzymał się przy pierwszym pionie wentylacyjnym, wąskim stalowym szybie, nieco szerszym niż ramiona rosnącego mężczyzny.

Rachlin dał znak, że odtąd on przejmuje prowadzenie oddziału. Podążając za komandosami z SEAL-a, Snow popłynął w dół, otoczony chmurą bąbli powietrza z butli tlenowych swoich poprzedników. Po kilku jardach dowódca się zatrzymał, po czym wprowadził swoich ludzi do poziomego przewodu, węższego jeszcze niż szyb, którym podążali dotychczas. Snow płynął za Donovanem, oddychając ciężko, gdy jego zbiorniki przy każdym ruchu odbijały się od ściany.

Nagle błyszcząca stal ustąpiła miejsca starej żelaznej rurze, pokrytej gąbczastym nalotem rdzy. Zawirowania wody wywołane przepłynięciem przez rurę poprzedników Snowa były tak silne, że woda zabarwiła się na pomarańczowo. Snow prawie nic nie widział. Mętna woda opływała całe jego ciało, mimo to płynął nieprzerwanie naprzód, czując uspokajające regularne fale wywołane przez niewidoczne pletwy znajdującego się przed nim Donovana.

Przystanęli na chwilę, podczas gdy Rachlin spoglądał na mapę w świetle małej, ołówkowej, wodoodpornej latarki. Jeszcze dwa zakręty, krótki odcinek pod górę i Snow

poczuł, że jego głowa wydostaje się spod wody. Znaleźli się w ogromnym starym tunelu o średnicy około szesnastu stóp i w połowie wypełnionym przetaczającą się leniwie mętną wodą. Główny Bocznik.

– Snow i Donovan, do tyłu – dobiegł ich stłumiony głos Rachlina. – Zostańcie na powierzchni, ale oddychajcie powietrzem z butli. W tym tunelu powietrze jest zbyt przesycone metanem. Ruszamy zgodnie z ustaloną procedurą.

Dowódca szybko sprawdził coś na oprawionej w plastik mapie przymocowanej do kombinezonu, po czym popłynął naprzód.

Oddział rozdzielił się na zespoły, które sprawnie skierowały się ku przydzielonym im tunelom.

Snow uważał się za doskonałego pływaka, jednak to, co zaprezentowali współtowarzysze, którzy w kilka chwil pozostawili go daleko w tyle, znacznie wykraczało poza jego możliwości.

Tunel kończył się w ogromnym pięciokątnym pomieszczeniu o wysokim sklepieniu, ozdobionym żółtymi, ociekającymi wodą stalaktytami.

Snow ze zdumieniem spojrział na potężny żelazny łańcuch, zwieszający się z metalowego okrągłego haka, umieszczonego w samym środku kopułowego sklepienia.

Strutki wody ściekały po ogniwach łańcucha i wielkim zardzewiałym haku, skapując na końcu do zbiornika poniżej. Na betonowym podeście dostrzegł rdzawe ślady. W ścianach pomieszczenia widniały otwory trzech wielkich suchych tuneli.

– Potrójne rozgałęzienie – rzekł Rachlin. – To będzie nasze miejsce zbiórki. Co prawda nasze zadanie to bułka z masłem, ale musimy je wykonać regulaminowo. Obowiązuje prosta zasada akcji i reakcji. Hasło i odzew. Właściwym odzewem będą trzy liczby parzyste. Zasady nawiązania walki są proste – podajecie swoją tożsamość, ale w razie jakiegokolwiek zagrożenia czy próby uniemożliwienia wykonania misji strzelajcie tak, aby zabić. Punkt wyjściowy mamy wyznaczony w kanale na wysokości Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. – Kapitan rozejrzał się wokoło. – W porządku, panowie, najwyższy czas, byśmy zarobili na swoje emerytury.

## 57

Przez krótką, przerażającą chwilę Margo sądziła, że zostali zaatakowani, i odwróciła się, instynktownie unosząc broń do pozycji gotowości, niepewna, czy spojrzeć na istotę, z którą mocował się Pendergast.

D'Agosta zaklął pod nosem. Zerknęła spod półprzymkniętych powiek poprzez wciąż obce jej gogle noktowizora i stwierdziła, że Pendergast szamocze się z jakimś człowiekiem,

zapewne bezdomnym, który wymknął się z policyjnej obławy. Takie w każdym razie sprawiał wrażenie – był cały mokry, utyflany w błocie i chyba krwawił z jakiejś niewidocznej rany.

– Zgaś latarkę – zasyczał Pendergast.

Promień latarki D’Agosty musnął jej gogle i zgasł. Przez chwilę przed jej oczami wirowały barwne plamy, gdy urządzenie przystosowywało się do zmiany oświetlenia, a gdy dokonało niezbędnej korekty, świat dokoła znów nabrał ostrości. Westchnęła głęboko. To pociągłe oblicze i zmierzwiłone, pozlepiane w strąki włosy wydały jej się znajome.

– Bill? – spytała z niedowierzaniem.

Pendergast przewrócił mężczyznę na ziemię, obejmując go ramionami, jakby dla ochrony, i szeptał mu coś do ucha. Po chwili tamten przestał się wyrywać i zwiotczał. Pendergast puścił go i wstał.

Margo wychyliła się do przodu, aby lepiej się przyjrzeć. Tak, to faktycznie był Smithback.

– Dajcie mu chwilę – rzekł Pendergast.

– Nie do wiary – warknął D’Agosta. – Sądysz, że przyszedł tu za nami?

Pendergast pokręcił głową.

– Nie. Nikt nas nie śledził.

Rozejrzał się wokoło, poniżej i ponad nimi rozciągał się labirynt korytarzy.

– To Szyjka Butelki, tu schodzą się wszystkie wiodące w dół tunele z obszaru Central Parku. Najwyraźniej ścigano go i całkiem przypadkowo nasze drogi się przecięły. Pytanie brzmi, kto lub co go ścigało?

Sięgnął po zaopatrzoną w dyszę rurę miotacza płomieni i spojrzał na D’Agostę.

– Bądź gotów w każdej chwili użyć flesza, Vincencie.

Niespodziewanie Smithback poderwał się z ziemi, by zaraz upaść na płataninę rur i przewodów pokrywających podłogę.

– Oni zabili Duffy’ego! – krzyknął. – Kim jesteście? Pomóżcie mi! Nic nie widzę!

Chowając broń do kieszeni, Margo wysunęła się naprzód i uklękła przy nim. Zejście z mrocznych tuneli metra do podziemi – poprzez pełne najróżniejszych dźwięków korytarze i ciemne, rozbrzmiewające posępnym echem galerie, które tu, wiele pięter poniżej poziomu Manhattanu wydawały się zgoła nie na miejscu – jawiło się jej niczym na wpół zapomniany sen. Widok przyjaciela wybiegającego z mroku, sparaliżowanego przez szok i przerażenie, jeszcze bardziej wzmógł w niej wrażenie nierealności.

– Bill – rzekła uspokajająco. – Już dobrze. To ja, Margo. Proszę, nie krzycz. Nic nie mów. Nie chcemy zapalać światła, to zbyt niebezpieczne, a nie mamy jeszcze jednego noktowizora. Nie martw się, pomożemy ci iść. Zabierzemy cię ze sobą.

Smithback zamrugał powiekami; miał rozszerzone źrenice.

– Chcę się stąd wydostać! – wrzasnął nagle, podrywając się z ziemi.

– Co takiego? – rzucił sarkastycznie D’Agosta. – Przepuściłbyś taki temat?



– Nie możesz zawrócić. W pojedynkę nie masz szans, aby się stąd wydostać – powiedział Pendergast, uspokajającym gestem kładąc mu dłoń na ramieniu.

Szamotanina musiała wyczerpać Smithbacka, bo dziennikarz ciężko usiadł na ziemi.

– Co wy tu robicie? – zapytał w końcu.

– Mógłbym spytać cię o to samo – odrzekł Pendergast. – Mephisto prowadzi nas do tuneli Astora... innymi słowy, do Diabelskiego Poddasza. Opracowano plan, zgodnie z którym z Rezerwuaru ma zostać spuszczone woda, aby zalać tunele i potopić żyjące w nich istoty.

– To plan kapitana Waxiego – dodał D'Agosta.

– Niestety, w zbiorniku aż roi się od tropikalnych lili, roślin Mbwuna. Te stworzenia hodowały je właśnie w Rezerwuarze. Nie możemy dopuścić do tego, aby rośliny przedostały się do oceanu. Już za późno, aby powstrzymać operację spuszczenia wody, od strony rzeki wysłano więc oddział komandosów SEAL, aby zablokowali znajdujące się najniżej tunele odpływowe. My zaczopujemy korytarze ponad tunelami Astora w celu uniknięcia ewentualnych przecieków. Zablokujemy je od góry, aby spływająca woda nie przedostała się do rzeki. Jeśli się nam uda, zostanie zalana Szyjka Butelki, ale woda nie wydostanie się poza ten zamknięty obszar.

Smithback słuchał w milczeniu, z pochyloną głową.

– Jesteśmy dobrze uzbrojeni i w pełni przygotowani na to, co może nas spotkać na dole. Mamy mapy. Z nami będziesz bezpieczniejszy. Czy rozumiesz, Williamie?

Margo obserwowała niezwykley skutek, jaki miodopłynna tyrada agenta wywarła na przerażonym, mocno wstrząśniętym dziennikarzu. Oddech Smithbacka spowolnił się, a w końcu mężczyzna niemal niedostrzegalnie pokiwał głową.

– A nawiasem mówiąc, co tutaj robisz? – zapytał D'Agosta.

Pendergast chciał uciszyć go ruchem dłoni, ale Smithback odwrócił wzrok w stronę porucznika.

– Zszedłem do podziemi pod Central Parkiem, podążając śladem kapitana Waxiego i kilku jego ludzi – rzekł półgłosem. – Próbowali pozakręcać jakieś zawory. Okazało się jednak, że nie można ich ruszyć. Zostały uszkodzone. Sabotaż czy coś w tym rodzaju. I wtedy... – Przerwał nagle. – Pojawili się oni.

– Bill, przestań – wtrąciła Margo.

– Uciekłem – ciągnął Smithback, gwałtownie przełykając ślinę. – Uciekliśmy, ja i Duffy. Ale oni dopadli go przy stacji pomiarowej. Oni go...

– Wystarczy – rzekł Pendergast. Zapadła cisza. – Sabotaż, powiadasz?

Smithback skinął głową.

– Usłyszałem, jak Duffy mówił, że ktoś musiał uszkodzić zawory.

– Niedobrze. Bardzo niedobrze. – Na twarzy Pendergasta malował się wyraz, którego Margo nigdy dotąd nie widziała. – Lepiej chodźmy dalej – zakomenderował, ponownie

zarzucając miotacz ognia na plecy. – Szyjka Butelki to idealne miejsce na zasadzkę. – Zlustrował wzrokiem ciemny tunel. – Mephisto? – wyszeptał.

Wśród gęstej czerni coś się poruszyło i tuż obok nich pojawił się Mephisto, z założonymi na piersiach rękami i szerokim, afektowanym uśmiechem na ustach.

– Cóż za wzruszające spotkanie – wyszczał miękko. – Zaiste, cała wesoła kompania nareszcie znowu w komplecie. Witaj, skrybo. Tym razem, jak widzę, odważyłeś się zapuścić pod ziemię znacznie dalej niż podczas naszego pierwszego spotkania. To wciąga, nieprawdaż?

– Nie powiedziałbym – odparł niemal szeptem Smithback.

– Jak to miło mieć pod ręką własnego Boswella – w sztucznym świetle noktowizora Margo odniosła wrażenie, że w oczach Mephista, gdy powoli, z rozmysłem lustrował całą grupę, rozbłysły złocistokarmazynowe iskierki. – Czy ułożysz poemat epicki opiewający tę wyprawę? Mephistiadę. Liczę na heroiczne kuplety. Oczywiście, zakładając, że wyjdiesz z tej przygody cało. Zastanawiam się, kto spośród nas ocaleje, a czyje kości spoczną na zawsze tu, w mrocznych tunelach pod Manhattanem.

– Ruszajmy – rzucił Pendergast.

– Rozumiem. Nasz Whitey uznał, że już dość gadania. Może obawia się, że to jego kości pozostaną pod ziemią na żer dla szczurów.

– Musimy umieścić kilka zestawów ładunków dokładnie pod Szyjką Butelki – oznajmił ze spokojem Pendergast. – Jeśli będziemy marnotrawić czas na wysłuchiwanie twoich obraźliwych monologów, może nam go nie wystarczyć na ucieczkę. A jeśli nie wydostaniemy się stąd, zanim ładunki eksplodują, szczurom na żer, prócz moich, pozostaną także twoje kości.

– Dobrze już, dobrze! – mruknął Mephisto. – Nie unos się.

Odwrócił się i poczłapał w dół ogromnego, mrocznego kanału.

– Nie – rzucił Smithback.

D'Agosta zbliżył się o krok w jego stronę.

– Chodź. Będę cię trzymał za rękę.

Pionowy przewód przechodził w wysoko sklepiony tunel. Czekali w ciemnościach, gdy Pendergast założył kilka zestawów ładunków, a kiedy skończył, ręką dał im znak, że mogą iść. Kilkaset jardów dalej dotarli do kładki zwieszającej się kilka stóp nad powierzchnią wody. Margo ucieszyła się na widok pomostu; sięgający do kostek strumień był lodowato zimny i okropnie cuchnął.

– Świetnie – wyszeptał Mephisto, wchodząc na kładkę. – Widzę, że naszemu burmistrzowi spod Grobowca Granta wreszcie zabrakło konceptu.

– Gdyby tak jeszcze nasz Król Włóczęgów łaskawie zechciał się zamknąć – warknął D'Agosta.

Mephisto zasyczał z rozrzewnieniem.

– Król Włóczęgów. Czarujące. Nie masz czasem ochoty czegoś przekąsić? Mogę zaraz skoczyć i upolować dla ciebie dorodnego królika tunelowego.

D'Agosta zeszytniał, ale nie odezwał się ani słowem, a Mephisto, zeskoczywszy z kładki, wszedł do znajdującego się za nią wąskiego przejścia. Margo usłyszała dobiegający skądś ryk spływającej wody i rzeczywiście, korytarz kończył się niedaleko stąd niedużym wodospadem. Wąska żelazna drabinka, prawie niewidoczna wśród nagromadzonych przez dekady osadów, wiodła do pionowego tunelu u podstawy kaskady.

Przeszli przez tunel pojedynczo, zeskakując na nierówne, kamieniste podłoże poniżej połączonych odpływów dwóch siedemdziesięciodwucalowych rur kanalizacyjnych. Ściany upstrzone otworami po górniczym strzelaniu wyglądały, jakby szalały w nich wyjątkowo paskudne termity.

– Nous sommes arrivés – rzekł Mephisto, a Margo po raz pierwszy odniosła wrażenie, że w jego pompatycznych słowach pobrzmiewała nuta zaniepokojenia. – Diabelskie Poddasze znajduje się dokładnie pod nami.

Dając im ręką znak, by się zatrzymali, Pendergast spojrział na mapy, po czym bezszelestnie rozpląnął się w starym tunelu. W miarę jak jego nieobecność zaczęła się przedłużać, Margo denerwowała się coraz bardziej była tak podminowana, że wystarczył dźwięk skapującej z omszałego sklepienia wody, kichnięcie czy gwałtowniejsze poruszenie, aby podrywała się jak oparzona. Znowu zapytywała samą siebie, po co tu przyszła. Ponownie kwestionowała powodujące ją motywy. Coraz trudniej było ignorować fakt, że znajdowała się setki stóp pod ziemią, w labiryncie starych, z dawna zapomnianych tuneli kolejowych, korytarzy dostawczych i innych, jeszcze bardziej zagadkowych pomieszczeń, a gdzieś w pobliżu czyhał morderczy wróg, który mógł w każdej chwili...

W ciemnościach, tuż obok niej, coś się poruszyło.

– Droga pani doktor – usłyszała jedwabisty syk Mephista. – Przykro mi, że zdecydowała się pani wziąć udział w naszej małej wycieczce. Skoro jednak już pani tu jest, proszę mi wyświadczyć przysługę. Chcę, aby pani wiedziała, że w razie ewentualnych kłopotów nie zamierzam się podkładać, niech się nimi zajmą pani przyjaciele. Gdyby jednak zrobiło się naprawdę niewesoło, może mogłaby pani doręczyć coś ode mnie.

Margo poczuła, że wciśnięto jej do ręki niedużą kopertę. Zaciekawiona, zaczęła unosić ją w stronę noktowizora.

– Nie! – rzucił Mephisto, chwytając Margo za rękę i wkładając jej dłoń wraz z kopertą do kieszeni kurtki, którą miała na sobie. – Będzie na to dość czasu później. W razie potrzeby, ma się rozumieć.

– Dlaczego ja? – zapytała Margo.

– A któżby inny? – rozległ się syk. – Ten dwulicowy agencina, Pendergast? A może ten przerośnięty egzemplarz wzorcowego stróża prawa? Może, pani zdaniem, powinienem wybrać tego żółtodzioba, Smithbacka, dziennikarzynę za trzy grosze?

W ciemnościach rozległ się tupot kroków i po chwili w świetle dwóch latarek ujrzeli nadbiegającego Pendergasta.

– Doskonale – powiedział, gdy Mephisto na powrót rozplątał się w ciemnościach. – Przed nami znajduje się metalowa kładka. Zszedłem po niej na dół. Ładunki rozmieszczone pod Szyjką Butelki powinny skutecznie zablokować od południa wodę spuszczoną z Rezerwuaru. Teraz musimy jeszcze założyć ładunki przy północnym skraju Parku.

Rzeczowy, spokojny ton jego głosu zdaniem Margo pasował raczej do partii krokieta niż relacji z kolejnego etapu ich koszmarnej wycieczki. Niemniej jednak cieszyła się, że przynajmniej Pendergast, chyba jako jedyny spośród nich, wciąż nie tracił zimnej krwi.

Agent ujął miotacz płomieni za uchwyt, odblokował dyszę wylotową i kilkakrotnie włączył starter.

– Pójdę pierwszy – oznajmił. – Potem Mephisto. Ufam twojemu instynktowi. Jeśli wyczujesz, że cokolwiek jest nie tak, natychmiast daj mi znać.

– Już nasza obecność tutaj stanowi ewenement sam w sobie – rzekł Mephisto. – Odkąd zjawili się Pomarszczeni, nikt już nie zapuszcza się w te rejony.

– Margo, pójdiesz następna – ciągnął Pendergast. – Zaopiekuj się Smithbackiem. Vincencie, chciałbym, abyś ubezpieczał tyły. Mogą spróbować nas podejść.

– To fakt – przyznał D'Agosta.

– Chciałbym pomóc – Margo usłyszała cichy głos Smithbacka.

Pendergast spojrział na niego.

– Bez broni jestem bezużyteczny – wyjaśnił pisarz niewyraźnym, lecz pełnym determinacji głosem.

– Umiesz strzelać?

– Strzelałem kiedyś do rzutków z szesnastki – odparł Smithback.

D'Agosta stłumił śmiech. Pendergast wyduł wargi, jakby przez chwilę nad czymś się zastanawiał. Wreszcie zdjął z ramienia drugą broń i podał pisarzowi.

– To M-79. Strzela pociskami wybuchowymi kalibru czterdzieści milimetrów. Zanim naciśniesz spust, upewnij się, że strefa rażenia przed tobą wynosi co najmniej sto stóp. Po drodze D'Agosta wyjaśni ci, jak masz przeladowywać. Gdyby zabawa zaczęła się na dobre, powinno być dostatecznie jasno, abyś nie miał żadnych kłopotów z celowaniem.

Smithback pokiwał głową.

– Na myśl o dziennikarzu z granatnikiem w dłoniach robi mi się nieswojo – z ciemności dobiegł głos D'Agosty.

– Założymy ładunki i już nas tu nie ma – rzekł Pendergast. – Walka to ostateczność. Huk wystrzałów ściągnąłby nam na kark całą hordę tych stworzeń. Vincencie, ustaw flesz na stroboskopowe błyski i w razie ewentualnych kłopotów natychmiast go użyj. Najpierw ich oślepiemy, a potem poczęstujemy ołowiem. Tylko nie zapomnij zdjąć wcześniej noktowizora, błysk flesza mógłby go uszkodzić. Wiemy, że te istoty nie znoszą światła, gdy zatem wykryją

naszą obecność, wykorzystamy tę słabość przeciwko nim. – Odwrócił się do Margo. – Na ile procent jesteś pewna skuteczności witaminy D?

– Na sto – odparła natychmiast. Zamyśliła się przez chwilę. – No, powiedzmy na dziewięćdziesiąt pięć.

– Rozumiem – mruknął agent FBI. – Cóż, w razie ewentualnej potyczki proponuję, abyś najpierw zrobiła użytek ze swojego pistoletu.

Pendergast raz jeszcze rozejrzył się dokoła, po czym poprowadził grupę w głąb starego tunelu. Margo patrzyła na D'Agostę, który, mocno trzymając Smithbacka za ramię, prowadził go wolno śladem agenta.

Po przejściu około pięćdziesiąt jardów Pendergast zatrzymał się, unosząc w górę prawą rękę. Jeden po drugim pozostali przystanęli. Agent bardzo wolno uniósł palec wskazujący i w ostrzegawczym geście przyłożył go do ust. Następnie, sięgając do kieszeni bluzy, wyjął z niej zapalniczkę i przyłożył do wylotu dyszy miotacza ognia. Rozległo się delikatne pyknięcie, błysnęło światło i dał się słyszeć cichy syk. Przy wylocie niedużej dyszy pojawił się mały płomyk zapłonu.

– Czy ktoś z was ma może fajki? – mruknął półgłosem Mephisto.

Margo, oddychając przez nos, z trudem usiłowała zachować spokój.

Powietrze było gęste od woni zmieszanych ze sobą metanu i amoniaku. Mimo to pośród tego fetoru bez trudu dało się wyczuć charakterystyczny kozli odór, który Margo знаła aż za dobrze.

## 58

Snow oparł się bolącymi plecami o ceglana ścianę przy podeście. Zdjąwszy pletwy, ułożył je starannie pod ścianą, obok rzędów pasów obciążeniowych i butli do nurkowania. Przez chwilę zastanawiał się, czy odłożyć podgumowany chlebak, który miał przewieszony na ukos przez pierś, ale zaraz przypomniał sobie, że dowódca zabronił mu rozstawać się z nim aż do zakończenia misji. Podest, przez cienkie podeszwy neoprenowego materiału, wydawał się śliski i mulisty. Wyjął ustnik, krzywiąc się, gdy poczuł w nozdrzach cuchnące, zatechłe powietrze. Zaczęły go piec oczy, zamrugał kilka razy. Lepiej przywyknij, pomyślał, zacerpnąwszy haust tlenu. Wiedział, że odtąd czeka ich już tylko długi marsz.

Dokoła niego komandosi SEAL zdejmowali maski i butle tlenowe, otwierali wodoodporne pakiety i szykowali sprzęt. Kapitan Rachlin zapalił flarę i wetknął ją w szczelinę w ceglanej ścianie. Flara zasyczała i wydała kilka trzasków, skąpując pomieszczenie w silnym, czerwonym blasku.

– Przygotujcie osobiste zestawy łącznościowe. Używać ich wolno jedynie w sytuacjach awaryjnych, na ustalonej częstotliwości. Przez cały czas obowiązuje absolutna cisza i pełna

dyscyplina bojowa. W każdym zespole znajduje się osoba odpowiedzialna za przenoszenie ładunków. Gdyby z jakiegoś powodu jeden z trzech zespołów wykonawczych nie mógł wypełnić misji, dokonują tego pozostałe.

Raz jeszcze spojrzął na wodoszczelną mapę, po czym zrolował ją i przypiął do pasa z podwieszonym nożem.

– Delta – zwrócił się do Donovana – ubezpieczacie nas. Zostajecie tutaj, w punkcie zbiórki, aby w razie czego osłaniać nasze tyły. Gdyby któryś z zespołów odpadł z gry, wchodzicie na jego miejsce. – Rozejrzął się dokoła. – Beta, pójdziecie tym tunelem. Gamma, najdalszy korytarz. Po jakichś pięciuset metrach dotrzecie nimi do pionowego szybu. Tam podłóżycie swoje ładunki. Spotkamy się tu ponownie najdalej o 23.00. Jeżeli się spóźnicie, zabraknie nam czasu na ucieczkę.

Rachlin rzucił Snowowi przeszywające spojrzenie.

– Wszystko w porządku, złotko?

Snow pokiwał głową.

Kapitan powtórzył gest.

– Ruszajmy. Beecham, idziesz ze mną.

Snow patrzył, jak trzy zespoły znikają w ciemnościach, cienie przesuwają się kołysząco po błyszczących wilgocią ścianach, słyszał, jak podeszwy grubych butów mlaskają w gęstym bloku. Zestaw łącznościowy, który przymocował do głowy, wydawał mu się obcy i krępujący. W miarę jak odgłosy ucichły w oddali, pochłonięte przez mrok tuneli, zaczęło ogarniać go coraz silniejsze uczucie zagrożenia.

Donovan badał pomieszczenie, lustrując stemple i stare cegły. Po kilku minutach bezgłośnie zawrócił w stronę niszy z ekwipunkiem, rozświetlonej upiornym blaskiem flary.

– Cuchnie tu jak w wygodce – powiedział w końcu, kucając obok Snowa.

Policjant nie pokwapił się, by odpowiedzieć choć słowem na tę oczywistą uwagę.

– Nieźle pływasz jak na cywila – ciągnął komandos, poprawiając pas typu Webb. Najwyraźniej to, co zaprezentował w tunelach, kwalifikowało go, zdaniem Donovana, do roli godnego partnera do rozmowy. – To ty wydobyłeś tych dwóch truposzy z Kloaki, prawda?

– Tak – odparł z wahaniem Snow. Zastanawiał się, co jeszcze słyszał o nim Donovan.

– Zwariowana robota, szukanie sztywniaków – Donovan roześmiał się.

Nie bardziej niż zabijanie partyzantów Wietkongu czy podłożenie pod czyjąś łódź ładunku wybuchowego, pomyślał Snow. Głośno zaś powiedział:

– Szukamy nie tylko ciał. Akurat tego dnia naszym celem była paczka heroiny, którą ktoś zrzucił z mostu.

– Heroina, powiadasz? Rybki w tamtej okolicy przez dłuższy czas musiały być na niezłym haju.

Snow roześmiał się, choć nie całkiem szczerze i z pewnym wymuszeniem. Co jest z tobą, stary? Wyluzuj, jak Donovan.

– Założę się, że w Kloace od dwustu lat nie pływała ani jedna ryba.

– Pewnie masz rację – rzekł Donovan, podnosząc się ciężko. – Nie zazdrozczę ci, stary. Wolałbym tydzień w pace niż pięć minut taplania się w tym łajnie.

Snow zauważył, że komandos z ironicznym uśmieszkiem przygląda się jego harpunowi.

– Może lepiej weź sobie prawdziwą broń, na wypadek gdyby przyszło nam dołączyć do akcji. – Donovan przez chwilę gmerał w jednej z toreb i wyjął z niej karabin automatyczny z umocowaną poniżej lufy, paskudnie wyglądającą metalową tuleją. – Strzelałeś kiedykolwiek z M-16? – zapytał.

– Owszem, podczas pikniku z okazji ukończenia akademii oficer szkoleniowy pozwolił nam popływać trochę do tarcz – odparł Snow.

Oblicze Donovana wykrzywił grymas, będący mieszaniną rozbawienia i niedowierzania.

– Na pewno. To musiał być wystrzałowy piknik. Założę się, że mamusia dała ci na tę okazję ekstra lunch w pudełku.

Rzucił Snowowi karabin, po czym znów sięgnął do torby i wyjął kilka magazynków.

– Każdy z nich mieści trzydzieści naboí. Gdy strzelasz w trybie automatycznym, opróżnienie magazynka trwa niecałe dwie sekundy, nie trzymaj więc długo palca na spuście. Technologia nie jest najnowsza, ale to dobra i sprawdzona broń.

Podał mu ładownicę.

– Przedni spust obsługuje XM-148. To wyrzutnik granatów. Tu masz dwa pociski kaliber.40, na wypadek gdybyś chciał spróbować, jak to działa.

– Donovan, kim naprawdę jest mięśniak?

Na pokrytej kamuflażową pastą twarzy komandosa pojawił się szeroki uśmiech.

– Chyba mogę ci to powiedzieć. Mięśniak to pechowiec, na którego wypadło, aby podczas akcji nosił bum-bumy.

– Bum-bumy? – Snow wciąż nic nie rozumiał.

– Flary magnezjowe. Standardowy element wyposażenia podczas operacji nocnych, nawet takich jak nasza dzisiejsza mała wycieczka. Głupi przepis, ale nijak nie da się go obejść. Są bardzo silne i bardzo jasno świecą. Wystarczy odkręcić górną część, aby ją uzbroić, potem ciskasz flarę na bezpieczną odległość i w chwili uderzenia wybuchu z siłą miliona świec. Sęk w tym, że nie są zbyt stabilne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Wystarczy, żeby w ten chlebak trafiła jedna kula z dwudziestki dwójki i bum! Po mięśniaku. Chyba rozumiesz, co mam na myśli. – Zachichotał, po czym znów się oddalił.

Snow zmienił pozycję, starając się trzymać chlebak możliwie jak najdalej od torsu. Jeśli nie liczyć skwierczenia flary, przez następnych kilka minut w pomieszczeniu panowała kompletna cisza. Wreszcie Snow znów usłyszał chichot Donovana.

– Stary, spójrz tylko na to! Uwierzyłbyś, że szwendał się tu jakiś świrus? I to jeszcze na bosaka.

Odkładając karabin, Snow wstał i podszedł, aby to zobaczyć. W błocie wyraźnie widać było ślady bosych stóp. Ani chybi musiały być świeże, błoto wokół obrzeży wciąż było wilgotne, nie zdążyło jeszcze wyschnąć.

– Wielki sukinsyn – wymamrotał Donovan. – Ma stopę jak kajak.

Znów się roześmiał.

Snow spojrział na szeroki, płaski ślad i znów ogarnęło go uczucie osobliwego zagrożenia. Kiedy ucichł śmiech Donovana, Snow usłyszał odległy łoskot.

– Co to było? – zapytał.

– Co? – mruknął Donovan, klękając i poprawiając uprząż, którą miał na sobie.

– Chyba jeszcze za wcześnie na odpalenie ładunków – odezwał się Snow.

– Nic nie słyszałem.

– A ja tak. – Serce zaczęło nagle tłuc się w piersi Snowa jak oszalałe.

Donovan nasłuchiwał, lecz wokoło panowała zupełna cisza.

– Wyluzuj, stary – rzucił z przekąsem. – Zaczynasz mieć omamy słuchowe.

– Chyba powinniśmy skontaktować się z dowódcą patrolu.

Donovan pokręcił głową.

– No jasne, żeby się na nas wkurzył. – Spojrział na zegarek. – Pamiętasz o obowiązującej nas ciszy w eterze? Dyscyplina, stary, to podstawa. Miejsce operacji znajduje się niecały kilometr stąd. Wrócą za dziesięć minut. I nareszcie wyniesiemy się z tego syfu.

Splunął w gęste, stojące błoto.

Flara zaczęła skwierczeć i zgasła, pomieszczenie w jednej chwili pograżyło się w ciemnościach.

– Cholera – mruknął Donovan. – Snow, podaj mi drugą, są w worku pod twoimi nogami.

Znów dał się słyszeć głuchy odgłos, który z wolna przerodził się w stłumione staccato broni automatycznej. Dźwięk zdawał się przenikać falami przez stare mury, narastając i cichnąc jak grzmot odległej burzy.

W ciemnościach Snow usłyszał, jak Donovan podrywa się szybko na nogi, włączając zestaw łącznościowy.

– Zespół Alfa? dowódca patrolu, czy mnie słyszysz? – wysyczał.

Na wybranej częstotliwości słychać było tylko biały szum.

Ziemia zadrżała i rozległ się głośny huk.

– Cholera, to granat! – rzucił Donovan. – Alfa! Beta! Zgłoście się!

Ziemia ponownie zadrżała.

– Snow, szykuj broń. – Policjant usłyszał przeciągły szcęk odciąganego, dobrze naoliwionego zamka. – Co się tam dzieje, u licha? Alfa, słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie – wśród trzasków rozległ się głos Rachlina. – Straciliśmy łączność z Gammą. Nie wyłączaj się.

– Zrozumiałem – rzekł Donovan.



Zapadła krótka, pełna napięcia cisza, a potem znów dobiegł ich głos kapitana.

– Delta, Gamma musiał napotkać trudności podczas zakładania ładunków. Dostarczcie przesyłkę na miejsce. My rozprawiliśmy się już ze swoją i zaraz sprawdzimy, co z Beta.

– Tak jest. – Rozbłysło światło, Donovan spojrział na Snowa. – Ruszamy – powiedział. – Będziemy musieli założyć ładunki za Gammę. – Przymocował latarkę w uchwycie na ramieniu i pobiegł naprzód w niskiej, przygarbionej pozycji, z karabinem trzymanym prostopadle przy piersi.

Snow wziął głęboki oddech i pospieszył za nim. W migoczącym świetle policjant zauważył na ziemi kolejne ślady, było ich mnóstwo, przecinały się ze sobą i nie zdołały ich zatrzeć nawet odciski butów zespołu Gamma. Przełknął ślinę.

Po kilku minutach Donovan zwolnił, dotarłszy do czegoś, co wyglądało jak stara bocznica, otoczona masą pylonów.

– Chyba już niedaleko – mruknął, gasząc latarkę i nasłuchując z uwagą.

– Gdzie oni są? – zapytał Snow. Nie zdziwił się, gdy nie otrzymał od Donovana odpowiedzi.

– Wróciliśmy do punktu zbiórki – usłyszeli w słuchawkach głos Rachlina. – Powtarzam, ładunki założone i uzbrojone. Sprawdźmy teraz, co z Beta.

– Idziemy – rzekł Donovan, ponownie zrywając się do biegu.

Nagle przystanął.

– Czujesz to? – wyszeptał.

Snow otworzył usta, ale zaraz je zamknął, gdy doszedł go ten dławiący smród. Odwrócił się instynktownie. Były to feter rozkładu, zapachy ziemi i ścieków, połączone w jeden silny, powalający odór.

A także coś jeszcze, dziwnie słodka woń rzeźnickiej jatki.

Donovan pokręcił głową, jakby sądził, że przyniesie mu to orzeźwienie, i zebrał się w sobie, by pójść dalej, w głąb tunelu.

Wtem w słuchawce w uchu Snowa coś zabrzęczało. Rozległ się syk, a zaraz potem głos Rachlina:

– ...atakowani. Rzucić flary...

Snow zastanawiał się, czy się nie przesłyszał. Rachlin mówił z niewiarygodnym spokojem. Zaraz potem w słuchawce pojawiły się trzaski i grzechot przypominający odgłosy karabinowej palby.

– Alfa! – zawołał Donovan. – Słyszycie mnie? Odbiór.

– Słyszę cię – odpowiedział Rachlin. – Jesteśmy atakowani. Nie mogę nawiązać łączności z Beta. Właśnie instalujemy ich ładunki. Beecham, tam! – Huknęło, ale był to jedynie wstęp do znacznie silniejszej drugiej eksplozji. Z powodzi elektronicznych szumów dobiegły teraz nieartykułowane dźwięki: krzyki, być może wrzask, zbyt ochryply jednak i zbyt głęboki, by mógł się wydobyć z ludzkiego gardła. I znów ściany tunelu rozbrzmiały echem wystrzałów.

– Delta... – wśród trzasków dobiegł ich głos Rachlina. – ...otoczeni...  
– Otoczeni? – wykrzyknął Donovan. – Ale przez kogo? Potrzebujecie wsparcia?

Znów padły strzały i rozległ się przeraźliwy huk.

– Alfa! – ryknął Donovan. – Potrzebne wam wsparcie?

– Mój Boże, tyle... Beecham, co to takiego... – Głos Rachlina utonął w powodzi trzasków.

W jednej chwili odgłos ucichł, a Snow, stojąc jak sparaliżowany pośród ciemności, pomyślał, że być może jego zestaw łącznościowy zaszwanował. Wtem ze słuchawki popłynął odrażający, gardłowy krzyk, tak głośny, jakby rozlegał się tuż obok, a po nim miękki trzask rozrywanego neoprenu.

– Alfa, zgłoś się! – Donovan odwrócił się do Snowa. – Ten kanał wciąż jest aktywny. Kapitanie, tu Delta, proszę się zgłosić!

W słuchawce słychać było tylko szum, coś, co Snowowi skojarzyło się z młaśnięciem grząskiego blocka, i znów ten sam przeciągły dźwięk.

Donovan na próżno sprawdzał swoją słuchawkę. Spojrzał na Snowa.

– Idziemy – powiedział, wysuwając do przodu broń.

– Dokąd? – zapytał Snow. Szok i zgroza sprawiły, że w ustach miał prawdziwą Saharę.

– Tak czy owak, musimy założyć ładunki Gammy.

– Oszalałeś? – wyszeptał z przejęciem Snow. – Nie słyszałeś, co tam się stało? Musimy stąd wiać, i to już!

Donovan odwrócił się do niego. Twarz miał jak wykutą z kamienia.

– Założymy te ładunki, przyjacielu. – Mówił cicho, lecz z niezłomną determinacją, a w jego słowach wyczuwało się również zawołowaną groźbę. – Zrobimy, co do nas należy. Wypełnimy misję.

Snow przełknął ślinę.

– Ale co z kapitanem?

Donovan wciąż patrzył na niego.

– Najpierw dokończymy misję – oznajmił.

Snow wiedział, że oponowanie nic mu nie da. Komandos SEAL był zdeterminowany. Ścisnął mocno w dłoniach M-16 i ruszył za komandosem w mrok tunelu. W oddali widać było słabą poświatę, która napływała z załomu korytarza, odbijając się od ceglanego muru.

– Trzymaj broń w gotowości – rozległo się ciche ostrzeżenie.

Snow ostrożnie wyszedł zza zakrętu i stanął jak wryty. W oddali przed sobą miał koniec tunelu. Żelazne szczeble w przeciwległej ścianie prowadziły do wylotu potężnej rury ziejącej w suficie.

– O Chryste – jęknął Donovan.

Pojedyncza flara skwiercząca w błocie opodal rzuciła słaby blask na scenę, która ukazała się ich oczom. Snow rozejrzał się energicznie dokoła, wychwytyjąc przerażające szczegóły. Ściany tunelu były pokryte dziurami i wyżłobieniami po kulach. W jednej z nich widniała

spora, osmalona i dymiąca jeszcze wyrwa. W błocie obok flary leżały dwie ciemne postacie, obok nich wały się rozrzucone w nieładzie broń i zawartość nieprzemakalnych worków. W stojącym powietrzu unosiły się leniwie wstęgi kordytowego dymu.

Donovan podbiegł do postaci leżącej bliżej niego i wyciągnął ręce, jakby chciał nią potrząsnąć. Zaraz jednak się cofnął, a Snow zauważył, że neopreony kombinezon był rozplątany od szyi aż do pasa, a w miejscu gdzie powinna być głowa, widniał jedynie okrwawiony kikut szyi.

– Champion też – rzucił posepnie Donovan, spoglądając na drugiego komandosa. – Jezu, kto mógł zrobić coś takiego?

Snow na chwilę zmrugał powieki i kilka razy odetchnął głęboko, walcząc z ogarniającą go paniką.

– Ktokolwiek to był, musiał uciec tą drogą – rzekł Donovan, wskazując wylot rury powyżej. – Snow, pozbieraj ich magazynki.

Snow nachylił się i podniósł ładownicę z pełnymi magazynkami. Omal nie wysliznęła mu się z rąk, tak była śliska od krwi i strzępów tkanek.

– Załóż ładunki – rzekł Donovan, wyjmując z plecaka kostki C-4. – Ubezpieczaj wyjście.

Snow uniósł broń i odwrócił się do komandosa plecami, spoglądając w stronę załomu tunelu, to niknącego, to znów widocznego w migoczącej, słabej poświacie flary. W słuchawce wciąż słyszał tylko szum – a może był to dźwięk czegoś ciężkiego, wleczonego po błocie? Czy tylko mu się wydawało, czy wśród cichych trzasków i syków słyszał miękki, wilgotny chlupot i głuche, lepkie mlaskanie?

W słuchawce znów zapadła cisza. Policjant kątem oka dostrzegł Donovana, mocującego zapalnik czasowy przy ładunkach i ustawiającego opóźnienie.

– Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt pięć – powiedział, wstukując godzinę. – To da nam prawie pół godziny na odnalezienie dowódcy i wyniesienie się stąd.

Pochylił się i zdjął nieśmiertelniki z szyj bezgłowych kolegów.

– Idziemy – rzucił krótko, podnosząc broń i wkładając nieśmiertelniki do wewnętrznej kieszeni gumowanej kamizelki.

Gdy znaleźli się w tunelu, Snow usłyszał za sobą głośny zgrzyt i coś, co przypominało kasznięcie. Odwrócił się, by ujrzeć kilka postaci, wyłaniających się z otworu rury i zeskakujących na błotniste podłoże tuż obok zabitych komandosów. Snow ze zgrozą stwierdził, że postacie te nosiły długie płaszcze i obszerne kaptury.

– Naprzód! – wrzasnął Donovan, biegnąc w stronę załomu tunelu.

Snow podążył za nim; panika dodała mu skrzydeł. Przebiegli przez stary, ceglany korytarz, oddalając się od miejsca odrażającego mordu. Kiedy pokonali zakręt, Donovan poślizgnął się w błocie i upadł, ale zaraz się podniósł.

– Musimy walczyć! – zawołał, chwytając broń i równocześnie zapalając flarę.

Snow odwrócił się, by ujrzeć postacie zmierzające w ich stronę, biegnące szybkim, pewnym krokiem. Zdawało się, że silny blask flary na chwilę je powstrzymał. Wkrótce jednak znów ruszyli. W ich przygarbionych sylwetkach i miękkim chodzie było coś zwierzęcego, co mroziło krew w żyłach. Snow wyprostował palec wskazujący, dotykając nim obudowy spustu. Obok niego rozległ się głośny huk. Policjant zorientował się, że to Donovan wystrzelił z granatnika. Błysnęło, a potem cały tunel zadygotał pod wpływem potężnego wybuchu.

Broń szarpnęła się dziko w jego rękach, a Snow zorientował się, że mimowolnie zaczął pruć z M-16, zasypując wnętrze tunelu przed nimi gradem pocisków. Pospiesznie zdjął palec ze spustu. Kolejna postać wyłoniła się zza zakrętu, wychodząc z kłębow dymu wprost pod lufę broni Snowa. Policjant wymierzył i dotknął spustu. Głowa istoty w kapturze odskoczyła do tyłu, a Snow przez ułamek sekundy widział jej twarz, niewiarygodnie pomarszczoną, pokrytą krostami i naroślami, której rysy tonęły wśród fałdów obwisłej, grubej, jakby gadziej skóry. Znów rozległ się ryk i koszmarna postać znikła w kłębach dymu i jezorach ognia drugiego eksplodującego granatu Donovana.

Snow wystrzelał cały magazynek. Rozluźnił palec, zwolnił pusty magazynek, sięgnął do kieszeni po następny i założył go szybkim, wprawnym ruchem. Policjant i komandos czekali, gotowi w każdej chwili do otwarcia ognia. Echo oddanych strzałów powoli cichło. Z mroku i oparów dymu nie wyłoniły się kolejne postacie.

Donovan wziął głęboki oddech.

– Wracamy do punktu zbiórki – zdecydował.

Zawrócili. Donovan uniósł dłoń, by zapalić latarkę. Cienki, czerwony promień rozciął półmrok przed nimi. Snow podążył za komandosem, ciężko oddychając. Przed sobą mieli Potrójne Rozgałęzienie, stertę pozostawionego sprzętu i wyjście. Policjant zorientował się, że myśli tylko o jednym: całą swą uwagę koncentruje wyłącznie na wydostaniu się z tuneli, wyjściu na powierzchnię, ponieważ wszystko inne oznaczało konieczność zmierzenia się z koszmarem, który wyszedł im na spotkanie, i poświęcenie mu choć chwili uwagi, a to równało się...

Nagle wpadł z impetem na Donovana. Zachwiał się przez moment i rozejrzał dokoła, usiłując ustalić, co skłoniło komandosa SEAL do tak gwałtownego zatrzymania się.

I wtedy ujrzał w świetle latarki Donovana gromadę istot stojącą naprzeciw nich. Było ich dziesięć, może dwanaście, stały w kompletnym bezruchu przy drugim końcu tunelu. Kilka z nich trzymało w rękach sporej wielkości owalne przedmioty zwieszające się na pękach czegoś, co przypominało Snowowi grube nici. Przyjrzał się im uważniej, z mieszaniną fascynacji i narastającej zgrozy. I zaraz odwrócił wzrok.

– Matko Boska – wysapał. – I co teraz zrobimy?

– Przebijemy się – odparł półgłosem Donovan, unosząc karabin.

Margo zaczerpnęła spory łyk tlenu z maski, po czym oddała ją Smithbackowi. Tlen natychmiast orzeźwił jej umysł i rozejrzała się pospiesznie dokoła.

Na czele grupy Pendergast układał kostki plastyku wokół podstawy otwartego kanału. Za każdym razem, gdy wyjmował z plecaka kolejny ładunek i kładł go na ziemi, wzbijały się z niej kłęby kurzu i zarodników grzybów, tak gęste, że na chwilę przesłaniały mu twarz. D'Agosta stał za nią, z bronią gotową do strzału. Mephisto był nieco z boku, milczący i nieruchomy; w mroku jego oczy żarzyły się jak dwa węgielki.

Pendergast wcisnął do kostek plastyku detonatory, po czym starannie ustawił czas, sprawdzając godzinę na swoim Patku Philippie.

Gdy skończył, zabrał swój plecak i podniósł się bezszelestnie, dając znak, że już czas, aby przejść do następnego punktu ich wyprawy.

Począwszy od gogli noktowizora aż po spiczasty podbródek, twarz Pendergasta była pokryta grubą jak maska warstwą szarego pyłu. Jego zwykle nieskazitelny czarny garnitur był podarty i ubłocony. W innych okolicznościach agent wyglądałby śmiesznie lub wręcz żałośnie.

Margo jednak wcale nie było do śmiechu.

W powietrzu unosił się tak silny smród, że odruchowo zakryła nos i usta dłonią. W końcu poddała się i ponownie zaczerpnęła łyk tlenu.

– Nie zbagartuj z tym tlenem – wyszeptał Smithbach.

Uśmiechnął się słabo, ale jego wzrok pozostał ponury i odległy.

Ruszyli w głąb wąskiego korytarza. Teraz Margo prowadziła dziennikarza poprzez ciemność.

Z sufitu co dziesięć stóp zwieszały się wielkie żelazne nity. Po kilku minutach znów przystanąli, gdy Pendergast sprawdzał coś na swoich planach, by koniec końców wziąć z plecaka Margo kolejne ładunki i rozmieścić je w niszy pod sklepieniem.

– Doskonale – powiedział. – Jeszcze tylko jeden zestaw i możemy wracać na powierzchnię. Będziemy musieli się pospieszyć.

Ruszył w głąb korytarza i nagle się zatrzymał.

– Co się stało? – zapytała Margo, lecz agent uciszył ją, unosząc w górę dłoni.

– Słyszałaś to? – wyszeptał po chwili.

Margo wyteżyła słuch, ale niczego nie usłyszała. Zatechłe, nieruchome powietrze zdawało się oblepiać wszystko jak wata, tłumiąc wszelkie dźwięki. I wtedy to usłyszała – głuche łupniecie, jedno, potem drugie, jak grzmot przetaczający się pod ich stopami.

– Co to? – zapytała.

– Nie jestem pewien – odparł Pendergast.

– Chyba ci komandosi nie zaczęli jeszcze odpalać swoich ładunków?

Pendergast zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie brzmiało dość głośno jak na plastyk. Poza tym jeszcze za wcześnie. – Nasłuchiwał przez chwilę, zmarszczył brwi, po czym znów dał im znak, by szli dalej.

Margo szła tuż za agentem, prowadząc Smithbacka przez tunel, najpierw pod górę, potem w dół, krętą drogą wykutą wśród skał. Zastanawiała się, kto mógł wybudować ten korytarz, prawie czterdzieści piętér pod powierzchnią Manhattanu. Widziała samą siebie, jak w wizji, maszerującą wzdłuż Park Avenue, ale droga jawiła się jej tylko wąską nitką asfaltu, ciągnącą się ponad rozległą siecią szybów, tuneli, galerii oraz korytarzy prowadzących w głąb ziemi i tętniących życiem jak wewnątrz gigantycznego ula...

Potrząsnęła silnie głową i ponownie zaczerpnęła tlenu. Gdy odzyskała klarowność myśli, zorientowała się, że stłumiony dźwięk wciąż dobiega z jakiegoś miejsca głęboko pod jej stopami. Tylko że teraz wydawał się nieco inny, pulsował jak odgłos silnika, to przybierając na sile, to znowu cichnąc.

Pendergast raz jeszcze przystanął.

– Mówcie wyłącznie szeptem. Czy to jasne? Vincencie, przygotuj urządzenie błyskowe.

Tunel przed nimi kończył się ogromnym arkuszem żelaza, najeżonym wielkimi nitami. Pośrodku metalowej ściany widniały pojedyncze, otwarte drzwi, Pendergast przeszedł przez nie z gotowym do użycia miotaczem ognia. Płomień przy krawędzi dyszy przesunął się z boku na bok, pozostawiając na goglach Margo świetlne powidoki. Po chwili agent odwrócił się i dał grupie znak, by do niego dołączyła.

Wstępując ostrożnie do pomieszczenia, Margo uświadomiła sobie, że dochodzący z dołu dźwięk, który słyszała, to odgłos bębnow mieszający się z czymś, co przypominało cichy chóralny śpiew.

D'Agosta, przestępując próg pomieszczenia, wpadł na nią tak niespodziewanie, że mimowolnie z jej ust dobyło się głośne westchnienie.

Zaniepokojona odetchnęła głęboko. Dostrzegła pod jedną ze ścian stare mosiężne dźwignie i tryby; potrzaskane szkiełka wskaźników pokryte były grubą warstwą grynszpanu i brudu. W przeciwległym rogu stał masywny kołowrót i kilka zardzewiałych generatorów.

Pendergast pospiesznie przeszedł na środek pomieszczenia i ukląkł przy wielkiej metalowej płycie.

– To była główna stacja rozrządowa dla tuneli Astora. Jeśli się nie mylę, znajdujemy się dokładnie nad Kryształowym Pawilonem. To była prywatna poczekalnia pod starym hotelem Knickerbocker. Powinniśmy móc zajrzeć stąd do wnętrza Pawilonu.

Odczekał, aż reszta grupy umilkła, po czym nie bez trudu odblokował metalową płytę i ostrożnie przesunął ją na bok. Margo patrzyła, jak z dołu do pomieszczenia napływa migoczące światło, a wraz z nim nasilający się koźli odór, stary, dobrze jej znany fetor rodem z najgorszego koszmaru. Dźwięk bębnow i śpiewy nabrały mocy.

Pendergast spojrział w dół, blask bijący stamtąd rozświetlił jego twarz. Agent patrzył długo, po czym cofnął się powoli.

– Vincencie – powiedział. – Chyba powinienes to zobaczyć.

D’Agosta zbliżył się do niego, uniósł gogle noktowizora i zajrzał w głąb otworu. W słabym świetle Margo spostrzegła kropelki potu perlące się na czole policjanta; jego dłoń odruchowo oparła się na kolbie broni. Wycofał się bez słowa.

Naraz Margo poczuła, że do przodu wysuwa się Smithback. Spojrział, oddychając głośno przez nos i prawie nie mrugając.

– O, skryba zwietrzył padlinę – wyszeptał sarkastycznie Mephisto.

Zdaniem Margo, nic nie wskazywało, że Smithbackowi spodobało się to, co ujrzał. Jego dłonie zaczęły dygotać, zrazu delikatnie, potem coraz silniej, miał trudności, aby nad nimi zapanować. Dopiero D’Agosta odciągnął go od otworu. Na twarzy dziennikarza malowało się nie skrywane przerażenie.

Pendergast skinął na Margo.

– Pani doktor, chciałbym poznać pani opinię – wyszeptał.

Ukłęka przy otworze, uniosła gogle i zajrzała w głąb przestronnego pomieszczenia. Przez chwilę jej umysł nie potrafił zidentyfikować obrazu, który się przed nią pojawił. Spoglądała w dół poprzez to, co pozostało z roztrzaskanego kandelabru, na środek wielkiego, zdewastowanego salonu. Pomieszczenie, ongiś wytworne i luksusowe, obrócone zostało w ruinę, doryckie kolumny, wielkie płaskorzeźby i postrzępione aksamitne draperie kontrastowały z błotem i brudem pokrywającymi ściany. Dokładnie pod nią, pomiędzy potrzaskanymi ramionami kandelabru i zwisającymi żałośnie kryształami, dostrzegła opisywaną przez Pendergasta chatę z czaszek. Przed chatą, szurając i przebierając nogami, stało w nierównych szeregach przynajmniej sto zakapturzonych postaci i kołyszac się, zawodziło przeciągle atonalną, niezrozumiałą pieśń. Z oddali dobiegały dźwięki bębna, podczas gdy wciąż nadchodziły kolejne postacie, by zajmąwszy swoje miejsca, przyłączyć się do upiornego chóru.

Margo patrzyła, zamruwała i spojrziała raz jeszcze z mieszaniną zgrozy i fascynacji. Nie ulegało wątpliwości, to byli Pomarszczeni.

– To wygląda na jakiś rytuał – wyszeptała.

– Rzeczywiście – z ciemności tuż obok dobiegł głos Pendergasta. – Bez wątpienia to drugi z powodów, dlaczego podczas pełni księżyca nikogo nie zabito. Rytuał, cokolwiek znaczy, jest w dalszym ciągu odprawiany. Pytanie brzmi, kto lub co go odprawia, skoro Kawakita nie żyje?

– Możliwe, że mieliśmy tu do czynienia ze swoistym zamachem stanu – wtrąciła Margo.

– W prymitywnych społecznościach zdarza się często, że jeden z szamanów zostaje zabity przez innego, swego rywala, który tym sposobem osiąga dominującą pozycję w grupie. –

Patrzyła, zaintrygowana pomimo przepełniającego ją lęku i obrzydzenia. – Mój Boże. Gdyby tylko Frock mógł to widzieć.

– Tak – odezwał się Pendergast. – Jeśli faktycznie jedna z tych istot zabiła Kawakitę, by zając jego miejsce, mogłoby to tłumaczyć, dlaczego od tej pory zabójstwa stały się znacznie częstsze i o wiele brutalniejsze.

– Spójrz, jak się poruszają – wyszeptała Margo. – Jakby mieli kabłąkowane nogi. To może być efekt postępującego szkorbutu. Jeśli ich organizmy nie przyjmują witaminy D, można było się tego spodziewać.

Nagle zrobiło się lekkie zamieszanie, z miejsca poza zasięgiem wzroku Margo dobiegł chór gardłowych głosów. Gromada Pomarszczonych rozstała się. Rozległo się kilka zduszonych okrzyków, po czym Margo ujrzała postać przyodzianą, jak pozostałe, w długi płaszcz z kapturem, wnoszoną powoli w lektyce wykonanej z kości i poskręcanej skóry. Margo patrzyła, jak procesja zbliża się do chaty, widmowej w tym migoczącym świetle. Lektykę wniesiono do środka, a falujący zaśpiew przybrał na sile, chóralne echo rozbrzmiało wśród ścian wielkiej poczekalni.

– Wygląda na to, że zjawił się szaman – wyszeptała zdyszonym głosem.

– Ta ceremonia, czymkolwiek jest, powinna się zacząć lada chwila.

– Może powinniśmy już stąd pójść? – usłyszała głos D'Agosty. – Nie chcę wam psuć tej wiekopomnej chwili, ale w tunelu tuż obok leży trzydzieści funtów materiałów wybuchowych i tylko czeka, żeby eksplodować.

– To fakt – potaknął Pendergast. – Został do założenia tylko jeden zestaw ładunków. – Położył dłoń na ramieniu Margo. – Musimy iść, pani doktor.

– Jeszcze chwileczkę – wyszczała.

Grupa poniżej rozdzieliła się, około tuzina zakapturzonych postaci ruszyło w kierunku chaty. Ukłękli przy wejściu, układając półokrąg z niedużych czarnych przedmiotów. Śpiew trwał nieprzerwanie i w tej samej chwili z chaty wyłoniła się postać niosąca dwie zapalone pochodnie.

Margo wyteżyła wzrok, usiłując dostrzec, czym były ciemne przedmioty. Było ich w sumie sześć i z góry wyglądały jak nieregularne kauczukowe kule. Najwyraźniej stanowiły nieodłączny element rytuału. Margo przypomniała sobie, że szczerp Chudzi z Natalu używał okrągłych kamieni pomalowanych na biało i czerwono, co miało symbolizować dzienny cykl...

Nagle jedna z postaci szarpnęła leżący obok niej przedmiot, czarny szal ześlizgnął się gładko, a Margo instynktownie cofnęła się o krok, tłumiąc w sobie jęk zgrozy.

Pendergast natychmiast zbliżył się do otworu i przez kilka chwil patrzył w dół. Wreszcie wstał i oznajmił niewzruszonym tonem:

– Straciliśmy oddział SEAL.



Mephisto zajął jego miejsce przy otworze; w migoczącym świetle z dołu jego długa, zmierzwiona broda miała diabelsko czerwony odcień.

– A teraz, moi drodzy, chciałem wam przypomnieć, że niebezpiecznie jest pływać po sutym posiłku – wymamrotał pod nosem.

– Sądzisz, że zdążyli założyć ładunki, nim...? – D’Agosta nie dokończył.

– Miejmy nadzieję – odparł Pendergast, zasuwając pokrywę.

– Założmy ostatni ładunek i zmykajmy póki czas. Utrzymujcie tempo i szyk. Pamiętajcie, że znaleźliśmy się w ich gnieździe. Zachowajcie wzmożoną czujność.

– Wzmożoną czujność – Mephisto parsknął.

Pendergast posłał mu karcące spojrzenie.

– Twojej, bez wątpienia miążdżącej, opinii na mój temat i mojej, dotyczącej twoich gustów kulinarnych, wysłuchamy kiedy indziej – oznajmił, kierując się do wyjścia.

Wyszli korytarzem po drugiej stronie sterowni i pospiesznie pokonali wąskie przejście. Po przejściu stu jardów Pendergast przystanął w miejscu, gdzie z głównym korytarzem łączył się biegnący z dołu tunel o szorstkich, topornych ścianach. Z wąskiego przewodu dochodziły wyraźne dźwięki bębnow.

– To dziwne – powiedział agent FBI, spoglądając na przecinający ich drogę tunel. – Tego przejścia nie ma na mojej mapie. Cóż, to nieistotne, ostatni ładunek tak czy owak powinien zawalić całą tę konstrukcję.

Ruszyli dalej, by po kilku minutach znaleźć się u wejścia do starego pomieszczenia konserwacyjnego. Pod jedną ze ścian stały masywne, zardzewiałe koła oraz coś, co, jak sądziła Margo, musiało być dawnymi zwrotnicami oraz urządzeniami sygnalizacyjnymi. Na murszejącym stole leżało blaszane pudełko obiadowe. Margo dostrzegła w nim stary, zeschnięty szkielet połówki kurczaka. Całe miejsce wyglądało, jakby opuszczono je w pośpiechu.

– Boże, co za miejsce – mruknął D’Agosta. – Aż człowiek zaczyna się zastanawiać, jaka naprawdę była historia tych tuneli.

– Albo czy po blisko stu latach ktokolwiek jeszcze ją zna – rzekł Pendergast. Skinął w stronę obitych metalowymi taśmami drzwi w kącie, pomiędzy stertami zakurzonych sprzętów. – To służbowe przejście, wiodące do tuneli Astora. Tu właśnie założymy ostatni ładunek. – Wyjął z plecaka jeszcze jedną kostkę plastyku i szturchając stopą, potoczył ją po zakurzonej podłodze.

– Po co to robisz? – spytał D’Agosta. – Dla kamuflażu?

– Dokładnie – wyszeptał Pendergast, ugniatając plastyk wokół podstawy betonowego pylonu. – Wygląda na to, że ten obszar jest znacznie bardziej uczęszczany. – Ruchem głowy wskazał w głąb tunelu za nimi.

– Jezu – jęknęła Margo. Podłoga w korytarzu, którym tu dotarli, nosiła ślady niezliczonych par bosych stóp. Margo sięgnęła po maskę i łyknęła trochę tlenu. Wilgotność

wynosiła prawie sto procent. Zaczepnęła jeszcze jeden łyk tlenu, po czym oddała maskę Smithbackowi.

– Dzięki – powiedział, biorąc od razu dwa łyki. Margo patrzyła, jak jego oczy znów nabierają mętnawego połysku. Włosy, pozlepiane w strąki, opadały mu na czoło, koszulę miał podartą i zakrwawioną. Biedny Bill, pomyślała. Wygląda, jakby właśnie wyczołgał się z kanału. Właściwie jest w tym sporo prawdy.

– A co tam na górze? – zapytała, aby wyrwać go z posepnego zamyślenia.

– Rozpętało się istne piekło – odparł dziennikarz, pokornie oddając jej maskę. – W trakcie marszu zorganizowanego przez panią Wisher nagle z tuneli zaczęły się wyłaniać setki kretów. Wychodzili ze stacji metra, z przewodów wentylacyjnych i z kanałów wzdłuż całego Broadwayu. Słyszałem, jak ktoś mówił, że gliniarze puścili gaz w tunelach pod Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą i Parkiem.

– Kretów, powiadasz, skrybo? – zasyczał Mephisto. – Tak, jesteśmy kretami. Unikamy słońca, nie ze względu na jego ciepło czy blask, lecz z uwagi na to, co nam ono ukazuje: korupcję, zepsucie i całe rzesze ludzi pochłoniętych nie kończącym się wyścigiem szczurów, pracujących jak woły w kieracie, od świtu do nocy. „Tłum się po London Bridge przetoczył jak morze zanim wiedział, że śmierć zepsuć tyle może.”

– Wystarczy – uciał D’Agosta. – Wyprowadź mnie tylko z powrotem na tę trawioną zepsuciem i korupcją powierzchnię, a obiecuję, że będziesz mógł zaszyć się w najgłębszej norze, jaka istnieje w tych diabelskich tunelach, i już nigdy, przenigdy nie zakłócę twojego spokoju.

– Podczas gdy wy dwaj tak tu sobie miło gawędziliście, ja założyłem ostatni ładunek – rzekł Pendergast, zacierając ręce i wyrzucając pusty już plecak. – Dziwię się, że tą utarczką słowną nie ściągnęliście nam na kark całej watahy tych stworzeń. A teraz wynośmy się stąd najszybciej, jak się da. Zostało nam niecałe trzydzieści minut.

Ruszył w stronę wyjścia z magazynu.

Nagle przystanął. Zapadła krótka cisza.

– Vincencie – Margo usłyszała jego szept. – Jesteś gotowy?

– Od urodzenia.

Pendergast zerknął na dyszę miotacza ognia.

– Jeśli to będzie konieczne, użyję go, a potem zaczniemy się wycofywać. Zaczekajcie, aż płomienie przygasną, nie podchodźcie za szybko. Ten miotacz wyrzuca palną mieszanekę na niewielką odległość, jest przeznaczony do walki w krótkim dystansie, ale płonąca substancja przywiera do każdej powierzchni i gaśnie dopiero po kilku sekundach. Czy to jasne? Zdejmijcie noktowizory i bądźcie gotowi, aby zamknąć oczy przed uruchomieniem flesza. Czekać na mój znak. Pozostali niech przygotowują broń.

– Co się dzieje? – wyszeptała Margo, dobywając glocka i odbezpieczając go.

I wtedy to poczuła, odrażającą woń istot, wiszącą w powietrzu niczym złowrogi cień.

– Musimy minąć ten szyb wentylacyjny – wyszeptał Pendergast. – Idziemy.

Wtem w tunelu przed i pod nimi rozległo się głośnie szuranie. Pendergast opuścił rękę, a D’Agosta włączył latarkę ustawioną na najwęższy promień. W jej świetle Margo dostrzegła grupkę zakapturzonych postaci, wspinających się w górę pionowego szybu w ich kierunku.

Poruszały się z przerażającą szybkością. Mogło się wydawać, że wszystko stało się równocześnie: Pendergast krzyknął, trzasnął flesz D’Agosta i wewnątrz tunelu wypełniło się oślepiającym, niebiańskim wręcz światłem, nadając w okamgnieniu barwy szarym dotąd zarysom skał dookoła. Rozległ się dziwny, chrapliwy ryk i z dyszy miotacza wystrzelił jezor niebiesko-pomarańczowego ognia. Choć znajdowała się za agentem FBI, Margo poczuła potworną falę żaru omiatającą jej twarz. Struga płomieni dosięgła zbliżających się postaci przy wtórze głośniego trzasku i burzy wirujących iskier. Przez chwilę istoty wciąż parły naprzód, a Margo odniosła wrażenie, jakby te znajdujące się w przodzie miały na sobie dziwne, falujące, płomienne szaty, które zwijały się, skręcały i obracały w popiół. Miotacz przestał pluć ogniem, lecz nim to nastąpiło, mózg Margo zarejestrował przerażający obraz garbatych, zniekształconych ciał, płonących żywcem i wymachujących dziko nogami, gdy jedno po drugim opadały w głąb tunelu.

– Odwrót! – zarządził Pendergast.

Zawrócili do pomieszczenia magazynowego; Pendergast jeszcze raz potraktował istoty ogniem. W blasku pomarańczowego światła Margo spostrzegła kolejne stworzenia, było ich bez liku, wspinające się po ścianach szybu w ich stronę. Instynktownie uniosła broń i oddała kilka strzałów. Dwa stwory odpadły od ściany i znikły w ciemnościach poniżej.

Margo ni stąd, ni zowąd uświadomiła sobie, że w tym zamieszaniu straciła kontakt ze Smithbackem. Tuż obok niej huknęło jak z armaty – to Mephisto wypalił ze swojej strzelby. Usłyszała czyjś krzyk, być może własny, i gorączkowe, bełkoczące okrzyki bólu zranionych istot. Dał się słyszeć ostry trzask, a zaraz potem silna eksplozja wstrząsnęła tunelem, gdy D’Agosta rzucił w gromadę istot granat odłamkowy.

– Szybko! – rzucił Pendergast. – Musimy zejść schodami służbowymi na dół!

– Odbiło ci? – zaoponował D’Agosta. – Wpadniemy jak szczury w pułapkę!

– Już wpadliśmy – mruknął agent. – Jest ich zbyt wielu. Tu nie możemy podjąć walki, przypadkowy strzał mógłby wywołać eksplozję C-4. W tunelach Astora mamy przynajmniej jakąś szansę. Jazda!

D’Agosta silnym szarpnięciem otworzył obite metalem drzwi i cała grupa ruszyła pędem w dół schodów; Pendergast idący na końcu osłaniał odwrót, omiatając tunel za nimi, strugami płynnego ognia.

Na schodach zrobiło się ciemno od gęstego, szczypiącego w oczy dymu. Margo zamrugnęła, powstrzymując łzawienie, gdy wtem ujrzała pojawiającą się z tyłu, za nimi postać w ciemnym kapturze, spod którego wyzierało wykrzywione grymasem wściekłości pomarszczone oblicze; w uniesionej dłoni postać trzymała postrzępiony, krzemienisty nóż.

Przyjmując pozycję strzelecką Weavera, Margo, opróżniła strzelając w monstrum, cały magazynek, z niejaką obojętnością zwracając uwagę na efekt grzybkowania, powodowany przez kule z wydrążonymi wierzchołkami, przebijające grubą, pofałdowaną skórę. Postać upadła, ale zaraz pojawiła się następna. Miotacz rzygnął ogniem i postać runęła w tył w konwulsyjnym tańcu, rozświetlona aureolą płomieni.

Znaleźli się w niedużym, wysoko sklepionym pomieszczeniu, którego ściany i posadzki wyłożone były kafelkami. Spoza gotyckiego, łukowego wejścia płynęła poświata towarzysząca rytuałowi. Margo pospiesznie rozejrzała się wokół, rozsypując naboje po podłodze, gdy desperacko ładowała magazynek. W powietrzu unosił się dym, ale z ulgą stwierdziła, że w pomieszczeniu prócz nich nie było nikogo. Najwyraźniej trafili do drugiej poczekalni, przeznaczonej być może dla dzieci – stało tu kilka niskich stolików, na kilku z nich wciąż rozstawione były figury i pionki szachowe oraz kamienie do gry w warcaby. Jedne i drugie pokryły się pleśnią i pajęczynami.

– Szkoda czarnego – rzekł Mephisto, spoglądając na najbliższy stół i przeładowując strzelbę. – Miał wygraną partię.

Od strony schodów dobiegło głośnie szuranie i z ciemności rzuciła się ku nim kolejna grupa przerażających stworzeń. Pendergast sprężył się, omiatając ją strugą płomieni. Margo ugięła kolana, przyjęła pozycję strzelecką i zaczęła raz po raz energicznie ściągać spust.

Huk wystrzałów z jej pistoletu zlał się w jeden nieprzerwany ryk.

Po drugiej stronie łukowego wejścia coś się poruszyło i nagle z wnętrza Pawilonu natarła na nich jeszcze jedna gromada Pomarszczonych. Margo patrzyła, jak Smithback, gorączkowo manipulując przy granatniku, został w kilka sekund pochwycony, obezwładniony i rzucony na ziemię. Pendergast stał oparty plecami o ozdobioną kafelkami ścianę, skąpując istoty gromadzące się wokół niego w powodzi ognia. Przepęlna wrażeniem nierealności, Margo wymierzyła w głowy biegnących istot, znajdujących się przed nią, i zaczęła raz za razem naciskać spust. Jedno ze stworzeń padło, potem drugie, i nagle iglica pistoletu Margo natrafiła na pustą komorę. Cofnęła się najdalej, jak tylko mogła, sięgając do torebki po kolejną garść naboji.

Nagle wokół niej zaroilo się od mrocznych cieni; ramiona, silne jak stalowe liny, pochwytyły ją za szyję i wyłuskały z dłoni bezużyteczny pistolet; dławiący słodkawy odór, przypominający smród gnijącego ciała, zmącił jej zmysły. Margo zamknęła oczy i krzyknęła z bólu, gniewu i przerażenia, w głębi duszy zaś zaczęła przygotowywać się na spotkanie nieuchronnej śmierci.

Snow patrzył, jak ciemne postacie zbijają się w zwartą masę, wypełniając wnętrze tunelu przed nimi. Wcześniej przystanęły, oślepienie jasnym błyskiem flary, teraz jednak znów ruszyły naprzód w tak przemyślany i złowróżbny sposób, że na ich widok Snowowi aż ścierpła skóra. To nie były bezmózgie stworzenia, rzucające się na oślep w wir walki, w ich poczynaniach można było dopatrzeć się świadomej strategii.

– Posłuchaj – rzekł półgłosem Donovan. – Załaduj jeden z pocisków do XM-148. Wystrzelimy razem, na mój sygnał. Celuj w lewą flankę ich grupy, ja wymierzę w prawą. Przeładuj i oddaj następny strzał najszybciej, jak potrafisz. Granatniki mają skłonność do podrywania w górę, celuj zatem możliwie nisko.

Snow załadował pocisk do granatnika. Serce podeszło mu do gardła. Czuł, że Donovan obok niego zastyga w nerwowym wyczekiwaniu.

– Teraz! – krzyknął Donovan.

Snow ściągnął przedni spust i broń nieomal wyrwała się z jego rąk, gdy pocisk z sykiem pomknął w stronę istot blokujących wylot tunelu. Jasne pióropusze ognia bliźniaczych eksplozji wypełniły wąski korytarz pomarańczowym blaskiem. Snow zorientował się, że posłał granat trochę za bardzo w lewo, trafiając w ścianę tunelu. Od strony grupy zakapturzonych postaci dobiegły przerażające wrzaski.

– Jeszcze raz! – zawołał Donovan, załadowując kolejny pocisk.

Snow przeładował i oddał następny strzał, tym razem kierując lufę broni nieco bardziej w prawo. Patrzył jak zahipnotyzowany na wylatujący z lufy pocisk, który, zdawałoby się, w zwolnionym tempie przeleciał nad głowami posepnych postaci, stłoczonych u wylotu korytarza. Znów rozległ się głośny huk i pojawił oślepiający błysk.

– Niżej! – zakrzyknął Donovan. – Zbliżają się!

Snow, pochlipując, rozerwał zębami dodatkową ładownicę, wsunął pocisk do komory i energicznie ściągnął spust. Pośrodku gromady postaci pojawił się pomarańczowy pióropusz ognia. Huk wystrzału zagłuszyły przeraźliwe wrzaski.

– Jeszcze raz! – warknął Donovan, oddając strzał ze swojego granatnika. – Przywał im znowu!

Snow załadował i wypalił; pocisk wylądował za blisko, fala gorącego powietrza, powstała przy wybuchu, powaliła ich na kolana.

Policjant wyprostował się, mrugając, bo w powietrzu wirowały kłęby kurzu i dymu. Nie miał już granatów, a jego palec wskazujący przeniósł się z przedniego na tylny spust.

Donovan uniósł w górę jedną dłoń, co miało oznaczać „punkt zagrożenia”. Czekali z bronią wycelowaną w ciemność przez, jak się zdawało Snowowi, dobrych parę minut. W końcu Donovan opuścił karabin.

– Ale była zadyma – wyszeptał. – Świetnie się spisałeś. Zaczekaj tu chwilę, a ja pójde na zwiały. Gdybyś coś usłyszał, krzycz. Wątpię, abyśmy po tym, co się stało, mieli okazję ujrzeć jeszcze choćby jednego z nich, ale wolę nie ryzykować.

Sprawdził magazynek swojego M-16, zapalił flarę i rzucił ją w wirujące kłęby dymu. Następnie wolno pomaszerował przed siebie, trzymając się blisko ściany tunelu. Kiedy dym się rozwiął, Snow dostrzegł mglisty zarys głowy i barków Donovana, który skradał się miękko w stronę wylotu tunelu; za komandosem po ścianie pełzł jego mroczny, wydłużony cień.

Snow patrzył, jak komandos starannie omija rozszarpane, dymiące szczątki, zaścielające ziemię u wylotu korytarza. Dotarłszy tam, Donovan ostrożnie rozejrzał się dokoła, po czym jednym zdecydowanym krokiem znalazł się na zewnątrz, przy Potrójnym Rozgałęzieniu. Pochłonęła go ciemność. Snow został sam na sam z mrokiem. Nagle przypomniał sobie, że wciąż miał przy boku chlebak z flarami magnezjowymi. Podczas walki zupełnie o nim zapomniał. Miał chęć zostawić chlebak z niebezpieczną zawartością w tunelu, odrzucić go precz, ale zwalczył w sobie to pragnienie. Rachlin powiedział, że mam je nosić aż do zakończenia misji, pomyślał, i tak właśnie będzie.

Rachlin... wydawało się wręcz niemożliwe, że te istoty wybiły cały oddział komandosów SEAL. Przecież ci ludzie byli uzbrojeni po zęby i zaprawieni w bojach. Jeśli tamte dwa tunele są podobne do tego, może któremuś z chłopaków udało się uciec po drabince na końcu korytarza, w tej sytuacji może powinniśmy zawrócić i sprawdzić...

Wtem Snow znieruchomiał, zaskoczony spokojem, jaki ogarnął jego umysł. Może był odważniejszy, niż przypuszczał. A może po prostu głupszy. Nie sądził, że jest zdolny do tak chłodnego rozumowania. Gdyby tylko mógł mnie teraz zobaczyć ten skurwiel Fernandez, pomyślał.

Z rozmyślań wyrwał Snowa widok Donovana wyłaniającego się z ciemności, rozglądającego się dokoła i gestem przywołującego go do siebie. Policjant szybkim krokiem podszedł do niego i nagle znieruchomiał, gdy jego oczom ukazał się przerażający widok. Sprzęt, który wciąż spoczywał ułożony starannie pod ścianą, kontrastował z bezgłowymi, rozerwanymi wybuchem postaciami i fragmentami kończyn zalegającymi w szaleńczych konfiguracjach rozmokłą ziemię u wylotu korytarza.

– Pospiesz się! – ponaglił Donovan. – Nie ma czasu na podziwianie widoków.

Uniósł wzrok. Donovan stał z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i ze zniecierpliwioną miną przyglądał się ekwipunkowi.

Nad głową Donovana, wśród gęstej czerni kopułowego sklepienia, po ogniwach grubego łańcucha opuściła się ciemna postać i wydając głośny okrzyk, skoczyła komandosowi na plecy.

Donovan zachwiał się i choć zdołał strącić istotę, która wylądowała na jego grzbiecie, w następnej chwili przyskoczyły doń dwie następne i powaliły go na kolana. Snow

instynktownie odskoczył do tyłu, unosząc karabin, ale nie był w stanie oddać celnego strzału. Jeszcze jedna mroczna postać rzuciła się naprzód z nożem w dłoni; Donovan zawył przeciągle – był to niewiarygodny, wysoki, niemal kobiecy wrzask.

Postać wykonała kilka zamasztych, tnących ruchów, dał się słyszeć gardłowy ryk triumfu i w następnej chwili zakapturzona istota uniosła w górę ociekającą szkarłatem głowę Donovana.

Chwilowo sparaliżowanemu tym widokiem Snowowi wydawało się, że dostrzega, jak gałki oczne komandosa wywracają się dziko w oczodołach, rozjaśnione krwistą poświatą flary palącej się w korytarzu.

Właśnie wtedy Snow wystrzelił, krótkimi oszczędnymi seriami, jak go nauczył Donovan, kierując plującą łożem lufę broni to w lewo, to w prawo, mierząc w przerażającą gromadę upiornych istot pochylających się nad ciałem Donovana. Wiedział, że z jego ust dobywał się przy tym nieartykułowany okrzyk, ale go nie słyszał. Opróżniwszy magazynek, załadował drugi, zapasowy, i wrzeszcząc przeraźliwie, strzelał, dopóki nie zabrakło mu nabojów. Gdy nagle w uszach zadźwięczała mu rozdzierająca cisza, postąpił naprzód, rozgarniając dłonią kłęby kordytowego dymu, lustrując mrok w poszukiwaniu upiornych istot. Zrobił jeden krok, drugi i następny.

Czerń przed nim zdawała się zmieniać, jakby napierała sama na siebie; na ten widok Snow odwrócił się i co sił w nogach pobiegł w stronę końca tunelu; jego stopy chlupotały w grząskim błocie i rozbryzgiwały brudną wodę, a pusty magazynek, zapomniany, z metalicznym brzękiem wylądował z tyłu, za nim, na śliskich kamieniach.

## 61

Margo zacisnęła mocno powieki, usiłując oczyścić umysł na nadejście ostatecznego bólu. Upłynęło jednak kilka chwil i poczuła, że coś dźwiga ją z ziemi, bezceremonialnie unosząc w górę, aż zakołysała się z boku na bok, a pasek ciężkiej torebki boleśnie werznął się jej w ramię. Pomimo niezwyklej grozy całej tej sytuacji, przepelniła ją głęboka ulga, przynajmniej jeszcze żyła.

Przez wąski, cuchnący, mroczny przesmyk dostała się do ogromnego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Zmusiła się do otwarcia oczu i wyteżając wzrok, próbowała rozeznąć się w sytuacji. Dostrzegła zbite lustro, pokryte niezliczonymi warstwami zaschłego błota, większość szkła została wytłuczona i przepadła dawno temu. Obok wisiał stary, przegniły gobelin, przedstawiający pojmanie jednorożca. Powleczono ją dalej, obecnie widziała wyraźnie marmurowe ściany zbiegające się w stronę wysokiego, błyszczącego sklepienia i zniszczony kandelabr. Pośrodku sufitu dostrzegła niedużą, metalową, lśniącą, płytką,

odsuwaną klapę, przez którą patrzyli zaledwie kilka minut temu. Jestem w kryształowym pawilonie, pomyślała.

Duszący smród był tu silniejszy niż kiedykolwiek i Margo z trudem poczęła tłumić w sobie panikę i narastającą rozpacz. Brutalnie rzucono ją na ziemię, uderzenie wycisnęło z jej płuc resztkę powietrza. Z trudem chwytając oddech, spróbowała podźwignąć się na łokciu. Zauważyła, że otaczali ją Pomarszczeni, kolebali się z boku na bok i przestępowali z nogi na nogę. Wszyscy mieli na sobie postrzępione, uszyte z kawałków płótna, płaszcze z kapturami. Mimo przerażenia patrzyła na nich z zaciekawieniem. A więc to są ofiary szkliwa, pomyślała, odzyskując jasność umysłu. Nie mogła stłumić w sobie współczucia wobec nich i tego, co ich spotkało. Raz jeszcze zastanawiała się, czy faktycznie musieli umrzeć, choć w głębi serca wiedziała, że nie istniała inna alternatywa. Kawakita napisał wyraźnie, że nie było żadnego antidotum, nie istniał sposób na odwrócenie spustoszeń poczynionych w ich organizmach przez reowirusa, podobnie jak nie było szansy na ocalenie Whittleseya.

Ta myśl spowodowała pojawienie się następnej i Margo dziko rozejrzała się dokoła. Ładunki zostały założone i wkrótce wybuchną. Nawet jeśli Pomarszczeni ich oszczędzili...

Jedna z istot nachyliła się i wyszczerzyła do Margo. Kaptur zsunął się nieznacznie do tyłu i wszelkie współczucie czy żal, jak również niepokój o własny los w obliczu bezpośredniego zagrożenia, prysły w przyływie niepohamowanej odrazy i obrzydzenia. Przez mgnienie oka widziała fragment groteskowo pomarszczonej skóry, zwieszającej się cienkimi, zachodzącymi jedna na drugą fałdami, wokół błyszczących, gadzich ślepi, czarnych i martwych, o zwięzonych źrenicach, maleńkich jak łebki szpilek.

Odwróciła wzrok.

Rozległo się głucho uderzenie i na ziemi obok niej wyładował Pendergast. Zaraz potem dołączyli do nich wciąż szamocący się zaciekłe Smithback i Mephisto.

Pendergast spojrział na nią pytająco; Margo pokiwała głową, co miało oznaczać, że nic jej nie jest. Znowu zrobiło się małe zamieszanie i opodal na ziemi pojawił się D'Agosta. Jeden z Pomarszczonych odebrał mu broń i odrzucił gdzieś w bok. Porucznik mocno krwawił z długiego rozcięcia nad okiem. Inny Pomarszczony zdarł torebkę z ramienia Margo i rzucił na ziemię, po czym ruszył w stronę policjanta.

– Nie zbliżaj się do mnie, cholerny mutancie – warknął gliniarz.

Jeden z Pomarszczonych pochylił się i wymierzył mu siarczysty policzek.

– Lepiej ich nie drażnij, Vincencie – rzekł półgłosem Pendergast. – Mają nad nami niewielką przewagę liczebną.

D'Agosta podniósł się na klęczki i potrząsnął głową, aby przegnać powidoki wirujące mu przed oczami.

– Dlaczego wciąż żyjemy?

– To pytanie dnia – odparł Pendergast. – Obawiam się, że może to mieć coś wspólnego z ceremonią, która rozpocznie się niebawem.



– Słyszałeś, skrybo? – zachichotał posepnie Mephisto. – Może „Post” kupi twój następny artykuł „Jak stałem się ludzką ofiarą”.

Znów usłyszeli cichy zaśpiew, a Margo poczuła, że silne ręce podnoszą ją z ziemi. Tłum rozstał się i ujrzała oddaloną od nich o jakieś dwadzieścia stóp upiorną chatę z czaszek. Patrzyła w niemym przerażeniu na makabryczną budowlę, zbrukaną i nieczystą, wyszczerzoną w tysiącu uśmiechów. Wewnątrz krzątało się kilka postaci, a ponad nie ukończonym dachem unosiły się gęste kłęby pary.

Budowlę otaczał płot z niechlujnie oczyszczonych ludzkich kości. Przed wejściem wznosiło się kilka ceremonialnych, kamiennych stołów. Wewnątrz, poprzez niezliczone otwory oczodołów, widziała mroczny kształt lektyki, w której wniesiono do środka szamana. Zastanawiała się, jak mogła wyglądać ta istota. Nie była pewna, czy zniesie widok kolejnego oblicza, wyglądającego jak to, które zaledwie przed chwilą łypało na nią głodnym wzrokiem.

Silna ręka popchnęła ją, zmuszając do marszu. Margo, powłócząc nogami, poczłapała w stronę chaty. Kątem oka dostrzegła, jak kilku Pomarszczonych bezceremonialnie popycha do przodu szamoczącego się z nimi D’Agostę. Smithback, choć w milczeniu, również stawiał opór. Jedna z postaci wydobyła spod długiego płaszcza paskudnie wyglądający krzemienisty nóż i przyłożyła ostrze do gardła dziennikarza.

– Cuchillos de pedernal – wyszeptał Pendergast. – Czy nie to usłyszałeś od kobiety, która przeżyła masakrę w metrze?

D’Agosta pokiwał głową.

Kilka stóp przed ogrodzeniem Margo została zatrzymana, a następnie zmuszona do uklęknięcia, to samo spotkało również pozostałych. Śpiew i odgłosy bębnowo wokół przybrały na sile.

Wtem wzrok Margo padł na kamienne stoły, rozmieszczone dokoła chaty. Na stojącym najbliżej spostrzegła kilka metalowych przedmiotów ułożonych pieczołowicie niczym wota. To, co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach.

– Pendergast? – wychrypiała.

Agent rzucił jej pytające spojrzenie, na co skinęła głową w stronę podwyższenia.

– Ach – wyszeptał. – To te większe pamiątki. Mogłem zabrać ze sobą jedynie kilka mniejszych.

– Tak – odparła z przejęciem. – Rozpoznałam jedną z nich. To hamulec ręczny od wózka inwalidzkiego.

Na twarzy Pendergasta pojawił się wyraz zdumienia.

– A ten kawałek tutaj to ułamany fragment dźwigni regulacji nachylenia.

Pendergast próbował przybliżyć się do podwyższenia, ale jedna z postaci zmusiła go do pozostania na miejscu.

– To bez sensu – powiedział. – Po co ktoś miałby rozkładać tu coś...

I nagle przerwał.

– Lourdes – wyszeptał.

– Nie rozumiem – odrzekła Margo.

Pendergast jednak nie odezwał się już ani słowem, wzrok skupił na postaci znajdującej się wewnątrz pomieszczenia.

W chacie coś się poruszyło i po chwili wyłoniła się z niej mała procesja. Postacie w długich płaszczach i kapturach wychodziły na zewnątrz dwójkami, dźwigając pomiędzy sobą kotły pełne jakiegoś buchającego parą płynu. Śpiew dokoła stawał się coraz głośniejszy, aż ostatecznie przerodził się w przeciągłą, wrzaskliwą kakofonię dźwięków. Pomarszczeni ustawili kotły w zagłębieniach w posadzce pawilonu. Po chwili z chaty wyniesiono lektykę okrytą kirem i dźwiganą przez czterech tragarzy.

Szli miarowym, równym krokiem, okrążając palisadę z kości. Gdy dotarli do najdalszej i największej zrazem kamiennej platformy, ostrożnie postawili na niej lektykę. Wyjęto żerdzie lektyki, ściągnięto czarny baldachim i adiutanci wolno wrócili do wnętrza chaty.

Margo patrzyła na mroczną postać siedzącą na podwyższeniu, jej twarz była w ciemnościach niewidoczna, dostrzec można było tylko lekki ruch długich, smukłych palców. Śpiew cichł przez chwilę, ale zaraz znów rozbrzmiał z nową mocą, w której wyczuwało się żarliwe, nienasycone wyczekiwanie. Nagle postać uniosła rękę i śpiew ucichł jak ucięty nożem. Chwilę później, gdy mężczyzna wychylił się do przodu, migotliwy blask pochodni oświetlił jego twarz.

Margo odniosła wrażenie, że w tym samym momencie czas stanął w miejscu. Była to krótka, lecz zarazem przerażająca chwila. Zapomniała o lęku, bolących kolanach i detonatorach nieubłagane odmierzających czas w mrocznych tunelach powyżej. Mężczyznę, który siedział w lektyce wykonanej z powiązanych ze sobą ludzkich kości, ubranym w charakterystyczne spodnie z gabardyny i paislejowski krawat był Whitney Frock.

Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale z jej gardła nie dobył się żaden dźwięk.

– Boże – wyszeptał klęczący tuż obok Smithback.

Frock zlustrował zgromadzony przed sobą tłum beznamiętnym, odartym z wszelkich emocji spojrzeniem. W ogromnej sali zapanowała grobowa cisza.

Dopiero teraz Frock skierował wzrok w stronę więźniów. Spojrzał na D'Agostę, Smithbacka i wreszcie na Pendergasta. Ujrawszy Margo, wyraźnie zadrżał. W jego oczach pojawiły się iskierki ożywienia.

– Moja droga – powiedział. – Jakie to smutne. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że zechcesz wziąć udział, wraz z tymi panami, w ich małej wycieczce, przyjmując funkcję doradcy naukowego. Doprawdy, bardzo mi przykro. Mówię to całkiem szczerze, nie patrz tak na mnie. Przypomnij sobie, jak ocaliłem ci życie, gdy nadeszła pora, aby pozbyć się tego kłopotliwego Irlandczyka. Muszę przyznać, że uczyniłem to wbrew sobie i zdrowemu rozsądkowi.

Margo, wstrząśnięta i przepelniona niedowierzaniem, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Nic nie mogę na to poradzić. – Iskierki w oczach Frocka zgasły. – Co się tyczy pozostałych, witam serdecznie. Sądzę, że niezbędna będzie mała prezentacja. Kim, na przykład, jest ów brodaty dżentelmen w łachmanach? – Odwrócił się do Mephista. – Ma oblicze dzikiej bestii pochwyconej w sidła i zapewne porównanie to nie odbiega dalece od prawdy. Jest to, jak przypuszczam, jeden z tubylców, służący wam za przewodnika. Raz jeszcze pytam, jak pańska godność?

Cisza.

Odwrócił się do jednego ze swoich adiutantów.

– Jeśli nie odpowie, poderżnij mu gardło. Nie możemy tolerować nieuprzejmości, nieprawdą?

– Mephisto – rozległo się w odpowiedzi.

– Mephisto, coś podobnego! Edukacja bywa groźna. Zwłaszcza dla bezdomnego ochlapusa. Mephisto, coś podobnego! Jakie to banalne. Bez wątpienia przybrałeś to „imię”, aby wzbudzać strach w sercach swych żalonych popleczników. Nie wyglądasz mi na diabła, co najwyżej na nędznego pijaczynę i narkomana tułającego się po cuchnących kanałach. Cóż, nie powinienem się skarżyć, przyznaję, że tacy jak ty i twoi kompani bywają bardzo użyteczni. Może wśród moich dzieci znajdziesz któregoś ze swych dawnych towarzyszy... – Zamaszystym ruchem ręki wskazał na stojących wokoło Pomarszczonych.

Mephisto wyprężył się jak struna, ale nic nie powiedział.

Margo patrzyła na byłego profesora. Takiego Frocka nigdy jeszcze nie widziała. Zawsze był łagodny i taktowny.

Obecnie emanował arogancją, a jego lodowaty chłód, brak jakichkolwiek emocji, zmroził ją bardziej niż odczuwana wcześniej zgroza czy konsternacja.

– A oto as dziennikarski, pan Smithback! – rzucił drwiąco Frock. – Czy sprowadzili cię tu, abyś ubrał w słowa ich wiekopomne zwycięstwo nad rzeszą moich dzieci? Szkoda, że nie będziesz mógł opisać w tym swoim szmatławcu prawdziwego przebiegu wydarzeń, które się tu rozegrają.

– To się jeszcze okaże – zuchwale odciął się Smithback.

Frock zachichotał.

– Frock, co to wszystko ma znaczyć, do cholery? – mruknął, szamocząc się ze swymi oprawcami, D’Agosta. – Lepiej mi to wytłumacz, bo jak nie...

– Bo jak nie, to co? – Frock odwrócił się do policjanta. – Zawsze uważałem cię za impertynenta i półgłówna. Dziwię się jednak, że jak dotąd nie zorientowałeś się, iż w obecnym położeniu nie masz podstaw, by żądać ode mnie czegokolwiek. Czy zostali rozbrojeni? – zwrócił się do stojącej najbliżej niego postaci w kapturze, która w odpowiedzi pokiwała powoli głową.

– Sprawdźcie tego raz jeszcze – rzucił Frock, wskazując na Pendergasta. – To podstępny łajdak.

Pendergast został gwałtownie poderwany z ziemi, obszukany, po czym znów zmuszono go, aby ukląkł. Frock bacznie się im przyglądał, a na jego ustach wykwitł lodowaty uśmiezek.

– To był twój wózek inwalidzki, prawda? – spytał półgłosem Pendergast, wskazując na kamienne podwyższenie.

Frock skinął głową.

– Mój najlepszy wózek.

Pendergast milczał. Margo odwróciła się do Frocka, wreszcie znów mogła mówić.

– Dlaczego? – zapytała zwyczajnie.

Frock patrzył na nią przez chwilę, po czym dał znak swoim adiutantom. Zakapturzone postacie ustawiły się za wielkimi kotłami. Frock wstał, zeskoczył z lektyki i o własnych siłach szybkim krokiem podszedł do agenta FBI.

– Oto dlaczego – odrzekł.

I stanął dumnie, unosząc obie ręce nad głową.

– Jako ja zostałem uzdrowiony, tak i wy będziecie uleczeni! – zawołał donośnym, dźwięcznym głosem. – Jako ja stałem się jedną całością, tak i wy nią będziecie!

Tłum odpowiedział gromkim, gardłowym okrzykiem. Trwał on długo, bardzo długo, a Margo zorientowała się, że musiał stanowić coś w rodzaju umówionej odpowiedzi. Te istoty mówią, pomyślała, a w każdym razie usilnie się starają.

Krzyk ucichł powoli, jego miejsce zajął znajomy śpiew. Znów rozbrzmiało monotonne dudnienie bębnów, a szeregi Pomarszczonych ruszyły, powłócząc nogami, w kierunku półokręgu kotłów. Adiutanci wynieśli z wnętrza chaty delikatne gliniane puchary. Margo patrzyła, a jej umysł nie potrafił połączyć tych przepięknych, kruchych naczyń z tak odrażającym rytuałem. Istoty podchodziły jedna po drugiej, ujmując puchary w szponiaste dłonie i unosząc do niewidocznych, ukrytych pod kapturami ust.

Na dźwięk ohydneho siorbania odwróciła się.

– Oto dlaczego – powtórzył Frock, odwracając się do Margo. – Nie rozumiesz? Nie potrafisz pojąć, że to jest warte wszystkiego, dosłownie wszystkiego na całym tym żalonym świecie?

W jego tonie dało się wyczuć błagalną nutę.

Margo przez chwilę nie rozumiała. I nagle doznała oświecenia – rytuał, narkotyk, fragmenty wózka, wzmianka Pendergasta o sanktuarium w Lourdes i cudownych, uzdrawiających mocach tego miejsca.

– Abyś mógł znowu chodzić – rzekła półgłosem. – To wszystko tylko po to, abyś znowu mógł chodzić.

Oblicze Frocka w jednej chwili stężało.

– Jakże łatwo ci mnie osądzić – powiedział. – Tobie, która przez całe życie chodzisz swobodnie i która nigdy nie miałaś kłopotów z nogami. Skąd możesz wiedzieć, jak to jest być

przykutym do wózka inwalidzkiego? Inwalidzi od urodzenia poniekąd mają łatwiej, ale co ma powiedzieć ktoś, kto poznał ów cud, a następnie został mu on odebrany, zanim udało mu się dokonać największych w życiu osiągnięć? – Spojrzał na nią. – Rzecz jasna, dla ciebie zawsze byłem tylko doktorem Frockiem. Dobrym, starym doktorem Frockiem; jakież to smutne, że nabawił się polio w tej małej afrykańskiej wiosce w dżungli Ituri. Jakież to smutne, że musiał porzucić pracę w terenie.

Nachylił się do niej.

– Badania w terenie były całym moim życiem – wyszczał.

– I dlatego skoncentrował się pan na badaniach doktora Kawakity – wtrącił Pendergast. – Dokończył pan to, co on zaczął.

Frock parsknął.

– Biedny Gregory. W przyływie desperacji zawitał do mnie. Jak zapewne wiecie, przedwcześnie zaczął przyjmować narkotyki. – Frock pokiwał palcem w nietypowym dla siebie cynicznym geście. – Błąd, oj, błąd. I pomyśleć, że uczyłem go, iż zawsze należy ściśle przestrzegać ustalonych procedur. Niestety, chłopak był trochę nadgorliwy i popędliwy zarazem. Przepelniała go ignorancja i pragnienie nieśmiertelności. Zaczął brać narkotyki, zanim usunął z roślin wszystkie te paskudne efekty uboczne. Ponieważ w rezultacie jego ciało uległo gruntownym przemianom fizycznym, przyszedł do mnie, błagając o pomoc. Podczas operacji chirurgicznej, której musiał się poddać, wszczepiono mu do kręgosłupa metalową płytkę. Potem to obce ciało zaczęło sprawiać mu ból. Był samotny, przerażony i cierpiał. Do kogo miał się zwrócić, jeśli nie do mnie, smutnego, znudzonego emeryta? Naturalnie potrafiłem mu pomóc. Nie tylko usunąłem płytkę z jego ciała, lecz również całkowicie oczyściłem narkotyki. Niestety, jego okrutne eksperymenty – Frock rozłożył szeroko ręce – i sprzedaż narkotyku doprowadziły ostatecznie do jego śmierci. Kiedy uzależnieni zorientowali się, co im zrobił, zabili go.

– Tak więc podjął się pan dalszych prac nad oczyszczeniem narkotyku – rzekł Pendergast – a później sam pan go przyjął.

– Ostatecznego dzieła dokonaliśmy w raczej niechlujnym, małym laboratorium, które założył nad rzeką. Greg zatracił przekonanie o konieczności podążania dalej tą drogą. A może nigdy nie miał dość odwagi, owej wewnętrznej siły niezbędnej naukowcowi obdarzonemu prawdziwą wizją, aby mógł doprowadzić swe dzieło do końca. I dlatego skończyłem to, co on zapoczątkował. A raczej udoskonałem. Narkotyk, rzecz jasna, wciąż wywołuje zmiany morfologiczne. Teraz jednak miast zniekształceń powoduje zmiany na lepsze, lecz to, co zostało oszpecone przez naturę. Oto jest prawdziwe przeznaczenie reowirusa, jego ukryty cel. Jestem żywym dowodem jego uzdrawiającej potęgi. I pierwszym, który dostąpił przemiany. W gruncie rzeczy nie mam już dziś wątpliwości, że nikt inny prócz mnie nie mógł tego dokonać. Wózek inwalidzki był moim krzyżem. Teraz stanowi symbol nowego świata, który wspólnie stworzymy.

– Nowy świat – powtórzył Pendergast. – Lilie Mbwuna hodowane w zbiorniku wodnym.

– To pomysł Kawakity – odparł Frock. – Akwaria są drogie i zajmują sporo miejsca. Ale to było, zanim... – Nie dokończył.

– Chyba rozumiem – ciągnął Pendergast z niezmaconym spokojem, jakby rozmawiał ze starym przyjacielem przy kawiarnianym stoliku. – Od początku planował pan opróżnienie Rezerwuaru.

– Oczywiście. Greg przystosował roślinę w taki sposób, by można ją było hodować w klimacie umiarkowanym. Zamierzaliśmy opróżnić Rezerwuar sami i wpuścić lilie do tych tuneli. Bo, widzicie, moje dzieci nie znoszą światła, a podziemia są dla nich idealną kryjówką. I wtedy kapitan Waxie usłużył nas w tym wyręczył. Ten człowiek zawsze jest – czy raczej był – chętny do odbierania zasług za pomysły innych. O ile sobie przypominacie, to ja pierwszy zaproponowałem spuszczenie wody z Rezerwuaru.

– Doktorze Frock – rzekła Margo, starając się zachować spokojny ton głosu – część nasion przedostanie się do kanałów burzowych, a stamtąd do Hudsonu i oceanu. W słonej wodzie wirus uaktywni się, zatruwając cały ekosystem. Czy wie pan, co to może oznaczać dla światowego łańcucha pokarmowego?

– Ależ, droga Margo, na tym to właśnie polega. Przyznaję, że to kolejny krok w ewolucji, i w dodatku krok w nieznaną. Niemniej jako biolog zdajesz sobie zapewne sprawę, że rasa ludzka powoli, acz nieuchronnie, ulega degeneracji. Utraciła już ewolucyjny wigor, podobnie jak wrodzone umiejętności adaptacyjne. Jestem narzędziem odnowy naszego gatunku.

– A gdzie zamierzałeś ukryć swój tłusty tyłek na czas powodzi? – zapytał D'Agosta.

Frock wybuchnął śmiechem.

– Bez wątplenia w swej irracjonalnej arogancji doszliście do wniosku, że dzięki małej wycieczce wiecie wszystko na temat tego podziemnego świata. Uwierzcie mi, podziemny Manhattan jest o wiele rozleglejszy, znacznie bardziej przerażający i wspanialszy, niż możecie sobie wyobrazić. Krążyłem po nim godzinami, ciesząc się z tych spacerów i z tego, że znów mam sprawne nogi. Tu, w przeciwieństwie do świata na powierzchni, nie muszę niczego udawać ani kłamać. Odkryłem naturalne jaskinie, istny cud natury, których piękno zatyka dech w piersiach. Pradawne tunele wykorzystywane przez holenderskich przemytników, gdy to miasto nazywano jeszcze Nowym Amsterdamem. Nieduże kamienne kubiki, gdzie wszyscy możemy się skryć, dopóki woda ze zbiornika nie przeleje się przez tunele i nie spłynie do oceanu. Nie znajdziecie ich na żadnych mapach. Kiedy dwadzieścia milionów stóp sześciennych wkrótce zostanie spuszczone z Rezerwuaru, niosąc ze sobą dojrzałe nasiona *Liliceae Mbwunensis*, aby reowirus mógł rozprzestrzenić się na cały świat, ja z moimi dziećmi będziemy bezpieczni w tunelach powyżej poziomu wody. A kiedy woda już spłynie, wrócimy do świeżo umytych tuneli, by cieszyć się pozostawionymi tam dla nas owocami. I, rzecz jasna, by oczekiwać nadejścia tego, co nazwałem Przerwą Holocenią.

Margo patrzyła na Frocka z niedowierzaniem. Ten uśmiechnął się do niej w odpowiedzi aroganckim, zimnym uśmiechem, którego nigdy dotąd u niego nie widziała. Wydawał się niezłomnie pewny siebie. Uświadomiła sobie, że Frock mógł nie wiedzieć o ładunkach założonych w tunelach.

– Tak, moja droga. To moja teoria ewolucji fraktalnej doprowadzona do logicznego ekstremum. Reowirus albo szkliwo, nazywaj je, jak chcesz, wprowadzone bezpośrednio do najniższego ogniwa łańcucha pokarmowego. Czy nie uważasz, że właściwe jest, abym to właśnie ja stał się heroldem nowych czasów, czynnikiem sprawczym tego wiekopomnego zdarzenia? Masowa zagłada gatunków na przełomie Kredy i Trzeciorzędu w porównaniu z tym wydarzeniem będzie błahostką. Wtedy dinozaury odeszły, aby na scenę mogły wejść ssaki. Któż wie, kto zjawi się na scenie w wyniku tej przemiany? Perspektywy są niebywale ekscytujące.

– Jest pan chory. Bardzo chory – rzekła Margo, czując, że jej serce przepelnia się rozpaczą. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Frock cierpi z powodu swego kalectwa. Stało się ono jego sekretną obsesją. Nawet smutny los Kawakity nie przeszkodził mu w dostrzeżeniu uzdrawiającej potęgi narkotyku. Niestety, nie wziął pod uwagę spustoszeń czynionych przez reowirus w ludzkim umyśle. Nie potrafił pojąć – nigdy by nie uwierzył – że oczyszczając narkotyk tak, by nie wywoływał u osoby biorącej go odrażających zmian fizycznych, mimowolnie wzmocni jego potencjał oddziaływania na ludzkie umysły, wydobywania ukrytych w nich obsesji, stymulowania manii oraz skłonności do przemocy. Margo czuła, że w obecnej sytuacji ani ona, ani nikt inny nie zdoła przemówić mu do rozsądku. Stary profesor przekroczył ostatnią granicę i nie mógł już zawrócić z obranej drogi.

Procesja do wielkich kotłów trwała nieprzerwanie. Gdy Pomarszczeni unosili puchary do ust, Margo widziała, że ich ciała, ukryte pod powłóczytymi płaszczami, przeszywało silne drżenie. Czy powodem tego była rozkosz, czy może ból, nie potrafiła niestety odgadnąć.

– I w dodatku znał pan nasze posunięcia – usłyszała głos Pendergasta. – Zupełnie jakby sam pan nami sterował.

– Poniekąd tak właśnie było. Zbyt dobrze wyszkoliłem naszą Margo, by wiedzieć, że pozostawiona sama sobie nie porzuci powierzonego jej zadania. Wiedziałem przy tym, że żaden z was również nie jest w ciemną bity. Dlatego też dopilnowałem, by operacja opróżniania zbiornika nie została wstrzymana. Gdy odnalazłem nieopodal jedno z moich dzieci ranne, potwierdziło to moje wcześniejsze przypuszczenia. Sprytnym posunięciem, przyznaję, było przysłanie tu oddziału nurków. Na szczęście, moje dzieci były właśnie w drodze na ceremonię i nie dopuściły do zakłócenia przebiegu naszej małej imprezy. – Zamrugał. – Dziwię się wam, ludziom skądinąd inteligentnym, że uroiliście sobie, iż możecie przyjść tutaj i pokonać nas swoją żalosną bronią. Bez wątpienia nie spodziewaliście się, że jest nas tak wielu. Nie doceniliście nas, pod tym i pod wieloma innymi względami.

– Wydaje mi się, że w swojej opowieści pominął pan pewien epizod, doktorze – rzekła nagle Margo z niezmaconym spokojem w głosie.

Frock podszedł bliżej, posyłając jej pytające spojrzenie. Tak dziwnie wyglądał, poruszając się zwinnie na silnych, sprawnych nogach, że trudno jej było zebrać myśli.

Zaczerpnęła głęboko zatechłego, cuchnącego powietrza.

– Sądzę, że to pan zabił Kawakitę – oznajmiła. – Zamordował go pan i zwłoki porzucił tutaj, aby upozorować, iż padł ofiarą seryjnego zabójcy.

– W rzeczy samej – mruknął Frock. – Tylko czemu miałbym to zrobić?

– Z dwóch powodów – odparowała nieco głośniejszym głosem. – W ruinach laboratorium odnalazłam dziennik Kawahity. Nie ulega wątpliwości, że Greg przeżywał wewnętrzne rozterki. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Wspominał o tyroksynie. Chyba zorientował się, jaki wpływ wywiera na reowirus słona woda i zamierzał unicestwić rośliny, abyś nie spuścił ich do Hudsonu. Może miał spalone ciało i duszę, ale przynajmniej zachował resztki sumienia.

– Nic nie rozumiesz, moja droga. Nie możesz zrozumieć.

– Zabiłeś go, bo wiedział, że skutki działania narkotyku są nieodwracalne. Zgadza się? Dowiedziałam się tego dzięki moim eksperymentom. Nie możesz uleczyć tych ludzi i dobrze o tym wiesz. Ale czy oni to wiedzą?

Śpiew wokół nich nieznacznie przycichł, a Frock rozejrzył się ukradkiem wokoło.

– To słowa kobiety, która znalazła się w rozpaczliwym położeniu. To cię przerasta, moja droga.

Oni słuchają, pomyślała Margo, A skoro nas słyszą, może udałoby się ich przekonać.

– Oczywiście – z rozmyślań wyrwał ją głos Pendergasta. – Kawakita opracował tę ceremonię, procedurę rozdzielania narkotyku, ponieważ w jego mniemaniu był to najlepszy sposób na utrzymanie posłuchu wśród nieszczęsnych ofiar groźnej używki. Nie traktował zbyt poważnie towarzyszącej temu pompy ani samego rytuału. I tu popełnił błąd. Bo to było pańskie uzależnienie. Jako antropolog nie mógł pan się oprzeć pokusie, aby stworzyć własną sektę, grupę wyznawców – lub może akolitów, uzbrojonych w prymitywne noże. Pańską chatę z czaszek. Relikwiarz dla pańskiego wózka, symbolu osobistej, najgłębszej przemiany.

Frock stał sztywno, nie odpowiadając.

– To jest właśnie prawdziwy powód zwiększenia liczby zabójstw. Nie chodzi o niedobór narkotyków, prawda? Zwłaszcza teraz, gdy Rezerwuar jest pełen lilii Mbwuna. O nie, cel jest całkiem inny. Obsesyjny. Architektoniczny. – Agent skinął w stronę chaty. – Potrzebował pan świątyni dla swojej nowej religii. Aby się wywyższyć. Ogłosić się bogiem.

Frock spojrział na Pendergasta, jego wargi drżały.

– W sumie, dlaczego nie? Każda nowa epoka potrzebuje nowej religii.

– Niemniej jednak jej sednem jest w dalszym ciągu ceremonia, mam rację? Wszystko opiera się na kontroli. Gdyby te istoty wiedziały, że skutki narkotyku są nieodwracalne, jaki miałby pan wśród nich posłuch? Czy potrafiłby pan nad nimi zapanować?



Pomarszczeni, stojący najbliżej, zaczęli szemrać.

– Dość! – zawołał Frock, klaszcząc w dłonie. – Nie mamy wiele czasu. Przygotujcie ich!  
– Margo znów poczuła chwytające ją ręce, po czym podniesiono ją z klęczek i przytknięto do gardła ostrze noża. Frock spojrzał na nią z dziwnym, nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Chciałbym, Margo, abyś i ty mogła doświadczyć przemiany. Nim jednak nadejdzie skok ewolucyjny, musi poleć się krew wielu ofiar.

Smithback rzucił się w stronę Frocka, lecz zaraz odciągnięto go w tył.

– Doktorze Frock! – zawołał Pendergast. – Margo była pańską studentką. Proszę sobie przypomnieć, jak we troje walczyliśmy z Bestią z Muzeum. Nawet teraz nie do końca odpowiada pan za to, co się wydarzyło. Może wciąż jeszcze jest dla pana nadzieja. Ulecymy pański umysł.

– I odbierzecie mi życie? – Frock nachylił się w stronę agenta, zniżając głos do szeptu. – Niby do czego miałbym wracać? Do roli bezradnego, nikomu niepotrzebnego, nieco zbzikowanego kustosa na emeryturze? Sparaliżowanego starca, odliczającego pozostałe mu jeszcze godziny życia? Badania Margo bez wątpienia ujawniły wam jeszcze jeden efekt uboczny nowej odmiany narkotyku – eliminuje on skupiska cząsteczek wolnych rodników w żywej tkance. Innymi słowy, przedłuża życie! Chcecie, abym z własnej woli zrezygnował zarazem z możliwości poruszania się, jak i z życia? – Spojrzał na zegarek. – Za dwadzieścia minut północ. Nie mamy już czasu.

Nagle powiał wiatr i z czerepów tworzących górną krawędź chaty buchnęły w górę małe obłoczki kurzu. Niemal natychmiast dał się słyszeć ostry grzechot, a Margo zorientowała się, że ten odgłos to terkot broni automatycznej.

Rozległ się dziwny trzask, jeden, potem drugi, i niespodziewanie całe wnętrze pawilonu utonęło w powodzi oślepiającego światła. Ze wszystkich stron dobiegły głośnie wrzaski i jęki bólu. Znowu posypały się kule i nóż, który dotykał szyi Margo, niespodziewanie zniknął.

Potrząsnęła głową, oszołomiona i chwilowo oślepiona potężnym błyskiem. Śpiew ucichł, w sali zapanował chaos, Margo usłyszała dochodzące od strony tłumu Pomarszczonych gardłowe, gniewne skowoty. Zamknęła oczy i wtedy nastąpiła kolejna eksplozja oślepiającego światła, której i tym razem towarzyszyły okrzyki bólu. Margo poczuła, że jeden z trzymających ją Pomarszczonych puścił jej rękę. Instynktownie, w przyływie desperacji, wyrwała się drugiemu z oprawców; dała długiego susa, przetoczyła się po ziemi i miękko poderwała się na czworaka, po czym zamrugła rozpaczliwie, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Kiedy mroczki i powidoki zaczęły się rozplýwać, ujrzała kilka pióropuszy dymu, unoszących się nad podłogą, gdzie coś bliżej nie określonego paliło się tak intensywnie, że aż raziło oczy. Pomarszczeni w całym pomieszczeniu przypadli do ziemi, orząc twarze dłońmi, nakrywając głowy płaszczami i dygocząc z bólu. Pendergast i D'Agosta tuż obok także się oswobodzili i teraz spieszyli z pomocą Smithbackowi.

Nagle rozległ się głośny huk i jeden bok chaty zapadł się wśród jezorów żarłocznych płomieni. Ostra chmura odłamków strzaskanych kości dosięgła najbliżej stojących Pomarszczonych.

– A więc któryś z komandosów musiał jednak przeżyć – zawołał Pendergast, przyciągając Smithbacka. – Strzały padły z peronu za pawilonem. Biegnijmy tam, póki możemy. Gdzie Mephisto?

– Zatrzymajcie ich! – ryknął Frock, przesłaniając oczy. Jednakże Pomarszczeni, oślepieni wybuchami, nie byli w stanie wykonać tego rozkazu.

W tej samej chwili na płycie przed chatą eksplodował następny pocisk, roztrzaskując w drobny mak część ogrodzenia i rozsadzając dwa kotły. Gęsta struga parującej cieczy rozlała się po podłodze, błyszcząc w świetle pochodni. Pomarszczeni zareagowali na to gromkim okrzykiem przerażenia, a kilku z leżących najbliżej zaczęło zlizywać cenny płyn z ziemi. Frock krzyczał na całe gardło, wskazując w stronę, skąd nadleciały pociski.

D'Agosta i pozostali pobiegli w kierunku wolnej przestrzeni na tyłach chaty. Margo zawahała się, rozpaczliwie wypatrując swojej torebki.

Światło zaczęło przygasać i kilka odważniej szych istot ruszyło już w pościg, osłaniając oczy przed blaskiem; w ich dłoniach błyskały długie, krzemienne noże.

– Szybciej, pani doktor! – krzyknął Pendergast.

I nagle ją ujrzała, leżała rozdarta i otwarta na pokrytej pyłem podłodze. Chwyła ją, po czym pognęła za Smithbackem. Przystanęli w pobliżu tunelu prowadzącego w stronę peronu, którego wylot blokowała teraz grupka Pomarszczonych.

– Cholera – mruknął z przejęciem D'Agosta.

– Hej, ty! – Margo usłyszała znajomy głos Mephista rozlegający się wyraźnie pośród hałasu i przeciągłych jęków. – Ty, gruby Napoleonie!

Odwróciła się, by ujrzeć Mephista wspinającego się na jedno z pustych, kamiennych podwyższeń; naszyjnik z turkusów kołysał mu się zawadiacko na szyi. Nastąpił kolejny wybuch, tym razem nieco dalej. W szeregach Pomarszczonych pojawił się nagle spory wyłom, ich miejsce zajęły strzelające w górę płomienie.

Frock, mrużąc powieki, odwrócił się w stronę bezdomnego.

– Masz mnie za ćpuna i ochlapusa? No to popatrz!

Mephisto sięgnął głęboko do swych brudnych, podartych spodni i wydobył coś, co wyglądało jak płaski, przypominający kształtem nerkę, kawałek zielonego plastyku.

– Wiesz, co to jest? To mina przeciwpiechotna. Cała masa metalowych odłamków i kulek zatopionych w teflonie, zaopatrzonych w ładunek o sile rażenia równej dwudziestu granatom. Paskudna rzecz.

Mephisto potrząsnął miną w stronę Frocka.

– Jest uzbrojona. Każ swoim parszywym sługusom, aby się cofnęli.

Pomarszczeni przystanęli.

– Blefujesz – rzekł ze spokojem Frock. – Może i jesteś straceńcem, ale nie wyglądasz mi na samobójcę.

– Takiś pewny? – Mephisto uśmiechnął się. – Coś ci powiem. Wolę zostać rozerwany na kawałki, niż miałbym ozdobić tę twoją paskudną świątynię!

Skiął w stronę Pendergasta.

– Burmistrzu spod Grobowca Granta! Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż pozwoliłem sobie podwędzić to małe cacko z twojej zbrojowni. Obietnice są zwykle bardzo miłe i w ogóle, ale wolałem mieć całkowitą pewność, że już nikt nigdy nie zakłóci spokoju mojej społeczności. A teraz pofatyguj się tu, z łaski swojej, jeśli mamy wrócić razem na górę.

Pendergast potrząsnął głową i postukał się w nadgarstek, dając w ten sposób znak, że nie ma już czasu.

Frock rozpaczliwie machnął ręką do zakapturzonych postaci, tłoczących się wokół platformy.

– Poderżnijcie mu gardło! – zawołał.

Pomarszczeni rzucili się w stronę Mephista, który cofnął się zwinnie na środek kamiennej płyty.

– Żegnaj, burmistrzu Whitey! – zakrzyknął. – Pamiętaj o swojej obietnicy! – Margo odwróciła się z przerażeniem, gdy przywódca bezdomnych cisnął dysk w płataninę ciał tłoczących się u jego stóp.

Najpierw pojawił się silny, pomarańczowy błysk; brudne, cuchnące pomieszczenie wypełniło się żarem małego słońca, potem zaś nadeszła fala uderzeniowa, podmuch powietrza, który cisnął ją na ziemię. Gdy podźwignęła się na klęczki, odwróciła się, by ujrzeć wielką ścianę ognia, bijącą w górę za zniszczoną chatą, czerwoną na tle oślepiającej bieli flar. Przez chwilę widziała też Frocka, stojącego jakby w triumfalnej pozie, z wyciągniętymi przed siebie rękami; jego siwe włosy w poświęcie tysięcy jezorów ognia wydawały się pomarańczowe, ale zaraz wszystko utonęło w powodzi dymu i płomieni.

W tym zamieszaniu stojąca przed nimi grupka Pomarszczonych rozstała się, pozwalając im przejść.

– Naprzód! – rzucił Pendergast, przekrzykując ryk ognia.

Zarzucając torebkę na ramię, Margo przebiegła za pozostałymi przez łukowato sklepione wejście na drugim końcu Kryształowego Pawilonu. Na widocznym w dali peronie D'Agosta i Smithback przystanęli właśnie przed szczupłym mężczyzną w czarnym kombinezonie nurka, o twarzy wilgotnej od potu i pokrytej warstwą pasty kamuflażowej.

Wtem usłyszała za sobą wilgotne, dychawiczne odgłosy. Pomarszczeni zwarli szeregi i ruszyli za nimi w pościg. U wąskiego wylotu przejścia na peron Margo przystanęła i odwróciła się.

– Margo! – zawołał z peronu Pendergast. – Co robisz?

– Musimy ich tu zatrzymać! – odkrzyknęła Margo, sięgając do torebki. – Nie zdołamy im uciec! Są od nas szybsi!

– Nie rób głupstw! – rzucił Pendergast.

Ignorując go, Margo wydobyla z torby dwie litrowe, plastikowe butle, trzymając po jednej w każdej dłoni. Ścisnąwszy je mocno, omiotła strugami płynu wylot korytarza.

– Ani kroku dalej! – krzyknęła. – W tych butelkach mam wysoko stężony roztwór witaminy D!

Pomarszczeni nie zatrzymali się, ich oczy były przekrwione i łzawiły, skóra pod wpływem silnego światła pokryła się cętkami i czerwonymi śladami rozległych oparzeń.

Potrząsnęła bidonem.

– Słyszeliście, co powiedziałam? To aktywny siedmiodehydrocholesterol! Wystarczy go, aby pozabijać was wszystkich po dziesięć razy! – Gdy pierwszy z prześladowców zbliżył się do niej, unosząc nóż, chlusnęła mu w twarz, po czym poczęstowała roztworem znajdującego się tuż za nim drugiego Pomarszczonego. Obaj runęli w tył, wijąc się w konwulsjach; z ich skóry unosiły się smużki kwaśnego dymu.

Pozostali oprawcy w kapturach zatrzymali się, wydając dziwne, bełkotliwe dźwięki.

– To witamina D! – powtórzyła Margo. – Światło słoneczne w butelce!

Uniosła obie ręce w górę i posłała w stronę gromady dwie cienkie strugi zabójczego dla nich płynu. Rozległ się głośny skowyt i jęk, kilku Pomarszczonych runęło na ziemię, drąc na sobie płaszcze i rozpryskując krople roztworu na swoich towarzyszy. Margo wysunęła się naprzód i zlała żrącym płynem pozostałych, którzy podeszli za blisko. Zaczęli cofać się w popłochu, ogarnięci ślełą paniką, a w wąskim przejściu rozległy się ich donośne zawodzenia i wrzaski. Margo szła śmiało dalej, rozpryskując ciekłą strużkę roztworu, aż w końcu Pomarszczeni poszli w rozsypkę, ich szereg został złamany. Zakapturzone postacie zawracały w panice, nie liczyło się teraz dla nich nic prócz ucieczki; pierzchały w popłochu, pozostawiając na ziemi tuzin wijących się w konwulsjach, dymiących ciał, rozpaczliwie rwących na sobie szaty.

Margo cofnęła się, rozlewając resztę roztworu na ziemię u wylotu korytarza, a także na ściany i sklepienie, na tyle hojnie, że wskutek jej śmiałych poczynań mury oraz sufit w przejściu ociekały zabójczym dla Pomarszczonych płynem.

Cisnęła puste plastikowe bidony do wnętrza Pawilonu.

– Więcej!

Pobiegła za pozostałymi, doganiając ich przy uniesionej kratownicy na drugim końcu peronu.

– Musimy wrócić do miejsca zbiórki – rzekł ubrany na czarno mężczyzna. – Ładunki wybuchną za dziesięć minut.

– Margo, idziesz pierwsza – powiedział D’Agosta.

Gdy zeskoczyła na poziom torów, a potem zaczęła ześlizgiwać się do kanału poniżej, z tyłu i ponad nią rozległa się cała seria rozdzierających eksplozji.

– To nasze ładunki! – krzyknął D’Agosta. – Ogień musiał sprawić, że wybuchły przed czasem!

Pendergast odwrócił się, aby odpowiedzieć, lecz jego głos utonął w grzmocie, który, tak jak trzęsienie ziemi, był najpierw wyczuwalny w stopach, a następnie w żołądku, stopniowo przybierając na sile i gwałtowności. Dziwny wiatr zerwał się w przejściu, podmuch ryczącego niczym dziki zwierz powietrza, wywołany zawaleniem się Kryształowego Pawilonu i niosący ze sobą – prócz strzępów papieru, dymu oraz tumanów kurzu – mdląco-słodką woń krwi i śmierci.

## 62

Margo zeskoczyła z obramowania rury kanalizacyjnej do długiego, nisko sklepionego tunelu, oświetlonego jedynie migotliwym blaskiem dogasającej flary. Tu i ówdzie wały się sterty gruzu, wystające z licznych kałuż wody pokrywających kamienne podłoże.

Tunele ponad nią wciąż jeszcze drżały, wypełnione echem niedawnego wybuchu.

Chmury kurzu i pyłu spłynęły przez całą długość rury, opadając na jej ramiona.

Smithback wylądował w wodzie tuż przy niej, a zaraz po nim Pendergast, D’Agosta oraz nurek.

– Kim jesteś, u licha? – spytał D’Agosta. – I co się stało z resztą komandosów?

– Nie należę do oddziału SEAL – wyjaśnił mężczyzna. – Jestem policyjnym nurkiem. Nazywam się Snow.

– Aha – mruknął D’Agosta. – To od ciebie wszystko się zaczęło. Masz co zapalić, Snow?

Nurek zapalił flarę i w jednej chwili wewnątrz tunelu wypełniła złowieszcza, karmazynowa poświata.

– O Boże – Margo usłyszała szept Smithbacka. Dopiero teraz zorientowała się, że to, co wzięła za sterty gruzu, było w rzeczywistości przyodzianymi w piankowe kombinezony ciałami nurków, pozbawionymi głów i potwornie okaleczonymi, rozrzuconymi w ciasnym przesmyku korytarza. Ściany po obu stronach były podziurawione kulami, poorane przez rykoszety i osmalone wybuchami granatów.

– Zespół Gamma – mruknął Snow. – Kiedy zabili mojego partnera, wróciłem tutaj, aby przygotować sobie stanowisko obrony. Te istoty goniły mnie przez niemal całą długość kanału, ale w końcu zrezygnowały z pościgu i zawróciły.

– Wygląda na to, że była tu naprawdę bombowa zabawa – mruknął z ponurą miną D’Agosta, lustrując miejsce masakry.

– Nie spotkaliście po drodze żadnych komandosów? – zapytał Snow. – Szedłem po śladach. Miałem nadzieję, że choć kilku z nich ocalało... – przerwał, ujrawszy wyraz twarzy D’Agosty. Nastąpiła chwila krępującego milczenia. – Chodźmy – ponaglił Snow, ponownie się ożywiwszy. – Niedaleko stąd spoczywa jeszcze jeden czterdziestofuntowy ładunek plastyku, czekający na odpalenie.

Margo zrobiła krok, ogarnięta posepnym, otepiałym odrętwieniem. Poczwała pod stopami twarde, kamienne podłoże i spróbowała wchłonąć tę twardość przez stopy i nogi do całego ciała. Wiedziała, że nie wolno jej myśleć o tym, co ujrzała i czego się dowiedziała wewnątrz Kryształowego Pawilonu; jeśli zacznie się nad tym zastanawiać, nie będzie w stanie iść dalej.

Tunel zakręcał łagodnym łukiem. W oddali przed sobą Margo ujrzała Snowa i D’Agostę, docierających do przestronnego, kopułowo zwieńczonego pomieszczenia na końcu korytarza.

Oddech Smithbacka obok niej stał się nagle chrapliwy i urywany. Jej wzrok padł na kamieniste podłoże tunelu. Wokoło wałały się okrwawione, zmasakrowane ciała mniej więcej tuzina Pomarszczonych. Dostrzegła brudny, zakurzony kaptur, nadpalony tak, że widać było fragment ukrytej pod nim twarzy. Skóra Pomarszczonego, pokryta fałdami i wyraźnymi żyłkami, wydawała się niewiarygodnie gruba.

– Zdumiewające – tuż obok niej rozległ się głos Pendergasta. – Cechy gadzie są widoczne gołym okiem, a jednak atrybuty ludzkie wciąż pozostają dominujące. Można by rzec, że to wczesne stadium przejściowe, preludium do pełnego przeistoczenia w postać Mbwuna. Dziwne, ale przemiana u jednych osobników wydaje się gruntowniejsza niż u innych. Bez wątplenia jest to wynik ciągłych ulepszeń i eksperymentów, które prowadził nad swym narkotykiem Kawakita. Szkoda, że nie może już kontynuować badań.

Echo ich kroków przybierało na sile w miarę jak zbliżali się do rozległego pomieszczenia na końcu tunelu.

– To było nasze miejsce zbiórki – powiedział Snow, pospiesznie przeglądając sprzęt ułożony starannie pod ścianą. Margo wychwyciła nutę zdenerwowania w jego głosie. – Sprzętu do nurkowania mamy tu aż nadto, brakuje niestety kombinezonów. Musimy się spieszyć. Jeśli tu zostaniemy aż do eksplozji ładunków, całe to cholerstwo zwali się nam na głowy.

Pendergast podał jej butle do nurkowania.

– Pani doktor, chyba wszyscy jesteśmy pani winni podziękowania za umożliwienie nam ucieczki – powiedział. – Miała pani rację z tą witaminą D. I udało się pani zatrzymać te istoty wewnątrz Pawilonu do czasu, gdy eksplozje zablokowały im drogi ucieczki. Obiecuję, że odtąd nie będę się już sprzeciwiać pani udziałowi w naszych kolejnych wyprawach.

Margo pokiwała głową i wsunęła stopy w płetwy.

– Dzięki, ale raz mi wystarczy.

Agent FBI odwrócił się do Snowa.

– Jak mamy się stąd wydostać?

– Dostaliśmy się tutaj przez oczyszczalnię ścieków nad Hudsonem – odparł Snow, nakładając butlę i przymocowując lampę-czołówkę. – Ale nie możemy skorzystać z tej drogi. Będziemy musieli wypłynąć przez północną odnogę bocznika West Side do kanału przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy.

– Czy może pan nas tam doprowadzić? – zapytał Pendergast, pospiesznie podając butle Smithbackowi i pomagając mu je założyć.

– Raczej tak – wysapał Snow, wybierając ze sterty sprzętu kilka masek. – Zawrócimy stąd aż do pierwszego pionu. Będziemy płynąć pod górę zamiast w dół, dzięki czemu dotrzemy do przepustu prowadzącego wprost do bocznika. Mimo to czeka nas długa droga i musimy zachować wyjątkową ostrożność. Po drodze jest wiele śluz i szybów ewakuacyjnych. Bardzo łatwo się wśród nich zgubić, a wtedy... – Nie dokończył.

– Jasne – rzekł Pendergast, nakładając butle. – Panie Smithback, pani doktor, czy kiedykolwiek używaliście sprzętu do nurkowania?

– W college’u miałem kilka zajęć z nurkowania – odparł Smithback, przyjmując podaną mu maskę.

– Nurkowałam trochę na Bahamach – odezwała się Margo.

– Zasady tu czy tam są takie same – zwrócił się do niej Pendergast. – Ustawimy ci regulator. Oddychaj normalnie, zachowaj spokój, a wszystko będzie w porządku.

– Szybciej! – ponaglił coraz bardziej zaniepokojony Snow.

Pobiegł w stronę drugiego końca kopułowo sklepionego pomieszczenia. Smithback i Pendergast byli tuż za nim. Margo z wysiłkiem popędziła za nimi, w biegu podciągając odrobinę za luźny pasek przy butli.

Nagle zatrzymała się, zaskoczona zachowaniem Pendergasta, który przystanął, oglądając się przez ramię.

– Vincencie? – zapytał.

Margo odwróciła się. D’Agosta stał pośrodku rozległego pomieszczenia, maska i butle wciąż leżały na ziemi u jego stóp.

– Idźcie – powiedział policjant.

Pendergast rzucił mu pytające spojrzenie.

– Nie umiem pływać – odrzekł krótko D’Agosta.

Margo usłyszała, jak Snow zmełł w ustach przekleństwo. Przez chwilę wszyscy stali w bezruchu. Wreszcie Smithback wrócił i stanął obok porucznika.

– Pomogę ci – powiedział. – Najgorszy jest początek. Wydostaniemy się stąd, a potem po prostu popłyniesz za mną.

– Mówiłem ci, że dorastałem w Queens i nie umiem pływać – uciął D’Agosta. – Pójdę na dno jak kamień.

– Jesteś tak gruby, że to raczej wątpliwe – odparł Smithback, podnosząc butlę i zakładając paski na ramiona D’Agosty. – Trzymaj się mnie, a wszystko będzie dobrze. W razie potrzeby podholuję cię. Pamiętasz, jak wtedy, w suterenie, trzymałeś głowę nad powierzchnią wody? Rób to co ja i na pewno się nam uda. – Wcisnął D’Agoście do rąk maskę do nurkowania i popchnął go w kierunku reszty grupy.

Przy drugim końcu pomieszczenia płynęła nikska w ciemności podziemna rzeka. Margo patrzyła, jak najpierw Snow, a potem Pendergast poprawili swoje maski i ostrożnie zagłębili się w czarnej cieczy. Po chwili Margo opuściła maskę na oczy, włożyła do ust regulator i ześlizgnęła się do wody. Powietrze z butli stanowiło przyjemną odmianę po cuchnących wyziewach wypełniających podziemne korytarze. Z tyłu za nią rozległ się głośny plusk, gdy D’Agosta zaczął ni to płynąć, ni to przedzierać się z pomocą Smithbacha przez gęstą, ciepłą ciecz.

Margo płynęła przez tunel najszybciej, jak potrafiła, podążając za migoczącym światłem czołówki Snowa. Spodziewała się, że w każdej chwili może nastąpić eksplozja potężnych ładunków pozostawionych w tunelu i korytarz za nimi zawali się.

Nagle Pendergast i Snow zatrzymali się. Margo podpłynęła do nich.

– Teraz popłyniemy w dół – rzekł Snow, wyjmując z ust regulator i wskazując ręką kierunek. – Proszę uważać, żeby się o nic nie skaleczyć ani, na Boga, nie nałykać się wody. U podstawy tego tunelu jest stara żelazna rura, która prowadzi...

W tym samym momencie bardziej poczuli niż usłyszeli wibrację, która pojawiła się w górze, nad ich głowami: niski, rytmiczny grzmot o coraz większej intensywności.

– Co to? – wysapał Smithback, dołączając do nich wspólnie z D’Agostą. – Ładunki?

– Nie – wyszeptał Pendergast. – Posłuchajcie, to jeden nieprzerwany dźwięk. Chyba rozpoczęło się opróżnianie Rezerwuaru. Przedwcześnie.

Pławili się w cuchnącej cieczy, mimo zagrożenia wsłuchując się z przejęciem w grzmiący, przeciągły odgłos milionów galonów wody, płynącej przez prastarą sieć rur krzyżujących się i przecinających wysoko w górze i nieuchronnie zmierzającej w ich kierunku.

– Pół minuty do eksplozji pozostałych ładunków – oznajmił Pendergast, spoglądając na zegarek.

Margo czekała, usiłując wyrównać oddech. Wiedziała, że w razie gdyby ładunki zawiodły, umrą w przeciągu kilku minut.

Tunel przeniknęła silna wibracja, powierzchnia wody zaczęła drżeć i falować. Ze sklepienia posypały się grudki cementu i kawałki cegieł. Snow poprawił maskę i raz jeszcze rozejrzał się dokoła, po czym zanurzył się w cuchnącej cieczy. Smithback podążył za nim, popychając przed sobą protestującego D’Agostę. Pendergast dał Margo znak, że teraz kolej na nią. Zanurzyła się w ciemności, usiłując podążać za słabym światełkiem czołówki Snowa, który posuwał się coraz niżej w głąb wąskiej, zardzewiałej rury. Zauważyła, że szamocący się



dotąd D'Agosta powoli zaczyna wykonywać coraz płynniejsze i regularniejsze ruchy, w miarę jak przyzwyczajają się do oddychania powietrzem z butli.

Tunel wyrównywał się, po czym następowały dwa ostre zakręty. Margo pospiesznie obejrzała się przez ramię, aby sprawdzić, czy płynie za nią Pendergast. W słabym świetle, pośród wirujących pomarańczowych osadów, spostrzegła agenta FBI, który ruchem ręki dał jej znak, by płynęła dalej.

Odwróciła wzrok i zauważyła pozostałych, którzy czekali przy rozgałęzieniu korytarzy. Stara żelazna rura kończyła się, zaczynała się zaś inna, z lśniącej, srebrzystej stali. U jej stóp, w miejscu, gdzie stykały się dwa tunele, Margo dostrzegła wąską rurę prowadzącą w dół. Snow wykonał zamaszty ruch ręką, po czym wskazał palcem w górę, co miało znaczyć, że szyb wiodący do bocznika West Side znajdował się dokładnie przed nimi.

Wtem z tyłu dobiegł ich głośny huk, złowrogi, rozdzierający ryk, który w tym wąskim, wypełnionym wodą kanale wydawał się jeszcze głośniejszy. Zanim przebrzmiał pierwszy donośny huk, rozległ się następny i tuż po nim jeszcze jeden. W słabym, migoczącym świetle czołówki Margo ujrzała, jak oczy Snowa rozszerzają się z przerażenia. Pozostałe ładunki eksplodowały niemal w ostatniej chwili, obracając w perzynę przepusty z Diabelskiego Poddasza i zamykając je raz na zawsze.

Kiedy Snow rozpaczliwym gestem ponaglił ich, by wpłynęli do szybu, Margo poczuła nagle silne szarpnięcie, jakby cofająca się fala, pochwyciwszy za nogi, próbowała pociągnąć ją z powrotem w stronę punktu zbiórki. Wrażenie to prysło równie szybko, jak się pojawiło, a woda wokół niej nagle dziwnie zgęstniała. Przez ułamek sekundy przepełniało ją osobliwe wrażenie całkowitego bezruchu, jakby dziwnym zrzędzeniem losu znalazła się w oku cyklonu.

Zaraz potem z żelaznej rury za nimi buchnął w górę potężny podmuch nadciśnienia, niepohamowany cyklon błotnistej wody, który sprawił, że cały tunel zadygotał i zatrzęsł się spazmatycznie.

Margo przez kilka chwil odbijała się bezwładnie od metalowych ścian rury. Regulator wypadł jej z ust, wodę dookoła wypełniły bąble powietrza wypływającego z ustnika. Margo rozpaczliwie sięgnęła ręką, aby go pochwycić. Napłynęła kolejna fala ciśnienia, spychając ją, zasysając do otworu rury, która znajdowała się pod jej nogami. Wyprostowała się rozpaczliwie, walcząc zawzięcie, by z powrotem znaleźć się przy rozgałęzieniu kanałów, ale przerażająca siła bezlitośnie zasysała ją w głąb nieznanej, mrocznej otchłani. Rozdzierający ryk, który rozbrzmiewał dookoła, przypominał jej nieprzyjemny szum krwi w uszach. Wciąż raz po raz obijała się o ściany rury, bezwładna i bezwolna niczym szmaciana lalka. Wysoko nad sobą, w świetle lampy Snowa, spostrzegła Pendergasta, który patrzył na nią i wyciągał rękę, maleńką jak u liliputa. Agent zdawał się oddalony od niej o tysiące mil. W tej samej chwili nastąpił kolejny wybuch i wąski tunel nad jej głową zawalił się przy wtórce

przerażliwego zgrzytu rozdzieranego metalu. Donośny łoskot nie cichł ani na chwilę, Margo zaś osuwała się coraz niżej w wypełnioną wodą, nieprzeniknioną ciemność.

## 63

Hayward biegła przez trakt w stronę muszli koncertowej i Cherry Hill; funkcjonariusz Carlin dzielnie dotrzymywał jej kroku. Mimo potężnej budowy biegł zwinnie i miękko, z gracją urodzonego atlety. Nawet się nie spocił. Spotkanie z kretami, gaz łzawiący, nawet chaos, jaki zastali na ulicach, nie zamąciły im w głowach.

Tu, w mrocznych zakamarkach Parku, hałas, dotąd tak odległy, wydawał się znacznie głośniejszy: dziwny falujący krzyk, na przemian to cichnący, to znów przybierający na sile, zdawał się żyć własnym życiem.

Raz po raz pojawiały się osobliwe błyski i pióropusze ognia, malując spód postrzępionych chmur powyżej jaskrawym karmazynem.

– O Jezu – jęknął Carlin, nie zwalniając kroku. – Brzmi to tak, jakby milion ludzi usiłowało nawzajem wymordować się.

– Może tak właśnie jest – odparła Hayward, dostrzegając w oddali oddział Gwardii Narodowej.

Przebiegli przez łukowy most i przecięli Odludzie, zbliżając się do tylnej linii obrony oddziałów policji. Opodał, z włączonymi silnikami, na jałowym biegu stały rzędem wozy kilku stacji telewizyjnych. W górze przemknął śmigłowiec; gdy zniżył lot, pod wpływem podmuchu powietrza z wirnika zakołysały się korony pobliskich drzew. Funkcjonariusze uformowali kordon wokół tarasu zamku, a jeden z policjantów machnął ręką, przepuszczając ją. Wraz z depczącym jej po piętach Carlinem przebiegła przez taras i wspięła się po schodach, zmierzając w kierunku białek zamku. Tam właśnie, wśród tłumu wysokich funkcjonariuszy policji, przedstawicieli Ratusza, oficerów Gwardii Narodowej i zdenerwowanych, sądząc po wyglądzie, mężczyzn, którzy rozmawiali przez komórki, stał szef Horlocker. Sprawiał wrażenie, jakby w ciągu czterech godzin, kiedy to Hayward widziała go ostatnio, postarzał się o dziesięć lat. Rozmawiał ze szczupłą, elegancko ubraną kobietą po pięćdziesiątce. A raczej słuchał, jak zwracała się doń krótkimi, rozkazującymi zdaniami. Hayward podeszła bliżej i rozpoznała w kobiecie przywódczynię ruchu „Odzyskajmy Nasze Miasto”, matkę Pamela Wisher.

– ...przemocy, jakiej to miasto nigdy dotąd nie widziało! – mówiła pani Wisher. – Tuzin moich bliskich przyjaciół wylądowało w szpitalu z ciężkimi obrażeniami ciała! Kto wie, ile dziesiątków i setek naszych popleczników zostało rannych podczas tych starć? Obiecuję panu i burmistrzowi, że w tym mieście już wkrótce rozpęta się fala procesów sądowych! I tej fali nic nie powstrzyma, komendancie Horlocker!

Szef policji podjął odważną próbę obrony.

– Pani Wisher, nasze raporty wskazują wyraźnie, że za wszczęcie tych zamieszek odpowiedzialne są młode osoby biorące udział w zorganizowanym przez panią marszu.

Pani Wisher nie zamierzała go słuchać.

– A kiedy to wszystko się skończy – ciągnęła – gdy Park i ulice zostaną w końcu oczyszczone z brudu i śmieci, nasza organizacja będzie silniejsza niż kiedykolwiek. Jeśli burmistrz do wczoraj miał tylko jeden powód, by się nas obawiać, jutro damy mu ich dziesięć! Śmierć mojej córki była iskłą, która rozpałała płomień naszej sprawy, ale ten oburzający atak na nasze swobody i nas samych wywoła prawdziwą pożogę! I proszę nie myśleć, że...

Hayward wycofała się, uznawszy, że nie jest to najlepszy moment na rozmowę z szefem. Ktoś pociągnął ją za rękę. Odwróciwszy się, ujrzała wpatzonego w nią Carlina. Policjant bez słowa wskazał na esplanadę i widniejący w dali Wielki Trawnik. Hayward spojrzeła w tę stronę i zamarła w niemym osłupieniu.

Pośród ciepłej letniej nocy Wielki Trawnik zmienił się w ognistą równinę. Kilkadziesiąt grup ludzi walczyło na niej, atakując i odступując na krótką chwilę, by zaraz znów rzucić się w wir bitwy. Cała scena przypominała piekielne pandemonium. Migoczący blask ogni, które płonęły w koszach na śmieci rozstawionych w wielu punktach wokół zieleńca, nie pozwalał mieć jakichkolwiek wątpliwości, że ten piękny ongiś trawnik zamienił się w brutalnie zoraną i zdeptaną tysiącami stóp połać ziemi, na której nie ostało się ani jedno źdźbło trawy. Mrok i brud nie pozwalały określić, którzy spośród walczących byli bezdomnymi, a którzy nie. Od wschodu i zachodu ustawiły się podwójne rzędy pojazdów policyjnych, kierujących w stronę miejsca zająć snopy światła z potężnych reflektorów. Z jednej strony spora grupa dobrze ubranych demonstrantów, ostatni członkowie elity „Odzyskajmy Nasze Miasto”, wycofała się za policyjne barykady, uznawszy najwyraźniej, że planowane nocne czuwanie jednak się nie odbędzie. Oddziały policji i Gwardii Narodowej nadchodziły wolno z obu flank, przerywając walki, nie szczędząc pałek i dokonując aresztowań.

– Cholera – mruknęła z przejęciem Hayward. – Ale bajzel.

Carlin odwrócił się do niej ze zdumieniem, po czym zakasłał z dezaprobatą w dłoń.

Za nimi zrobiło się nagle zamieszanie. Hayward odwróciła się, by ujrzeć oddalającą się z gracją panią Wisher. Szła z dumnie uniesioną głową, w otoczeniu małej grupki popleczników i ochroniarzy. Pozostały na placu boju Horlocker wyglądał jak bokser, który stoczył najcięższy w całej swojej karierze i, co gorsza, przegrany, dwunastorundowy pojedynek. Jakby szukając wsparcia, plecami oparł się o szorstką, piaskowej barwy ścianę zamku.

– Czy skończyli wlewanie do Rezerwuaru tej, jak jej tam?... – zapytał w końcu zdyszczonym głosem.

– Tyroksyny – odpowiedział dobrze ubrany mężczyzna stojący przy przenośnej radiostacji. – Tak, operację zakończono przed kwadransem.

Horlocker rozejrzał się dokoła zapadniętymi oczami.

– Czemu, u licha, nikt mnie o tym nie powiadomił? – Jego wzrok padł na Hayward. – Hej, ty! – warknął. – Jak ci na imię, Harris?

Policjantka podeszła bliżej.

– Hayward, sir.

– Nieważne. – Horlocker odsunął się od ściany. – Masz jakieś informacje od D’Agosty?

– Nie, sir.

– Od kapitana Waxiego?

– Nie, sir.

Komendant znów oparł się o ścianę.

– Jezu Chryste – wyszeptał. Spojrzał na zegarek. – Za dziesięć minut północ.

Odwrócił się do funkcjonariusza po prawej.

– Czemu oni wciąż jeszcze tam są? – Wskazał w kierunku Wielkiego Trawnika.

– Próbowaliśmy ich otoczyć, ale się nam wymykają i ponownie podejmują walkę. I wydaje się, że wciąż dołączają do nich nowi, przedostają się przez luki w kordonie, przy południowym krańcu Parku. Bez gazu łzawiącego trudno opanować sytuację.

– Czemu więc go nie użyjecie? – warknął Horlocker.

– Sam pan nam zabronił, sir.

– Że co? Że niby ja wydałem taki rozkaz? Ty kretynie, ludzie tej Wisher już dawno sobie poszli. Użyjcie gazu i zróbcie z nimi porządek. Natychmiast.

– Tak jest.

Rozległ się głęboki huk, dziwnie stłumiony, zdający się dochodzić z wnętrza ziemi. W jednej chwili Horlocker znów się ożywił. Odzyskał dawny wigor.

– Słyszeliście? – wyszczał przez zęby. – To ładunki wybuchowe! Pieprzone ładunki!

Policjanci obsługujący radiostację zareagowali krótkim, acz spontanicznym aplauzem. Carlin odwrócił się do Hayward i spojrział na nią pytająco.

– Ładunki? – wyszczał.

Hayward wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, o co chodzi. Czemu wszyscy tak się cieszą, skoro tam, na dole, rozpętało się istne piekło?

Jak na niewidzialny sygnał, oboje ruszyli w stronę Wielkiego Trawnika. Trwający poniżej spektakl, choć brutalny, miał w sobie coś nieodparcie fascynującego. Dobiegły ich głośnie krzyki i wrzaski, fala dźwiękowa w swej sile wydawała się niemal namacalna. Co chwilę spośród tej kakofonii dawał się wychwycić pojedynczy dźwięk, przekleństwo, jęk, przeciągłe wołanie, odgłos pięści uderzającej w ciało.

Wtem spoza Wielkiego Trawnika doszło Hayward dziwne, głuche westchnienie, jakby zaczęły się walić fundamenty całego Manhattanu. W pierwszej chwili nie potrafiła zlokalizować źródła owego dźwięku. Nagle spostrzegła, że powierzchnia Rezerwuaru, zwykle

spokojna jak tafla stawu, łagodnie zadrżała. Pojawiły się na niej drobne zmarszczki, ledwie widoczne rozchodzące się fale, a pośrodku zaroilo się od bąbli powietrza.

W punkcie dowodzenia zrobiło się cicho jak makiem zasiał, spojrzenia wszystkich przeniosły się na zbiornik wodny.

– Fale – wyszeptał Carlin. – Na powierzchni Rezerwuaru, niech mnie drzwi ścisną!

Dało się słyszeć głębokie, przeciągłe czknięcie, a po nim przerażający łoskot milionów stóp sześciennych wody, wlewających się z niewiarygodną siłą do tuneli pod Manhattanem. Na Wielkim Trawniku, skąd nie było widać Rezerwuaru, wciąż nieprzerwanie trwały walki. Wśród odgłosów starcia Hayward usłyszała, lub może raczej poczuła, drzenie towarzyszące przetaczającym się w dole masom wody, które wypełniały z nieprzepartą gwałtownością stare, zapomniane korytarze.

– Za wcześniej! – zawołał Horlocker.

Hayward spostrzegła, że poziom wody w Rezerwuarze wyraźnie zaczął opadać, z początku powoli, potem nieco gwałtowniej.

W odbitym świetle reflektorów i niezliczonych ogni widziała wyraźnie odsłonięty półokrąg ściany Rezerwuaru, u brzegów zbiornika woda kipiała i pieniała się pod wpływem odśrodkowej siły wiru.

– Zatrzymać to! – wyszeptał Horlocker.

Poziom wody opadał nieustannie.

– Proszę, zatrzymajcie to – jęknął Horlocker ze wzrokiem skierowanym ku północy.

Zbiornik opróżniał się coraz szybciej. Hayward widziała, jak powierzchnia wody gwałtownie opada, odsłaniając kolejne fragmenty spękanej ściany Rezerwuaru od strony Wschodniej Łąki i Ball Field.

Wtem grzmiący dźwięk przycichł, turbulencje osłabły. Powierzchnia wody przestała falować, jej poziom nie obniżał się już tak gwałtownie. W punkcie dowodzenia panowała grobowa cisza.

Hayward wbiła wzrok w cienkie pasmo bąbli powietrza wpływających do zbiornika od jego północnego krańca; wąska zrazu struga rozszerzała się coraz bardziej, a wraz z nią narastał towarzyszący temu szum.

– Niech to szlag – mruknął Horlocker. – Udało się im.

Kiedy przepusty poniżej zostały zablokowane, poziom wody w Rezerwuarze przestał się obniżać. Ubytki uzupełniała teraz woda napływająca ze zbiorników zapasowych, umieszczonych na północ od miasta.

Przy wtórze głośniego syku i szumu poziom wody znów zaczął się podnosić. Kipiel przy północnym krańcu zbiornika rozszerzała się, gładka jeszcze niedawno powierzchnia wody drżała pod wpływem jakiegoś wewnętrznego ciśnienia. Łoskot przybierał na sile. Poziom wody podnosił się regularnie, aż wreszcie osiągnął skraj betonowego obramowania zbiornika. I przelał się przezeń.

– Jezu! – jęknął Carlin. – Chyba czeka ich zimna kąpiel.

Potężne strugi wody przetoczyły się ponad krawędzią Rezerwuaru i rozlały po równinie mrocznego Parku, tłumiąc wśród plusku, szumu i rozdzierającego ryku odgłosy toczących się walk.

Zastygła w bezruchu, zapatrzona na tę zapierającą dech w piersi scenę, Hayward odniosła wrażenie, że ma przed sobą wielką wannę, z której wylewa się woda. Rozlewające się z potężną siłą spienione strugi wygładzały nierówności ziemi i przetaczały się wokół stojących na ich drodze mniejszych i większych drzew. Zupełnie jak podczas powodzi, pomyślała, gdy wylewa rzeka, łagodna, płytka, a jednak z mocą żywiołu. Nie było wątpliwości, dokąd spływała woda – na nizinę Wielkiego Trawnika.

Nastała chwila nerwowego, dramatycznego wyczekiwania, gdy potoki rozlewającej się gwałtownie wody pozostawały niewidoczne dla tłumów toczących zaciekle walki poniżej zamkowych murów. I nagle pośród drzew, na północnym skraju trawnika, pojawiło się pchające przed sobą śmieci, wyrwane chwasty i połamane gałęzie, błyszczące wilgotną czernią czoło fali. Kiedy żywioł dosięgnął flanki walczących, odgłosy dobiegające od strony Wielkiego Trawnika zmieniły się, zarówno ich ton, jak i natężenie. Przez szeregi walczących przeszła fala niepewności. Hayward patrzyła, jak gromady ludzi oddzielały się od reszty tłumy, przegrupowywały się, wracały i znów szły w rozsypkę. W następnej chwili kaskady wody zalały Wielki Trawnik, a tłum z przeraźliwym wrzaskiem rozpierchnął się, zmierając w kierunku zagajnika na niskim pagórku; ludzie potykali się i przewracali jeden drugiego, walcząc bez pardonu o możliwość dotarcia do któregoś z licznych wejść do Parku, gdzie, jak sądzili, powinni być już bezpieczni.

A woda wciąż napływała, rozlewając się po boisku do baseballu, przewracając i gasząc płonące kosze na śmieci. Przy wtórze głośniego szumu wdarła się do teatru Delacorte, otoczyła go i wchłonawszy żółwi staw, dotarła do podnóża zamku Belvedere, rozbijając się o kamienie wśród ciemnych strug piany.

Dopiero wtedy odgłos płynącej wody zaczął w końcu cichnąć. Kiedy nowo powstałe jezioro wreszcie się uspokoiło, na jego powierzchni zaczęły się pojawiać błyszczące punkciki odbitego światła, coraz liczniejsze, w miarę jak tafla wody wygładzała się, aż w końcu zmieniła w gigantyczne zwierciadło gwiazd.

Wszyscy zebrani w punkcie dowodzenia jeszcze przez dłuższą chwilę trwali w bezruchu, przerażeni widowiskiem, którego byli świadkami.

Nagle rozległy się spontaniczne gromkie owacje, wypełniając jedno po drugim wszystkie pomieszczenia i wieżycy zamku i wzbijając się ku rozgwieżdżonemu, letniemu niebu.

– Szkoda, że mój ojciec nie mógł tego zobaczyć – powiedziała mimo hałasu Hayward, odwracając się z uśmiechem do Carlina. – Powiedziałby, że to jak oblanie wodą walczących psów. Mogę się założyć, że właśnie tak by to podsumował.

Wschodzące słońce pojawiło się nisko nad Atlantykiem, całując piaszczyste wydmy Long Island, skąpując w swych promieniach zatoki i przystanie, miasteczka i ośrodki rekreacyjne, a jezdnie i chodniki pokryły się chłodną, letnią rosą. Nieco dalej na zachód gorejąca, silna luna rozświetlała obrzeża Nowego Jorku, nadając, na krótko, szarym, ponurym budynkom weselszy, bladoróżowy odcień. Barwne światło docierało aż do East River, migotliwie odbijając się w oknach dziesięciu tysięcy budynków, jakby obmywało całe miasto nowym blaskiem i żarem.

Pod gęstą plataninę torów kolejowych i biegnących w górze przewodów, które przecinały wąski kanał znany jako Humboldt Kill, nie docierało światło. Wznoszące się tam budynki, opuszczone i szare niczym wyszczerzone zęby trupa, były zbyt liczne i za wysokie. Poniżej stała woda, oleista i gęsta, prądy powstawały na niej jedynie pod wpływem drgań, wywoływanych przez pociągi przetaczające się z rzadka po żelaznym moście, wysoko w górze.

Gdy słońce nadal uporczywie wędrowało ku zachodowi, pojedynczy promień światła przesunął się ukośnie w dół, poprzez labirynt drewna i stali, odbijając się krwistą czerwienią na zardzewiałym żelazie, cienki i ostry niczym rana od noża. Zgasł równie szybko, jak się pojawił, zdążył jednak przez moment oświetlić nader osobliwy widok: postać, ubłoconą i mocno poobijaną, zwiniętą w kłębek i leżącą bez ruchu na niedużej przymie cegieł, która wystawała kilka cali ponad powierzchnię wody.

Ciemność i cisza powróciły, a cuchnący kanał znów przykrył cień. Wtem jego sen ponownie został zakłócony: w oddali rozległ się głuchy łoskot, przybierający na sile pośród szarego, posepnego świtu; dochodził z góry. Osiągnąwszy crescendo, z wolna począł cichnąć, ale wkrótce powrócił. Pośród tego łoskotu pojawił się inny dźwięk, głębszy i gwałtowniejszy, zdecydowanie bliższy. Powierzchnia kanału zaczęła drżeć i dygotać, jakby z wahaniem, niechętnie budziła się do życia.

Na dziobie kutra straży przybrzeżnej stał D'Agosta, czujny i nieruchomy niczym wartownik.

– Tam jest! – zawołał, wskazując ciemną postać leżącą na nabrzeżu.

Odwrócił się do pilota.

– Zabierzcie stąd te śmigłowce! Mącą tylko wodę, przez co smród staje się nie do zniesienia! Poza tym może trzeba będzie tu ściągnąć helikopter sanitarny.

Pilot powiódł wzrokiem w stronę postrzępionych, wypalonych fasad i stalowych mostów powyżej i choć na jego twarzy wykwitł wyraz powątpiewania, nie odezwał się ani słowem.

Smithback podszedł do relingu i wyteżając wzrok, usiłował przeniknąć nim szarość panującą dookoła.

– Co to za miejsce? – zapytał, zasłaniając nos podwiniętą koszulą.

– Humboldt Kill – odrzekł oschle D’Agosta. Odwrócił się do pilota.

– Podpłyńmy bliżej, niech ją obejrzy lekarz.

Smithback wyprostował się i przeniósł wzrok na D’Agostę.

Wiedział, że porucznik miał na sobie brązowy garnitur – był to jego ulubiony kolor – lecz teraz nie sposób było domyślić się barwy, gdyż przemoczony materiał pokrywały ciemne plamy błota, brudu, krwi i smarów. Nad jego okiem ciągnęła się długa czerwona pręga. Smithback patrzył, jak porucznik zamaszystym ruchem ociera czoło rękawem.

– Boże, oby tylko nic się jej nie stało – wymamrotał pod nosem D’Agosta.

Łódź przybiła do skarpy, pilot pociągnął przepustnicę do tyłu, ustawiając ją na tryb jałowy. W okamgnieniu D’Agosta i lekarz przeskoczyli przez burtę i wspięli się na skarpe, nachylając się nad leżącą postacią. Pendergast stał w cieniu na rufie kutra, milczący, z wyrazem napięcia malującym się na pociągłej, bladej twarzy.

Nagle Margo drgnęła i ocknęła się gwałtownie, zamrugła, usiłując określić swoje położenie. Spróbowała usiąść, po czym z głośnym jękiem uniosła dłoń do głowy.

– Margo! – rzekł policjant. – To ja, porucznik D’Agosta.

– Proszę się nie ruszać – powiedział lekarz, delikatnie obmacując jej szyję i kark.

Ignorując go, Margo podźwignęła się do pozycji siedzącej.

– Czemu tak długo zwlekaliście? – zapytała i całym jej ciałem wstrząsnął atak silnego kaszlu.

– Jakieś złamania? – zapytał lekarz.

– Jest ich tyle, że nie potrafiłabym zliczyć – odparła, krzywiąc się. – A tak poważnie, sądzę, że złamałam lewą nogę.

Lekarz rozpoczął oględziny, wprawnymi ruchami rozcinając lewą nogawkę ubłoconych dżinsów. Pospiesznie zbadał resztę jej ciała, po czym powiedział coś do D’Agosty.

– Czuje się dobrze! – zawołał D’Agosta. – Niech helikopter sanitarny czeka na nas przy nabrzeżu!

– No więc? – rzuciła ponaglająco Margo. – Gdzie się podziewaliście?

– Zmyliliśmy trop – odparł Pendergast, który jak duch pojawił się nagle obok niej. – W zbiorniku osadowym oczyszczalni ścieków znaleziono jedną z twoich płetw. Była mocno nadgryziona. Obawialiśmy się, że... – Przerwał. – Upłynęło trochę czasu, zanim postanowiliśmy skontrolować wyloty mniejszych przepustów bocznika w West Side.

– Jakieś złamania? – zawołał Smithbach.

– Być może lekkie pęknięcie kości, nic poważnego – odparł lekarz. – Połóżmy ją na noszach.

Margo wychyliła się lekko do przodu.

– Sądzę, że dam radę...

– Słuchaj pana doktora – rzekł D’Agosta z miną zatroskanego ojca.



Podczas gdy kuter stał nieruchomo w mętnej, oleistej wodzie obok wilgotnego, ceglanego nasypu, Smithback i pilot opuścili przez burtę nosze, po czym dziennikarz zeskoczył na skarpe, aby pomóc w ułożeniu Margo na wąskim płótnie. Następnie we trzech dźwignęli nosze i przelożyli je przez burtę. D'Agosta wrócił za Smithbackiem i lekarzem na pokład i spojrzawszy na pilota, pokiwał głową.

– Wynośmy się stąd.

Rozległo się głucho dudnienie diesla, po czym łódź odbiła od nasypu i wypłynęła na środek kanału.

Margo położyła się ostrożnie, opierając głowę o nadmuchaną poduszkę, podczas gdy Smithback otarł jej do czysta dłonie i twarz wilgotnym ręcznikiem.

– To miłe – wyszeptła.

– Za dziesięć minut znajdziesz się wreszcie na suchym lądzie – rzekł Pendergast, siadając obok niej. – Za następne dziesięć będziesz już w szpitalu.

Margo próbowała protestować, ale spojrzenie Pendergasta odebrało jej mowę.

– Nasz przyjaciel, funkcjonariusz Snow, opowiedział nam, czego można się nabawić, pływając w Humboldt Kill – oznajmił. – Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

– Co się stało? – zapytała Margo, zamykając oczy i czując kojącą wibrację silników kutra.

– Zależy, o co pytasz – odrzekł Pendergast. – Co pamiętasz?

– Pamiętam, że się rozdzieliliśmy – powiedziała Margo. – I wybuch...

– Fala powstała po eksplozji rzuciła cię w głąb jednego z kanałów – wyjaśnił Pendergast.

– Z pomocą Snowa udało się nam dotrzeć do głównego szybu i stamtąd do Hudsonu. Ty w tym czasie musiałas zostać wessana przez służbę do bocznika prowadzącego do Humboldt Kill.

– Chyba pokonałaś tę samą drogę co tamte dwa ciała, kiedy zmyła je woda po gwałtownej ulewie – wtrącił D'Agosta.

Margo zdawała się drzemać. Po kilku chwilach jej usta znowu się poruszyły.

– Frock...

Pendergast dotknął jej warg koniuszkami palców.

– Później – szepnął. – Potem będzie na to mnóstwo czasu.

Margo pokręciła głową.

– Jak on mógł to zrobić – wymamrotała. – Jak mógł wziąć ten narkotyk, zbudować tę upiorną chatę? – przerwała.

– To przerażające, jak niewiele wiemy nawet o naszych najbliższych przyjaciółach – odparł Pendergast. – Któż z nas wie, jakie ukryte pragnienia podsycają tłący się w nich wewnętrzny płomień, który utrzymuje ich przy życiu? Moglibyśmy nigdy nie dowiedzieć się, jak bardzo brakowało Frockowi władzy w nogach. To, że był arogancki, nigdy nie budziło najmniejszych wątpliwości. Wszyscy wielcy uczeni są bardziej lub mniej aroganccy. Musiał wiedzieć, że Kawakita w znacznym stopniu zmodyfikował i dopracował swój narkotyk. Bądź

co bądź, narkotyk zażyty przez Grega musiał pochodzić z późniejszego szczepu niż ten, który spowodował powstanie Pomarszczonych. Frock musiał w swej pysze sądzić, że potrafi naprawić to, co przeoczył Kawakita. Wiedział, że narkotyk ma dostatecznie dużą moc, by korygować wady i ułomności osób, które go zażywały. Postanowił więc wykorzystać jego potencjał do maksimum. Niestety, ostatnia mutacja narkotyku, choć nie powodowała zmian fizycznych, w przerażający sposób uszkadzała ludzki umysł. Tym samym wyszły na jaw jego najgłębsze pragnienia, najbardziej skrywane żądze, zostały one wyolbrzymione, spaczona i do cna zawładnęły wszystkimi jego poczynaniami. Chata stanowi ostateczny dowód jego zepsucia. Chciał być bogiem, swoim bogiem, bogiem ewolucji.

Margo skrzywiła się, wzięła głęboki oddech, opuściła ręce wzdłuż tułowia i pozwoliła, by łagodne kołysanie łodzi odeгнаło od niej na pewien czas wszystkie myśli.

Wypłynęli z Kloaki i przez Spuyten Dyvil dotarli do Hudsonu. Białe światło świtu z wolna ustępowało już miejsca ciepłemu blaskowi letniego, spokojnego dnia.

D'Agosta stał na rufie kutra, wpatrując się z zamyśleniem w kremowy kilwater.

Margo wolno, nieomal leniwie uświadomiła sobie, że jej prawa dłoń spoczywa na niewielkim wybrzuszeniu, powstałym od czegoś, co miała w kieszeni. Sięgnęła do środka i wyjęła przemoczoną kopertę, którą kilka godzin temu w ciemnym tunelu wręczył jej Mephisto. Otworzyła ją z zaciekawioną. Wewnątrz znajdowała się nieduża kartka, lecz to, co na niej napisano, rozmyła woda. Nie sposób było odczytać ani jednego słowa. Na kartce pozostały tylko rozmazane linie i plamy atramentu. W złożonej na pół kartce znajdowało się zawilgłe, czarno-białe zdjęcie, wyblakłe i mocno pozaginane. Ukazywało małego chłopca na pylistym podwórzu, ubranego w ogrodniczkę i czapkę kolejarską, który siedział na drewnianym koniku na kółkach zamiast biegunów. Pyszata buzia rozpromieniona była szerokim, szczerym uśmiechem. W tle stała przyczepa mieszkalna, obok której rosły kaktusy. Za przyczepą rozciągało się pasmo górskie, niskie i dość odległe. Margo patrzyła przez chwilę, dostrzegając w tej rozradowanej, dziecięcej buzi ducha mężczyzny, którym kiedyś się stanie. Delikatnie włożyła kopertę i zdjęcie na powrót do kieszeni.

– A co z Rezerwuarem? – zapytała półgłosem Pendergasta.

– Poziom wody od sześciu godzin nie zmienił się – odparł Pendergast. – Najwyraźniej woda nie wycieka. Zatrzymaliśmy ją pod ziemią.

– A zatem udało się nam – westchnęła Margo.

Pendergast nie odpowiedział.

– Udało się, prawda? – zapytała, a jej spojrzenie stało się nagle przenikliwe.

Pendergast odwrócił wzrok.

– Chyba tak – odezwał się w końcu.

– Wobec tego o co chodzi? – dopytywała się. – Nie jest pan pewien, prawda?

Odwrócił się do niej, poczuła na swojej twarzy spojrzenie jego bladych oczu.

– Przy odrobinie szczęścia zawałone tunele wytrzymają i nie dojdzie do żadnych przecieków. W ciągu najbliższych dwudziestu kilku godzin tyroksyna unicestwi rośliny pozostałe w Rezerwuarze i w tunelach poniżej. Jednak nikt z nas nie może być tego pewien – jeszcze nie.

– Czy kiedykolwiek będziemy mieć pewność? – spytała. – A jeżeli tak, to kiedy i w jaki sposób?

D'Agosta uśmiechnął się.

– Coś ci powiem. Od dziś za rok wybiorę się do Mercera przy South Street i zamówię stek z miecznika, duży i krwisty. Jeśli po zjedzeniu go nie odleczę na solidnym haju, będzie to znak, że możemy sobie wszyscy pogratulować i nieco się rozluźnić.

Właśnie wtedy nad Washington Heights pojawiła się rozpalona kula słońca, nadając ciemnej wodzie barwy kutego złotka srebra.

Smithback, przerywając ocieranie twarzy Margo suchym ręcznikiem, uniósł wzrok, by przyjrzeć się tej scenie: wysokie budynki w śródmieściu połyskiwały w porannym świetle odcieniami złota i fioletu, most Jerzego Waszyngtona skąpany był w kaskadach srebrzystego blasku.

– Jeżeli chodzi o mnie – rzekł powoli Pendergast – sądzę, że także przez pewien czas powstrzymam się od spożywania frutti di mare.

Margo pospiesznie spojrzała na agenta, usiłując dopatrzeć się w jego obliczu ironicznego uśmiešku. Jednak wzrok i twarz Pendergasta pozostały niewzruszone. Po chwili Margo, nie mówiąc już ani słowa, pokiwała głową ze zrozumieniem.

## I WRESZCIE

Nigdy więcej nie zorganizowano akcji pod hasłem „Odzyskajmy Nasze Miasto”. Pani Wisher otrzymała w rządzie honorowe stanowisko łącznika obywatelskiego, a po wyborach w następnym roku podjęła ożywioną współpracę z nową administracją w celu poszerzenia wiedzy i świadomości społecznej. Niewielki park przy Pięćdziesiątej Trzeciej Wschodniej został nazwany imieniem Pameli Wisher.

Laura Hayward nie przyjęła proponowanego awansu, postanowiła odejść z policji i ukończyć studia na uniwersytecie nowojorskim.

Relacja z wydarzeń tamtej nocy ich naocznego świadka, Billa Smithbacka, przez kilka miesięcy utrzymywała się na liście przebojów wydawniczych, pomimo licznych skrótów i cenzury przeprowadzonej przez agentów rządowych, pod kierownictwem agenta specjalnego Pendergasta.

Koniec końców, Margo przekonała – a raczej, należałoby stwierdzić, zmusiła – Smithbacka, aby połowę swego honorarium przeznaczył na wsparcie licznych przytułków dla bezdomnych oraz fundacji charytatywnych.

Dokładnie rok od owego dnia, gdy zatopione zostały tunele Astora, Pendergast, D’Agosta i Margo Green spotkali się na lunchu w słynnej restauracji serwującej owoce morza przy South Street, opodal portu.

Choć temat rozmowy pozostaje tajemnicą znaną tylko ich trojgu, wychodząc z restauracji, D’Agosta uśmiechał się. Był to szczery i promienny uśmiech prawdziwej ulgi.

## OD AUTORÓW

Choć wydarzenia i postacie opisane w tej książce są fikcyjne, większość spośród przedstawionych tu miejsc i podziemnych tuneli wraz z zasiedlającymi je ludźmi istnieje naprawdę. Szacuje się, że w rozległym labiryncie podziemnych korytarzy, tuneli metra, starych akweduktów, chodników górniczych, kanałów ściekowych, opuszczonych stacji kolejowych i poczekalni, nie użytkowanych magistrali gazowych, dawnych składów, magazynów i przestrzeni maszynowych, których pełno jest pod Manhattanem, zamieszkuje ponad pięć tysięcy bezdomnych. Sam dworzec Grand Central wznosi się nad siedmioma poziomami tuneli, natomiast w niektórych miejscach podziemne instalacje sięgają do trzydziestu pięter w głąb ziemi. Tunele Astora, z ich eleganckimi stacjami, z wolna obracającymi się w pył, istnieją naprawdę, choć są nieco mniejsze, niż tu opisano, i noszą inną nazwę. Nie istnieją mapy ani plany sieci podziemnych tuneli pod Manhattanem.

Jest to naprawdę niezbadane i niebezpieczne terytorium.

Większość z zamieszczonych w *Relikwiarzu* informacji na temat zamieszkujących pod ziemią bezdomnych, zwanych również ludźmi-kretami, jest autentyczna. (Niektórzy z tych ludzi wolą nazywać siebie „nie posiadającymi mieszkań”, traktują oni bowiem tunele jako swój „dom”). W wielu miejscach pod ziemią bezdomni stworzyli zorganizowane społeczności zwane „Drogą Birmańską” albo „Kondominium”. Władzę sprawują w nich wybierani z ich grona „burmistrzowie”. Niektórzy spośród ludzi-kretów od wielu tygodni, miesięcy, a nawet lat nie byli na powierzchni, ich oczy przywykły do tamtejszych warunków i niemal całkowitego braku światła. Żywią się tym, co przynoszą „gońcy”, a niekiedy, tak jak to jest opisane w powieści, również „królikami tunelowymi”. Gotują na ognisku lub na parze, korzystają z wody i prądu, podłączając się do licznych, biegnących pod ziemią przewodów elektrycznych oraz instalacji wodno-kanalizacyjnych. Co najmniej jedna z tych wspólnot ma osobę pełniącą dorywczo rolę nauczyciela, pod ziemią żyją bowiem również dzieci, sprowadzone tu często przez matki, które nie chcą, by ich pociechy trafiły pod opiekę państwa i do domów dziecka.

Ludzie-krety komunikują się między sobą w ciemnościach, uderzając twardymi przedmiotami w rury. Ciekawostką jest, że niektórzy bezdomni twierdzą, jakoby widzieli znajdującą się głęboko pod ziemią bajeczną, obracającą się w ruinę, dziewiętnastowieczną poczekalnię, o ścianach wyłożonych zwierciadłami i kafelkami, z wielką fontanną, fortepianem i ogromnym kryształowym żyrandolem, podobną do opisanego w *Relikwiarzu* Kryształowego Pawilonu.

Dodać tu należy, że autorzy pozwolili sobie na dokonanie dość istotnych zmian lub też ulepszeń w opisach innych, niż wspomniane powyżej, miejsc pod Manhattanem, gdy wymagała tego akcja powieści.

Autorzy uważają, że Stany Zjednoczone, jako państwo bogate, stać na zapewnienie żyjącym pod ziemią bezdomnym opieki medycznej, pomocy psychiatrycznej, schronienia i szacunku. Nie są to wszak wygórowane potrzeby, a bez wątpienia winny być one podstawowymi prawami należnymi każdej istocie ludzkiej w cywilizowanym społeczeństwie.

Wiele spośród zamieszczonych tu bezcennych informacji zaczerpnęli autorzy z książki *The Mole People*, autorstwa Jennifer Toth (Chicago Review Press, 1993).

Czytelników zainteresowanych tym tematem i pragnących poszerzyć swą wiedzę na temat *subterra incognita* Manhattanu odsyłamy, by sięgnęli po tę wspaniałą, dającą do myślenia, a niekiedy nawet przerażającą lekturę.